

Nad krawędzią

Kellerman Jonathan



calibre 0.9.43

JONATHAN



NAD

KRAWĘDZIĄ

Przekład PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

AMBER

Redakcja stylistyczna Elżbieta Novak

Redakcja techniczna Andrzej Witkowski

Korekta

Jolanta Kucharska

Katarzyna Pietruszka

Ilustracja na okładce © Wydawnictwo Amber

Opracowanie graficzne okładki Studio Graficzne Wydawnictwa Amber

Skład Wydawnictwo Amber

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Tytuł oryginału Over the Edge

Copyright © Jonathan Kellerman 1987. AU rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2739-9 978-83-241-2739-9

Warszawa 2007. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060

Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Jak zawsze, mojej rodzinie
oraz Barneyowi Karpfingerowi,
agentowi nadzwyczajnemu*

Mieście litość, Niebiosa! Gdy żywot mój skończony,

I niech ten nędzny czyn będzie mi wybaczony!

Thomas Chatterton

Cudowny chłopiec

Wiersze ostatnie

24 sierpnia 1770

Gorące podziękowania dla doktora Michaela Tolwina,
przewodnika wycieczek

1

To był mój pierwszy telefon alarmowy w środku nocy od trzech lat. Tysiąc dni bez praktyki, a tu nagle siedzę, wyrwany ze snu, wyprostowany w ciemności, ściskając słuchawkę zdrętwiałymi od snu palcami, zaspany i półprzytomny, ale gotowy do działania - głos miałem łagodny i rzeczowy, chociaż mózg rozpaczliwie szukał oparcia dla stóp, wspinając się do stanu pełnej świadomości.

Wszedłem w starą rolę z automatyczną łatwością.

Po drugiej stronie łóżka ktoś się poruszył. Telefon wyrwał ze snu także Robin. Prążki przefiltrowanego przez firankę światła gwiazd padały jej na twarz; doskonałą twarz, wypoczętą od snu.

- Kto to, Alex?

- Centrala.

- Co się stało?

- Nie wiem. Śpij, kochanie, odbiorę w bibliotece.

Spojrzała na mnie pytająco, a potem zawinęła się w pościel i odwróciła. Zarzuciłem na siebie

szlafrok i wyszedłem z sypialni. Włączyłem światło, skrzywiłem się, oślepiony, a potem znalazłem kartkę i ołówek, i podniosłem słuchawkę.

- Jestem.

- To mi wygląda rzeczywiście na nagły wypadek, doktorze. Ciężko dyszy i mówi bez sensu. Musiałam kilka razy zapytać go o nazwisko, zanim załapał, a potem je wyrzeszczał. Nie jestem pewna, ale brzmiało jak Jimmy Catmus albo Cadmus.

- Jamey Cadmus.

Wymamrotałem to imię i nazwisko i natychmiast się rozbudziłem, jakby to było zaklęcie. Wspomnienia zagrzebane w mojej pamięci pół dekady temu napłynęły falą tak wyraźne, jakby dotyczyły dnia wczorajszego. Jamey był kimś, kogo się nie zapomina.

- Proszę go połączyć - powiedziałem.

Na linii coś zatrzeszczało.

- Halo, Jamey? Cisza.

- Jamey? Tu doktor Delaware.

Zacząłem się zastanawiać, czy na pewno mam połączenie.

- Jamey?

Nic, a potem cichy jęk i ciężkie, płytkie sapanie.

- Jamey, gdzie jesteś?

Odpowiedź nadeszła zduszonym szeptem.

- Pomóż mi!

- Oczywiście, Jamey. Pomogę ci. Co się stało?

- Pomóż mi to ogarnąć. Ogarnąć. Ogarnąć. To się wszystko... rozpada. Ten cały smród. Śmierdziało wszystkich pór... śmierdzące rany... rozdzierane cuchnącym ostrzem...

Do tej pory wyobrażałem go sobie takim, jakiego widziałem go po raz ostatni: poważnego chłopca, o niebieskich oczach, mleczej cerze i włosach czarnych i lśniących jak hełm. Dwunastolatka. Ale głos w słuchawce był udręczonym barytonem, niezaprzeczalnie męskim. Zestawienie tego, co widziałem, z tym, co słyszałem, było dziwaczne i niepokojące - jakby pod ruch warg chłopca głos podkładał dorosły brzuchomówca.

- Spokojnie, Jamey. Wszystko w porządku. - Bardzo się starałem mówić łagodnie. - Gdzie jesteś?

Znów cisza, a potem potok przemieszanych słów, rozdygotany i urywany jak ogień karabinu maszynowego:

- Przestań mi to powtarzać! Ciągłe gadasz o tym smrodzie. Słyszę jak kłamiesz, opowiadasz... nagle żyły rozpęknięcie... kity nocnego ptaka... jestem taki... Zamknij się! Dość się nasłuchiwałem smrodu! Ciemność za-
śmiardła; masturbuje się mistrz...

Bełkot.

Sapnięcie i głos ucichł.

- Jestem tu, Jamey. Cały czas cię słucham. - Nie odpowiedział, więc mówiłem dalej - Brałeś coś?

- Doktor Delaware? - Nagle się uspokoił, jakby zaskoczony moją obecnością.

- Tak. Gdzie jesteś...?

- Dużo czasu minęło, doktorze D - stwierdził smutno.

- Tak, to prawda, Jamey. Dobrze znów cię słyszeć.

Bez odpowiedzi.

- Jamey, chcę ci pomóc, ale muszę wiedzieć, co się dzieje. Proszę, po-
wiedz mi, gdzie jesteś?

Cisza zaczęła się nieprzyjemnie przedłużać.

- Brałeś coś? Zrobiłeś coś sobie?

- Jestem w piekłosmrodzie, doktorze D. Dzwony piekieł. Szklany kanion.

- Opowiedz mi o tym. Gdzie jest ten kanion?

- Ty wiesz! - warknął. - Powiedzieli ci! Mówią mi bez przerwy! Otchłań, odchrzań! Szkło i
stalosmród.

- Gdzie, Jamey? - spytałem łagodnie. - Powiedz mi, gdzie dokładnie. Jego oddech stał się szybszy i
głośniejszy.

- Jamey...

Płacz rozległ się niespodziewanie, w szlochu przepełniony bólem szept.

- Och! Ziemia śmierdzi, nasiąknięta szkarłatem... rozchyła wargi...
Kity to śmierdzismród... Tak mi powiedzieli, śmierdzący kłamecy!

Próbowałem do niego jakoś dotrzeć, ale całkowicie skrył się w swoim osobistym koszmarze. Wciąż upiornym szeptem prowadził chaotyczny dialog z głosami, które słyszał w głowie; dyskutował, przekonywał, przeklinał demony, które chciały nim zawładnąć, aż klątwy ustąpiły miejsca wielkiej grozie i bezsilnemu łkaniu. Nie potrafiłem zatrzymać strumienia halucynacji, więc przeczekałem go, sam już z walącym w piersi sercem, dygocząc mimo ciepła w pokoju.

W końcu głos Jameya rozplątał się w sapaniu. Wykorzystując ciszę, spróbowałem go jakoś podpytać.

- Gdzie jest szklany kanion? Powiedz mi, Jamey.

- Szkło i stal, i kilometry rur. Jak węże... Gumowe węże i gumowe ściany... - Znów płytkie sapanie. - Cholerne białe zombi, odbijają ciała od ścian... zabawy z igłami...

Chwilę trwało, zanim to przetrawiłem.

- Jesteś w szpitalu?

Zaśmiał się głucho, przerażająco.

- Tak go nazywają.

- W którym?

- Canyon Oaks.

Znałem ten szpital z opinii o nim: mały, prywatny i bardzo drogi. Poczulem przypływ ulgi. Przynajmniej nie przedawkował w jakimś ciemnym zaułku.

- Długo tam jesteś?

Zignorował pytanie i znów zaczął płakać.

- Zabijają mnie kłamstwami, doktorze D! Programują laserbóle przez delikatne ciało! Rozcinają korę mózgową... wysysają soki, gwałcą delikatne ciało płci... śmierdziwałek po śmierdziwałku!

- Kto...

- Oni! ...pożeracze ciała... białe zombi... martwy wspin z wieżaznego gównoprądu... kity gówna... ptaki gówna... z mokrociała... Pomóż mi, doktorze D! Przyleć tu, pomóż mi to ogarnąć... teleportuj się! Zassaj mnie do innej sfery czystej...

- Jamey, chcę ci pomóc, ale...

Nie dokończyłem - znów zaczął, szeptem tak pełnym cierpienia, jakby ktoś przypiekał go żywcem. Otuliłem się mocniej szlafrokiem i próbowałem wymyślić, co powiedzieć, kiedy Jamey oprzytomnieje. Tłumiąc poczucie bezsiły, skupiłem się na tym, co mogłem zrobić: podać za

halucynacjami, zaakceptować je i spróbować od środka go uspokoić. Najważniejsze było utrzymać go przy telefonie, nie stracić jego zaufania. Walczyć tak długo, jak długo będzie trzeba.

To był dobry plan, jedyny rozsądny w tych okolicznościach, lecz nie miałem szansy go zrealizować.

Szept robił się coraz bardziej piskliwy, jakby nakręcała go jakaś niewidzialna sprężyna, coraz wyższy i wyższy, nieubłagany jak syrena ostrzegająca przed nalotem. Na końcu spirali rozległo się płaczliwe beknięcie, a potem krzyk, ucięty głuchym stukiem przerwane połączenia.

Nocna telefonistka w szpitalu Canyon Oaks poinformowała mnie, że telefony przychodzące będą odbierane dopiero od ósmej - czyli za prawie pięć godzin. Przedstawiłem się, poinformowałem, że to nagły wypadek, i zostałem połączony z wypranym z emocji kontraltem, który przedstawił się jako przełożona nocnej zmiany pielęgniarek. Wysłuchała, co miałem

do powiedzenia, a kiedy się znów odezwała, jej obojętność zabarwiła się sceptycyzmem.

- Powiedział pan, że jak się nazywa?

- Doktor Alex Delaware. A pani to...

- Nazywam się Vann. Jest pan członkiem naszego personelu, doktorze?

- Nie. Leczyłem Jameya kilka lat temu.

- Rozumiem. I mówi pan, że do pana zadzwonił?

- Tak. Przed chwilą.

- To niemożliwe, doktorze - stwierdziła z niejaką satysfakcją. - Pan Cadmus przebywa na zamkniętym... nie ma dostępu do telefonu.

- To był on, pani Vann, i był w bardzo złym stanie. Zaglądaliście państwo ostatnio do jego pokoju?

- Nie, jestem w przeciwległym skrzydle szpitala. - Chwila przerwy. - Mogłabym tam zadzwonić.

- Myślę, że powinna pani.

- Dobrze. Dziękuję za informację, panie doktorze, i życzę dobrej nocy.

- Jeszcze jedno: jak długo jest hospitalizowany?

- Obawiam się, że nie wolno mi ujawniać poufnych informacji o pacjentach.

- Rozumiem. Kto jest jego lekarzem prowadzącym?

- Nasz dyrektor, doktor Mainwaring. Ale - dodała obronnym tonem - o tej porze jest nieosiągalny.

W tle rozległy się jakieś stłumione hałasy. Pani Vann przełączyła mnie na czekanie, po dłuższej chwili wróciła na linię, jakby zdenerwowana, i powiedziała, że musi kończyć. Już drugi raz w ciągu dziesięciu minut w rozmowie ze mną ktoś rzucał słuchawką.

Zgasilem światło i poszedłem do sypialni. Robin odwróciła się do mnie i podniosła na łokciach. Ciemność zamieniła miedź w jej włosach w dziwnie piękny odcień lawendy. Oczy w kształcie migdałów miała na wpół przymknięte.

- Alex, co się dzieje?

Usiadłem na brzegu łóżka i opowiedziałem jej o telefonie od Jameya i o mojej rozmowie z nocną pielęgniarką.

- Dziwne.

- Bardzo dziwne. - Potarłem oczy. - Chłopak nie odzywa się przez pięć lat, a potem ni z tego, ni z owego dzwoni i coś bełkocze.

Wstałem i zacząłem krążyć po pokoju.

- Miał wtedy pewne problemy, ale nie był wariatem. Wszystko, tylko nie to. Jego umysł był dziełem sztuki. A dzisiaj, zupełna rozsypka: paranoja, słyszał głosy, mówił od rzeczy. Trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Ale na zdrowy rozum wiedziałem, że to możliwe. Przez telefon słyszałem psychozę albo jakiś zły odłot. Jamey był już młodym mężczyzną- miał siedemnaście albo osiemnaście lat - i statystycznie dojrzał już do zaczątków schizofrenii tak samo, jak do problemów z narkotykami.

Podszedłem do okna i oparłem się o parapet. Dolinę spowijała cisza. Słaby powiew kołysał czubkami sosen. Stałem tak chwilę, zapatrzony w aksamitne warstwy ciemności.

W końcu odezwała się Robin:

- Może wrócisz do łóżka, co, kochanie?

Wpełzłem pod kołdrę. Obejmowaliśmy się, aż Robin ziewnęła i poczułem, że jej ciało wiotczeje ze zmęczenia. Pocałowałem ją, odsunąłem się i spróbowałem zasnąć, ale mi się nie udało. Byłem za bardzo nakręcony i oboje to wiedzieliśmy.

- Mów - powiedziała, wsuwając swoją dłoń w moją.

- Tak naprawdę nie ma o czym mówić. Po prostu to dziwne, że tak się nagle odezwał. Później olali mnie w szpitalu. Jędzą, z którą rozmawiałem, sprawiała wrażenie, jakby miała to wszystko gdzieś. Była zimna, zachowywała się, jakbym to ja był wariatem. A potem, kiedy czekałem, wydarzyło się coś, co ją zdenerwowało.

- Myślisz, że to miało coś wspólnego z nim?

- Bo ja wiem... Do diabła, to wszystko takie pokręcone.

Leżeliśmy obok siebie. Cisza stawała się dokuczliwa. Spojrzałem na zegarek: trzecia dwadzieścia trzy. Podniosłem dłoń Robin do ust i pocałowałem jej kostki palców. Wstałem z łóżka, przeszedłem na drugą stronę, nachyliłem się i okryłem jej nagie ramiona.

- Już nie zasnę. Nie ma sensu, żebyś też nie spała.

- Pójdiesz poczytać? - spytała, wiedząc, jak zazwyczaj radzę sobie z bezsennością.

- Nie. - Podeszedłem do szafy i zacząłem po ciemku wyjmować ubrania. - Chyba się przejadę.

Odwróciła się i spojrzała na mnie wielkimi oczami.

Udało mi się znaleźć flanelowe spodnie, cordovany, golf i tweedową, sportową marynarkę. Ubrałem się po cichu. Wyglądałem wystarczająco profesjonalnie.

- Jedziesz tam, prawda? Do tego szpitala.

Wzruszyłem ramionami.

- Ten telefon to było wołanie o pomoc. Kiedyś dobrze się rozumieliśmy. Bardzo go lubiłem. Teraz jemu wszystko się sypie, a ja prawdopodobnie nic nie mogę zrobić, ale poczuje się lepiej, jeśli nie będę siedział z założonymi rękami.

Robin popatrzyła na mnie, zaczęła coś mówić, westchnęła.

- Gdzie to jest?

- W West Valley. O tej porze dwadzieścia pięć minut jazdy. Niedługo wrócę.

- Bądź ostrożny, Alex, dobrze?

- Nie martw się, nic mi nie będzie. Pocałowałem ją jeszcze raz.

- Spróbuj zasnąć.

Ale kiedy przestępowałem próg, była zupełnie rozbudzona.

Zima przysłała do południowej Kalifornii późno i trzymała się zawzięcie, zanim minęła. Jak na wczesną wiosnę było zimno; zapiąłem marynarkę, wychodząc na taras, i zbiegłem po frontowych schodach. Ktoś kilka lat temu posadził kwitnący w nocy jaśmin; krzewy rozrosły się i teraz dolinę od marca do września spowijał ich ciężki zapach. Odetchnąłem głęboko i pomyślałem o Hawajach.

Seville stał w garażu, obok toyoty pick-upa Robin. Był pokryty kurzem i potrzebował przeglądu, ale posłusznie zapalił. Dom stoi na końcu krętej, starej ścieżki do jazdy konnej i trzeba się trochę nagimnastykować, żeby bez zadrapań precyzyjnie się cadillakiem pod drzewami. Ale po tylu latach potrafiłbym to zrobić przez sen, więc wycofałem z szarpnięciem, szybko wykręciłem i ruszyłem w dół.

Wjechałem w Beverly Glen Drive i potoczyłem się z górki w stronę Sunset. Nasza część doliny ma wiejski urok - małe, drewniane domy na palach, z witrażkami w oknach, naklejki „Ratujmy wieloryby” na zderzakach starych volvo, targ naturalnych produktów - ale tuż przed Sunset zaczynają się strzeżone osiedla. Na bulwarze skręciłem w prawo i pojechałem do przelotówki San Diego. Seville przemknął obok północnej granicy kampusu UCLA, południowej bramy Bel Air, rozległych posiadłości na działkach za milion dolarów. Kilka minut później zobaczyłem wiadukt Czteryście Piątej. Skierowałem Seville na wjazd i wskoczyłem na autostradę.

Prawym pasem wlokło się kilka cystern, lecz pięć pasów należało do mnie. Asfalt unosił się przede mną, pusty i lśniący jak grot strzały w

nieskończoność mknący ku horyzontowi. Czteryście Piąta to fragment arterii, który przecina Kalifornię w pionie, biegnąc równoległe do wybrzeża od Baja do granicy Oregonu. W tej części stanu tunelem przebiega pod górami Santa Monica; tej nocy szczyty, które oszczędzono, rysowały się w mroku, a ich wyniosłe, pyliste podnóża porastała szczecina pierwszej wiosennej roślinności.

Droga wzbiła się do góry przy Mulholland, a potem opadła w stronę San Fernando Valley. Zapierający dech w piersiach widok - pulsująca tęcza dalekich światła - pojawił się nagle, lecz przy stu dziesięciu na godzinę równie szybko zniknął. Skręciłem w prawo, wjechałem na Ventura Freeway West i przyspieszyłem.

Przemknąłem przez dwadzieścia kilometrów przedmieść: Encino; Tarzane (tylko w L.A. podmiejską dzielnicę można było nazwać od czło-wieka-małpy); Woodland Hills. W podnieceniu ścisnąłem obiema rękami kierownicę, zbyt spięty, żeby słuchać muzyki.

Tuż przed Topangą czerń nocy ustąpiła eksplozji barw, mrugającemu wachlarzowi szkarłatu, bursztynu i kobaltowego błękitu. Zupełnie jakby na środku autostrady ktoś postawił olbrzymią choinkę. Miraż czy nie, zahamowałem.

O tej porze autostradą jechało niewiele samochodów, dość jednak - stojących zderzak w zderzak - by stworzyć korek jak o czwartej po południu.

Siedziałem przez chwilę, z silnikiem na luzie, a potem uświadomiłem sobie, że pozostali kierowcy wyłączyli silniki. Niektórzy wysiedli i opierali się o maski i bagażniki; palili papierosy, rozmawiali albo po prostu patrzyli w gwiazdy. Ich pesymizm był tak przemożny, że i ja zgasilem silnik. Przede mną stało srebrne porsche targa. Wysiadłem i podszedłem do niego. Za kierownicą siedział ciemnowłosy mężczyzna pod czterdziestkę. Gryzł ustnik zgaszonej fajki i przeglądał jakieś prawnicze czasopismo.

- Przepraszam, może mi pan powiedzieć, co się dzieje?

Kierowca porsche podniósł wzrok znad pisma i spojrział na mnie przyjaźnie. Sądząc po zapachu, jego fajka nie była nabita tytoniem.

- Wypadek. Wszystkie pasy zablokowane.
- Długo pan już tu stoi?

Szybkie spojrzenie na roleksa.

- Półgodziny.
- Wie pan może, kiedy przywrócą ruch?
- Nie. To jakiś paskudny wypadek.

Włożył fajkę, z powrotem do ust, uśmiechnął się i wrócił do lektury artykułu o kontraktach w transporcie morskim.

Poszedłem dalej lewym poboczem autostrady, mijając rzędy stojących samochodów. Wozy jadące w przeciwną stronę też zwolniły, bo kierowcy chcieli zobaczyć, co się stało. Coraz bardziej śmierdziało benzyną, a moje uszy wychwyciły elektryczny zaśpiew: liczne policyjne radia nadawały niezależnie od siebie. Jeszcze kilka metrów i wszystko zobaczyłem.

Olbrzymia ciężarówka - dwie przyczepy i osiemnastokółowiec - złożyła się jak scyzoryk w poprzek drogi. Jedna przyczepa wciąż stała, prostopadle do białej, przerywanej linii; druga przewróciła się na bok, dobrą jedną trzecią zwisając za krawędź autostrady. Łączyła je teraz płatanina poskręcanych drutów. Pod olbrzymim metalowym trupem tkwił błyszczący, czarny samochód osobowy, zgnieciony jak puszka po piwie. Parę metrów dalej stał większy sedan, brązowy ford, bez szyb; jego przód przypominał harmonijkę.

Pół tuzina karet i pluton samochodów straży pożarnej i patrolu autostrady mrugały światłami na włączonych klaksonach. Kilku mundurowych kręciło się dookoła forda, a dziwna maszyna, wyposażona w tępy ryj z wielkimi nożycami, rozcinała pogięte drzwi pasażera. Do karet wstawiano okryte kocami ciała na noszach. Niektóre były podłączone do kroplówek i obchodzono się z nimi delikatnie. Inne, w workach na zwłoki, rzucano jak bagaż. Z jednej z karet dobiegł mnie jęk, wyraźnie ludzki. Asfalt pokrywały szkło, paliwo i krew.

Funkcjonariusze patrolu autostrady stali w pozycji „spocznij” i obserwowali, co się dzieje. Jeden z nich zobaczył mnie i zdecydowanym gestem kazał mi wracać. Kiedy nie posłuchałem, ruszył w moją stronę z miną niewróżącą nic dobrego.

- Proszę natychmiast wracać do samochodu!

Gdy podszedł bliżej, zobaczyłem, że jest młody, dobrze zbudowany, ma pociągłą, rumianą twarz, rzadkie, jasne wąsy i wąskie, zaciśnięte usta. Przerobił mundur, żeby lepiej opinał się na jego ciele, i nosił maleńką, zabawną niebieską muszkę. Według identyfikatora nazywał się Bjorstadt.

- Jak długo, pana zdaniem, jeszcze będziemy tu stali?

Podszedł bliżej, z jedną ręką na kolbie rewolweru, żując gumę i roztaczając zapach potu i gaulterii.

- Proszę natychmiast wracać do samochodu.

- Jestem lekarzem. Zostałem wezwany do nagłego wypadku i muszę przejechać.

- Jakim lekarzem?

- Psychologiem.

Ta odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła.

- Co to za nagły wypadek?

- Jeden z moich pacjentów właśnie do mnie zadzwonił, przeżywa kryzys. W przeszłości miał skłonności samobójcze i jest w dużym niebezpieczeństwie. To ważne, żebym dotarł do niego najszybciej, jak się da.

- Jedzie pan do domu tej osoby?

- Nie, przebywa w szpitalu.

- Gdzie?

- W psychiatrycznym Canyon Oaks, kilka kilometrów stąd.

- Proszę pokazać prawo jazdy.

Podał mu je z nadzieją, że nie zadzwoni do szpitala. Naprawdę nie potrzebowałem narady funkcjonariusza Bjorstadta z uroczą panią Vann.

Obejrzał dokładnie dokument, oddał mi go i zmierzył mnie spojrzeniem jasnych oczu; wyszkolono go tak, by wątpił.

- Powiedzmy, doktorze Delaware, że pojedę za panem do szpitala.

Twierdzi pan, że kiedy tam dojedziemy, potwierdzą ten nagły wypadek?

- Oczywiście. Jedźmy.

Skrzywił się i skubnął wąs.

- Jakim samochodem pan jedzie?

- Seville, rocznik siedemdziesiąty dziewięć. Ciemnozielony, z beżowym dachem.

Przyglądał mi się chwilę, marszcząc brwi.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Proszę wolno przejechać poboczem.

Kiedy pan tu dojedzie, zatrzyma się i poczeka, aż pozwolę panu jechać dalej. Tam z przodu to prawdziwa katastrofa, nie chcemy już dzisiaj więcej krwi.

Podziękowałem i pobiegłem truchtem do seville'a. Ignorując pełne wrogości spojrzenia innych kierowców, potoczyłem się na czoło kolejki, a Bjorstadt przepuścił mnie machnięciem ręki. Na jezdni rozłożono setki flar i autostrada świeciła się jak urodzinowy tort. Dopiero kiedy flary zniknęły mi z lusterka, przyspieszyłem.

Podmiejski krajobraz ciągnął się do Calabasas, tam pojawiły się łagodne wzniesienia, porośnięte starymi, poskręcanyimi, karłowatymi dębami. Większość tutejszych wielkich rancz już zmieniono na działki, ale wciąż była to elegancka okolica dla bogatych koniarzy - drogie „planowane osiedla” za ogrodzeniami i półhektarowe działki dla weekendowych kowbojów. Zjechałem z autostrady tuż przed granicą okręgu Ventura i podążając za strzałką na kierunkowskazie z napisem „Szpital psychiatryczny Canyon Oaks”, skręciłem na południe, na betonowy most. Minałem samoobsługową stację benzynową, hodowlę darni i chrześcijańską szkołę

podstawową, przejechałem kilka kilometrów pod górę jednopasmówką, aż kolejna strzałka skierowała mnie na zachód. Powietrze było ciężkie od smrodu obornika.

Granice terenów Canyon Oaks wyznaczała duża, teraz kwitnąca brzoskwinia, ocieniająca niską, otwartą bramę, bardziej ozdobę niż zabezpieczenie. Długa, kręta droga między dwoma szpalerami niskiego żywopłotu i zaniedbanych eukaliptusów zaprowadziła mnie na szczyt wzgórza.

Szpital był spełnieniem marzeń Bauhausu: sześciany białego betonu w skupiskach, dużo szkła i stali. Zarośla wykarczowano w promieniu kilkuset metrów; powstała wtedy widoczna konstrukcja o kanciastym kształcie. Ciąg sześcianów był dłuższy niż wyższy - zimny, blady pyton budynków. W oddali w tle wznosiło się czarne zbocze góry, usiane maleńkimi jak łebki szpilek światełkami, błyskającymi niczym nisko spadające gwiazdy. Zatrzymałem się na prawie pustym parkingu i poszedłem do wejścia - podwójnych drzwi z polerowanego chromu w szklanej ścianie. Zamkniętych. Nacisnąłem dzwonek.

Przez szybę wyrzał strażnik. Podeszedł do drzwi, uchylił je i wystawił głowę. Był w średnim wieku, z dużym brzuchem i nawet w ciemności widziałem żyłki na jego nosie.

- Słucham pana? - Podciągnął spodnie.

- Nazywam się Delaware. Jestem lekarzem. Mój pacjent, Jamey Cadmus, dzwonił do mnie w ciężkim stanie i chciałem sprawdzić, jak się czuje.

- Och, on. - Strażnik skrzywił się i mnie wpuścił. - Tędy, panie doktorze.

Poprowadził mnie przez pustą recepcję, utrzymaną w tonacji koloru mdłego niebiesko-zielonego i szarego; w powietrzu unosił się zapach zwiędłych kwiatów. Skręcił w lewo do drzwi z napisem

„Oddział C”, otworzył je przede mną.

Po drugiej stronie znajdowała się pusta dyżurka pielęgniarek, z osobistymi komputerami i monitorem podłączonym do przemysłowych kamer, wyświetlającym sieczkę. Strażnik minął stróżówkę i skierował się w prawo. Weszliśmy do krótkiego, jasno oświetlonego korytarza z na przemian niebieskimi i zielonymi drzwiami, każde z judaszem. Jedne były otwarte i strażnik wskazał mi je gestem.

- Proszę, panie doktorze.

Pomieszczenie miało dwa na dwa metry, obite miękkim, białym plastikiem ściany i niski, płaski sufit. Niemal całą powierzchnię zajmowało szpitalne łóżko, wyposażone w skórzane pasy. Wysoko na ścianie znajdowało się pojedyncze okno. Szyba wyglądała na starą pleksi i była

zabezpieczona stalowymi prętami. Wszystko - od komody po szafkę nocną- było przymocowane do podłogi i obite niebiesko-zielonym winylem. Na podłodze leżała wymięta biała piżama.

W pokoju tłoczyło się troje ludzi w wykrochmalonych kitlach.

Otyła blondynka koło czterdziestki siedziała na łóżku, skrywając twarz w dłoniach. Obok stał potężny, barczysty, czarnoskóry mężczyzna w okularach z rogową oprawką. Druga kobieta, młoda, ciemnowłosa, zmysłowa i na tyle atrakcyjna, by uchodzić za młodszą siostrę Sophii Loren, stała z ramionami skrzyżowanymi na obfitych piersiach w pewnej odległości od tej dwójki. Obie kobiety nosiły czepki pielęgniarek, a mężczyzna bluzę zapiętą pod szyję.

- To jego lekarz - oznajmił strażnik, napotkawszy trzy spojrzenia.

Gruba kobieta, z twarzą mokrą od łez, wyglądała na przerażoną. Potężny Murzyn zmrużył oczy, a potem znów zrobił niewzruszoną minę.

Ta ładna skrzywiła się ze złością. Odepchnęła Murzyna barkiem i podeszła bliżej. Dłonie miała zaciśnięte w pięści, a jej pierś falowała.

- Co to ma znaczyć, Edwards? - spytała kontraltem. - Kto to jest?

Brzuch strażnika opadł o kilka centymetrów.

- Ee, powiedział, że jest lekarzem Cadmusa, pani Vann, i, ee... no i ja...

- No właśnie. - Uśmiechnąłem się. - Nazywam się Delaware. Rozmawialiśmy przez telefon...

Spojrzała na mnie zdumiona, a potem znów odwróciła się do strażnika.

- To oddział zamknięty, Edwards. Jest zamknięty z dwóch powodów, - Uśmiechała się do niego krzywo, z pogardą. - Prawda?

- Tak, proszę pani...

- Co to za powody, Edwards?

- Ee, żeby trzymać czubków... żeby dbać o bezpieczeństwo, proszę pani, i, ee...

- Żeby pacjenci stąd nie wychodzili, a obcy nie wchodzili. - Spojrzała na niego z gniewem. - Dzisiaj totalnie nawaliłeś.

- Tak, proszę pani. Pomyślałem tylko, że skoro chłopak...

- Dość już twojego myślenia jak na jedną noc - warknęła Vann. - Wracaj na posterunek.

Strażnik spojrzał na mnie zaropiałymi oczami.

- Mam go zabrać...

- Idź, Edwards.

Popatrzył na mnie z nienawiścią i odszedł, szurając stopami. Gruba kobieta na łóżku znów ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Pani Vann

zerknęła na nią z ukosa, pogardliwie, zatrzepotała długimi rzęsami i wyciągnęła do mnie delikatną dłoń.

- Witam, doktorze Delaware.

Uścisnąłem jej rękę i spróbowałem wytłumaczyć, co tu robię.

- Jest pan bardzo oddanym pracy człowiekiem, doktorze. - Jej uśmiech był zimnym, białym półksiężycem. - Tego chyba nie można mieć panu za złe.

- Dziękuję. Jak...

- Nie powinien pan zostać tu wpuszczony; Edwards za to odpowie, ale skoro już tu pan jest, nie sądzę, żeby mógł pan nam w czymś zaszkodzić. Ani pomóc, skoro już o tym mowa. - Przerwała. - Pana pacjenta już tu nie ma.

Nie zdążyłem nic powiedzieć.

- Pan Cadmus uciekł. Ale najpierw zaatakował biedną pannę Surtees.

Tłusta blondynka podniosła wzrok. Jej włosy wyglądały jak sztywna, platynowa beza. Twarz była blada, kluchowata, z różowymi plamami. Wyskubane brwi otaczały małe, oliwkowe świńskie oczka, teraz zaczerwienione. Grube wargi, tłuste od błyszczyka, napinały się i drżały.

- Zajrzałam do niego... - pociągnęła nosem - ...jak co noc. Zawsze był taki sympatyczny, więc rozpięłam mu pasy, wie pan, niech chłopak ma trochę swobody. Odrobina współczucia nigdy nie zaszkodzi, prawda? A potem masaż, nadgarstki i kostki. Normalnie odpływał w połowie i zaczynał

uśmiechać się jak dziecko. Czasami udawało mu się zasnąć i porządnie wyspać. Tym razem zerwał się jak wariat, wrzeszczał i pluł. Uderzył mnie w brzuch, związał prześcieradłem i zakneblował ręcznikiem. Myślałam, że mnie zabije, ale on tylko wziął mój klucz i...

- Wystarczy, Marthe - przerwała stanowczo pani Vann. - Nie denerwuj się już. Antoine, zabierz ją do socjalnego pielęgniarek, niech zje trochę zupy czy czegoś takiego.

Murzyn pokiwał głową i wyprowadził grubą blondynkę.

- Prywatna pielęgniarka - powiedziała pani Vann, kiedy oboje zniknęli; zabrzmiało to jak epitet. - Nigdy nie korzystamy z ich usług, ale rodzina nalegała, a kiedy chodzi o grubą forszę, zasady często dziwnie się naginają. - Pokręciła głową; sztywny czepek zaszeleścił. - To wolny strzelec. Nie jest nawet zarejestrowana, ledwie ma licencję. Sam pan widział, co narobiła.

- Jak długo Jamey tu był?

Podeszła bliżej, musnęła moją rękę opuszkami palców. Na identyfikatorze miała zdjęcie, niezbyt dobre, a pod nim nazwisko: „Andrea Vann, pielęgniarka zarejestrowana”.

- Ależ pan jest uparty - orzekła wyniośle. - Dlaczego pan sądzi, że ta informacja jest teraz mniej poufna niż godzinę temu?

Wzruszyłem ramionami.

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, miałem wrażenie, że uważa to pani za dowcip.

Mroźny uśmiech powrócił.

- A teraz, kiedy widzę pana osobiście, mam być pod wrażeniem?

Wyszczrzyłem się, miałem nadzieję, że ujmująco.

- Jeśli wyglądam tak, jak się czuję, nie spodziewałbym się tego po pani. Próbuję tylko zrozumieć, co się tu działo przez ostatnią godzinę.

Skrzywiła się, przez co jej uśmiech stał się bardziej przyjazny.

- Wyjdźmy z oddziału - powiedziała. - Pomieszczenia są wygłuszone, ale pacjenci zawsze wiedzą, kiedy coś się dzieje, to chyba jakiś zwierzęcy instynkt. Jeśli coś wyczują, będą wyc i tłuc się o ściany.

Poszliśmy do recepcji i usiedliśmy. Był tam Edwards; krążył wokół z nieszczęśliwą miną. Vann kazała mu przynieść kawę. Ściągnął wargi, przełknął kolejny litr dumy i usłuchał.

- Właściwie - powiedziała, gdy upiła łyk i odstawiła kubek - rzeczywiście myślałam, że robi pan sobie jaja, dużo mamy takich telefonów. Ale kiedy pana zobaczyłam, poznałam pana. Parę lat temu

chodziłam na pana wykłady w Western Peds o dziecięcych lękach. Dobra robota.

- Dzięki.

- Moje własne dziecko miało wtedy złe sny i wykorzystałam niektóre pana sugestie. Podziałały.

- Miło mi to słyszeć.

Wyjęła papierosa z paczki w kieszeni fartucha i zapaliła.

- Jamey pana lubił. Wspominał o panu od czasu do czasu. Kiedy był przytomny.

Zmarszczyła brwi, a ja to zinterpretowałam:

- Co nie zdarzało się za często.

- Nie. Nie za często. Mówił pan, że ile minęło czasu, odkąd widzieliście się po raz ostatni?

- Pięć lat.

- Nie poznałby go pan. On... - Urwała. - Nie mogę powiedzieć więcej. Dość naginania zasad na jedną noc.

- W porządku. Może mi pani zdradzić, jak długo go już nie ma?

- Jakieś pół godziny. Pielęgniarki szukają go na wzgórzach, z latarkami.

Siedzieliśmy i piliśmy kawę. Spytałem ją, jakiego rodzaju pacjentów leczono w szpitalu, a ona, zanim odpowiedziała, zapaliła kolejnego papierosa.

- Jeśli pyta pan, czy mamy dużo ucieczek, odpowiedź brzmi „nie”.

Zapewniłem, że nie o to mi chodziło, ale mi przerwała:

- To nie jest więzienie. Większość naszych oddziałów jest otwarta. Typowe sprawy: zbuntowane nastolatki, ludzie z depresją, już po okresie najwyższego ryzyka, anorektyczki, maniacy, alzheimer, kokainiści i alkoholicy na detoksie. Oddział C jest mały, dziesięć łóżek, i rzadko wszystkie wykorzystane, ale mamy z nim najwięcej kłopotów. Pacjenci z C są nieprzewidywalni: to pobudzeni schizofrenicy z problemami z samokontrolą; bogaci psychopaci w układach, którzy uniknęli więzienia, chowając się tu na kilka miesięcy; uzależnieni od amfy i kokainiści, którzy przedawkowali i dostali paranoi. Ale po fenotiazynie nawet oni za bardzo nie szaleją; chemia ułatwia życie, prawda? Dbamy tu o porządek.

Znów rozłoszczona wstała, poprawiła czepek i wrzuciła papierosa do zimnej już kawy.

- Muszę wracać, sprawdzić, czy go znaleźli. Mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

- Nie, dziękuję.

- W takim razie szerokiej drogi.

- Wolałbym poczekać i porozmawiać z doktorem Mainwaringiem.

- Na pana miejscu bym tego nie robiła. Dzwoniłam do niego zaraz po tym, jak się okazało, że Jamey uciekł, ale był w Redondo Beach, na wakacjach z dziećmi. Nawet jeśli od razu wyjechał, to kawał drogi. Będzie pan tu siedział nie wiadomo jak długo.

- Zaczekam.

Poprawiła znów czepek i wzruszyła ramionami.

- Jak pan chce.

Kiedy zostałem sam, usiadłem i spróbowałem przetrwać to, czego się dowiedziałem. Niewiele z tego wynikało. Po chwili wstałem, znalazłem męską toaletę i opłukałem twarz. Lustro odbiło moje zmęczone spojrzenie, ale czułem się pełen energii. Pewnie jechałem na rezerwie.

Zegar w recepcji pokazywał czwartą trzydzieści siedem. Pomyślałem o Jameyu błakającym się w ciemności i ta myśl mnie zelektryzowała.

Próbując od niej uciec, usiadłem i zacząłem czytać szpitalną makulaturę, „Kwartalnik Canyon Oaks”. Główny artykuł dotyczył polityki finansowania placówek zdrowia psychicznego - było tam dużo o ubezpieczeniach, public relations i tak dalej. Na ogół chodziło o to, by rodziny pacjentów zaczęły lobbować ustawodawców i firmy ubezpieczeniowe o więcej pieniędzy. Krótsze artykuły dotyczyły syndromu antycholinergicznego u osób starszych - błędnie zdiagnozowanych jako niedołążne umysłowo z powodu

wywołanej środkami chemicznymi psychozy - a także zalet terapii zajęciowej, szpitalnej apteki i nowego programu leczenia zaburzeń w odżywianiu się. Całą ostatnią stronę zajmował esej doktora medycyny, członka Amerykańskiego Kolegium Lekarskiego, dyrektora medycznego Guya Mainwaringa, zatytułowany *Zmieniająca się rola psychiatrii*. Autor wyrażał przekonanie, że psychoterapia ma niewielkie znaczenie w leczeniu poważnych zaburzeń umysłowych; powinni ją prowadzić terapeuci bez wykształcenia medycznego. Psychiatrzy, podkreślał, są lekarzami i powinni wrócić do głównego nurtu medycyny jako „inżynierowie biochemii”. Artykuł kończył się peanem na cześć nowoczesnej psychofarmakologia

Odłożyłem gazetę i czekałem niespokojnie przez pół godziny; w końcu usłyszałem warkot silnika i zgrzyt żwiru pod oponami. Para reflektorów zaświeciła przez szybę okalającą wejście i musiałem osłonić oczy przed ich blaskiem.

Światła zgasły. Kiedy znów zacząłem widzieć, zobaczyłem niewyraźny zarys kratki chłodnicy mercedesa. Drzwi się otworzyły i do środka wpadł mężczyzna.

Około pięćdziesiątki, szczupły, z kanciastą twarzą o ostrych rysach. Włosy miał ciemne, siwiejące, rzadkie i zaczesane w tył tak, by zakrywały łysinę; na środku wysokiego, szerokiego czoła widniał mały szczeciniasty trójkąt. Nos mężczyzny był długi, spiczasty, trochę krzywy; oczy niespokojne, piwne i szkliste, osadzone głęboko w oczodołach. Lekarz miał na sobie gruby, szary garnitur, który kiedyś musiał sporo kosztować, białą koszulę i szary krawat. Garnitur wisiał na nim luźno, spodnie odstawały od matowych, czarnych butów. Był to typ mężczyzny niezawracającego sobie głowy drobiazgami i subtelnościami, idealnie pasował do bauhausowskiego stylu budynku.

- Kim pan jest? - Jego akcent był ostry, brytyjski.

Wstałem i się przedstawiłem.

- Ach, tak. Ten psycholog. Pani Vann mówiła mi o telefonie Jameya do pana. Nazywam się Mainwaring. - Energicznie, odruchowo potrząsnął moją dłoń. - To miło z pana strony, że jechał pan tu taki kawał, ale obawiam się, że nie mogę z panem porozmawiać. Muszę zaprowadzić porządek. - Jakby wbrew temu, co powiedział, nachylił się do mnie. - Co ten chłopak chciał panu przekazać przez telefon?

- Niewiele, co by miało jakiś sens. Był wytrącony z równowagi, wydawał się doświadczać omamów słuchowych. Nie panował nad sobą.

Mainwaring grzecznościowo wysłuchał, ale widać było, że nic z tego, co mówiłem, go nie zaskoczyło.

- Od jak dawna jest w takim stanie? - spytałem.

- Od jakiegoś czasu. - Spojrzał na zegarek. - Smutny przypadek. Podobno kiedyś był bardzo inteligentny.

- Był geniuszem. Poza skalą.

Mainwaring podrapał się w nos.

- Tak. Teraz nikt by tak o nim nie pomyślał.

- Aż tak źle? - spytałem w nadziei, że powie coś więcej.

- Uhm.

- Miał wahania nastroju - przypomniałem sobie, próbując rozkręcić dialog. - Złożoną osobowość, czego można się było spodziewać, biorąc pod uwagę jego poziom intelektualny. Ale nic nie wskazywało na psychozę. Jeśli już, to na depresję. Co przyspieszyło załamanie? Narkotyki?

Mainwaring pokręcił głową.

- Nagła schizofrenia. Gdybym rozumiał proces etiologiczny... -

uśmiechnął się, ukazując pożółkłe od herbaty zęby - ...czekałbym już na telefon ze Sztokholmu. - Uśmiech szybko zgasł. - Lepiej już pójdę - powiedział, jakby do siebie. - Sprawdzę, czy się nie znalazł. Staralem się nie wciągać w to władz, w trosce o rodzinę. Ale jeśli nasi ludzie szybko go nie znajdą, będę zmuszony zadzwonić na policję. W górach robi się zimno, nie możemy dopuścić, żeby dostał zapalenia płuc.

Odwrócił się.

- Miałby pan coś przeciwko, żebym zaczekał tu na niego?

- To chyba nierozsądne, doktorze Delaware. Poufność i tak dalej. Dziękuję za pańską troskę i żałuję, że jechał pan taki kawał na darmo. Ale przede wszystkim należy powiadomić rodzinę, co pewnie trochę potrwa. Jego najbliżsi są w Meksyku na wakacjach, a wie pan, jak tam jest z telefonami. - Miał rozbiegane oczy. - Może uda nam się pogawędzić kiedy indziej, gdy zostaną już podpisane odpowiednie dokumenty.

Racja. Nie miałem podstaw - prawnych ani zawodowych - by uzyskać choćby najdrobniejszą informację na temat Jameya. Nawet prerogatywy moralne były wątpliwe. Dzwonił do mnie po pomoc, ale co to było warte? Był wariatem, niezdolnym do podejmowania racjonalnych decyzji.

A mimo to miał dość rozsądku, by zaplanować ucieczkę i ten plan zrealizować, dość władz umysłowych, by zdobyć mój numer.

Spojrzałem na Mainwaringa i zrozumiałem, że będę musiał żyć z tymi pytaniami. Nawet jeśli znał odpowiedzi, nie zamierzał ich zdradzić.

Znów chwycił moją dłoń, potrząsnął nią, wymamrotał coś przepaszajaco i odszedł pospiesznie. Był serdeczny, koleżeński, lecz nic mi nie powiedział.

Zostałem sam w pustej poczekalni. Odwróciłem się, słysząc szuranie. Edwards, strażnik, wszedł do recepcji nieco chwiejnym krokiem. Rzucił mi spojrzenie i dotknął ręką swojej pałki. Po jego minie widziałem wyraźnie, że obwinia mnie za wszystkie kłopoty.

Zanim zdążył wyrazić swoje uczucia, wyszedłem.

3

Do domu wróciłem za piętnaście piąta. Robin spała, usiadłem więc w salonie, patrząc, jak słońce rozświetla przymglone srebrzyście niebo. O szóstej piętnaście była już na nogach i nuciła coś pod nosem, ubrana w wiśniowe kimono. Poszedłem do sypialni i przytuliliśmy się. Robin się odsunęła i wzięła mnie pod brodę. Popatrzyła z niedowierzaniem na moją nieogoloną twarz i wymięte ubranie.

- Nie kładłeś się!

- Wróciłem kilka minut temu.

- Och, kochanie, musisz być wykończony. Co się stało?

- Kiedy tam przyjechałem, nie było go. Uciekł. Poczekalem, miałem nadzieję, że go znajdą.

- Uciekł? Jak?

- Pobił pielęgniarkę, związał ją i dał nogę. Pewnie uciekł na wzgórze.

- Nie strasz mnie. Czy ten chłopak jest niebezpieczny, Alex?

- Może być - przyznałem niechętnie. - Siostra przełożona sugerowała coś takiego, nie mówiąc nic wprost. Powiedziała, że oddział, na którym go trzymali, to oddział dla pacjentów nieprzewidywalnych. Przez telefon bredził coś o pożeraczach ciała i cuchnących ostrzach.

Robin zadrżała.

- Mam nadzieję, że go szybko znajdą.

- Na pewno. Nie mógł uciec daleko.

Zaczęła szukać pośród ubrań.

- Miałam zrobić śniadanie, ale jeśli jesteś wykończony, mogę zjeść coś na szybko w Venice.

- Nie jestem głodny, ale dotrzymam ci towarzystwa.

- Na pewno? Padasz z nóg.

- Położę się, jak wyjdiesz.

Ubrała się do pracy w dzinsy, koszulę, sweter i mokasyny, i wyglądała w tym równie elegancko, jak w wieczorowej sukni. Jej długie, ciemnomie-dziane włosy z natury kręcały się łagodnie i sprężyste. Tęgo ranka spadały luźno lśnącymi lokami na jej delikatne ramiona. Całe jej sto pięćdziesiąt siedem centymetrów poruszało się z płynną gracją, która nieodmiennie wprawiała mnie w zachwyt. Patrząc na nią, nikt by nie odgadł, że była mistrzynią piły tarczowej, ale to właśnie między innymi mnie w niej pociągało: siła i mistrzostwo w całkowicie kobiecym opakowaniu, umiejętność tworzenia rzeczy pięknych wśród ryku śmiercionośnych maszyn. Nawet obsypana trocinami była cudowna.

Popsikała się czymś kwiatowym i ucałowała mnie w brodę.

- Au. Trzeba by cię oszlifować.

Obejmując się, weszliśmy do kuchni.

- Siadaj - rozkazała i zaczęła przygotowywać śniadanie - bułki, dżem i kubek bezkofeinowej kawy. Pomieszczenie było pełne słońca i ciepłe;

wkrótce rozszedł się po nim aromat kawy. Robin położyła dwa nakrycia na jesionowym stole na kozłach, który zaprojektowała zeszłej zimy, a ja przyniosłem jedzenie na tacy.

Siedliśmy naprzeciwko siebie. Rodzina gołębi gruchała i dziobała coś na tarasie w dole. Szmer oczka wodnego był ledwie słyszalny. Robin umalowała się bardzo lekko - położyła tylko cień koloru starego mahoni na powiekach - a jej oliwkowa skóra była gładka i wciąż jeszcze, po lecie, opalona. Szybkimi, pewnymi ruchami rozsmarowała dżem na połówce bułki i podała mi ją.

- Nie, dzięki. Na razie tylko kawa.

Jadła powoli, z wyraźną przyjemnością, zaróżowiona, czujna i kipiąca energią.

- Wyglądasz, jakby ci się paliło do wyjścia - powiedziałem.

- Aha - odparła między kęsami bułki. - Mam dzisiaj pracowity dzień. Ustawić mostek na koncertowym pudle Paco Valdeza, dokończyć dwunastkę i przygotować mandolinę do lakierowania. Wrócę do domu śmierdząca lakierem.

- Cudownie. Uwielbiam śmierdzące kobiety.

Zawsze była przedsiębiorcza i samodzielna, ale odkąd wróciła z Tokio, rozsadzała ją energia. Japoński koncern muzyczny zaproponował jej lukratywną posadę głównego projektanta, ale po długim namyśle odrzuciła ją, wiedząc, że woli rzemiosło od produkcji masowej. Decyzja ta natchnęła ją od nowa zaangażowaniem w pracę i dwunastogodzinne dni w warsztacie w Venice stały się regułą.

- Już zgłodniałeś? - spytała, wyciągając w moją stronę drugą połówkę bułki.

Wziąłem ją i zacząłem z roztargnieniem przeżuwać; równie dobrze mógłbym jeść ciepłą plastelinę. Odłożyłem kanapkę i zobaczyłem, że Robin z uśmiechem kręci głową.

- Rozdziawiasz usta, Alex.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Po prostu idź się położyć, kolego.

Dopiła kawę, wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Ja poszedłem do sypialni; rozebrałem się, zaciągnąłem zasłony, wśliznąłem się pod kołdrę i położyłem na plecach. Przez kilka minut wpatrywałem się w sufit. Robin do mnie zajrzała.

- Jeszcze nie śpisz? Wychodzę. Będę około siódmej. Może zjemy kolację na mieście?

- Jasne.

- Mam ochotę na coś indyjskiego. Czy lakier pasuje do kurczaka tan-doori?

- Tak, jeśli dobierze się odpowiednie wino.

Zaśmiała się, poprawiła włosy, podeszła i pocałowała mnie w czoło.

- Do zobaczenia, skarbie.

Kiedy wyszła, zasnąłem na parę godzin. Ocknąłem się nieprzytomny, ale prysznic i szklanka soku pomarańczowego sprawiły, że poczułem się całkiem nieźle.

W dzinsach i koszulce polo poszedłem popracować do biblioteki. Moje biurko było zavalone papierami. Nigdy nie miałem zwyczaju odkładać roboty na później, ale wciąż nie mogłem się przyzwyczaić, że cały czas mam co robić.

Przed trzema laty, w wieku trzydziestu trzech lat, zanim zupełnie wypaliłem się jako psycholog, uciekłem na wcześniejszą emeryturę. Zamierzałem się byczyć i żyć z procentów, ale życie emeryta okazało się o wiele bardziej ekscytujące - i okrutne - niż mogłem się spodziewać. Rok później wypelźłem z mojej jaskini i zacząłem pracować na pół etatu - prowadziłem zlecone przez sąd oceny psychologiczne w sprawach o ustanowienie opieki nad dzieckiem i krótkoterminowe konsultacje. Teraz, chociaż wciąż nie byłem gotów poświęcić się długotrwałym przypadkom terapeutycznym, zwiększyłem liczbę konsultacji do poziomu, przy którym znów zaczynałem się czuć jak człowiek pracujący.

Siedziałem przy biurku do pierwszej, skończyłem dwa raporty dla sędziów, a potem pojechałem do Brentwood, żeby je przepisać, skserować

i wysłać. Zatrzymałem się w knajpce przy San Vicente na kanapkę i piwo; czekając na nie, zadzwoniłem z automatu do Canyon Oaks. Spytałem telefonistkę, czy znaleziono już Jameya Cadmusa, a ona przełączyła mnie do przełożonej dziennej zmiany, która z kolei przełączyła mnie do Mainwaringa. Jego sekretarka powiedziała, że doktor jest na konferencji i będzie uchwytany dopiero późnym popołudniem. Zostawiłem numer swojej poczty głosowej i poprosiłem, żeby do mnie oddzwonił.

Dostałem stolik przy oknie. Patrzyłem, jak biegacze w tęczowych dresach truchtają po trawiastym pasie zieleni, i skubałem lunch. Nie dokończyłem go, zapłaciłem i pojechałem z powrotem do domu.

Poszedłem do biblioteki i otworzyłem jedną z szafek pod półką z książkami. W środku stało kilka kartonów z aktami byłych pacjentów. Chwilę trwało, zanim znalazłem papiery Jameya - opuszczałem swój gabinet w pośpiechu i nie wszystko było ułożone alfabetycznie - ale już wkrótce miałem je w rękach.

Zapadłem się w starą, skórzaną kanapę i zacząłem czytać. Przewracałem kolejne strony, a z labiryntu informacji zaczęła wyłaniać się przeszłość. Wkrótce niewyraźne wspomnienia nabrały kształtu, napływając hałaśliwie niczym poltergeisty.

Poznałem Jameya, kiedy pracowałem jako konsultant przy badaniach nad wyjątkowo utalentowanymi dziećmi, prowadzonych na Uniwersytecie Stanu Kalifornia. Kobieta, która

odpowiadała za ten grant, miała uraz na punkcie stereotypu geniusz-szaleniec i chciała go obalić. Projekt polegał na intensywnej akademickiej stymulacji młodych obiektów badań - zadania na uniwersyteckim poziomie dla dziesięciolatków, nastolatki robiące doktoraty - i chociaż krytycy zarzucali, że takie superprzyspieszenie jest zbyt stresujące dla delikatnych umysłów, Sarita Flowers była przekonana, że jest wręcz przeciwnie: to nuda i przeciętność były prawdziwymi zagrożeniami dla samopoczucia dzieci. („Trzeba karmić mózg, żeby był zdrowy, Alex”). Pewna, że wyniki badań potwierdzą jej hipotezę, poprosiła mnie, żebym czuwał nad umysłowym zdrowiem cudownych dzieci. Oznaczało to głównie pracę w grupach dyskusyjnych i od czasu do czasu sesję doradczą.

W przypadku Jameya zamieniło się to w coś więcej.

Przejrzałem swoje notatki z pierwszej sesji i przypomniałem sobie, jaki byłem zaskoczony, kiedy pojawił się w moim gabinecie, chcąc porozmawiać. Ze wszystkich dzieci biorących udział w projekcie on wydawał się najmniej otwarty; na dyskusjach grupowych siedział z nieobecny wyrazem bladej,

okrągłej twarzy; nigdy nie mówił nic od siebie, odpowiadał na pytania wzruszeniami ramion i dwuznacznymi mruknięciami. Czasami jego dystans przeradzał się w ucieczkę między stronice poezji, podczas gdy pozostali z ożywieniem rozmawiali. Zastanawiałem się teraz, czy te społeczne skłonności nie były znakiem ostrzegawczym tego, co miało nadejść.

To był piątek - dzień, który spędzałem w kampusie. Sprawdzałem testy w swoim tymczasowym gabinecie, kiedy usłyszałem pukanie, ciche i niepewne.

Zanim doszedłem do drzwi, on wycofał się na korytarz, a teraz stał rozplaszczony na ścianie, jakby chciał się w nią wcisnąć. Miał prawie trzynaście lat, ale krucha budowa i dziecięca twarz sprawiały, że wyglądał na dziesięć. Był ubrany w pasiastą, niebiesko-czerwoną koszulkę do rugby i brudne dżinsy i ścisnął plecak tak wypchany książkami, że aż rozłaził się w szwach. Miał długie, czarne włosy z grzywką przyciętą prosto jak pod linijkę nad czołem. Mały książę. Jego oczy miały kolor niebieskoszary - jagody pływające w mleku - i były za duże w porównaniu z twarzą, miękką, okrągłą i niepasującą do chudego ciała.

Przestąpił z nogi na nogę, wbijając wzrok w adidas.

- Jeśli nie ma pan czasu, to trudno - powiedział.

- Mam mnóstwo czasu, Jamey. Wejdz.

Przygryzł górną wargę, wszedł i zeszywniał, kiedy zamknąłem drzwi.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem, żeby usiadł. Gabinet był mały, a wybór niewielki. Obok biurka stała zakurzona, wygryziona przez mole zielona kanapa z czasów chyba samego Freuda, a przed nią poobijane krzesło na metalowej ramie. Jamey wybrał kanapę; położył plecak obok siebie i przytulił go, jakby byli kochankami. Ja usiadłem na krześle, odwracając je tyłem do przodu.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Jamey?

Rozbieganym spojrzeniem omiółł cały gabinet, w końcu skoncentrował się na tabelach i wykresach zawałających biurko.

- Analiza danych?

- Zgadza się.

- Coś interesującego?

- Na razie tylko liczby. Minie trochę czasu, zanim zaczną się z nich wyłaniać jakieś prawidłowości, o ile takie są.

- Trochę to redukcjonistyczne podejście, nie uważa pan? - spytał.

- W jakim sensie?

Szarpnął szelkę plecaka.

- Wie pan, bez przerwy nas testujecie, redukujecie do liczb i udajecie, że liczby powiedzą wam prawdę.

Nachylił się do przodu, bardzo poważny. Nie wiedziałem jeszcze, po co przyszedł, ale byłem pewien, że nie po to, by dyskutować o założeniach badań. Zanim zapukał do moich drzwi, musiał się długo zbierać na odwagę, a potem bez wątplenia przeżył nagły atak wątpliwości. Jego bezpiecznym miejscem był świat idei - forteca broniąca go przed natarczywymi i niepokojącymi uczuciami. Nie próbowałem jej szturmować.

- Jak to, Jamey?

Jedną rękę trzymał na plecaku. Druga machała jak proporczyk w czasie burzy.

- Na przykład testy inteligencji. Udajecie, że wyniki coś znaczą, że określają nasz geniusz czy czym tam mamy być. Nawet nazwa tego badania jest redukcjonistyczna. Projekt sto sześćdziesiąt. Czyli ktoś, kto nie dostał sto sześćdziesiąt punktów w Stanfordzie-Binecie, nie może być geniuszem? To bez sensu! Testy mogą tylko przewidzieć, jak ktoś poradzi sobie w szkole. Są niewiarygodne, uwarunkowane kulturowo i według tego, co czytałem, nawet nie bardzo trafne, może w trzydziestu, czterdziestu procentach. Postawiłby pan pieniądze na konia, który dobiega pierwszy jeden raz na trzy? Równie dobrze można by używać tabliczki Oujia!

- Dobrze się przygotowałeś - pochwaliłem, tłumiąc uśmiech.

Ponuro pokiwał głową.

- Kiedy ktoś mi coś robi, lubię wiedzieć co. Spędziłem kilka godzin w czytelni psychologii. - Spojrzał na mnie buńczucznie. - Psychologia to niezbyt ścisła nauka, prawda?

- Niektóre jej aspekty są mniej ściśle niż inne.

- Wie pan, co myślę? Psychologowie, tacy jak doktor Flowers, lubią przekładać idee na liczby, bo to wygląda bardziej naukowo i robi większe wrażenie. Ale kiedy się tak postępuje, traci się sens, traci się... - szarpnął grzywkę, szukając właściwego słowa - ...duszę tego, co się próbuje zrozumieć.

- Słuszna uwaga - przyznałem. - Sami psychologowie spierają się o to od dawna.

Jakby mnie nie usłyszał; mówił dalej wysokim, dziecięcym głosem.

- Chodzi mi o to, że co ze sztuką albo poezją? Jak można skwantyfikować poezję? Po liczbie wersów? Metrum? Policzyć słowa kończące się na „a”? Czy to by wyjaśniło Chattertona, Shelleya albo Keatsa? To by było głupie. Ale psychologowie myślą, że mogą robić właśnie coś takiego z ludźmi i otrzymać coś wartościowego.

Przerwał, żeby nabrać tchu.

- Wydaje mi się, że doktor Flowers traktuje liczby jak jakiś fetysz. I maszyny. Uwielbia swoje komputery i tachistoskopy. Pewnie by chciała, żebyśmy my też byli maszynami. Bylibyśmy bardziej przewidywalni. - Zaczął gryźć paznokcie. - Może to dlatego, że sama potrzebuje urządzeń, żeby prowadzić normalne życie. Jak pan sądzi?

- To jakaś teoria.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Tak, zapomniałem. Przecież wy współpracujecie. Musi pan jej bronić.

- Nie. Wasze rozmowy ze mną są poufne. Wyniki testów, liczby, idą do komputera, ale wszystko inne zostaje między nami. Jeśli jesteś zły na doktor Flowers i chcesz o tym porozmawiać, proszę bardzo.

Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Nie, nie jestem na nią zły. Myślę po prostu, że to bardzo smutna osoba. Nie była kiedyś sportowcem czy kimś takim?

- Jeździła figurowo na łyżwach. Zdobyła złoty medal na olimpiadzie w sześćdziesiątym czwartym.

Jamey zamyślił się, wiedziałem, że usiłuje sobie wyobrazić przemianę Sarity Flowers z mistrzyni olimpijskiej w kalekę. Kiedy znów się odezwał, miał wilgotne oczy.

- To chyba było okrutne, co powiedziałem, o tym, że potrzebuje maszyn i w ogóle.

- Nie wstydz się swojej choroby. Nie oczekiwaliśmy, żebyś udawał, że jej nie ma.

- Ale, kurczę, zacząłem mówić o redukcjonizmie, a potem sam zrobiłem z nią to samo: zaszufladkowałem ją jako gadzeciare, bo chodzi o kulach!

Wbił paznokcie jednej ręki we wnętrze dłoni drugiej.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Szukanie prostych odpowiedzi to tylko jeden ze sposobów, w jaki próbujemy radzić sobie ze skomplikowanym światem. Myślisz krytycznie i dasz sobie radę. To ludzie, którzy nie myślą, popadają w bigoterię. - Chciałem go uspokoić.

Dodało mu to chyba otuchy. Rozluźnił palce i rozprostował je na wytartych do białości kolanach dzinsów.

- To doskonała uwaga, doktorze Delaware.

- Dziękuję, Jamey.

- Ee, czy mógłbym zapytać o jeszcze jedno na temat doktor Flowers?

- Jasne.

- Nie rozumiem jej sytuacji, jej stanu fizycznego. Czasami wydaje się silna, prawie normalna. W zeszłym tygodniu widziałem, jak przeszła samodzielnie kilka kroków. Ale kilka miesięcy temu wyglądała bardzo źle. Jakby z dnia na dzień postarzała się całe lata i nie miała w ogóle siły.

- Stwardnienie rozsiane to bardzo nieprzewidywalna choroba - wyjaśniłem. - Objawy mogą powracać i znikać.

- Jest na to jakieś lekarstwo?

- Nie. Jeszcze nie.

- Może się jej pogorszyć?

- Tak. Albo polepszyć. Nie wiadomo.

- To straszne. Życ tak z bombą zegarową w środku.

Przytaknąłem.

- Radzi sobie z tym, wykonując pracę, którą kocha.

Z niebieskoszarych oczu po miękkim policzku spłynęła pojedyncza łza. Jamey opanował się, otarł ją pospiesznie rękawem i odwrócił do ściany w kolorze spłowiałej, ochry.

Przez kilka chwil milczał, potem się zerwał i zarzucił plecak na ramię.

- Chciałeś porozmawiać o czymś jeszcze, Jamey?

- Nie - odparł, za szybko. - O niczym.

Zbliżył się do drzwi. Poszedłem za nim i położyłem dłoń na jego chudym ramieniu. Drżał jak szczeniak zabierany od suki.

- Miło mi, że wpadłeś - powiedziałem. - Możesz przychodzić, kiedy chcesz.

- Jasne. Dzięki.

Otworzył drzwi i czmychnął, a echo jego kroków rozeszło się słabo po wysokim, łukowato sklepionym korytarzu.

Minęły trzy kolejne piątki, zanim znów się pojawił. Bez plecaka. Ale z uniwersyteckim tomem o psychologii anormalnej, który założył w kilkunastu miejscach kawałkami podartej chusteczki higienicznej.

Siadł na kanapie i zaczął przerzucać kartki, aż dotarł do pierwszego strzępka papieru.

- Po pierwsze - oznajmił - chcę zapytać o Johna Watsona. Z tego, co zrozumiałem, to był prawdziwy faszysta.

Przez półtorej godziny dyskutowaliśmy o behawioryzmie. Kiedy zgłódniałem, spytałem Jameya, czy ma ochotę coś zjeść, a on przytaknął. Wyszliśmy z gabinetu i poszliśmy na drugą stronę kampusu, do Kurnika. Między kęsami cheeseburgera i łykami doktora peppera Jamey dalej prowadził rozmowę - przechodził kolejno od tematu do tematu, atakując każdy z nich jak wroga, którego trzeba zniszczyć. Miał niesamowity umysł,

niespotykaną umiejętność przekopywania hańd bezużytecznych informacji i wydobywania z nich istotnych perełek. Zupełnie jakby jego intelekt był obdarzony własną osobowością, niezależną od dziecinnego ciała, w którym był zamknięty; kiedy Jamey mówił, zapominałem o jego wieku.

Bombardował mnie pytaniami, gęstymi i kłującymi jak grad. Ledwie przyjmował jedną odpowiedź, a już miał gotowy tuzin następnych wątpliwości. Po jakimś czasie zacząłem się czuć jak niedzielny baseballista przed oszalałą maszyną do rzucania piłek. Jamey strzelał seriami jeszcze przez kilka minut, a potem, tak samo nagle jak zaczął, zakończył rozmowę.

- Bardzo dobrze. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Teraz rozumiem.

- Świetnie - powiedziałem i odetchnąłem, zmęczony.

Jamey zalał pół talerza keczupem, przeciągnął kilka rozmiękłych frytek przez szkarłatne bajoro, po czym wepchnął je sobie do ust.

- Jest pan dość inteligentny, doktorze Delaware - stwierdził.

- Dziękuję, Jamey.

- Kiedy był pan mały, nudził się pan w szkole?

- Najczęściej tak. Miałem paru inspirujących nauczycieli. O reszcie lepiej nie mówić.

- Większość ludzi taka jest. Nigdy tak naprawdę nie chodziłem do szkoły. Nie żeby wujek Dwight nie próbował. Kiedy miałem pięć lat, wysłał mnie do najbardziej snobistycznego prywatnego przedszkola w Hancock Park. - Jamey wyszczerzył się wesoło. - Trzy dni później było już jasne, że moja obecność „niepokoi pozostałe dzieci” - zakończył, imitując głos afektowanej nauczycielki.

- Wyobrażam to sobie.

- Robili ćwiczenia przygotowujące do czytania: dopasowywanie kolorów, nauka alfabetu, takie rzeczy. Uznałem, że to ogłupiające, i nie chciałem współpracować. Za karę wysyłali mnie do kąta, ale to wcale nie była dla mnie kara, bo moja wyobraźnia dostarczała mi świetnej rozrywki. Kiedyś wpadł mi w ręce stary egzemplarz *Gron gniewu*, który ktoś zostawił na wierzchu w domu. Okładka wyglądała ciekawie, więc zabrałem książkę i zacząłem czytać. Tekst był dość przystępny, wciągnąłem się i czytałem wieczorami w łóżku z latarką albo zabierałem książkę do szkoły w pudełku na drugie śniadanie. Codziennie udawało mi się przeczytać parę stron w przerwie śniadaniowej albo kiedy stawiali mnie do kąta. Po jakimś miesiącu, kiedy byłem w połowie, ta suka przedszkolanka mnie nakryła. Odbiło jej, wyrwała mi książkę z rąk, więc się na nią rzuciłem, szarpałem, gryzłem, normalnie się tłukliśmy. Wezwali wujka Dwighta i

przedszkolanka oświadczyła mi, że jestem nadpobudliwy, że mam problem z dyscypliną i potrzebuję fachowej pomocy. Zerwałem się, powiedziałem, że jest złodziejką i że uciska mnie tak samo, jak uciskani byli pracownicy farmy. Do tej pory pamiętam, jak opadły im szczęki, jak robotom odłączonym od prądu. Przedszkolanka rzuciła mi otwartą książkę i powiedziała: „Czytaj!”, zupełnie jak hitlerowski szurmowiec, rozkazujący więźniowi maszerować. Przeleciałem przez kilka zdań, przerwała mi. I tyle, koniec przedszkola dla mistrza Cadmusa.

Wysunął język i zlizął keczup z dolnej wargi.

- Tak czy inaczej, ze szkołą koniec. - Spojrzał na zegarek. - Ups. Muszę zadzwonić po podwózkę.

I czmychnął.

Piątkowe popołudniowe wizyty stały się od tego czasu regularne - jak nielegalna szulernia z ideami zamiast kart. Rozmawialiśmy w moim gabinecie, w czytelnicy, przy śmieciowym jedzeniu w Kurniku i podczas spacerów ocienionymi ścieżkami, których sieć oplatała cały campus. Jamey nie miał ojca i mimo opieki sprawowanej nad nim przez wujka wydawał się niezbyt dobrze rozumieć, co to znaczy być mężczyzną. Odpowiadając na jego niezliczone pytania o mnie, wszystkie zadawane w głodny, naiwny sposób imigranta łaknącego kęsów wiedzy o nowej ojczyźnie, zrozumiałem, że staję się dla niego wzorem do naśladowania. Ale wypytywanie to było jednostronne; kiedy próbowałem dowiedzieć się czegoś o jego życiu osobistym, zmieniał temat albo uciekał w chaos niezwiązanych z tematem abstrakcji.

Nasze stosunki były niejasne - ani przyjaźń, ani terapia, bo to drugie oznacza pomoc, a Jamey jeszcze nie przyznał, że ma jakiś problem. To prawda, był intelektualnie wyobcowany, lecz to samo mogłem powiedzieć o większości dzieci biorących udział w projekcie; alienację uznano za wspólną cechę wszystkich o kosmicznej skali inteligencji. Jamey nie chciał pomocy; chciał tylko rozmawiać. I rozmawiał. O psychologii, filozofii, polityce, literaturze.

Mimo to nigdy nie pozbyłem się podejrzenia, że tamtego pierwszego piątku przyszedł do mnie, żeby wyrzucić z siebie coś, co bardzo mu doskwierało. Zauważyłem jego zmienne nastroje i okresowe lęki, napady milczenia i smutku, trwające po kilka dni; dostrzegałem nagłe ponure spojrzenia albo zdradliwe sklenie oczu podczas pozornie neutralnej rozmowy, ściśnięte gardło i mimowolne drżenie rąk.

Był umęczonym chłopcem, nie miałem co do tego wątpliwości, dręczonym przez jakiś potężny konflikt. Z pewnością jego przyczyna tkwiła

głęboko, skrywana, owinięta niczym mumia kokonem osłon, i dotarcie do jej jądra zapowiadało się niełatwo. Psychoterapia polega na tym, żeby wiedzieć, co powiedzieć, a sztuką jest wiedzieć, kiedy to zrobić. Jeden pochopny ruch i wszystko stracone.

W szesnasty piątek przyszedł objuczony podręcznikami socjologii i zaczął mówić o swojej rodzinie, niby to po przeczytaniu książki o strukturach rodzinnych. Jakby opierając się na jej treści, wyrzucił z siebie mnóstwo faktów, na łapu-capu, głosem wypranym z wszelkich emocji: Cadmusowie „spali na pieniądzach”; dziadek Jameya ze strony ojca stworzył imperium budownictwa i nieruchomości w Kalifornii. Stary dawno już nie żył, ale ludzie mówili o nim tak, jakby był jakimś bogiem. Pozostali dziadkowie Jameya również nie żyli. Tak samo oboje jego rodzice. („Prawie jakbym przynosił pecha, nie? Na pewno chce się pan ze mną zadawać?”)

Jego matka umarła przy porodzie; widział jej zdjęcia, ale niewiele o niej wiedział. Trzy lata później ojciec się powiesił. Odpowiedzialność za wychowanie osieroconego dziecka spadła na młodszego brata ojca, Dwighta. A on wynajmował opiekunki, z których żadna nie utrzymała się dość długo, by cokolwiek dla Jameya znaczyć. Kilka lat później Dwight się ożenił, miał dwie córki i teraz wszyscy razem tworzyli szczęśliwą rodzinę - ta ostatnia uwaga została wypowiedziana z goryczą i miną uprzedzającą, by nie zadawać więcej pytań.

Samobójstwo ojca Jameya było jednak rzeczą, którą postanowiłem w końcu zgłębić. Chłopiec nie zdradzał się z samobójczymi myślami czy impulsami, ale uważałem, że istnieje w jego przypadku wysokie ryzyko; martwiły mnie jego zmiany nastroju, tak samo jak skrajny perfekcjonizm, czasami nierealne oczekiwania i chwiejna samoocena. Biorąc dodatkowo pod uwagę fakt samobójstwa jednego z rodziców, ryzyko jeszcze bardziej wzrastało; nie wolno było lekceważyć możliwości, że pewnego ponurego dnia Jamey postanowi pójsć w ślady ojca, którego właściwie nie znał.

Problem ten wypłynął w połowie naszego dwudziestego spotkania.

Jamey lubił cytować poezję - Shelleya, Keatsa, Wordswortha - a jego ulubieńcem był poeta Thomas Chatterton, o którym nigdy nie słyszałem. Kiedy pytałem o niego, wykręcał się stwierdzeniami, że dzieła poety mówią same za siebie. Dlatego poszedłem do biblioteki, poszperać

trochę na własną rękę.

Popołudnie spędzone na przeglądaniu zakurzonych tomów, splodzonych przez krytyków literatury, pozwoliło mi dotrzeć do paru interesujących faktów: znawcy uważali Chattertona za geniusza, najważniejszego

przedstawiciela angielskiego XVIII-wiecznego odrodzenia gotyku i głównego prekursora romantyzmu, ale współcześni ignorowali go bądź wręcz szkalowali.

To była udręczona, tragiczna postać; Chatterton łaknął fortuny i sławy, ale nie były mu one dane. Sfrustrowany brakiem powodzenia swoich dzieł, w 1768 roku dopuścił się literackiego fałszerstwa na wielką skalę: wydał zbiór wierszy, napisanych rzekomo przez XV-wiecznego mnicha Thomasa Rowleya. Ale Rowley nigdy nie istniał; był wytworem wyobraźni Chattertona, który znalazł jego nazwisko na nagrobku w kościele Świętego Jana w Bristolu. Ironią losu wiersze Rowleya zostały dobrze odebrane przez światek literacki i Chatterton doświadczył krótkotrwałego uwielbienia - dopóki oszustwo nie wyszło na jaw i jego ofiary nie wywarły swojej zemsty.

Wyklęty z literackiego świata, poeta musiał uciec się do pamphleciarstwa i prac fizycznych, a w końcu do żebrania i zadowolić się resztkami jedzenia. Jego życie zakończyło się ironicznym akcentem: chociaż był bez grosza i nikt nie chciał mu sprzedać na kredyt nawet chleba, przymierający głodem Chatterton poskarżył się uczynnemu aptekarzowi na plagę szczurów na swoim poddaszu i otrzymał arsenik.

Dwudziestego czwartego sierpnia 1770 roku Thomas Chatterton połknął truciznę - popełnił samobójstwo w wieku siedemnastu lat.

Kiedy Jamey znów go zacytował, powiedziałem mu, czego się dowiedziałem. Siedzieliśmy na brzegu fontanny przed gmachem psychologii. Był pogodny, ciepły dzień; Jamey zdjął buty i skarpety, pozwalając, by woda omywała jego chude, białe stopy.

- Aha - mruknął. - I co z tego?

- Nic. Zaciekawileś mnie, więc go sprawdziłem. To był interesujący gość.

Jamey odsunął się ode mnie i wbił wzrok w fontannę, kopiąc stopą w beton tak mocno, że zaczerwieniła mu się pięta.

- Coś się stało, Jamey?

- Nic.

Po kilku minutach napiętego milczenia znów się odezwałem:

- Wyglądasz, jakbyś się o coś gniewał. Jesteś zły, że sprawdziłem, kto to był Chatterton?

- Nie. - Odwrócił się z obrzydzeniem. - Nie to mnie wkurza. Tylko to, że taki pan pewny siebie, wydaje się panu, że mnie pan rozumie. Chatterton był geniuszem, Jamey jest geniuszem. Chatterton

był odmieńcem, Jamey jest odmieńcem. Pstryk, pstryk, pstryk. Układa pan jedno z drugim jak jakąś zasraną historię choroby!

Dwójka mijających nas studentów usłyszała gniew w jego głosie i spojrzała w naszą stronę. Jamey ich nie zauważył, przygryzł wargę.

- Martwi się pan pewnie, że najem się trutki na szczury na jakimś strychu, co?

- Nie. Ja...

- Gówno prawda. Wszyscy jesteście tacy sami.

Skrzyżował ręce na piersi, dalej kopiać beton. Na jego pięcie pojawiły się kropelki krwi. Spróbowałem jeszcze raz.

- Chodziło mi o to, że chciałem porozmawiać z tobą o samobójstwie, ale to nie ma nic wspólnego z Chattertonem.

- Naprawdę? A z czym ma?

- Nie twierdzę, że jesteś typem samobójczym. Ale martwię się i byłbym nieuczciwy wobec siebie, gdybym tego nie poruszył, rozumiesz?

- Rozumiem, rozumiem. Niech pan to z siebie wyrzuci.

- Dobrze. - Ostrożnie dobieierałem słowa. - Każdy ma czasem zły dzień, ale ty jesteś ponury zbyt często. Jesteś kimś wyjątkowym i nie chodzi mi tu tylko o twoją inteligencję. Jesteś wrażliwy, opiekuńczy i uczciwy. - Sądząc po tym, jak się wzdrygnął, moje komplementy mogłyby równie dobrze być ciosami w twarz. - A mimo to chyba za sobą nie przepadasz.

- A jest za czym?

- Jest. Bardzo dużo.

- Jasne.

- To właśnie między innymi mnie martwi: to, jak sobą pogardzasz. Stawiasz sobie skrajnie wysokie wymagania, a kiedy je spełnisz, lekceważysz sukces i natychmiast podnosisz poprzeczkę jeszcze wyżej. Ale kiedy ci się nie uda, nie możesz o tym zapomnieć. Cały czas sam siebie karzesz, powtarzasz sobie, że jesteś nic niewart.

- Do czego pan zmierza? - spytał ostro.

- Do tego, że nieustannie, z własnej woli, jesteś nieszczęśliwy.

Odwrócił wzrok. Krew z jego pięty kapnęła do wody i zniknęła w różowym obłoczku.

- To, co powiedziałem, to nie są słowa krytyki - dodałem. - Chodzi mi tylko o to, że przez całe życie będziesz doświadczał rozczarowań, każdy ich doświadcza, i byłoby dobrze wiedzieć, jak sobie z tym radzić.

- Świetny plan - zakpił. - Kiedy zaczynamy?

- Kiedy zechcesz.

- Chcę od razu, jasne? Niech mi pan pokaże, jak sobie radzić. W trzech łatwych lekcjach.

- Najpierw muszę się więcej o tobie dowiedzieć.

- Wie pan bardzo dużo.

- Dużo rozmawialiśmy, ale tak naprawdę nie wiem nic. Nic o rzeczach, które cię denerwują albo nakręcają: o twoich celach, twoim systemie wartości.

- Kwestiach życia i śmierci, co?

- Powiedzmy, że o ważnych sprawach.

Popatrzył na mnie, uśmiechając się z rozmarzeniem.

- Chce pan wiedzieć, co myślę o życiu i śmierci, doktorze D? Powiem panu. Jedno i drugie jest do kitu. Śmierć jest chyba spokojniejsza.

Założył nogę na nogę, przyjrzał się zakrwawionej pięcie, jakby to był rzadki okaz żuka.

- Nie musimy rozmawiać o tym w tej chwili - powiedziałem.

- Ale ja chcę! Dążył pan do tego przez te wszystkie miesiące, prawda? Po to właśnie było to całe kumpłowanie się i tak dalej? Nawiazywał pan bliższe stosunki, żeby móc skuteczniej mnie przeświecić. A więc teraz o tym porozmawiajmy! Chce pan wiedzieć, czy myślę o samobójstwie? Jasne. Raz albo dwa razy w tygodniu.

- Czy to przelotne myśli, czy zostają ci w głowie na dłużej?

- Trochę tak, trochę tak.

- Myślisz czasem o metodzie?

Zaśmiał się głośno, zamknął oczy i zaczął recytować cichym głosem:

Skoro raz tylko umrzeć można, jakie ma znaczenie,

Czy sznur, podwiązka, trutka, miecz czy kula w głowę,

Choroba z wolna czy li nagle żyły pęknięcie

W najszlachetniejszej części człowieka

Ukróci mizериę ludzkiego żywota?

Choć przyczyna różna, skutek jest ten sam,

Wszystko prowadzi do jednego końca. Otworzył oczy.

- Tom C miał odpowiedź na wszystko, prawda?

Milczałem, więc zaśmiał się jeszcze raz, na siłę.

- Nie bawi to pana, doktorze D? Czego pan chce, katharsis i spowiedzi? To moje życie, i jeśli postanowię dać sobie spokój, to moja decyzja.

- Twoja decyzja będzie miała wpływ na innych.

- Gówno prawda.

- Nikt nie żyje w próżni, Jamey. Ludziom na tobie zależy. Mnie na tobie zależy.

- Z której książki wziął pan ten tekst?

Forteca wydawała się nie do zdobycia. Zacząłem szukać szczeliny w murze.

- Samobójstwo to akt wrogości, Jamey. Ze wszystkich ludzi ty akurat powinieneś to rozumieć.

Jego reakcja była niespodziewana, gwałtowna. W ciemnobłękitnych oczach rozgorzał ogień, a głos zdławił gniew. Jamey zerwał się i skoczył na mnie.

- Mój ojciec był psim gównem! I pan też, ponieważ o nim pan wspomniał!

Pomachał mi drżącym palcem przed nosem, prychnął i pobiegł boso przez dziedziniec. Złapałem jego buty i skarpety i popędziłem za nim.

Przebiegł dziedziniec, skręcił w lewo i zniknął na prowadzących w dół schodach. Nietrudno było go dogonić, bo biegł niezdarnie; jego chude kolana obijały się o siebie jak synkopowane szczudła.

Schody prowadziły na rampę dostawczą gmachu chemii, pusty, betonowy prostokąt poplamiony olejem i ocieniony z trzech stron ceglanyścianami. Było stamtąd tylko jedno wyjście - metalowe, zielone drzwi. Jamey szarpnął za klamkę, ale były zamknięte. Odwrócił się, zobaczył mnie i zamarł, zdyszany. Twarz miał białą jak ściana i mokrą od łez. Postawiłem jego buty na ziemi i podszedłem.

- Zostaw mnie!

- Jamey...

- Zostaw mnie w spokoju!

- Porozmawiajmy...

- Po co?! - wrzasnął. - Po co?

- Bo zależy mi na tobie. Jesteś dla mnie ważny i chcę tu zostać.

Rozszłochał się; wyglądał, jakby miał zemdleć. Podszedłem bliżej, objąłem go ramieniem i przytuliłem.

- Też jesteś dla mnie ważny, doktorze D. - Chlipał mi w marynarkę.

Poczułem, że obejmuje mnie w pasie, a jego drobne dłonie głaszczą mnie po plecach. - Naprawdę. Bo cię kocham.

Zesztywniałem. To był błąd, najgorsza rzecz, jaką mogłem zrobić. Ale to był odruch.

Jamey wrzasnął i wyrwał się, a jego twarz zmieniła się w maskę nienawiści i cierpienia.

- I już! Teraz wiesz! Jestem małym pedałem! Byłem pedałem od lat, a teraz napaliłem się na ciebie!

Szok minął i już panowałem nad sobą, gotów znów być terapeutą. Podszedłem bliżej. Odsunął się.

- Zostaw mnie, ty kutasie! Zostaw mnie, kurwa! Bo jak nie, zacznę wrzeszczeć o pomoc!

- Jamey, porozmawiajmy...

- Pomocy! - zawył.

Krzyk poniósł się echem po pustym dziedzińcu.

- Proszę...

Znów wrzasnął.

Przysunąłem jego buty i skarpetki i odszedłem.

W ciągu następnych kilku tygodni wielokrotnie próbowałem z nim porozmawiać, ale mnie unikał. Odgrywałem sobie tę scenę raz za razem w głowie, zastanawiając się, czy mogłem postąpić inaczej; żałowałem, że nie znam żadnych czarów, i przeklinałem ograniczenia słów i chwil milczenia.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej się martwiłem; samobójstwo? Po długim namyśle złamałem regułę poufności i zadzwoniłem do wuja Jameya. Świadomość, że postępuję słusznie, wcale mi tego nie ułatwiła.

Przedarłem się przez armię podwładnych i w końcu dodzwoniłem do Dwighta Cadmusa w jego

biurze w Beverly Hills. Przedstawiłem się; zdradzałem najmniej, jak mogłem, nie wspomniałem nic o homoseksualizmie, wyraziłem tylko swoje obawy o bezpieczeństwo chłopca.

Cadmus wysłuchał mnie, nie przerywając, odpowiedział głosem suchym i zdecydowanym:

- Hm, rozumiem. Tak, to powód do zmartwienia. - Zastanowił się. - Coś jeszcze, doktorze?

- Tak, jeśli macie państwo w domu broń, proszę ją rozładować, schować amunicję, a samą broń umieścić w bezpiecznym miejscu.

- Każę to natychmiast zrobić.

- Proszę pozamykać leki. I postarać się trzymać chłopca z dala od noży...

- Oczywiście.

- ...i sznurów.

Pełna napięcia cisza.

- Jeśli to wszystko, doktorze...

- Chciałbym jeszcze raz podkreślić, jak ważne jest, żeby Jamey otrzymał fachową pomoc. Jeśli potrzebujecie państwo polecenia, z przyjemnością podam kilka nazwisk.

- Dziękuję. Porozmawiam o tym z żoną i odezwę się do pana.

Dałem mu swój numer, a on jeszcze raz podziękował mi za troskę.

Nigdy nie zadzwonił.

4

Odłożyłem teczkę i zadzwoniłem jeszcze raz do Canyon Oaks. Mainwaring nie wrócił do biura, ale jego sekretarka zapewniła mnie, że dostał moją wiadomość.

Siedziałem w cichej bibliotece, pozwalając błądzić myślom. Wiedziałem, że gdybym posiedział tu wystarczająco długo, wróciłyby i załęgły się w różnych ciemnych zakamarkach. Wstałem i poszukałem telefonu; znalazłem go w salonie. Ze słuchawką przy pasku wyszedłem na taras, a następnie po schodach do japońskiego ogrodu.

Koi pływały leniwie w koncentrycznej tęczycy. Na odgłos moich kroków podpłynęły do kamienistego brzegu stawu, łapczywie rozdziawiając pyszczki i niecierpliwie chlapiąc.

Rzuciłem do wody garść granulek. Ryby wyskakiwały i zderzały się ze sobą, walcząc o pokarm. Ich łuski błyskały szkarłatem, złotem, platyną i pomarańczą, jak ogniki w stonowanej kolorystyce ogrodu. Przyklęknąłem, te bardziej asertywne nakarmiłem z ręki, ciesząc się z łaskotania ich pyszczków o moją dłoń.

Kiedy się nasyciły, usiadłem po turecku na poduszce mchów, dostrajając zmysły do cichych dźwięków: bulgotania wodospadu, cmokania ryb skubiących glony na gładkich, mokrych kamieniach okalających staw, ciepłego powiewu poruszającego delikatnie gałązkami glicynii. Nadszedł wieczór i okrył ogród całunem cienia. Jaśmin zaczął wydzielać swój słodki zapach. Patrzyłem, jak kolory zamieniają się w kontury, i skupiłem się, by tak samo ukryć moje myśli.

Kiedy ogarnął mnie medytacyjny spokój, telefon przy pasku zagwizdał i zapiszczał.

- Doktor Delaware - odebrałem.

- Jak zwykle oficjalny Alex - powiedział młodzieńczy głos przerywany trzaskami na linii.

- Lou?

- We własnej osobie.

- Co u ciebie? Ten oficjalny ton to stąd, że spodziewałem się kogoś innego.

- U mnie świetnie. Ufam, że za bardzo się nie rozczarowałaś.

Zaśmiałem się. Trzaski zrobiły się głośniejsze.

- Kiepsko cię słyszę, Lou. Skąd dzwonicz, z pokładu czy z lądu?

- Z pokładu. Mam komplet obiecujących inwestorów, płynących na Turks i Caicos; ładownię pełną błękitnopłetwów i wahoo, i dość rumu, żeby pozbyć się wszelkich zahamowań.

Lou Cestare wynajmował na stałe ciepły kącik w moim sercu. Wiele lat temu, kiedy zarabiałem tyle pieniędzy, że nie wiedziałem, co z nimi robić, pokazał mi co - przybliżył mi inwestycje w nieruchomości i akcje, dzięki którym mogłem żyć wygodnie i nie musieć pracować do końca swoich dni - gdybym zachował rozsądny styl życia. Lou był młodym, energicznym, szybko mówiącym niebieskookim Włochem z północy. Kiedy miał dwadzieścia siedem lat, „Wall Street Journal” ogłosił go supergwiazdą parkietu. W trzydzieste urodziny był już szefem dużej firmy inwestycyjnej i szedł dalej w górę. Potem, niespodziewanie, zmienił styl życia - rzucił świat korporacji, sprzedał posiadłość w Brentwood, zabrał żonę i małe dziecko i przeniósł się do północnego Oregonu, by tam pracować dla siebie i wybranej grupy klientów, w większości superbogaczy; kilkoro, takich jak ja, zatrzymał z sentymentu. Teraz krążył między swoim domem-biu-rem w Williamette Valley a trzydziestometrowym jachtem „Motywacją”, wyposażonymi w wart fortunę sprzęt komputerowy, pozwalający mu rozmawiać przez modem z międzynarodową armią maklerów.

- Wczoraj wyskoczyło mi twoje portfolio, Alex. Wszystko mam po-oznaczane, jak dentysta. Pora na doroczną kontrolę.

- Co się stało?

- Masz dwieście osiemdziesiąt tysięcy w lokatach wolnych od podatku, średnio osiem przecinek

siedemdziesiąt trzy procenta, co daje rocznie dwadzieścia cztery tysiące czterysta czterdzieści dolarów, których Wujek Sam nie może tknąć. Dziewięćdziesiąt tysięcy z tego dojrzeje w ciągu kilku następnych miesięcy. To generalnie starszy kapitał, trochę niżej oprocentowany, średnio siedem przecinek dziewięć procent. Pytanie brzmi: chcesz więcej obligacji stanowych czy mam ci kupić wysoko oprocentowane akcje albo obligacje skarbu państwa? Byłyby opodatkowane, ale jeśli nie zarabiasz za wiele, wyższe stawki pozwoliłyby ci więcej zyskać. Według moich danych w zeszłym roku wyciągnąłeś czterdzieści dwa tysiące. Jak w tym?

- Trochę więcej pracuję. Jakies sześć tysięcy miesięcznie.

- Brutto czy netto?

- Brutto.

- Jakies odliczenia?

- Raczej nie.

- Wynajem i procenty z zeszłego roku dały trzydzieści jeden tysięcy. Coś się w tym zmieniło?

- Nie sędzę.

- A więc wyciągasz trochę ponad sto kawałków, wciąż w rozsądnej stawce pięćdziesięcioprocentowej. Jeżeli nie potrzebujesz płynności finansowej albo nie masz ochoty na hazard, najlepsze byłyby dla ciebie obligacje stanowe.

- O jakim hazardzie mówisz?

- O nowiutkich akcjach nienotowanych na giełdzie. Mam firmę produkującą kamery laserowe ze Szwajcarii, która wygląda obiecująco; syndykat z Pensylwanii, zajmujący się przerobem złomu, i coś z twojego podwórka: firmę z Karoliny, prowadzącą domy wariatów.

- Domy wariatów?

- Otóż to. Nazywają się Psycorp i podpisują umowy na świadczenie usług zdrowia psychicznego w średniej wielkości miejscowościach. Głównie na Południu i Środkowym Zachodzie, ale wciąż się rozwijają. Prowadzą bardzo agresywny marketing, a grupa docelowa prezentuje się nieźle. Namnożyło się nam świrów, Alex. Założę się, że nigdy nie myślałeś o sobie jako o rozwijającej się gałęzi przemysłu.

- Chyba zostanę przy obligacjach. Jakie stawki dostajesz?

- Mam cynk o obligacjach dziesięć i pół procent *at par* ze sprzedaży nieruchomości, ale musiałbyś się nastawić na długi okres, przynajmniej trzydzieści lat. Twój wzrost dochodów netto wyniósłby około... - Usłyszałem w tle stukanie w klawisze. - ...dwóch tysięcy trzystu czterdziestu dolarów. Nie wydaj wszystkiego w jednym miejscu.

- AA?

- Mają wskaźnik BBB, co wciąż oznacza, że warto w nie inwestować, ale spodziewam się, że za kilka miesięcy skoczą do A. Nie traktuję już tak poważnie wskaźników; służby zrobiły się leniwe. Przypomnij sobie upadek WPPSS, od AAA do kanału, a oni nic nie zauważyli, aż było za późno. Najlepiej każdą emisję obejrzyć dokładnie samemu. Co ja właśnie robię, bardzo uważnie. To, co mam dla ciebie, to czysta sprawa. Konserwatywna miejscowość nadmorska z rozbudowaną podstawą opodatkowania. Dawno zaległe finansowanie instalacji użyteczności publicznej, żadnych kontrowersji. Wchodzisz?

- Jasne. Ile możesz załatwić?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Sto już komuś obiecałem. Możesz zgarnąć pozostałe sto pięćdziesiąt.

- Weź dla mnie równe sto. Dziewięćdziesiąt z obligacji, dziesięć prześlę ci jutro przelewem. Oregon czy Indie Zachodnie?

- Oregon. Pod moją nieobecność transakcjami zajmuje się Sherry.

- Kiedy zamierzasz wrócić?

- Za tydzień, może dłużej. To zależy, jak będzie brała ryba i kiedy bogacze zaczną sobie nawzajem działać na nerwy. Przy okazji, dostaliśmy twój list z podziękowaniami za coho. Dobra rzecz, co?

- To był wyśmienity łosoś, Lou. Zaprosiliśmy przyjaciół i upiekliśmy go na grillu, jak mówiłeś.

- Świetnie. Powinieneś zobaczyć błękitnopłetwy, które tu łowimy. Sto pięćdziesiąt kilo mięsa jak czerwone masło. Właśnie mam przed sobą talerz czegoś takiego. Zostawię ci parę filetów.

- Byłbym wdzięczny, Lou.

- Hola! - zawołał. - Przepraszam, Alex, coś się dzieje na sterburcie. Jezu słodki, co za potwór! - Napił się czegoś i wrócił na linię, przełykając. - Ciągnij go, Jimbo! Przepraszam jeszcze raz. U was wszystko dobrze?

- Doskonale.

- Świetnie. W takim razie pożegnam się i pójdę podlizywać się klienteli.

- Na razie, Lou. Pomyśl o mnie nad krabowymi koktajlami.

- Nad skrzydelnikami - poprawił. - Marynowanymi w soku z limonek. Zjadasz, a potem grasz Milesa Davisa na muszli.

Coś zapiszczało w słuchawce.

- To u mnie czy u ciebie? - spytał Lou.

- U mnie. Oczekująca rozmowa.

- Uciekaj, Alex. Bez odbioru.

Wcisnąłem przycisk i przełączyłem się na czekającą rozmowę.

- Alex? Mówi Milo, muszę się streszczać.

- Milo! Fajnie, że dzwonisz. Co u ciebie?

- Rozmawiałem z kimś, kto twierdzi, że cię zna. Koleżka, James Wilson Cadmus.

- Jamey! Gdzie on jest?

- A więc go znasz?

- Jasne. Co...

- Mówił, że dzwonił do ciebie dzisiaj rano.

- Tak, dzwonił.

- O której?

- Jakieś piętnaście po trzeciej.

- Co miał do powiedzenia?

Zawahałem się. Milo to mój najlepszy przyjaciel. Nie odzywał się dłużej niż zwykle i zacząłem się nad tym zastanawiać. W innych okolicznościach ucieszyłbym się z jego telefonu. Ale ton jego głosu był daleki od przyjaznego, a ja nagle wyraźnie uświadomiłem sobie, w jaki sposób Milo zarabia na chleb.

- To był telefon kryzysowy - wykręciłem się. - Potrzebował pomocy.

- W czym?

- Milo, o co ci chodzi, do cholery?

- Nie mogę powiedzieć, stary. Zadzwoń później.

- Zaczekaj, czy z nim wszystko w porządku?

Teraz to on się zawahał. Wyobraziłem sobie, jak przesuwa dłońmi po swojej dużej, bliznowatej twarzy.

- Alex... - westchnął. - Naprawdę muszę kończyć.

Klik.

Tak się nie rozmawia z przyjacielem; zeszywniałem ze złości. Potem przypomniałem sobie, nad jaką sprawą pracowałem, i niepokój zalał mnie jak toksyczna fala przyboju. Zadzwoiłem do niego na posterunku West L.A. i, zbyty przez policyjną biurokrację, dowiedziałem się tylko tyle, że Milo jest na miejscu przestępstwa. Kolejny telefon do Canyon Oaks wzbudził ledwie skrywaną wrogość sekretarki Mainwaringa. Zaczynałem się czuć jak wyrzutek.

Myśl, że Jamey mógł być zamieszany w bieżącą sprawę Mila, przyprawiła mnie o mdłości. Zarazem jednak ukazała mi kierunek dalszych poszukiwań. Sprawa ta była szeroko opisywana w prasie, a skoro Milo nie chciał mi powiedzieć, co się dzieje, może dowiedziałbym się tego od mediów.

Włączyłem radio i przekręciłem pokrętło, łapiąc po kolei obie nowe stacje AM. Ani słowa. Kręciłem dalej - efekt? Tylko dawka dźwiękowego śmiecia. W wiadomościach telewizyjnych królowały lakierowane fryzury i wilgotne białe zęby - wesoła gadka i fałszywe uśmiechy przeplatane sowitymi dawkami morderstw i nieszczęść.

Mnóstwo makabry, ale nie tej, której szukałem.

Wypatrzyłem porannego „Timesa” zwiniętego na biurku i porwałem go. Nic. Znałem dwie osoby z redakcji, redaktora działu szachowego i Neda Biondiego w dziale miejskim. Znalazłem numer reportera w rolodexie i zadzwoniłem do niego.

- Doktorek! Co u ciebie, do cholery?

- Wszystko dobrze, Ned. A u ciebie?

- Super. Ann Marie właśnie poszła na studia do Cornell. Wykształcenie, rozumiesz.

- To świetnie, Ned. Kiedy będziesz z nią rozmawiał, pozdrów ją ode mnie.

- Jasne. Nie udałoby się nam bez ciebie.

- To wspaniała dziewczyna.

- Nie zaprzeczę. A więc, jaki masz dzisiaj dla mnie cynk? Ostatni był całkiem niezły.

- Żadnych cynków - odparłem. - Tylko pytania.

- Pytaj do woli.

- Ned, słyszałeś coś o jakimś przełomie w sprawie Lawendowego Rzeźnika?

- Nic a nic. - W jego głosie dało się słyszeć nagle zaciekawienie. - Coś ci wpadło w ucho?

- Nie.

- Przypadkowa ciekawość, co?

- Coś w tym rodzaju.

- Doktoru - powiedział - ta sprawa leży odłogiem od miesiąca. Jeśli coś wiesz, nie kryj się z tym. Obiecanki-macanki skończyły się, kiedy weszły pigułki.

- Naprawdę nic nie wiem, Ned.

- Aha.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę. Zapomnij,, że dzwoniłem.

- Jasne. Już mam pusto w głowie - obruszył się.

- Na razie, Ned.

- *Sayonara*, doktoru.

Żaden z nas ani przez chwilę nie sądził, że temat skończył się razem z rozmową.

Robin wróciła do domu w świetnym humorze. Wykąpała się, włożyła biżuterię i krótką, obcisłą czarną sukienkę. Ja - beżowy lniany garnitur, niebieską koszulę w prążki z białym kołnierzykiem, granatowo-bordowy krawat i mokasyny z cielęcej skóry. Bardzo elegancko, ale czułem się jak zombi. Pod rękę wyszliśmy na taras, a potem na dół, do seville'a.

Robin usiadła na miejscu pasażera i ścisnęła moją dłoń. Otworzyła dach - niech ciepłe kalifornijskie powietrze owieje jej twarz. Była w doskonałym nastroju, wręcz tryskała entuzjazmem. Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Uśmiechnęła się, po czym musnęła moje usta.

Pocałunek był gorący i długi. Wezwałem wszystkie swoje zasoby namiętności, ale nie zdołałem wyprzeć z głowy rozmowy z Milem. Mroczne, niepokojące myśli wciąż wycierały z ciemnych kątów mojego umysłu. Usiłowałem je przegonić i nie mogłem, więc czując się parszywie, przysięgłem sobie, że nie zepsuję tego wieczoru.

Odpaliłem silnik i włożyłem do odtwarzacza kasetę Laurenda Almeidy. W samochodzie rozległa się łagodna brazylijska muzyka, a ja spróbowałem wyobrazić sobie karnawał i stringi.

Na kolację pojechaliśmy do ciemnego, przesiąkniętego zapachem szafranu lokalu w Westwood Village, gdzie kelnerki nosiły kostiumy tancerek brzucha i wyglądały na Hinduski mniej więcej tak samo jak Meryl Streep. Mimo kiczowatego wystroju jedzenie było tu doskonałe. Robin pochłonęła - powoli, ale nieubłaganie - zupę z soczewicy, kurczaka tandoori, ogórki w sosie jogurtowym i deser ze słodzonych mlecznych kulek zawiniętych w kandyzowane sreberka. Mając nadzieję, że nie zauważy takiego masochizmu, wychłostałem swoje podniebienie ekstraostym curry.

Pozwalałem, by to głównie ona mówiła, a sam ograniczałem się do potakiwań i uśmiechów. Był to dalszy ciąg kamuflażu rozpoczętego pocałunkiem w samochodzie - myślami byłem zupełnie gdzie indziej - ale pokonałem wyrzuty sumienia, wmawiając sobie, że oszustwo w dobrym zamiarze jest czasem lepsze niż szczerłość. Jeśli mnie przejrzała, nic nie powiedziała, być może i ona założyła maskę.

Po kolacji pojechaliśmy Wilshire w stronę plaży, a potem na Pacific Coast Highway. Niebo było atramentowe i bezgwiazdne; ocean wyglądał jak falująca łąka czarnej satyny. Jechaliśmy w milczeniu do Malibu, a falochrony swoim hukiem wybijały rytm dla Almeidy, grającego sambę na swojej gitarze.

Zatrzymaliśmy się w Merino's, tuż za przystanią. W klubie było siwo od dymu. Na scenie w kącie czteroosobowy zespół - bębny, bas, saksofon altowy i gitara - odgrywał Coltrane'a. Zamówiliśmy po kieliszku brandy i zaczęliśmy słuchać.

Kiedy utwór się skończył, Robin wzięła mnie za rękę i spytała, co mnie gryzie. Opowiedziałem jej o telefonie od Mila, a ona wysłuchiwała z ponurą miną.

- Chłopak ma kłopoty - wyrzuciłem z siebie. - Jeśli wiąże go coś z Rzeźnikiem, olbrzymie kłopoty. Najgorsze jest to, że nie wiem, czy jest ocalałą ofiarą, czy podejrzanym. Milo nie chciał ze mną rozmawiać.

- To do niego niepodobne - stwierdziła.

- Milo w ogóle od jakiegoś czasu zachowuje się jak nie on - zauważyłem. - Pamiętasz, jak nie przyszedł do nas na sylwestra, i nie zadzwonił nawet, żeby przeprosić? Przez ostatnie kilka tygodni telefonowałem do niego do pracy i do domu, zostawiłem z tuzin wiadomości, ale nie od-dzwonił ani razu. Z początku myślałem, że bierze udział w jakiejś tajnej akcji, ale potem zaczęli go pokazywać w telewizji, kiedy znaleźli ostatnią ofiarę Rzeźnika. To oczywiście, że dystansuje się od nas. Ode mnie.

- Może przeżywa trudne chwile. Praca przy takiej sprawie musi być bardzo stresująca dla kogoś w jego sytuacji.

- Jeśli jest zestresowany, mógłby się zwrócić do przyjaciela po wsparcie.

- Może nie umie się otworzyć przed kimś, kto sam tego nie przeszedł, Alex.

Napiłem się brandy i przemyślałem to.

- Pewnie masz rację. Nie wiem. Zawsze zakładałem, że być gejem to dla niego żaden problem. Kiedy się zaprzyjaźniliśmy, poruszył ten temat, powiedział, że chce oczyścić atmosferę. Twierdził, że się z tym pogodził.

- A co niby miał powiedzieć, skarbie?

W kieliszku został centymetr brandy. Przetoczyłem nóżkę między palcami; płyn zafalował jak maleńkie złote morze podczas sztormu.

- Myślisz, że byłem niewrażliwy? - spytałem.

- Nie niewrażliwy. Wybiórczo nieświadomy. Nie mówiłeś mi kiedyś, że ludzie tak właśnie postępują, że używamy naszych umysłów jak filtrów, żeby nie zwariować?

Przytaknąłem.

- Musisz przyznać, Alex, to niezwykle, żeby gej i facet hetero byli ze sobą tak blisko. Na pewno Milo bardzo wiele rzeczy zachowuje dla siebie. Tak samo jak ty. Obaj musieliście sporo nawypierać, żeby ten wasz układ przetrwał, co?

- Na przykład?

- Na przykład, myślałeś kiedyś o tym, co on i Rick robią w łóżku?

Zamilkłem, wiedząc, że ma rację. Milo i ja rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o seksie. Zawsze obok tematu, ale nigdy wprost. To było wypieranie pierwsza klasa.

- Najśmieszniejsze jest to - powiedziałem - że dzisiaj po południu, kiedy przeglądałem swoje notatki na temat Jameya i zastanawiałem się, czy mogłem zrobić coś inaczej, wyobraziłem sobie, że przedstawiam go Milowi. Chłopak jest gejem, a przynajmniej tak to wygląda, i tak sobie pomyślałem, że gdybym go przedstawił dorosłemu homoseksualistcie, który dobrze się przystosował, pomogłoby mu to. - Spochmurniałem. - Co za naiwność.

Gardło mi się ścisnęło i resztką brandy z trudem przez nie przepłynęła.

- Zresztą, spotkali się bez mojego udziału - stwierdziłem gorzko.

Przewietrzyliśmy sobie głowy spacerem po plaży, wróciliśmy do seville'a i w milczeniu pojechaliśmy do domu. Robin oparła mi głowę na ramieniu; jej ciężar dodawał otuchy. Tuż po północy skręciłem w Beverly Glen, dziesięć po otworzyłem frontowe drzwi.

Koperta poderwała się w przeciągu i opadła na parkiet. Podniosłem ją i obejrzałem. Została doręczona przez kuriera z Beverly Hills o dwudziestej

trzeciej. W środku znajdowała się pilna prośba o telefon do kancelarii niejakiego Horace'a Souzy, najszybciej, jak się da, już następnego ranka („Odp: J. Cadmus”), i numer z kierunkowym z Wilshire. W końcu ktoś chciał ze mną rozmawiać.

5

Wstałem wcześniej i gazetę miałem w rękach chwilę po tym, jak rzucił ją roznosiciel. Na dole pierwszej strony widniał zachęcający tytuł - „Możliwy przełom w sprawie lawendowego rzeźnika” - ale nie zawierał żadnych nowych informacji prócz tej, że policja Los Angeles, policja Beverly Hills i biuro szeryfa miały ogłosić nowe ustalenia na wspólnej konferencji prasowej po południu. Reszta była powtórzeniem tego, co już pisano - zwietrzałe fakty, wywiady z wciąż cierpiącymi rodzinami

ofiar, beznamiętna chronologia serii morderstw, które zaczęły się rok temu i powtarzały regularnie co dwa miesiące.

Ofiarami Rzeźnika były młode męskie dziwki, w wieku od piętnastu do dziewiętnastu lat. Większość stanowili nielegalni imigranci z Ameryki Środkowej. Cała szóstka została uduszona lawendowym jedwabiem i okaleczona po śmierci. Morderstw dokonywano w nieznanym miejscu, a zwłoki wyrzucano w różnych częściach miasta. Kolejne lokalizacje przesuwwały się na zachód - pierwszego trupa znaleziono w koszu na śmieci przy Santa Monica Boulevard, w sercu Miasta Chłopców, szóstego niedaleko szlaku turystycznego w Parku Stanowym Willa Rogersa. Cztery ciała odkryto w West Hollywood, w jurysdykcji szeryfa, dwa ostatnie na terenie komendy West L.A. Z geograficznego punktu widzenia Beverly Hills było wciśnięte między obie te jurysdykcje jak w kanapkę, ale ten fakt pominięto.

Odłożyłem gazetę i zadzwoniłem do kancelarii Horace'a Souzy. Musiał mi podać prywatny telefon, bo odebrał osobiście.

- Dzień dobry, doktorze, dziękuję, że tak szybko pan się odezwał.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Souza?

- Pański były pacjent, James Cadmus, jest moim klientem. Reprezentuję go w sprawie karnej i byłbym bardzo wdzięczny, gdybym mógł z panem o tym porozmawiać.

- O co go oskarżono?

- Wolałbym omówić to osobiście, doktorze.

- Dobrze. Mogę być u pana za godzinę. Jak mam dojechać?

- Niech się pan nie kłopotuje, doktorze. Mój człowiek po pana przyjedzie.

O ósmej zadzwonił dzwonek do drzwi. Otworzyłem; stał przede mną szofer w szarej liberii. Miał trzydzieści parę lat, był wysoki i chudy, ciemnooki z wydatnym nosem i cofniętym podbródkiem. W cieniu nosa jeżył się gęsty, czarny wąs, zakrywający usta. Twarz mężczyzny była blada, świeżo ogolona; kilka skaleczeń od żyłki przecinało krawędź szczęki. Czapkę z daszkiem odsunął w tył, tak że tkwiła niepewnie na szopie długich, ciemnych włosów, spadających na kołnierz. Obszyte satyną spodnie zwężyły się do spiczastych jak szpilki kowbojskich butów.

- Doktor Delaware? Jestem Tully Antrim, mam pana zabrać do pana Souzy. Nie chciałem zarysować samochodu, więc zaparkowałem na dole.

Poszedłem za nim drogą dojazdową. Musiałem iść szybko, żeby nadążyć.

Sto metrów nad Beverly Glen znajdował się zakręt ocieniony wysokimi drzewami. Na nim stał siedmiometrowy rolls-royce - lśniaca czarna limuzyna phantom IV. Widziałem coś takiego w artykule o ślubie księcia Karola i Lady D. Tamten należał do matki pana młodego.

Szofer otworzył drzwi do przedziału pasażerów, a kiedy wsiadłem, zamknął je ostrożnie, obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą.

Limuzyna była tak wielka, że można by w niej tańczyć. Wnętrze wykończono szarym filcem, miękkim jak kaszmir, i mnóstwem drewna, gęstego od słoików i wypolerowanego na lustro. Przy obu drzwiach pasażera w srebrnych, filigranowych obejmach tkwiły maleńkie kryształowe wazoniki, a w nich świeże róże. Boczne szyby ozdobiono delikatnym motywem roślinnym, wisiały na nich aksamitne zasłony.

Szklana przegroda oddzielająca kierowcę od pasażera była zamknięta. Siedząc w hermetycznej ciszy, patrzyłem, jak szofer wykonuje serię pantomimicznych gestów: poprawia czapkę, przekręca kluczyk, majstruje coś przy radiu, a potem zaczyna się kiwać, pewnie do rytmu muzyki.

Rolls potoczył się gładko w stronę Beverly Glen. Poranny ruch dojeżdżających do pracy z Valley gęstniał; Antrim umiejętnie włączył się olbrzymim samochodem w sznur pojazdów. Pojechał na południe do Wilshire i skręcił w lewo.

Rozparłem się w fotelu, czując się malutki w tej ogromnej limuzynie. Kudłata głowa szofera kołysała się do muzyki, której nie słyszałem. Na

poręczy fotela było kilka przycisków, każdy opisany małą, srebrną plaketką. Wcisnąłem ten z napisem „Kierowca”.

- Tak, proszę pana? - odpowiedział, nie odwracając się ani nie zmieniając rytmu.
- Może opuściłby pan przegrodę? Chciałbym posłuchać muzyki.
- Ma pan tam automatyczny odtwarzacz. Przyciski są na poręczy. Lekka muzyka.
- To mnie tylko uśpi. Co pan włączył?
- KMET. ZZ Top.
- Może być.
- Się robi.

Wcisnął jakiś guzik i szkło się rozsunęło. Samochód wypełnił rozsadzający uszy rock and roli - teksańskie trio zawodzące o dziewczynie. Antrim wtórował mu cienkim tenorem.

Po piosence puszczone reklamę kliniki aborcyjnej, sprzedającej się jako centrum zdrowia kobiety.

- Niezła fura - powiedziałem.
- Aha.
- Mało jest takich.

- Uhm. Należała do jakiegoś Hiszpana, kumpla Hitlera.

- Franco?

- Właśnie.

- Jak się nią jeździ?

- Może być, jak na taką kobyłę.

Z radia ryknęli Van Halen, niwecząc szanse na dalszą rozmowę. Stanęliśmy na czerwonym przy Rexford akurat podczas przerwy na wiadomości. Antrim zapalił papierosa.

- To normalne traktowanie?

- Co takiego?

- Podwożenie ludzi limuzynami.

- Pan Souza każe mi coś robić, to ja to robię - odparł z irytacją, a potem znalazł następną rockową stację i podkręcił głośność.

Przejechaliśmy przez Beverly Hills i Cudowną Milę i wjechaliśmy do dzielnicy finansowej Wilshire. Gmachy stojące przy ulicy były kolumnami różowego i szarego granitu w stylu deco, siedmio-, a nawet dziesięciopiętrowymi, zbudowanymi w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy ludzie poważnie traktowali trzęsienia ziemi i unikali prawdziwych drapaczy chmur.

Budynek, przed którym się zatrzymaliśmy, był starszy i mniejszy - cztery piętra weselnego tortu z czerwonym dachem, rzadka pozostałość z

przełomu wieków, kiedy Wilshire było dzielnicą rezydencji. Szofer zakręcił na kolistym podjeździe przed posiadłością i zaparkował. Drzwi wejściowe zdobiły mahoniowe gargulce. Po ich prawej stronie wisiały dwie dyskretne mosiężne tabliczki. Pierwsza głosiła: „Souza i wspólnicy, kancelaria prawnicza”. Druga wymieniała nazwisko Souzy i tuzina innych prawników.

Antrim wprowadził mnie do łukowato sklepionego holu z suszonymi roślinami i westernowym malarstwem. Potem poszliśmy korytarzem wyłożonym czarno-białą, marmurową szachownicą do niewielkiej windy. Tully uruchomił ją staroświecką dźwignią i otworzył drzwi na czwartym piętrze.

Wyszliśmy na podest wyłożony srebrzystym pluszem, na szczycie krętych, rzeźbionych schodów. Z wysokich, nieskazitelnie czystych okien roztaczał się widok na to, co kiedyś było ogrodem, teraz zaś służyło za parking. W oddali ciągnęły się eleganckie, ocienione aleje Hancock Park.

Szofer wskazał drzwi i wprowadził mnie do przedpokoju również obwieszzonego malarstwem westernowym. Na środku stało małe biurko, puste. Po prawej stronie miałem duży olejny obraz przedstawiający przygnębianego Indianina na równie ponurym koniu, a po lewej rzeźbione drzwi. Tully do nich zapukał.

Człowiek, który otworzył, był średniego wzrostu, około sześćdziesiątki, łysiejący, o potężnej, zwalistej posturze i wielkich, mocnych dłoniach. Był ciężki, ale nie otyły. Rysy twarzy miał grube i zdecydowane - na zdjęciu wyglądał lepiej niż w rzeczywistości - skórę różową jak po wyjściu z sauny, a resztki jasnych włosów krótko przycięte i nastroszone. Był ubrany w koszulę z białej egipskiej bawełny, z monogramem na kieszeni, wpuszczoną w granatowe, doskonale skrojone spodnie. Beczkowatą pierś opinały granatowe szelki. Nosił krawat w kolorze wyblakłego błękitu i żółci w delikatny roślinny wzór oraz buty równie lśniące i czarne jak rolls.

- Oto pan doktor - powiedział Antrim.

- Dziękuję, Tully - odparł mężczyzna tubalnym głosem. - Możesz już iść.

Podszedł bliżej, pachnąc lekko cytrusami, i wyciągnął dłoń.

- Doktorze Delaware, jestem Horace Souza. Bardzo panu dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

- To żaden problem. Jak się ma Jamey?

Ścisnął mocno moją dłoń i puścił.

- Widziałem się z nim dwie godziny temu. Psychicznie jest zupełnie rozbity. A to dopiero początek. Kiedy policja zwoła konferencję prasową,

przestanie być Jamesem Cadmusem i przyjmie nową osobowość: Lawendowego Rzeźnika. Potwora Miesiąca.

Poczułem się, jakbym spadał, leciał w dół jednym z tych bezdennych szybów, jakie widzi się czasem w złych snach. To nie był szok ani nawet zaskoczenie; od czasu rozmowy z Milem najczarniejszy scenariusz pełzał mi po głowie jak jakiś paskudny mały wąż. Ale teraz ten wąż zaatakował, obnażył zęby i zadał cios, zabijając nadzieję.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Tylko tyle udało mi się powiedzieć.

- Sam nie mogłem. Byłem na jego chrzcinach, doktorze... tłusty mały dzieciaczek mieścił się w dwóch dłoniach.

Ścisnął brodę kciukiem i palcem wskazującym.

- Bardzo się o niego martwię, doktorze. Już od jakiegoś czasu był w złym stanie, a kiedy jego aresztowanie zostanie upublicznione, do końca straci samokontrolę. Wie pan, w jakich czasach żyjemy. Ludzie chcą krwi. Będzie pożywką dla żadnego linczu tłumu. Prokuratura pracuje właśnie nad aktami oskarżenia o dwa morderstwa pierwszego stopnia, zaraz potem przygotowuje sześć dalszych. Wielokrotne zabójstwo to okoliczność wyjątkowa, co oznacza komorę gazową, jeśli nie potraktuje się tego jak należy. Mówiąc „jak należy”, mam na myśli organizację, pracę zespołową. Czy mogę pana uznać za sprzymierzeńca?

- A co według pana mogę zrobić?

- Porozmawiajmy o tym. Niech pan wejdzie.

Jego sanktuarium był duży narożny pokój, rozjaśniony słońcem wpadającym przez przeszklone drzwi na okalający go balkon. Na balkonie stały donice z azaliami i kameliami. Ściany pokrywały gipsowe sztukaterie, ozdobione jeszcze liczniejszymi obrazami z pogranicza - wyglądały na oryginalne Remingtony - i zwieńczone dekoracyjnym gzymsem pod kopulastym, białym sklepieniem. Podłogę wyłożono bielonym dębem, leżał na niej dywan Indian Nawaho. W jednym rogu stał stolik chippendale z serwisem do herbaty z chińskiej porcelany. Poza tym pomieszczenie było wyposażone standardowo jak droga kancelaria prawnicza: wielkie biurko, skórzane fotele, trzy metry kwadratowe dyplomów, świadectw, zdjęć i młotków na drewnianych podstawkach oraz przeszklona biblioteczka pełna prawniczych ksiąg.

Na jednym z foteli siedział sztywno mężczyzna mniej więcej w moim wieku, wpatrzony we własne buty. Odwrócił się na dźwięk naszych kroków, wstał niepewnie i poprawił krawat.

Souza podszedł do niego i ojcowskim gestem położył mu dłoń na ramieniu.

- Doktorze, to pan Dwight Cadmus, wuj i opiekun chłopca. Dwight, to doktor Alexander Delaware.

Dwight jakby nie poznał mojego nazwiska; wyciągnął do mnie miękką i wilgotną dłoń. Był wysoki i przygarbiony, o rzadnych ciemnych włosach i łagodnych, smutnych oczach, niewyraźnych za grubymi szklami okularów i zaróżowionych ze zmartwienia. Rysy twarzy miał regularne, ale rozmyte, jak wytarta od upływu czasu rzeźba. Był ubrany w brązowy garnitur, białą koszulę i brązowy krawat. Drogie ubranie wyglądało jednak tak, jakby w nim spał.

- Doktorze - powiedział, ledwie na mnie spojrzawszy. Potem, nie wiedząc czemu, uśmiechnął się, a ja w pozbawionym wesołości uniesieniu kącików nadąsanych ust dostrzegłem jego podobieństwo do Jameya.

- Panie Cadmus.

- Siadaj, Dwight - powiedział Souza, popychając go lekko. - Odpocznij.

Cadmus opadł na fotel jak głaz.

Souza wskazał mi drugie miejsce.

- Proszę się rozgościć, doktorze.

Sam usiadł za biurkiem i oparł łokcie o jego wyłożony tłoczoną skórą blat.

- Pozwoli pan, doktorze, że najpierw przedstawię fakty. Jeśli będę mówił coś, co pan już wie, proszę o cierpliwość. Wczoraj, we wczesnych godzinach rannych, James uciekł ze swojego szpitalnego pokoju. Niedługo potem zadzwonił do pana z pustej sali konferencyjnej. Pamięta pan,

o której to było godzinie?

- Około trzeciej piętnaście.

Souza kiwnął głową.

- To by się zgadzało z wersją personelu szpitala. Niestety nie pomaga to nam z perspektywy czasowej. Tak czy inaczej, wysiłki podjęte w celu odnalezienia go nic nie dały. Zatelefonowano do Dwighta w Meksyku, a on wraz z rodziną natychmiast tu przyleciał i skontaktował się ze mną. Razem zorganizowaliśmy spotkanie z doktorem Mainwaringiem, podczas którego sporządziliśmy listę miejsc, w których Jamey często bywał. Z każdym z nich spróbowaliśmy się skontaktować telefonicznie.

- Co to za miejsca?

- Głównie domy znajomych.

- To była krótka lista - powiedział Cadmus prawie szeptem. - Nie lubił ludzi.

Zapadła niezręczna cisza. Adwokat zerknął na Cadmusa, który dalej wpatrywał się w swoje mokasyny.

- Od dawna zmagaliśmy się z emocjonalnymi problemami chłopca - wyjaśnił Souza. - To był duży stres.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

- Jedną z osób, z którymi próbowaliśmy się skontaktować, był niejaki Ivar Digby Chancellor z Beverly Hills. Jamey... zaprzyjaźnił się z nim, choć według naszej wiedzy skończyło się to jakiś czas temu.

- Cholerny zboczeniec - mruknął Cadmus.

Souza spojrzał na niego ostro.

- Mimo faktu, że związek ten został przerwany - ciągnął - wydało się nam możliwe, że Jamey wrócił do domu Chancellora. Nikt tam jednak nie podnosił słuchawki. Pozostałe telefony również nic nie dały. W końcu wezwaliśmy policję. Wzięli od nas listę i pojechali pod wszystkie adresy. Jakiś czas później, około dwudziestej, chłopca znaleziono w rezydencji Chancellora.

Souza popatrzył na wuja Jameya, jakby spodziewał się, że ten znowu coś powie. Cadmus jednak milczał, jakby nas tam nie było.

- Policja zastała tam krwawą jatkę, doktorze. Chancellor został uduszony i wielokrotnie dźgnięty ostrym narzędziem, podobnie jak druga ofiara, szesnastoletnia męska prostytutka znana jako Rudy

Kociak, czyli niejaki Richard Ford. Według raportu ciało Chancellora było związane, Ford leżał rozciągnięty, a Jamey siedział na podłodze między oboma trupami, ściskając nóż o długim ostrzu i strzęp lawendowego jedwabiu. Zachowywał się jak w transie, bełkotał coś bez sensu, coś o pękających arteriach i zombi, ale na widok policjantów dostał szału. Musieli go obezwładniać w kilku, a przed odwiezieniem do aresztu został skrepowany.

Przypomniałem sobie telefon chłopca, jego straszliwe wizje. Souza mówił dalej:

- Zabrali go do okręgowego aresztu, umieścili w izolatce i zadzwonili do mnie. Natychmiast zastosowałem wszystkie dostępne mi prawnicze sztuczki, by przeszkodzić w dochodzeniu: złożyłem wniosek o zakaz przesłuchania ze względu na brak władz umysłowych, oprotestowałem brak odpowiedniej pomocy medycznej w areszcie i zażądałem wypuszczenia za kaucją albo przeniesienia do zakładu psychiatrycznego. Wniosek przyjęto, co było akurat niewielkim sukcesem, bo Jamey i tak nie nadawał się do przesłuchania. Kwestię opieki medycznej załatwiono, pozwalając doktorowi Mainwaringowi odwiedzać Jameya i podawać mu leki pod nadzorem. W świetle ucieczki chłopca i ciężaru oskarżenia może pan sobie wyobrazić, jak odebrano żądanie wypuszczenia za kaucją. Jamey pozostał w celi, zwinięty w pozycji embrionalnej, niemy i oziębiały.

Adwokat podniósł wieczne pióro i przytrzymał je między palcami. Tak jak obiecał, wyłożył wszystkie fakty z dokładnością kreślarza, rysując schemat koszmaru. Spojrzałem na Dwighta Cadmusa, szukając u niego jakiejś reakcji, zobaczyłem jedynie arktyczny bezruch.

Souza wstał zza biurka, poprawił jedną z filiżanek serwisu do herbaty i stanął plecami do drzwi balkonowych; na tle szkła zarysowała się jego kanciasta sylwetka.

- Zapoznałem się z pana przeszłością, doktorze. Pana referencje akademickie są nieskazitelne, ma pan reputację uczciwego, posiada pan również imponujące doświadczenie sądowe jako biegły, choć nie sądzę, by dotyczyło to spraw karnych.

- Zgadza się - powiedziałem. - Zeznawałem w sprawie Casa de los Niños jako kluczowy świadek. Moje doświadczenie biegłego ogranicza się do spraw o przyznanie opieki nad dziećmi i o pobicia.

- Rozumiem. - Souza się zamyślił. - Jeśli zabrzmiało to, jakbym pana przepytywał, proszę o wybaczenie. Na ile znana jest panu kwestia ograniczonej poczytalności?

- Wiem, że to pojęcie prawnicze, nie medyczne ani psychologiczne.

- Otóż to - powiedział, wyraźnie zadowolony. - Oskarżony może być kompletnym wariatem, a mimo to zostać uznany za poczytalnego z punktu widzenia prawa. Najistotniejszą kwestią jest zdolność rozróżniania dobra od zła. Ograniczona zdolność oznacza brak winy. Chciałbym, żeby pomógł mi pan skonstruować linię obrony, uznającą Jameya za niepoczytalnego.

- Myślałem, że legislatura wyeliminowała zeznania psychiatryczne w przypadku ograniczonej

zdolności rozpoznania znaczenia czynu.

Souza uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Chodzi panu o to zamieszanie z „obroną Twinkie”? Nie. Psychiatrzy i psychologowie nie mogą już zeznawać przed sądem i wnioskować o ograniczonej zdolności, wolno im jednak przedstawiać dane kliniczne, z których takie wnioski można wyciągnąć. W naszych okolicznościach to żadna różnica.

- Mimo to - powiedziałem - mam wiele zastrzeżeń do koncepcji ograniczonej zdolności.

- Naprawdę? Co się panu w niej nie podoba, doktorze?

- Każe nam ona wyjść poza to, czego nas nauczono, i dokonać niemożliwego: zakraść się do czyjejs głowy i odtworzyć przeszłość. To niewiele więcej niż oficjalnie zatwierdzona zgadywanka i laicy zaczynają to dostrzegać. Poza tym dzięki temu zbyt wielu drani wymyka się sprawiedliwości.

Souza pokiwał głową, nieporuszony.

- To wszystko święta prawda, teoretycznie. Ale niech mi pan powie, kiedy rozmawiał pan z Jameyem przez telefon, jakie zrobił na panu wrażenie?

- Pobudzonego, zagubionego, cierpiącego na halucynacje.

- Psychotycznego?

- Nie mogę postawić diagnozy na podstawie rozmowy telefonicznej, ale prawdopodobnie tak.

- Doceniam pana osobisty dystans, ale niech mi pan uwierzy, to psychoza. Ostry przypadek schizofrenii paranoidalnej. Jamey choruje już od jakiegoś czasu. Słyszy głosy, ma zwidy i coraz bardziej mu się pogarsza. Doktor Mainwaring nie był zbyt optymistyczny w swoich prognozach. Straciliśmy nad chłopcem kontrolę. Uważa pan za sprawiedliwe, by kazać mu odpowiadać za czyny, które wynikły z takiego szaleństwa? By postrzegać go jako złoczyńcę? On wymaga opieki, a nie kary. Linia obrony oparta na ograniczonej zdolności to jego jedyna nadzieja.

- Zakłada pan wobec tego, że popełnił wszystkie osiem morderstw.

Souza przysunął fotel naprzeciwko mnie i usiadł, tak blisko, że niemal zetknęliśmy się kolanami.

- Doktorze, udało mi się rzucić okiem na wszystko, co policja do tej pory spisała. Przedział czasowy obciąża Jameya, a dowody rzeczowe są przytłaczające. Po nagłej ucieczce z Canyon Oaks został znaleziony na miejscu zbrodni z narzędziem tej zbrodni w ręku. W całym domu Chancellora było pełno jego odcisków palców. Będą też następne dowody, gwarantuję panu. W tej sprawie nie popuszczą. Nie będziemy mogli zaprzeczać faktom. Żeby Jamey nie trafił do celi śmierci, będziemy musieli przyjąć strategię mającą wykazać, że jego stan psychiczny pogorszył się do punktu, w którym nie można już mówić o wolnej woli.

Milczałem. Souza nachylił się tak blisko, że poczułem jego oddech.

- To nie będzie szukanie w ciemno, zapewniam pana. Posiadamy solidne materiały medyczne i zeznania świadków, potwierdzające pogarszające się zdrowie Jameya. Poza tym na naszą korzyść przemawiają geny. Jego babka i ojciec...

Cadmus zerwał się z fotela.

- Ani słowa o tym, Horace! I bez tego będziemy po uszy w bagnie!

Souza wstał. W jego oczach błysnął gniew, ale kiedy się odezwał, mówił łagodnie.

- W najbliższym czasie możesz zapomnieć o prywatności, Dwight. Te raz jesteś osobą publiczną.

- Nie rozumiem, dlaczego...

Souza przerwał mu machnięciem ręki.

- Jedź do domu i odpocznij, synu. Przeżyłeś olbrzymi szok.

Cadmus zaprotestował, ale słabo.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje. Jamey to mój...

- I będziesz wiedział. Doktor Delaware i ja musimy porozmawiać o kwestiach technicznych. Kiedy dojdziemy do porozumienia, ty dowiesz się pierwszy. Teraz jedź się przespać. Każę Tully'emu odwiedzić cię do domu.

Koniec dyskusji.

Adwokat wrócił za biurko i wcisnął przycisk. Chwilę później pojawił się szofer. Souza wydał polecenie i Cadmus wyszedł za Antrimem. Kiedy zostaliśmy sami, Souza z żalem pokręcił głową.

- Szkoda, że nie znał pan jego ojca - powiedział. - To był kawał byka. Łykał życie bez popitki. - Przerwał. - Czasami tak sobie myślę, że krew jest jak bogactwo, rozcieńcza się coraz bardziej z każdym pokoleniem.

Nacisnął inny przycisk i wezwał elegancką młodą kobietę w damskiej wersji urzędowego garnituru.

- Herbatę poproszę, Veronica. Kawy, doktorze?

- Proszę herbatę.

- Pełny dzbanek, moja droga.

- Oczywiście, proszę pana.

Wzięła ze stolika dzbanek i wyszła, niosąc go tak, jakby był z waty cukrowej. Souza odprowadził ją wzrokiem, potem odwrócił się do mnie.

- Jak mówiłem, nie brak nam materiałów na poparcie teorii ograniczonej zdolności. Nie proszę, by pan ryzykował.

- Ma pan Mainwaringa - powiedziałem. - Do czego ja jestem panu potrzebny?

- Wykorzystam zeznanie doktora Mainwaringa, jeśli będę musiał, ale on jako świadek stwarza pewne problemy.

- Jakie problemy?

Starannie dobierał słowa.

- Po pierwsze i najważniejsze, chłopiec uciekł, będąc pod jego opieką, przez co Mainwaringowi grozi solidny ostrzał ze strony oskarżenia.

Wstał, założył palce za szelki i zaczął przemawiać niskim, teatralnym głosem:

- „Doktorze Mainwaring, przed chwilą pan zeznał, że pan Cadmus nie potrafi rozróżniać dobra i zła. Jeśli tak, jak mógł pan pozwolić mu zbiec? Dostać szafu i popełnić dwa okropne morderstwa?” Tu nastąpi

dramatyczna pauza, podczas której będę głośno zgłaszał sprzeciw, ale szkoda już zostanie wyrządzona. Przysięgli będą postrzegać Mainwaringa jako pozbawionego rozsądku, a jego zeznania obrócą się przeciw nam.

- Mówił pan o problemach w liczbie mnogiej - powiedziałem, upewniwszy się, że przedstawienie skończone. - Co jeszcze?

Souza uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć „przyłapał mnie pan”.

- Z biegiem lat doktor Mainwaring zyskał reputację psychiatry obrony, tworzącego biologiczne teorie usprawiedliwiające najróżniejsze grzechy. Teorie te nie zawsze znajdowały poparcie biegłych i przysięgłych.

- Innymi słowy, to sprzedajna kurwa, która za często przegrywała.

- Innymi słowy.

- Więc dlaczego to on zajmował się Jameyem?

Gniew w moim głosie zaskoczył nas obu.

- Nie popełniono żadnego błędu, doktorze. Jako klinicysta cieszy się doskonałą opinią. Jako biegły sądowy jednak pozostawia wiele do życzenia.

Sekretarka zapukała i weszła z dzbankiem herbaty. Napełniła dwie filiżanki i przyniosła je nam na srebrnej tacy; Souzie dołąła śmietanki, za którą ja podziękowałem, i wyszła.

Adwokat pociągnął łyk. Delikatna porcelana ginęła w jego mięsistej dłoni.

- Doktorze Delaware, pan byłby cennym nabytkiem dla naszej drużyny.

- Pochlebia mi pan - odparłem - ale to się nie trzyma kupy. Nie mam doświadczenia w sprawach karnych, w żadnym wypadku nie jestem ekspertem w sprawach psychozy, a poza tym powiedziałem panu, co sędzę o uciekaniu się do ograniczonej zdolności.

Souza przyjrzał się mi uważnie zza smużki pary.

- Jak rozumiem - powiedział - przyszła pora na szczerść.

- Bez niej nie mamy o czym rozmawiać.

- Więc dobrze, będę szczerzy. Podkreślam: kiedy mówiłem, że pana sprawdziłem i że pana kwalifikacje są pierwszorzędne, mówiłem prawdę. Dowiedziałem się o panu całkiem sporo: doktorat zrobił pan w wieku dwudziestu czterech lat, ważny podręcznik napisał w wieku lat dwudziestu dziewięciu, jako trzydziestoczerolatek mógł pan być profesorem. Był pan u szczytu wspaniałej kariery, kiedy pan zrezygnował. Wiele osób opisało mi pana jako bardzo inteligentnego, ale upartego, często do granic obsesji. Inteligencja jest ważna, bo oznacza, że potrafi pan szybko uzupełniać luki w wiedzy. Obsesyjność też mi się podoba, bo oznacza, że jeśli przeciągnę pana na swoją stronę, będzie pan cholernie walecznym

gladiatorem. Ale prawdę mówiąc, nie brak mi ekspertów i nawet gdyby stanął pan za mną, mogę prosić innych o poparcie pana zeznań. - Nachylił się do mnie. - Doktorze Delaware, istnieją czynniki inne niż pana zalety zawodowe, które są istotne dla mojej strategii. Po pierwsze, zajmował się pan Jameyem wiele lat temu, zanim dotknęła go psychoza. Nie wątpię, że jeśli będę próżnował, oskarżenie spróbuje pana zwerbować, żeby pan zeznał, iż chłopak był w pełni władz umysłowych i doskonale wiedział, co robi. Wykorzystają pana zeznanie na poparcie swojego twierdzenia, że psychoza Jameya to świeży wymysł, jakaś prawnicza sztuczka. Jak pan wspomniał, laicy są podejrzliwi wobec zeznań psychiatrów, więc ciężar dowodu spadnie na nas. Zamierzam wykazać, że szaleństwo Jameya za puściło korzenie dawno temu. Może pan w tym odegrać znaczącą rolę. Po drugie... - Uśmiechnął się. - Jest pan powiązany z policją, współpracował pan z nią, jest pan chyba nawet zaprzyjaźniony z jednym ze śledczych w tej sprawie, detektywem Sturgisem. Pozwoli mi to odmalować pana jako człowieka prawa i porządku, twardogłowego, którego niełatwo oszukać. Jeśli pan uważa, że Jamey był niepoczytalny, tak musiało być.

Odstawił filiżankę na spodek.

- Krótko mówiąc, doktorze Delaware, chcę pana zwerbować.

- Chce mnie pan wystawić przeciwko przyjacielowi. Dlaczego miałbym się zgodzić?

- Bo zależy panu na Jameyu. Jechał pan do niego o wpół do czwartej rano, kiedy zadzwonił do pana po pomoc. Niezależnie od pana sceptycyzmu, pan wie, że on jest chory, a nie zły. I nie mógłby pan sobie spojrzeć w oczy, gdyby spotkała go śmierć, a pan nie zrobiłby wszystkiego, co w pana mocy, by jej zapobiec.

- Śmierć? Od dawna już nikogo w tym stanie nie stracili.

- Da pan spokój, doktorze. Nie sądzi pan chyba, że chłopak przeżyłby więzienie? To wariat. Samobójca. Jak mówiłem, kiedy Dwight się tak oburzył, cała ta rodzina ma skłonności do samozniszczenia. W parę tygodni znalazłby sposób, żeby podciąć sobie żyły albo powiesić się na prześcieradle. Martwi mnie jego pobyt w areszcie, w tej chwili, ale przynajmniej Mainwaring zapewnia mu opiekę. W San Quentin jedyną opieką, jaką by dostał, byłoby nocne pastwienie się. - Ściszył głos. - Musi trafić do szpitala. A ja pana proszę, żeby pomógł mi go pan tam wysłać.

Przez chwilę rozważałem wszystko, co mi powiedział.

- Stawia mnie pan w trudnej sytuacji. Muszę się zastanowić.

- Oczywiście - odparł szybko. - Nie oczekiwałem, że zdecyduje się pan od razu.

- Jeśli zgodzę się z panem pracować, panie Souza, będzie to musiało być na moich warunkach. Bardzo nie lubię robić nic na pół gwizdka. Prosi mnie pan, żebym odtworzył stan umysłu Jameya, a to znaczy, że będę musiał odtworzyć jego życie, zrozumieć wydarzenia, które doprowadziły go do upadku. Nie jestem jeszcze przekonany, czy to możliwe, ale jeśli tak, będę potrzebował dostępu do wszystkich: członków rodziny, Mainwaringa, do każdego, kogo uznam za istotnego. I do wszystkich archiwów.

- Wszystkie drzwi będą przed panem otwarte.

- Moje pytania będą czasami natrętne. Z tego, co właśnie widziałem, Dwight Cadmus będzie miał z nimi problem.

- Proszę się nie przejmować Dwightem. Niech mi pan tylko powie, czego pan potrzebuje i na kiedy, a ja dopilnuję, żeby z panem współpracował.

- Trzeba wziąć pod uwagę coś jeszcze. Nawet jeśli zgodzę się z panem pracować, nie obiecuję panu ostatecznego efektu. Jest możliwe, że zbadam sprawę i uznam, że jego poczytalność nie była ograniczona.

Souza kiwnął głową.

- Pomyślałem o tym, doktorze. Oczywiście nie chciałbym, żeby do tego doszło, i jestem przekonany, że fakty potwierdzą moje stanowisko. Ale jeśli pan uzna, że nie może mnie poprzec, jedyne, o co pana poproszę, to o zaprzysiężenie milczenia, żeby oskarżenie nie mogło wykorzystać tych informacji.

- Zgoda.

- A więc czy mogę liczyć na pana pomoc?

- Proszę mi dać dobrą na zastanowienie.

- Dobrze, dobrze. Jest też oczywiście kwestia zapłaty. Ile wynosi pana stawka?

- Sto dwadzieścia pięć dolarów za godzinę, do tego rozmowy telefoniczne i przejazdy. Tak samo jak u prawnika.

Parsknął śmiechem.

- I tak powinno być. Czy zaliczka wysokości dziesięciu tysięcy dolarów jest do przyjęcia?

- Wstrzymajmy się, dopóki nie zdecyduję się na współpracę. Souza wstał i uścisnął mi dłoń.

- Jestem już o to dziwnie spokojny.

Wezwał Antrima, dowiedział się, że szofer nie wrócił jeszcze od Cadmusa, więc zadzwonił do niego do rollsa i przekazał mu nowe zadanie. Kiedy czekaliśmy, dolał nam obu herbaty.

- Jeszcze jedno - powiedział, gdy dokończył swoją filiżankę. - Policja wie o telefonie Jameya i będzie prawdopodobnie chciała pana w tej sprawie

przesłuchać. Nie ma ku temu przeszkód. Jeśli zechciałby pan wspomnieć im o psychotycznym aspekcie tej rozmowy, proszę to zrobić. Wolałbym, żeby nie opowiadał pan o leczeniu chłopca.

- Nie mówiłbym o tym nawet, gdyby pan nie prosił. Nasze spotkania były poufne.

Souza z aprobatą pokiwał głową.

Kiedy omówiliśmy już te sprawy, została nam towarzyska pogawędka, która żadnemu z nas nie sprawiała przyjemności. W końcu w drzwiach stanął szofer z czapką w rękę; zmaterializował się nagle, jakby z powietrza.

Souza odprowadził mnie do przedpokoju. Biurko było teraz zajęte przez elegancką młodą sekretarkę. Prawnik podziękował mi jeszcze raz, przyglądał nieistniejące kosmyki włosów na lśniącym ciemieniu i się uśmiechnął. Wyglądał jak pękające jajko.

Wyszedłem za Tullym Antrimem z budynku; tęskniłem za domem. Cała ta rozmowa o drużynach i

strategiach mocno mnie poruszyła. Miałem dużo do przemyślenia i na pewno niepotrzebne mi były gierki.

Souza mnie sprawdził. Postanowiłem pójść za jego przykładem. Zadzwoiłem do Mala Worthy'ego, prawnika od rozwodów z Beverly Hills, z którym współpracowałem w kilku sprawach o ustalenie opieki. Mal był szpanerem, często mełł językiem, ale przy tym był to dobry prawnik, bystry i sumienny. Co ważniejsze, w L.A. znał chyba wszystkich.

Sekretarka jego sekretarki powiedziała mi, że wyszedł na wczesny lunch. Udało mi się wydostać od niej informację, że jadał w Ma Maison, i zadzwoniłem tam. Podszedł do telefonu, coś przeżuwał.

- Cześć, Alex. Co tam?

- Potrzebuję informacji. Co wiesz o adwokacie, który nazywa się Horace Souza?

- Jesteś z nim czy przeciw niemu?

- Chwilowo ani jedno, ani drugie. Chce, cytuję, żebym grał w jego drużynie.

- Jego drużyna to on sam. I to wystarczy. Pracuje dla niego gromada innych gości, ale to on jest szefem. Jeśli lubisz wygrywać, trzymaj z

Horace'em. - Przerwał na chwilę, żeby przełknąć. - Nie wiedziałem, że praktykuje prawo rodzinne.

- To sprawa karna, Mal.

- Poszerzasz horyzonty?

- Wciąż się zastanawiam. To porządny facet?

- Który prawnik jest porządny? Jesteśmy najemnikami. Souza to as, siedzi w tej branży już bardzo długo.

- Z tego, co mówił, pracował dla rodziny oskarżonego od dawna. To stare pieniądze, nie kryminaliści-karierowicze. W jego kancelarii aż śmierdzi elegancją. Wygląda jak siedziba magnata ziemskiego, a nie karnisty.

- Souza to przedstawiciel rzadkiego, ginącego gatunku: tradycjonalista bez specjalności, któremu się powodzi. To chłopak z Bakersfield, nabrał doświadczenia w wojsku, uczestniczył w procesach norymberskich, wyrobił sobie znajomości i otworzył firmę pod koniec lat czterdziestych. Wielki biały dom na Wilshire.

- Wciąż tam jest.

- Nieźle lokum, co? To jego własność, ten dom i po dwa kilometry ulicy w obie strony. Facet jest nieźle dziany. Pracuje, bo to kocha. Pamiętam przemowę, którą wygłosił przed palestrą, o starych

dobrych czasach, kiedy L.A. było niebezpiecznym miastem. Jak to jednego dnia bronił morderców i gwałcicieli, a następnego poświadczał testament jakiegoś przestępczego barona. Teraz już tak nie ma. Do jakiej sprawy chce cię zwerbować?

Zawahałem się, zrozumiałem, że i tak przeczyta o tym w gazetach, więc powiedziałem prawdę.

- Hola! Paskudna rzecz! Będziesz sławny.

- Daruj sobie.

- Nie jesteś w nastroju na popularność? Wszyscy inni w tym mieście są.

- Nie jestem w swoim żywiole. Nigdy nie zajmowałem się sprawami karnymi, a poza tym nie kibicuję ograniczonej zdolności.

- Trema początkującego? Posłuchaj, Alex, większość tak zwanych biegłych psychiatrów to oszuści i sprzedajne dziwki. W sądzie są tak nadęci i głupi, że będziesz przy nich błyszczał. Co do twoich przekonań na temat ograniczonej poczytalności, mogę tylko powiedzieć, żebyś odłożył je na bok. Przez pierwszy rok po studiach pracowałem w biurze obrońców z urzędu. Zaharowywałem się na śmierć, broniąc niewiarygodnych bydlaków. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich było winnych. Gdyby ich matki dały się wyskrobać, świat stałby się lepszy. To było pieprzone zoo. Nie mówię, że mi się to podobało, szybko się stamtąd wyrwałem, ale kiedy to robiłem, walczyłem o nich najlepiej, jak umiałem, udawałem przed

samym sobą, że to dziewczynki męczennice. Uczucia do jednej szufladki, praca do drugiej. Więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych dupków wychodziło na wolność. Nie mogę obiecać, że coś takiego zadziała w twoim przypadku, Alex, ale powinieneś się nad tym zastanowić. W Archiwum Narodowym pod szkłem leży kawałek papieru, gwarantujący każdemu prawo do sprawiedliwego procesu i kompetentnej obrony. Biorąc w tym udział, nie musisz się niczego wstydzić. Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedziałem, pragnąc jak najszybciej skończyć tę rozmowę. - Dzięki za pogadankę.

- Nie ma sprawy. Na razie. Muszę wracać do sałatki z kaczki.

O piątej przed moim domem zatrzymał się nieoznakowany wóz policyjny. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn, jeden wielki i zwalisty, drugi niski i szczupły. W pierwszej chwili myślałem, że ten potężny to Milo, ale kiedy weszli na schody tarasowe, zobaczyłem, że to nie on.

Otworzyłem drzwi, zanim zapukali. Jednocześnie błysnęli swoimi odznakami.

Większy, detektyw z wydziału zabójstw śródmiejskiego biura szeryfa, Calvin Whitehead, był ubrany w jasnoniebieski garnitur, ciemnoniebieską koszulę i granatowy krawat z powtarzającym się wzorem złotych podków. Miał małą głowę, jasną piegowaną cerę, piwne oczy i blond włosy, krótko obcięte i zaczesane z przedziałką po prawej stronie. Dobrze zbudowany o dziewczęcych biodrach, uszach jak dzbanek, ze skrzywioną miną wyglądał jak licealna gwiazda sportu, która zbyt długo już nie słyszała doping. Mniejszy był detektywem z Departamentu Policji Beverly Hills; nazywał się Richard Cash. Miał brązowe włosy, nosił ciemne okulary i beżowy włoski garnitur, a na

jego lisiej twarzy zwracały uwagę szerokie, bezwargie usta, wyglądające jak rana.

Zaprosiłem ich do środka. Rozpięli marynarki, a ja zobaczyłem kabury pod ich pachami. Whitehead usiadł na kanapie. Cash wybrał fotel i rozejrzał się po salonie.

- Ładny dom - powiedział Cash. - Żadnych problemów z osuwiskami?

- Jak dotąd nie.

- Mój brat jest lekarzem, parę lat temu kupił sobie dom w Coldwater Canyon. Po ostatnim dużym deszczu spłynęła mu połowa podwórka.

- Przykro mi.

- Większość strat pokryło ubezpieczenie.

Whitehead odchrząknął.

- Proszę pana - powiedział - przyjechaliśmy porozmawiać o podejrzanym nazwiskiem James Wilson Cadmus.

- Gdzie jest Milo? - spytałem.

Spojrzeli na siebie.

- Jest zajęty. - Cash się uśmiechnął.

- Innymi aspektami sprawy - dodał Whitehead.

- Mamy trzy jurysdykcje - wyjaśnił Cash. - Podzieliliśmy się obowiązkami. - Uśmiechnął się jeszcze raz i dorzucił: - Kazał pana pozdrowić.

Byłem pewien, że to ostatnie to kłamstwo.

Na twarzy Whiteheada pojawił się cień zniecierpliwienia. Coraz szybciej żuł gumę. Zastanawiałem się, czy przyszła pora na dobrego glinę - złego glinę.

- Proszę pana - powiedział - wiemy, że Cadmus dzwonił do pana kilka godzin przed tym, jak został aresztowany.

- Zgadza się.

- O której to było godzinie, doktorze? - spytał Cash, wyjmując długopis i notes.

- Jakies piętnaście po trzeciej.

- Ile trwała ta rozmowa?

- Około dziesięciu minut.
- O czym rozmawialiście?
- On mówił, ja głównie słuchałem. Nie mówił zbyt logicznie.

- O czym? - dociskał mnie Whitehead. Miał nieprzyjemną umiejętność zadawania pytań tak, że brzmiały jak oskarżenia.

- O niczym. Był pobudzony, chyba miał halucynacje.

- Halucynacje - powtórzył, jakby pierwszy raz słyszał to słowo. - To znaczy, widział różne rzeczy?

- Większość halucynacji była słuchowa; słyszał głosy. Był przekonany, że ktoś chce go zabić. Możliwe, że także coś widział.

- Proszę sobie spróbować przypomnieć wszystko, co mówił - polecił Whitehead.

Przytoczyłem tyle z bełkotu Jameya, ile zapamiętałem - o pożeraczach ciał, białych zombi, cuchnących ostrzach, szklanym kanionie, o obsesji na punkcie smrodu. Cash to wszystko notował. Kiedy doszedłem do pękniętej żyły, uświadomiłem sobie, że to zwrot z wiersza Chattertona o śmierci, który Jamey recytował podczas naszej ostatniej sesji. Nie chciałem zagłębiać się w przeszłość, więc zostawiłem to dla siebie.

- Brzmi to wszystko dość groźnie - stwierdził Cash, przeglądając no tatki. - Do tego paranoja...

- Jakby się do czegoś szykował - przytaknął Whitehead. - Planował.

- Był przerażony - powiedziałem.

Whitehead zmrużył oczy.

- Czym?

- Nie wiem.

- Czy zachowywał się jak paranoik?

- Mam postawić diagnozę?

- Jasne.

- W takim razie odpowiedź brzmi „nie wiem”. Jego lekarz powiedziałby panom więcej o jego stanie umysłowym.

- Myślałem, że był pana pacjentem.

- Zgadza się, był. Pięć lat temu.

- Jak często widywał go pan potem?

- Nigdy. Ten telefon... po raz pierwszy, kiedy się do mnie odezwał.

- Aha. - Whitehead się zamyślił. - Jest pan psychiatrą?

- Psychologiem.

- I nie umie pan powiedzieć, czy Cadmus miał paranoję?

- Był przerażony. Jeśli jego strach był irracjonalny, to mogła być paranoja. Jeśli rzeczywiście miał się czego bać, nie.

- A więc mówi pan, że miał się czego bać.

- Nie. Mówię, że nie wiem.

- To jak na tej naklejce na zderzaki, Cal - wtrącił Cash. - „Nawet paranoicy mają wrogów”.

Zaśmiał się, ale nikt mu nie zawtórował. Whitehead nie ustępował.

- Na co pan go leczył pięć lat temu?

- To tajemnica lekarska.

Dziewczęce wargi zwinęły się w ciasny pęk koloru surowej wątroby.

- Dobrze. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Cofnijmy się trochę. Powiedział pan, że Cadmus uważał, że ktoś chce go zabić. Kto?

- Nie powiedział.

- Myśli pan, że chodziło mu o zombi... Jak to było, Dick? Cash przerzucił kartkę i przeczytał głośno:

- „Pożeraczy ciał i białych zombi”.

- Świetny tytuł filmu, co? - Whitehead wyszczerzył się w uśmiechu. Kiedy nie odpowiedziałem, ciągnął: - Czy uważał, że to te pożerające ciała białe zombi chcą go dopaść?

- Nie wiem. Wtedy myślałem, że białe zombi to może być personel szpitala.

- Czy mówił coś, że chce się odegrać na pracownikach szpitala? Za to, że go zamknęli?

Pokręciłem głową.

- Pyta pan, jakby pan myślał, że on normalnie mówił. To nie tak. Mówił beładnie. Nie potrafił nawet utrzymać logicznego toku myślenia.

- Aha. Czy mówił, że chce kogoś zabić?

- Nie.

- Albo pociąć śmierzącym ostrzem?

- Cuchnącym ostrzem - poprawił Cash.

- Wszystko jedno. Czy mówił coś takiego?

- Nie.

- Jak pan sądzi, kogo miał na myśli, mówiąc o pożeraczach ciał?

- Nie mam pojęcia.

- Aha. A ja sobie myślę - powiedział Whitehead - że można jedzenie ciał rozumieć dosłownie, w sensie: czarnuchy zjadają misjonarzy albo...

- Metaforycznie - zasugerował Cash.

- Tak. Metaforycznie. W znaczeniu: ciągnąć druta.

Whitehead wyszczerzył się uśmiechem gówniarza, któremu w towarzystwie uszło na sucho brzydkie słowo, a potem popatrzył na mnie wyczekująco. Milczałem.

- Wiemy - ciągnął - że Cadmus jest zboczeńcem. Zboczeńcy lubią mówić, że się nawzajem zjadają. „Pożeranie ciała” może oznaczać zboczony seks. Zgodzi się pan ze mną?

- Mogę tylko zgadywać, tak samo jak pan.

- Miałem nadzieję, drogi panie - uśmiechnął się kwaśno - że pan zgadnie trochę lepiej.

Nie odpowiedziałem.

- Jak długo jest pan psychiatrą?

- Psychologiem. Około trzynastu lat.

- Ciekawa praca?

- Lubię ją.

- Leczy pan dużo ludzi z problemami seksualnymi?

- Nie. Pracuję głównie z dziećmi.

- Zboczonymi dziećmi?

- Różnymi dziećmi.

- Gdzie pan studiował?

- Na UCLA.

- Świetna uczelnia.

- Zgadza się.

- Te dzieci, które pan leczy, czy któreś z nich robiło coś okrutnego? Siekało małe zwierzątka, obrywało skrzydełka muchom?

- Nie mogę z panami rozmawiać o moich pacjentach.

- Chadza pan na mecze Bruinsów?

- Czasami.

- A Cadmus? Interesował się sportem?

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Wiadomo panu, czy dopuścił się czegoś okrutnego albo dziwnego, oprócz tego, że jest zboczeńcem seksualnym?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Nic takiego nigdy nie wyszło podczas terapii?

- To tajemnica lekarska.

Whitehead strzelił balonem z gumy i zrobił zirytowaną minę.

- To dochodzenie w sprawie morderstwa, proszę pana. Możemy złożyć odpowiednie papiery i tak czy inaczej się tego dowiedzieć.

- W takim razie będziecie panowie musieli tak zrobić.

Poczerwieniał ze złości.

- Chce pan wiedzieć, kogo pan chroni? On zarząnął tych...

- Cał - przerwał Cash. - Pan doktor robi tylko to, co musi. - Uśmiechnął się do mnie znad

przyciemnianych szkieł. - Powinniśmy to rozegrać jak trzeba. Prawda, doktorze?

Na pozór był to wyświechtany skecz, standardowa procedura dobry glina - zły glina, ale pełne wrogości spojrzenie, które Whitehead rzucił partnerowi, sprawiło, że zacząłem się zastanawiać.

- Prawda - odparłem, odwracając wzrok, by uniknąć wrażenia spoufalania się.

Whitehead wyjął z kieszeni spodni paczkę gumy owocowej, odpakował dwa listki i dorzucił je do bryłki w ustach. Żując, cicho mlaskał.

- Jasne - powiedział z zimnym, pogardliwym uśmiechem. - Jak trzeba. Niech mi pan powie, od jak dawna pan wie, że Cadmus jest zbrodźcą?

Nie odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie surowo. Potem, nagle, jak pies oznaczający własny teren, ostentacyjnie rozsiadł się na kanapie: opadł na oparcie, zarzucił na nie ręce i rozprostował nogi, zakładając jedną drugą. Na jego łydkach rosły różoworude włoski.

- Wie pan, zawsze od razu widać, jak się porzną pedały - stwierdził.
- Tną głębiej i częściej. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, sto ran na jednych zwłokach. Jak pan sądzi, skąd się to bierze?

- Nie wiem.

- Nie? - zdziwił się z udawanym rozczarowaniem. - Myślałem, że może pan będzie wiedział. Psychiatra, którego pytałem, mówił, że to ma coś wspólnego z tłumioną wściekłością. Ładni chłopcy są łagodni i uroczy, ale w środku wszystko im się przewraca. I dlatego siekają się na kotlety. Może tak być według pana?

- Pojedyncze zasady nigdy nie wyjaśniają zachowań całych grup.

- Aha. Myślałem tylko, że może ma pan jakieś zdanie na ten temat.

Wypchnął językiem policzek i udał, że się zastanawia.

- A Cadmus? Czy uważa go pan za kogoś, kto tłumiłby w sobie wściekłość?

- Jak już mówiłem, nie postawię diagnozy, opierając się na rozmowie telefonicznej.

- Powiedział pan to samo Horace'owi Souzie?

- Moja rozmowa z panem Souzą jest...

- Poufna - dokończył kpiąco. - Uparty z pana facet, proszę pana.

- To nie kwestia upor, tylko etyki zawodowej.

- Stosunki lekarz pacjent itepe?

- Tak.

- Ale on już nie jest pana pacjentem?

- Właśnie.

- A więc kim?

- Nie rozumiem pana pytania.

Znów zimny uśmiech.

- Dzwonił do pana, chociaż nie jest pana pacjentem. Jesteście przyjaciółmi, czy jak?

- Nie.

- A więc zadzwonił do pana zupełnie niespodziewanie?

- Nie wiem, dlaczego zadzwonił. Może zapamiętał mnie jako kogoś, z kim mógł porozmawiać.

- Po pięciu latach.

- Tak jest.

- Aha. Niech mi pan powie, czy wspominał panu nazwisko Ivar Digby Chancellor?

- Nie.

- Richard Emmet Ford?

- Nie.

- Darrel Gonzales? Matthew Higbie?

- Nie.

- Rolf Piper? John Henry Spinola? Andrew Terrance Boyle? Rayford Bunker?

- Żadnego z tych nazwisk.

- A może któreś z tych: Rudy Kociak, Dzwoneczek, Aniołek, Błyskotka?

- Nie.

- Nigdy nie wspominał o żadnym z nich?

- Ani jednym.

- Wie pan, kim są ci ludzie?

- Zakładam, że to ofiary Lawendowego Rzeźnika.

- Zgadza się, to ofiary. Małego Jameya Cadmusa. Pana byłego pacjenta.

Strzelał we mnie pytaniami niejasnymi i wyjętymi z kontekstu, żeby zbić mnie z tropu i psychologicznie zdominować. Znam tę technikę, widywałem, jak używali jej Milo i co bardziej przebiegli terapeuci. Ale Milo był wirtuozem, dyskontującym swoją niezwykłą umiejętność udawania głupiego i nieporadnego przed atakiem; Whitehead sprawiał wrażenie niezdarne naprawdę. Jego dygresje do niczego nie doprowadziły, niczego się nie dowiedział, a teraz był sfrustrowany.

- Koleś, którego pan ochrania - warknął ze złością - powiem panu, co on robił. Najpierw dusił, a potem podrzywał gardła od ucha do ucha. Chłopaki z laboratorium mówią na to „drugi uśmiech”. Robił im piękne, szerokie uśmiechy. Potem dobierał się do oczu. Wydłubywał je palcami i rozgniatał na puree.

Wyliczył szczegóły morderstw, z każdym makabrycznym detalem coraz wścieklejszy, i gapił się na mnie, jakbym to ja trzymał nóż. Dziwiła mnie jego wrogość. Nie mogłem mu pomóc, bo prawie nic nie wiedziałem. On był przekonany, że coś ukrywam, i potrafiłem zrozumieć jego frustrację. Ale sama frustracja nie tłumaczyła wyraźnej pogardy w jego oczach.

Kiedy wyliczanka okropności dobiegła końca, zabrał Cashowi notatki i powoli je przeczytał. Detektyw z Beverly Hills wyglądał na znudzonego; zaczął się wiercić, niczym człowiek-orkiestra narcystycznych manie-ryzmów - przyglądał fryzurę, przyglądał się paznokciom. Zdjął okulary, podniósł je do światła, napluł na szkła i energicznie je wytarł. Potem wstał i przeszedł się po pokoju.

- Bardzo ładne - powiedział, oglądając kolekcję oprawionych w ramki miniatur z kości słoniowej.
- Indyjskie?

- Perskie.

- Naprawdę bardzo ładne.

Oglądał obrazy, książki na stoliku do kawy, wreszcie dotknął materiału obiciowego i przejrzał się w wiktoriańskim lustrze.

- Wspaniały salon - oznajmił. - Korzystał pan z usług dekoratora?

- Nie.

- Sam pan to urządził?

- Z biegiem lat.

- Trzyma styl - pochwalił. - Wszystko tu pasuje.

Uśmiechnął się. Wydawało mi się, że usłyszałem w jego słowach kpiący ton, ale nie miałem pewności; ciemne szkła dobrze ukrywały jego uczucia.

- Dobrze, proszę pana - powiedział Whitehead. - Powtórzmy sobie jeszcze raz tę rozmowę przez telefon. Od początku do końca.

To była robota głupiego. Chciałem zaprotestować, ale wiedziałem, że to by tylko pogorszyło sytuację. Czując się jak dzieciak, któremu kazano zostać po lekcjach, usłuchałem. Whitehead wyciągnął z ust pecynę przeżutej gumy wielkości śliwki, zawinął ją w chusteczkę i wepchnął do kieszeni. Potem wsunął do ust świeże listki i przesłuchiwał mnie dalej.

To było ogłupiające. Whitehead powtarzał stare pytania, dorzucając też nowe. Wszystkie były albo bezsensowne, albo niezwiązane ze sprawą. Kiedy brnęliśmy tak tą drogą donikąd, Cash wciąż oglądał mój salon, kilka razy przerywając nam, by docenić mój dobry gust. Whitehead zachowywał się tak, jakby jego partnera tam nie było.

Uznałem, że to nie jest zwykła zagrywka dobry glina - zły glina. Że to w ogóle nie jest żadna gra.

Oni się nawzajem nie znosili.

Za piętnaście szósta przesłuchanie utknęło w martwym punkcie. Za dziesięć szósta do domu wróciła Robin. Kiedy przedstawiłem im ją jako moją narzeczoną, ze zdumieniem wytrzeszczyli oczy.

Nagle wszystko zrozumiałem: antypatię Whiteheada i jego kąśliwe uwagi o zboczeńcach; zainteresowanie Casha wystrojem wnętrza mojego domu.

Uznali, że jestem gejem.

Gdyby się nad tym zastanowić, miało to jakiś tam sens: przyjaźniłem się z gliniarzem-homoseksualistą; leczyłem homoseksualnego nastolatka i okazywałem, że się o niego troszczę. Miałem ładnie urządzony dom. Wykorzystując bezmyślną formułę sprowadzającą życie do najprostszej arytmetyki, policzyli co trzeba i otrzymali okrągły, idealny wynik.

Jeden plus jeden równa się ciota.

Kiedy zbierali się do wyjścia, poczułem gniew. Nie za to, że wzięli mnie za homoseksualistę, ale za to, że odczłowieczyli mnie i zaszufładowali. Pomyślałem o Jameyu. Całe jego życie było jedną szufładką za drugą.

Sierota. Geniusz. Odludek. Zboczeniec. Teraz mówili, że jest potworem, a ja nie znałem tylu faktów, by z tym dyskutować. Ale w tej właśnie chwili uświadomiłem sobie, że nie mogę po prostu nie dowiedzieć się więcej.

Souza postawił mnie przed trudnym wyborem. Dwaj policjanci pomogli mi podjąć decyzję.

Zadzwoiłem do adwokata następnego ranka, przypomniałem o swoich warunkach i zgodziłem się na współpracę.

- Świetnie, doktorze - stwierdził Souza, jakbym podjął jedyną rozsądną w tych okolicznościach decyzję. - Niech mi pan powie, czego pan potrzebuje.

- Najpierw chcę się zobaczyć z Jameyem. Potem będę chciał sporządzić kompletną historię rodziny. Od kogo byłoby najlepiej zacząć?

- Jestem najbardziej kompetentnym historykiem Cadmusów, jakiego może pan znaleźć - powiedział. - Opowiem panu wszystko ogólnie, a potem będzie mógł pan porozmawiać z Dwightem czy kimkolwiek innym. Kiedy chciałby pan zobaczyć chłopca?

- Najszybciej, jak to możliwe.

- Dobrze. Umówię pana na dziś rano. Był pan kiedyś w areszcie jako odwiedzający?

- Nie.

- W takim razie ktoś po pana wyjdzie i poprowadzi. Proszę przynieść jakiś dokument potwierdzający, że jest pan lekarzem.

Powiedział mi, jak tam trafić, i zaproponował, że przyśle zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy. Odpowiedziałem, żeby zatrzymał pieniądze, dopóki moja ocena sytuacji nie będzie skończona. To był symboliczny gest, zakrawający na małostkowość, ale poczułem się przez to mniej obciążony.

Areszt Okręgowy znajdował się przy Bauchet Street, niedaleko Union Station, w dzielnicy na wschód od śródmieścia, na poły przemysłowej, na poły slumsach. Warsztaty napraw ciężarówek, magazyny i fabryczki sąsiadowały z całodobowymi kantorami kaucyjnymi, wałącymi się ruderami i pustymi działkami.

Do więzienia wchodziło się przez podziemny garaż. W półmroku znalazłem wolne miejsce obok rozlatującego się białego chryslera imperiała, poznaczonego plamami rdzy. Wsiadły z niego dwie czarnoskóre kobiety, w bluzkach bez ramion i chustkach na głowach, bardzo poważne.

Poszedłem za nimi na górę metalowymi schodami, na mały, cichy dziedziniec obramowany ścianami parkingu i aresztu w kształcie litery U. Na lewym ramieniu U znajdowały się drzwi z napisem „Kaucje”. Przez dziedziniec biegł krótki pas brudnego chodnika, po jego obu stronach rozciągał się wyschnięty, pożółkły trawnik. Po jednej rósł duży świerk, po drugiej mały, krzywy, ze sterczącymi gałązkami, wyglądający jak zaniedbane dziecko tego dużego. Chodnik prowadził do podwójnych drzwi z lustrzanego szkła, wstawionych w wysoką, pozbawioną okien ścianę budynku aresztu.

Sam budynek przypominał betonowy blok - potężny, rozległy, w kolorze smogu. Surowy, płaski

beton przecinały w górze betonowe belki, wystające w miejscu łączenia z budynkiem parkingu. Łączenie to było labiryntem kątów prostych, wyrazistych jak czarno-biały mondrian, rzucających krzyżowe cienie na dziedziniec. Jedyne niby to ozdobą były równoległe bruzdy w betonie - wyglądały tak, jakby przed zastygnięciem przeciągnięto po nim olbrzymimi grabiami.

Kobiety doszły do podwójnych drzwi. Jedna z nich pociągnęła za klamkę i lustro się rozdzieliło. Weszły przede mną do maleńkiego pomieszczenia o błyszczących, bladożółtych ścianach. Na podłodze leżało wytarte linoleum. Prawą ścianę zdobił szereg zmatowiałych szafek. Niebieski napis nad nimi nakazywał każdemu, kto posiadałby broń palną, umieścić ją w środku.

Na wprost znajdowało się następne weneckie lustro, osłaniające budkę podobną do kinowej kasy. Na środku srebrnej tafli był zakratowany głośnik, a pod nim korytko z nierdzewnej stali. Po prawej była furta ze stalowych, pomalowanych na niebiesko prętów. Nad nią widniał napis „Śluza”. Za niebieskimi prętami znajdowało się puste pomieszczenie z jednolitymi metalowymi drzwiami po drugiej stronie.

Kobiety podeszły do okienka. Z głośnika pytająco zaszczekał czyjś głos.

- Hawkins - powiedziała jedna z nich. - Rainier P.

Kolejne szczeknięcie sprawiło, że przez korytko podane zostały dwa prawa jazdy. Kilka chwil później pręty się rozchyliły. Kobiety przeszły na drugą stronę, a furta zamknęła się za nimi z ogłuszającym, zdecydowanym szczękiem. Zaczekały cierpliwie w śluzie, przestępując z nogi na nogę; sprawiały wrażenie zbyt zmęczonych jak na swój wiek. W odpowiedzi na trzecie szczeknięcie podały swoje torebki, odpowiedziały na kilka pytań i chwilę czekały. Kiedy metalowe drzwi w głębi niespodziewanie się otworzyły, stał w nich potężny zastępca szeryfa w płowym mundurze. Kiwnął zdawkowo głową i kobiety poszły za nim. Kiedy zniknęli, drzwi się zatrzasnęły, dość głośno, by wzbudzić echo. Cała procedura trwała dziesięć minut.

- „Proszę pana” - warknął głośnik.

Podszedłem i się przedstawiłem. Z bliska zauważyłem ruch za szkłem i cieniste odbicia młodych, bystrookich twarzy.

Głośnik poprosił o dowód tożsamości, więc wrzuciłem do korytka szpitalny identyfikator z Western Pediatrics.

Minuta skupienia.

- „W porządku, doktorze. Proszę wejść do służby”.

Śluza miała rozmiar szafy. Na jednej ze ścian było otwierane kluczem wejście do windy. Po lewej stronie miałem okna z przyciemnionego szkła nad stalową barierką. Za szkłem siedzieli zastępcy szeryfa - trzech wąsatych mężczyzn, jedna kobieta. Wszyscy byli jasnowłosi i poniżej trzydziestki. Mężczyźni spojrzeli na mnie przelotnie i zagłębili się w lekturze „Hustlera”. Kobieta siedziała na obrotowym krześle i przyglądała się skórcie przy paznokciu. Ich kantorek był wytapetowany

służbowymi notatkami i wyposażony w konsolę sprzętu elektronicznego.

Czekałem niespokojnie, zawieszony pomiędzy wolnością a tym, co czekało po drugiej stronie metalowych drzwi. Nie byłem więźniem, ale tkwiłem w pułapce, na łasce i nielasce tego, kto naciskał guziki. Zaczynałem się czuć nieswojo - odzywał się we mnie wyczekujący niepokój dzieciaka przypinanego do fotela wagonika kolejki górskiej, niepewnego własnej odwagi i pragnącego tylko mieć to już za sobą.

Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyłem młodego Latynosa w cywilnym ubraniu - jasnoniebieskiej koszuli i niebiesko-zielonym, tartanowym krawacie pod bordowym pulowerem bez rękawów, w szarych sztruksach i skórzanych pantoflach. Według identyfikatora ze zdjęciem przypiętego do kołnierza koszuli był pracownikiem społecznym. Był wysoki, szczupły, długonogi. Lśniące, obcięte na jeża włosy sterczały nad pociągłą, bladą twarzą. Duże, spiczaste uszy stwarzały uderzające podobieństwo do pana Spocka - podobieństwo, które nie zniknęło, kiedy się odezwał, głosem wypranym z emocji jak alfabet Morse'a.

- Doktorze Delaware, nazywam się Patrick Montez. Mam pana poprowadzić. Proszę za mną.

Za drzwiami ciągnął się szeroki, pusty, żółty korytarz. Kiedy do niego weszliśmy, jeden z zastępców w szklanej budce wystawił głowę i spojrzał w obie strony. Montez zaprowadził mnie do windy. Wjechaliśmy kilka pięter wyżej i weszliśmy znów w lśniącą żółć, obrzeżoną kolorem niebieskim. Przez otwarte drzwi na końcu korytarza dostrzegłem skotłowane szpitalne łóżka.

- Moje biuro jest tam - wskazał mi Montez.

Pod ścianą przy drzwiach gabinetu stała pochyła drewniana ławka. Po jej przeciwnych końcach siedzieli dwaj zgarbieni mężczyźni w żółtych piżamach. Ten bliżej był krępym, ciemnoskórym Meksykaninem po sześćdziesiątce, o pijackich oczach i obwisłej twarzy. Drugi, młody mężczyzna o gęstych, jasnych włosach, opalony, muskularny, nieledwie jeszcze nastolatek, wyglądałby jak męski model, gdyby nie tiki, przez które jego twarz skakała jak żaba Galwaniego. Kiedy przechodziliśmy, żul się odwrócił. Ale blondyn spojrzał w naszą stronę. W jego oczach pojawiło się coś dzikiego, wyszczerzył zęby.

Nagle spróbował wstać. Obejrzałem się szybko na Monteza, ale on nie zareagował. Chłopak chrząknął i poderwał pośladki pięć centymetrów nad ławkę, a potem ostro opadł z powrotem, jakby pchnęła go brutalnie jakaś niewidzialna ręka. Wtedy zobaczyłem kajdany na jego rękach - metalowe obręcze przykute łańcuchem do obejm przymocowanych do ławki.

Pojawił się zastępca szeryfa z pałką w ręku. Chłopak gardłowo krzyknął. Zastępca stanął czujnie w pewnej odległości; więzień kilka razy uderzył plecami o oparcie, a potem osunął się na ławkę, ciężko dysząc i bezgłośnie przeklinając.

- Zapraszam, doktorze - powiedział Montez, jakby nic się nie stało. Wyjął pęk kluczy, otworzył drzwi i je przytrzymał.

Gabinet był standardowym miejscem pracy urzędnika okręgu: krzesła i biurko z pomalowanego na

szaro metalu, korkowa tablica zawieszona urzędowymi papierami. W pomieszczeniu nie było okna, a wentylację zapewniał wiatrak pod sufitem. Na stoliku za biurkiem stał bujny bluszcz w doniczce i policyjny skaner, syczący i parszający, dopóki Montez nie nachylił się i go nie wyłączył.

- To największy areszt na świecie - powiedział. - Oficjalnie maksymalna liczba więźniów to pięć tysięcy sto. W tej chwili mamy ich siedem tysięcy trzystu. W dobry weekend, kiedy miasto naprawdę zaczyna się bawić, przechodzi przez nas szesnaście tysięcy.

Sięgnął do szuflady i wyjął paczkę miętówek.

- Poczęstuje się pan?

- Nie, dzięki.

Wrzucił cukierka do ust i zaczął go ssać.

- Jest pan psychologiem?

- Tak.

- W teorii funkcjonują tu dwa równoległe systemy: zdrowia psychicznego i więzienny. W założeniach mamy ze sobą współpracować. W rzeczywistości zdrowie psychiczne jest tu gościem. Aresztem kieruje departament szeryfa i główny nacisk kładzie się na utrzymywanie więźniów i na przepustowość. Wkład psychiatryczny uważany jest za jedno z narzędzi do tego służących.

- Brzmi logicznie - powiedziałem.

Montez pokiwał głową.

- Zacząłem od tego tematu, bo ludzie z ochrony zdrowia psychicznego zawsze pytają mnie o naszą filozofię leczenia, sposoby terapii, o tego typu sprawy. Prawda jest taka, że to jedna wielka zagroda: zamykamy ich tu i staramy się utrzymać ich przy życiu i zdrowiu *do* rozprawy. Nawet gdybyśmy mieli czas na psychoterapię, wątpię, by pomogła większości naszych chłopaków. Około piętnastu procent z nich cierpi na poważne zaburzenia psychiatryczne; cięższe niż pacjenci Szpitala Okręgowego. To psychotycy, którzy są przy okazji mordercami, gwałcicielami, złodziejami. Jeśli dodać do tego zwyczajnych, ambulatoryjnych socjopatów, facetów, których uznano za zbyt niebezpiecznych, żeby wypuścić ich za kaucją, tę liczbę trzeba potroić. No i są jeszcze bezdomni i upośledzeni, którzy zrobili coś wyjątkowo oburzającego, a nie stać ich na dziesięć procent z siedemdziesięciu pięciu dolarów kaucji. Większość z nich to też przypadki umysłowe.

- Leczącie ich?

- Jeśli aresztant ma prywatnego psychiatrę, skłonny nadzorować podawanie mu leków, tak jak Cadmus, wtedy dostaje leki. W przeciwnym razie nie. Brakuje nam personelu: jest tylko jeden psychiatra na pół etatu, który czasami tu zagląda, i garść pielęgniarzy na całe więzienie. Zastępcy szeryfa nie mają do tego kwalifikacji.

Zamyśliłem się: tysiąc umysłowo chorych przestępców zamkniętych razem bez leczenia; spytałem, jak długi jest średni pobyt.

- Zazwyczaj liczy się raczej w dniach niż w tygodniach. To znów kwestia przepustowości: musimy ich wyrzucać tak samo szybko, jak przyjmujemy, bo nie byłoby ich gdzie trzymać. I tak aresztanci śpią na dachu latem i na korytarzach, kiedy się ochłodzi. Co jakiś czas trafia się na takiego, który powinien być zostać wypuszczony przed miesiącem, ale nie został,

bo zginęły jego papiery, a miał niekompetentnego prawnika. Mnóstwo adwokatów dużo krzyczy i wypełnia papierki, ale nie rozumieją, jak ten system działa, i ostatecznie bardziej szkodzą, niż pomagają swoim klientom.

- Mnóstwo, ale nie wszyscy - zaznaczyłem.

Montez uśmiechnął się i cmoknął miętówkę.

- Dwie godziny temu z góry przyszło polecenie, żeby pana oprowadzić. No i jesteśmy. To powinno panu coś powiedzieć o wpływach pana Souzy.

- Doceniam, że poświęca mi pan swój czas.

- To żaden problem. Mogę odetchnąć od papierkowej roboty.

Pogryzł miętówkę i połknął ją, potem wyjął z paczki drugą. Zapadła cisza, po czym rozległ się głośny wrzask, a po nim kilka następnych. Ściana za nami zawibrowała od paru głośnych łupnięć - odgłosów ławki tłukącej w gips. Znów krzyki, tupot licznych stóp, szamotania i ponownie cisza. Montezowi nie drgnął ani jeden mięsień.

- Mark musi wrócić do izolatki - powiedział.

- Ten blondyn?

- Aha. W przyszłym tygodniu ma sprawę. Wydawało się, że mu przechodzi. A tu proszę.

- Co zrobił?

- Najadł się PCP i próbował skrócić o głowę swoją dziewczynę.

- Taki koleś nie idzie do celi?

- Kiedy do nas trafił, był za bardzo zaburzony, za ładny, żeby go zamknąć na bloku, a za zdrowy na szpital. Mamy tu lecznicę, trzydzieści pięć pokoiów, izolatek dla więźniów zbyt szurniętych, żeby ich normalnie zamknąć, i tam go wsadziliśmy, ale kiedy zaczął dochodzić do siebie, zabraliśmy go, żeby zrobić miejsce dla większych szajbusów. Trafił na oddział. Pacjenci oddziału mogą poruszać się swobodnie pod nadzorem. Rano zaczął wyglądać podejrzanie, więc go skuli. Najwyraźniej znów ma zjazd. To normalne u ćpunów. Powinien być w izolatce, ale nie mamy żadnej wolnej, więc trafi do celi zamkniętej całą dobę. Jeśli coś się zwolni, przeniesiemy go.

- Brzmi to jak zonglerka - stwierdziłem.

- Odbezpieczonymi granatami. Ale to nie znaczy, że system jest ba-dziwny. Ludzie chcą, żeby bandziorów łapać i zamykać, lecz nikt nie chce płacić za miejsce, w którym można by ich trzymać. Biorąc pod uwagę okoliczności, to chyba najlepiej funkcjonujący system w kraju. Jest tu tylu brutalnych przestępców, że zaludniliby małe miasto, a mimo to wszystko

idzie gładko. Na przykład system przyjęć. Kiedy facet tu trafia, musimy sprawdzić, czy jest członkiem ulicznego albo więziennego gangu, żeby wiedzieć, gdzie go umieścić. Niektóre gangi żyją ze sobą dobrze, inne rozdierają się na strzępy na sam widok. Jeszcze niedawno nie mieliśmy nawet komputera, a wypadki były rzadkie. Gdyby tak nie było, korytarze spłynęłyby krwią, a gdy ostatnio sprawdzałem, wciąż były żółte.

- I niebieskie. - Uśmiechnąłem się.

- Właśnie. Szkolne kolory. Pewnie jakiemuś paniście wydawało się, że to może ułagodzić dzikie bestie.

Zadzwoił telefon. Montez podniósł słuchawkę, przedyskutował przeniesienie Cochran z 7100 do 4500, zapytał o wrzód na nodze Lopeza i o całodobową opiekę nad Boutillierem, a potem odłożył słuchawkę i wstał.

- Jeśli jest pan gotowy, możemy obejść campus. Potem zaprowadzę pana do pana klienta.

Najpierw zabrał mnie do kliniki - trzydziestu pięciu izolatek wybudowanych dla aresztantów z poważnymi problemami psychiatrycznymi. Pięć było oznaczonych jako koedukacyjne i zarezerwowanych dla kobiet, ale trzy z nich zajmowali mężczyźni. Dostęp wizualny umożliwiały zasłonięte drucianą siatką okienka w drzwiach. Pod okienkami taśmą przyklejono kartki z nazwiskami. Na niektórych były też zakodowane wiadomości.

Kody, wyjaśnił Montez, oznaczały cechy więźniów, które wymagały czujności personelu: skłonności samobójcze, uzależnienie od narkotyków, nieprzewidywalność, niedorozwój umysłowy, agresywność, anomalie medyczne i upośledzenia fizyczne - jak w przypadku bezzębnego kaleki bez obu nóg w pierwszej izolatce, stojącego na kikutach kolan i wpatzonego w podłogę. Według kodu był wyjątkowo wybuchowy.

Montez zachęcił mnie, żebym przyjrzał się więźniom, co zrobiłem, chociaż czułem się nieswojo, jak intruz. Izolatki były maleńkie, dwa na półtora metra. W każdej stały łóżko i stalowy sedes, i nic więcej. Większość więźniów leżała na łóżkach, zawinięta w pogniecioną pościel. Kilku spało; reszta patrzyła tępo w przestrzeń. W jednej z izolatek koedukacyjnych zobaczyłem czarną kobietę kuczającą nad sedesem. Zanim zdążyłem się odwrócić, nasze spojrzenia się spotkały; kobieta wyszczerzyła się wyzywająco, rozchyliła nogi, wygięła i zaczęła masować pochwę, oblizując usta. W następnym pokoiku stu pięćdziesięciokilowy biały mężczyzna, cały pokryty tatuażami, stał sztywno jak katatonik, z rękami nad głową i szklistymi oczami. Obok czarny jak węgiel chłopak o rzeźbionej muskulaturze i ogolonej głowie chodził w tę i z powrotem, bezustannie poruszając ustami.

Wygłuszenie wytłumiło jego słowa, ale odczytałem z ruchu warg: pierdolęwypierdalaćpierdolęwypierdalaćpierdolęwypierdalać, w kółko, jak katechizm.

Kiedy powiedziałem, że dość się już napatrzyłem, Montez zaprowadził mnie z powrotem do windy. Gdy czekaliśmy, spytałem, dlaczego Jamey nie przebywa w izolatce.

- Został uznany za zbyt niebezpiecznego. Zamknęli go na oddziale wysokiego rygoru, co wyjaśnię później.

Przyjechała winda i wsiedliśmy. Montez wcisnął guzik piętra i oparł się o zamknięte drzwi.

- I jak wrażenia? - spytał.

- Mocne.

- To, co pan widział, to jeszcze Hilton. Każdy prawnik chce, żeby jego klient trafił do jednego z tych pokoików, a więźniowie ciągle udają wariatów, żeby się tam dostać. Jest tam bezpiecznie, nikogo nie tną ani nie gwałcą, a w celach nie zawsze tak jest.

- Siedem tysięcy chętnych na trzydzieści pięć miejsc - zauważyłem.

- Spory popyt.

- Jeszcze jak. Harvard może się schować.

W miarę jak zbliżaliśmy się do centrum więzienia, ciszę charakterystyczną dla oddziału szpitalnego zastępowało niskie, owadzie buczenie. Montez użył słowa „campus” i, co dziwne, ta uczelniana analogia pozornie tu pasowała - szerokie, jasne korytarze pełne młodych ludzi i gwarne; poziom energii w powietrzu kojarzył się z uniwersytetem podczas tygodnia rejestracji na zajęcia.

Ale ściany tej uczelni były odrapane i przesiąknięte zastarzałym, męskim smrodem, a w oczach jej studentów nie było blasku. Mijaliśmy dziesiątki mężczyzn o kamiennych twarzach i zimnych, przenikliwych spojrzeniach.

Więźniowie chodzili wolno, samotnie albo w małych grupach, a my byliśmy w samym ich środku, niechronieni.

Byli ubrani w granatowe kombinezony. Jedni szli gdzieś z plikami papierów, inni siedzieli rozwaleni na plastikowych krzesłach albo stali w kolejkach po papierosy i słodycze. Od czasu do czasu widać było między nimi umundurowanego zastępcę szeryfa, ale aresztanci mieli ogromną przewagę liczebną nad strażnikami i nie widziałem niczego, co mogłoby ich powstrzymać przed powaleniem swoich dozorców i rozdarciem ich - a przy tym i nas - na strzępy.

Montez zobaczył moją minę i pokiwał głową.

- Mówiłem panu, że to świetny system. Trzyma się na słowo honoru.

Szliśmy dalej. To był świat młodych mężczyzn. Większość więźniów miała poniżej dwudziestu pięciu lat. Strażnicy wyglądali na niewiele starszych. Wszędzie widziałem szerokie ramiona i nabite bicepsy. Wiedziałem, co to oznacza: dużo wysiłku. Podnoszenie ciężarów było ulubioną więzienną rozrywką.

Więźniowie dzielili się rasowo. Większość stanowili czarni. Sporo było tu dreadów, warkoczyków i ogolonych czaszek, mnóstwo lśniących blizn po nożach na ciemnej skórze. Drudzy pod względem liczebności byli Latynosi - mniejsi, ale tak samo ogorzali; nosili bandany, diabelskie bródki i kołysali się jak prawdziwi *vatos locos*. Białych było najmniej: przede wszystkim harleyowców - zwalistych, brodatych typów o obwisłych policzkach, z kolczykami i tłustymi przedramionami wytatuowanymi w Żelazne Krzyże.

Mimo tych różnic wszyscy mieli jedną rzecz wspólną: oczy. Żmurne i martwe, nieruchome, a mimo to przeszywające. Widziałem niedawno takie oczy, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie.

Montez zabrał mnie na blok ogólny, gdzie większość cel była pusta -właśnie widzieliśmy ich mieszkańców - a potem na całodobowo zamknięty, pełen dzikich, wychudzonych mężczyzn w żółtych piżamach, którzy darli pazurami własne twarze i miotali się po celach jak zwierzęta w zoo. Samotny zastępca przyglądał im się smutno ze szklanego sześcianu zawieszzonego w połowie wysokości między dwoma rzędami cel. Zobaczył nas i otworzył drzwi.

Kiedy wszedłem do jego budki, poczułem się jak pętlonurek w klatce z rekinami. Z licznych głośników całego bloku ryczała muzyka soul. Nawet w budce było głośno. Przypomniałem sobie niedawny artykuł w psychiatrycznym periodyku o wpływie trwałego głośnego hałasu na szczury. Gryzonie początkowo stawały się podrażnione, a potem popadały w bierny, psychotyczny stan. Popatrzyłem na miotających się mężczyzn i po raz tysięczny chyba przyszła mi do głowy myśl o związku badań na zwierzętach z sytuacją ludzi.

Całą jedną ścianę zajmowała konsola sprzętu elektronicznego. Nad nią w obejmach wisały dwie strzelby. Więzień w kombinezonie khaki tarł mopem namydloną, betonową podłogę.

- Klawisz? - spytałem.

- Tak. Wszyscy więźniowie są oznaczeni kolorami. Niebieski to zwykły; khaki to klawisz, klawisze transportowi mają czerwone opaski na ramionach, kuchenni białe. Ci w żółtych to przypadki psychiatryczne. Ni gdy nie wychodzą z cel.

- Czym się różnią od tych na oddziale?

- Oficjalnie są mniej zaburzeni, ale to bardzo dyskusyjne.

Do rozmowy wtrącił się zastępca szeryfa. Był niski i krępy, miał wojskowy wąs w kolorze tytoniu i zrytą zmarszczkami twarz.

- Jak bardzo im zależy, przierzucamy ich na oddział, prawda, Patrick?

Montez zareagował na jego śmiech słabym uśmiechem.

- Chodzi mu o to - wyjaśnił - że więźniowie muszą zrobić coś paskudnego, żeby wydostać się z bloku. Odgryźć sobie palec, zjeść pół kilo własnych odchodów.

Jakby na dany znak, więzień w jednej z cel ściągnął piżamę i zaczął się onanizować.

- Wal się, Rufus - mruknął strażnik. - Nie robi to na nas wrażenia.

Odwrócił się do Monteza i przez kilka minut rozmawiali o filmach. Nagi więzień osiągnął orgazm i wytrysnął przez kraty. Nikt nie zwrócił na to uwagi; osunął się na podłogę, zdyszany.

- W każdym razie - powiedział Montez, ruszając do drzwi - obejrzyj to, Dave, to nie Truffaut, ale i tak porządny kawał kina.

- Obejrzę, Patrick. Gdzie idziecie?

- Zabieram doktora na wysoki rygor.

Strażnik popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

- Będzie pan próbował załatwić ograniczoną zdolność któremuś z tych błądnów? - spytał.

- Jeszcze nie wiem.

- Cadmusowi - wyjaśnił Montez.

Zastępca szeryfa prychnął.

- Powodzenia - powiedział i wcisnął przycisk zwalniający zamek pneumatyczny.

- To - powiedział Montez - jest najwyższa półka wrednych typów.

Staliśmy przed nieoznakowanymi, zamkniętymi drzwiami, pilnowanymi przez dwie przemysłowe kamery. Po lewej stronie znajdował się pokój do rozmów z prawnikami. Adwokaci i klienci siedzieli naprzeciwko siebie przy ciągu przedzielonych stolików. Za nimi było kilka prywatnych sal za szkłem.

- Wysoki rygor jest zarezerwowany dla bardzo nagłośnionych spraw, dla więźniów o dużym ryzyku ucieczki i prawdziwych potworów. Zastrzeli pan prezydenta, wysadzi bank z ludźmi w środku albo poćwiartuje tuzin niemowląt, a trafi pan tutaj. Jest tu sto pięćdziesiąt cel i lista oczekujących. Nadzór jest bezustanny, a stosunek liczbowy strażników do więźniów

wysoki. Środki bezpieczeństwa hermetyczne: posiłki wsuwane pod drzwiami, stalowymi drzwiami, i kody wejściowe, które zmieniają się losowo. Nie może pan tam wejść, ale każę go panu

przyprzrowadzić.

Nacisnął dzwonek, a kamera obróciła się z cichym buczeniem. Po kilku minutach olbrzymi, rudowłosy zastępca szeryfa otworzył drzwi i popatrzył na nas podejrzliwie. Montez powiedział coś do niego prawie szeptem. Rudy wysłuchał go i zniknął za drzwiami bez słowa.

- Zaczekamy tam. - Montez wskazał salę rozmów.

Poprowadził mnie obok stolików, przy których trwały ciche narady - milknące, kiedy przechodziliśmy. Prawnicy mieli tak samo przebiegłe spojrzenia jak ich klienci. Jeden z nich, wyglądający na wyczerpanego młody mężczyzna w poliestrowym garniturze, siedział ze stoickim spokojem, kiedy więzień, niski, łysiejący Mulat w grubych okularach, nazwał go skurwysynem i zaczął monologować o swoich prawach.

- Wyznaczony przez sąd - powiedział Montez. - Ubaw po pachy.

Salę patrolowało kilku zastępców szeryfa z krótkofalówkami. Montez przywołał jednego machnięciem ręki - ciemnowłosego, rumianego, przedwcześnie wyłysiałego i delikatnego z wyglądu. Wyjaśnił mu sytuację, a strażnik popatrzył na mnie, pokiwał głową i otworzył jedną z przeszklonych sal, po czym odsunął się poza zasięg słuchu.

- Jakies pytania? - spytał Montez.

- Tylko jedno, ale trochę osobiste.

- Słucham.

- Jak pan sobie radzi z pracą tutaj na pełny etat?

- Nie ma z czym sobie radzić - odparł spokojnie. - Kocham tę robotę. Przerzucanie papierów bywa trochę męczące, ale wszędzie by tak było, za to o wiele nudniej. Tutaj nie ma dwóch takich samych dni. Jestem maniakiem filmów, a mogę żyć jak u Felliniego. Odpowiedziałem panu?

- Bardzo elokwentnie. Dziękuję za informację.

- Nie ma sprawy.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Proszę tu poczekać, to chwilę potrwa. - Montez spojrział na łysiejące go strażnika. - Teraz zajmie się panem zastępca Sonnenschein.

Stałem pod przeszklonym pomieszczeniem kilka minut, a Sonnenschein krążył po sali. W końcu podszedł do mnie niezgrabnym, kołyszącym się krokiem, jakby jego ciało było przedzielone i luźno tylko połączone w pasie. Kciuki założył za szlufki spodni, a kabura tłukła go w bok. Spod rzednących włosów wyglądała dziwnie dziecinna, okrągła jak księżyc twarz; z bliska zobaczyłem, że jest bardzo młody.

- Pana pacjent powinien tu być lada chwila - poinformował. - Przejście przez wysoki rygor trochę trwa. - Obejrzał się za siebie, na przeszklone pomieszczenie. - Muszę pana przeszukać, więc wejdźmy do środka.

Przytrzymał mi drzwi i wszedł za mną. W środku stały niebieski metalowy stół i dwa takie same krzesła, przymocowane do podłogi. Strażnik poprosił, żebym zdjął marynarkę, sprawdził mi kieszenie, przesunął lekko dłońmi po moim ciele, zajrzał do mojej teczki i kazał podpisać książkę odwiedzin. Zauważyłem, że rano o ósmej był tu Souza. Mainwaring godzinę wcześniej.

- Może pan już usiąść - powiedział Sonnenschein.

Usiadłem, on siadł naprzeciwko.

- Chce pan go uznać za niepoczytalnego, prawda? - spytał.

- Chcę z nim porozmawiać, a potem się zobaczy.

- Powodzenia.

Spojrzałem na niego ostro, szukając oznak sarkazmu, ale ich nie znalazłem.

- Chodziło mi o to...

Jego krótkofalówka zatrzeszczała i nie dokończył zdania. Posłuchał, przyłożył ją do ust, wyrecytował parę liczb i powiedział, że wszystko jest gotowe. Wstał, podszedł do drzwi, oparł dłonie na biodrach w pozie oczekiwania.

- Chciał pan coś powiedzieć - przypomniałem mu.

Pokręcił głową.

- Sam pan zobaczy. Już go prowadzą.

3

W pierwszej chwili go nie zobaczyłem. Ginał w falandze strażników, co do jednego olbrzymów. Rudowłosy gigant, który wyrzał do nas zza drzwi wysokiego rygoru, szedł przodem, mierząc mnie wzrokiem i rozglądając się po sali. Kiedy dał znak, weszła reszta, poruszając się jak jakiś wielki, beżowy pająk. Pająk powoli się rozdzielił i ujrzałem trzymanego w jego uścisku skutego chłopca.

Nie poznałbym go, gdyby minął mnie na ulicy. Wyrósł do metra osiemdziesięciu par, ale nie ważył więcej jak sześćdziesiąt kilo. Żółta piżama

zwisła luźno na jego patykowatej sylwetce. Rysy twarzy miał regularne, lecz ascetyczne - sterczące kości napinały cienki namiot skóry. Jego czarne włosy wciąż były długie; zwisły na czoło i przetłuszczonymi strąkami spadały na kościste ramiona. Skóra nabrała odcienia pergaminu z

niezdrowym odcieniem szarości i zieleni. Czarna, rzadka szczecina wysypała mu się na brodzie i pod nosem, na zapadniętym policzku świecił wielki, dojrzały pryszcz. Oczy miał zamknięte. Cuchnął.

Strażnicy poruszali się z bezgłośną precyzją. Mięiste dłonie wciąż zaciskały się na patykowatych ramionach. Jedna para pchnęła Jameya do stołu. Druga go posadziła. Kajdanki na nadgarstkach i kostkach przymocowano do krzesła. Musiał przez to przyjąć niewygodną pozycję, ale pozwalał sobą manipulować, bezwładnie bierny jak marionetka.

Kiedy skończyli, rudy podszedł i przedstawił się: sierżant Koocher.

- Ile to potrwa, doktorze? - spytał.

- Trudno powiedzieć, dopóki z nim nie porozmawiam.

- Wolelibyśmy, żeby ograniczył się pan do maksimum godziny, wrócimy po niego za sześćdziesiąt minut. Jeśli będzie pan potrzebował więcej czasu, niech pan uprzedzi zastępcę Sonnenscheina.

Sonnenschein zmarszczył brwi i przytaknął.

- Jakies pytania? - spytał Koocher.

- Nie.

Dał znak pozostałym i wyszli. Sonnenschein jako ostatni. Zatrzymał się po drugiej stronie szklanej ściany - z ramionami skrzyżowanymi na piersi - tak, żeby widzieć jednocześnie szklane pomieszczenie i salę rozmów. Odwróciłem się od niego do chłopca za stołem.

- Dzień dobry, Jamey. To ja, doktor Delaware.

Przyjrzałem się jego pobladłej twarzy, szukając oznak, że mnie poznał; nic nie zobaczyłem.

- Przyszedłem ci pomóc. Może czegoś ci trzeba?

Kiedy nie odpowiedział, pozwoliłem, by na chwilę zapadła cisza. Nic. Zacząłem mówić, cicho, uspokajająco - że wiem, jaki musi być przerażony, że się cieszę, że do mnie zadzwonił, że bardzo chcę mu pomóc.

Po dwudziestu minutach otworzył oczy. Przez chwilę myślałem już, że się do niego przebiłem. Potem przyjrzałem mu się uważnie i nadzieja czmychnęła z powrotem do swojej nory.

Oczy miał zamglone i rozbiegane, białka szare jak mokry len i przekrwione. Patrzył na mnie i mnie nie widział.

Strużka śliny pociekła z kącika jego ust i spłynęła po brodzie. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem ją, potem przytrzymałem go za podbródek i

spróbowałem wymusić kontakt wzrokowy. Daremnie; jego spojrzenie wciąż było puste i martwe.

Położyłem rękę na jego ramieniu. Sonnenschein kątem oka zauważył ten ruch. Odwrócił się i popatrzył bacznie przez szybę. Spojrzałem na niego uspokajająco; rozumiał, ale nie odwrócił wzroku.

Jamey wciąż siedział bez ruchu. Jego piżama była przesiąknięta potem. Pod wilgotnym materiałem był zimny i sztywny, zupełnie jak trup. Nagle wciągnął policzki i wyduł usta, dmuchając zepsutym powietrzem. Zakołysał głową i zadygotał. Drzenie przeszło z samego środka jego ciała do moich opuszków palców, zniknęło i znów się powtórzyło. Ten przepływ energii był tak gwałtowny, że musiałem siłą woli powstrzymać się, by nie cofnąć ręki. Ale raz już popełniłem ten błąd i nie zamierzałem pozwolić, by znów tak się stało.

A nawet zwiększyłem nacisk palców. Głęboko z trzewi Jameya wyrwał się szloch; jego ramiona uniosły się i opadły. Znów zamknął oczy, a jego głowa zakołysała się jak wahadło i opadła na stół. Leżał tak, z policzkiem przyciśniętym do metalu, z rozdziawionymi ustami, dysząc ciężko przez nos. Nie reagował na nic, co mówiłem czy robiłem.

Spał w odrętwieniu. Patrzyłem na niego i czułem, że podupadam na duchu z każdym jego oddechem. Byłem przygotowany na psychozę, ale nie na aż taki regres. Nie mogłem zastosować standardowego zestawu pytań ustalających stan umysłowy - orientacja w miejscu i czasie, pytania o zaburzony proces myślowy i percepcję. Przez telefon reagował, chociaż minimalnie. Powiedział Milowi, że do mnie dzwonił; to oznaczało jakiś stopień przytomności. Teraz był jak zombi. Nie wiedziałem, czy to stadium przejściowe - ciężka depresja, która czasami następuje po wybuchu schizofrenicznym - czy coś bardziej złowieszczonego: początek końca.

Schizofrenia to niezwykle zespół zaburzeń. Psychiatria przeszła długą drogę od czasów, kiedy psychotyków palono na stosach jako wiedźmy i czarowników, ale korzenie szaleństwa wciąż są nieznane. Psychiatrzy kontrolują objawy schizofrenii lekami, tak naprawdę nie rozumiejąc ich działania. To terapia paliatywna, mająca niewiele wspólnego z leczeniem. Jedna trzecia pacjentów dochodzi do zdrowia samoistnie. Jedna trzecia reaguje pozytywnie na leki i wspierającą psychoterapię. Pozostali to nieszczęśnicy odporni na wszelkie formy leczenia; nieważne, czego by próbować, nieuchronnie osuwają się w całkowity umysłowy rozpad.

Patrzyłem na bezwładne ciało rozciągnięte na stole i zastanawiałem się, w której z tych grup skończy Jamey.

Istniała jeszcze jedna możliwość, ale bardzo nikła. Jego objawy - dygotanie, ślinotok, zasysanie powietrza i dmuchanie - przypominały późną dyskinezę, uszkodzenie nerwów spowodowane dużymi dawkami leków przeciwpsychotycznych. Zaburzenie to pojawia się zazwyczaj u starszych pacjentów leczonych przez okres kilku lat, ale w rzadkich przypadkach poważną dyskinezę notowano nawet po minimalnych dawkach leków. Souza mówił mi, że Mainwaring nadal leczy Jameya w więzieniu, i zanotowałem sobie w pamięci, żeby dowiedzieć się więcej o przyjmowanych przez chłopaka lekach i ich dawkach.

Jamey zaczął głośno chrapać. W miarę jak zapadał w coraz głębszy sen, jego ciało odsuwało się ode mnie, robiło się wiotkie, prawie płynne, jakby rozpuściły mu się kości. Jego oddech zwolnił. Wciąż trzymałem mu dłoń na ramieniu i mówiłem do niego, z nadzieją, że jakaś odrobina pociechy

przedostanie się przez ten stupor.

Siedzieliśmy tak prawie godzinę. Odsunąłem się dopiero, kiedy przyszli strażnicy i zabrali go z powrotem do celi.

Sierżant Koocher polecił Sonnenscheinowi odprowadzić mnie do wyjścia.

- Rozumiem, co pan miał na myśli, mówiąc: „powodzenia” - oznajmiłem, kiedy szliśmy. - Chodziło panu o to, że trudno go skłonić do reakcji.

- Aha.

- Często taki jest?

- Prawie stale. Czasami zaczyna płakać albo krzyczeć. Ale przeważnie tylko siedzi i się gapi, aż zaśnie.

- Był taki, odkąd tu trafił?

- Kiedy go tu przywieźli, dwa dni temu, był bardzo pobudzony. Jak ćpun. Musieliśmy go wiązać. Ale nie minęło wiele czasu, zanim zaczął gasnąć.

- Rozmawia z kimś?

- Nie widziałem.

- Ze swoim adwokatem?

- Souza? Nie. Souza odstawia ojcowskie sceny, obejmuje go, daje mu sok i ciastka. Cadmus go olewa. W ogóle go nie ma.

Skręciliśmy za róg i prawie zderzyliśmy się z grupą więźniów. Na widok munduru Sonnenscheina ostro skręcili, żeby nas wyminąć.

- Dla niego to chyba dobrze - powiedział strażnik.

- Co?

- To, że tak się... zdekompensował.

Zauważył moje zaskoczenie - użył przecież fachowego terminu - i wyszczerzył się wesoło.

- Studiuję psychologię - wyjaśnił. - Jeszcze rok do licencjatu. Zainteresowała mnie praca tutaj.

- Mówi pan, że on udaje psychozę, żeby sąd uznał go za niepoczytalnego.

Sonnenschein wzruszył ramionami.

- To pan jest lekarzem.

- A pana opinia? Tak między nami.

Nie odpowiedział od razu.

- Tak między nami? Nie wiem. Po niektórych świrach od razu widać, co kombinują. Jak tylko tu łądują, zaczynają wariować. Tyle że zazwyczaj przesadzają, bo są niewykształceni: wszystko, co wiedzą o psychozie, wiedzą z telewizji i horrorów. Wie pan, o czym mówię.

- Wiem. Zielone papiery.

- Właśnie. Cadmus nie próbuje takich pierdoł, ale słyszałem, że był geniuszem, więc może po prostu udaje trochę lepiej.

- Mówił pan, że czasami krzyczy. Co mówi?

- Nic. Po prostu ryczy. Bez słów. Jak postrzelony w brzuch jeleni.

- Jeśli coś pan z tego zrozumie, mógłby pan to zapisać i pokazać mi, kiedy przyjadę tu znowu?

Pokręcił głową.

- Nie ma mowy, doktorze. Jeśli powiem o tym panu, będę musiał powiedzieć też prokuratorowi. Jeśli zrobię coś takiego w tym przypadku, zaczną się pytania. Skończy się tak, że będę dla wszystkich coś robił i zacznę zaniedbywać pracę.

- W porządku. Tylko spytałem.

- Nic nie szkodzi.

- Wobec tego zapytam pana o coś innego. Macie tu jakiś zapis zachowań więźniów wysokiego rygoru?

- Oczywiście. Meldunki o incydentach, niezwykłych wydarzeniach. Tyle że wrzaski to nic niezwykłego. Są takie noce, że nie słychać nic innego.

Przy windzie musieliśmy poczekać.

- Niech mi pan powie - zagadnął Sonnenschein - lubi pan swoją pracę?

- Najczęściej tak.

- Jest cały czas interesująca?

- Bardzo.

- Dobrze to słyszeć. Uwielbiałem zajęcia z psychologii, zwłaszcza anormalnej. Myślałem o

magisterce czy czymś takim. Ale to oznacza dalszą naukę, to poważna decyzja, więc pytam psychiatrów, którzy tu przychodzą, czy lubią to, co robią. Ostatni, którego spytałem, ten drugi lekarz Cadmusa, popatrzył na mnie dziwnie, jakbym zadał podchwytliwe pytanie, jakby nie rozumiał, o co naprawdę mi chodzi.

- Ryzyko zawodowe. Nadinterpretacja.

- Może tak, ale odniosłem wrażenie, że on po prostu nie lubi gliniarzy.

Przypomniałem sobie, co Souza mówił o Mainwaringu jako biegłym obrony, ale powstrzymałem się od komentarza. Minęło kilka sekund.

- A więc - powiedział Sonnenschein - naprawdę pan lubi swoją pracę?

- Nie przychodzi mi do głowy nic innego, co wolałbym robić.

- Doskonale. - Uśmiechnął się, a potem spochmurniał. - Wie pan, kiedy człowiek spędzi tu trochę czasu, popatrzy na tych ludzi i posłucha o tym, co zrobili, zaczyna chcieć zrozumieć, skąd się tacy biorą, rozumie pan?

- Pewnie, że rozumiem.

Drzwi do windy się otworzyły. Weszliśmy do środka i zjechaliśmy na dół w milczeniu. Kiedy znów się otworzyły, Sonnenschein przybrał kamienny wyraz twarzy. Życzyłem mu powodzenia na studiach.

- Dzięki - rzekł, wychodząc i przytrzymując drzwi, żeby się nie zamknęły. - Niech pan posłucha, mam nadzieję, że pan się dowie, co jest temu chłopakowi. Gdybym mógł panu pomóc, pomógłbym. Ale nie mogę.

Wszedłem do śluzy. Za niebieskimi prętami w poczekalni zobaczyłem dwóch mężczyzn. Stali plecami do mnie, chowając pistolety do jednej z szafek. Zabrałem legitymację i wyszedłem akurat wtedy, kiedy podchodzili do okienka. Jednym z nich był Cal Whitehead. Drugi też był potężny, zwalisty i ponury, o bladej skórze, gęstych czarnych włosach i niepokojących, zielonych oczach pod krzaczastymi, czarnymi brwiami. Włosy miał obcięte krótko z tyłu i z boków - zostały tylko niemodne baki - i długie na górze. Puszysty lok spadał mu na czoło. Jego twarz była szeroka, o grubych rysach - okazały nos, wydatne uszy i pełne, miękkie wargi - zeszpecona bliznami po ospie. Miał na sobie workowate, pogniecione ubranie: brązową sztruksową marynarkę z zapinanymi na guziki klapami kieszeni i paskiem

z tyłu, grube, beżowe spodnie, zniszczone buty, brązową koszulę i krawat w kolorze musztardy.

- Hej, to pan psychiatra - powiedział Whitehead.

Zignorowałem go i spojrzałem na tego drugiego.

- Cześć, Milo.

- Cześć, Alex. - Mój przyjaciel był wyraźnie skrępowany.

Niezręczna cisza zapuściła korzenie i zakiełkowała; w końcu przerwało ją warknięcie zza szkła. Milo odpiął z kłapy marynarki swoją policyjną odznakę i wrzucił ją do korytka. Whitehead zrobił to samo ze swoją odznaką szeryfa.

- Co u ciebie? - spytałem.

- W porządku. - Milo wbił oczy w swoje buty. - A u ciebie?

- W porządku.

Odkaszlnął i odwrócił się, trąc twarz dużą, miękką dłonią, jakby ją mył bez wody. Niezręczna cisza zakwitła. Whiteheada to chyba bawiło.

- Hej, doktorze - powiedział - jak pana pacjent? Gotowy puścić farbę i oszczędzić nam zachodu?

Milo skrzywił się i rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

- Niech zgadnę - drwił dalej Whitehead - jest totalnie wyłączony, tak? Sika po nogach, je własne gówno i nie umie odróżnić dobra od zła.

Skierowałem się do drzwi. Whitehead stanął przede mną.

- Wczoraj nie miał pan nic do powiedzenia. Dzisiaj jest pan biegłym.

- Daj spokój, Cal - wtrącił się Milo.

- Tak, zapomniałem - rzucił Whitehead, nawet nie drgnąwszy. - To twój kumpel, więc może odstawić numer z ograniczoną zdolnością.

Drzwi do służy się otworzyły.

- Chodź, Cal - powiedział Milo i zobaczyłem, że zaciska pięści.

Whitehead popatrzył na mnie, pokręcił głową, uśmiechnął się i odsunął.

Zawrócił na pięcie, wmaszerował do służy, a Milo za nim.

Kraty się zatrzasnęły. Whitehead natychmiast przesunął się w lewo i zaczął gawędzić ze strażnikami za szybą. Milo stał sam po drugiej stronie służy. Zanim wyszedłem, próbowałem zwrócić na siebie jego uwagę, ale wbił wzrok w brudną podłogę i ani razu nie podniósł oczu.

Stek puścił krew, kiedy adwokat go przeciął; różowawy sos wokół mięsa rozlał się po porcelanowym talerzu. Souza włożył duży kawałek polędwicy do ust, pogryzł go wolno, połknął, otarł wargi i pokiwał głową.

- Taki był, kiedy odwiedziłem go rano - powiedział. - Wpadł w stupor.

Siedzieliśmy we dwóch w jadalni jego kancelarii. Sala była cicha i spowita w półmrok - ziszczenie marzeń anglofila. Owalny wiktoriański stół z wypolerowanego na lustro mahoniu ciągnął się na niemal całą jej długość, wokół stały gustowne krzesła z brokatową, kwiecistą tapicerką. Całą jedną ścianę zajmował wielki kamienny kominek, pewnie z jakiejś nękaniej przez wiatry posiadłości w Hampshire. Nad nim wisiał oprawiony w ramy herb, otoczony kolekcją myśliwskich sztychów. Na ciemnym parkiecie leżały jedwabne perskie dywany. Ściany wyłożono rzeźbionymi, woskowanymi panelami boazerii, obwieszonymi starymi karykaturami z „Puncha” i obrazami myśliwskich scen. Na żłobionych postumentach w kątach stały marmurowe popiersia literatów. Ciężkie zasłony z tego samego materiału, co obicia krzesel, zakrywały wysokie, łukowate okna, a jedynym źródłem światła był żyrandol Waterford nad środkiem stołu.

- Jeden z zastępców szeryfa powiedział mi, że Jamey był pobudzony, kiedy trafił do więzienia, ale potem stopniowo zamykał się w sobie - powiedziałem.

- To trafna ocena. Cała jego historia to historia rozpadu. W chwili przyjęcia do Canyon Oaks Jamey miał długie okresy świadomości, nawet całe dni. Każdy, kto by z nim wtedy porozmawiał, dziwiłby się, co on tam robi. Jamey był bardzo inteligentnym chłopcem, zanim zaczęły się jego... kłopoty, a jego elokwencja po prostu onieśmiała. Próbował przekonywać wszystkich, że niesłusznie go tam zamknięto. Był tak dobry, że nawet ja raz czy dwa zacząłem powątpiewać w słuszność tej decyzji. Ale w końcu, jeśli spędziło się z nim więcej czasu, psychoza dawała o sobie znać.

- W jaki sposób?

- A to nietrafione słowo, a to nielogiczna myśl. Zestawianie tematów, które nie miały ze sobą żadnego logicznego związku. Zaczynał jakieś zdanie, a potem milkł albo dodawał szczegóły, które nie pasowały. Próby wypytywania go o to bardzo go denerwowały, często wpadał nawet w

histerię: zrywał się, rzucał wstrętne oskarżenia, krzyczał. Z czasem okresy przytomności stawały się coraz rzadsze i krótsze, a Jamey robił się coraz mniej przewidywalny. W końcu nie dało się z nim już normalnie rozmawiać. Doktor Mainwaring użył określenia „głęboka paranoja”. Teraz - Souza pokręcił głową i westchnął - najwyraźniej jest jeszcze gorzej.

- Mówiąc „mniej przewidywalny”, ma pan na myśli: „skłonny do przemocy”?

- Raczej nie, chociaż wydaje mi się, że bez nadzoru mógłby kogoś skrzywdzić. Wymachiwał rękami, skakał, drapał się po twarzy, szarpał za włosy. Raz czy dwa może i był trochę napastliwy, ale przed ucieczką nikomu nic nie zrobił. Nikt nie uważał go za mordercę, jeśli o to panu chodzi.

- Rano ślinił się, dygotał i zasysał powietrze ustami. Widział to pan wcześniej?

- Po raz pierwszy zauważyłem to wczoraj. Oczywiście nie byłem z nim w aż tak bliskim kontakcie, żeby mieć pewność, że wcześniej tak się nie działo. Co te objawy oznaczają?

- Jeszcze nie wiem. Potrzebuję szczegółowej historii jego leczenia: leki, terapia elektrowstrząsowa, psychoterapia, wszystko.

Souza uniósł brwi.

- Sugeruje pan jakąś reakcję toksyczną?

- Na tym etapie nie wiem wystarczająco dużo, by cokolwiek sugerować.

- Dobrze - powiedział z pewnym rozczarowaniem. - Umówię pana na spotkanie z Mainwaringiem, on odpowie na pana pytania. Niech mnie pan koniecznie poinformuje, jeśli będzie pan uważał, że doszło do jakiegoś uszkodzenia mózgu. Moglibyśmy to wykorzystać.

- Będę pana informował na bieżąco.

Souza spojrzał na nietknięte danie na moim talerzu.

- Nie jest pan głodny?

- Nie w tej chwili.

Podniósł do ust szklankę wody z lodem, napił się i odstawił ją.

- Jego stan jest poważny, co dało mi do myślenia, doktorze - powiedział. - Początkowo zastanawiałem się, czy nie wystąpić o odroczenie rozprawy ze względu na stan zdrowia, ale zmieniłem zdanie. Uznałem, że nie ma szans powodzenia. Jamey był zaburzony, ale wciąż mógł się wysławiać, co jakiś czas odzywał się jego geniusz; psychiatra, który porozmawiałby z nim w niewłaściwym momencie, mógłby przez pomyłkę uznać, że Jamey symuluje. W tak mocno nagłościonych sprawach sędziowie zwykle się asekurują; niewielu potrafiłoby dać sobie radę z krzykiem, jaki by się

podniósł po odroczeniu procesu. Teraz jednak sam już nie wiem. Jeśli Jamey pozostanie dłużej w tym stanie albo mu się pogorszy, nawet psychiatrzy oskarżenia pewnie się zgodzą, że nie może stanąć przed sądem. Jak pan uważa?

- Sam pan go podejrzewał o symulowanie?

Souza zaczął właśnie kroić następny kawałek mięsa; moje pytanie sprawiło, że przerwał i podniósł wzrok.

- Nie, raczej nie. Wiem, że jest bardzo chory.

- Ale nie aż tak chory, żeby nie mógł popełnić ośmiu morderstw wymagających starannego planowania.

Odłożył sztucce.

- Nie owija pan w bawełnę, doktorze, prawda? Nieważne, to mi się podoba. Tak, ma pan rację. Nie mamy do czynienia z jedną, katartyczną eksplozją żądzы krwi; morderstwa popełniano z perwersyjną dokładnością, dbając o szczegóły. To sugeruje dystans i zdolność analitycznego myślenia, co z kolei stoi na przeszkodzie całej koncepcji linii obrony opartej na ograniczonej poczytalności. Jestem jednak przekonany, że wiem, jak poradzić sobie z tym problemem; o tym później. - Tak czy inaczej, co pan sądzi o pomysle wnioskowania o odroczenie rozprawy?

- Co by to znaczyło z praktycznego punktu widzenia?

- Przymusowy pobyt w zakładzie do chwili, kiedy zostanie uznany za zdolnego stanąć przed sądem, co w tym przypadku może oznaczać „jeśli”, a nie „kiedy”. Ale czy byłoby to dobre dla chłopca? Zostanie skierowany do szpitala stanowego, a pobyt tam to horror. Skończy na oddziale nawrotowych, co samo w sobie może być wyrokiem śmierci. Jeśli staniemy przed sądem i powiedzie się nam z ograniczoną zdolnością, będziemy mieli więcej możliwości w zapewnianiu mu dalszej opieki.

Wiedziałem, o co mu chodzi. O kolejny prywatny szpital, gdzie pieniądze rodziny odegrałyby dużą rolę w wyborze terapii i decyzjach o wypisie. Jamey zostałby tam zamknięty do czasu, kiedy sprawa by ucichła, a potem bez rozgłosu zwolniony na odpowiedzialność swoich opiekunów.

Wyobraziłem sobie mrozący krew w żyłach scenariusz. Czy Jamey stałby się kolejną psychologiczną bombą zegarową, podłożoną na ulicy z receptą na torazynę i umówioną wizytą u terapeuty, bo jakiś ekspert źle odczytałby supresję behawioralną jako znaczącą poprawę? Jeśli tak, stopniowe nieposłuszeństwo byłoby przygnębiająco przewidywalne - nie-łykane pigułki, opuszczone wizyty - tak jak jego konsekwencje: nieunikniony powrót demonów. Zagubienie, ból. Nocne spacery. Nagłe wybuchy podsycane paranooidalną furią. Krew.

Aż do tej chwili byłem w stanie angażować się w sprawę Jameya - siedzieć naprzeciw niego i współczuć mu - bo dystansowałem się od zbrodni, o które go oskarżono, nie dopuszczając do siebie możliwości, że zarznął osiem istot ludzkich. Ale chyba nawet Souza zakładał, że chłopak jest winny, i kiedy słuchałem jego dywagacji o strategiach i elastyczności opieki, nie mogłem nie stanąć twarzą w twarz z konsekwencjami mojego w tym udziału.

Jeśli Jamey naprawdę zrobił to, co wszyscy twierdzili, że zrobił, nie chciałem żadnej elastyczności. Chciałem, żeby go zamknęli na zawsze.

Nie byłem najlepszym biegłym obrony.

Mal Worthy mówił o emocjonalnym spokoju, wynikającym z odcięcia się od własnych uczuć, z oddzielania wartości od czynów. Ale ja nie byłem adwokatem i nigdy nie mógłbym nim być. Patrzyłem, jak Souza odkrawa kawałek steku i wkłada go do ust, i zastanawiałem się, jak długo wytrwam w jego drużynie.

- Nie wiem - powiedziałem. - To trudna sprawa.

- Cóż, doktorze. - Uśmiechnął się. - To mój problem, nie pański. Odsunął talerz i dolna część jego twarzy zniknęła na chwilę za serwetką z białego lnu.

- Mogę zadzwonić do kuchni po coś innego, jeśli ma pan ochotę. Owoce, kawa?

- Nie, dziękuję.

Obok dzbanka z wodą stał mosiężny talerzyk z miętówkami. Souza poczęstował mnie nimi, a kiedy odmówiłem, sam zjadł jedną. Guzik pod krawędzią stołu przyzwał Filipinkę w czarnym uniformie, która zabrała talerze.

- Co chciałby pan wiedzieć o rodzinie Cadmusów? - spytał Souza, kiedy kobieta odeszła.

- Zaczijmy od opiekunów Jameya i istotnych związków w jego życiu, w tym szczegółach śmierci jego rodziców.

- Żeby to wszystko zrozumieć, najlepiej będzie cofnąć się o jedno pokolenie i zacząć od jego dziadka - odparł z namysłem Souza.

- Dobrze. - Wyciągnąłem notes i długopis.

- Poznałem Johna Cadmusa w Niemczech, tuż po wojnie. Byłem wojskowym prawnikiem przydzielonym do Sekcji Śledczej Zbrodniarzy Wojennych, a on polowym przedstawicielem biura generała odpowiedzialnego za sądenie tych drani. Zaczął wojnę jako szeregowiec piechoty, odznaczył się bohaterstwem w kilku ważnych bitwach i w wieku dwudziestu siedmiu lat został pułkownikiem. Zaprzyjaźniliśmy się, a kiedy ja wróciłem

do Kalifornii, Czarny Jack... tak go nazywano, bo był czarnowłosym Irlandczykiem... postanowił pojechać ze mną. Pochodził z Baltimore, ale niewiele go tam trzymało, a Zachód był krainą możliwości. Miał zdolności wizjonerskie, przewidział powojenny boom demograficzny i w konsekwencji niedobór mieszkań. W tamtych czasach San Fernando Valley była niezagospodarowana: trochę rancz i sadów, trochę państwowych terenów przeznaczonych pod bazy wojskowe, których nigdy nie zbudowano, poza tym kurz i krzaki. Jack zaczął kupować tyle ziemi, ile mógł. Zapożyczył się po uszy, ale udało mu się zwodzić wierzycieli na tyle długo, by podszkolić się w architekturze i budowlance i wynająć ekipy. Kiedy zaczął się boom, on miał wybudowane dziesiątki osiedli: tysiące domów, głównie pięciopokojowe bungalowy na działkach piętnaście na trzydzieści metrów. Dopilnował, żeby na każdej rosło drzewko owocowe - pomarańcza, cytryna, morela - i rozreklamował się na cały kraj, sprzedając kalifornijski sen. Domy sprzedawały się tak szybko, jak je stawiał, i w wieku trzydziestu lat był już multimilionerem. W końcu rozszerzył działalność na projekty handlowe i przemysłowe i w 1960 roku Cadmus Construction stało się trzecią co do wielkości firmą budowlaną w stanie. Kiedy umarł, w sześćdziesiątym dziewiątym, jego firma zaczynała duże budowy w Arabii Saudyjskiej, Panamie i połowie Europy. To był wielki człowiek, doktorze.

Usłyszałem właśnie pean na cześć nieboszczyka i nie wiedziałem, jaki był tego sens.

- Jaki był jako mąż i ojciec? - spytałem.

Souzę to pytanie zirytowało.

- Kochał swoich chłopców i był dobry dla żony.

Dziwna odpowiedź. Moja mina to zdradziła.

- Antoinette miała problemy - wyjaśnił Souza. - Pochodziła z Pasadeny, z rodziny z tradycjami, która straciła pieniądze, ale udało się jej zachować pozory i pozycję towarzyską. Jack poznał ją na balu charytatywnym i od razu go oczarowała. Była piękna. Szczupła, bardzo blada, bardzo krucha, o wielkich, smutnych niebieskich oczach, takie są też oczy Jameya. Ale dla mnie zawsze była dziwna. Niedostępna, nadwrażliwa. Myślę, że to jej delikatność właśnie tak pociągała Jacka, lecz niedługo po ślubie wyszło na jaw, jakie naprawdę ma problemy.

- Jakie problemy?

- Te z pana parafii. Z początku wydawało się, że jest bardzo nieśmiała, nietowarzyska. Potem stało się jasne, że bała się wychodzić z domu, bała się życia w ogóle. Jestem pewien, że jest na to fachowe określenie.

- Agorafobia.

- Agorafobia - powtórzył. - To był problem Antoinette. Wtedy oczywiście uznano ją za chorą fizycznie. Słabego zdrowia. Jako prezent ślubny Jack podarował jej wspaniałą posiadłość na Muirfield, obok country clubu, kilka przecznic stąd; teraz należy do jakiegoś pakistańskiego chirurga. Kiedy już się tam zadomowiła, nigdy nie wyszła na zewnątrz, nawet nie obejrzała ogrodów. W ogóle rzadko opuszczała swój pokój, cały dzień leżała w łóżku, pisała wiersze na kawałkach papieru, popijała słabą herbatę i skarżyła się na najróżniejsze bóle i dolegliwości. Jack ściągnął połowę specjalistów z miasta, każdy podawał jej swoje wywary i toniki, ale bez efektu. W końcu poddał się, zrezygnował, godząc się na jej słabość.

- Była dość silna, by rodzić dzieci - stwierdziłem.

- Niesamowite, prawda? Peter, ojciec Jameya, urodził się dziesięć miesięcy po ślubie, w czterdziestym ósmym. Dwight rok później. Jack miał nadzieję, że radości macierzyństwa przewyciężą depresję żony, ale jej się pogorszyło i przez obie ciąży niemal stale musiała dostawać środki uspokajające. Po urodzeniu Dwighta zamknęła się w sobie jeszcze bardziej i odrzuciła dziecko, nie chciała go karmić ani nawet potrzymać. Sytuacja pogorszyła się do tego stopnia, że zaczęła zamykać drzwi i nie chciała widzieć Petera ani Jacka. Następne dwa lata spędziła w swoim pokoju, pijąc wywary i łykając pigułki, pisała poezje i drzemała. Czasami krzyczała przez sen, jakby miała koszmary. Potem zaczęła oskarżać wszystkich, Jacka, służbę, nawet dzieci, że spiskują przeciwko niej, że chcą ją zabić; typowe bzdury paranoika. Kiedy przestała jeść i zamieniła się w żywego trupa, Jack zrozumiał, że trzeba ją oddać do szpitala, i zaplanował jej pobyt w zakładzie w Szwajcarii. To miała być tajemnica, ale chyba jakoś się o tym dowiedziała, bo tydzień później już nie żyła, przedawkowała jeden ze swoich leków; najwyraźniej zawierał jakieś opiaty, a ona zjadła go

dość, żeby ustała akcja serca.

- Kto przez ten cały czas zajmował się chłopcami?

- Jack wynajmował opiekunki. Kiedy podrośli, wysłał ich do szkół z internatem. Robił, co mógł, w tych okolicznościach, doktorze, dlatego właśnie tak, a nie inaczej odpowiedziałem na pana pytanie, jakim był ojcem.

Kiwnąłem głową.

- Teraz schizofrenię uważa się za chorobę genetyczną, prawda? - spytał.

- Rodziną. Przypuszczalnie to połączenie dziedziczności i środowiska.

- Dla mnie Jamey jest w wielkim stopniu wytworem swoich genów.

Błyskotliwy intelekt ma po Jacku. Resztę z drugiej strony: tendencje społeczne, paranoję, chorobę obsesję na punkcie fantazjowania i poezji. Obciążony takimi genami, jak może być normalny?

Próbował zrobić współczującą minę, ale jego refleksje miały w sobie wystudiowaną pasję przygotowanego przemówienia. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, zadałem własne:

- Jak brak matki wpłynął na Petera i Dwighta?

- Bardzo się różnili, więc trudno uchwycić skutek sam w sobie. Dwight był zawsze grzeczny i posłuszny. Wcześniej wybrał swoją drogę i pozostał konsekwentny. Peter inaczej. Przystojny, szalony, zawsze sprawdzał, jak daleko może się posunąć. Był inteligentny, ale nigdy nie potrafił pilnie się uczyć, i Jack musiał wyposażyć budynek uniwersytecki, żeby Petera przyjęto na studia. Kiedy już się na nie dostał, dalej się obijał i w końcu wyrzucili go po trzech semestrach. Jack powinien więcej od niego wymagać, ale Peter był jego ulubieńcem, więc zamiast tego go rozpieszczał. Sportowe wozy, karty kredytowe, wczesny dostęp do funduszu powierniczego. Chłopakowi przewróciło się w głowie. Połączenie takiego permissywizmu z nonsensem lat sześćdziesiątych całkowicie zniszczyło mu charakter.

- Narkotyki?

- Narkotyki, alkohol, rozwiązłość, wszystkie te kontrkulturowe bzdury, trafiające prosto we wrodzony hedonizm Petera. W wieku dziewiętnastu lat miał ferrari. Jeździł nim po Sunset Boulevard i podrywał dziewczyny. Któregoś wieczoru pojechał do baru topless, spodobała mu się jedna tancerka, błysnął jej uśmiechem i zawartością portfela i zabrał ją do San Francisco. To było w sześćdziesiątym ósmym; czas hipisów. Oboje rzucili się w to na oślep, zamieszkali w jakiejś komunie w melinie przy Haight-Ashbury, łykali każde prochy, jakie wpadły im w ręce. Bóg jeden wie, co jeszcze. Pijawki, z którymi mieszkali, wiedziały, jak korzystać z okazji, i fundusz powierniczy zaczął wysychać.

Souza zmarszczył brwi z wyższością.

- Jego ojciec nie próbował tego powstrzymać?

- Oczywiście, że próbował. Kazał mi wynająć prywatnych detektywów, którzy wytropili ich w kilka dni. Jack polecił porozmawiać z Peterem i przeżył największy szok w życiu. Chłopak, którego zapamiętał, był przystojny, pedant aż do przesady, jeśli chodzi o strój i wygląd. W San Francisco stanął twarzą w twarz z istotą, którą ledwie poznał. Ciągle pamiętam jego słowa: „On wyglądał jak cholerny martwy Jezus, Horace, prosto z cholernego krzyża”. Jak opowiadał, Peter był brudny, śmierdzący

i wychudzony, oczy mu się szklily i bełkotał. Włosy miał długie jak dziewczyna, związane w kucyk, do tego spleciona, niestrzyżoną brodę. Jack chciał zabrać go do domu, a kiedy Peter odmówił, zagroził mu odcięciem dopływu gotówki. Peter kazał mu nie wtrącać się w nieswoje sprawy, ujął to bardzo wulgarnie i doszło do bijatyki. Pijawki się włączyły i Jack dostał łomot. Wrócił do Los Angeles emocjonalnie zdruzgotany. W końcu dziewczyna zaszła w ciążę. Nie korzystała z pomocy lekarzy, przeszła na jakąś dietę opartą na brązowym ryżu i domowej roboty ziołowych wywarach. Poród był ciężki i wykrwawiła się na śmierć. Dziecko jakimś cudem przeżyło, a Peter tak się wystraszył, że przywiózł chłopca do szpitala. Mały miał bronchit, wysypki i inne infekcje, ale w końcu doszedł do siebie. Pokręcił głową, wspominając.

- W taki oto sposób, doktorze Delaware, nasz mały Jamey przyszedł na świat. Niezbyt dobra wróżba na początek, co?

Przestałem robić notatki.

- Jak nazywała się matka? - spytałem.

- Margaret Norton - odparł z roztargnieniem, jakby nazwisko i osoba nie miały znaczenia. - Mówiła na siebie Margo Sunshine. Sprawdziliśmy ją. Uciekła z domu, z New Jersey. Jej matka umierała po zatruciu alkoholem. Kiedy Peter zobaczył ją tańczącą nago, miała siedemnaście lat. Była jednym z tych dzieciaków, które dryfują bez celu. Ale znalazła się we właściwym momencie we właściwym miejscu i skończyła jako pani Cadmus.

I trup, pomyślałem, zachowując to dla siebie. Souza przyjrzał się swoim spinkom do mankietów.

- Teraz pan rozumie - powiedział - dlaczego uważam, że historia rodziny wesprze teorię o ograniczonej zdolności. Niech pan tylko popatrzy, co tu mamy: złe geny, niedożywienie przed porodem, rodzice narkomani, to na pewno prowadziło do jakichś uszkodzeń mózgu, prawda? Do tego traumatyczny poród, wczesne infekcje i brak matki... cała litania nieszczęść.

- Kto wychowywał Jameya? - spytałem, ignorując jego wywód.

- Peter. Nie, żeby był do tego stworzony. Ale przez jakiś czas wydawało się, że dorósł, że stał się odpowiedzialny. Jack miał wątpliwości co do ojcostwa, ale podobieństwo dziecka do Petera było uderzające, i kiedy wrócili do domu, przyjął obu z otwartymi ramionami, zapłacił za najlepszych lekarzy, pielęgniarki i niańki, zbudował żłobek. Z początku zdawało się, że chłopczyk zbliża Jacka i Petera. Bardzo starali się go rozweselić, co nie było łatwe, bo mały miał kolki i bez przerwy płakał. Kiedy Peter tracił cierpliwość, wkraczał Jack. Stali się sobie bardzo bliscy. Potem, w listopadzie

sześcioletniego dziewiętego, Jack zachorował. Rak trzustki. Zmarł w kilka tygodni. Wszyscy byliśmy wstrząśnięci, ale najgorzej zniósł to Peter. Był w szoku, nagle musiał stawić czoło tyłu obowiązkom. Przez dwadzieścia jeden lat ojciec wszystko mu ułatwiał, teraz został sam. W dodatku należało zająć się firmą. Jack był typem przywódcy, nie umiał zlecać zadań, wszystko pamiętał albo zapisywał na luźnych kartkach. Zrobił się z tego straszny bałagan, a Peter musiał to wszystko jakoś ogarnąć. W dzień pogrzebu przyszedł do mnie, dosłownie dygocząc z przerażenia, zastanawiał się, jak prowadzić firmę i wychowywać dziecko, kiedy nie potrafi nawet pokierować własnym życiem. Smutna prawda była taka, że się nie mylił. Nie miał głowy do interesów. Dwight wykazywał pewien talent w tych sprawach, kończył ekonomię w Stanford, ale miał ledwie dwadzieścia lat, a ja zachęcałem go, żeby kontynuował studia. Zacząłem wynajmować zawodowych menedżerów, a oni odpowiednio zreorganizowali firmę. Trwało to rok. Przez cały ten czas Peter się nie pozbierał. Próbował zaangażować się w sprawy firmy, ale szybko go to nudziło. Moją sugestią, żeby wrócił na studia, zbył wzruszeniem ramion. Nie miał celu w życiu, wpadł w depresję i zaczął się odsuwać od dziecka! Historia zaczynała się powtarzać, więc powiedziałem mu, żeby poszukał pomocy psychiatry. Odmówił i szybko się stoczył. Jestem pewien, że znów zaczął brać narkotyki. Jego oczy nabrały szalonego wyrazu, stracił dużo na wadze. Całe dni spędzał w swoim pokoju, a potem nagle pędził gdzieś jednym ze swoich samochodów i nie wracał przez kilka dni.

- Jak Jamey na to reagował?

- Zobojętniał na wzloty i upadki Petera. Szybko stało się jasne, że jest niezwykle inteligentny. Przydreptał do ojca i, nad wiek rozwinięty, mówił różne rzeczy, wyraźnie obliczone na zwrócenie na siebie uwagi. Ale zamiast go ująć, ten szybki rozwój przerażał Petera; reakcja? Odtrącił syna. Fizycznie, naprawdę go odpychał. Sam nigdy nie byłem ojcem, ale wiem, jaką krzywdę wyrządza to małemu dziecku. Rozmawiałem o tym z Peterem, ale rozgniewał się tylko i nazwał Jameya dziwolągiem, powiedział, że się go boi. Wściekał się, kiedy o tym mówił, więc dałem spokój, bojąc się o bezpieczeństwo małego.

- Zawsze był taki wybuchowy?

- Wcześniej nie. Tak samo jak Jack nie miał cierpliwości, ale nic ponad to. Sprawa jednak zaczęła się wymykać spod kontroli. Drobne rzeczy, choćby mały nieporządek, jaki robią dzieci, które spokojniejszą osobę tylko by zirytowały, jego doprowadzały do szału. Nieraz trzeba było go powstrzymać, bo chciał uderzyć Jameya pięścią. Nianie musiały pilnować

ich przez cały czas. Kiedy stracił zainteresowanie ojcostwem, nikt nie próbował mu wyperswadować, by zajął się synem.

- Czy doszło do fizycznego znęcania się?

- Nie. A kiedy Peter zrezygnował z bycia ojcem, dziecko było bezpieczne, bo zrezygnował całkowicie. Tak jak jego matka, zamknął drzwi przed życiem i został pustelnikiem. I tak samo jak ona położył kres swojemu nieszczęściu, odbierając sobie życie.

- Jak?

- Powiesił się. W domu była sala balowa z wysokimi sklepieniami i grubymi, dębowymi belkami. Peter wszedł na krzesło, zarzucił linę na belkę, zaciągnął sobie pętlę na szyi i kopnął krzesło.

- Ile lat miał Jamey, kiedy to się stało?

- To było w 1972, więc musiał mieć ze trzy latka. Zatailiśmy przed nim szczegóły. Myśli pan, że mógł to zapamiętać?

- Możliwe. Mówił kiedyś o tym?

- Tylko ogólnie, że nie ma ojca, zadawał filozoficzne pytania o samobójstwo. Rozmawiałem z Dwightem i Heather, i z tego, co wiem, nigdy nie wypytywał o makabryczne szczegóły ani nikt mu o nich nie mówił. Wspominał panu coś o wieszaniu się?

- Nie. Był bardzo skryty w sprawach osobistych. Czemu to ważne?

- Może mieć znaczenie dla konstrukcji linii obrony. Okoliczności towarzyszące morderstwom, zwłaszcza morderstwu Chancellora, skłoniły mnie do zastanowienia nad wpływem wczesnych wspomnień na zachowania w dorosłym życiu. Wszystkie ofiary były uduszone przed pocięciem, a Diga Chancellora znaleziono powieszzonego na belce. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- A więc sugeruje pan, że morderstwa były symbolicznymi aktami ojcobójstwa?

- To pan jest psychologiem, doktorze. Zaczekam na pana interpretację.

- Czy dostarczenie motywu zbrodni nie podziałałoby przeciw panu? Zbrodnie zaczęłyby przecież chyba wyglądać na bardziej celowe?

- Nie, jeśli wykażemy, że ten motyw był nielogiczny i psychotyczny. Umysły przysięgłych nie tolerują próżni. Jeśli nie będzie motywu, wymyślą własny. Jeżeli wykażę, że chłopiec był więźniem dawno pogrzebanych chorych impulsów, pomoże ich to skierować w tę stronę. Ogólnie rzecz biorąc, im więcej psychologii uda mi się wprowadzić w ten proces, tym większa nasza szansa powodzenia.

Zawsze myślał strategicznie.

Odrzuciłem zaproszenie do zabawy we Freuda i spytałem, kto wychowywał Jameya po samobójstwie jego ojca.

- Dwight. Zrobił już magisterium i pracował w Cadmus Construction, odbywał staż dyrektorski. Oczywiście codzienną opiekę dalej sprawowały guwernantki i opiekunki, ale Dwight się starał: wyjeżdżał z chłopcem, uczył go grać w piłkę. Na pewno poświęcał mu więcej uwagi niż Peter.

- Powiedział pan „gubernantki” w liczbie mnogiej. Ile ich było?

- Sporo. Przychodziły i odchodziły. Żadna nie została dłużej niż kilka miesięcy. Jamey był trudnym dzieckiem, kapryśnym i humorzystym, a jego inteligencja jeszcze pogarszała sprawę, bo wiedział, jak używać języka do zastraszania innych. Kilka z tych kobiet odeszło z płaczem.

- Gdzie mieszkali w tym okresie?

- W domu przy Muirfield. Dwight wrócił do domu po studiach, niedługo przed śmiercią Petera. Kiedy on i Heather się pobrali, sprzedali dom i kupili mniejszy, wygodniejszy, w pobliżu.

- Jaki Jamey miał do nich stosunek?

Po raz pierwszy w naszej rozmowie Souza się zawahał, choć bardzo krótko.

- Domyślam się, że jakieś trudności były, tak podpowiada logika, ale z zewnątrz utrzymywali pozory spokoju.

- Jak Jamey i Heather się do siebie odnosili? Znów zawahanie.

- Chyba dobrze. Heather to cudowna dziewczyna.

Przez większą część rozmowy mówił z pełnym przekonaniem. Teraz wydawał się niepewny. Powiedziałem mu to.

- Zgadza się - odparł. - Ufałem Dwightowi i kiedy przejął sprawy firmy, moje zaangażowanie w ich osobiste problemy zmalało. On i Heather opowiedzą o ostatnich wydarzeniach lepiej niż ja.

- Dobrze.

Zadzwoił po kelnerkę w czerni i zamówił herbatę. Kobieta wyszła, po czym wróciła z chińską porcelaną z jego gabinetu. Tym razem przyjąłem filiżankę.

- Sprawia pan wrażenie - napomknąłem między łykami - kogoś więcej niż rodzinnego adwokata.

Souza odstawił herbatę i oblizał wargi szybkim, gadzim ruchem języka. W półmroku jego cera nabrała połysku; w miarę jak mówił, czerwieniał z gniewu.

- Czarny Jack Cadmus był moim najlepszym przyjacielem. Razem się wybiliśmy, a nie było łatwo. Kiedy zaczął skupować ziemię, zaoferował mi

pięćdziesiąt procent udziałów. Byłem ostrożny i nie mogłem uwierzyć, że te chaszcze kiedyś zamienią się w miasto, więc mu odmówiłem. Gdybym się zgodził, byłbym jednym z najbogatszych ludzi w Kalifornii. Kiedy zaczęły napływać pieniądze, Jack i tak wmusił mi pokazać sumę, twierdząc, że pomogłem mu w kwestiach prawnych: przy szukaniu ksiąg wieczystych, spisywaniu dokumentów. To prawda, ale zapłacił mi o wiele więcej, niż moje usługi były warte. Za te pieniądze założyłem kancelarię, kupiłem ten budynek i wszystko, co posiadam, a nie wstydę się powiedzieć, że jest tego dużo.

Nachylił się do mnie, a promień światła z żyrandola zaśnił na jego łysej czaszce.

- Jack Cadmus jest odpowiedzialny za to, kim dzisiaj jestem, doktorze. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Oczywiście.

Trwało kilka sekund, zanim jego twarz znów przybrała profesjonalny, nieprzenikniony wyraz. Moja uwaga była niewinna - ciekawił mnie stopień jego zażyłości z klientem. A mimo to odpowiedź wywołała silną reakcję. Może nie wierzył, że uwaga psychologa może być niewinna. A może zirytowało go, że naruszyłem jego prywatność. Wydawało się to przesadą, ale ludzie, którzy zarabiają na życie grzebaniem w psychicznych odpadkach innych, często dostają obsesji na punkcie osobistych tajemnic.

- Coś jeszcze? - spytał, znów uprzejmy, a ja zaprzestałem domysłów.

- Tak. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Ivarze Digbym Chancellorze. W gazetach opisywano go jako wybitnego bankiera i gejowskiego aktywistę, lecz to niewiele mi mówi. W pana gabinecie Dwight Cadmus nazwał go cholernym zbrodźcą. Czy on i Jamey byli kochankami?

- Znów wkraczamy w rejony, gdzie Dwight i Heather byliby bardziej pomocni, ale postaram się w miarę swoich możliwości opisać sytuację ogólnie. Tak, był między nimi jakiś intymny związek, ale nie wiem, czy nazwałbym go miłością. - Wydał wargi, jakby zjadł coś nieswieżego. - Może pederastią?

- Bo Jamey był nieletni?

- Bo cała ta sprawa śmierdziała wykorzystywaniem - powiedział ze złością. - Dig Chancellor miał inne zabawki. Nie musiał uwodzić naiwnego chłopca z problemami. Na Boga, doktorze, on mógłby być jego ojcem. Chancellor i Peter byli kolegami z roku w szkole wojskowej.

- A więc obie rodziny znały się od dawna.

- Byli sąsiadami, mieszkali przecnicę od siebie, obracali się w tych samych kręgach towarzyskich. Chancellorowie siedzą w bankowości i

finansach. Potężni ludzie, nawet ich kobiety są wielkie. Dig był największy: metr dziewięćdziesiąt pięć, bary jak góry, uwielbiał futbol, squasha, polo. Ożenił się z bogaczką. Porządny facet, tak wszyscy myśleli. Nikt nie podejrzewał, że to ciota, aż do rozwodu. Wtedy zaczęły krążyć plotki, z tych najpaskudniejszych, rozpuszczanych na przyjęciach. Może by się skończyły, ale Dig obrócił je w fakt, upubliczniając się. Pokazał się na marszu na rzecz praw gejów, szedł za ręce z dwoma facetami w typie fryzjerów. Zdjęcia trafiły na pierwsze strony gazet.

Nagle przypomniałem sobie to zdjęcie. Przebiegło przez moją pamięć: olbrzym o kanciastej szczęce, korporacyjny typ w szarym garniturze i okularach bez oprawek, maszerujący środkiem Santa Monica Boulevard między dwoma wąsatymi, ulizanymi mężczyznami. W tle transparenty. Pod zdjęciem nagłówek komentujący zestawienie starych pieniędzy z nową moralnością.

- Kiedy już się ujawnił, zaczął się z tym obnosić - powiedział Souza z obrzydzeniem. - Rodzina była zgorszona, więc odciął się od niej i założył własny bank: Beverly Hills Trust. Oparł go na kontaktach, które założyły u niego gejowskie firmy; to spore pieniądze.

Wykorzystał swoją fortunę i wpływy do przyciągnięcia popierających go kandydatów politycznych. Kupił posiadłość od magnata filmowego, jednego z tych dinozaurów na północ od Sunset, i zaczął ją wykorzystywać do organizowania imprez charytatywnych: Związek Praw Obywatelskich, artyści, męscy tancerze go-go, tego typu rzeczy.

- Nie lubił go pan.

Souza westchnął.

- Od lat mam łożę w Hollywood Bowl. Dig miał swoją w tym samym sektorze. Oczywiście spotykaliśmy się na koncertach, rozmawialiśmy, polecaliśmy sobie przystawki i wina. Wtedy nosił najlepsze, szyte na miarę stroje wieczorowe i zawsze miał przy sobie młodą damę. Był bardzo elegancki. A potem, któregoś roku, pojawił się z utlenionymi i kręconymi włosami, z podmalowanymi oczami i w luźnej szacie, jak jakiś cholerny rzymski cesarz. I nie z kobietą, ale z gromadką chłopców prosto z obrazka Maxfielda Parrisha. Przywitał się ze mną serdecznie, wyciągnął rękę, jak by nic się nie zmieniło. Zboczeniec.

Zamieszał herbatę i zmarszczył czoło.

- Zaznaczam, nie mam nic przeciwko homoseksualistom, chociaż nie dam się przekonać, że są normalni. Niech się nie wychylają i zajmują swoimi sprawami. Ale Chancellor nie okazywał takiej dyskrecji. Obnosił się ze swoim zboczeniem, wykorzystywał niewinnych. Przekłęty drapieżnik.

Znów się zaczerwienił; sprawiał wrażenie, jakby celowo podsycił w sobie gniew. Tym razem chyba wiedziałem dlaczego.

- To powinno doskonale pasować do pana strategii - stwierdziłem.

Mieszał herbatę coraz szybciej; spojrzał na mnie ostro. Wyraz jego twarzy powiedział mi, że trafiłem.

- Słucham?

- Powiedział pan, że wie, jak pogodzić ograniczoną zdolność z premedytacją popełnionych morderstw. Odmalowanie Chancellora jako mózgu, a Jameya jako naiwniaka spełniłoby tę rolę idealnie. Mógłby pan powiedzieć, że to Chancellor zabijał, a Jamey był biernym obserwatorem. Przeniosłoby to ciężar winy na nieżyjącego, a jedyne morderstwo, które Jamey popełnił, zabicie Chancellora, stałoby się czynem szlachetnym, eliminacją sadystycznego drapieżcy.

Souza się uśmiechnął.

- Imponujące, doktorze. Tak, o tym mniej więcej myślałem. To nie

tajemnica, że wszystkie ofiary Rzeźnika były zamordowane w innym miejscu i rozrzucone po całym mieście. Będę twierdził, że zabijano je na terenie posiadłości Chancellora, że Jamey był zaledwie obserwatorem, uwiedzionym przez starszego mężczyznę i zagubionym przez swoją psychozę. Chłopiec przez kilka miesięcy pozwalał sobą kierować. Bez wątpienia poczucie winy za przyglądanie się rzeziom odegrało rolę w jego załamaniu i wynikłej z niego potrzeby hospitalizacji.

- Podczas tej hospitalizacji morderstwa ustały.

Souza machnął ręką, lekceważąc tę uwagę.

- Wiemy, że Chancellor był chory. A jeśli był zboczony nie tylko w jednym aspekcie? Jeśli był ekshibicjonistą? Jak tyłu gejów? Twierdzą, że potrzebował widowni do swoich zbrodni i wybrał do tej roli Jameya. Chłopca łączyły z nim niezdrowe stosunki, nie ma co do tego wątpliwości. Nie będę przekonywał, że Jamey jest zupełnie niewinny. Ale istotna jest rola przywódcy. Kto wiódł prym? Kto planował? Potężny, dominujący starszy mężczyzna czy zagubiony nastolatek? Nawet ucieczka może zadziałać na naszą korzyść. Moi śledczy szukają świadków, kogoś, kto widział chłopca tamtej nocy. Jeśli wykażemy, że Chancellor wydstał Jameya z Canyon Oaks, będziemy mogli twierdzić, że porwał go, żeby ten był świadkiem kolejnej krwawej orgii. Zabrał go do domu i zamordował Richarda Forda. Ale tym razem Jamey nie zniósł okrucieństwa tego, co zobaczył. Pokłócili się, zaczęli walczyć, i chłopcu udało się zabić rzeźnika.

Kiedy Souza pozyskiwał mnie do sprawy Jameya, wydawała się ona beznadziejna. Teraz, ledwie dwa dni później, przedstawił zgrabną

psychodramę, zmieniającą chłopaka z potwora w niewolnika, a w końcu w bohatera. Zastanawiałem się jednak, na ile rzeczywiście ufał tej strategii. Według mnie było w niej sporo luk.

- Powiedział pan, że Chancellor był bardzo potężnym mężczyzną. Jamey to widmo. Jak mógł go pokonać i podciągnąć na belce?

- Dig został wzięty z zaskoczenia. - Souza nie dał mi się zbić z tropu. -A Jamey owi dodał sił wybuch długo tłumionej furii. Na pewno wie pan, jaką siłę daje adrenalina. To zadziwiające, ile może podnieść nawet drobna osoba, mając odpowiednią dźwignię. Znam wybitnego fizyka, który o tym zaświadczy.

Wyraz jego twarzy zachęcał do dalszych pytań.

- Chancellor miał posiadłość - zauważyłem - co oznacza służbę. Takie morderstwa to brudna robota. Jak mógł coś takiego ukryć?

- Zatrudniał dzienny personel: ogrodników, pokojówkę, kucharza, ale razem z nim mieszkał tylko jeden człowiek, ochroniarz i majordomus w jednej osobie, Erno Radovic. Radovic to człowiek niezrównoważony, był kiedyś policjantem, ale został zwolniony. Zatrudniłem go raz czy dwa jako detektywa, zanim zdałem sobie sprawę, jaki to awanturnik. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby maczał w

tym wszystkim palce, lecz na razie jest czysty, na noc morderstwa ma alibi. W czwartek miał wolne. Wychodził rano i wracał w piątek koło południa. Raz w tygodniu sypiał na łodzi zacumowanej na przystani Marina. Przyproceedził kobietę, która twierdziła, że cały czwartek był z nią. Wszystko to wspiera moją teorię, bo ofiary Rzeźnika były porzucane w piątek, we wczesnych godzinach rannych, a zabijane, według wyników laboratoryjnych, kilka godzin wcześniej. W czwartek w nocy. Teraz wiemy dlaczego. Kiedy Radovica nie było, nie było też świadków.

- Czy laboratorium znalazło jakieś dowody, że to Chancellor trzymał nóż?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale nie ma też dowodów, że trzymał go Jamey. Rękojeść była wysmarowaną krwią, nie zdjęto wyraźnych odcisków palców. Tak czy inaczej, nie ma tak naprawdę znaczenia, jak to było, prawda? Chodzi o to, by dać przysięgłym wiarygodny powód do wątpliwości. Zmusić do rozważenia scenariusza innego niż ten, który przedstawi oskarżenie.

Popatrzył na mnie, oczekując reakcji. Kiedy nie zareagowałem, odwrócił się i przesunął grubym palcem po krawędzi spodka.

- Zadaje pan trafne pytania, doktorze. Odpowiadanie na nie pozwala mi nie stracić czujności. Coś jeszcze?

Zamknąłem notes.

- Zważywszy na przeszłość Jameya, boję się samobójstwa.

- Ja też. To była jedna z pierwszych rzeczy, o których wspomniałem, kiedy składałem wniosek o zwolnienie do zakładu psychiatrycznego do czasu rozprawy. W biurze prokuratora okręgowego powiedzieli, że na bloku wysokiego rygoru prowadzi się całodobową obserwację i że Jamey jest bezpieczny. Sędzia się zgodził.

- To prawda?

- Ogólnie rzecz biorąc. Nigdzie indziej nie znaleźlibyśmy ściślejszej ochrony. Ale czy można zapobiec samobójstwu?

- Nie - przyznałem. - Jeśli ktoś jest zdeterminowany, w końcu mu się uda.

Souza kiwnął głową.

- W tej chwili Jamey jest zbyt otępiały, żeby zrobić sobie krzywdę. Mimo to, jeśli zauważy pan jakieś oznaki zagrożenia, proszę mnie natychmiast poinformować. Coś jeszcze?

- Na razie nic. Kiedy będę mógł porozmawiać z Dwightem i Heather Cadmusami?

- Przebywają u przyjaciół w Montecito, unikając prasy. Dwight wróci za parę dni. Heather zamierzała zostać dłużej. Czy jest istotne, żeby spotkał się pan z nimi obojgiem jednocześnie?

- Nie. Właściwie osobno byłoby nawet lepiej.

- Doskonale. Umówię was i zadzwonię do pana. Mam spotkanie z Mainwaringiem i spróbuję umówić pana też z nim, na przejrzenie historii leczenia, za jakieś kilka dni.

- Świetnie.

Wstaliśmy. Souza zapiął marynarkę i odprowadził mnie z jadalni korytarzem do głównego wejścia. Było późne popołudnie, zbliżał się wieczór i hol był pełen nieskazitelnie ubranych młodych mężczyzn i kobiet - współników i personelu pomocniczego kończącego pracę. W powietrzu uniósł się delikatny zapach perfum i wody kolońskiej. Drogie pantofle i ostre jak igły szpilki stukotały na marmurowej szachownicy podłogi. Widok Souzy wywoływał odruchowe uśmiechy i służalcze skinienia głową. On je ignorował; odciągnął mnie od tłumu, położył mi rękę na ramieniu i się uśmiechnął.

- To, jak pan wykombinował tę moją strategię z Chancellorem, to było pierwszorzędne myślenie, doktorze, tak samo jak pana małe przesłuchanie. Może uprawia pan niewłaściwy zawód.

Cofnąłem się i ruszyłem do wyjścia.

- Nie sądzę - powiedziałem jeszcze.

W drodze do domu zatrzymałem się przy delikatesach na Pico, przy Robertson, i kupiłem prowiant: pół kilo marynowanej wołowiny, świeże ogórki, sałatkę coleslaw i bochenek krojonego żytniego chleba. Wieczorny ruch uliczny był nateżony, ale dojechałem do doliny na szóstą trzydzieści. Kiedy się rozpakowałem i przebrałem, nakarmiłem koi, przejrzałem pocztę i poszedłem do kuchni; przygotowałem kanapki i wstawiłem je na tacce do lodówki. Gdy ciężarówka Robin zatrzymała się w garażu, czekałem na tarasie z grolschem w ręku. Przez prawie całe popołudnie cięła i strugała, i wyglądała na zmęczoną; na widok jedzenia bardzo się ucieszyła.

Po kolacji siedliśmy w salonie, oparliśmy stopy na stole i podzieliliśmy się „Timesem”. Doszedłem do trzeciej strony, kiedy zobaczyłem twarz Jameya.

To było zdjęcie en face, pozowane, wyglądało na kilkuletnie. Na czarno-białej fotografii jego niebieskie oczy wyszły mętnie. W innym kontekście wygięte w dół kąciki ust wydawałyby się smutne; w obecnych okolicznościach nadawało mu to złowrogi wyraz. Artykuł wokół zdjęcia opisywał go jako „potomka rodziny znaczącej w branży budowlanej”, zaznaczając jego „poważne problemy psychiatryczne w przeszłości”. Ostatni akapit informował, że policja bada przeszłość Ivara Digby'ego Chancellora. Sou-za nie tracił czasu.

Następnego ranka włożyłem dzinsy, koszulkę polo i sandały, wziąłem teczkę i poszedłem doliną w stronę uniwersytetu UCLA. Droga była zakorkowana - ludzie pokonywali codzienną trasę z domów w Valley do dzielnic biznesowych West Side. Patrząc, jak samochody powoli się przesuwiają, pomyślałem o Czarnym Jacku Cadmusie; ciekawe, ilu biznesmenów ma drzewka owocowe na podwórkach.

Przeciąłem Sunset, poszedłem dalej na północ Hilgard i wszedłem na teren kampusu. Krótki spacer i byłem już na północnym skraju Centrum Nauk Medycznych - kompleksu ceglanych

behemotów, w których korytarze były podobno dłuższe niż w Pentagonie. Zmarnowałem w tych korytarzach sporą część młodości.

Wszedłem na parter i skręciłem znajomą trasą w prawo. Wzdłuż korytarza prowadzącego do Biblioteki Biomedycznej stały przeszklone gabloty. W tym miesiącu tematem wystawy była historia przyrządów chirurgicznych. Obejrzałem cały wachlarz terapeutycznego uzbrojenia: od prymitywnych, kamiennych trepanatorów, odsłaniających tkankę mózgową w czaszce manekina, po lasery przecinające arterie.

Biblioteka dopiero otworzyła swoje podwoje i wciąż było w niej cicho. Do południa miała się zapełnić studentami medycyny, przyszłymi studentami medycyny, niewyspanymi stażystami i ponurymi doktorantami, schowanymi za stosami bibliografii.

Usiadłem przy dębowym stole, otworzyłem teczkę i wyjąłem tom *Schizofrenii* Fisha, który przyniosłem z domu. Było to trzecie wydanie, stosunkowo nowe, ale po dwóch godzinach lektury nie dowiedziałem się niczego, czego bym już nie wiedział. Odłożyłem książkę i ruszyłem na poszukiwanie świeższych informacji - abstraktów i artykułów. Po półgodzinie patrzenia w przeglądarki mikrofilmów i przerzucania kart katalogowych i trzech dalszych godzinach siedzenia między ich stosami zaczęło mi się dwoić w oczach i huczeć w głowie. Zrobiłem sobie przerwę i ruszyłem do automatów z napojami i przekąskami.

Siedząc na dziedzińcu, napiłem się gorzkiej kawy, ugryzłem czerstwego pączka i zdałem sobie sprawę, jak niewiele faktów wyłowiłem z morza teorii i spekulacji.

Schizofrenia. Słowo to oznacza „rozszczepiony umysł”, ale nie oddaje istoty rzeczy. Schizofrenia to tak naprawdę rozpad umysłu. To złośliwa choroba, rak procesów myślowych, erozja czynności umysłowych. Objawy schizofrenii - omamy, halucynacje, nielogiczne myślenie, utrata kontaktu z rzeczywistością, dziwaczna mowa i zachowanie - ucieleśniają to, co laicy rozumieją pod pojęciem „wariat”. Występują u jednego procenta populacji w niemal wszystkich społecznościach i nikt nie wie dlaczego. Za przyczynę podawano już wszystko, od traumy poporodowej, przez uszkodzenie mózgu i typ budowy, po złe wychowanie. Niczego nie udowodniono, chociaż wiele rzeczy wykluczono, i jak radośnie zauważył Souza, materiał badawczy sugeruje genetyczne predyspozycje do szaleństwa.

Przebieg choroby jest tak samo nieprzewidywalny, jak rozprzestrzenianie się pożaru lasu podczas wichury. Niektórzy pacjenci doznają pojedynczego epizodu psychotycznego, który nigdy się nie powtarza. Inni zdrowieją po serii ataków. W wielu przypadkach zaburzenie jest chroniczne, ale statyczne, a w sytuacjach najpoważniejszych rozkład umysłu postępuje aż do całkowitego załamania psychicznego.

Mimo wszystkich tych dwuznaczności związek szaleństwa z morderstwem jest jasny: przeważająca większość schizofreników jest nieszkodliwa, mniej skłonna do przemocy niż zdrowi ludzie. Niektórzy jednak są oszalamiająco niebezpieczni. Paranoicy atakują w nagłych wybuchach wściekłości, często okaleczając albo zabijając tych, którzy najbardziej starają się im pomóc - rodziców, małżonków, terapeutów.

Schizofrenicy nie popełniają seryjnych morderstw.

Sadyzm, premedytacja i rytualna powtarzalność dokonań Lawendowego Rzeźnika były znakami charakterystycznymi innego mieszkańca psychiatrycznej dżungli.

To bestia chodząca na dwóch nogach. Spotkany na ulicy będzie się wydawał normalny, nawet uroczy. Ale on krąży po ulicach, zimnooki pasożyt i śledzi swoje ofiary pod powłoką kultury. Zasady i zakazy oddzielające ludzi od dzikich stworzeń jego nie dotyczą. „Czyń drugiemu, cokolwiek ci się spodoba”, to jego motto. Nie ma sumienia, wykorzystuje i manipuluje, i nie zna współczucia. Wrzaski jego ofiar w najlepszym przypadku są dla niego bez znaczenia, w najgorszym - źródłem przyjemności.

To psychopata, a psychiatria rozumie go nawet-mniej niż schizofrenika. Objawy szaleństwa można często zwalczać lekami, ale nie ma terapii na zło.

Szaleniec czy potwór - kim był Jamey?

Sonnenschein, z naturalnym cynizmem gliniarza, podejrzewał to drugie. Wiedziałem, że mówi z doświadczenia, bo pierwszą rzeczą, jakiej często próbują psychopaci po schwytaniu, jest udawanie szaleństwa. Rozpruwacz z Yorkshire próbował, tak samo Manson, Bianchi i Syn Sama. Żadnemu się nie udało, ale każdy kilku ekspertów zmylił.

W ciągu lat praktyki miałem do czynienia ze sporą liczbą pączkujących psychopatów - nieczułych, płytkich dzieci, które dręczyły słabszych, podkładały ogień i torturowały zwierzęta bez cienia poczucia winy. Siedmio-, ośmio- i dziewięciolatków, które wzbudzały strach. Wszystkie pasowały do schematu, z którego Jamey się wyłamywał: jeśli już, sprawiały wrażenie nadmiernie wrażliwych, zbyt współczujących, żeby im to wyszło na dobre. Ale jak dobrze tak naprawdę go znałem? I choć dekompensacja, której byłem świadkiem w areszcie, wydawała się rzeczą jak najdalszą od udawania, czy mogłem mieć całkowitą pewność, że jestem odporny na podstęp?

Chciałem wierzyć Souzie, mieć przekonanie, że stoję po stronie tych dobrych. Ale na tym etapie nie miałem niczego z wyjątkiem myślenia życzeniowego i historii rodziny Cadmusów, przekazanej mi przez adwokata: kawałka propagandy, która mogła być prawdą albo nie.

Przyszła pora na pracę domową. Musiałem rozgrzebać przeszłość, żeby wyostrzyć spojrzenie na teraźniejszość, przeprowadzić psychologiczną autopsję, która wyjaśniłaby upadek młodego geniusza.

Od spotkania z Cadmusami i Mainwaringiem dzieliło mnie kilka dni. Ale gmach psychologii znajdował się po przeciwnej stronie dziedzińca.

Znalazłem automat telefoniczny, zadzwoniłem na wydział psychologii i poprosiłem, żeby połączyć mnie z wewnętrznym Sarity Flowers. Siedem dzwonek później usłyszałem chłodny głos młodej kobiety.

- Gabinet doktor Flowers.

- Mówi doktor Delaware, dawny kolega doktor Flowers. Przypadkiem jestem w kampusie i

zastanawiam się, czy mógłbym wpaść porozmawiać.

- Ma umówione spotkania na całe popołudnie.
- Kiedy będzie wolna?
- Dopiero jutro.
- Może zechce ze mną porozmawiać wcześniej. Mogłaby ją pani zapytać?

W głosie pojawiła się podejrzliwość.

- Jeszcze raz, pana godność?
- Delaware. Doktor Alex Delaware.
- Nie jest pan reporterem, prawda?
- Nie. Jestem psychologiem. Byłem konsultantem przy Projekcie 160.

Zawahanie.

- Dobrze. Niech pan poczeka.

Kilka minut później wróciła. W jej głosie słyszałem urazę.

- Zobaczy się z panem za dwadzieścia minut. Na imię mam Karen.

Spotkajmy się przy windach na trzecim piętrze.

Wyszła zza zakrętu korytarza w chwili, kiedy wysiadłem, wysoka i kanciasta, w czerwono-białej sukience Diane von Furstenberg, kontrastującej z czernią jej skóry. Włosy miała przycięte na centymetr, co podkreślało jej małe uszy i wystające kości policzkowe. Z każdego ucha zwisał owal z kości słoniowej, a jedno mahoniowe przedramię dzieliły na segmenty kościane bransolety.

- Doktor Delaware? Jestem Karen. Proszę tędy.

Poprowadziła mnie korytarzem do drzwi z napisem „Obserwacja - nie przeszkadzać”.

- Może pan tam zaczekać. Doktor Flowers za chwilę powinna wyjść.
- Dziękuję.

Chłodno skinęła głową.

- Przepraszam, że byłam taka oschła, ale prasa nie daje jej spokoju od czasu tej afery z Cadmusem. Rano musieliśmy wzywać straż uniwersytecką, żeby wyrzuciła faceta z „Enquirer”.

- Nie ma problemu.

- Przynieść panu kawy albo coś innego?

- Nie, dzięki.

- Dobrze, w takim razie zostawiam pana. - Położyła dłoń na klamce, ale zawahała się, zanim ją nacisnęła. - Pan też przyszedł tu w sprawie Cadmusa, prawda?

- Tak.

- Co za szaleństwo. Projekt ma przez to sporo poważnych problemów. Doktor Flowers i bez tego żyła ostatnio w stresie, a teraz jest jeszcze gorzej.

Nie wiedząc, co powiedzieć, współczująco pokiwałem głową.

- Szaleństwo - powtórzyła, otworzyła drzwi i wyszła.

W pomieszczeniu było ciemno. Z sufitu, tak jak trzy ściany obitego płytkami akustycznymi, zwisał mikrofon. Czwartą ścianę stanowiło weneckie lustro. Przez szybę patrzyła kobieta na wózku. Na kolanach miała skoroszyt ze stosem papierów. Odwróciła się do mnie, kiedy wszedłem, i się uśmiechnęła.

- Alex - szepnęła.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Pachniała czystą, chłodną Kalifornią- olejkiem do opalania i chlorem.

- Cześć, Sarita.

- Dobrze cię widzieć. - Wzięła mnie za rękę i mocno uścisnęła mi dłoń.

- Ciebie też.

Siedziała wyprostowana na wózku, ubrana swobodnie, ale oficjalnie, w granatowy blezer, jasnoniebieską jedwabną bluzkę i nieskazitelnie czyste białe spodnie, które nie mogły ukryć zarysu zwiędłych, niewładnych nóg.

- Jeszcze kilka minut i kończę - powiedziała i wskazała lustro.

Po drugiej stronie znajdował się jasno oświetlony, pozbawiony okien pokój z podłogą wyłożoną linoleum i białymi ścianami. Na środku, nad kolejką elektryczną siedział chłopiec.

Sześć- albo siedmioletni, ubrany w dżinsy, żółtą koszulkę i adidas, puciołowaty jak chomik, o włosach koloru karmelu. Kolejka była bardzo skomplikowana - były tam lśniące wagony, srebrne tory, papierowy

krajobraz z mostami, jeziorami i wzgórzami, drewniane szopy i semafony, i piętrowe domki w skali, ogrodzone płotami z zapalek.

Na czole i głowie chłopiec miał przyklejonych kilka elektrod, których kable ciągnęły się po podłodze do monitora EEG. Maszyna wypluwała powoli, ale miarowo strumień papieru, poznaczonego zygzakami wykresu liniowego.

- Weź sobie krzesło - powiedziała Sarita, biorąc ołówek i coś notując.

Usiadłem na składanym krześle.

Chłopiec do tej pory się bawił, ale teraz siadł nieruchomo. Rozległo się ciche buczenie i pociąg ruszył powoli po szynach. Chłopiec się uśmiechnął; po kilku chwilach jego uwaga znów się rozproszyła - zaczął się niespokojnie wiercić i rozglądać. Pociąg stanął. Chłopiec odwrócił się z powrotem do lokomotywy i zapadł jakby w trans, z nieruchomą twarzą i rękami złożonymi na kolanach. W zasięgu wzroku nie było widać żadnego panelu sterowania, a kiedy kolejka znów ruszyła, wydawało się, że zrobiła to sama z siebie.

- Świetnie mu idzie - powiedziała Sarita. - Pięćdziesiąt osiem procent czasu skupienia.

- Nadpobudliwość psychoruchowa?

- Poważna. Kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, nie mógł usiedzieć w miejscu. Matka była gotowa go zabić. Mam jeszcze tuzin takich jak on. Prowadzimy badania nad nauczaniem dzieci z ADHD samokontroli.

- Biofeedback?

Przytaknęła.

- Większość z nich była bardzo spięta, i pomyślałam, że kolejka będzie zabawnym sposobem nauczania ich relaksu. Jest podłączona do monitora EEG kablem biegnącym pod podłogą. Kiedy wchodzi w stan alfa, pociąg jedzie. Kiedy wychodzi, zatrzymuje się. Jedno z nich nie lubi kolejek, więc używamy magnetofonu i muzyki. Rozkład wzmocnienia może być programowany, tak że w miarę jak im się poprawia, muszą siedzieć nieruchomo przez dłuższy czas. Poza zwiększeniem zdolności koncentracji ma to ten plus, że czują się bardziej opanowane, co powinno się przekładać na wyższą samoocenę. Mam doktoranta, który mierzy to do swojej pracy.

Zegarek na jej ręku zapiszczał. Wyłączyła go, zapisała parę rzeczy i przysunęła do siebie mikrofon.

- Bardzo dobrze, Andy. Dzisiaj nieźle jechała.

Chłopiec podniósł wzrok i dotknął jednej z elektrod.

- Swędzi - poskarżył się.

- Już ci je zdejmuję. Chwileczkę, Alex.

Podjechała do drzwi, pociągnęła je i wytoczyła się na zewnątrz. Poszedłem za nią na korytarz. Młoda kobieta o starej twarzy, w bluzce bez ramion i szortach, stała pod nieoznakowanymi drzwiami, opierając się o ścianę. Jedną dłonią skręcała kosmyk długich, ciemnych włosów. W drugiej trzymała papierosa.

- Dzień dobry, pani Graves. Już prawie skończyliśmy. Andy świetnie się dzisiaj spisał.

Kobieta wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Mam nadzieję. Dostałam właśnie następną wiadomość ze szkoły.

Sarita popatrzyła na nią, uśmiechnęła się, poklepała jej dłoń i otworzyła drzwi. Podjechała do chłopca, zdjęła mu elektrody, zmierzwiła włosy i powtórzyła, że bardzo dobrze mu poszło. Z kieszeni blezera wyjęła miniaturowy samochodzik i podała mu go.

- Dziękuję, doktor Flowers - powiedział, obracając prezent w tłustych palcach.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Andy. Tak trzymaj. Dobra?

Ale on wybiegł już z pokoju, zaprzątnięty nową zabawką, i nie usłyszał jej.

- Andy! - skarciła go matka. - Co się mówi pani doktor?

- Już powiedziałem!

- To powiedz jeszcze raz.

- Dziękuję - powtórzył z urazą.

- Do widzenia! - zawołała Sarita, kiedy odchodzili. Gdy zniknęli, pokręciła głową. - Ile tam jest stresu. Chodź, Alex, do mnie do gabinetu.

Pokój wyglądał inaczej, niż go zapamiętałem. Był bardziej spartański, mniej profesorski. Potem zrozumiałem, że przystosowała go do swojej ułomności. Półki z książkami, kiedyś zajmujące całą jedną ścianę od podłogi po sufit, zostały zamienione na niskie, plastikowe moduły ustawione pod trzema ścianami. Wielkie, rzeźbione biurko, centralny punkt pomieszczenia, zniknęło; jego miejsce zajął niski stolik, wepchnięty w kąt. Na ścianie za nim wisiało kiedyś kilkanaście zdjęć - obrazkowa historia sportowej kariery Sarity. Teraz zostało ich ledwie parę. Obok stały dwa składane krzesła. Pozostała głównie pusta przestrzeń. Kiedy do środka wjechał wózek, pustka znikła.

- Proszę. - Sarita wskazała krzesła. Rozłożyłem jedno i usiadłem.

Objechała stół i odłożyła skoroszyt. Kiedy sprawdzała wiadomości, przyjrzałem się zdjęciom, które zostawiła: rozpromieniona nastolatka przyjmująca złoty medal w Innsbrucku; spłowiwały i pożółkły program zawodów Ice Capades z 1965; artystyczna, czarno-biała fotka smukłej

młodej kobiety, ślizgającej się na lodzie, z rozwianymi, długimi blond włosami; oprawiona w ramki okładka kobiecego pisma, reklamującego porady na temat zdrowia i urody udzielone przez supergwiazdę łyżwiarstwa Saritę. Odwróciła się, a jej jasne oczy omiotły spojrzeniem gabinet.

- Minimalistyczny wystrój. - Uśmiechnęła się. - Łatwo mi wszędzie sięgnąć i nie wariuję. Odkąd siedzę w tym czymś, czuję, że dostaję klaustrofobii. Jakby mnie zaszyli. A tutaj mogę zamknąć drzwi i kręcić się jak wariatka. Terapia derwisza.

Jej śmiech był gardłowy i ciepły.

- Cóż, drogi chłopcze - przyjrzała mi się - czas był dla ciebie łaskawy.

- Dla ciebie też - odparłem odruchowo i natychmiast poczułem się jak idiota.

Ostatni raz widziałem ją przed trzema laty temu na konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego. Dochodziła do siebie po ataku stwardnienia rozsianego, które ją osłabiło, ale jeszcze mogła poruszać się o lasce. Nie wiedziałem, jak długo jest przykuta do wózka; sądząc po wyglądzie jej nóg, minęło trochę czasu, odkąd stała o własnych siłach.

Zauważyła moje zakłopotanie, wskazała swoje kolana i znów się zaśmiała.

- Hej, nie licząc tego, jestem towar pierwsza klasa, co?

Dobrze się jej przyjrzałem. Miała czterdzieści lat, ale twarz kobiety o dziesięć lat młodszej. To była typowa amerykańska twarz, pogodna i otwarta pod grzywą gęstych, jasnych włosów, teraz obciętych na pazia, o skórze mocno opalanej i lekko nakrapianej piegami i szczerych oczach.

- Oczywiście.

- Kłamca. - Parsknęła śmiechem. - Kiedy następnym razem będę w dołku, zadzwonię do ciebie po dodające otuchy krętaactwa.

Uśmiechnąłem się.

- Dobrze. - Spoważniała. - Porozmawiajmy o Jameyu. Co chciałbyś wiedzieć?

- Kiedy po raz pierwszy zaczął zachowywać się jak psychotyk?

- Trochę ponad rok temu.

- To było stopniowe czy nagłe?

- Stopniowe. Prawie niezauważalne. Pracowałeś z nim, Alex. Pamiętasz, jaki to był dziwny dzieciak. Kapryśny, wrogi, uparty. IQ w stratosferze, ale nie chciał go używać. Wszyscy pozostali bardzo się zaangażowali

w swoje studia. Świetnie im idzie. Z tych kilku kursów, które on zaczął, szybko wyleciał. Niepodjęcie studiów było jawnym pogwałceniem umowy z projektem i mogłam go wyrzucić, ale nie zrobiłam tego, bo było mi go żal. Taki smutny chłopiec, bez rodziców, cały czas miałam nadzieję, że weźmie się w garść. Jedno, na czym mu zależało, to poezja: czytanie, a nie pisanie. Miał na tym punkcie taką obsesję, że cały czas myślałam, że w końcu zrobi coś twórczego, ale nigdy nie zrobił. Któregoś dnia zostawił wiersze i z dnia na dzień zainteresował się ekonomią i finansami. Od tej pory nigdzie się nie ruszał bez „Wall Street Journal” i naręcza podręczników bankowości.

- Kiedy to było?

Zastanowiła się.

- Powiedziałaabym, że jakieś półtora roku temu. I to nie była jedyna zmiana. Odkąd go znałam, był jak uzależniony od fast foodu. Krążył tu nawet taki żart, że zjadłby choćby krowi placek, gdyby na niego nałożyć bitej śmietany w spreju. A on nagle zaczął jeść tylko kiełki, tofu, razowe pieczywo i pić niefiltrowany sok.

- Domyślasz się, co mogło spowodować tę zmianę?

Pokręciła głową.

- Zapytałam go o to, zwłaszcza o zainteresowanie ekonomią, bo myślałam, że to może być dobry znak, wskazówka, że zaczyna myśleć poważnie o swoich studiach. Ale on spojrzał tylko na mnie, jak to on, z pogardą, i poszedł. Minęło parę miesięcy, a on wciąż nie zapisał się na zajęcia ani nie zrobił nic poza przekopywaniem się przez bibliotekę ekonomii. Wtedy postanowiłam go skreślić. Zanim jednak miałam szansę mu o tym powiedzieć, zaczął się bardzo dziwnie zachowywać. Był bardziej kapryśny, bardziej przygnębiony i zamknięty w sobie, do tego stopnia, że przestał się odzywać. Potem zaczął mieć ataki lęków: zaczerwieniona twarz, suchość w ustach, płytki oddech, palpacje. Dwa razy nawet zemdlał.

- Ile było tych ataków?

- Około pięciu w ciągu miesiąca. Później zrobił się bardzo podejrzliwy, patrzył na wszystkich oskarżająco i uciekał. Denerwował inne dzieciaki, ale próbowały mu współczuć. Dopóki zajmował się sobą, nie był to aż taki problem.

Przerwała, czymś poruszona, i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Zmrużyła oczy i zacisnęła zęby.

- Alex, diagnozy nigdy nie były moją mocną stroną, nawet na studiach unikałam wariatów i skupiałam się na technologii behawioralnej, ale nie jestem ślepa. To nie tak, że zajęłam się swoimi sprawami i pozwoliłam mu się rozsypać. Nie wyglądało to aż tak dramatycznie, jak brzmi.

Chłopak w przeszłości zachowywał się niestandardowo, chciał zwracać na siebie uwagę. Myślałam, że to przejściowe. Że dojdzie do jakichś granic, a potem przeczuci się na coś innego.

- Zadzwoił do mnie w tę noc, kiedy uciekł - powiedziałem. - Szalejąca psychoza. Ja też miałem po tym poczucie winy. Zastanawiałem się, czy coś przeoczyłem. Żadne z nas nie mogło nic zrobić. Dzieci wariują i nikt nie może temu zapobiec.

Spojrzała na mnie, pokiwała głową.

- Dzięki za wotum zaufania.

- Do usług.

Westchnęła.

- To do mnie niepodobne, takie refleksje, ale ostatnio często mnie nachodzą. Wiesz, jak ciężko musiałam walczyć o ten projekt. Skandal z ge-niuszem-szaleńcem to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam. Ironią losu jest to, że jednym z powodów, dla których trzymałam go tu dłużej, niż powinnam, była próba uniknięcia złej reklamy. I to, że byłam miękką frajerką.

- To znaczy?

- Zatrzymałam go. Już ci mówiłam, tuż przed tym, jak zaczął się sypać, postanowiłam mu powiedzieć, że ma odejść z projektu. Ale kiedy zaczął sprawiać wrażenie emocjonalnie wrażliwego, odłożyłam tę decyzję, bo martwiłam się, że może wywołać jakąś dramatyczną reakcję. Grant projektu miał zostać przedłużony. Dane wychodziły ślicznie, więc z naukowego punktu widzenia wszystko szło dobrze, ale z powodu cięć budżetowych trzeba się było użerać z politycznymi bzdurami: po co dawać pieniądze geniuszom, skoro upośledzeni potrzebują ich bardziej? Dlaczego nie włączono do projektu więcej czarnych i Latynosów? Czy cała koncepcja geniuszu nie była w ogóle elitystyczna i rasistowska? Tylko tego brakowało, żeby Jamey ześwirował, a gazety się o tym dowiedziały. Dlatego chciałam to przeczekać, mając nadzieję, że samo minie. Tymczasem zrobiło się tylko gorzej.

- Przedłużyli ci grant?

- Tylko na rok, co jest nic niewarte, zawracają mi tylko głowę, zanim postanowią obciąć fundusze. Nie mogę wbić zębów w nic konkretnego.

- Przykro mi.

- Nie szkodzi - powiedziała bez przekonania. - Przynajmniej mam trochę czasu, żeby wyżebrać jakieś dodatkowe fundusze. Sprawy miały się nawet nieźle, dopóki nie wybuchła ta afera. - Uśmiechnęła się gorzko. -

Fundatorzy nie lubią, kiedy jeden z naszych podopiecznych zarzyna osiem osób, choćby tylko jeden.

Skierowałam rozmowę z powrotem na umysłowy rozpad Jameya.

- Co się stało, kiedy mu się pogorszyło?

- Podejrzliwość zmieniała się w paranoję. To też było stopniowe, powolne. Ale w końcu zaczął twierdzić, że ktoś go truje, bredził coś o ziemi zatrutowanej przez zombi.

- Pamiętasz coś więcej z jego halucynacji? Zwroty, jakich używał?

- Nie, tylko to. Trucie, zombi.

- Białe zombi?

- Być może. Nie przypominam sobie.

- Kiedy mówił, że ktoś go truje, wspominał o kimś konkretnym?

- Podejrzewał wszystkich. Mnie. Inne dzieci. Swoją ciotkę i wuja. Ich dzieci. Wszyscy byliśmy zombi, wszyscy przeciwko niemu. Wtedy zadzwoniłam do jego ciotki, powiedziałam, że Jamey potrzebuje pomocy i że nie może dłużej uczestniczyć w projekcie. Raczej jej to nie zaskoczyło. Podziękowała mi i obiecała, że coś z tym zrobi. Ale w następnym tygodniu on znów przyszedł, bardzo zdenerwowany, mrużąc coś pod nosem. Wszyscy trzymali się od niego z daleka. Najbardziej zaskoczyło mnie, że przyszedł na zajęcia grupowe, chyba po raz pierwszy od roku. Siedział cicho do połowy, a potem zerwał się w samym środku dyskusji i zaczął krzyczeć. Brzmiało to tak, jakby miał halucynacje: słyszał głosy, widział siatki.

- Jakie siatki?

- Nie wiem. Takiego użył słowa. Trzymał rękę przed oczami, krzywił się i wrzeszczał coś o krwawych siatkach. To było przerażające, Alex. Wybiegłam, wezwałam ochronę i kazałam go zabrać do centrum medycznego. Przez resztę sesji uspokojałam pozostałe dzieciaki. Uzgodniliśmy, że cały incydent zachowamy w tajemnicy, żeby nie zaszkodzić projektowi. Więcej Jameya nie widziałam i myślałam, że na tym się skończyło. Aż do teraz.

- Santa, czy z tego, co ci wiadomo, Jamey brał kiedykolwiek narkotyki?

- Nie. Był czysty jak łąza, nawet staroświecki. Czemu?

- Halucynacja o siatkach. To typowe po LSD.

- Poważnie wątpię, Alex. Jak mówiłam, był konserwatywny, ostrożny do przesady. A pod koniec, kiedy dostał obsesji na punkcie swojego organizmu i zdrowego odżywiania, byłoby całkiem nielogiczne, gdyby zaczął brać.

- Ale jeśli brał, mogłaś o tym nie wiedzieć. Dzieciaki nie rozmawiają o takich rzeczach z dorosłymi.

Nachmurzyła się.

- Może. Tak czy inaczej, po prostu nie wierzę, żeby brał kwas czy jakieś inne prochy. Zresztą, jaka to różnica? Nie mógł dostać psychozy od narkotyków.

- Nie. Ale mogły przechylić szalę.

- Mimo wszystko.

- Sarita, z dzieciaka z problemami zamienił się w morderczego wariata. To upadek z dużej wysokości i moim zadaniem jest jakoś to ogarnąć. Chciałbym porozmawiać z pozostałymi dziećmi z projektu, żeby sprawdzić, czy coś na ten temat wiedzą.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił. Dość już przeszły.

- Nie zamierzam ich jeszcze bardziej stresować. Przeciwnie, mogłyby się poczuć lepiej, gdyby o tym porozmawiały. Każde z nich przychodziło do mnie przy różnych okazjach, więc nie byłbym dla nich nieznanym.

- Uwierz mi - nalegała - nie warto. Nie wiedzą niczego, o czym nie wiem ja.

- Na pewno masz rację, ale byłbym nieodpowiedzialny, gdybym nie porozmawiał z ludźmi, którzy byli jego przyjaciółmi przez ostatnich pięć lat.

Na słowo „nieodpowiedzialny” skrzywiła się. Kiedy się odezwała, mówiła głosem zduszonym i cichym, choć próbowała zamaskować to uśmiechem.

- On nie miał przyjaciół, Alex. Nie w prawdziwym rozumieniu tego słowa. Był samotnikiem. Nikt się z nim nie zbliżył.

Gdy nie odpowiedziałem, wzruszyła ramionami.

- Będziesz potrzebował zgody od wszystkich pięciorga. Dwoje to wciąż nieletni, więc będą się musieli zgodzić też rodzice. Nie mogę zagwarantować ich współpracy. To dużo zachodu dla bardzo niewielkich korzyści.

- Zaryzykuję, Sarita. Papierkową robotą zajmie się obrońca, Horace Souza.

Odsunęła się ode mnie i skrzyżowała ręce na piersi.

- Rozmawiałam z panem Souza - powiedziała. - To nachalny manipulator, koniecznie próbuje dominować. Rozumiem, że gdybym odmówiła, znalazłby jakiś sposób, żeby mnie zmusić.

- Daj spokój, Sarita. To nie tak.

Odetchnęła i się odwróciła. Koła jej wózka zapiszczały na podłodze jak pisklaki.

- Odkąd zaczęły o tym pisać gazety, walczę, żeby uciec ze światła reflektorów, ale teraz widzę, że to walka z góry przegrana. To takie dziwne, Alex, pokonywałam tyle przeszkód, żeby ten projekt wciąż funkcjonował, a teraz tak się kończy.

- Kto powiedział, że się kończy?

- Jest martwy, Alex. Jamey zamordował go tak samo, jak tych chłopców.

Pokręciłem głową.

- Nie wątpię, że prasa będzie miała używanie z jego IQ, tak samo jak z Leopoldem i Loebem. Ale twoim prawdziwym wrogiem jest ignorancja. Ludowe przesady na temat geniuszu. Jeśli zamkniesz się w sobie i fakty nie wyjdą na jaw, ludzie uciekną się do tych przesądów. Im bardziej jesteś otwarta, tym większa szansa, że przeczekasz rozgłos, a twój przekaz do trze tam, gdzie trzeba.

Milczała przez chwilę.

- Dobrze - rzuciła krótko. - Załatwię to. Teraz wybacz, mam dużo pracy.

- Dziękuję - powiedziałem, wstając.

Zdawkowo uściśnęła mi rękę, uśmiechnęła się odruchowo. Szybko zamknęła za mną drzwi, a kiedy odchodziłem, usłyszałem natarczywy, jękliwy dźwięk gumy na winylu. Kręciła się. Szybciej i szybciej.

Souza był zaskoczony moją prośbą. - Doktorze, jedyne, co pan zobaczy, to wielki, zachlapany krwią pokój, ale jeśli uważa pan, że to konieczne, da się to załatwić.

- Byłoby to pomocne.

Zamilkł na tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy nas nie rozłączyło.

- W jaki sposób, doktorze?

- Jeśli Jamey będzie kiedykolwiek dość przytomny, żeby rozmawiać o morderstwach, chcę wiedzieć jak najwięcej o szczegółach.

- Dobrze - powiedział sceptycznie. - Żaden biegły nigdy o to nie prosił, ale porozmawiam z policją i załatwię, żeby pozwolili panu tam pojechać.

- Dziękuję.

- Z bardziej konwencjonalnych tematów, chciałbym dowiedzieć się, jakie postępy pan poczynił.

Streściłem mu swoją rozmowę z Saritą Flowers.

Od razu przyczepił się do halucynacji z siatkami i moich pytań o używanie narkotyków.

- Co to są te siatki, konkretnie?

- Ludzie po LSD czasami opowiadają, że widzieli jasno podświetlone, kolorowe, kraciaste wzory.

Ale Jamey mówił o krwawych siatkach, więc to mogło być coś zupełnie innego.

- Interesujące. Jeśli rzeczywiście je widział, na ile to może być istotne?

- Prawdopodobnie wcale. Podczas gdy halucynacje wzrokowe nie są w schizofrenii tak częste jak omamy słuchowe, zdarzają się. A doktor Flowers jest prawie pewna, że Jamey nigdy nie brał narkotyków.

- Ale widzenie takich rzeczy jest powszechne u biorących LSD?

- Tak, lecz nie tylko u nich.

- To otwiera nowe możliwości, doktorze.

- Że Chancellor podawał mu narkotyki i zrobił z niego robota?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie forsowałbym jeszcze tej teorii. Fakty mocno wspierają diagnozę schizofrenii. Schizofrenicy często cierpią na poważne zaburzenia mowy; słowa nabierają dla nich nowych, zupełnie dziwacznych znaczeń. Nazywa się to słowną parafrazą. Dla niego „krwawe siatki” mogły oznaczać „spaghetti”.

- Nie wymagam naukowej pewności, doktorze, jedynie sugerowanych ewentualności.

- Na tym etapie nie ma pan nawet tego. Nie ma żadnych innych wskazówek, że brał narkotyki. Mainwaring musiał przeprowadzić badania, kiedy go przyjmował. Czy mówił coś o używaniu substancji chemicznych?

- Nie - przyznał Souza. - Powiedział, że to książkowy przypadek schizofrenii. Że nawet gdyby chłopak brał narkotyki, nie zwariowałby od nich.

- To trafna ocena.

- Rozumiem to wszystko, doktorze. Ale jeśli trafi pan na inne dowody zażywania narkotyków, cokolwiek, proszę natychmiast dać mi znać.

- Oczywiście.

- Dobrze. Tak się składa, że Dwight będzie mógł się z panem spotkać dzisiaj o trzeciej.

- Pasuje mi.

- Wyśmienicie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, wolałby się z panem spotkać w siedzibie Cadmus Construction. Z dala od wścibskich oczu.

- Nie ma problemu.

Souza podał mi adres na Westwood i jeszcze raz zaproponował, że mi zapłaci. W pierwszej chwili chciałem odmówić, ale stwierdziłem, że jestem dziecinny i że myślę niezależność z fałszywą skromnością. Pieniądze czy nie, byłem zaangażowany w tę sprawę i zabrnąłem za daleko, żeby się teraz wycofać. Zaproponowałem, żeby przysłał mi połowę zaliczki, a on odparł, że wypisze czek na pięć tysięcy dolarów, kiedy tylko odłoży słuchawkę.

Przyjechałem do aresztu o jedenastej i bez słowa wytłumaczenia musiałem czekać czterdzieści pięć minut. Dzień był gorący i duszny, a smog z zewnątrz sączył się pod drzwiami. Krzesła w poczekalni były twarde i niewygodne. Zniecierpliwiłem się i zapytałem o przyczynę opóźnienia. Głósza szkła stwierdził, że nic nie wie. W końcu pojawiła się zastępczyni szeryfa, która miała zaprowadzić mnie na blok wysokiego rygoru. W windzie powiedziała mi, że poprzedniego dnia jeden z aresztantów został zadźgany nożem.

- Musimy podwójnie przestrzegać wszystkich procedur, i to wszystko spowalnia.
- Czy to były porachunki gangów?
- Tak sędzę, proszę pana.

Przysadzisty, czarnoskóry strażnik Sims przejął mnie przy wejściu do bloku wysokiego rygoru. Zaprowadził mnie do małego gabinetu i przeszukał, zaskakująco delikatnie. Kiedy dotarłem do przeszklonego pomieszczenia, Jamey już tam był. Sims otworzył drzwi, zaczekał, aż usiadłem, i wyszedł. Zatrzymał się blisko szklanej ściany i tak samo jak Sonnenschein nienachalnie, ale uważnie przyglądał się temu, co robiłem.

Tym razem Jamey nie spał - wił się i szarpał z więzami. Usta miał wydęte, oczy rozbiegane jak bilardowe kule. Ktoś go ogolił, ale byle jak, więc na jego twarzy straszły łaty ciemnego zarostu. Żółtą pizamę miał czystą, ale pogniecioną. Pomieszczenie szybko wypełniło się smrodem niemytego ciała; zastanawiałem się, kiedy ostatnio go kąpali.

- To znów ja, Jamey. Doktor Delaware.

Oczy przestały się poruszać, zamarły, a potem wolno opadły, aż ich spojrzenie spoczęło na mnie. Tęczówki rozjaśnił błysk przytomności, jakby w oczodołach zamigotała błyskawica, ale błękit szybko się zamglił i pozostał szklisty. Nie była to żywiołowa reakcja, ale przynajmniej wykazywał minimum kontaktu.

Powiedziałem mu, że się cieszę, że go widzę, a on zaczął się pocić. Krople niczym wąsy zrosiły jego górną wargę i czoło. Znów zamknął oczy, a ścięgnię na jego szyi napięły się jak postronki.

- Jamey, otwórz oczy. Posłuchaj, co chcę ci powiedzieć.

Powieki pozostały zaciśnięte. Zadygotał. Wyczekiwałem następnych objawów dyskinezji, ale nie nastąpiły.

- Wiesz, gdzie jesteś? Nic.

- Jaki mamy dzień, Jamey? Cisza.

- Kim jestem? Brak odpowiedzi.

Dalej do niego mówiłem. Kołysał się i bawił dłońmi, ale w przeciwieństwie do ruchów, które wykonywał podczas mojej pierwszej wizyty, te wyglądały na dobrowolne. Dwa razy otworzył oczy i popatrzył na mnie zamglonym wzrokiem, ale szybko znów je zamknął. Pozostały już zamknięte i przestał reagować w ogóle na mój głos.

Dwadzieścia minut później byłem gotów się już poddać, kiedy jego usta zaczęły się poruszać - wargi miał sztywne i wysunięte, jakby próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Z wysiłku aż się wyprostował. Nachyliłem się do niego. Kątem oka zobaczyłem plamę koloru khaki: to Sims przysuwał się do szkła i zaglądał do środka. Zignorowałem go, całą uwagę skupiałem na chłopcu.

- Słucham cię, Jamey.

Skóra wokół jego ust zmarszczyła się i pobladła, a same usta stały się czarną elipsą. Zrobił kilka płytkich wydechów. A potem wymamrotał pod nosem pojedyncze słowo:

- Szkło.

- Szkło? - Przysunąłem się bardzo blisko jego ust, poczułem gorąco jego oddechu. - Jakie szkło?

Zduszony jęk.

- Mów, Jamey. Dalej.

Usłyszałem, że otwierają się drzwi.

- Proszę się cofnąć, proszę pana - usłyszałem głos Simsa.

- Powiedz mi o szkle - nalegałem, próbując zbudować dialog z jednego wyszeptanego słowa.

- Proszę pana - powtórzył z naciskiem Sims - jest pan za blisko więźnia. Proszę się cofnąć.

Usłuchałem.

Jamey też się cofnął, zgarbił i pochylił głowę; skojarzyło mi się to z jakąś prymitywną formą obrony, jakby chciał zrobić się mniejszy, żeby wydać się mniej atrakcyjną ofiarą.

Sims stał i obserwował nas.

- Wszystko w porządku - zapewniłem, oglądając się przez ramię. - Będę zachowywał dystans.

Popatrzył na mnie beznamiętnie, odczekał kilka sekund i wrócił na swój posterunek. Odwróciłem

się do Jameya.

- O co ci chodziło, kiedy powiedziałaś „szkło”?

Nie podniósł głowy. Przechylił ją nienaturalnie w bok, tak, że opierała się na ramieniu, wyglądał jak ptak, który szykuje się do snu i chowa dziób pod skrzydło.

- Kiedy do mnie dzwoniłaś, mówiłaś o szklanym kanionie. Myślałem, że chodzi ci o szpital. Mówiłaś o czymś innym?

Dalej próbował się skulić i mimo więzów udało mu się zwinąć jak płód w niewielki kłębek. Zupełnie jakby zniknął na moich oczach, a ja nie mogłem tego powstrzymać.

- A może mówisz o tym pomieszczeniu o szklanych ścianach? Próbowałem do niego dotrzeć, ale na próżno. Błede, nieruchome ciało

zawinięte w przepoconą bawełnę było pozbawione życia, tylko wychudzona pierś poruszała się w słabym oddechu.

Siedział tak, aż wszedł Sims i oznajmił, że mój czas się skończył.

Gmach Cadmusów stał przy Wilshire, między Westwood a Sepulveda, i był jednym z tych wysokich, lustrzanych prostopadłościanów, które wyrastają w całym Los Angeles - narcystyczna architektura miasta zbudowanego na pozorach. Przed nim wznosiła się rzeźba z zardzewiałych gwoździ, tworzących wyciągniętą dłoń wysoką na trzy piętra. Na tablicy był napis: „Dążenie”.

Wszedłem do holu, jaskini czarnego granitu, klimatyzowanej aż do przesady, ozdobionej wielkimi diffenbachiami i fikusami w donicach z polerowanej stali. W głębi znajdował się granitowy blat, stało przy nim dwóch ochroniarzy, jeden siwy, z obwisłymi policzkami, drugi jeszcze prawie nastolatek. Przyglądali się mi, kiedy czytałem listę firm. W budynku urzędowało mnóstwo adwokatów i księgowych. Cadmus Construction zajmowało cały penthouse.

- Mogę panu w coś pomóc? - spytał starszy strażnik.

Kiedy się przedstawiłem, poprosił o jakiś dowód tożsamości. Potwierdziwszy ją po cichu przez telefon, skinął głową, a młodszy zaprowadził mnie do windy.

- Zawsze jesteście panowie tacy czujni?

Pokręcił głową.

- Tylko w tym tygodniu. Musimy uważać na reporterów i czubków.

Odczepił od pasa pęk kluczy i otworzył ekspresową windę, która wwiozła mnie na górę w kilka sekund. Drzwi się otworzyły i zobaczyłem logo korporacji: małe czerwone C umieszczone we wnętrzu większego, niebieskiego. Recepcję zdobiły sztychy Albersa w chromowych ramkach i makiety budynków w pleksiglasowych gablotach. Czekająca tu na mnie wiotka brunetka; poprowadziła

mnie przez rozwidlające się foyer. Po jednej stronie był sekretariat - rzędy nieruchomych twarzy, stukających bez przerwy w klawiatury maszyn - po drugiej metalowe, podwójne drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Brunetka je otworzyła i poszedłem za nią cichym korytarzem wyłożonym czarną wykładziną. Gabinet Dwighta Cadmusa znajdował się na jego końcu. Zapukała, otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

- Doktor Delaware do pana, panie Cadmus.

- Dziękuję, Julie.

Wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Gabinet był olbrzymi, a Cadmus stał na jego środku, zgarbiony, bez marynarki, z rękawami podwiniętymi do łokci, wycierając okulary czubkiem krawata. Ściany wewnętrzne były otynkowane brązowym gipsem, wisiały na nich rysunki budowli i obraz przedstawiający karawanę Arabów, jadących na wielbłądach przez wydmy pustyni. Ściany zewnętrzne stanowiły przyciemniane szyby, sięgające od podłogi do sufitu. Przypomniało mi się pojedyncze słowo, które wyszeptał Jamey, rozważyłem to i postanowiłem na razie o tym nie myśleć.

Szklane ściany stanowiły tło niskiego, płaskiego biurka z lakierowanego palisandru, zawalonego projektami i tekturowymi rulonami. Prostopadle do biurka stał duży bar, przed nim zaś dwa fotele obite teksturowaną, czarną bawełną. Na oparciu jednego z nich wisiała marynarka od garnituru.

- Proszę się rozgościć, doktorze.

Usiadłem na pustym fotelu i czekałem, aż Cadmus wyczyści okulary. Promienie słońca nadawały przyciemnianemu szkle kolor bursztynu; miasto w dole wyglądało jak z mosiądzu.

Cadmus założył okulary, wszedł za biurko i usiadł na obrotowym fotelu, zerkając na projekty i unikając kontaktu wzrokowego. Włosy miał

wyjątkowo rzadkie na czubku głowy; poklepał je, jakby sprawdzając, czy jeszcze jakieś zostały.

- Podać coś panu? - spytał, patrząc na bar.

- Nie, dziękuję.

Kakofonia klaksonów wzbiła się na dwadzieścia pięter w górę. Cadmus uniósł brwi, odwrócił się i zapatrzył w dół, na ulicę. Kiedy spojrzał na mnie, miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Co konkretnie mam dla pana zrobić?

- Chciałbym, żeby opowiedział mi pan o Jameyu, żebym mógł prześledzić jego rozwój od narodzin do dnia dzisiejszego.

Spojrzał na zegarek.

- Ile to ma potrwać?

- Nie musimy załatwiać wszystkiego naraz. Ile ma pan czasu? Machnął ręką nad projektami.

- Nigdy dość.

Popatrzyłem na niego z odruchowym niedowierzaniem. Spojrzał mi w oczy, usiłując zachować nieporuszoną minę, ale mu się nie udało.

- Pewnie nie zabrzmiało to najlepiej. Nie próbuję dowcipkować. Bardzo chciałbym zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc. Chrystus jeden wie, że tylko to robię, odkąd się dowiedziałem. Próbuję pomóc. To koszmar. Człowiek staje na głowie, żeby żyć godziwie, żeby wszystko jakoś poukładać. Myśli, że wie, na czym stoi, a tu nagle łup, i z dnia na dzień wszystko trafia szlag.

- Wiem, że jest panu ciężko...

- Mojej żonie jest ciężiej. Naprawdę martwi się o Jameya. Oboje się martwimy - dodał szybko - ale to ona była z nim cały czas w domu. Właściwie, jeśli chciałby pan poznać szczegóły, ona powiedziałaaby panu więcej niż ja.

- Zamierzam z nią też porozmawiać.

Cadmus poprawił węzeł krawata.

- Pana nazwisko brzmi znajomo - powiedział, znów spuszcżając wzrok.

- Rozmawialiśmy przez telefon pięć lat temu - odparłem.

- Pięć lat temu? O czym konkretnie?

Byłem pewien, że dobrze pamięta tamtą rozmowę, ale i tak ją streściłem. Przerwał mi w połowie.

- Aha. Tak, przypominam sobie. Chciał pan, żebym poszedł z Jameyem do psychiatry. Spróbowałem, porozmawiałem z nim o tym; ale bronił się nogami i rękami, a ja nie chciałem go zmuszać. Przymus nie leży w mojej

naturze. Rozwiązuję problemy, nie tworzę ich. Zmuszanie go, by robił różne rzeczy, kończyło się problemami.

- Jakimi problemami?

- Konfliktami. Awanturami. Pyskówkami. Moja żona i ja mamy dwie córki i nie chcemy, żeby były narażone na coś takiego.

- To musiała być trudna decyzja wysłać go do zakładu.

- Trudna? Nie. Wtedy nie było już innego wyjścia. Dla jego własnego dobra.

Wstał, podszedł do baru i nalał sobie szkockiej z wodą sodową.

- Na pewno nic panu nie podać?

- Nie, dziękuję.

Wrócił z drinkiem za biurko, usiadł i się napił. Dłoń, w której trzymał szklankę, drżała niemal niedostrzegalnie. Był zdenerwowany i obronnie nastawiony; wiedziałem, że spróbuje znaleźć inny sposób na zmianę tematu. Zanim zdołał to zrobić, zacząłem mówić:

- Zaczął się pan opiekować Jameyem, kiedy zmarł pana brat. Jaki on wtedy był?

Pytanie zbiło go z tropu.

- Był małym dzieckiem. - Wzruszył ramionami.

- Niektóre małe dzieci są spokojne, inne łatwo się denerwują. Jaki temperament miał Jamey?

- Czasami był kapryśny, czasem cichy. Chyba sporo płakał, w każdym razie więcej niż moje dziewczynki. Ale zawsze zwracał uwagę niezwykłą inteligencją. Nawet jako niemowlak.

- Wcześniej zaczął mówić?

- Jeszcze jak.

- W jakim wieku?

- Chryste, to było dawno.

- Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

- Pomyślmy... nie miał nawet roku. Może sześć miesięcy. Pamiętam, że raz byłem w domu na ferie, a ojciec i Peter próbowali mu zmienić pieluchę, a ten maluch nagle mówi: „Pielucha nie”. I to wyraźnie, bez gaworzenia. To było niesamowite. Ojciec zażartował: „Dajcie małemu cygaro”, ale widać było, że go to poruszyło.

- A Petera?

- Jego też. Co to wszystko ma wspólnego z obecną sytuacją?

- Muszę wiedzieć o nim jak najwięcej. W czym jeszcze był nad wiek rozwinięty?

- We wszystkim.

- Może pan podać jakieś przykłady?

Cadmus, zniecierpliwiony, zmarszczył brwi.

- To było tak, jakby on funkcjonował w innym rytmie. Kiedy skończył rok, potrafił wejść do restauracji i zamówić kanapkę. Mieliśmy pokojówkę, która mówiła po holendersku. Ni z tego, ni z owego zaczął mówić po holendersku. Płynnie, a tylko jej słuchał. Nauczył się czytać, kiedy miał jakieś trzy latka. Mniej więcej wtedy go przygarnąłem. Któregoś dnia wchodzę do niego, a on siedzi z książką. Pytam, czy mu poczytać. Patrzy na mnie i mówi: „Nie, wujku Dwight. Sam umiem czytać”. Myślałem, że fantazjuje, więc powiedziałem: „To poczytaj”. No i rzeczywiście, dzieciak umiał czytać. Lepiej niż niejeden mój pracownik. W wieku pięciu lat potrafił przeczytać poranną gazetę od deski do deski.

- Niech mi pan opowie o jego edukacji.

- Pracowałem na pełny etat w firmie, więc wysłałem go do żłobka. Doprowadzał przedszkolanki do rozpacz. Pewnie dlatego, że był o wiele inteligentniejszy od nich. Oczekiwały, że będzie robił to samo, co inne dzieci, a tymczasem on zachowywał się wobec nich krytycznie: „Jesteś głupia, odwal się”. Kiedy się ożeniłem, moja żona bardzo starała się znaleźć mu odpowiednie przedszkole. Szukała bardzo długo, była w wielu miejscach, rozmawiała z nauczycielami, aż znalazła odpowiednie. To było najlepsze przedszkole w Hancock Park, same dobre dzieci z dobrych, porządnych rodzin. Tak pyskował, że wyrzucili go po dwóch miesiącach.

- Za pyskowanie?

- Za to, że się buntował. Chciał czytać książki dla dorosłych. Nie porno... Faulknera, Steinbecka. Uważali, że będzie to przeszkadzało innym dzieciom, i mieli trochę racji. Szkoła to system. Systemy są oparte na strukturach. Lecz jeśli w systemie jest za dużo luzu, wszystko się rozlatuje. Powinien się dostosować, ale nie chciał. Kiedy próbowali go zmusić do posłuszeństwa, odszczekiwał, histeryzował, kopał przedszkolanki po kostkach. Jedną z nich nazwał chyba faszystką, czy jakoś tak. W końcu mieli dość i go wykopali. Może pan sobie wyobrazić, jak się czuła moja żona, po tym, jak włożyła w to tyle pracy.

- Gdzie potem chodził do szkoły?

- Nigdzie. Był w domu, dopóki nie skończył siedmiu lat. W rok nauczył się łaciny, matematyki z pięciu klas i całego programu angielskiego z liceum. Ale moja żona zauważyła, że społecznie to wciąż małe dziecko. Dlatego dalej próbowaliśmy z różnymi szkołami. Nawet z tą w Valley, dla wybitnie uzdolnionych dzieci. Nie potrafił się przystosować. Zawsze uważał, że jest mądrzejszy od innych, i nie chciał postępować zgodnie z zasadami.

Nieważne, jakie się ma IQ, z takim podejściem daleko się nie zajdzie.

- A więc nie odebrał konwencjonalnego, szkolnego wykształcenia?

- Właściwie nie. Chcieliśmy, by uczył się wśród normalnych dzieci, ale nie wyszło.

Odchylił głowę i opróżnił szklanę.

- To była klątwa.

- Co takiego?

- To, że był za mądry, żeby mu to wyszło na dobre.

Przewróciłem stronę w notesie.

- Ile miał lat, kiedy się pan ożenił?

- Jesteśmy małżeństwem trzynaście lat, więc miał pięć.

- Jak zareagował na małżeństwo?

- Cieszył się. Na ślubie pozwoliliśmy mu podać obrączki. Heather miała mnóstwo małych kuzynów, którzy chcieli to zrobić, ale uparła się na Jameya, powiedziała, że on potrzebuje wyjątkowych względów.

- Czy on i Heather od początku dobrze ze sobą żyli?

- Oczywiście. Dlaczego nie? To świetna dziewczyna, doskonale radzi sobie z dziećmi. Dała mu o wiele więcej niż mnóstwo naturalnych matek. Teraz bardzo cierpi.

- Czy opieka nad tak trudnym dzieckiem powodowała napięcia w państwa małżeństwie?

Cadmus podniósł szklankę i obrócił ją w dłoniach.

- Był pan kiedyś żonaty?

- Nie.

- To wspaniała instytucja, powinien pan spróbować. Ale trzeba wiele pracy, żeby wszystko szło dobrze. Na studiach brałem udział w regatach i myślę, że małżeństwo jest jak duża łódź. Jeśli poświęcić czas i zadbać o nią, jest na co popatrzeć. Jeśli ją zaniedbać, szybko się posypie.

- Czy Jamey przysparzał jakichś dodatkowych problemów wychowawczych?

- Nie. Heather sobie z nim radziła.

- Z czym musiała sobie radzić?

Zabębnił palcami po stole.

- Muszę panu powiedzieć, doktorze, że kierunek pana pytań zaczyna mnie niepokoić.

- W jakim sensie?

- Całe pana podejście. Choćby to, jak pan teraz powiedział: „W jakim sensie?” To gotowe klocki.

Scenariusz. Czuję się, jakbym leżał na kozetce

psychoanalityka. Nie rozumiem, co moje małżeństwo ma wspólnego z tym, żeby Jamey trafił do szpitala zamiast do więzienia.

- Nie jest pan pacjentem, ale istotnym źródłem informacji. A ja potrzebuję informacji, żeby mieć fundament, na którym będę mógł oprzeć swój raport. Tak samo jak pan stawia budynek.

- Tak, ale my nie kopujemy fundamentów ani o centymetr głębiej, niż nam każą geolodzy.

- Niestety moja dziedzina nie jest tak precyzyjna jak geologia.

- To właśnie mnie niepokoi.

Zamknąłem notes.

- Może to niewłaściwa pora na rozmowę, panie Cadmus.

- Lepszej nie będzie. Po prostu chcę się trzymać tematu.

Skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok w punkt nad moim ramieniem. Za szklami okularów jego oczy były bez wyrazu, nieustępliwe jak pancerna płyta.

- Musi pan o czymś pamiętać - powiedziałem spokojnie. - Rozprawa to spektakl. Psychologiczny odpowiednik publicznej chłosty. Kiedy prawnicy wezmą was w obroty, żaden aspekt życia Jameya czy państwa nie będzie nietykalny. Choroba pana matki, stosunki między państwa rodzicami, małżeństwo i samobójstwo pana brata, pańskie małżeństwo, to wszystko będzie smacznym kąskiem dla dziennikarzy, publiczności i przysięgłych. Jeśli sprawa okaże się dość pikantna, ktoś może nawet napisze o niej książkę. W porównaniu z tym nasza rozmowa to bułka z masłem. Jeśli nie potrafi pan jej znieść, ma pan poważne kłopoty.

Cadmus poczerwieniał, zacisnął szczęki, a jego usta zaczęły się wyginać. Patrzyłem, jak jego ramiona się napinają, a potem opadają. Nagle zrobił się bezradny, jak dziecko przebrane w korporacyjny garnitur.

Kiedy znów się odezwał, mówił głosem zduszonym z wściekłości.

- Robiliśmy, co mogliśmy, dla tego małego drania. Rok za rokiem. A on zrobił coś takiego.

Wstałem i podszedłem do baru. Do swojej szklanki nalał poprzednio glenliveta, co mi bardzo pasowało. Nalałem sobie na dwa palce, przyrządziłem drugą szkocką z wodą i zaniósłem jemu.

Zbyt odrętwiały, by mówić, podziękował skinieniem głowy i wziął szklankę. Przez kilka minut piliśmy w milczeniu.

- Dobra - zgodził się w końcu. - Miejmy to za sobą.

Zaczęliśmy w miejscu, gdzie poprzednio przerwaliśmy. Ponownie zaprzeczył, że wychowywanie Jameya miało jakiś wpływ na jego małżeństwo, chociaż przyznał, że niełatwo było mieszkać z chłopcem pod jednym dachem.

Brak konfliktów przypisywał cierpliwości swojej żony i jej umiejętnemu podejściu do dzieci.

- Pracowała przedtem z dziećmi? - dociekałem.

- Nie, studiowała antropologię. Zrobiła magisterkę i zaczęła pracować nad doktoratem. Chyba ma po prostu wrodzony talent.

Zmiana tematu. Poprosiłem go, żeby opowiedział o rozwoju psychozy Jameya. Jego historia była zbliżona do tej, którą przedstawiła mi Sarita Flowers: stopniowe, ale trwałe osuwanie się w szaleństwo, które uchodziło uwagi wszystkich dłużej, niż powinno, bo chłopiec ciągle się zmieniał.

- Kiedy zaczęliście się państwo naprawdę martwić? - spytałem.

- Kiedy dostał paranoi. Baliśmy się, że skrzywdzi Jennifer i Nicole.

- Czy kiedykolwiek im groził albo dochodziło do rękoczynów?

- Nie, ale zrobił się wredny. Krytyczny i złośliwy. Czasami nazywał je małymi wiedźmami. Nieczęsto, bo odkąd skończył szesnaście lat, mieszkał w domku gościnnym nad garażem i prawie w ogóle go nie widywaliśmy, ale przejęliśmy się tym.

- Wcześniej mieszkał w państwa domu?

- Tak. Miał własny pokój z osobną łazienką.

- Dlaczego przeniósł się do domku gościnnego?

- Powiedział, że potrzebuje prywatności. Przedyskutowaliśmy to i zgodziliśmy się; i tak ciągle siedział w swoim pokoju, więc nie była to znów taka duża zmiana.

- Ale dalej przychodził do głównego domu i zaczepiał państwa córki?

- Raz na jakiś czas, może cztery czy pięć razy na miesiąc, głównie po to, żeby coś zjeść. W domku gościnnym jest kuchnia, ale nigdy nie widziałem, żeby coś gotował. Buszował nam po lodówce, wyjmował miski z resztkami i pożerał je jak zwierzę, na stojąco przy zlewie. Heather proponowała, że nakryje mu do stołu, ugotuje coś porządnego, ale odmawiał. Później odbiło mu na punkcie zdrowia i buszowanie się skończyło, więc widywaliśmy go jeszcze rzadziej, co było nam na rękę, bo kiedy tylko przyszedł, to narzekał, nic mu się nie podobało. Z początku braliśmy to za zwykłe zadzieranie nosa, potem zrozumieliśmy, że jest gorzej.

- Co sprawiło, że to sobie państwo uświadomiliście?

- Jak powiedziałem, jego paranoja. Zawsze był podejrzliwym dzieckiem, doszukującym się za

wszystkim ukrytych motywów. Ale to było co innego. Jak tylko wchodził do kuchni, zaczynał obwąchiwać jedzenie jak pies, krzyczał, że jest zatrute, że próbujemy go otruć. Kiedy chcieliśmy go uspokoić, wyzywał nas od najróżniejszych. Robił się cały czerwony, patrzył nieprzytomnie, dziko, kiwał głową, jakby był w innym świecie, słuchał kogoś

niewidzialnego. Dowiedzieliśmy się potem od doktora Mainwaringa, że miał omamy słuchowe, więc to by wszystko wyjaśniało.

- Pamięta pan, jak was nazywał?

Cadmus zrobił zboląłą minę.

- Mówił, że śmierdzimy, że jesteśmy niszczycielami i zombi. Któregoś dnia pokazał palcem Jennifer i Nicole i nazwał je zombetkami. Wtedy zrozumieliśmy, że musimy coś zrobić.

- Zanim dostał psychozy, jakie były jego stosunki z państwa córkami?

- Gdy były małe, bardzo dobre. Miał dziesięć lat, kiedy urodziła się Jennifer, dwanaście kiedy Nikki, był za duży, żeby zazdrościć. Heather zachęcała go, żeby pomagał jej opiekować się nimi. Zabierał brudne pieluchy, umiał rozbawiać dziewczynki. Potrafił być twórczy, kiedy chciał, wystawiał dla nich przedstawienia lalkowe, wymyślał bajki. Ale kiedy podrośł, miał czternaście lat, czy jakoś tak, stracił zainteresowanie. Wiem, że dziewczynkom było przykro, bo do tej pory poświęcał im dużo uwagi, a teraz mówił: „Idźcie sobie, dajcie mi spokój”, i to wcale nie tak uprzejmie. Ale obie są wspaniałymi dziećmi, bardzo lubianymi, mają dużo przyjaciół, więc jestem pewien, że szybko o tym zapomniały. Unikały go, nie musieliśmy im nawet o tym przypominać. Ale i tak się martwiliśmy.

- I to właśnie skłoniło państwa, żeby wysłać go do zakładu.

- To nas skłoniło, żeby się nad tym zastanowić. Czara się przelała, gdy zniszczył naszą bibliotekę.

- Kiedy to było?

Cadmus głęboko westchnął.

- Trochę ponad trzy miesiące temu. W nocy. Już się położyliśmy. Nagle usłyszeliśmy dzikie hałasy na dole, wrzaski, krzyki, głośnie trzaski. Heather wezwała policję, a ja złapałem pistolet i biegłem sprawdzić, co się dzieje. Jamey był w bibliotece, nagi, zrzucał książki z półek, darł je na strzępy i wrzeszczał jak wariat. Nigdy tego nie zapomnę. Krzyknąłem, żeby przestał, ale on spojrzał przeze mnie, jakbym był jakąś... zjawą. Potem rzucił się na mnie, w ogóle nie bał się pistoletu. Był czerwony i spuchnięty, ciężko dyszał. Uciekłem i zamknąłem go na klucz. Zaczął dalej wszystko niszczyć, słyszałem, jak wali i drze. Niektóre z tych książek były stare i warte fortunę, zostawił mi je tata. Ale musiałem pozwolić mu je zniszczyć, żeby nikomu nic się nie stało.

- Jak długo tam był?

- Może piętnaście minut. Wydawało się, że to całe godziny. W końcu przyjechała policja i go

obezwładniała. Było ciężko, bo stawiał opór.

Myśleli, że najadł się PCP czy czegoś takiego, i wezwali karetkę. Chcieli go zabrać do szpitala okręgowego, ale tydzień wcześniej rozmawialiśmy z Mainwaringiem i powiedzieliśmy, że chcemy, żeby zawieźć go do Canyon Oaks. Robili trochę trudności, potem jednak pojawił się Horace, Heather do niego też zadzwoniła, i wszystko załatwił.

- Kto skierował państwa do doktora Mainwaringa?

- Horace. Pracował z nim w przeszłości, twierdził, że to świetny lekarz. Zadzwoniliśmy do niego, obudziliśmy go, a on powiedział, żeby przyjeżdżać jak najszybciej. Godzinę później Jamey został przyjęty do Canyon Oaks.

- Na siedemdziesiąt dwie godziny?

- Tak, ale Mainwaring od razu nas poinformował, że Jamey zostanie tam dłużej.

Cadmus spojrział na swoją pustą szklanekę, potem tęsknie na butelkę glenlivet na barze.

- Reszta, jak to mówią - stwierdził cierpko - jest cholerną historią.

Odpowiadał posłusznie na moje pytania przez ponad godzinę i wyglądał na zmęczonego. Zapropnowałem, że przerwiemy i spotkamy się innym razem.

- Co tam - odparł. - I tak mam spaprany dzień. Jedźmy dalej.

Znów spojrział na bar; powiedziałem, że może się nie krępować i nalać sobie jeszcze jednego drinka.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Nie chcę, żeby pan pomyślał, że jestem jakimś pijaczną, i zamieścił to w swoim raporcie.

- Niech się pan nie przejmuj.

- Nie, w porządku. Znam swoje możliwości. Dobrze, co jeszcze chce pan wiedzieć?

- Kiedy po raz pierwszy uświadomił pan sobie, że Jamey jest homoseksualistą? - spytałem, przygotowując się na kolejny wybuch. Ku mojemu zaskoczeniu Cadmus pozostał spokojny, niemal smutny.

- Nigdy.

- Słucham?

- Nie uświadomiłem sobie, że jest homoseksualistą, bo nie jest homoseksualistą.

- Nie jest?

- Pewnie, że nie. To zagubiony dzieciak, który nie ma pojęcia, kim jest. Nawet normalne dziecko w tym wieku nie wie, kim jest, a co dopiero wariat.

- Jego związek z Digiem Chancellorem...

- Dig Chancellor był starym pedałem, który lubił zabawiać się z małymi chłopcami. Nie mówię, że nie zabawiał się z Jameyem. Ale jeśli to robił, to był gwałt.

Popatrzył na mnie, szukając potwierdzenia. Milczałem.

- Jest po prostu za wcześnie, żeby to stwierdzić - upierał się. - Dziecko w tym wieku nie rozumie siebie na tyle, życia na tyle, żeby wiedzieć, że jest ciotą, prawda?

Wykrzywił się zaczepnie. To nie było pytanie retoryczne; on oczekiwał odpowiedzi.

- Większość homoseksualistów pamięta poczucie inności od wczesnego dzieciństwa - wyjaśniłem, pomijając fakt, że Jamey opisał mi to poczucie na wiele lat przed tym, jak poznał Chancellora.

- Skąd pan to wziął? Nie kupuję.

- Pojawia się to stale w opracowaniach.

- Jakich opracowaniach?

- Historiach choroby, badaniach.

- Co oznacza, że oni wam mówią, a wy im wierzycie.

- Zasadniczo tak.

- Może kłamią, próbują usprawiedliwić swoje zbrodzenie jako coś wrodzonego. Psychologowie nie wiedzą, co powoduje pedałstwo?

- Nie.

- Tyle w temacie nauki. Ja słucham swoich przeczuć, a one mi mówią, że to zagubiony dzieciak, sprowadzony na złą drogę przez zbrodźcę.

Nie spierałem się z nim.

- Jak poznał Chancellora?

- Na przyjęciu - powiedział Cadmus z dziwnym naciskiem, zdejmując okulary. Zerwał się nagle, trąc oczy. - Chyba się myliłem, doktorze. Jestem wypluty. Innym razem, dobrze?

Zebrałem swoje notatki, odstawiłem szklanke i wstałem.

- Dobrze. Kiedy?

- Nie mam pojęcia. Niech pan zadzwoni do mojej dziewczyny, ona nas umówi.

Szybko ruszył do drzwi. Podziękowałem mu za poświęcony mi czas, a on kiwnął głową obojętnie, zerkając z ukosa na bar. Z pewnością jasnowidza wiedziałem, że kiedy tylko wyjdę, należy sobie szkockiej.

12

Ferrari Dino rozkraczyło się na skrzyżowaniu Westwood i Wilshire. Dwaj surferzy w średnim wieku, w krótkich spodniach i koszulkach na ramiączkach, próbowali zepchnąć je na pobocze, ignorując podniesione środkowe palce i ryczące klaksony. Popołudniowy ruch prawie się zatrzymał. Siedząc w seville'u, przetrawiałem rozmowę z Cadmusem i doszedłem do wniosku, że jej efekty były skromne. Za dużo czasu straciłem na przełamywanie jego obrony, za mało poświęciłem konkretnym; wielu tematów nawet nie tknęliśmy. Zastanawiałem się, jakie tajemnice starał się ukryć - psychiczne fortece wznoszą ci, którzy mają najwięcej do ukrycia - i nie miałem odpowiedzi. Postanowiłem sprawdzić inne tropy, zanim wrócę do niego.

Dino w końcu dotoczył się do krawężnika i korek stopniowo się rozładował. Przy pierwszej sposobności skręciłem w lewo i przeciąłem boczne uliczki Westwood do Sunset. Pięć minut później byłem w domu.

W skrzynce pocztowej, oprócz mnóstwa śmieci, znalazłem kopertę firmy kurierskiej z Beverly Hills. W środku były czek na pięć tysięcy dolarów i prośba o telefon do niejakiego Bradforda Balcha z kancelarii Souzy.

Bezproduktywna rozmowa i zera na czeku sprawiły, że poczułem się nieswojo. Przyjąłem propozycję Souzy z brakiem przekonania, który nie minął. Teraz wątpliwości wezbrały we mnie jak rzeka po ulewnych deszczach.

Wymyśliłem sobie uzasadnienie tych rozmów: poznając przeszłość Jameya, byłbym w stanie zrozumieć go i jakoś mu pomóc. Wierzyłem w to, kiedy to mówiłem, ale teraz słowa brzmiały głucho. Chociaż przeszłość potrafi przynieść pociechę, kiedy patrzy się za siebie, sama z siebie rzadko rozwikłuje tajemnice szaleństwa. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zgromadziłem dość wiedzy, by w pełni pojąć jego umysłowy rozpad, i - co ważniejsze - czy jeśli mi się to udało, jaki z tej wiedzy zrobiłbym użytek? Bawiłbym się w retroproroka, jak chciał Souza? Wykorzystałbym doktorat, by okryć czary-mary płaszczkiem nauki?

Nawet najgenialniejszy psychiatra czy psycholog, który porzuca naukowy rygor i wchodzi na trzęsawisko spekulacji zwanej ograniczoną zdolnością rozpoznania znaczenia czynu, może wyjść na kompletnego idiotę jako świadek, jeśli trafi na średnio nawet zdolnego oskarżyciela. Mimo to nie brakuje psychiatrów i psychologów gotowych narazić się na

takie upokorzenie. Niektórzy z nich to dziwki, kupowani w zależności od potrzeb, większość jednak to uczciwi ludzie, którym wmówiono, że potrafią czytać w myślach. Zawsze uważałem ich zeznania za usankcjonowane oficjalnie znachorstwo, ale teraz mnie samemu groziło, że znajdę się w ich szeregach.

Nie mogłem pod przysięgą powiedzieć nic konkretnego o stanie umysłu Jameya tydzień, dzień czy choćby minutę temu. Nikt nie mógł.

W co ja się u diabła wpakowałem?

I nagle dotarło do mnie coś, co wiedziałem od samego początku - że Souza nie dostanie ode mnie tego, czego chce. Chociaż nic mu nie obiecywałem, zostawiłem otwarte drzwi do współpracy i dalsze udawanie byłoby manipulacją, a to była jego działka, nie moja. Wiedziałem, że niedługo będę musiał coś z tym zrobić, ale jeszcze nie teraz. Nie byłem po prostu gotowy - przez impulsywność, sentymentalność czy poczucie winy - by zostawić tę sprawę, zostawić Jameya.

Stałem tak, zastanawiając się nad swoimi możliwościami, składałem i rozkładałem czek, aż zaczął wyglądać jak jakieś abstrakcyjne origami. W końcu osiągnąłem swego rodzaju kompromis: skończę rozmowy, przez cały czas wiedząc, że robię to dla siebie, ale nie wezmę pieniędzy. Schowałem czek z powrotem do koperty, poszedłem do biblioteki i zamknąłem go w szufladzie biurka. Oddam go, kiedy przyjdzie pora.

Nagle uświadomiłem sobie, że w domu jest gorąco i duszno. Zrzuciłem ubranie, wskoczyłem w szorty do biegania, otworzyłem parę okien i wyjąłem z lodówki grolscha. Z butelką w ręku zadzwoniłem do Bradforda Balcha, który okazał się jednym z ludzi Souzy. Sądząc po wysokim, nerwowym głosie, był młodym, nadgorliwym pracownikiem.

- Ee, tak, doktorze, pan Souza prosił, żebym zadzwonił i dał panu znać, że policja wyraziła zgodę na pana wizytę w posiadłości Chancellora. Wciąż chce pan tam jechać?

- Tak.

- Więc dobrze. Proszę tam być jutro rano o dziewiątej.

Podał mi adres, podziękował za telefon i odłożył słuchawkę. Zastanowiłem się nad tym telefonem. Po raz pierwszy Souza nie zadzwonił do mnie bezpośrednio, a ja wiedziałem dlaczego.

Przez ostatni tydzień hołubił mnie jak łowca talentów z NBA superszybkiego, dwumetrowego nastolatka: pochlebstwa, rolls z szoferem, prywatna jadalnia, a co najważniejsze, osobisty kontakt, bez pośrednictwa gawiedzi poddanych. Chciał, żebym grał w jego drużynie, ale na jego warunkach: to on był kapitanem, a ja miałem znać swoje miejsce. Mój upór

w sprawie obejrzenia miejsca zbrodni był przejawem źle widzianej niezależności i chociaż prawnik przystał na moją prośbę, nie omieszkał okazać dezaprobaty, przysyłając mi wiadomość przez podwładnego.

Subtelne, ale jasne. Dało mi to przedsmak tego, jak to jest być jego wrogiem.

Kiedy smog nad południową Kalifornią jest wyjątkowo gęsty, krajobraz nabiera iluzorycznego wyglądu zdjęcia zrobionego przez obiektyw wysmarowany wazeliną. Niebo ciemnieje do brudnego brązu, kontury budynków rozmazują się we mgle, a roślinność nabiera złowrogo fluorescencyjnego odcienia.

W taki właśnie poranek jechałem Sunset na wschód, w stronę granic miasta Beverly Hills. Nawet najwspanialsze posiadłości wydawały się migotać i mięknąć w ohydny upał, jak roztopiające się kolumny włoskich lodów przybranych marcepanowymi palmami.

Posiadłość Chancellora stała na działce wartej pięć milionów dolarów, na wzgórzu na północ od bulwaru, nad hotelem Beverly Hills. Otaczał ją dwumetrowy kamienny mur, zwieńczony kolejnym metrem kutych żelaznych prętów. Pręty kończyły się połączanymi kolcami, na oko dość ostrymi, by wypatroszyć nadmiernie ciekawego wspinacza.

Mur rozdzielała łukowata, żelazna brama. Była szeroko otwarta i pilnowana przez mundurowego policjanta z Beverly Hills. Zatrzymałem seville'a pięć centymetrów od jego wyciągniętej dłoni. Podszedł do drzwi, a kiedy się przedstawiłem, cofnął się i mruknął coś do swojej krótkofalówki. Chwilę później kiwnął głową i machnięciem ręki pozwolił mi wjechać.

Tuż za bramą widać było tylko łuk zwirowego podjazdu, ocienionego przez wysokie, burgundowe eugenie. Za zakrętem zamiast eugeniei rósł niski żywopłot białych azalii, a droga wypłaszczyła się w szerokie S, przecinające połącz smaragdowego trawnika. Na jego szczycie stała wielka jak stadion posiadłość w stylu greckiego odrodzenia - marmurowe stopnie prowadziły do szerokiej kolumnady. Przemyślane rozmieszczone rzeźby wysławiały piękno męskiego ciała. Nawet w smogu cały dom lśnił oślepiającą bielą.

Dookoła geometria wygrywała ze spontanicznością - okrągłe klomby białych róż, równe żywopłoty; krzewy przyszyżone w kule na postumentach, szeregi włoskich cyprysów. Wszystko to wymagało ciągłej uwagi, a ostatnio jej zabrakło, czego dowodem były nieprzycięte odrosty, krnąbrne gałęzie, zwiędłe pąki i wyschnięte połączenia trawy, na aksamicie trawnika wyglądające jak strupy.

U podstawy schodów stały czarno-biały, nieoznakowany plymouth i perłowszara mazda RX-7. Zatrzymałem się za nią, wysiadłem i poszedłem do białych, podwójnych drzwi. Obok nich stali mężczyzna i kobieta, oparci o replikę *Dawida* Michała Anioła, śmiejąc się i paląc. Kobieta miała na sobie mundur policji Beverly Hills, ładnie dopasowany; mężczyzna kraciatą marynarkę i czarne spodnie. Podchwyciłem urywek rozmowy („Tak, Strzelce zawsze takie są”), zanim usłyszeli mnie i się odwrócili. Oczy mężczyzny skrywały ciemne okulary. Rozpoznałem go: to był Richard Cash, detektyw, który przyszedł do mnie do domu z Whiteheadem.

- Cześć, doktorku - przywitał mnie przyjaźnie. - Gotowy na wielką wyprawę?

- Pan przodem.

- Świetnie - powiedział i rozdeptał papierosa na marmurowej posadzce. Odwrócił się do

policjantki, młodej i jasnowłosej, uśmiechnął i przygładził włosy. - W porządku, Dixie, zdecydowanie musimy to zrobić, złapię cię później.

- Brzmi świetnie, Dick. - Wyszczrzyła się w uśmiechu, wepchnęła luźny kosmyk włosów pod czapkę, zasalutowała i odeszła.

Cash odprowadził ją wzrokiem i cicho zagwizdał.

- Akcja afirmatywna to jest to.

Mrugnął do mnie i pociągnął za jedno skrzydło drzwi.

Weszliśmy w zamieć śnieżną. Wszystko - ściany, podłogi, sufity, nawet stolarka - było pomalowane na białe. Nie na subtelną, złamaną biel, zmiękczoną sugestią brązu czy błękitu, lecz na czystą, bezlitośnie bijącą w oczy biel farby klejowej.

- Dziewiczo tu, co? - powiedział Cash, prowadząc mnie obok spiralnej klatki schodowej, pod marmurowym łukiem i przez jasne, szerokie foyer, oddzielające przepastny salon od równie przepastnej jadalni. Tu też utrzymano śnieżną kolorystykę - białe meble, białe dywany, biały kominek, białe porcelanowe wazy z piórami strusi albinosów. Jedynym wyjątkiem od lodowcowych powierzchni były lustra i kryształy, ale widoczne w nich odbicia podkreślały jeszcze brak kolorów.

- W tym domu jest trzydzieści pięć pokoi - powiedział Cash. - Zakładam, że nie chce pan oglądać wszystkich.

- Tylko ten, gdzie to się stało.

- Się robi.

Foyer kończyło się szklaną ścianą. Cash skręcił w prawo, a ja poszedłem za nim do dużego atrium z filarami loggii w głębi. Za loggią rozciągało się pół hektara trawnika i jeszcze więcej strzyżonych krzewów. Pod

tarasem migotał turkusowo olimpijski basen, otoczony białym marmurem, z nagimi cherubinami na obu końcach. Każdy cherubin trzymał misę pełną białych petunii. Na dnie basenu wymalowany był biały konik morski, a sam basen ciągnął się aż do skraju posiadłości i wyglądał, jakby zlewał się z niebem. Panoramę miasta w dole spowijał brązoworóżowy opar.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Cash znudzonym głosem.

W wysokim atrium nie było żadnych roślin. Podłogę wyłożono pomalowanym na białe drewnem, stały tam meble z białego rattanu. Kilka krzeseł było przewróconych, kanapa miała odłamaną nogę. Pod sufitem biegły bielone wapnem belki. Na jednej z nich widniał szeroki na kilka centymetrów, szary ślad.

- Tam zawiązano linę?

- Aha.

Białe ściany były poznaczone rdzawymi plamami, widocznymi też na lśniącej podłodze w postaci kleksów i drobnych kropek. Tyle czerwieni. Wszędzie. Jakby pomywaczka weszła tu z wiadrem krwi i rozbryzła ją mopem. Cash patrzył, jak się temu przyglądam.

- W końcu jakiś kolor, co?

Na podłodze narysowano kontur ciała, ale zamiast białej kredy użyto czarnego flamastra. Zewnętrzne krawędzie konturu były usmarowane rdzą. Wyjątkowo duża plama rozlewała się pod śladem po sznurze. Belki znaczyły kropki krwi. Nawet wyschnięte, plamy przywodziły na myśl okropne sceny.

Ruszyłem do przodu.

Cash zatrzymał mnie ramieniem.

- Nie wolno nic dotykać.

Uśmiechnął się. Na szklach jego okularów zamigotały światełka. Ramię pachniało wodą po goleniu Brut.

Cofnąłem się.

W głębi atrium znajdowały się przesuwne, szklane drzwi. Jedno skrzydło nieco odsunięto, ale z loggii nie wpadał żaden powiew. Powietrze w pomieszczeniu było zatęchłe i miało metaliczny posmak.

- Wszystko stało się tutaj? - spytałem.

- Zasadniczo.

- Szukano czegoś gdzieś indziej?

- Tak, ale o tym nie wolno nam rozmawiać.

- Coś zabrano? Uśmiechnął się protekcyjnie.

- To nie było włamanie.

- Skąd się wziął sznur?

- Z szafki ratownika przy basenie.

- Jakiej broni użyto?

- Sprzętów z kuchni: rzeźnickiego noża, szpikulca do mięsa, tasaka. Trochę purpurowego jedwabiu

dla zabawy. Od cholery tu nachlapali.

- Liczne rany?

- Aha.

- Takie same, jak u innych ofiar Rzeźnika?

Cash rozchylił wąskie usta. Zęby miał idealnie równe, ale pożółkłe od nikotyny.

- Z rozkoszą bym o tym z panem pogawędził, ale nie mogę.

Jeszcze raz obrzuciłem spojrzeniem pomieszczenie, po czym wyjrzałem za przeszklone drzwi. Na powierzchni basenu unosiły się suche liście i zbrązowiałe pąki petunii. Gdzieś w oddali zakrakała wrona.

Cash wyjął papierosa i zapalił. Zapałkę upuścił na podłogę.

- Wystarczy? - spytał.

Kiwnąłem głową.

Pojechałem z powrotem do domu, zszedłem do ogrodu, usiadłem na omszałym kamieniu i nakarmiłem koi. Szum wodospadu wprowadził mnie w podobne do transu odrętwienie - stan alfa, jak u jednego z nadpobudliwych pacjentów Sarity Flowers. Jakiś czas później wyrwały mnie z niego czyjeś głosy.

Hałasy dochodziły sprzed domu. Wszedłem do połowy tarasu - na tyle wysoko, żeby móc spojrzeć w dół, ale nie być widzianym.

Milo rozmawiał z jakimś mężczyzną. Nie słyszałem, co mówią, lecz ich postawy i miny świadczyły, że nie jest to przyjazna rozmowa.

Ten drugi miał czterdzieści parę lat, był mocno opalony, średniego wzrostu i korpulentnej budowy. Miał na sobie džinsy i błyszczącą czarną wiatrówkę na T-shircie koloru ciała, któremu niemal udawało się imitować nagą skórę. Jego włosy były ciemne, sterczące i obcięte krótko, po wojskowemu. Dwie trzecie twarzy zasłaniał mu gęsty zarost, na brodzie siwy, na policzkach rudobrązowy.

Coś powiedział.

Milo odpowiedział.

Mężczyzna prychnął i powiedział coś jeszcze. Sięgnął ręką do kurtki, a Milo zareagował z niewiarygodną prędkością.

W jednej sekundzie mężczyzna leżał na ziemi, płasko na brzuchu, z kolanem Mila wbitym w plecy.

Milo zręcznie wykręcił mu ręce, skuł go, obszukał i znalazł przy nim nóż grawitacyjny i paskudnie wyglądający pistolet.

Zważył broń w dłoniach i coś powiedział. Nieznajomy wygiął plecy, podniósł głowę i się zaśmiał. Upadając, rozciął sobie usta i śmiech wydobył się spomiędzy zakrwawionych warg.

Zszedłem z powrotem na dół, przebiegłem przez ogród przed dom.

Mężczyzna na ziemi wciąż się śmiał. Kiedy mnie zobaczył, zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Hej, doktorze Delaware, niech pan tylko popatrzy, jaka brutalna jest ta pieprzona policja!

Brodę miał czerwona od krwi, a kiedy mówił, z ust bryzgała mu różowa mgiełka. Wykręcił się, żeby spojrzeć na Mila.

- Och, skarbeńku, jakiś ty silny! - zakpił.

- Beretta 926 - powiedział Milo, ignorując go i badając pistolet. - Szesnaście naboii. Zamierzałeś sobie postrzelać, Ernie?

- Jest zarejestrowana i legalna, pedale.

Milo schował broń do kieszeni i wyjął swoją służbową trzydziestkę-ósemkę. Wstał i poderwał brodatego na nogi.

- Nie podchodź, Alex! - zawołał, wbijając rewolwer w nerki tamtego.

- Alex? - zachichotał brodaty. - Jak uroczo. On też jest z tych?

- Ruszaj się - warknął Milo.

Jedną ręką trzymając mężczyznę za kark, w drugiej ściskając broń, sprowadził więźnia w dół zbocza. Poszedłem za nimi, kilka kroków z tyłu.

Na zakręcie stały dwa samochody: nieoznakowany brązowy matador Mila i szara RX-7, którą widziałem przed domem Chancellora. Milo rozejrzał się wokół; jego wzrok spoczął na eukaliptusie. Z pistoletem wbitym w krzyż brodatego, pchnął go twarzą na pień drzewa i kopnął w stopy od środka, aż ten je rozsunał. Potem rozpiął kajdanki i zarzucił ręce mężczyzny na drzewo.

- Obejmij - rozkazał.

Brodaty objął eukaliptusa, a Milo znów go skuł i wsunął dłoń do kieszeni jego spodni.

- Ooo, jak bosko. - Mężczyzna się zaśmiał.

Milo wyjął komplet kluczyków, poszedł do mazdy i otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Nielegalne przeszukanie! - zawył skutny.

- Złóż skargę - odparł Milo, wciskając się do sportowego wozu.

Po kilku minutach przetrząsania wysiadł z pustymi rękami i przeszedł na tył. Podniósł klapę, zajrzał do bagażnika i wyjął niewielką walizkę. Postawił ją na ziemi i otworzył.

W środku znajdował się rozłożony uzi.

- Prawdziwy arsenał, Ernie. Za ukrywanie tego wpadniesz po uszy w gówno.

- Pierdol się. Jest na nazwisko pana Chancellora. Zatwierdzili mu go twoi szefowie.

- Chancellor miał świra na punkcie broni?

- Nie, dupku. Chciał mieć ochronę pierwsza klasa.

- Którą mu rzeczywiście zapewniłeś.

- Wal się w dupę, słoneczko.

Milo uśmiechnął się krzywo.

- Na twoim miejscu martwiłbym się o własne zwieracze, Ernie. Dzisiejszą noc spędzisz za kratkami, a obaj wiemy, co się dzieje z byłymi funkcjonariuszami w pudle.

Brodaty zacisnął zęby. Wzrok miał szalony.

Milo zabrał broń i zamknął ją w bagażniku matadora. Potem usiadł na przednim fotelu i wezwał wsparcie. Mężczyzna zaczął warczeć. Spojrzał na mnie i się zaśmiał.

- Jesteś świadkiem, Alex. Przyjechałem tu tylko z tobą porozmawiać, a pan Słoneczko pobił mnie bez ostrzeżenia.

Milo wysiadł z samochodu i kazał mu się zamknąć. Brodaty odpowiedział stekiem wyzwisk. Spróbowałem porozmawiać z przyjacielem.

- Milo...

Uciszył mnie podniesioną dłonią, wyjął notes i zaczął pisać. Chwilę później drogą nadjechał z rykiem radiowóz na sygnale, za nim drugi. Ostro zahamowały; z pierwszego wyskoczyło dwóch policjantów, z drugiego jeden. Wszyscy trzej mieli ręce na kaburach. Milo przywołał ich machnięciem ręki i wydał polecenia. Spojrzeli na mężczyznę przykutego do drzewa i pokiwali głowami. Brodacz zaklął. Jeden z policjantów stanął obok niego.

Więzień zaczął prowokować i wyśmiewać swojego strażnika, ten jednak pozostał niewzruszony.

Narada się zakończyła. Do policjanta pilnującego nieznanego dołączył drugi. We dwóch rozpięli mu kajdanki, znów skuli jego ręce za plecami i wepchnęli go na tylny fotel matadora. Jeden wsiadł razem z nim. Milo wsunął się na przód. Trzeci funkcjonariusz podszedł do mnie. Był młody, ciemnoskóry i miał wydatny podbródek z dołkiem. Według odznaki nazywał się DesJardins.

- Chciałbym spisać pana zeznania.

- Niewiele mam do powiedzenia.

- Mimo wszystko, proszę.

Opowiedziałem mu to, co wiedziałem, i spytałem, co się dzieje.

- Drobne zakłócenie spokoju, proszę pana. Odwrócił się i chciał odejść.

- Kim jest ten facet z brodą? - zapytałem.

- Złym facetem - odparł i poszedł.

Milo wysiadł z matadora. Mundurowi wyciągnęli brodatego i wsadzili go do radiowozu. Jeden wsiadł razem z nim, drugi za kierownicą. Milo dał DesJardinsowi skonfiskowaną broń, a młody funkcjonariusz schował ją w bagażniku swojego patrolowca i sam do niego wsiadł. Obaj kierowcy włączyli silniki i odjechali.

Zapadła cisza. Milo oparł się o matadora, głęboko odetchnął i przesunął dłońmi po twarzy.

- O co tu chodzi, do cholery? - spytałem.

- Nazywa się Erno Radovic i jest pierwszej klasy psycholem.

- Ochroniarz Chancellora?

- Tak? - zdziwił się Milo.

- Horace Souza wspominał o nim. Mówił, że jest nieźrównoważony.

- Oględnie powiedziane. Jechał za tobą od domu Chancellora. Zobaczyłem go i pojechałem za wami.

- Byłeś tam? Nie widziałem cię.

- Parkowałem za rogiem. Radovic wciąż jest podejrzany, miałem na niego oko.

- Kiedy wzywałeś wsparcie, powiedział, że chciał ze mną porozmawiać. O co mu chodziło?

- Twierdzi, że na własną rękę bada morderstwo Chancellora; chciał wycisnąć z ciebie informacje o chłopaku.

- Musi przecież wiedzieć, że nic bym mu nie powiedział.

- Alex, temu facetowi logicznie nic nie przetłumaczysz. Znam go od dawna. Był kiedyś glina; studiowaliśmy na jednym roku w akademii. Nawet jako kadet odgrywał Johna Wayne'a, używał spluwy zamiast fujary. Kiedy tylko wypuścili go na ulice, katastrofa była gotowa: pięć zastrzelonych osób w siedem lat i dużo więcej skarg na brutalne traktowanie. Wszystko czarni. Dali go do obyczajówki, to bił dziwki. Posadzili za biurkiem, to żarł się z górą. Nikt go nie chciał, więc przenieśli go z wydziału do wydziału. Ostatni przystanek miał w West L.A.; spędził tam trzy miesiące w archiwum, zanim wykopali go za zaburzenia umysłowe. Kiedy tylko tam się zjawił, od razu się do mnie przyczepił: perfumowane liściki w mojej szafce, adresowane do detektywa Dzwoneczka, tego typu bzdury.

- Dziwne, że ktoś taki pracował dla Chancellora.

- Niekoniecznie. Zawsze uważałem go za ukrytego geja. Może dotarło to do niego i ześwirował. To jeden z powodów, dla których uważnie mu się przyglądamy. Tak czy inaczej jest niebezpieczny. Jeśli go spotkasz, trzymaj się z dala.

- Jaki ma powód, żeby prowadzić własne śledztwo?

- Mówi, że to z lojalności wobec Chancellora, że twój koleżka Souza chce zbeczczyć nazwisko jego szefa, a on do tego nie dopuści. Ale kto wie? Oprócz tego, że to wariat, facet jest znanym kłamcą. Może kryje własny tyłek, bo wie, że ciągle się nim interesujemy, a może po prostu fruwa po krainie fantazji i bawi się w detektywa. Był kiedyś prywatnym detektywem, kiedy wyleciał z policji, załatwił sobie licencję i zanim Chancellor wziął go do siebie i uczynił miasto bezpieczniejszym, pracował dla różnych prawników. Ale długo nie wytrzymał. Za bardzo jest wybuchowy, zamiast manier używa tylko mięśni. Zauważyłeś, jak się bez przerwy śmiał?

Kiwnąłem głową.

- Robi tak, kiedy jest wściekły. Dziwak. - Milo postukał się w czoło. - Coś mu się tam poprzestawiało, Alex. Zresztą znasz się na tym lepiej niż ja. Najważniejsze to trzymać go na dystans. Wypisałem dość papierów, żeby zatrzymać go za kratkami na parę dni, lecz w końcu wyjdzie. Więc uważaj.

- Rozumiem.

- Wiem, że rozumiesz. Na razie. Ale obaj wiemy, że masz tendencję do popadania w obsesję i zapominania o drobiazgach takich jak osobiste bezpieczeństwo. Jasne? - Spojrzał na mnie kwaśno i otworzył drzwi do matadora.

- Gdzie jedziesz? - spytałem.

- Wracam do roboty - odparł, odwracając wzrok.

- Ot tak, po prostu?

Wzruszył ramionami, wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Miał otwartą szybę; nachyliłem się do środka.

- Milo, co się z tobą dzieje, do cholery? Mija miesiąc, a ty się nie odzywasz. Próbuję cię złapać, a ty nie oddzwaniaasz. Zupełnie jakbyś wczłgał się do jakiejś jaskini i zawalił głazem wejście. Teraz się pojawiaasz, zgarniasz jakiegoś maniaka przed moim domem i zachowujesz się, jakby to było zupełnie normalne.

- Nie mogę o tym rozmawiać.

- Dlaczego nie, do cholery?

- W sprawie Cadmusa pracujemy po przeciwnych stronach. Za samo pokazywanie się w twoim towarzystwie mogę mieć kłopoty. Gdyby Radovic nie był takim wybuchowym świrem, wezwałbym wsparcie i kazał go zwinąć komuś innemu.

- Może i tak, ale to nie tłumaczy, czemu tak milczałeś, zanim ta sprawa się zaczęła.

Milo przygryzł wargę i wsunął kluczyk do stacyjki. Włączył radio, posłuchał komunikatów policyjnych, wyłączył.

- To skomplikowane - powiedział.

- Mam czas.

Wyprostował rękę, zerknął na swojego timeksa, potem zapatrzył się w przednią szybę.

- Naprawdę nie mogę tu zostać, Alex.

- W takim razie gdzieś indziej. Gdzie nikt nas nie zobaczy.

Uśmiechnął się.

- Potajemnie, co?

- Jeśli tak trzeba, przyjacielu.

Wpatrzony w deskę rozdzielczą wybił dłońmi szybki rytm na udach. Minęło kilka sekund.

- Jest taki lokal - powiedział w końcu - niedaleko lotniska, na Aviation. Złoty Orzeł. Siedzisz tam, zaprawiasz i słuchasz, jak piloci gadają z wieżą kontrolną. Będę tam o dziewiątej.

Moja pierwsza myśl była taka: jakaś speluna, Milo znów zaczął pić.

- Więc do zobaczenia na miejscu.

Odpalił matadora, a ja podałem mu rękę. Popatrzył na nią, jakby to był jakiś rzadki okaz. Potem, nagle, jego jabłko Adama skoczyło i wyciągnął obie swoje wielkie łapy, mocno ścisnął moje palce i puścił. Minutę później już go nie było.

Złoty Orzeł był parterowym trapezoidem z czekoladowego stiuku na ponurym, przemysłowym odcinku ulicy, pełnym magazynów i otoczonych siatką parkingów. Bar kulił się w cieniu wiaduktu autostrady San Diego Freeway, tak blisko pasów startowych lotniska LAX, że od ryku silników szklanki nad barem dygotały i brzęczały jak klawisze wibrafonu. Mimo takiego położenia w lokalu był tłum.

Ściągał wielbicieli podsłuchiwania. Miękkie słuchawki, podłączone do każdego z boków sześciokątnych stolików pozwalały popijającym podsłuchiwać rozmowy w kokpitach, a przeszklona ściana oferowała widok na pas startowy.

Przyjechałem tam o dziewiątej; w środku było siwo od dymu. Wszystkie stoliki były zajęte, przy żadnym z nich nie siedział Milo. Sosnowy bar, obłany dwucentymetrową warstwą żywicy epoksydowej i obity winylem w kolorze kiełbasy, miał kształt półkola. Tłoczyli się przy nim uśmiechnięci akwizytorzy, pili, jedli chrupki i zaczepiali przesiadające się stewardesy. Kelnerki w łososiowych mikrospódniczkach i siatkowych rajstopach przedzierały się przez tłum z tacami nad głowami. Chudy mężczyzna w średnim wieku, w zielonym garniturze, rozpiętej pod szyją cytrynowej koszuli i bordowych pantoflach na obcasach siedział pośrodku, strojąc elektryczną gitarę. W pobliżu stały mikrofon i wzmacniacz. Na wzmacniaczu leżał automat perkusyjny; przed nim oparto karton z napisem: „Nastroje Sammy'ego Dale'a”, wykaliografowanym literami o złotych obrzeżach. Sammy Dale miał kozią bródkę i ciemny tupecik, trochę przekrzywiony, i wyglądał, jakby coś go bolało. Skończył stroić, ustawił automat perkusyjny na rytm rumbi i powiedział coś niezrozumiałego do mikrofonu. Chwilę później zawodził już szepczącym barytonem hiszpańską wersję *New York, New York*.

Wycofałem się w kąt baru. Barman wyglądał jak dorabiający student. Zamówiłem chivasa, a kiedy go przyniósł, dałem mu pięć dolarów napiwku i poprosiłem, żeby załatwił mi jak najszybciej stolik.

- Dzięki. Jasne. Mamy tu dzisiaj trochę wczasowiczów, ale tamten powinien się niedługo zwolnić.
- Świetnie.

Dostałem stolik o dziewiątej piętnaście. Milo pojawił się dziesięć minut później, ubrany w beżowe džinsy, pustynne buty, brązową, wypuszczoną na spodnie koszulkę polo i krzykliwą, kraciastą sportową marynarkę. Rozejrzał się po sali, jakby szukał podejrzanego, wypatrzył mnie i przedarł się przez tłum. Kelnerka podążała za nim jak minóg za morskim okoniem.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, opadając na krzesło.

Do lądowania podchodził właśnie 747, zalewając światłem dygoczącą szybę panoramiczną. Siedząca przy stoliku obok czarnoskóra para ze słuchawkami na uszach pokazała sobie samolot i się uśmiechnęła.

- Coś panu podać? - spytała kelnerka.

Milo chwilę się zastanawiał.

- Beefeatera z tonikiem, nie za dużo toniku.

- G z t, Beef, mało t - mruknęła kelnerka, zapisując. Spojrzała na moją na pół pustą szklankę i się uśmiechnęła. - Coś dla pana?

- Nie, dziękuję.

Odeszła pospiesznie i wróciła szybko z drinkiem, kartonową podstawką i miseczką chrupek. Milo jej podziękował, zjadł garść chipsów i wyłowił limonkę ze swojej szklanki. Wyssawszy ją, w zamyśleniu uniósł brwi, zjadł mięsz, odłożył skórkę do popielniczki i jednym haustem wypił pół drinka.

- Radovica zamknęli na maksimum czterdzieści osiem godzin.

- Dzięki za cynk.

- Do usług.

Piliśmy w milczeniu. Salę wypełniały fale barowego gwaru, równie bezosobowego jak biały szum. Sammy Dale w niewytłumaczalny sposób zaprogramował swój automat perkusyjny do wolnego walca i śpiewał, że robi wszystko po swojemu.

- To poważny podejrzany? - dociekałem.

- Jesteś w obozie wroga - odparł Milo z lekkim uśmiechem. - A ja nie powinienem się z tobą bratać, a co dopiero zdradzać ci szczegółów dochodzenia.

- Zapomnij, że spytałem.

- E tam - rzucił, dokańczając drinka i zamawiając następnego. - Sou-za i tak to już wie. Poza tym nie chcę, żebyś narobił sobie fałszywych nadziei, że Cadmus jest niewinny i ścigamy Radovica, więc ci powiem: nie, nie jest poważnym podejrzany. Cadmus to wciąż numer jeden. Ale Radovic jest wystarczająco szurnięty, żebyśmy chcieli mieć go na oku, przynajmniej jako współspiskowca. W porządku?

- W porządku.

Spojrzał mi w oczy, potem wbił wzrok w stół.

- Nie rozumiem - mruknął - jak pozwoliłeś się wplątać w ograniczoną zdolność.

- Nie jestem w nic wplątany. Zbieram informacje bez zobowiązań.

- Czyżby? Chodzą słuchy, że Souza uważa cię za najważniejszego świadka, wartego dziesięć kawałków.

- Gdzie to usłyszałeś? - spytałem ze złością.

- W biurze prokuratora. Nie bądź taki zdziwiony, w takiej sprawie wieści rozchodzą się szybko. Ściągnęli mnie tam przedwczoraj, żeby wycisnąć ze mnie informacje na twój temat, nie byli zadowoleni, kiedy im

powiedziałem, że nie jesteś sprzedajną dziwką. Nie żeby moje słowo powstrzymało ich od zrobienia z ciebie skończonej kurwy, kiedy staniesz na miejscu świadka.

Opowiedziałem mu o moim zamiarze zwrócenia pieniędzy.

- Bardzo szlachetne. Ale nie będziesz czysty, dopóki nie zostawisz tej sprawy.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Zobowiązanie zawodowe.

- Och, daj spokój, Alex, kiedy ostatni raz widziałeś tego dzieciaka? Pięć lat temu? Co mu jesteś winien?

- Pięć lat temu mogłem się bardziej postarać. Chcę mieć pewność, że teraz zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

Milo nachylił się do mnie, mrużąc oczy. W ostrym świetle baru jego skóra miała trupi kolor.

- Niezła abstrakcja, kolego. I stek bzdur. Nigdy w życiu nie zrobiłeś nic na pół gwizdka. Poza tym, kimkolwiek był wtedy, teraz jest złym facetem, i nic, co zrobisz, tego nie zmieni.

- Innymi słowy, jesteś przekonany o jego winie.

- Jak cholera - wybełkotał ustami pełnymi lodu.

Kelnerka przyniosła mu drugiego drinka. Patrzyłem, jak go pochłania, i uświadomiłem sobie, na jak zmęczonego wygląda.

- A skoro mowa o zostawianiu spraw - powiedziałem - dlaczego ty tego nie zrobiłeś? Praca z dwoma homofobami takimi jak Whitehead i Cash to nie może być beczka śmiechu.

Zaśmiał się gorzko.

- Jakbym miał jakieś wyjście.

- Myślałem, że masz wolność wyboru przydziału.

- Tak było, kiedy szefował Don Miller. Ale Miller zmarł parę miesięcy temu.

Twarz mu się wydłużyła i próbował ukryć to za szklanką. Wiedziałem, że lubił swojego kapitana, twardego, ale tolerancyjnego człowieka, który dostrzegał jego wartość jako detektywa i nie zaprzętał sobie głowy jego homoseksualizmem.

- Co się stało?

- Przekręcił się nad dwunastym dołkiem w Rancho Park. Zatkane arterie, musiało go boleć w piersi już od jakiegoś czasu, ale nic nikomu nie powiedział. - Pokiwał głową. - Czterdzieści osiem lat, zostawił żonę i piątkę dzieci.

- To straszne. Przykro mi to słyszeć, Milo.

- Wielu ludziom było przykro. Facet był super. Drań z niego, że nie pomyślał o innych i tak szybko się wymeldował. Dupek, którym go zastąpili, Cyril Trapp, to kawał śmiecia. Kiedyś największy moczymorda, ćpun i dziwkarz w Ramparts. Potem odnalazł Jezusa i został jednym z tych nowo narodzonych hipokrytów, co to uważają, że wszyscy, którzy się z nimi nie zgadzają, zasługują na komorę gazową. Publicznie oznajmił, że pedały to grzesznicy, więc nie trzeba chyba dodawać, że za mną nie przepada.

Odchylił głowę w tył i wlał do gardła ostatnią kroplę ginu. Kiedy pojawiła się kelnerka, pomachał na nią i zamówił trzeciego drinka.

- Nie byłoby tak źle, gdyby robił to otwarcie, z dobrą, starą, szczerą wrogością. Mógłbym po cichu złożyć podanie o przeniesienie ze względu na konflikt osobowości i może jakoś bym się wyśliznął. Lubię pracować w West L.A. i nie wyglądałoby to najlepiej w moich aktach, ale dałbym sobie radę. Tyle że przeniesienie Trappowi nie wystarczy. Chce, żebym odszedł ze służby, koniec, kropka. Dlatego wybrał subtelniejsze podejście: wojnę psychologiczną. Udaje uprzejmego i uprzykrza mi życie grafikiem.

- Najgorsze przypadki?

- Pedalskie przypadki! - Milo uniósł swoją wielką pięść i rąbnął nią w stół.

Czarna para obejrzała się na nas. Uśmiechnąłem się, a oni znów przycisnęli słuchawki do uszu.

- Przez ostatnie dwa miesiące - ciągnął cichym głosem, zaczynając bełkotać - miałem tylko gejowskich nożowników, gejowskie strzelaniny, gejowskie pobicia, gejowskie gwałty. Pedał zabity na miejscu, dzwonić po Sturgisa, rozkaz kapitana. Nie trzeba było długo czekać, żeby zobaczyć prawidłowość, i od razu zaprotestowałem. Trapp odłożył swoją Biblię, uśmiechnął się i powiedział, że rozumie, jak się czuję, ale że moje doświadczenie jest zbyt cenne, by je marnować. Że jestem specjalistą. Koniec dyskusji.

- Nie brzmi to tak znów subtelnie - stwierdziłem. - Dlaczego mimo wszystko nie poprosisz o

przeniesienie?

Milo się skrzywił.

- To nie takie proste. Trapp załatwił to tak, że powodem byłoby to, co robię w łóżku. Kiedy raz by się tego czepił, nie puściłby, i musiałbym pójść do mediów albo dalej się z nim męczyć. Nie wątpię, że pieprzony Związek Praw Obywatelskich z przyjemnością by mi pomógł, ale nie chcę trafić na pierwsze strony gazet. Nie, żebym wypierał się tego, kim jestem, wiesz, że dawno to już mam za sobą, ale nigdy nie lubiłem publicznie prać swoich brudów.

Przypomniałem sobie, jak opowiadał mi o swoim dzieciństwie, jak to było dorastać jako nieśmiały, za wysoki, przyciężki chłopak w rodzinie klasy pracującej w południowej Indianie, jako syn ojca macho, najmłodszy z pięciu hałaśliwych macho braci. Milo wiedział, że jest inny, miał tego przerażającą świadomość, odkąd skończył sześć lat. Sekret gryzł go jak tasiemiec, ale kiedy usłyszał, jak jego bracia pogardliwie żartują z ciot i chłoptasiów, zrozumiał, że jeśli go zdradzi, skończy się to katastrofą - może, podpowiadała jego młoda wyobraźnia, nawet śmiercią. Dlatego śmiał się z tych dowcipów, czasem nawet opowiadał własne, skracając się w środku, lecz przeżył. Wcześniej odkrył wartość skrytości.

- Wiem - powiedziałem - wygląda jednak na to, że masz jakiś wybór.

- Tak, to samo powtarza Rick. Chce, żebym się postawił, żebym walczył. Ale najpierw muszę „odnaleźć to, co sam o tym myślę”. „Zrzucić brzemię”. To terapeutyczna gadka, prawda? Chodził do terapeuty, teraz chce, żebym ja poszedł z nim. Odmówiłem, więc wybuchła awantura.

- Jeśli jesteś aż tak nieszczęśliwy, terapia mogłaby pomóc.

Kelnerka przyniosła drinka. Wziął go od niej, zanim zdążyła go postawić. Kiedy tylko odeszła, zaczął pić, a kiedy odstawił szklanekę, prawie nic w niej nie było.

- Wątpię. Choćby nie wiadomo ile gadać, nie zmieni się faktów: bycie gliną i bycie gejem w tym tysiącleciu nie idzie w parze. Kiedy wstępowałem na służbę, wiedziałem, że będzie ciężko, i obiecałem sobie, że cokolwiek by się działo, nie dam zdeptać swojej godności. A okazji do sprawdzenia siły woli nie brakowało: instruktorzy faszyci, napastliwi gnoje jak Radovic. Najczęściej zimna cisza. Dziesięć lat totalnej towarzyskiej izolacji. Ostatnich kilka w wydziale zabójstw było najlepszych, bo postawa Millera udzielała się innym, ludzie szanowali mnie za to, że dobrze robię swoją robotę, a tylko na tym mi zależy. Miałem gdzieś, czy zapraszają mnie na randki w dwie pary. Ale odkąd rządzi Trapp, wszyscy dalej hajda na Mila.

Zniknął trzeci drink.

- Najgorsze jest to - uśmiechnął się pijacko - że w głębi ducha sam jestem ukrytym homofobem. Pokaż mi faceta przebranego za kobietę albo wypacykowanego, a moja odruchowa reakcja będzie: „O nie!” Pamiętasz ten marsz gejów w West Hollywood w zeszłym roku? Poszliśmy tam z Rickiem i staliśmy na chodniku, stchórzyliśmy i nie przyłączyliśmy się. To była parada dziwolągów, Alex. Faceci z ogonami przyklejonymi do tyłków, faceci z pięcioma parami skarpet wepchniętymi w gacie albo sztucznymi fiutami wiszącymi ze spodni, faceci w figach i pończochach,

faceci z czerwonymi włosami i zielonymi brodami. Wyobrażasz sobie, żeby feministki albo czarni przebrali się za idiotów, żeby osiągnąć jakiś polityczny cel? Rozejrzał się za kelnerką.

- I ten sam cholerny ekshibicjonizm wychodzi przy zabójstwach. Kiedy geje się wykańczają, muszą to zrobić bardziej krwawo i wariacko niż wszyscy inni. Trafił mi się przypadek, kiedy na ciele było sto pięćdziesiąt siedem ran kłutych. Pomyśl tylko. Całej skóry zostało może tyle, co na znaczek pocztowy. Facet, który to zrobił, ważył pięćdziesiąt kilo i wyglądał jak Piotruś Pan. Ofiara była jego kochankiem, a on szłochał jak dziecko, bo za nim tęsknił. Innym razem jeden żartowniś wziął garść papiaków w pięść, wsadził ją drugiemu w dupę i kręcił tak długo, aż tamten wykrwawił się na śmierć. Mógłbym ci opowiedzieć jeszcze dużo, ale już rozumiesz. To zasrany kibel, a Trapp wpycha mi w niego głowę bez spuszczenia wody. Dzień w dzień.

Podchwycił spojrzenie kelnerki i ją przywołał.

- Jeszcze jednego, proszę pana? - spytała z powątpiewaniem.

- Nie. - Uśmiechnął się krzywo. - Potrzebuję witamin. Poproszę podwójnego śrubokręta.

- Tak jest. Dla pana wciąż nic?

- Proszę kawę.

Milo zaczekał, aż dziewczyna sobie poszła.

- Trapp głosi, że daję sobie radę z tym kibelem, bo i tak w nim pływam. Nawet gdyby mówił to szczerze, to gównem prawda. Że co, świadkowie mają widzieć, że lubię facetów, i otwierać się przede mną? Jasne. Kiedy wchodzę, patrzą na mnie podejrzliwie i zamykają się tak samo, jak przy każdym innym gliniarzu. Co mam zrobić, zaczynać przesłuchanie od przedstawienia swojej orientacji? Wypruć sobie flaki w imię pracy?

Kelnerka podała kawę i śrubokręta. Ja upiłem łyk, Milo podniósł szklanekę. Zanim przyłożył ją do ust, spojrzał na mnie z winą w oczach.

- Tak, wiem. Nie wspominając o sześciopaku, który poszedł na obiad.

Milczałem.

- Do diabła z tym, jestem jednoosobową mniejszością, mam prawo.

Zdrowie.

Kiedy skończył śrubokręta, głowa zaczęła mu się kiwać. Zamówił następnego i wypił go jednym haustem. Odstawił szklankę; ręce mu się trzęsły, a oczy miał przekrwione.

- Chodź - powiedziałem, wstając i rzucając kilka banknotów na stół.

- Idziemy, póki jeszcze możesz chodzić.

Zaprotestował, stwierdził, że to dopiero początek, i zaczął nucić piosenkę pod takim tytułem, ale w końcu udało mi się wyprowadzić go ze Złotego Orła na nocne powietrze. Na parkingu było ciemno i śmierdziało paliwem odrzutowym, lecz i tak była to przyjemna odmiana po wódczanych oparach baru.

Milo szedł z nadmierną ostrożnością pijanego; bałem się, że upadnie. Wizja dźwignia stu dwudziestu kilo nietrzeźwego detektywa nie była najprzyjemniejsza i dziękowałem losowi, kiedy dotarliśmy do seville'a. Zaprowadziłem Milo do drzwi pasażera, otworzyłem je, a on wgramolił się do środka.

- Dokąd? - spytał, wyciągając nogi i ziewając.

- Przejedziemy się.

- Fajowo.

Otworzyłem okna, zapaliłem silnik i pojechałem Czteryście Piątą na północ. Ruch był mały i nie trwało długo, zanim dojechałem do Dziewięćdziesiątej, lecz kiedy zjechałem w Marina Del Rey, Milo już spał. Pojechałem wzdłuż Mindanao Way, minąłem parę drogich centrów handlowych i skręciłem do portu. Wiatr był wilgotny, słony i niósł leciutki smród. Na lśniącej, czarnej wodzie kołysała się bezgłośnie flotylla jachtów - maszty stały gęsto jak trzciny na trzęsawisku. Księżyc odbijał się w wodzie zatoki kremowymi odłamkami.

Ostry powiew wpadł do samochodu. Milo otworzył oczy i wyprostował się, chrząkając. Wyrzwał za okno i odwrócił się do mnie, zdziwiony.

- Hej - powiedział głosem wciąż zduszonym od alkoholu - chyba ci mówiłem, żebyś uważał.

- O czym ty mówisz?

- To kraina Radovica, kolego. Chujek ma starego Chris Crafta przycumowanego do jednej z kei.

- A, tak - przypomniałem sobie. - Souza coś o tym wspominał.

Milo nachylił się chwiejnie w moją stronę. Czuć go było potem i ginem.

- A ty zupełnie przypadkiem tu przyjechałeś, co?

- Nie wpadaj w paranoję, Milo. Pomyślałem, że morska bryza przewieje ci ten otępiały mózg.

- Przepraszam - wymamrotał, znów zamykając oczy. - Przywykłem już do sprawdzania swoich pleców.

- Świetny sposób na życie.

Udało mu się wzruszyć ramionami, a potem nagle zacharczał. Zerknąłem na niego i zobaczyłem, że składa się w pół z bólu i trzyma za brzuch.

Szybko zjechałem na pobocze i zahamowałem. Obiegnąłem samochód i otworzyłem drzwi pasażera w samą porę. Milo się wychylił, szarpnął, sapnął i kilka razy zwymiotował. W schowku na rękawiczki znalazłem pudełko chusteczek, wyciągnąłem ich garść, a kiedy zdawało mi się, że już skończył, wytarłem mu nimi twarz.

Wyczerpany i zdyszany podciągnął się, odchylił głowę w tył i zadrżał.

Zamknąłem drzwi i wróciłem za kierownicę.

- Zapaskudziłem ci lakier? - spytał ochrypłym głosem.

- Nie, spudłowałeś. Lepiej ci? W odpowiedzi tylko jęknął.

Zawróciłem, znalazłem Lincoln Boulevard i pojechałem na północ, przez Venice, do Santa Monica. Milo zakaszlał sucho, osunął się w fotelu i głowa opadła mu na pierś. Chwilę później znów spał, z otwartymi ustami.

Jechałem wolno ulicami śliskimi od nadmorskiej mgły, wdychając słone powietrze i zbierając myśli. Było po jedenastej i nie licząc włóczęgów, bezdomnych i meksykańskich pomywaczy wychodzących z ciemnych barów, na chodnikach panowały pustki. Skręciłem w prawo na Montana i znalazłem całodobową budkę z paczkami na pustym kwadracie asfaltu, żółtą jak na obrazie Edwarda Hoppera i cuchnącą słodczonym smalcem. Podjechałem tam, zostawiłem Mila śpiącego, wysiadłem i kupiłem duży kubek czarnej kawy od przyszczatego chłopaka z walkmanem na uszach.

Kiedy przyniosłem ją do samochodu, Milo siedział wyprostowany, z rozczochranymi włosami i powiekami opadającymi ze zmęczenia. Wziął kubek w obie dłonie i się napił.

- Całą - powiedziałem. - Chcę cię dostarczyć Rickowi w jako takim stanie.

Milo z trudem zrobił stoicką minę.

- Rick jest w Acapulco - odparł. - Na parę tygodni.

- Samotne wakacje?

- Coś w tym rodzaju. Zachowywałem się jak sukсын i musiał ode mnie odpocząć.

- Kiedy wraca?

Para unosiła się nad kubkiem smugami i kłębami, zasłaniając teraz twarz Mila.

- Nie ma terminu powrotu. Nie odzywał się, nie licząc jednej pocztówki o pogodzie. Ma urlop z izby przyjęć i sporo oszczędził, więc teoretycznie to może potrwać długo.

Spuścił głowę i się napił.

- Mam nadzieję, że wam się ułoży - pocieszyłem Mila.

- Aha. Ja też.

Cysterna z benzyną przejechała za nami, grząc sejsmicznie i zostawiając za sobą smugę ciszy. Za ladą budki z pączkami przyczaty chłopak sprawdzał smażalnicę, kiwając głową do muzyki ze słuchawek.

- Jeśli będziesz chciał z kimś pogadać, pamiętaj, zadzwoń. Nie musisz znów udawać obcego.

Kiwnął głową.

- Dzięki, Alex. Wiem, że się hibernowałem. Ale samotność ma to do siebie, że najpierw boli, a potem człowiek zaczyna ją cenić. Wracam do domu po dniu, kiedy wszyscy do mnie mówili, i ludzki głos mnie drażni. Pragnę tylko ciszy.

- Gdybym pracował z Cashem i Whiteheadem, też bym pragnął ciszy.

Zaśmiał się.

- Ohydna dwójka? Dwie supergwiazdy.

- Myśleli, że jestem gejem, bo się z tobą przyjaźnię.

- Klasyczny przypadek ograniczonego myślenia. Dlatego właśnie żaden z nich nie będzie nigdy wiele wart jako detektyw. Przykro mi, jeśli ci się naprzykrzali.

- Nie byli tacy źli, jeśli już, to nieskuteczni. Po prostu nie rozumiem, jak możesz z nimi pracować.

- Mówiłem już, nie mam wyjścia. Nie, tak naprawdę nie jest tak źle, jak by mogło być. Whitehead to dureń i homofob, ale on jest przeciwko wszystkiemu: Żydom, czarnym, kobietom, ekologom, wegetarianom, mormonom, komitetom rodzicielskim, więc trudno brać to do siebie. Poza tym trzyma się z dala, pewnie się boi, że złapie AIDS. Cash nie byłby nawet zły, gdyby obchodziło go cokolwiek poza cipkami i opalenizną.

- Prawdziwy pracoholik, co?

- Dickie? O tak. Nie wiem, czy kiedyś o tym słyszałeś, ale dwa lata temu policja Beverly Hills prowadziła z funduszy federalnych projekt łapania dealerów koki, zaopatrujących gwiazdy filmowe. Cash robił przy tym za tajniaka. Kupili mu ubrania od Giorgia, wypożyczyli excalibura i dom w Trousdale, dali duże konto na wydatki i zrobili z niego króla przedmieścia, niezależnego producenta. Przez pół roku chodził na przyjęcia, zabawiał gwiazdki i kupował prochy. Ostatecznie zamknęli dwie płotki, i nawet z tego nic nie wyszło, bo sąd oddalił sprawę za prowokację. Prawdziwy tryumf organów ścigania. Kiedy wszystko się skończyło, Cashowi pozwolili zatrzymać ubrania, ale całą resztę zabrali. Zejście z powrotem na ziemię było dla niego sporą traumą. Posmakował czegoś słodkiego, a

potem wyrwali mu to z ust. Prawdziwa praca zaczęła dla niego wyglądać jak dożywocie, więc został złotym chłopcem. Połowę czasu nie ma go w robocie. Twierdzi, że rozmawia z informatorami i bada tropy, ale zawsze wraca bardziej opalony i ma pełno piasku w samochodzie, więc akurat mu wierzymy. Nawet kiedy się pojawia, mówi tylko o scenariuszu, nad jakim pracuje: o prawdziwej pracy detektywów. Warrenowi Beaty'emu bardzo się spodobał, rozumiecie, ale czekają tylko, aż ich agenci wszystko ustalą, i tak dalej.

- Typowy blues L.A.

- Otóż to.

Mówił wyraźnie i wydawał się przytomny, więc zapaliłem silnik i ruszyłem z powrotem na południe. Rozmowa o Cashu przypomniała mi zachlapany krwią pokój, który pokazywał mi rano.

- Możemy porozmawiać o sprawie? - spytałem.

Mila zaskoczyła ta nagła zmiana tematu, ale szybko się opanował. Dopił resztkę kawy, zgniół kubek i przerzucił go z ręki do ręki.

- Już mówiłem, żadnych szczegółów. Poza tym, o czym tu rozmawiać?

- Posprzątane, pozamiatane, tak?

- Na tyle, żeby uznać, że moje modlitwy zostały wysłuchane.

- Nie męczyci cię to?

- Co, sukces? Jasne, ale uczę się, jak sobie z tym radzić.

- Ja mówię poważnie, Milo. Sześć zabójstw, z którymi policja nie umiała sobie dać rady przez rok, nagle się wyjaśnia. Nie uważasz, że to dziwne?

- Zdarza się i tak.

- Nierzęsto, i nie przy seryjnych morderstwach. Przecież dla seryjnych najważniejsza jest zabawa

w chowanego, podpuszczanie władz. Mogą podrzucić podpowiedzi i droczyć się z policją, ale robią, co mogą, żeby uniknąć wykrycia. Zresztą wielu, Kuba Rozpruwacz, Zodiak, Dusiciel z Green River, zabijało przez lata i nie zostało nigdy złapanych.

- Ale wielu zostało, kolego.

- Jasne, przez pecha albo nieostrożność, tak jak Bianchi albo Rozpruwacz z Yorkshire. Ale nie siedzą na miejscu z nożem w ręku i nie czekają, aż ktoś ich zwinie. To się nie trzyma kupy.

- Krojenie ludzi na sztuki też się nie trzyma, ale się zdarza, częściej niż chciałbyś wiedzieć. A teraz możemy zmienić temat?

- Nie daje mi spokoju coś jeszcze. W przeszłości Jameya nie ma nic, co wskazywałoby na sadyzm albo psychopatologię. Cierpi na poważną

psychozę, jest za bardzo obłąkany, żeby zaplanować i przeprowadzić takie morderstwa.

- Znów wchodzisz w abstrakcje. Mam gdzieś, jak go zdiagnozujesz: liczą się dowody.

- Zapytam cię o coś jeszcze. Zanim go aresztowaliście, mieliście jakieś inne tropy?

- Chyba żartujesz.

- Mieliście?

- Jaka to różnica, gdybyśmy mieli i czterysta? Sprawa rozwiązana.

- Zrób mi tę przysługę. Jakie to były tropy?

- Zapomnij, Alex. Właśnie w takie rzeczy nie chcę się zagłębiać.

- Obrona ma dostęp do szczegółów dochodzenia. Mogę się tego dowiedzieć od Souzy, ale wolałbym od ciebie.

- O tak? A czemu?

- Bo tobie ufam.

- Zaraz się zaczerwienię - warknął.

Zamilkliśmy.

- Uparty z ciebie drań - odezwał się w końcu - ale nie próbujesz mnie zmieniać, więc ja nie będę próbował zmienić ciebie. Jeśli ci powiem, dasz spokój?

- Jasne.

- Dobra. Nie, nie mieliśmy żadnych tropów wartych wzmianki. W takiej sprawie dostaje się

mnóstwo informacji: ludzie wrabiają swoich sąsiadów albo były kochanki. Wszystkie prowadziły donikąd. Najbardziej obiecująco wyglądało to, że trzy ofiary przed zniknięciem były widziane w towarzystwie harleyowców. Tylko się nie ekscytuj. Powiedziałem „obiecująco” tylko dlatego, że sprawdzaliśmy wszystko i trzy razy wyszli nam motocykliści. Ale jeśli znasz Miasto Chłopców, wiesz, że to nic nie znaczy; mnóstwo tam facetów w skórach, a chłopaki odstawiają dziesięć, piętnaście numerów na noc, więc muszą się spotkać z jakimiś skórzanymi twardzielami. Tak czy inaczej, jako wierni słudzy społeczeństwa, pojechaliśmy na ulice, sprawdziliśmy wszystkie bary skórzanych, nic nie znaleźliśmy. Zadowolony?

- Jacy harleyowcy?

- Harleyowcy. Brudasy na chopperach. Żadnych nazwisk, kolorów skóry, barw klubowych, rysopisów. Nic z tego nie wyszło, bo zainteresowani nie jeździli całą noc na harleyach, Alex, tylko kroili i dusili ładnych chłopców w zaciszu wielkiego, białego domu w Beverly Hills. Jasne?

- Jasne.

Wróciliśmy pod Złotego Orła tuż przed północą.

- Czym przyjechałeś?

- Porszakiem. Tam stoi.

Biały jak kość 928 stał między dwoma małymi japończykami w rogu parkingu, lśniąc księżycowo. Podziwiała go para młodych ludzi, a kiedy zatrzymałem się tuż za nim, obejrzel się na nas.

- Niezła fura - zachwycił się chłopak.

- Aha - odparł Milo, wychylając się przez okno. - Zbrodnia popłaca.

Młodzi spojrzeli po sobie i szybko się oddalili.

- Nieładnie jest straszyć obywateli - zażartowałem.

- Muszę chronić zasraną furę doktora Ricka.

- Pomyśl, że to może być dobry znak. Nie zostawia się samochodu za pięćdziesiąt kawałków komuś, kogo nie chce się więcej widzieć.

Rozważył to.

- Zabezpieczenie związku, co?

- Pewnie.

Położył dłoń na klamce.

- Dobrze było cię zobaczyć, Milo - powiedziałem.

- Ciebie też. Dzięki za słowa otuchy i trzymaj się z dala od kłopotów.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a on wysiadł z seville'a, podciągnął dzinsy i zaczął szukać w kieszeniach kluczyków. Wyjął komplet ze złotym breloczkiem, spojrział na porsche i się uśmiechnął.

- A przynajmniej alimentów.

4

Kiedy wróciłem do domu, było dwadzieścia po dwunastej, ale Robin wciąż nie spała. Ubrana w T-shirt, czytała w łóżku.

- Kiedy wyszedłeś, wróciłam do warsztatu - wyjaśniła. - Z Nowego Jorku zadzwonił Czadowy Billy. Przyjeżdża tu i chce nową gitarę na za mówienie.

Pocałowałem ją w czubek głowy, rozebrałem się i wsunąłem do łóżka obok niej.

- Znów owocowe drewno? Co tym razem, mango?

- Sześciostunowa papaja. - Zaśmiała się. - Na płytę *Tropikalne sny*. Nie, tym razem poszedł w wysoką technologię. W przyszłym tygodniu

wypuszcza singiel *Boogie Bucka Rogersa* i chce solid body w kształcie karabinu laserowego, żeby ją zabrać na trasę; chromowa farba, diody, interfejs syntezatora i cała reszta.

- Ach, sztuka!

- To antysztuka, a to jeszcze większa frajda. Czasami, kiedy robię którąś z jego gitar i zaczynam się czuć głupio, wyobrażam sobie, że w kącie warsztatu siedzi Marcel Duchamp i z aprobatą kiwa głową.

Tym razem to ja się zaśmiałem.

- Chciałbym zobaczyć to coś, kiedy skończysz, zaryzykować życie i walnąć parę akordów.

- Przyjedź, kiedy Billy będzie ją odbierał. Możesz go polubić. Mimo wyglądu to nie jest taki typowy, wypalony rocker. Raczej długowłosey biznesmen.

- Może powinienem go poznać. Spędzasz z nim sporo czasu.

- Nie przejmuj się, kochanie, nie jest w moim typie. Za chudy. - Spoważniała. - Co u Mila?

Powiedziałem jej.

- Biedak - westchnęła. - W głębi ducha to taki wrażliwiec. Nie moglibyśmy czegoś dla niego zrobić?

- Wie, że może do nas przyjść po pomoc, ale sędzę, że przez jakiś czas będzie samotnikiem. A poza tym niezręcznie nam się spotykać, dopóki pracujemy po przeciwnych stronach w sprawie Cadmusa.

- To okropne. Jak długo jeszcze będziesz musiał mieć z tym do czynienia?

- Nie wiem.

Uniosła brew, słysząc tę niezobowiązującą odpowiedź. Popatrzyła na mnie i dała spokój.

- Skoro o tym mowa - powiedziała - dzwonił Horace Souza. Nalegał, żeby zostawić wiadomość, więc ją przyjąłem. To uroczy stary zbereźnik, prawda?

- Nigdy nie postrzegałem go w takim świetle.

- Och, ależ tak jest, kochanie. Bardzo szarmancki, bardzo staroświecki. Jak dobroduszny wuj. Niektóre kobiety lecą na takich.

- Dla mnie to wyrachowany manipulant. Wszystko, co robi, służy jakiejś strategii, zwycięstwu.

- Tak, to się czuło. Ale czy nie chciałbyś, żeby ktoś taki cię bronił, kiedy byłbyś w kłopotach?

- Chybabym chciał - burknąłem. - Po co dzwonił?

- Doktor Mainwaring spotka się z tobą jutro o dziesiątej. Jeśli się nie odezwiesz, uzna spotkanie za aktualne.

- Dobra, dzięki.

Podniosła się na łokciach i spojrzała mi w oczy. Miękkie, pachnące loki otarły się o mój policzek.

- Biedny Milo - powtórzyła. Milczałem.

- Jesteś zły, Alex?

- Nie. Tylko zmęczony.

- Nie za bardzo zmęczony, mam nadzieję. - Czubek języka przesunął się po mojej dolnej wardze.

Całe moje ciało przeszył dreszcz rozkoszy.

- Nigdy nie jestem zbyt zmęczony - zapewniłem i objąłem ją ramionami.

W świetle dziennym wysokie, betonowe mury szpitala Canyon Oaks miały kolor chorej szarości, którą litościwa ciemność przemieniała w biel. Wznosiły się na zielonych wzgórzach jak nagrobki.

Mainwaringa o dziesiątej nie było w pracy, a jego sekretarka dała do zrozumienia, że to umyślna nieobecność. Zaprowadziła mnie do małej czytelnicy w końcu korytarza i dała mi kartę Jameya.

- Doktor prosił, żeby najpierw pan to przeczytał. Będzie na pana czekał, kiedy pan skończy.

Pomieszczenie było szare, bez okien, umeblowane mechatą, czarną kanapą, stolikiem z imitacji drewna i aluminiową, stojącą lampą. Popielniczka na stole była pełna wygasłych niedopałków. Usiadłem i otworzyłem kartę.

Notatki Mainwaringa z nocy przyjęcia Jameya do Canyon Oaks były szczegółowe i skrupulatne. Pacjent został opisany jako pobudzony, dezorientowany, agresywny i niereagujący na psychiatryczną ocenę stanu psychicznego. Mainwaring zanotował fakt, że przywiozła go karetka w asyście policji. Przeprowadził ogólne badanie neurologiczne, które nie wykazało śladów guza mózgu ani innych organicznych anomalii, choć dodał załącznik, w którym podkreślał, że brak współpracy ze strony pacjenta uniemożliwił całkowitą ocenę jego stanu. W karcie znalazłem zlecenia badań tomografii komputerowej i EEG. Badanie krwi wykluczyło obecność LSD, PCP, amfetaminy, kokainy i opiatów. Historię stanu psychiatrycznego i medycznego wzięto od pana Dwighta Cadmusa i pani Heather Cadmus, prawnych opiekunów chłopca, w obecności Horace'a Souzy, adwokata. Historia medyczna nie kryła nic niezwykłego. Streszczenie stanu psychiatrycznego zawierało opis postępującego umysłowego załamania, w tym manii prześladowczej i prawdopodobnych omamów słuchowych,

połączonych z dowodami istnienia osobowości granicznej lub schizoidalnej. Robocza diagnoza brzmiała „schizofrenia o cechach mieszanych (typ paranooidalny, DSM#295.3x, być może rozwijający się w tym niezróżnicowany, DSM#295.6x)”. Mainwaring przepisał hospitalizację i wstępne podawanie chlorpromazyny - nazwy gatunkowej torazyny - sto miligramów doustnie, cztery razy dziennie.

Do karty przyjęcia dołączone były kopie raportu policyjnego i dokumentów sądowych uprawniających szpital do zatrzymania chłopca przymusowo na siedemdziesiąt dwie godziny oraz na dalszy pobyt długoterminowy, jak również wyniki tomografii komputerowej przeprowadzonej dwa dni po przyjęciu przez neuroradiologa, potwierdzające brak patologii organicznych. Radiolog opisywał - z ledwie skrywaną irytacją - jak trudno było przeprowadzić badanie z powodu agresywnego zachowania pacjenta, i stwierdzał, że przeprowadzenie EEG nie jest wskazane, dopóki pacjent nie będzie bardziej skory do współpracy. Badanie fal mózgowych raczej nie miałyby większej wartości, dodawał, ponieważ pacjent jest ewidentnym psychotykiem, a wyniki EEG psychotyków są niejednoznaczne. Ponadto pacjent dostał już pierwsze leki, przez co wyniki badania stawały się całkowicie niewiarygodne. Lekarz dziękował Mainwaringowi za współpracę i na tym jego udział się skończył. W następnej notatce Mainwaring dziękował radiologowi za konsultację, zgadzał się z jego opiniami i zaleceniami i zauważał, że stopień zaawansowania psychozy pacjenta nakazywał „natychmiastowe leczenie chemioterapeutyczne przed monitorowaniem encefalograficznym”.

Od tego momentu notatki robiły się wyraźnie bardziej skąpe. Mainwaring odwiedzał Jameya raz albo dwa dziennie, ale treści tych spotkań nie notowano. Uwagi psychiatry były krótkie i opisowe - „pacjent stabilny, brak zmian” albo „wzmożona aktywność halucynacyjna”, po czym następowało polecenie dostosowania dawek leków. W miarę jak czytałem dalej, stawało się jasne, że reakcja

Jameya na leczenie była różna i dawki dostosowywano często.

Przez krótki czas po przyjęciu wydawał się reagować pozytywnie na torazynę. Objawy psychotyczne zelżały, stały się zarówno mniej częste, jak i mniej uciążliwe; dwa razy Mainwaring zanotował, że była możliwa „krótka rozmowa z pacjentem”, chociaż nie uściślał, o czym z Jameyem rozmawiał. Niedługo potem jednak doszło do nagłego nawrotu choroby - Jamey zrobił się bardzo pobudzony i agresywny. Mainwaring zwiększył dawkę, a kiedy chłopcu pogorszyło się, zamiast polepszyć, dalej stopniowo ją zwiększał, szukając „optymalnej dawki stałej”.

Przy tysiącu czterystu miligramach dziennie nastąpił kolejny okres poprawy, chociaż przy takiej dawce pacjent był ośpiały i senny, a postępy mierzono raczej brakiem nieprzewidywalnych zachowań niż przytomnością. Potem nastąpił kolejny nagły nawrót: halucynacje były tym razem bardziej „kwieciste”, a pacjent zrobił się tak agresywny, że musiał pozostawać związany przez całą dobę. Mainwaring odstawił mu torazynę i przeszedł na inne środki uspokajające oparte na fenotiazynie - haloperydol, tiorydazynę, flufenazynę. Przy każdym leku występowała prawidłowość: początkowo Jamey wydawał się uspokajać - okresy wyciszenia trwały od kilku dni do jednego czy dwóch tygodni - potem, nagle, robił się nie wiadomo czemu pobudzony, dostawał paranoi i pomieszania. Zaczęły się pojawiać powtarzalne ruchy warg, języka i korpusu - objawy późnej dyskinezji podobne do tych, które zauważyłem w więzieniu. Oprócz tego, że nie reagował pozytywnie na leki, Jamey zaczynał się na nie uczulać.

Był to zupełnie niezrozumiały cykl i w pewnym momencie ze zwiezłych notatek Mainwaringa zaczęła wyzierać frustracja. W obliczu ostatniego nawrotu spekulował, że Jamey cierpi na wyjątkowo nietypową psychozę, być może powiązaną z jakimś rodzajem zaburzeniem napadowym - „niewielką anomalią limbiczną, której nie wykazuje tomografia komputerowa”. Fakt, że dyskinezja rozwinęła się tak szybko, zapisał, podtrzymywał teorię anormalnego układu nerwowego, tak samo jak dziwna reakcja pacjenta na fenotiazyny. Cytując periodyki, przywoływał sukcesy w innych nietypowych przypadkach dzięki zastosowaniu antykonwulsantów. Podkreślając, że to leczenie eksperymentalne, zasugerował próbną dawkę karbamazepiny, antykonwulsantu, po uzyskaniu pisemnej zgody prawnych opiekunów chłopca i przeprowadzeniu badania EEG. Zanim jednak mogło do tego dojść, Jameyowi znów się polepszyło, zrobił się spokojniejszy i bardziej posłuszny niż kiedykolwiek od chwili przyjęcia, i znów zdolny do porozumiewania się krótkimi zdaniami. Wraz z tym nadeszła poważna depresja emocjonalna, ale ją uznano za mniej istotną niż brak objawów psychozy. Mainwaring był zadowolony i utrzymał niezmienną dawkę leków.

Dwa dni później Jamey uciekł.

Notatki pielęgniarek na niewiele się zdawały. Funkcje wydalnicze, dane o odżywianiu, przyjmowanie płynów i temperatura - wszystko to skrupulatnie zapisywano w karcie. Pielęgniarki opisywały Jameya albo jako „niereagującego”, albo „agresywnego”. Tylko M. Surtees miała do powiedzenia coś pozytywnego; wesolą, baniastą kursywą pełną „i” z kółkami zamiast kropek zapisywała przypadki, kiedy się uśmiechał, i z dumą odnotowywała przyjemność, jaką okazywał przy masażu pleców. Ale jej optymizm

był nieodmiennie negowany przez notatki z następnej zmiany i ignorowany w podsumowaniach siostry przełożonej, A. Vann, pielęgniarki dyplomowanej, która ograniczała się do obserwacji funkcji

życiowych i unikała komentarzy.

Kiedy zamykałem kartę, drzwi się otworzyły i wszedł Mainwaring. Wybrał moment tak dokładnie, że przeszło mi przez myśl, że byłem obserwowany. Wstając, rozejrzałem się w poszukiwaniu ukrytej kamery. Żadnej nie zauważyłem.

- Doktorze Delaware - powiedział i energicznie potrząsnął moją dłońią. Miał na sobie długi biały kitel na białej koszuli, czarny krawat, tweedowe spodnie i czarne zamszowe pantofle. Jego rozbiegane, piwne oczy lśniły jasno z wąskiej, wilczej twarzy, badając mnie od stóp do głów.

- Dzień dobry, doktorze Mainwaring. Spojrzał na kartę w mojej ręce.

- Ufam, że udało się panu odcyfrować moje pismo.

- Bez problemu - odparłem, podając mu teczkę. - Lektura była bardzo pouczająca.

- Świetnie. Staram się być dokładny.

- Byłbym wdzięczny za kopię tych dokumentów.

- Oczywiście. Każę ją panu wysłać. - Wycofał się do drzwi, otworzył je i przytrzymał. - Dokładność dokładnością, ale zakładam, że ma pan jakieś pytania.

- Kilka.

- Dobrze. Zapraszam do mojego gabinetu.

Pokój był pomnikiem wystawionym nieporządkowi, zawałony papierami i książkami i umeblowany na chybił trafił. Mainwaring zdjął stos pism z krzesła, rzucił je na podłogę i zaproponował, żebyśmy usiadł. Sam wcisnął się za proste, drewniane biurko, usiadł, nachylił się do przodu i sięgnął do okrągłego stojaka na fajki, zasłoniętego przez sterty formularzy rachunków. Potem z kieszeni fartucha wyjął skórzany mieszek, wybrał fajkę buldog, nabił ją i rozpoczął rytuał podpalania, ubijania i ponownego podpalania. Po kilku chwilach gabinet wypełnił się gryzącym dymem.

- A więc - zaczął Mainwaring z fajką w zębach - domyślam się, że będziemy koordynować nasze sprawozdania.

Nie myślałem w kategoriach współpracy i unikałem bezpośredniej odpowiedzi, mówiąc, że to skomplikowana sprawa i że nie mogę jeszcze napisać jakiegokolwiek raportu.

- Rozumiem. Z wieloma schizofrenikami pan pracował, doktorze?

- To nie jest moja specjalność.

Zaciągnął się dymem i wypuścił ostry kłęb. Odprowadził go wzrokiem pod sufit, spuścił oczy, a

potem wygiął w górę kąciki ust, aż ułożyły się w szeroką szramę uśmiechu.

- Cóż, w takim razie co chciałby pan wiedzieć?

- Z pana karty jasno wynika, że w czasie hospitalizacji z Jameyem przeważnie nie było kontaktu. Ale zanotowaliście państwo kilka okresów przytomności, kiedy można było z nim rozmawiać. Interesowałoby mnie, o czym mówił.

- Mmmm-hmmm. Coś jeszcze?

- Zapisaliście państwo omamy słuchowe i wzrokowe. Myśli pan, że to ma znaczenie? Jak, podczas okresów halucynacji, opisywał to, co widział i słyszał?

Mainwaring w zamyśleniu splótł palce. Paznokcie miał długie, niemal kobiece, pomalowane bezbarwnym lakierem.

- Widzę, że interesuje pana zwłaszcza sama treść. Czy mogę spytać dlaczego?

- Może zdradzić coś na temat tego, co się działo w jego głowie.

Takiej odpowiedzi się spodziewał i bezwargi uśmiech powrócił na jego usta.

- Jest jasne, że działamy na zupełnie różnych płaszczyznach teoretycznych - stwierdził. - Ponieważ będziemy współpracować, najlepiej, jeśli wyłożę swoje karty na stół. Sugeruje pan klasyczne podejście psycho-dynamiczne: przyczyną problemów ludzi są nieświadomione konflikty. Wystarczy zinterpretować treść ich bełkotu, by uświadomić to, co nieświadomione, i wszystko się ułoży. - Pyknął fajką. - Może to i prawda w przypadku pomniejszych zaburzeń adaptacyjnych. Ale do schizofrenii nie ma żadnego zastosowania. Psychozy, doktorze Delaware, to zasadniczo zjawiska fizjologiczne: zakłócenia równowagi chemicznej w mózgu. To, co pacjent ma do powiedzenia pod wpływem tych zakłóceń, ma bardzo niewielkie, o ile w ogóle jakieś znaczenie kliniczne.

- Nie proponuję psychoanalizy każdego niuansu - odparłem - i uznaję biologiczne fakty schizofrenii. Ale, mimo że podpadają pod pewne wzorce, psychotycy są indywidualnościami tak jak my wszyscy. Mają uczucia. I swoje wewnętrzne konflikty. Nie zaszkodzi dowiedzieć się, ile się da, o Jameyu jako o indywidualności.

- Podejście holistyczne?

- Nie, jedynie bardzo dokładne.

- Doskonale - powiedział Mainwaring z pewnym wahaniem - idźmy dalej. Co chciał pan wiedzieć? Ach, tak, halucynacje wzrokowe i słuchowe,

czy uważam, że to niezwykle? Statystycznie rzecz biorąc, tak. Klinicznie... nie. Nietypowe objawy to cecha charakterystyczna tego przypadku od samego początku. Sugeruje pan nadużywanie halucynogenów?

- To oczywisty wniosek.

- Oczywiście, ale wykluczyliśmy to. Przyznaję, że kiedy chłopca przywieziono, moim pierwszym wrażeniem było, że brał PCP. Wuj i ciotka nie wiedzieli nic o używaniu przez niego narkotyków, lecz to mnie nie przekonywało; trudno oczekiwać, żeby chłopiec powiedział im o czymś takim. Wyniki badań jednak były jednoznacznie negatywne.

Fajka zgasła. Mainwaring miniaturową łyżeczką z przybornika usunął wierzchnią warstwę popiołu, resztę ubił i podpalił.

- Nie - ciągnął - obawiam się, że to nie jest przypadek nadużycia narkotyków. Diagnoza schizofrenii jest potwierdzona. Podczas gdy omamy wzrokowe są w psychozach rzadkością, nie są zupełnie niespotykane, zwłaszcza w połączeniu z zaburzeniami słuchu. Co prowadzi do istotnego wniosku. Chłopiec mówił bez ładu i składu i trudno było go zrozumieć. Wydawał się widzieć i słyszeć różne rzeczy, ale nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że tak było. Równie dobrze mógł mieć tylko omamy słuchowe.

- Co wydawał się widzieć i słyszeć?

- Wracamy do treści, tak? - Mainwaring wyjął fajkę z ust; zaczął się nią bawić i robił to tak długo, że zacząłem podejrzewać, że gra na czas. W końcu się nachmurzył. - Szczerze mówiąc, nie pamiętam dokładnie, co mówił.

- Souza powiedział mi, że na początku Jamey wydawał się zupełnie przytomny, że twierdził, że jego skierowanie do szpitala do pomyłka, i że był bardzo przekonujący.

- Tak, oczywiście - zgodził się pospiesznie Mainwaring. - Na początku miała miejsce typowa paranoidalna ideacja: ktoś chciał go zabić, a on sam nie był wariatem bardziej niż my wszyscy. Potem przeszedł do niedorzecznych oskarżeń i niejasnego mamrotania o truciznach i ranach: krwawiącej ziemi, tego typu bzdur. Biorąc pod uwagę diagnozę, to nic niezwykłego. I zupełnie bez znaczenia dla przebiegu terapii.

- A problemy wzrokowe?

- Omamy wzrokowe dotyczyły koloru. Zachowywał się, jakby widział jaskrawe barwy, z naciskiem na czerwoną. - Uśmiechnął się lekko. - Domyślałem się, że można to interpretować jako krwawe obrazy, że jego pole widzenia było zalane krwią. W świetle tego, co się stało, nie byłoby to zaskakujące.

- Okresy przytomności - powtórzyłem. - O czym mówił?

Mainwaring pokręcił głową.

- Nie licząc okresu bezpośrednio po hospitalizacji, „przytomny” to przesada. Trafniej byłoby powiedzieć „minimalnie reagujący”. Jeśli użyłem sformułowania „rozmowa”, to w bardzo ograniczonym sensie. Przez przeważającą większość tego czasu nie było z nim kontaktu: był zamknięty w sobie jak autystyk.

Kiedy zaczęły działać leki, potrafił odpowiadać na proste pytania tak-nie. Ale nie mógł rozmawiać.

Przypomniałem sobie telefon od Jameya. Podjął inicjatywę, żeby się ze mną skontaktować, a kiedy już to zrobił, potrafił powiadomić mnie, gdzie jest. Chociaż przeważnie bełkotał, zachował dość przytomności, by złożyć kilka spójnych zdań. Był daleki od normalności, lecz zdolny do czegoś więcej niż tylko do odpowiedzi tak-nie. Powiedziałem to Mainwaringowi, ale pozostał nieporuszony.

- Podczas ostatniego nawrotu choroby więcej mówił. Obudziło to na nowo moje nadzieje, że ostatni zestaw leków będzie tym właściwym.

- Podaje mu go pan teraz?

Skrzywił się.

- O ile można tak to ująć. W areszcie nie ma nikogo, kto mógłby nadzorować dawki, więc muszę być bardzo ostrożny. Nie jest to leczenie w pełnym znaczeniu tego słowa, raczej zapobieganie, i znów pojawiły się niestaje reakcje.

- To by wyjaśniało to, co widziałem, kiedy u niego byłem. Za pierwszym razem był ledwie przytomny i miał objawy późnej dyskinezji. Za drugim wydawał się bardziej świadomy i mniej upośledzony neurologicznie.

Psychiatra odchrząknął.

- Chciałbym zaproponować - powiedział łagodnie - żeby unikał pan określeń takich, jak „świadomość” i „stosunkowa przytomność” i żeby nie sugerował pan nawet możliwości dobrowolnego przyjmowania narkotyków. Coś takiego może zadziałać na korzyść oskarżenia i rozmyć obraz, który próbujemy przedstawić.

- Ograniczonej zdolności wywołanej schizofrenią paranoidalną.

- Otóż właśnie. Laikowi i tak trudno to zrozumieć, nawet bez niepotrzebnych komplikacji.

Nie bez powodu, pomyślałem, lecz powstrzymałem się od powiedzenia tego na głos. Mainwaring popatrzył na mnie, a potem zaczął przekładać papiery na biurku.

- Coś jeszcze, doktorze?

- Tak. Notatki panny Surtees wydały mi się bardziej optymistyczne niż pozostałe. Uważa je pan za trafne spostrzeżenia?

Odchylił się w tył i oparł stopy na biurku. W podeszwie jednego buta miał dziurę.

- Panna Surtees należy do tego matczynego, chcącego dobrze typu kobiet, które próbują nadrobić braki inteligencji i wykształcenia, nawiązując osobiste stosunki z pacjentami. Inne pielęgniarki uważają ją za zabawną, ale nie stanowi dla nich problemu. Nie byłem zadowolony z jej zatrudnienia,

ale rodzina była zaniepokojona i uważała, że osobista opieka jest ważna, a ja nie wiedziałem, jak panna Surtees mogłaby zaszkodzić. Patrząc wstecz, może byłem zbyt ugodowy.

Albo pod wrażeniem znaczka dolara.

Mięśnie jego szczęk wyrzuszyły się, kiedy przygryzł ustnik fajki. Spojrzał na mnie, oczekując potwierdzenia, że dobrze podszedł do sprawy.

- A więc powątpiewa pan w jej wiarygodność.

- To niańka - określił wprost - a nie zawodowa pielęgniarka. Jeśli to już wszystko...

- Jeszcze jedno. Chciałbym porozmawiać z panią Vann.

- Pani Vann już u nas nie pracuje.

- Została zwolniona z powodu ucieczki?

- Ależ skąd. Odeszła na własną prośbę, zaledwie kilka dni temu.

- Powiedziała dlaczego?

- Tylko tyle, że pracowała tu pięć lat i zapragnęła zmiany otoczenia. Byłem rozczarowany, ale nie zaskoczony. To trudna praca i mało kto wytrzymuje tak długo. Pani Vann jest dobrą pielęgniarką i przykro mi, że ją straciłem.

- A więc nie wini jej pan za to, co się stało.

Jego brwi się zbiegły, tworząc na czole siatkę bruzd.

- Doktorze Delaware, to zaczyna przypominać przesłuchanie. Myślałem, że przyszedł pan tu, żeby się czegoś dowiedzieć, a nie brać mnie w krzyżowy ogień pytań.

Przeprosiłem za natarczywość. To go nie ułagodziło. Wyjął fajkę z ust, odwrócił do góry i ze złością postukał nią w krawędź popielniczki. Mała chmurka sadzy uniosła się i opadła cienką powłoką na rozrzucone papiery.

- Być może nie zdaje pan sobie sprawy z wagi pańskiego zadania. Przekonanie dwanaścioro niewykwalfikowanych osób, że chłopiec nie był odpowiedzialny za swoje czyny, nie będzie łatwe. Kwestia winy pielęgniarki to kolejny nieistotny detal, który będzie nam przeszkadzał. Jesteśmy biegłymi, a nie sędziami. Czemu upiera się pan przy tych dygresjach?

- Z mojego punktu widzenia to, co istotne, i to, co jest dygresją, nie jest aż tak oczywiste.

- Proszę mi wierzyć - powiedział z wyraźnym zniecierpliwieniem - sprawa nie jest taka znów skomplikowana. Chłopiec popadł w schizofrenię przez słaby materiał genetyczny. Choroba

zniszczyła mu mózg, a co za tym idzie, tak zwaną wolną wolę. Od urodzenia był zaprogramowany do nieszczęścia, i jest ofiarą w takim samym stopniu jak ci, których zamordował. To nie są spekulacje; to opinia oparta na danych medycznych. Fakty mówią za siebie. Jednak z powodu ignorancji laików byłoby dobrze wesprzeć je teoriami socjologicznymi i psychologicznymi. Ku temu właśnie, jeśli wolno zasugerować, powinien pan kierować swoje wysiłki.

- Dziękuję za radę.

- Nie ma za co - odparł z wyższością. - Kartę dostanie pan w ciągu kilku dni. Teraz pozwoli pan, że pana odprowadzę.

Wstaliśmy i wyszliśmy z gabinetu. Korytarze szpitala były ciche i puste. W poczekalni siedziała para dobrze ubranych ludzi; trzymali się za ręce ze wzrokiem wbitym w podłogę. Na kolanach kobiety leżał zamknięty egzemplarz „Vogue'a”. Z ust mężczyzny zwisał papieros. Na odgłos naszych kroków podnieśli oczy, a kiedy zobaczyli Mainwaringa, wpatrzyli się w niego z nadzieją niczym w bóstwo.

Psychiatra pomachał im, powiedział do mnie: „Chwileczkę”, i poszedł się z nimi przywitać. Para wstała, a on energicznie uściśnął obojgu dłonie. Zaczekałem parę chwil, aż skończą rozmawiać, ale kiedy stało się jasne, że o mojej obecności zapomniano, niezauważony wysliznąłem się na zewnątrz.

Zjadłem lunch w restauracji w Sherman Oaks i w myślach powtórzyłem sobie rozmowę z Mainwaringiem. Przy całym swoim farmakologicznym doświadczeniu nie powiedział mi nic o Jameyu jako człowieku. Gdybym mu to zarzucił, bez wątpienia wcale by się nie przejął. Był samozwańczym inżynierem biochemii, niezainteresowanym żadnymi organizmami powyżej poziomu komórkowego. Parę lat temu uważano by go za ekstremistę, teraz jednak pozostawał w całkowitej zgodzie z nową falą

psychiatrii - romansiem z determinizmem biologicznym kosztem wglądu. Podstawy tego nurtu po części były słuszne: sama psychoterapia okazała się w minimalnym stopniu użyteczna w leczeniu psychoz, a leki pozwalały w niezwykle skuteczny, choć dość przypadkowy sposób kontrolować objawy.

Po części jednak miało to podłoże również polityczne - umacniając swój wizerunek prawdziwych lekarzy, psychiatrzy mogli się zdystansować od psychologów i innych terapeutów - a także ekonomiczne, bo firmy ubezpieczeniowe niechętnie płaciły za coś tak niejednoznacznego jak rozmowy; zupełnie inaczej traktowały finansowanie badań krwi, mózgu, zastrzyków i innych medycznych procedur.

Psychologia też miała swój przydział inżynierów - technologów behawioralnych, takich jak Sarita Flowers, którzy uciekali od irytujących przeszkód w rodzaju uczuć i myśli i postrzegali kondycję człowieka jako zestaw złych nawyków, potrzebujących skinnerowskiego zbawienia.

Oba te podejścia, w jakiś sposób ekstremalne, były ślepą wiarą we wszystko, co można przeliczyć, zestawioną z przedwczesnym samozadowoleniem i czarno-białym widzeniem świata. A pośrodku było dużo szarości, w której pacjent mógł się zgubić.

Zastanawiałem się, czy nie to właśnie spotkało Jameya.

Wróciłem do domu na drugą, zadzwoniłem do Souzy i poprosiłem, żeby umówił mnie z Marthe Surtees.

- Ach, Marthe, ta dobra kobieta. Zadzwonię do pośrednika, który ją zatrudnia, i sprawdzę, czy uda mi się z nią skontaktować. Ma pan coś dla mnie, doktorze? Nie proszę o wnioski, tylko o kierunek, w jakim pan zmierza.

- Na razie nic. Wciąż pytam.

- Rozumiem. Jak pan sądzi, kiedy będzie pan wystarczająco przygotowany, żeby napisać raport?

- Trudno powiedzieć. Może za jakiś tydzień.

- Świetnie. Pod koniec miesiąca odbędą się wstępne przesłuchania w sądzie. Chciałbym do tego czasu mieć już dobrze wyposażoną zbrojownię.

- Zrobię, co będę mógł.

- Tak, jestem pewien. Przy okazji, rozmawialiśmy poprzednio o możliwości zatrucia narkotykami. Ma pan już na ten temat jakieś wnioski?

- Doktor Mainwaring nieugięcie twierdzi, że narkotyki nie miały żadnego wpływu na stan Jameya i że samo poruszenie tego tematu zaszkodziłoby linii obrony opartej na ograniczonej zdolności.

- Mainwaring nie jest prawnikiem. Jeśli będę mógł wykazać, że Chancellor wmuszał w chłopaka narkotyki, nie tylko to nie zaszkodzi, ale wręcz pomoże.

- Tak czy inaczej, nie ma żadnych śladów używania narkotyków. Objawy, które zauważyłem wcześniej, to prawdopodobnie późna dyskinezja, reakcja na leki. Jamey zaczął je wykazywać w Canyon Oaks. To nietypowa reakcja po krótkim leczeniu, ale Mainwaring uważa, że Jamey jest nietypowym schizofrenikiem.

- Nietypowym. - Souza zaczął głośno myśleć. - Gdyby to odpowiednio przedstawić, mogłoby zadziałać na naszą korzyść, uniezależnić nas od precedensów. Bardzo dobrze, niech pan dalej szuka, proszę dać mi znać, jeśli trafi pan na coś jeszcze. Przy okazji, ma pan jakieś plany na popołudnie?

- Nie.

- Doskonale. Heather wróciła wczoraj wieczorem z Montecito, przyleciała helikopterem o północy, żeby uniknąć dziennikarzy. Dzieci zostały tam, więc jeśli chce pan z nią porozmawiać, teraz jest dobry moment.

- Jasne.

- Może być piąta?

- Piąta pasuje.

- Świetnie. Wiem, że uzna ją pan za wspaniałą młodą kobietę. A skoro o tym mowa, bardzo miło rozmawiało mi się z pańską Robin.

Wysławiał się uprzejmie, ale coś w jego tonie zdradzało lubieżny podtekst. Nie było to nic konkretnego, ale i tak poczułem, że ściska mi się żołądek.

- Jest wyjątkowa - przyznałem.

- Zgadzam się. Ma pan szczęście, doktorze.

Podał mi adres domu Cadmusów i wesoło się pożegnał.

Hancock Park wprost śmierdzi starą forszą.

W Beverly Hills nieograniczony budżet przy braku dobrego gustu często tworzył dziwaczne architektoniczne ekscesy: zamki z wieżami, teksturowane pseudowille, postmodernistyczne potworności w technicolorze i tandetne imitacje Tary, wszystkie za grube miliony, konkurujące ze sobą przy jednej, obsadzonej palmami ulicy.

Sześć kilometrów dalej, w Hancock Park - im spokojniej, tym lepiej. Jest tam pewna różnorodność stylów - tudor, georgiański, śródziemnomorski, regencja - ale wszystko to do siebie pasuje. Bardzo elegancko, bardzo statecznie. Większość domów jest większa niż ich krzykliwi kuzyni

z Beverly Hills - to pozostałość z czasów, kiedy codziennością była liczna służba. Stoją dumnie za rozległymi, wystrzyżonymi trawnikami, daleko od szerokich, ocienionych klonami ulic. Ingerencja w krajobraz jest tu delikatna: samotna sosna na trawniku, żywopłoty, z rzadka plama kwiatów. Na podjazdach parkują rodzinne kombi o drewnianych bokach, volvo i mercedesy w neutralnych kolorach. Tak jak w przypadku większości rezydencjalnych dzielnic L.A. ulice są puste jak wymarłe, czasem widać tylko pojedyncze wózki pchane przez nianie w mundurkach albo młode matki ze złotowłosymi, drepczącymi dziećmi. Wprowadziło się tam trochę Żydów i Azjatów, ale wciąż przeważali biali, anglosascy protestanci. I chociaż dzielnicę tę otaczają jedne z najgorszych ulic miasta i przestępczość jest wyższa, niż ktokolwiek chciałby przyznać, Hancock Park pozostaje enklawą elegancji i bogactwa.

Dom Cadmusów stał przy June Street na północ od Beverly, niedaleko Country Clubu Los Angeles. Był to piętrowy, ceglany tudor, którego cegły i kontrastujące ze sobą kamienie i ciosółkę pomalowano na beżowo. Trawnik przecinała wyłożona kamiennymi płytami ścieżka. Po obu stronach stali strażnicy, w takich samych szarych mundurach, jak w holu Cadmus Construction. Ci jednak byli wyposażeni w pistolety i pałki. Przyczyna ich obecności była oczywista. Na chodniku kłębiła się gromada reporterów. Kiedy jeden ruszył w stronę domu, strażnik zastąpił mu drogę. Reporterzy wciąż ponawiali próby, a strażnicy wciąż ich powstrzymywali, poruszając się jak w intrygującym menuecie. Z boku, pod zadaszeniem sięgającym aż na podjazd, stał rolls Souzy; prawie dotykał przodem wysokiej bramy z kutego żelaza. Tully Antrim przecierał irchową szmatką lakier olbrzymiego samochodu i zerkał na ulicę. Zobaczył seville'a i dał znak, żebym zaparkował za

phantomem.

Reporterzy wypatrzyli to i kiedy wjechałem na podjazd, ruszyli naprzód jak wielka ameba. Strażnicy pobiegli za nimi. Wykorzystując zamieszanie, jeden z dziennikarzy, młody mężczyzna w okularach i brązowym sztruksowym garniturze, rzucił się do frontowych drzwi.

Antrim zareagował błyskawicznie. Trzema długimi krokami dopędził reportera, po czym zastąpił mu drogę. Spojrzał groźnie na mężczyznę i kazał mu się cofnąć. Reporter zaczął się wyklócać. Antrim pokręcił głową. Dziennikarz niespodziewanie znów ruszył do drzwi, wtedy prawa ręka szofera wystrzeliła do przodu i trafiła go w splot słoneczny. Młody mężczyzna zbladł, ułożył usta w zbolale O i zgiął się wpół. Antrim mocno go popchnął, przewracając na plecy. W tym momencie nadbiegł jeden ze strażników i wywłócił usiłującego złapać oddech reportera na ulicę.

Patrzyłem na to wszystko z samochodu; do szyb przyciskały się krzyczące twarze, a pole widzenia zasłaniały podtykane magnetofony. Mężczyzna w brązowym garniturze powlókł się do swojego samochodu i krzyknął coś do kolegów, którzy zawyli z oburzenia. Ale odsunęli się od seville'a, a ja wykorzystałem to, żeby wyskoczyć z samochodu i schować się za rollsem. Antrim zobaczył mnie i podbiegł. Zanim reporterzy przestali wrzeszczeć i zorientowali się, co się dzieje, złapał mnie za ramię, wyciągnął klucze i otworzył bramę.

- Jebane dupki - mruknął i wepchnął mnie do środka, niezbyt delikatnie.

Reporterzy napaarli na limuzynę, próbując zobaczyć coś nad jej wysokim dachem. Strażnicy ruszyli na nich i wrzaski stały się jeszcze głośniejsze.

Antrim poprowadził mnie do bocznego wejścia i zapukał. Obok drzwi było małe, zasłonięte okno. Zasłony się rozsunęły, wyrzała zza nich jakaś twarz, znów się zasunęły i ktoś otworzył drzwi. W progu stanął brzuchaty strażnik.

- To ten lekarz, na którego czeka - powiedział Antrim, przeciskając się obok niego.

Strażnik dotknął kolby pistoletu.

- Proszę wejść - powiedział surowo, usiłując podtrzymać iluzję władzy.

Przeszedłem za szoferem przez dużą, kremową kuchnię. Na środku pomieszczenia stał przykryty kraciastym obrusem stół. Na nim leżały rozrzucone latarka, termos, dwie owinięte w folię kanapki z szynką i egzemplarz „National Enquirer”. Na oparciu jednego z krzeseł wisiała szara mundurowa bluza. Antrim pchnął drzwi i przeszliśmy przez spiżarnię i wyłożoną ciemną boazerią jadalnię z mosiężnymi kinkietami. Nagły zakręt w lewo zaprowadził nas do sklepionej sieni. W głębi wznosiły się rzeźbione, dębowe schody. Z góry dobiegało wycie odkurzacza.

Antrim poprowadził mnie przez sień i po dwustopniowych schodkach w dół do wielkiego salonu w kolorze ostryg, wyłożonego beżowymi, wełnianymi dywanami. Na wszystkich oknach zaciągnięto story, jedynym źródłem światła były dwie nocne lampki.

Pokój urządzono kosztownie, ale skromnie: kanapy obite ciemnobrązowym adamaszkiem, dwa

podobne fotele w stylu królowej Anny, pają-konogie stoliki chippendale pachnące olejkiem cytrynowym. W jednym rogu stał hebanowy steinway. Na ścianach wisiały angielskie martwe natury i krajobrazy poprawne w mahoń, o barwach spłowiałych do szlachetnej nieostrości. Nad wystyglým paleniskiem kominka unosił się potężny gzyms z piaskowca. Na nim stała jedyna rzecz, jaka tu nie pasowała:

kolekcja prymitywnych rzeźb - pół tuzina przysadzistych, skośnookich twarzy wykutych w chropawym, szarym kamieniu.

Na kanapie siedziała kobieta. Kiedy wszedłem, wstała, wysoka i szczupła jak modelka.

- Dobry wieczór, doktorze Delaware - przywitała mnie wysokim głosem małej dziewczynki. - Jestem Heather Cadmus. - Do Antrima: - Dziękuję, Tully. Możesz odejść.

Szofer wyszedł, a ja podszedłem bliżej.

Wiedziałem, że jest niemal w wieku męża, ale wyglądała dziesięć lat młodziej. Twarz miała pociągłą, bladą i gładką, zwężającą się do ostrego, mocnego podbródka. Poza leciutkim cieniem do powiek nie nosiła makijażu. Jej włosy były kasztanowe, przycięte do ramion i wywinięte na końcach, a nad wysokim, płaskim czołem przyszczyżone w pierzastą grzywkę. Spod grzywki spoglądały duże, okrągłe, szare oczy. Nos miała wąski, ale mocny, lekko zadarty, o delikatnie ściągniętych nozdrzach. To była twarz z balu debutantek, czysta, szlachetna i dziewczęco ładna. Obrazu swobodnego bogactwa dopełniał jej strój: różowa bluzka, ciemnobrązowa spódnica, brązowe skórzane pantofle na płaskim obcasie i żadnej biżuterii, nie licząc wysadzanej brylantami obrączki. Miała drobne i wąskie dłonie, o długich, zwężających się ładnie palcach. Wyciągnęła jedną do mnie, a ja ją uścisnąłem.

- Miło mi panią poznać, pani Cadmus.

- Proszę mi mówić Heather - powiedziała tym samym, dziwnie dźwięcznym głosem. - Usiądzie pan?

Sama znów usiadła, ale tym razem na krawędzi kanapy. Cały czas wyprostowana wygładziła spódnice i skrzyżowała nogi w kostkach. Ja usiadłem na jednym z foteli, starając się nie zwracać uwagi na niewygodę.

Cadmus uśmiechnęła się nerwowo i złożyła ręce na kolanach. Chwilę później w wejściu stanęła latynoska pokojówka w czarnym uniformie. Heather skinęła jej głową i szybko wymieniły parę zdań po hiszpańsku.

- Coś dla pana, doktorze?

- Nie, dziękuję.

Kazała pokojówce odejść.

Z ulicy przez zasłony dały się słyszeć stłumione krzyki. Heather odwróciła się w tamtą stronę i

skrzywiła.

- Za wcześnie wróciłam. Oblegają dom. Dzięki Bogu, że dziewczynki nie muszą tego oglądać. I tak już tyle przeszły.

- Pani mąż mówił mi, że Jamey był dla nich bardzo nieprzyjemny - powiedziałem, wyjmując notes.

- Był - odparła cicho. - To tylko małe dziewczynki, a on tak je straszył.

- Głos się jej załamał. - Nie mogę przestać myśleć o tym, jaki to będzie miało na nie wpływ. A stres, w jakim żyje mój mąż, jest wprost niewiarygodny.

Współczująco pokiwałem głową.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo się troszczę o Jameya. Sama myśl o tym, co się z nim stało, jest... nie do zniesienia.

- Chyba była z nim pani bardzo blisko.

- Kiedyś tak myślałam. Myślałam, że dobrze go wychowałam. Teraz już niczego nie jestem pewna.

Jej głos znów się załamał, a jedna z dłoni na kolanie zebrała garść wełny i ścisnęła, aż pobieleły kłykcie.

- Heather, muszę zadać pani kilka pytań, które mogą być nieprzyjemne. Jeśli to nieodpowiednia pora, mogę wrócić kiedy indziej.

- Och, nie, nic mi nie jest. Proszę, niech pan robi, co pan musi.

- Dobrze. Zacznijmy od chwili państwa ślubu. Jamey miał pięć lat. Jak zareagował na pani wejście do rodziny?

Wzdrygnęła się, jakby to pytanie ją zraniło, a potem zamyśliła, układając odpowiedź.

- To był trudny okres dla nas wszystkich. Z dnia na dzień z panny zmieniałam się w macochę. To okropna rola, budzi tyle złych skojarzeń. Nie tak wyobrażałam sobie siebie w wieku dwudziestu czterech lat. Myślałam, że jestem przygotowana, ale nie byłam.

- Jakie mieliście państwo problemy?

- Takie, jakich można się było spodziewać. Jamey był bardzo zazdrosny o uwagę mojego męża, to rozumiałe: Dwight był mu ojcem bardziej niż ktokolwiek inny. A potem, zupełnie niespodziewanie, pojawił się ja. Uważał mnie za rywalkę i robił, co mógł, żeby mnie wyeliminować. Z perspektywy dziecka to musiało być jedyne logiczne wyjście.

- Co robił?

- Obrażał mnie, nie chciał się słuchać, udawał, że mnie nie ma. Potrafił być bardzo okrutny dzięki swojej inteligencji, ale rozumiałam, że bierze się to ze strachu, i postanowiłam wytrzymać. Powiedziałam sobie, że mam się nie przejmować, zapałam się. W końcu zaakceptował moją obecność, a po jakimś czasie doszliśmy do etapu, na którym mogliśmy rozmawiać. Dwight był bardzo zajęty firmą, a ja siedziałam w domu; to oznaczało, że rodzicowanie właściwie spadło na mnie. Ostatecznie zaczęliśmy rozmawiać całkiem sporo. Nie żebyśmy wchodzili na obszary bardzo osobiste; Jamey był samotnikiem i swoje uczucia zachowywał dla siebie. Kiedy

urodziłam własne dzieci, zrozumiałam, jaki naprawdę był skryty, ale od czasu do czasu nawet mi się zwierzał.

Przerwała i spojrzała w dół, na dłonie, ściskające spódnicę jak szpony. Potem odetchnęła głęboko i wysiłkiem woli je rozprostowała.

- W świetle tego, co się stało, wiem, że to nie brzmi najlepiej, doktorze, ale wtedy myślałam, że świetnie mi idzie.

Zaczęła jej drzeć dolna warga; odwróciła się. Światło jednej z lampek otoczyło jej profil aureolą, nadając jej wygląd żywej kamei.

- Rozmawiał z panią kiedykolwiek o swoim homoseksualizmie?

Jej mąż zareagował na ten temat złością i wyparciem, lecz ona zewnętrznie pozostała obojętna.

- Nie. Kiedy... jak to się mówi, „ujawnił się”? ...większość czasu spędzał już z Digiem Chancellorem, a z nami się nie zadawał.

- Myśli pani, że Chancellor miał coś wspólnego z jego ujawnieniem się?

Zastanowiła się.

- Może ułatwił mu to, służąc za wzór, ale jeśli pyta pan, czy sprowadził go na złą drogę, nie, nie wierzę w to.

- A więc uważa pani, że Jamey jest homoseksualistą?

To pytanie ją zaskoczyło.

- Oczywiście, że jest.

- Pani mąż ma zupełnie inne zdanie.

- Doktorze... - Westchnęła. - Mój mąż to bardzo porządny człowiek. Ciężko pracujący, oddany ojciec. Ale potrafi być także bardzo uparty. Kiedy wbije sobie coś do głowy, nawet coś nielogicznego, nie sposób go przekonać. Bardzo kocha Jameya, do niedawna uważał go za syna. Myśl, że Jamey nie jest seksualnie normalny, to coś, czemu Dwight po prostu nie potrafi stawić czoła.

W świetle o wiele bardziej brutalnych prawd o chłopcu zastanowiło mnie, czemu jego seksualna odmienność była aż tak ważna dla Cadmusa. Nie było jednak sensu teraz tego poruszać.

- Kiedy zrozumiała pani, że Jamey jest gejem? - spytałem.

- Podejrzewałam od jakiegoś czasu. Raz, kiedy nadzorowałam pokojówkę sprzątającą jego pokój, znalazłam homoseksualną pornografię. Wiedziałam, że gdybym powiedziała Dwightowi, doszłoby do eksplozji, więc po prostu wyrzuciłam te zdjęcia i miałam nadzieję, że to przejściowe. Ale kilka tygodni później zastąpił to, co wyrzuciłam, nowymi zdjęciami, i poszerzył jeszcze kolekcję. Uświadomiłam sobie wtedy, że naprawdę ma problem. Potem zaczęłam kojarzyć fakty: to, że nigdy nie interesował go

sport ani zabawa z innymi chłopcami, to, jak unikał dziewczynek. Jesteśmy towarzysko dość aktywni, więc nie brakowało okazji, żeby poznał młode damy, ale kiedy sugerowaliśmy coś albo próbowaliśmy go komuś przedstawić, denerwował się i uciekał. Gdy zaczął spotykać się z Digiem, moje podejrzenia się potwierdziły.

- Jak on i Chancellor się poznali?

Przygryzła wargę i zrobiła zakłopotaną minę.

- Naprawdę musimy w to wchodzić? To bardzo... drażliwy temat.

- Na procesie i tak to wyjdzie.

Heather Cadmus sięgnęła do stolika i wzięła z niego platynową papierośnicę. Obok leżała również platynowa zapalniczka, podniosłem ją. Kiedy włożyła papierosa z filtrem do ust, ja już czekałem z płomieniem.

- Dziękuję - powiedziała, siadając wygodnie i wydmuchując koronkową wstążkę dymu. - Rzuciłam dwa lata temu. Teraz wypalam pół paczki dziennie.

Zaczekałem, aż wypaliła jedną trzecią papierosa. To, co zostało, położyła na brzegu kryształowej popielniczki i spytała:

- Jest pan pewien... że to wyjdzie na jaw?

- Obawiam się, że tak. Nawet jeśli nie wyciągnie tego oskarżenia, związek Jameya z Chancellorem prawdopodobnie będzie kluczowym punktem obrony.

- Tak - zgodziła się ponuro. - Horace nam o tym mówił. Pewnie wie, co robi. - Zaciągnęła się papierosem i odłożyła go. - Jeśli musi pan wiedzieć, poznali się tutaj. Na kolacji. To była impreza biznesowa, inauguracja nowego projektu firmy. Bank Diga zainwestował w niego, podobnie jak kilka innych instytucji. Dwight wymyślił sobie, że ściągnie wszystkich inwestorów, żeby zademonstrować jedność przedsięwzięcia i zapewnić mu dobry start. Wieczór zapowiadał się wspaniale, catering od Perina, szampan, orkiestra i tańce. Pozwoliliśmy dziewczynkom zostać i być małymi hostessami. Jamey też był oczywiście zaproszony, ale całą noc siedział w swoim pokoju i czytał. Pamiętam

dokładnie, bo przygotowałam mu niespodziankę, strój wieczorowy specjalnie dla niego. Kiedy mu go pokazałam, nie chciał nawet spojrzeć.

- A więc nie przyszedł na przyjęcie?

- Ani na chwilę. Dig musiał zabłąkać się na górę, jakoś się spotkali i zaczęli rozmawiać. W połowie przyjęcia Dwight ich znalazł. Poszedł wziąć aspirynę i zobaczył ich siedzących na łóżku Jameya i czytających poezję. Był oburzony. Wszyscy dobrze wiedzieli o... upodobaniach Diga. Dwight uznał, że Dig nadużył naszej gościnności. Natychmiast tam wszedł i sprowadził go na dół, grzecznie, lecz stanowczo. Zepsuło mu to przyjęcie,

choć robił dobrą minę do złej gry. Tego wieczoru rozmawialiśmy o tym i przyznał, że już od jakiegoś czasu martwił się seksualnością Jameya. Może to była naiwność, ale oboje wciąż sądziliśmy, że to zagubiony nastolatek, który mógł jeszcze nie dokonać wyboru, i że Dig jest ostatnią osobą na świecie, jakiej potrzebuje. Modliliśmy się, żeby z tego przypadkowego spotkania nic nie wynikło, lecz oczywiście wynikło. Natychmiast. Następnego dnia, kiedy Dwight pojechał do pracy, Dig zabrał Jameya i zniknęli razem na cały dzień. To samo było kolejnego dnia. Wkrótce Jamey zaczął spędzać u Diga więcej czasu niż tu. Mój mąż był wściekły, podwójnie, bo winił siebie za ich spotkanie. Chciał pojechać do Diga i siłą wywlec stamtąd Jameya, ale przekonałam go, że wynikłoby z tego więcej złego niż dobrego.

- W jakim sensie?

- Nie chciałam, żeby doszło do rękoczynów. Mój mąż jest w dobrej kondycji, ale Dig był olbrzymem. Podnosił ciężary. Poza tym bałam się reakcji Jameya w przypadku konfrontacji.

- Bała się pani, że dojdzie do przemocy?

- Nie. Wtedy nie. Tylko tego, że zrobi się wulgarny i agresywny i że nie da się z nim mieszkać.

- Czy umysłowy rozpad zaczął się po spotkaniu z Chancellorem, czy przed nim?

- Horace pytał o to samo, a ja próbowałam sobie przypomnieć. Trudno jednak uchwycić ten moment. To nie było tak, że normalny chłopiec nagle zaczął się dziwnie zachowywać. Nigdy nie był taki jak inne dzieci, więc zmiana następowała bardziej stopniowo. Mogę tylko powiedzieć, że zaczęło się to mniej więcej wtedy, kiedy Dig okazał mu zainteresowanie.

- Czy pani albo pani mąż rozmawialiście kiedykolwiek z Chancellorem o Jameyu?

- Ani słowa. Cierpieliśmy w milczeniu.

- To musiało poważnie nadwerężyć państwa stosunki z Chancellorem.

- Nie. Utrzymywaliśmy z nim stosunki wyłącznie biznesowe.

- Czy trwały dalej?

Szare oczy zapłonęły gniewem, policzki poczerwieniały. Delikatne mięśnie szczęk zagrały, a kiedy Heather się odezwała, jej głos wzniósł się o ton.

- Doktorze, jeśli sugeruje pan, że daliśmy sprawie spokój, żeby bardziej nabić sobie kieszenie, zapewniam pana...

- Niczego takiego nie sugeruję - przerwałem. - Próbuję tylko dobrze wyobrazić sobie, jak związek z Chancellorem wpłynął na rodzinę.

- Jak na nas wpłynął? Zranił nas do żywego. Ale nie, nie zerwaliśmy kontaktów biznesowych. Nie przerywa się wielomilionowego przedsięwzięcia, na którym polegają tysiące ludzi, z przyczyn osobistych. Gdyby tak było, niczego na tym świecie by nie dokonano.

Wzięła papierosa i gniewnie się zaciągnęła. Dałem jej chwilę na ochłonięcie. Kiedy skończyła palić, zgasiła niedopałek, przygładziła włosy i zmusiła się do uśmiechu.

- Proszę wybaczyć - powiedziała. - To było bardzo trudne.

- Nie ma czego wybaczać. To trudne pytania.

Kiwnęła głową.

- Proszę kontynuować.

- Czy pani mąż nadal wini się za to, co zaszło między Jameyem i Chancellorem?

- Tak. Próbowałam mu wytłumaczyć, że doszłoby do tego tak czy inaczej, że homoseksualizm jest wrodzony, że nie da się kogoś na to namówić, ale jak już powiedziałam, to bardzo uparty człowiek.

Korzenie wyparcia Cadmusa stały się jaśniejsze i zrozumiałem, czemu poruszenie kwestii związku Jameya z Chancellorem zakończyło moją rozmowę z Dwigthem.

- Pożera go poczucie winy - dodała Heather - do tego stopnia, że zaczynam się bać o jego zdrowie.

Przypomniałem sobie, jak żarłocznie spoglądał na butelkę glenliveta, i domyśliłem się, o jakim problemie zdrowotnym mówiła. Zmieniłem temat.

- Czy z tego, co pani wiadomo, Dig Chancellor zażywał narkotyki?

- Nie znałam go dobrze, więc nie powiem nic na pewno. Ale intuicja podpowiada mi, że nie. Tak jak tak wielu z nich miał obsesję na punkcie własnego ciała: wegetarianizm, organiczna żywność, podnoszenie ciężarów. Był okazem zdrowia, potężnie umięśniony. Wpłynął na Jameya do tego stopnia, że chłopiec przestał jeść w naszym domu. Nie wyobrażam sobie więc, żeby się zatruwał.

To, co mówiła, pozornie wydawało się logiczne, ale niewiele znaczyło: najbardziej gorliwi maniacy zdrowia potrafią robić wyjątki, kiedy chodzi o kokainowy rausz albo orgazm na azotanie

amylu.

- A Jamey? Wie pani, czy brał narkotyki?

- Kiedy zaczął się dziwnie zachowywać, zastanawiałam się nad tym. Właściwie od razu przyszło mi to do głowy.

- Dlaczego?

- To, jak się zachowywał, pasowało do złego tripa po LSD czy PCP, może nawet reakcji na trefny spid.

Takie określenia wydawały się nie na miejscu, kiedy padały z patrycjuszowskich ust. Heather zauważyła moje zaskoczenie i się uśmiechnęła.

- Pracuję jako wolontariuszka w ośrodku odwykowym sponsorowanym przez Ligę Juniorów. To pensjonat i poradnia dla nastolatków, które próbują odstawić ciężkie narkotyki. Założyliśmy go, kiedy Pierwsza Dama zaapelowała o udział obywateli. Spędzałam tam pięć godzin tygodniowo przez ostatnie półtora roku i było to bardzo pouczające. Nie żebym była naiwna w kwestii narkotyków, chodziłam do Stanford w latach sześćdziesiątych, ale od tamtej pory zrobiło się o wiele gorzej. Opowieści niektórych dzieciaków są niewiarygodne: dziesięciolatki na heroinie; modni producenci narkotyków; dzieci, które rodzą się uzależnione. Uświadomiło mi to skalę problemu. Dlatego kiedy Jamey zaczął się dziwnie zachowywać, spanikowałam i zadzwoniłam do jednej z pracownic ośrodka. Zgodziła się, że to mogą być halucynogeny, ale powiedziała, że nie wolno lekceważyć ewentualności jakiegoś załamania psychicznego. Do mnie niestety dotarła tylko ta część o narkotykach, a resztę wyparłam. - Przerwała, nagle zawstydzona. - To, co panu teraz powiem, może zabrzmieć głupio, musi pan jednak zrozumieć, że Jamey się staczał, a ja byłam przerażona, bałam się o całą rodzinę.

- Proszę mówić dalej. Jestem pewien, że to wcale nie zabrzmie głupio. Nachyliła się do mnie, skruszona.

- Zamieniłam się w szpicla, doktorze. Zaczęłam go pilnie obserwować i wypatrywać charakterystycznych oznak, kiedy myślałam, że nie widzi: badałam jego źrenice, podglądałam, czy nie ma śladów po igłach na rękach. Kilka razy wśliznęłam się do jego pokoju i cały przetrząsnęłam w nadziei, że znajdę strzykawkę, pigułkę albo jakiś proszek, cokolwiek, co mogłabym dać do analizy w ośrodku. Znalazłam tylko kolejne świńskie obrazki. Raz zabrałam mu nawet parę majtek, sądząc, że da się z nich pobrać próbkę moczu. Ostatecznie nic nie znalazłam, a on dalej się osuwał. W końcu zrozumiałam, że to musi być choroba umysłowa.

Wyjęła z papierośnicy następnego papierosa, rozmyśliła się i położyła go na stoliku.

- Wiele nocy nie przespałam, zastanawiając się, czy stałoby się inaczej, gdybym zauważyła to wcześniej. Doktor Mainwaring zapewniał nas, że schizofrenia jest zaprogramowana genetycznie i że doszłoby do niej niezależnie od leczenia. Co pan o tym sądzi?

- Schizofrenia to nie rak. Reakcja na leczenie zależy bardziej od indywidualnej biologii niż od tego, jak szybko się je zacznie. Nie ma pani powodu czuć się winna.

- Dziękuję. Naprawdę. Chciałby pan wiedzieć coś jeszcze?

- Mówiła pani, że Jamey się pani zwierzał...

- Rzadko.

- Rozumiem. Podczas tych rzadkich okazji, o czym mówił?

- O swoich rozczarowaniach, lękach, obawach. Zwyczajnych problemach dzieciństwa. Interesowali go rodzice i przeszedł przez okres, kiedy sądził, że go odrzucili. Próbowałam go wspierać na duchu, podbudować samoocenę.

- Ile o nich wiedział?

- O tym, jakimi byli ludźmi? Właściwie wszystko. Początkowo pomijałam te bardziej nieprzyjemne rzeczy, ale zorientował się, że się wykręcam, i naciskał. Uznałam, że najlepiej być szczerą. To, że brali narkotyki, bardzo go wzburzyło, i to kolejny powód, teraz, kiedy się nad tym zastanowić, dla którego nie wierzę, że cokolwiek brał.

- Czy znał szczegóły samobójstwa ojca?

- Wiedział, że Peter się powiesił, tak. Chciał wiedzieć dlaczego, a na to pytanie oczywiście nie ma odpowiedzi.

- Jakie uczucia wtedy okazywał?

- Wściekał się. Powiedział, że samobójstwo to nędzny czyn i że nienawidzi swojego ojca za to, że się zabił. Próbowałam mu wytłumaczyć, że Peter nie zrobił tego, żeby go skrzywdzić, że powodował nim tylko olbrzymi wewnętrzny ból. Podkreślałam też dobre cechy rodziców, to, jaki uroczy i przystojny był Peter, jak jego matka umiała tańczyć. Chciałam, żeby cenił swoje korzenie i siebie samego.

Wydała ochryply dźwięk, pół śmiech, pół szloch, gwałtownie wciągnęła powietrze i przetarła oczy. Zaczekałam, aż się uspokoi.

- Chciałbym, żeby opowiedziała pani o jego zachowaniach w dzieciństwie.

- Oczywiście. Co chciałby pan wiedzieć?

- Zaczniemy od snu. Czy jako dziecko dobrze sypiał?

- Nie. Zawsze był niespokojny i łatwo się budził.

- Czy miał częste koszmary, nocne lęki, czy lunatykował?

- Zdarzały mu się złe sny, nic niezwykłego. Ale kilka miesięcy przed hospitalizacją zaczął się budzić z krzykiem. Doktor Mainwaring powiedział, że to były nocne lęki, prawdopodobnie związane z jakimś problemem neurologicznym.

- Jak często się to zdarzało?

- Kilka razy w tygodniu. Między innymi dlatego pozwoliliśmy mu się przenieść do domku gościnnego; dziewczynki bały się wrzasków. Zakładam, że po przeprowadzce to się ciągnęło albo pogorszyło, nie mogę jednak stwierdzić na pewno, bo z tej odległości nic nie było słychać.

- Czy kiedy krzyczał, można było rozróżnić słowa? Pokręciła głową.

- Tylko jęki i wrzaski. - Zadrzała. - Straszne.

- Czy moczył kiedyś łóżko?

- Tak. Kiedy wychodziłam za męża. Próbowałam wszystkiego, żeby przestał: przekupstwa, łajania, maszynki z dzwonkiem, ale nic nie działało. Kiedy skończył dziewięć czy dziesięć lat, przeszło mu to samo.

- A podpalanie?

- Nigdy - powiedziała, zbita z tropu.

- Jak się odnosił do zwierząt?

- Zwierząt?

- Domowych. Lubił je?

- Nigdy nie mieliśmy psa ani kota, bo jestem uczulona. W bibliotece było akwarium z tropikalnymi rybkami, lubił na nie patrzeć. O to panu chodzi?

- Tak. Dziękuję.

Wciąż wyglądała na zdziwioną i wiedziałem, że moje pytania wydawały się pozbawione związku. Ale zadawałem je nie bez powodu. Nocne moczenie jest częste u dzieci w ogóle i nie uważa się tego za patologię, ale nocne moczenie, podkładanie ognia i okrucieństwo wobec zwierząt to trzy znaki ostrzegawcze: dzieci, które mają wszystkie te problemy, są bardziej skłonne rozwinąć psychopatyczne wzorce zachowań jako dorośli niż te, które ich nie przejawiają. To zjawisko statystyczne i dalekie od stuprocentowej pewności, warte jednak uwagi, kiedy człowiek zajmuje się

seryjnymi morderstwami.

Skończyłem z historią rozwoju i poprosiłem Heather Cadmus, żeby opowiedziała o załamaniu Jameya. Jej wersja była taka sama, jak jej męża, z jednym wyjątkiem: powiedziała, że już przed laty chciała zapewnić chłopcu pomoc psychiatryczną, ale nie zgadzał się na to Dwight. Co ciekawe, po tej krytyce zaczęła wychwalać go jako męża i ojca, usprawiedliwiając jego sprzeciw pozbawionym złych intencji uporem. Kiedy skończyła, podziękowałem jej i zamknąłem notes.

- To wszystko? - spytała.

- Chyba że chce mi pani coś jeszcze powiedzieć.

Zawahała się.

- Jest jedna sprawa. Do tej pory nikomu o tym nie mówiłam, bo nie byłam pewna, czy to pomoże Jameyowi, czy zaszkodzi. Ale wczoraj rozmawiałam z Horace'em, a on powiedział, że może pomóc dowieść, że Dig Chancellor miał na Jameya zgubny wpływ. Poprosił mnie także, żebym w pełni z panem współpracowała, więc chyba powinnam.

- Nie zrobiłbym nic, żeby zaszkodzić Jameyowi, jeśli tego się pani boi.

- Teraz, kiedy się poznaliśmy, wiem, że to prawda. Dzwonił do pana, kiedy cierpiał, więc musi pan być znaczącą osobą w jego życiu.

Przyłożyła dłoń do ust i przygryzła opuszkę jednego palca. Czekałem.

- Miałam sukienkę - zaczęła - wieczorową sukienkę z lawendowego jedwabiu. Któregoś dnia szukałam jej w szafie, ale zniknęła. Pytałam o nią pokojówkę, sprawdzałam w pralni. Z kwitów wynikało, że została odebrana, ale nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Wtedy bardzo się zdenerwowałam, ale w końcu o tym zapomniałam. Potem, któregoś wieczoru, kiedy Dwighta nie było w mieście, a ja czytałam w łóżku, usłyszałam trzask drzwi samochodu i śmiech za domem. W mojej sypialni jest balkon wychodzący na ulicę. Z niego zobaczyłam Diga i młodą dziewczynę, co wydało mi się zupełnie bez sensu. Zaparkował samochód na tylnym podjeździe i siedział w środku z włączonym silnikiem. Wiedziałam, że to Dig, bo to był kabriolet z opuszczonym dachem, mały klasyczny thunderbird, a lampa nad garażem świeciła Digowi prosto na twarz. Dziewczyna, tania, tleniona blondynka, obwieszona sztuczną biżuterią i ubrana w moją sukienkę, stała przy drzwiach pasażera, jakby właśnie wysiadła. Była wyższa ode mnie i na niej sukienka wyglądała jak mini. Wściekłam się, że Jamey ją ukradł i dał jakiejś taniej małej dziwce. To takie podłe. Stałam na balkonie, patrzyłam, jak się śmieją i rozmawiają, a wtedy dziewczyna się nachyliła i się pocałowali.

Przestała mówić. Szybkim ruchem podniosła papierosa, którego poprzednio odłożyła, wcisnęła go do ust i złapała zapalniczkę, zanim ja zdążyłem to zrobić. Ręce się jej trzęsły i dopiero po kilku

próbach udało się jej zapalić. Rzuciła zapalniczkę na stół i zaciągnęła się łapczywie, przytrzymując dym w płucach, zanim go wypuściła. Przez siwą chmurę zobaczyłem, że oczy ma pełne łez. Pozwoliła, by się wylały, i woda spłynęła po jej policzkach krętymi strumyczkami.

- Pocałowali się jeszcze raz - powiedziała ochrypłym głosem. - Potem dziewczyna się odsunęła i spojrzała w światło. Wtedy zobaczyłam, że to

wcale nie dziewczyna. To był Jamey, w peruce, na wysokich obcasach i w mojej lawendowej sukience. Wyglądał groteskowo, ohydnie, jak ze złego snu. Niedobrze mi nawet, kiedy o tym mówię.

Jakby chcąc to zobrazować, dostała krótkiego napadu kaszlu. Rozejrzałem się za pudełkiem chusteczek; stało na małym stoliku obok fortepianu. Wyjąłem z niego chusteczkę i podałem Heather.

- Dziękuję. - Pociągnęła nosem, wycierając oczy. - To okropne, myślałam, że już się wypłakałam.

Poklepałem ją po dłoni, powiedziałem, że nic się nie stało. Minęła chwila, zanim mogła mówić dalej, a kiedy zaczęła, głos miała słaby.

- Przerazona, nie spałam całą noc. Czułam obrzydzenie. Następnego dnia Jamey spakował walizki i wyprowadził się do Diga. Kiedy pojechał, pobiegłam do domku gościnnego szukać sukienki, chciałam ją podrzeć na strzępy i spalić. Jakbym mogła w ten sposób zniszczyć to wspomnienie... Ale jej tam nie było. Zabrał ją ze sobą. Jakby to była... ślubna wyprawa.

- Rozmawiała pani z nim o tej kradzieży?

- Nie. Co by to dało?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

- Kiedy to się stało? - spytałem.

- Ponad rok temu.

Zanim zaczął działać Lawendowy Rzeźnik. Heather czytała mi w myślach.

- Niedługo potem zaczęły się te morderstwa. Nigdy tego nie skojarzyłam. Ale kiedy znaleźli go w domu Diga i dowiedziałam się, o co go oskarżają, uderzyło mnie to jak cios pięścią. Myśl, że moja sukienka była używana w ten sposób...

Umilkła i odłożyła papierosa do popielniczki, nie gasząc go.

- Horace mówi, że transwestytyzm mógłby wzmocnić wrażenie po ważnego zaburzenia umysłowego. Uważa też za istotny fakt, że sukienka została zabrana do Diga: ma to udowodnić, że morderstwa były popełniane tam i że to Dig wszystko planował. Ale chciał usłyszeć, co pan ma do powiedzenia.

Wszystko to bladło przy fakcie najważniejszym: że Heather ujawniła właśnie kolejny fakt łączący Jameya - a wraz z nim Chancellora - z Lawendowym Rzeźnikiem. Przystawałem rozumieć logikę Souzy.

- Niepotrzebnie to powiedziałam, doktorze?
- Nie, ale na razie nie ciągnąłbym tego tematu.
- Miałam nadzieję, że tak pan powie. - Uśmiechnęła się z ulgą.

Odłożyłem notes i wstałem. Wymieniliśmy uprzejmości i ruszyliśmy do wyjścia. Heather wzięła się w garść i znów była uprzejmą gospodynią. Jeszcze raz zwróciłem uwagę na rzeźby na kominku i podszedłem im się przyjrzeć. Podniosłem jedną z głów - pół żabi, pół ludzki wizerunek zwieńczony hełmem z pióropuszem - i przyjrzałem się jej. Była solidna i zwarta, prymitywnie przedstawiona, ale emanująca ponadczasowością.

- Z Meksyku?
- Z Ameryki Środkowej.
- Zdobyła je pani podczas pracy w terenie?

Rozbawiło ją to.

- Skąd pomysł, że pracowałam kiedykolwiek w terenie?
- Pan Souza mówił, że jest pani antropologiem. Włada pani doskonale hiszpańskim. Zabawiłem się w detektywa i odgadłem, że studiowała pani kulturę latynoską.
- Horace przesadzał. Zrobiłam magisterium z antropologii, bo nie wiedziałam, co innego ze sobą zrobić.
- Kulturowej czy fizycznej?

- Trochę tego, trochę tego. Kiedy poznałam Dwighta, wszystko to zeszło na boczny tor. Bez żalu. Prowadzenie domu to to, co naprawdę chcę robić.

Wyczułem, że pragnie potwierdzenia.

- To poważne zadanie - przyznałem.
- Cieszę się, że ktoś to docenia. Dom to wszystko. Większość dzieci w ośrodku nie miała nigdy domu. Gdyby miały, nie wpadłyby w kłopoty.

Wygłosiła to z fałszywym przekonaniem zrodzonym z rozpacz. Nie dostrzegła najwyraźniej ironii. Zachowałem swoje myśli dla siebie i uśmiechnąłem się współczująco.

- Nie - powiedziała, patrząc na rzeźbę w mojej dłoni. - Dostałam je, kiedy byłam mała. Mój ojciec pracował w dyplomacji w Ameryce Łacińskiej i tam się wychowywałam. Do wieku dwunastu lat byłam całkowicie dwujęzyczna. Mój hiszpański może się wydawać płynny, ale tak naprawdę mocno zardzewiał.

Odstawiłem kamień na kominek.

- Może wyjdzie pan też bocznymi drzwiami? Te sępy wciąż tam są.

Wróciliśmy drogą, którą wszedłem, przez kuchnię. Zwalisty strażnik siedział przy stole, czytając „Enquirer”. Kiedy zobaczył Heather, wstał.

- Proszę pani - przywitał się.

Zignorowała go i odprowadziła mnie do drzwi. Z bliska pachniała wodą z mydłem. Uścisnęliśmy sobie dłonie, a ja podziękowałem jej za poświęcony mi czas.

- To ja panu dziękuję, doktorze. I proszę mi wybaczyć mój brak opanowania. Wie pan... - Uśmiechnęła się, opierając rękę na wąskim biodrze. - Bałam się pana wizyty, ale teraz, kiedy porozmawialiśmy, czuję się lepiej.

- Cieszę się.

- Naprawdę, o wiele lepiej. Czy przydałam się na coś, jeśli chodzi o pomoc Jameyowi?

- Oczywiście - skłamałem. - Przydaje się wszystko, czego się dowiem.

- To dobrze. - Podeszła bliżej, jakby chciała zdradzić jakiś sekret. - Wiem, że zrobił coś strasznego i nie powinien wyjść na wolność. Ale chcemy umieścić go tam, gdzie będzie bezpieczny i pod opieką. Proszę, doktorze Delaware, niech pan nam pomoże tam go wysłać.

Uśmiechnąłem się, wymamrotałem coś, co można było mylnie wziąć za zgodę, i wyszedłem.

Wróciłem do domu o siódmej i odebrałem wiadomość od Sarity Flowers, przysланą dwie godziny wcześniej: „Jeśli wciąż chcesz, możesz spotkać się z członkami Projektu 160 o ósmej następnego ranka. Proszę, potwierdź”.

Zadzwoiłem do centrum wiadomości wydziału psychologii i zrobiłem to. Robin przyjechała o siódmej czterdzieści i razem zjedliśmy na kolację resztki z poprzedniego dnia. Potem wyszliśmy na taras z koszem owoców i pogryzaliśmy je, patrząc na gwiazdy. Wczesnie poszliśmy do łóżka.

Następnego dnia wstałem o szóstej, a do kampusu ruszyłem godzinę później. Na schodach gmachu psychologii siedziało stado gołębi. Gruchały, dziobały i paskudziły na beton, nieświadome niebezpieczeństw: laboratoriów w podziemiach, pełnych skinnerowskich klatek. Gołębiego więzienia o zastrzonym rygorze.

Drzwi do gabinetu Sarity były zamknięte. Karen usłyszała moje pukanie i wyszła zza rogu.

Zmarszczyła brwi i podała mi spięte zszywaczem dwie kartki papieru.

- Doktor Flowers nie będzie panu potrzebna, prawda?

- Nie. Tylko studenci.

- To dobrze. Bo jest zajęta pracą.

Pojechaliśmy windą dwa piętra wyżej do sali grupowej. Karen otworzyła drzwi, zawróciła na pięcie i poszła.

Rozejrzałem się. Przez pięć lat nic się tu nie zmieniło: zobaczyłem te same jadowicie zielone ściany, oblepione skorupą plakatów i komiksów; identyczne, wygniecione tanie kanapy i laminowane stoliki. Jedną ścianę zajmowały dwa wysokie, zakurzone okna o zbrojonych szybach. Za nimi, wiedziałem, rozciągał się widok na rampę załadunkową gmachu chemii, splacniętą oleistego asfaltu, na którym podałem kiedyś Jameyowi jego buty i pozwoliłem wyrzucić się z jego życia.

Usiadłem na jednej z kanap i przejrzałem zszyte papiery. Z charakterystyczną dokładnością Sarita przygotowała podsumowanie osiągnięć swoich podopiecznych.

Notatka

Do: doktor A. Delaware: Od: doktor S. Flowers, kierownik Temat: Osiągnięcia uczestników Projektu 160 Wstęp: Jak wiesz, Alex, jesienią 1982 roku do projektu przyjęto sześcioro dzieci w wieku między dziesięć a czternaście lat. Wszystkie oprócz Jameya brały w nim udział do lata 1986, kiedy Gary Yamaguchi odszedł, by zostać artystą. Gary miał wtedy osiemnaście lat i ukończył trzy lata studiów psychologii na UCLA. Podczas ostatniej oceny osiągnął wynik IQ 157 w teście Stanforda-Bineta, a jego umiejętności werbalne/rachunkowe mieściły się na poziomie habilitacyjnym. Wysiłki podjęte w celu skontaktowania się z nim i ściągnięcia go na dzisiejsze spotkanie spełzły na niczym. Nie ma telefonu i nie odpowiedział na kartkę pocztową, wysłaną na jego ostatni znany adres. Będziesz rozmawiał z następującymi uczestnikami:

1. Felicia Blocker: ma teraz piętnaście lat, jest na ostatnim roku UCLA i pod koniec roku spodziewa się obronić pracę magisterską z matematyki. Została przyjęta na studia doktoranckie na licznych uniwersytetach i skłania się ku Princeton. W zeszłym roku otrzymała nagrodę Hawleya-Deckmana dla studentów za osiągnięcia matematyczne. Ostatni wynik Stanforda-Bineta: 188. Umiejętności werbalne na poziomie habilitacyjnym, rachunkowe wykraczające poza wszystkie znane skale.

2. David Krohnglass: ma teraz dziewiętnaście lat i jest magistrem fizyki oraz fizykochemii na Cal Tech. Był wśród dziesiątki najlepszych w skali kraju na teście wstępnym do akademii medycznych. Od przyszłej jesieni zamierza podjąć studia doktoranckie na Uniwersytecie w Chicago. Ostatni wynik IQ: 177. Umiejętności werbalne na poziomie habilitacyjnym, rachunkowe wykraczające poza wszystkie znane skale.

3. Jennifer Leavitt: ma teraz siedemnaście lat i jest studentką pierwszego roku psychobiologii

na UCLA. Opublikowała trzy artykuły w pismach z pracami przeglądowymi, dwa jako jedyna autorka. Po zrobieniu doktoratu zamierza iść na studia medyczne i wykazuje zainteresowanie psychiatrią. Ostatni wynik IQ: 169. Umiejętności werbalne i rachunkowe na poziomie habilitacyjnym.

4. Joshua Marciano: ma teraz osiemnaście lat i kończy studia na UCLA, będzie bronił dyplomy z nauk politycznych i rosyjskiego. Napisał program komputerowy, który przeprowadza symultaniczne analizy trendów w zmianach wzdłużnych gospodarki, stanu zdrowia na świecie i stosunków międzynarodowych, i negocjuje jego sprzedaż Bankowi Światowemu. Został przyjęty na liczne studia doktoranckie i zamierza zrobić rok przerwy, żeby odbyć staż w Departamencie Stanu, a potem rozpocząć naukę w Szkole Stosunków Międzynarodowych Kennedy'ego na Harvardzie, gdzie będzie pisał doktorat, a potem starał się otrzymać stopień naukowy z prawa. Ostatni wynik IQ: 181. Umiejętności werbalne i rachunkowe na poziomie habilitacyjnym.

Było to streszczenie imponujące, nadawało się na załącznik wniosku o grant i, biorąc pod uwagę cel mojej wizyty, bardzo szczegółowe, nawet jak na Saritę. Ale prawdziwy przekaz notatki wyzierał spomiędzy wierszy: Jamey był trefny, Alex. Zobacz, co zrobiłam z pozostałych.

Drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch młodych mężczyzn.

David, którego pamiętałem jako niewielkiego i pulchnego, zamienił się w futbolowego obrońcę: metr dziewięćdziesiąt wzrostu, jakieś sto dziesięć kilo wagi - niemal same mięśnie. Rude włosy miał obcięte modnie - krótko na górze, z długim, tlenionym kosmykiem na karku - a na twarzy wyhodował zarost, opadające wąsy i bródkę. Nosił okrągłe okulary bez oprawek, workowate spodnie w kolorze khaki, czarne adidas z zieloną fluorescencyjną obwódką i kraciastą koszulę z zaprasowanym kołnierzem, rozpiętą pod szyją, do niej zaś skórzany krawat, kończący się kilkanaście centymetrów nad paskiem. Jego dłoń ścisnęła moją jak imadło.

- Dzień dobry, doktorze D.

Josh wyrósł na chudego chłopaka średniego wzrostu, a jego urok idola nastolatka powoli stawał się zdecydowanie męski: lśniące czarne loki, porządnie przystrzyżone, falbany grubych rzęs nad dużymi, ciemnymi oczami, kwadratowy, mocny podbródek z dołkiem idealnie pośrodku, skóra - zdawałoby się - pozbawiona porów. Był ubrany jak chłopiec: flanelowe spodnie z mankietami, brudne zamszowe pantofle, kołnierzyk koszuli wystający spod bordowego swetra. Zapamiętałem go jako jedną z tych szczęśliwych istot, które los obdarzył urodą, inteligencją i urokiem, a do tego pozbawionych chyba jakiegokolwiek niewiary w siebie; tego ranka jednak wyglądał na spiętego.

Zmusił się do uśmiechu.

- Świetnie znów pana widzieć. - Uśmiech zbladł. - Szkoda, że w takich okolicznościach.

David przytaknął.

- To niepojęte.

Poprosiłem, żeby usiedli, a oni opadli na kanapę naprzeciwko.

- To rzeczywiście niepojęte. Mam nadzieję, że pomożecie mi to jakoś zrozumieć.

Josh zmarszczył brwi.

- Kiedy doktor Flowers powiedziała nam, że chce pan się z nami spotkać, żeby dowiedzieć się więcej o Jameyu, uświadomiliśmy sobie, jak mało my sami o nim wiemy, jak bardzo dystansował się od reszty grupy.

- To było coś więcej niż dystans - dodał David, osuwając się niżej i rozprostowując nogi. - On nas wykluczał. Bardzo jasno dał do zrozumienia, że nie lubi ludzi w ogóle, a nas w szczególności. - Przyglądził wąsy i się nachmurzył. - Co nie znaczy, że nie chcemy mu pomóc, tyle tylko, że jesteśmy pewnie kiepskim źródłem informacji.

- Tylko Gary z nim rozmawiał - uściślił Josh - a nawet on rzadko.

- Szkoda, że Gary'ego tu nie będzie - powiedziałem.

- Zniknął już jakiś czas temu - zauważył David.

- Domyślcie się, gdzie mógłbym go znaleźć?

Popatrzyli po sobie ze skrępowaniem.

- Wyprowadził się w zeszłe lato od rodziców. Ostatni raz słyszeliśmy o nim, że włóczy się po śródmieściu.

- Doktor Flowers mówiła, że zainteresował się sztuką. Niezła zmiana, co?

- Nie poznałby go pan - powiedział Josh.

Pamiętałem Gary'ego jako porządnego chłopaka, Sansei,[Używane w Ameryce określenie amerykańskiego Japończyka w trzecim pokoleniu. Issei to Japończyk, który przyjechał do USA przed II wojną światową. Potomek Issei to Nisei, potomek Nisei to Sansei (przyp. tłum.)] perfekcjonistę, pasjonującego się inżynierią i miejskim planowaniem. Jego hobby było tworzenie drobiazgowo określonych megalopolis, a Sarita po cichu przezywała go Małym Buckym Fullerem. Byłem ciekaw, jak go zmienił czas, ale zanim zdążyłem zapytać o to Josha, drzwi się otworzyły i do środka weszła niska dziewczynka o kręconych włosach. W jednym ręku trzymała dużą, tekstylną torebkę, w drugim sweter, i wyglądała na zagubioną. Z wahaniem wbiła wzrok w podłogę, a potem niepewnie ruszyła w moją stronę. Wstałem i wyszedłem jej naprzeciw.

- Dzień dobry, doktorze Delaware - powiedziała nieśmiało.

- Cześć, Felicia. Co u ciebie?

- Wszystko dobrze - odparła śpiewnie. - A u pana?

- Doskonale. Dziękuję, że przyszedłeś.

Uświadomiłem sobie, że zniżam głos i mówię łagodnie, jak do przestraszonego dziecka - bo tak właśnie wyglądała.

Usiadła z boku, z dala od chłopców. Zarzuciła torebkę na kolana, podrapała się w brodę i przyjrzała butom. Potem zaczęła nerwowo wykręcać palce.

Była najmłodszym i najbardziej nad wiek rozwiniętym uczestnikiem projektu, jedynym, który przypominał stereotyp geniusza. Mała, o rozmarzonym spojrzeniu i lękliwa, przebywała w nierzeczywistym świecie liczbowych abstrakcji. W przeciwieństwie do Josha czy Davida niewiele się zmieniła. Odrobinę urosła - może do metra pięćdziesięciu - pojawiły się też zapowiedzi dojrzałości fizycznej: dwa pełne nadziei pączki pod białą bawełną bluzki, czoło zsypane pryszczami. Poza tym jednak wciąż wyglądała jak dziecko - bladą twarz miała szeroką i niewinną, na zadartym nosku okulary o grubych szklach, przez które jej oczy wyglądały jak oddalone o wiele kilometrów. Kręcone ciemne włosy uczesała zupełnie bezstylowo, związała je w kucyk, a krótkie ręce i nogi wciąż obłożone były warstwami dziecięcego tłuszczu. Zastanawiałem się, co nastąpi u niej pierwsze - obrona doktoratu czy zakończenie procesu dojrzewania.

Próbowałem spojrzeć jej w oczy, ale zdążyła już wyjąć zeszyt i wściubić w niego nos. Tak jak Jamey była samotniczką, ale podczas gdy jego izolacja wynikała z gniewu i rozgoryczenia, u niej brała się z bezustannej

aktywności umysłowej. Była bardzo miła i uczynna, a chociaż jej wysiłki towarzyskie na ogół niweczyła skłonność do odpływania w teoretyczne rozważania, rozpaczliwie pragnęła nawiązywać nowe kontakty.

- Rozmawialiśmy właśnie o Garym - zagadnąłem ją.

Podniosła wzrok, jakby zastanawiała się, co powiedzieć, a potem wróciła do czytania. Chłopcy zaczęli rozmawiać ze sobą przyciszonymi głosami.

Spojrzałem na zegarek. Dziesięć po ósmej.

- Zaczekamy jeszcze kilka minut na Jennifer, a potem zaczynamy.

Josh przeprosił i poszedł zadzwonić, a David wstał i zaczął chodzić w kółko po sali, pstrykając palcami i fałszywie nucąc. Minutę później przyszedła Jennifer, zdyszana i skruszona.

- Cześć, Alex! - zawołała. Podbiegła i cmoknęła mnie w policzek.

- Dzień dobry, Jen.

Odsunęła się i zmierzyła mnie wzrokiem.

- Wyglądasz dokładnie tak samo!

- Ty nie. - Uśmiechnąłem się.

Obciąła swoje długie włosy na chłopczycę i rozjaśniła je z myszatyh na złote. Z uszu zwisały jej ciężkie plastikowe kolczyki, obramowujące psotną twarz o wystających kościach policzkowych. Miała na sobie luźną, błękitną bluzkę z niesymetrycznie wyciętym dekoltem, odsłaniającym jedno nagie ramię, udrapowaną jak poncho, i obcisłą, dzinsową mini; długie, smukłe nogi zwęzały się do plastikowych sandałów na wysokim, grubym obcasie. Centymetrowej długości paznokcie pomalowała na lśniący róż, paznokcie u stóp tak samo, a jej cera miała kolor kawy z dużą ilością śmietany. Na pierwszy rzut oka - jeszcze jedna kalifornijska dziewczyna z centrum handlowego z obsesją na punkcie mody.

- Mam nadzieję - odparła i usiadła na składanym krześle. Rozejrzała się dookoła. -No, przynajmniej nie jestem ostatnia.

- Tak ci się tylko wydaje. - David wyszczerzył się wesoło i poszedł po Josha.

- Przepraszam - powiedziała, udając, że się kuli ze wstydu. - Oceniałam prace studentów i utknęłam na jednej, która była nieczytelna.

- Nie przejmuj się.

Chłopcy wrócili. Po sali zaczęły przelatywać salwy nerwowych rozmów, potem zapadła cisza. Popatrzyłem na młode, poważne twarze.

- Świetnie znów was wszystkich widzieć. Doktor Flowers opisała mi, czym się zajmowaliście, i robi to ogromne wrażenie.

Obowiązkowe uśmiechy. Do rzeczy, Alex.

- Jestem tu, ponieważ poproszono mnie o uczestnictwo w obronie Jameya, a moim zadaniem jest zgromadzić informacje o jego stanie umysłowym. Z wami spędzał najwięcej czasu przez cztery z ostatnich pięciu lat, i pomyślałem, że może pamiętacie coś, co rzuciłoby jakieś światło na jego załamanie. Zanim jednak do tego przejdziemy, powiem wam, że wiem, jakie to wszystko musi być dla was przykre. Jeśli więc ktoś chciałby na ten temat coś powiedzieć, proszę bardzo.

Cisza trwała dalej. Zaskakująco to Felicia ją przerwała.

- Myślę, że to oczywiste - odezwała się prawie szeptem - że wszyscy jesteśmy bardzo wzburzeni tym, co się stało, i to w kilku aspektach.

Współodczuwamy... współczujemy Jameyowi, ale jednocześnie przeraża nas fakt, że spędziliśmy z nim cztery lata. Czy przez ten czas byliśmy w niebezpieczeństwie? Czy można było przedsięwziąć jakieś środki, by zapobiec temu, co się stało? Czy my, jako jego koledzy, mogliśmy coś zrobić? A na koniec kwestia bardziej egocentryczna: jego zbrodnie spowodowały ryzyko złej reklamy projektu i grożą zburzeniem porządku naszego życia. Nie wiem jak was, ale mnie bez przerwy nachodzą reporterzy.

Josh pokręcił głową.

- Mam zastrzeżony numer domowy.

- Ja też - powiedziała Jennifer. - Do laboratorium doktora Austerliza parę razy ktoś dzwonił, ale dowiadywał się, że wyjechałam z kraju.

- Mój numer jest w książce i przez trzy dni z rzędu do mnie wydzwaniali. Głównie tabloidy, i to te najgorsze. Mówienie „nie” nic nie dawało, dzwoniли dalej, więc zacząłem odpowiadać im po łacinie, i to poskutkowało. Sama spróbuj następnym razem - poradził David Felicii.

Zachichotała nerwowo.

- Bardzo ładnie to wszystko ujęłaś - pochwaliłem ją. - Możemy przedyskutować wszystkie albo wybrane sprawy z tych, które poruszyłaś. Jak wolicie?

Wzruszenia ramionami i wzrok w podłogę. Ale ja nie zamierzałem poddać się tak łatwo.

Byli geniuszami, lecz także niedojrzałymi nastolatkami, opętanymi narcyzmem i przekonaniem o własnej nieśmiertelności, typowym dla ludzi w tym wieku. Bez przerwy przypominano im o ich zdolnościach, powtarzano, że potrafią poradzić sobie ze wszystkim, co może ich w życiu spotkać. A teraz zdarzyło się coś, co zburzyło owo poczucie wszechmocy. To musiało być traumatyczne przeżycie.

- Cóż, w takim razie zacznę od tego: czy ktokolwiek z was ma wraże nie, że mógł jakoś zapobiec temu, co się stało z Jameyem, a jeśli tak, czy macie poczucie winy?

- To nie do końca poczucie winy - odparła Jennifer - ale zastanawiam się, czy mogłam zrobić coś więcej.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. Jestem pewna, że to ja zauważyłam pierwsza, że coś jest nie tak. Może mogłam zareagować szybciej i szybciej zapewnić mu pomoc.

Nikt jej nie zaprzeczył.

- Zawsze mnie fascynował - wyjaśniła - bo był tak zamknięty w sobie, niezależny od innych, a przy tym tak wyraźnie nieszczęśliwy w głębi ducha. Kilka razy próbowałam z nim rozmawiać, ale mnie odpędzał, i to po chamsku. Z początku czułam się urażona, potem jednak zapragnęłam go zrozumieć. Dlatego szukałam w książkach o psychologii anormalnej czegoś, co by odpowiadało jego wzorcom zachowania. Najbardziej pasowała osobowość schizoidalna. Tacy ludzie nie potrafią nawiązywać stosunków, ale to im nie przeszkadza. To ludzkie wyspy. Pierwsi psychoanalitycy uważali ich za podatnych na schizofrenię, a chociaż późniejsze badania

wykazały, że większość z nich nie zostaje psychotykami, wciąż są uważa ni za wrażliwych. - Przerwała, zawstydzona. - Nie muszę ci tego mówić.

- Mów dalej, proszę. Wahanie.

- Naprawdę, Jen.

- Dobrze. Zaczęłam go obserwować, wypatrywać oznak psychozy, ale tak naprawdę nie spodziewając się, że je znajdę. Dlatego, kiedy zaczął przejawiać objawy, byłam w szoku.

- Kiedy to było?

- Kilka miesięcy przed tym, jak doktor Flowers kazała mu zrezygnować. Wcześniej był okres, kiedy Jamey wydawał się jeszcze bardziej niedostępny niż zwykle, a ja wiedziałam już wtedy, że to może być zachowanie psychotyczne, ale pierwszy raz zobaczyłam, że robi coś wyjątkowo dziwnego, jakieś trzy, cztery miesiące przed jego odejściem. We wtorek. Tego jestem pewna, bo miałam wolny dzień i uczyłam się w czytelnicy. Było późne popołudnie i byłam tam sama. Jamey wszedł, poszedł do kąta, stanął twarzą do ściany i zaczął coś mamrotać. Coraz głośniej, aż zrozumiałam, że ma paranoję, że kłóci się z kimś, kogo tam nie ma.

- Pamiętasz, co mówił?

- Był zły na tego nieistniejącego kogoś, oskarżał go, czyją, że próbuje go skrzywdzić, że tworzy krwawe kity. W pierwszej chwili myślałam, że powiedział coś innego, powtórzył to jednak jeszcze kilka razy. Kity. Używał też dużo słowa „smród”: ten ktoś był pełen smrodu; ziemia była pełna smrodu. To było fascynujące i chciałam zostać, posłuchać, ale przestraszyłam się, więc wyszłam stamtąd. Nie zwrócił na mnie uwagi. Nie sądzę, żeby w ogóle był świadomy mojej obecności.

- Czy w jego halucynacjach było coś o zombi albo szklanych kanionach?

Jennifer zabębniła palcami po kolanie i się zamyśliła.

- „Szklane kaniony” brzmi znajomo. - Jeszcze chwilę się zastanawiała. - Tak, zdecydowanie. Pamiętam, jak wtedy pomyślałam, że to brzmi bardziej jak poezja niż halucynacje. Pewnie dlatego z początku nie zwróciłam na to uwagi. Skąd o tym wiedziałeś, Alex?

- Jamey dzwonił do mnie w noc, kiedy uciekł. Miał omamy i używał sformułowań identycznych z tymi, które właśnie wymieniłaś. Mówił o szklanym kanionie, z którego musiał uciec. Przedwczoraj byłem u niego w więzieniu i kilka razy powiedział „szkło”.

- Jak wyglądał? - spytał Josh.

- Nie za dobrze.

- A więc wychodzi na to, że treść jego halucynacji jest mniej więcej stała - stwierdziła Jennifer.

- Częściowo.

- Czy to by nie mogło oznaczać, że halucynacje wynikają z jakiegoś wewnętrznego konfliktu?

Według doktora medycyny Guya Mainwaringa nie.

- To możliwe - odparłem. - Czy ktoś z was wie coś o jakimś wydarzeniu w jego życiu, które mogłoby mieć jakiś związek z kitami albo smrodem?

Nic.

- A zombi albo szklane kaniony?

Pokręcili głowami.

- Ja widziałam, jak mówił do siebie - powiedziała Felicia - ale nigdy nie podeszłam na tyle blisko, żeby słyszeć co. Bałam się go, więc jak tylko widziałam, że idzie, od razu uciekałam. Raz zauważyłam, że płakał.

Objęła się ramionami i wbiła wzrok w kolana.

- Czy któreś z was wspominało o tych rzeczach doktor Flowers?

- Nie od razu. To mi właśnie nie daje spokoju; trzeba było powiedzieć - przyznała Jennifer. - Ale kiedy zobaczyłam go dwa dni później, wydawał się normalniejszy. Nawet się przywitał. Więc pomyślałam, że to mógł być jednorazowy wyskok, może po narkotykach. Jednak kilka dni potem to się powtórzyło: miał halucynacje i się ekscytował. Wtedy poszłam prosto do doktor Sarity, ale nie było jej w mieście. Nie wiedziałam,

do kogo się zwrócić, nie chciałam, żeby Jamey miał kłopoty, więc zaczekałam i powiedziałam jej po weekendzie. Podziękowała mi, zapewniła, że wie o jego problemach i że powinnam trzymać się od niego z daleka. Chciałam z nią o tym porozmawiać, ale zbyła mnie, co wtedy wydało mi się dość bezduszne. Później zrozumiałam, że chodziło jej o poufność.

- Ja chciałem z nią porozmawiać, ale tego nie zrobiłem. Kilka razy. Wiedziałem, że coś jest nie tak, i teraz widzę, że trzeba było coś powiedzieć, ale Jamey miał już kłopoty z powodu opuszczania zajęć i pomyślałem, że mogę tylko pogorszyć jego sytuację. - Josh przerwał i odwrócił wzrok. - Teraz widzę, że to brzmi jak niska wymówka, ale tak wtedy rozumowałem.

- Moja kolej - włączył się David. - Nigdy nic nie widziałem, zawsze się go bałem. Dlatego robiłem, co mogłem, żeby go unikać. Pierwszy raz coś zauważyłem, kiedy odbiło mu na zajęciach grupowych.

- To było okropne - powiedziała Jennifer, a pozostali pokiwali głowami. - To, jak wrzeszczał, zrobił się cały czerwony, to, jak wyglądały jego oczy. Nie powinniśmy byli pozwolić, żeby to zaszło tak daleko.

Atmosfera w sali zrobiła się ponura. Ostrożnie dobieierałem słowa, wiedząc, że właściwe podejście powinno odwoływać się do ich intelektów tak samo, jak do uczuć.

- Prawie wszyscy, z którymi o tej sprawie rozmawiam, mają poczucie winy. Nieusprawiedliwione. Człowiek się rozpada, a nikt nie wie dlaczego. Z naukowego punktu widzenia psychoza to wciąż olbrzymia, tragiczna czarna dziura, a nic nie sprawia bardziej, że ludzie czują się bezradni, niż tragedia bez wyjścia. Wszyscy chcemy kontrolować swój los, a gdy dochodzi do czegoś, co pozbawia nas tego poczucia kontroli, szukamy odpowiedzi, znaczenia: bicujemy się różnymi „mogłem” i „powinienem być”. Prawda jest natomiast taka, że Jamey nie zwariował przez to, co zrobiliście bądź nie. Nie miało też znaczenia, czy powiedzielibyście o tym doktor Flowers, czy nie, bo schizofrenia tak nie działa. - I powtórzyłem zapewnienie, które pocieszyło Heather Cadmus poprzedniego dnia.

Słuchali i przetrawiali, cztery nadludzkie systemy przetwarzania danych.

- OK. Brzmi rozsądnie - podsumował David.

- Rozumiem, co pan mówi, ale nie czuję się wcale lepiej - wyznała Felicia. - Chyba chwilę potrwa, zanim przyswoję te informacje emocjonalnie.

- Możemy przejść do czegoś innego? - spytała Jennifer, przyglądając się swoim paznokciom.

Nikt nie zaprotestował, więc się zgodziłem.

- Chodzi mi to po głowie już od jakiegoś czasu - podjęła. - Po jego aresztowaniu poszłam do biblioteki i przeczytałam wszystko, co mogłam, o seryjnych mordercach. To zaskakująco skromna literatura, ale to, co znalazłam, wskazywało, że tego typu morderstwa popełniają sadystyczni psychopaci, a nie schizofrenicy. Wiem, że według niektórych autorytetów socjopaci to w rzeczywistości ukryci psychotycy... Cleckley napisał, że noszą maskę normalności... ale oni z reguły nie dekompensują się i nie popadają w psychozę, prawda?

- Zazwyczaj nie.

- A więc to się nie trzyma kupy.

- Może popełnił te morderstwa, zanim się zdekompensował - zasugerował Josh.

- Nie ma takiej możliwości - odparła Jennifer. - Morderstwa zaczęły się około pół roku po tym, jak odszedł z projektu, a wtedy już było z nim źle. Dwa ostatnie popełniono już po tym, jak uciekł ze szpitala. Chyba że, oczywiście, miał jakiś nawrót.

Spojrzała na mnie wyczekująco.

- Miał kolejne nawroty i remisje - powiedziałem. - Część tego opisałaś: jednego dnia zdeorientowany paranoik, dwa dni później mówi „cześć”. Ale twoje spostrzeżenie, że psychotycy rzadko, o ile w ogóle, stają się psychopatami, jest słuszne. Nigdy nie zaobserwowałem u niego

skłonności sadystycznych ani psychopatycznych ani ja, ani nikt, z kim do tej pory rozmawiałem. A ktoś z was?

- Nie. Był aspołeczny i chamski, ale nie miał w sobie nic okrutnego. Jeśli już, to miał nadmiernie rozwinięte sumienie - stwierdził Josh.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo kiedy powiedział albo zrobił coś niemiłego, zawsze się zasepiał. Nie przeproszał, ale widać było, że jest zdenerwowany.

- Nie przepadał za samym sobą. Życie mu chyba ciążyło - odezwała się Felicia.

Chłopcy pokiwali głowami, a Jennifer zaczęła się niecierpliwie wiercić.

- Wróćmy do tematu - zaproponowała. - Wydaje się oczywiste, że między jego diagnozą a tym, o co jest oskarżony, jest duża rozbieżność. Czy ktokolwiek potraktował poważnie możliwość, że to nie Jamey zabił tych ludzi? Czy może to jedna z tych spraw, kiedy wybiera się kozła ofiarnego?

Na jej twarzy odmalowało się oburzenie. I nadzieja, którą z żalem musiałem zabić.

- Mimo tych sprzeczności, Jen, dowody wskazują jednak, że był zamieszany w te morderstwa.

- Ale...

- Ja nie widzę żadnej sprzeczności - zaproponował David. - Co powiecie na taką hipotezę: był psychotykiem, a jego chłopak, Chancellor, psychopata, który wmanipulował go w zabijanie ludzi? I już po waszej rozbieżności.

Wyprostowałem się.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- To nie żadna genialna dedukcja. - Chłopak wzruszył ramionami. - Ten facet przyjeżdżał tu i zabierał Jameya. Był strasznie dziwny, ale miał na niego duży wpływ.

- Dziwny w jakim sensie?

- I z powierzchowności, i z zachowania. Był potężny, napakowany jak Schwarzenegger, i ubierał się jak bankier, ale włosy miał rozjaśnione i z trwałą, malował oczy i pudrował się, a do tego pachniał i poruszał się jak kobieta.

- Mówisz - wtrąciła Jennifer - że był gejem. Wielkie rzeczy.

- Nie - nie ustępował David. - Geje to jedno. To było coś więcej. On był... ostentacyjny. Teatralny. Wyrachowany. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale sprawiał wrażenie kogoś, kto lubi manipulować innymi. - Przerwał i popatrzył na mnie. - Ma to jakiś sens?

- Oczywiście. Dlaczego uważasz, że miał duży wpływ na Jameya?

- Dla każdego, kto ich widział razem, było jasne, że tam odchodził kult bohatera. Jamey nie lubił ludzi. Czajenie się i skradanie podniósł do rangi sztuki. Ale kiedy tylko pojawiał się Chancellor, rozchmurzał się i zaczynał trajkotać jak nakręcony.

- To prawda - przyznał Josh. - Zmiana była uderzająca. Poza tym, kiedy Jamey go poznał, zmienił całą swoją orientację intelektualną. Z poezji na finanse i gospodarkę, ot tak. - Pstryknął palcami.

- Chancellor wykorzystywał go nawet do prowadzenia badań - dodał David. - Jamey ślęczał nad książkami, do których przedtem nawet by się nie zbliżył.

- Jakimi książkami?

- Chyba o ekonomii. Nigdy dokładnie się nie przyglądałem. Mnie to nudzi.

- Spotkałem go raz w dziale „gospodarka” w bibliotece - wtrącił Josh. - Kiedy mnie zauważył, zamknął swoje książki i powiedział, że jest zajęty. Ale zobaczyłem, że kompilował wykresy i kolumny. Wyglądało to tak, jakby badał stopnie ryzyka akcji i obligacji.

- Ogłupiająca robota. - David się uśmiechnął. - Jeśli Chancellorowi udało się namówić go do tego, morderstwo to by była pestka.

- Głupie gadanie - warknęła Jennifer.

Brodaty chłopak zerknął na nią przepaszająco i wzruszył ramionami.

- Co sądzisz o teorii Davida, Jen? - spytałem.

- Chyba jest sensowna - odparła bez entuzjazmu. - Konceptyjnie mogłaby pasować.

Czekałem, czy powie coś więcej, ale zamilkła.

- Kilka minut temu wspomniałaś, że mógł być po narkotykach. Co lubił brać?

Do sali wpadł lodowaty powiew ciszy. Uśmiechnąłem się.

- Słuchajcie, nie interesuje mnie wasze prywatne życie.

- Nie o nasze życie chodzi - powiedział Josh. - Tylko o kogoś, kogo tu nie ma.

Chwilę trwało, zanim to przyswoiłem.

- Gary wpadł w narkotyki? - dociekałem.

- Już mówiłem, że by go pan nie poznał.

- Ostatniego lata bardzo się zmienił - dodała Jennifer. - To tutaj drażliwy temat.

- Dlaczego?

David zaśmiał się cynicznie.

- Z góry przyszła informacja, że wszelka dyskusja o panu Yamaguchim to zły PR. Dwóch popaprańców na sześć osób nie wróży dobrze sprawie odnowienia grantu.

- Nie interesuje mnie PR. Ani nękanie Gary'ego - zapewniłem. - Ale jeśli Jamey zaczął brać prochy, muszę o tym wiedzieć.

- Nie mamy dowodów - stwierdził Josh.

- Wystarczą umotywowane domysły.

- Mój jest taki - oznajmiła Jennifer. - Kiedy Gary postanowił przestać być grzecznym chłopcem, wpadł mocno w narkotyki: spid, kwas, koka, depresanty, metakwalon. Prawie cały ostatni rok spędził na haju. To był pierwszy bunt w jego życiu i przesadził, zupełnie jak świeży konwertyta; za każdym razem, kiedy się upalił, to było kosmiczne objawienie, wszyscy też koniecznie musieli spróbować. Jamey nie miał żadnych przyjaciół, ale Gary był mu najbliższy. Obaj byli outsiderami, a kiedy się nawzajem nie wyzywali, chowali się do kąta i szydzili z nas. Rozsądek pozwala założyć, że Gary wciągnął w coś Jameya.

Josh zrobił minę, jakby poczuł się niezręcznie.

- Co się stało? - spytałem.

- Widziałem coś, co by wskazywało, że byli ze sobą bliżej. Raz, kiedy Chancellor zabrał Jameya z biblioteki, pojawił się też Gary i pojechał z nimi. Następnego dnia podsłuchiłem, jak się śmiał, że Jamey jest chłopaczkiem z haremu Chancellor.

- Gary jest gejem? - spytałem.

- Nigdy tak nie uważałem, ale kto wie?

- Jak Jamey reagował na to, że Gary się z niego wyśmiewał?

- Robił tylko taką nieobecną, zdezorientowaną minę i nic nie mówił.

- Muszę porozmawiać z Garym - oświadczyłem. - Gdzie mogę go znaleźć?

Tym razem odpowiedź była bardziej otwarta.

- Widziałem go dwa miesiące temu - odparł David. - Sprzedawał trawkę na północnym kampusie. Został punkiem i był bardzo agresywny, przechwalał się, że jest wolny, a my harujemy jak niewolnicy dla doktor Flowers. Powiedział, że mieszka w lofcie w śródmieściu z paroma innymi artystami i że niedługo będzie miał wystawę w jednej z galerii.

- Jaką sztukę uprawiał?

Wszyscy wzruszyli ramionami.

- Nigdy nic nie widzieliśmy - powiedział David. - Pewnie uprawiał styl „szaty cesarza”.

- Alex - spytała Jennifer - uważa pan, że narkotyki mogły mieć coś wspólnego z załamaniem Jameya?

- Nie. Na tym etapie nie wiem dość, by cokolwiek uważać.

To było jawne wykręcanie się od odpowiedzi i nie zadowoliło jej. Mimo to nie naciskała. Niedługo potem zakończyłem spotkanie i podziękowałem im za ich czas. Felicia i chłopcy wyszli szybko, ale Jennifer została. Wyjęła pilnik i ostentacyjnie piłowała paznokcie.

- O co chodzi, Jen?

Odłożyła pilnik i spojrzała na mnie.

- To wszystko nie trzyma się kupy. Konceptyjnie.

- Co ci się nie zgadza?

- Cała teoria, że Jamey to seryjny morderca. Nie lubiłam go i wiem, że miał poważne problemy, ale on po prostu nie pasuje do takiego profilu.

Ludzkie zwierzę ma perwersyjną skłonność do opierania się próbom dopasowania go do zgrabnych opakowań w rodzaju psychologicznych profili. Nie powiedziałem jej tego; jeszcze kilka lat nauki i sama do tego dojdzie. Lecz pytania, które stawiała podczas dyskusji, wykraczały poza zwykłe teoretyzowanie i pokrywały się z moimi.

- A więc nie podoba ci się scenariusz Davida?

Pokręciła głową, a plastikowe kolczyki zakołysały się jak wahadélka.

- Że Jamey był manipulowany przez Chancellora? Nie. Jamey mógł go podziwiać, ale był indywidualistą, a nie kimś, kogo można zaprogramować. Po prostu nie wyobrażam go sobie jako pionka.

- A jeśli psychoza osłabiła jego indywidualność i sprawiła, że stał się bardziej podatny?

- To psychopaci żerują na ludziach o słabej woli, niskiej samoocenie i z zaburzeniami osobowości, prawda? A nie schizofrenicy. Jeśli Jamey jest psychotykiem, byłby zbyt nieprzewidywalny, by go zaprogramować, prawda?

Była inteligentna i zdeterminowana, a jej pytania przepelniał młodzieńczy gniew.

- Zadajesz dobre pytania - odparłem. - Żałuję, że nie umiem na nie odpowiedzieć.

- Och, nie. Wcale tego nie oczekuję. Psychologia jest nauką zbyt nieprecyzyjną, by udzielać prostych odpowiedzi.

- Denerwuje cię to?

- Czy denerwuje? To mnie właśnie w niej intryguje.

Karen spostrzegła, że idę w kierunku gabinetu Sarity, podeszła do mnie, oburzona, mową ciała wyrażając gotowość do walki.

- Mówił pan chyba, że nie będzie jej potrzebował.

- Wyszło kilka rzeczy. To nie potrwa długo.

- Może ja panu pomogę.

- Dziękuję, ale nie. Muszę porozmawiać z nią bezpośrednio.

Rozdęła nozdrza i zacisnęła pełne wargi. Ruszyłem w stronę drzwi gabinetu, ale zagroziła mi sobą drogę. Potem, po krótkiej chwili milczącej wrogości, odsunęła się wdzięcznie, odwróciła i odmaszerowała. Przygodny obserwator niczego by nie zauważył.

Na moje pukanie odpowiedział pisk gumowych kół na winylu, a potem drzwi otworzyły się na zewnątrz. Sarita poczekała, aż wejdem, i zamknęła je sama. Tyłem podjechała do stolika, zavalonego komputerowymi wydrukami.

- Dzień dobry, Alex. Czy spotkanie było owocne?

- To myślące dzieciaki.

- Prawda? - Uśmiechnęła się po matczynemu. - Tak pięknie się rozwinęły. Wspaniałe okazy.

- Musisz mieć z tego wielką satysfakcję.

- Mam.

Zadzwonił telefon. Odebrała, powiedziała kilka razy „tak” i „aha”, i odłożyła z uśmiechem słuchawkę.

- To była Karen. Powiedziała, że mówiła ci, że jestem zajęta, ale ty i tak wdarłeś się tu siłą.

- Bardzo jest opiekuńcza.

- Lojalna. Co w dzisiejszych czasach wyraźnie jest rzadkością. - Sarita obróciła wózek. - To wyjątkowa młoda kobieta. Bardzo inteligentna, ale dorastała w Watts, wyleciała ze szkoły, kiedy

miała jedenaście lat, uciekła z domu i przez pięć lat mieszkała na ulicy, robiąc rzeczy, o których tobie ani mnie by się nie śniło. Kiedy skończyła szesnaście lat, wzięła się w garść, wróciła do szkoły wieczorowej i w trzy lata ją skończyła. Potem przeczytała artykuł o projekcie, uznała, że to może być okazja zdobycia dalszego wykształcenia, i przysłała któregoś ranka, prosząc, żeby ją sprawdzić. Jej historia była fascynująca, a ona wydawała się bystra, więc się zgodziłam. Osiągnęła wysoki wynik, sto czterdzieści parę, lecz oczywiście za mało, żeby się zakwalifikować. Mimo to była za dobra, żeby ją wypuścić z rąk, więc zatrudniłam ją jako asystentkę i załatwiłam jej tu wieczorowe studia. Ma średnią trzy i osiem i chce studiować prawo w Boalt albo na Harvardzie. Nie mam wątpliwości, że się jej uda. - Znów się uśmiechnęła i strzepnęła nieistniejący pyłek z kłapy. - A teraz, co mogę dla ciebie zrobić?

- Chcę się skontaktować z Garym Yamaguchim i potrzebny mi jego ostatni adres.

Uśmiech zniknął.

- Dam ci go, ale to nic nie pomoże. Gary jest od pół roku bezdomny.

- Wiem. Spróbuję.

- Dobrze. - Odwróciła się gwałtownie, szarpnięciem otworzyła szafkę z aktami i wyjęła z niej teczkę. - Proszę. Przepisz - powiedziała zimno.

Wyjąłem notes. Zanim go otworzyłem, wyrecytowała pospiesznie adres na Pico przy Grand, kawałek na zachód od śródmieścia - w posępnej, podłej okolicy, serwującej nielegalnym imigrantom i ludziom ulicy menu zapleśniałych slumsów, szwalni i podejrzanych spelunek. W ostatnich kilku latach paru artystów i niedoszłych artystów zasiedliło nielegalnie przemysłowe lofty, próbując stworzyć SoHo zachodu. Jak dotąd L.A. tego nie kupowało.

- Dzięki.

- Czego się spodziewasz po rozmowie z nim? - spytała.

- Próbuję po prostu ustalić najbardziej szczegółową bazę danych.

- Daleko nie zajdziesz, wykorzystując...

Znów zadzwonił telefon. Sarita złapała słuchawkę.

- Tak! - warknęła. Kiedy słuchała odpowiedzi, jej złość ustąpiła zaskoczeniu, potem nastąpił szok.

- O nie. To straszne. Kiedy... tak, jest tutaj. Tak, przekażę mu.
Odłożyła słuchawkę.

- To był Souza, dzwonił z aresztu. Jamey próbował się zabić dzisiaj rano, Souza chce, żebyś tam pojechał jak najszybciej.

Zerwałem się i schowałem notes.

- Jak bardzo źle z nim?

- Żyje. Tyle wiem.

Podjechała do mnie i zaczęła mówić coś przeprasającego i pocieszającego, ale ja wybiegłem i już tego nie słyszałem.

Przeniesiono go do jednej z izolatek, które Montez pokazywał mi podczas mojej pierwszej wizyty w areszcie. Pod drzwiami stało na straży trzech zastępców szeryfa, w tym Sonnenschein. Zajrzałem przez okienko i zobaczyłem, że Jamey leży na plecach na łóżku, z głową owiniętą zakrwawionymi bandażami, a pączę ręce i nogi ma skrępowane miękkimi kajdankami. W zagłębieniu jednego ramienia wbita była igła kroplówki. Na środku turbanu gazy widniał skrawek ciała - kilkanaście centymetrów kwadratowych twarzy, poobijanej i spuchniętej. Jamey spał albo był nieprzytomny, sine powieki miał zamknięte, a spękane usta martwo rozchylone.

Souza stał obok niskiego, brodatego mężczyzny po trzydziestce. Miał na sobie jedwabny garnitur w kolorze stali, kojarzący mi się z pancerzem. Kiedy mnie zobaczył, ruszył w moją stronę.

- Zaczął się rzucać na ścianę celi - poinformował z gniewem. Popatrzył na strażników, którzy odpowiedzieli niewzruszonymi spojrzeniami. - Nie ma żadnych złamań ani widocznych urazów wewnętrznych, ale ucierpiała głowa i doktor Platt podejrzewa wstrząs mózgu. Ma go zaraz przenieść to szpitala okręgowego.

Platt nic nie powiedział. Pognieciony biały fartuch włożył na roboczą koszulę, był w dzinsach, w rękę trzymał czarną skórzaną torbę. Do klapy miał przypięty identyfikator dyżurnego neurologa. Spytałem go, jak źle jest z Jameyem.

- Trudno powiedzieć - odparł cicho. - Zwłaszcza z psychozą. Przyjechałem na wezwanie i nie mam ze sobą za wiele instrumentów. Jego od ruchy wydają się w porządku, ale przy urazach głowy nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Będziemy go obserwować przez następnych kilka dni i miejmy nadzieję, że obraz się nam wyklaruje.

Zajrzałem jeszcze raz do celi. Jamey się nie poruszył.

- Tyle w temacie bezpieczeństwa - powiedział Souza, dość głośno, by usłyszeli go strażnicy. - Cała sprawa nabiera teraz nowego charakteru.

Wyjął z teczki dyktafon i nagrał szczegółowy opis próby samobójstwa tonem jak z rozprawy. Podeszedł do strażników, przyjrzał się ich odznakom i nagrał również ich nazwiska, każde przesadnie wyraźnie literując. Jeśli dali się zastraszyć, nie okazali tego.

- Co jest w kroplówce? - spytałem Platta.

- Tylko odżywki. Wyglądał, jakby miał kacheksję, a nie chciałem, żeby się odwodnił, zwłaszcza jeśli doszło do jakiegoś krwawienia wewnętrznego.

- Wygląda na to, że porządnie się poobijał.

- O tak. Mocno walił w tę ścianę.

- Paskudny sposób, żeby się wykończyć.

- Raczej.

- Często widuje pan takie rzeczy?

Pokręcił głową.

- Pracuję głównie przy odwykach, robię EMG. Ale lekarka, która normalnie przyjmuje wezwania z aresztu, jest na urlopie macierzyńskim, więc jaja zastępuję. Ona widuje takie rzeczy często, głównie po przedawkowaniu PCP.

- Chłopak nigdy nie brał narkotyków.

- Tak słyszałem.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków i pojawiło się dwóch sanitariuszy z noszami. Jeden ze strażników otworzył im drzwi do celi, wszedł do niej i wyszedł po chwili, bezgłośnie, samymi ustami mówiąc „OK”. Do środka wrócił z nim drugi zastępca. Sonnenschein został na zewnątrz, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, znacząco pokiwał głową. Drugi strażnik wyjrzał na zewnątrz i powiedział, żeby sanitariusze i Platt weszli. Sanitariusze podeszli z noszami do drzwi i przeciskając się, wciągnęli je do połowy do środka. Souza przysunął się bliżej, wszystkiemu uważnie się przyglądając, ja za nim. Po kilku chwilach odłączyli kroplówkę, przenieśli bezwładne ciało Jameya z łóżka na nosze i podłączyli kroplówkę z powrotem. Ciszę przerwała ostra symfonia trzasków sprzączek i pasków.

Jeden z mężczyzn podniósł butelkę kroplówki.

- Gotowe - powiedział.

Platt kiwnął głową.

- Idziemy.

Drugi sanitariusz i dwaj strażnicy podeszli i podnieśli nosze. Głowę Jameya rzucało jak skifem na wzburzonym morzu.

- Będę towarzyszył mojemu klientowi do karetki - oświadczył Souza.

Nikt się nie sprzeciwił. Zwrócił się do mnie: - Muszę z panem porozmawiać. Proszę spotkać się ze mną przy wejściu za dziesięć minut.

- Dobrze. Będę tam.

Patrzyłem, jak odnoszą Jameya.

Kiedy zostaliśmy sami, Sonnenschein podniósł brew i powiedział, że- bym poszedł za nim. Ruszył głównym korytarzem i poprowadził mnie do otwieranej kluczem windy. Na ławkach siedzieli więźniowie w żółtych piżamach, uważnie się nam przyglądając. Zza rogu dobiegł mnie operowy wrzask. Oddział śmierdział wymiocinami i środkiem odkażającym.

Sonnenschein przekręcił klucz i drzwi windy otworzyły się ze zgrzytem. Ustawił prędkość na ekspresową i zjechaliśmy do podziemi. Kolejne przekręcenie klucza tam ją zatrzymało. Strażnik oparł się o ścianę i położył dłonie na biodrach. Patrzył na mnie z wypracowanym kamiennym wyrazem okrągłej jak księżyc twarzy, skrywając swoją niepewność pod płaszczykiem wrogości.

- Nie powinienem w ogóle otwierać gęby, i jeśli mnie pan zacytuje, nazwę pana kłamcą - ostrzegł.

Kiwnąłem głową.

- Wciąż chce pan wiedzieć, co on mówi, gdy mu odbija?

- Tak.

- Kiedy ześwirował dzisiaj rano, wrzeszczał o zatrutej ziemi i krwawych kitach. Poza tym głównie jęczał i stękał. Raz bełkotał coś, że jest nędzny, czy coś takiego.

- Nędzny czyn?

- Może. Tak. To ważne?

- Tak określa samobójstwo.

- Hm. - Sonnenschein uśmiechnął się nerwowo. - W takim razie dzisiaj rano musiał się poczuć bardzo nędznie.

- Kiedy zaczął robić sobie krzywdę?

- Wrzaski i krzyki zaczęły się około szóstej. Poszedłem do niego zajrzeć, a on uspokoił się i wyglądał, jakby zasypiał. Potem, jakieś dziesięć minut później, usłyszałem łupnięcie, jakby ktoś walnął młotem w arbuza,

i pobiegłem sprawdzić. Rzucił się na wszystkie strony i machał głową, jakby chciał ją sobie urwać, walił nią o ścianę. Łup. Zamiast potylicy miał miazgę. Musieliśmy go wiązać we czterech.

- Takie rzeczy często się zdarzają na wysokim rygorze?

- Nie. Widzi się to tylko u nowych, którzy przyjeżdżają tu na prochach. Kiedy trafiają na wysoki rygor, zostają już czysti. Jak panu mówiłem, zawsze ktoś próbuje udawać wariata, ale nie aż tak, żeby bardzo bolało.

Wyglądał na zmartwionego. Wiedziałem, co go gryzie, i powiedziałem to otwarcie.

- Wciąż pan uważa, że on udaje?

Otarł czoło dłonią, sięgnął do klucza i przekręcił go. Przekładnie windy zaskoczyły ze zgrzytem i kabina ruszyła w górę.

- Chciał pan wiedzieć, co on mówił, więc panu powiedziałem. To wszystko.

Winda zatrzymała się gwałtownie na parterze, a drzwi otworzyły się na służę.

- Proszę wyjść - polecił Sonnenschein, wyprowadzając mnie. Zrobiłem to, a on cofnął się z powrotem do windy.

- Dziękuję - szepnąłem, patrząc na wprost i ledwie poruszając ustami.

- Miłego dnia, proszę pana - odparł, kładąc dłoń na kolbie pistoletu.

Odwróciłem się. Jego twarz była niewzruszoną maską, coraz węższą, w miarę jak zamykały się drzwi. Patrzyłem na niego, dopóki nie zniknął.

Souza czekał pod wejściem. Kiedy mnie zobaczył, spojrział na zegarek.

- Proszę za mną - powiedział.

Poszliśmy szybkim krokiem na parking i zeszliśmy na dół po schodach. Stał tam rolls, Antrim trzymał jedne drzwi otwarte. Kiedy wsiedliśmy, zamknął je, wsiadł za kierownicę i w milczeniu ruszył w stronę wyjazdu. Wielki samochód wydawał się sunąć nad ziemią jak ciemny lewiatan polujący na cienistej, betonowej rafie.

- Zjedzmy lunch - zaproponował adwokat.

Potem popadł w nastrój niesprzyjający rozmowie i zajął się przeglądaniem kilku notesów. Kiedy skończył, wziął telefon, wystukał numer i wyszczeakał do słuchawki ciąg poleceń w prawniczym żargonie.

Modne restauracje były na zachód stąd - lokale w penthouse'ach, otaczające śródmiejską dzielnicę finansową i oferujące biznesowe obiady oraz widok na panoramę miasta. Ale rolls pojechał w drugą stronę, zagłębiając się w peryferie East L.A. Antrim prowadził szybko i płynnie. Zjechał w rozjeżdżoną boczną uliczkę i ostro skręcił na wąski parking,

ocieniony przez czteropiętrowe magazyny. W głębi stała stara przyczepa kempingowa Jetstream na pustakach zamiast kół. Jej boki z blachy falistej pobielono, a na dachu wił się bluszcz. Spomiędzy liści wystawał ręcznie malowany, drewniany szyld, reklamujący „Meksykańską kuchnię Rosy”, przyozdobiony dwoma sombreroami.

Antrim został w samochodzie, a Souza i ja poszliśmy do restauracji. W środku było ciasno i gorąco, ale czysto. Wzdłuż zewnętrznej ściany ciągnęło się sześć boksów, trzy zajęte przez grupy meksykańskich robotników. Okna zasłonięto zasłonami z bawełnianej surówki, a nad drzwiami migał znaczek piwa Dos Equis. Kuchnia była otwarta, oddzielona od części jadalnej sięgającym do pasa drewnianym blatem. Za nim wąsaty grubas w koszulce, wykrochmalonym fartuchu i niebieskiej bandanie pocił się stoicko nad piecami, podgrzewaczami i smażalnicami. W kącie, za srebrzoną kasą siedziała równie okrągła kobieta; czytała „La Opinión”. Cały lokal wypełniał aromat chili i wieprzowego tłuszczu.

Zobaczyła, że wchodzimy, i szybko wstała. Miała siedemdziesiąt parę lat, błyszczące czarne oczy i siwe włosy splecione w warkocz.

- Pan Ess - powiedziała i uściśnięła obie dłonie Souzy.

- Dzień dobry, Rosa. Jest menudo?

- Nie, nie, przykro, już nie ma. Ale enchilada z kurczakiem bardzo dobra.

Podeszliśmy do jednego z pustych boksów. Nie było w nim menu. Souza rozpiął marynarkę i rozsiadł się wygodnie.

- Poproszę zupę albóndigas, dwie enchilady, jedną z kurczakiem, jedną z wieprzowiną, chile relleño, frijoles z ryżem i dzbanek wody z lodem.

- Bardzo dobrze. A dla pana?

- Macie państwo sałatkę z wołowiną?

- Najlepszą w mieście - wtrącił Souza.

Kobieta się rozpromieniła.

- Sałatkę z wołowiną i carta blanque.

Z aprobatą pokiwała głową i przekazała zamówienie kucharzowi. Ten podał jej tacę, a ona przyniosła ją do stolika i zestawiła zawartość: talerz tortilli z niebieską kukurydzą, lekko przypieczonych, i podłużną miseczkę z dużym kawałem masła. Souza wyciągnął talerz do mnie, a kiedy odmówiłem, wziął tortillę, szybko posmarował ją masłem, złożył i jednym kęsem odgryzł jedną trzecią. Pogryzł rytmicznie, połknął i napił się wody.

- Skoro pan nie je - powiedział - może mógłby mi pan streścić swoje ustalenia.

Zrobiłem to, ale kliniczne szczegóły sprawy wydawały się go nie interesować. Kiedy zwróciłem na to uwagę, westchnął ciężko i posmarował masłem następną tortillę.

- Jak już mówiłem, charakter sprawy się zmienił. Zaczęliśmy już mocno naciskać na odroczenie

rozprawy ze względu na stan zdrowia oskarżonego. To, co się stało dzisiaj rano, oznacza, że okręg nie jest w stanie zapewnić chłopcu bezpieczeństwa, a ja czułbym się o wiele pewniej, gdyby osadzono go w placówce prywatnej.

- Mimo jego złej sławy?

- Na szczęście dla nas w tym mieście brutalnych przestępstw nie brakuje, więc ta historia zesła już z pierwszych stron. Wczorajszy „Times” zamieścił krótką wzmiankę na stronie dwudziestej siódmej. W dzisiejszym nie było nic. Spodziewam się, że próba samobójstwa spowoduje znów chwilowe zainteresowanie, ale potem można oczekiwać okresu spokoju, kiedy sępy czwartej władzy polecą ucztować na nowej padlinie.

Rosa przyniosła zupę z pulpetami, wodę i moją carta blankę. Od gorąca zacząłem się pocić i piwo uderzyło mnie w język mroźnym ciosem. Souza połknął łyżkę parującej zupy i chyba nawet się nie sparzył.

- Pytanie brzmi, doktorze, czy pasuje panu taka strategia?

- Nie skończyłem mojej oceny...

- Tak, rozumiem. Pana dokładność jest godna podziwu. Ale czy zaczął pan formować opinię dotyczącą zdolności?

- Zamierzam zaczekać z tym do chwili, kiedy będę miał wszystkie dane.

- Hm.

Skupił się z powrotem na zupie, siorbiąc i rozkoszując się; opróżnił miskę, a resztki wytarł kawałkiem tortilli.

Podano główne jedzenie, na grubej meksykańskiej porcelanie: tacka dla niego, talerz dla mnie.

- Smacznego, doktorze.

I wgryzł się w swoje danie.

Jedliśmy w milczeniu, wśród gwaru i śmiechu. Sałatka była doskonała, paski mięsa kruche i lekko pikantne, warzywa jędrne i świeże, w przybraniu z cytryny i pieprzu. Od przypraw i gorąca na czoło wystąpiły mi krople potu i poczułem, że koszula lepi mi się do pleców. Souza dziarsko przedarł się przez górę smażonej fasoli, zjadł większość nadziewanych chili i opróżnił dzbanek z wodą. Rosa szybko napełniła go ponownie.

Kiedy nie zostało już nic oprócz zapachu chili i pojedynczych ziarenek ryżu, Souza odsunął tackę. Rosa przyniosła talerz kandyzowanych kawałków

kaktusa. Spróbowałem jednego i uznałem, że jest zbyt gumisty. Souza zaczął jeść mocnymi, tępyimi zębami, kawałek po kawałku. Wytarł usta i spojrzał mi w oczy.

- A więc nie ma pan żadnego pojęcia, w jakim kierunku pójdzie pana ocena?

- Nie, raczej nie. Kiedy widywałem Jameya, wydawał się niezdolny do stawania przed sądem, ale historia jego leczenia to historia nawrotów i remisji, więc nie da się powiedzieć, jaki będzie jutro.

- Jutro mnie nie interesuje. Czy dzisiaj podpisałby pan deklarację, że dwa razy, kiedy próbował pan z nim rozmawiać, on był niezdolny?

Zastanowiłem się.

- Raczej tak, o ile byłoby to odpowiednio ujęte.

- Może pan to napisać sam.

- Dobrze.

- Świetnie, to mamy za sobą. - Zjadł następnego kaktusa. - Teraz, jeśli chodzi o ograniczoną zdolność, czy słusznie zakładam, że zamierza pan z tego zrezygnować?

- Zamierzałem dokonać dalszej oceny...

- Doktorze Delaware. - Uśmiechnął się. - Naprawdę, już nie ma takiej potrzeby. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a zważywszy na oburzające zaniedbania personelu aresztu, jestem tego pewien, minie trochę czasu, zanim dojdzie do rozprawy. Chociaż wiem, jak ambiwalentne ma pan podejście do linii obrony opartej na niepoczytalności, i choć nie chciałbym obciążać pańskiego sumienia, będzie pan wtedy mile widziany jako świadek obrony.

Wypiłem długi łyk piwa.

- Innymi słowy - stwierdziłem - znalazł pan innych biegłych, którzy nie podzielają moich wątpliwości.

Uniósł brew i zlizął drobinę cukru z ust.

- Proszę się nie obrażać - powiedział obłudnie. - Jestem zobowiązany zrobić wszystko, co może pomóc mojemu klientowi. Kiedy zgodziliśmy się współpracować, przyjąłem pana warunki, ale to nie ograniczało mnie w rozmowach z innymi doktorami.

- Kogo pan ma?

- Chapina z Harvardu i Donnella ze Stanford.

- Zbadali Jameya?

- Jeszcze nie. Jednak z mojego opisu wnioskuje, że dojdzie do orzeczenia ograniczonej zdolności.

- W takim razie, cóż, chyba się dogadaliście.

- Chcę powiedzieć, że ja sam i rodzina Cadmusów jesteśmy wdzięczni za wszystko, co pan zrobił, w ramach oceny tak samo, jak terapeutycznie. Heather mówiła mi, że w rozmowie podniósł ją pan na duchu, a to niemała zasługa, biorąc pod uwagę to, co przeszła.

Przywołał Rose, dał jej dwudziestkę i dziesiątkę i powiedział, żeby zatrzymała resztę. Zachichotała z wdzięcznością i strzepnęła mu nieistniejący pyłek z marynarki.

Kiedy wróciliśmy do limuzyny, Souza poklepał mnie po ramieniu.

- Szanuję pana jako człowieka z zasadami, doktorze, i ufam, że nie ma między nami żadnej niechęci.

- W żadnym razie. - Przypomniałem sobie coś, co powiedział kiedyś Mal Worthy. - Jest pan wojownikiem i robi pan, co może, żeby wygrać wojnę.

- Otóż to. Jestem wdzięczny, że pan to spostrzegł. - Sięgnął do teczki i wyjął dużą książeczkę czekową.

- Ile jestem panu winien?

- Nic. Zwrócę też panu pierwsze pięć tysięcy.

- Proszę tego nie robić. Zakłóciłoby to pracę księgowości mojej kancelarii, ale, co ważniejsze, odarłoby nasze kontakty z profesjonalizmem, gdyby ktoś kiedyś im się przyjrzał; sąd nie ufa niczemu, za co nie zapłacono.

- Przykro mi. Nie czułbym się dobrze, gdybym je zatrzymał.

- Niech je więc pan wpłaci na swój ulubiony fundusz charytatywny.

- Mam lepszy pomysł. Wyślę je panu, a pan je wpłaci na swój ulubiony fundusz charytatywny.

- Dobrze. - Jego szeroka twarz ściągnęła się na chwilę w grymasie gniewu, ale zaraz rysy znów ułożyły się w wymuszony spokój.

Drobne zwycięstwo, ale odniesione we właściwym momencie.

Antrim pojechał z powrotem do aresztu. Szklana przegroda była zamknięta, a z ruchów jego głowy widać było, że słucha muzyki. Souza zobaczył, że przyglądam się szoferowi, i się uśmiechnął.

- Wolny duch. Ale to świetny mechanik.

- Musi być świetny, żeby dbać o taką maszynę.

- O tak. I nie tylko.

Znów podniósł słuchawkę, zadzwonił do kancelarii i sprawdził wiadomości. Żadna nie była na tyle ważna, by zasłużyć na jego uwagę, więc kazał sekretarce przekazać je Bradfordowi Balchowi.

- Jeszcze jedno - powiedział, odkładając słuchawkę. - Wspominam o tym jako o formalności. Skoro nie zajmuje się pan już tą sprawą, jest pan świadom, że jako mój były konsultant nie może pan z nikim o tym rozmawiać.

- Jestem tego świadom - odparłem zimno.

- Tak, wiem, że pan jest. - Zapisał coś w notesie. W bazgraninie wyłowilem swoje nazwisko.

Dojechaliśmy do więziennego parkingu. Rolls zatrzymał się obok mojego seville'a.

- Cóż, doktorze, miło było pana poznać. - Souza uściśnął moją dłoń. Uśmiechnąłem się niezobowiązująco.

- Chciałbym pana o coś zapytać, panie Souza.

- O co?

- Czy uważa pan, że Jamey zabił tych wszystkich ludzi?

Puścił moją rękę, opadł z powrotem w odmęt szarego filcu i złączył palce obu dłoni.

- Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć, doktorze Delaware.

- Dlaczego?

- To po prostu nieistotne dla mnie jako adwokata, a gdybym zaczął myśleć o tym w ten sposób, utrudniłoby mi to wykonywanie moich obowiązków.

Uśmiechnął się do mnie jeszcze raz i odwrócił. Szofer otworzył drzwi. Wysiadłem. Zanim doszedłem do własnego auta, limuzyna zniknęła.

Postawiłem teczkę na ziemi i się przeciągnąłem. Po raz pierwszy w życiu zostałem zwolniony. Dziwne, ale było to cholernie przyjemne uczucie.

18

Wyjechałem z parkingu, zastanawiając się nad swoim zwolnieniem.

Souza wyłowił mnie z morza ekspertów, używając podwójnej przynęty - pochlebstwa i odpowiedzialności zawodowej: byłem ważnym nabytkiem dla sprawy, ponieważ leczyłem już Jameya i byłem wybitnie inteligentny. Teraz, przy pierwszej sposobności, wyrzucił mnie jak niewyrośnięty narybek, skoro wiadro zapełniło mu się poważniejszą zdobyczą. Nie powinienem być

zaskoczony. Od początku za sobą nie przepadaliliśmy; chociaż pozornie odnosiliśmy się do siebie serdecznie, istniało między nami wyraźne napięcie. On był człowiekiem żyjącym z manipulowania innymi, rzeźbiarzem zachowań, a ja okazałem się mało elastyczny, a przez to zbędny. W końcu miał Chapina z Harvardu, Donnella ze Stanford - obu

profesorów zwyczajnych, znanych i szanowanych. Nieważne, że nie widzieli problemu w uznaniu pacjenta za niepoczytalnego przed jego zbadaniem. Byli biegłymi, którzy w systemie Souzy odnajdywali się doskonale.

Nie żałowałem, że opuściłem jego drużynę, ale gryzło mnie to, jak niewiele dowiedziałem się o Jameyu. Moje dociekania postawiły o wiele więcej pytań, niż dały odpowiedzi. Jedyną kwestią, w której doszło do czegoś na podobieństwo konsensusu, była psychoza chłopca. Wszyscy oprócz Sonnenscheina zgadzali się, że to wariat, a nawet zastępca szeryfa zmiękł, kiedy zobaczył, jaką krzywdę Jamey sam sobie wyrządził. Ale zbrodnie, o które go oskarżano, nie były zbrodniami psychotyka, co zauważyła nawet studentka pierwszego roku. Souza bez zmruczenia oka - choć nie do końca bezpodstawnie - obarczył odpowiedzialnością zmarłego. Właściwie zarówno opiekunowie, jak i koledzy Jameya postrzegali Ivara Digby'ego Chancellora jako osobę posiadającą duży wpływ na życie chłopaka. Chancellorowi udało się przekierować jego zainteresowania z sonetów na papiery wartościowe, z coca-coli na kielki. Ale czy wpływ ten rozciągał się na seryjne zabijanie ludzi - to wciąż pozostawało niejasne.

Nawet po głębokiej analizie diagnoza schizofrenii nie była oczywista: choroba przebiegała w nietypowy sposób, a Jamey różnorodnie reagował na leki. Poza tym wykazywał - fakt, że minimalne - oznaki zażywania narkotyków. Sarita Flowers i Heather Cadmus były przekonane, że nigdy nic nie brał. Ale dzieciaki z Projektu 160 były innego zdania. Dla Mainwaringa nie miało to znaczenia, a niespójności tłumaczył sobie drobnymi uszkodzeniami mózgu. Może psychiatra się nie mylił, ale nie przeprowadził kompleksowych badań neurologicznych. A jego brak zainteresowania czymkolwiek oprócz dawkowania oraz jego pobieżne prowadzenie kart osłabiły moją wiarę w jego osąd.

Do tego dochodziła sprawa historii rodziny Cadmusów - dziedzictwa przesiąkniętego psychopatologiami. Czy podobieństwa w losach Antoinette, Petera i Jameya miały znaczenie? Czy związanie i powieszenie Chancellora było prymitywną próbą popełnienia symbolicznego ojcobójstwa? Dwight Cadmus z całą pewnością zasłużył na drugie podejście.

Byli również inni, z którymi chciałem porozmawiać. Gary Yamaguchi i pielęgniarki - płacziwa panna Surtees i zjadliwa pani Vann. Kontrast między nimi dwiema był kolejną zagadką: prywatna pielęgniarka opisała Jameya cieplej niż ktokolwiek inny. A mimo to właśnie ją zaatakował w noc ucieczki. Andrea Vann uważała go za niebezpiecznego, lecz nie powstrzymało jej to od pozostawienia oddziału C bez personelu. A potem odeszła.

Za dużo pytań, za mało odpowiedzi. I poobijany, szalony młody człowiek, skazany na dożycie swoich dni w świecie koszmaru.

Souza odsunął mnie, zanim zdążyłem się którąkolwiek z tych spraw zająć.

Kiedy tak dumałem, seville zbliżył się do Union District, niedaleko miejsca, które Sarita podała mi

jako ostatni adres Gary'ego.

Souza przypomniał mi o moich zobowiązaniach etycznych. Nie mogłem rozmawiać z nikim o swoich ustaleniach, ale nie powstrzymało mnie to od dalszego dochodzenia - jako wolnego strzelca.

Budynek stał na środku kwartału, na poziomie ulicy przyozdobiony wianuszkami drzemących żuli. Butelki, puszki i psie kupy zamieniły mój marsz chodnikiem w spastyczny balet. Zardzewiałe metalowe drzwi, pogięte i poszczerbione, wstawione były w rozpadającą się ceglana fasadę dawnej fabryki. Cegły opasywała betonowa wstęga. Na niej wyryto napis: „Wytwórnica nici Pelta, 1923”. Litery były zapaskudzone przez gołębie i popękane. Na prawo od drzwi zauważyłem dwa guziki, obok każdego z nich szczelinę na kartkę z nazwiskiem. Pierwsza była pusta; w drugiej znajdował się zaklejony taśmą pasek papieru z napisem „R. Bogdan”. Nacisnąłem oba, ale nikt nie odpowiedział. Pchnąłem drzwi - zamknięte. Objechałem budynek i zobaczyłem tylne wejście, identyczne z frontowym, ale też było zaryglowane. Poddałem się i wróciłem do domu.

Przyszła kopia karty Jameya z Canyon Oaks. Schowałem ją do szuflady biurka i wyjąłem czek od Souzy. Zaadresowałem kopertę, włożyłem czek do środka, pobiegłem do najbliższej skrzynki i wrzuciłem go do niej. O trzeciej trzydzięci zadzwoniła poczta głosowa z wiadomością od Robin: „Billy Orleans przyjechał do miasta wcześniej i będzie w warsztacie do piątej. Potem możemy pójść gdzieś na obiad. Przebrałem się w dzinsy i golf i pojechałem do Venice”.

Warsztat Robin to nieoznakowana witryna przy Pacific Avenue, niedaleko od getta Oakwood. Z zewnątrz pomazana jest graffiti przez gangi, a okna są zamalowane. Przez kilka lat Robin mieszkała na górze, na strychu, który sama zaprojektowała i zbudowała, a na parterze urządziła warsztat. Niebezpieczny to układ dla każdego, co dopiero dla kobiety, ale uważała to za symbol swojej niezależności. Teraz założony był tu alarm, a ona dzieliła łóżko ze mną, przez co ja o wiele lepiej sypiałem.

Oba miejsca parkingowe z tyłu były zajęte przez białą limuzynę lincolna o przyciemnionych szybach, gangsterskich oponach z białymi obwódkami i z anteną telewizyjną na tylnej klapie. O drzwi opierało się sto

pięćdziesiąt kilo ochroniarza - około pięćdziesiątki, z opaloną twarzą ma-styfa, o piaskowosiwych włosach i białych wąsach jak szczotka do zębów. Był ubrany w białe, ściągane w pasie spodnie, sandały i czerwony bezrękawnik, tak napięty, że prawie na nim pękał. Ramiona skrzyżowane na piersi miały kolor i rozmiar szynek Virginia.

Zatrzymałem się i rozejrzałem za miejscem do zaparkowania. Z warsztatu dobiegały niskie, pulsujące fale dźwięku.

- Dzień dobry panu - powiedział wesoło ochroniarz. - Pan jest tym psychologiem?

- To ja.

- Jestem Jackie. Kazali mi pana wypatrywać. Niech pan zostawi samochód z kluczykami w środku,

ja go popilnuję.

Podziękowałem mu i wszedłem do warsztatu tylnym wejściem. Jak zwykle pachniało tu żywicą i trocinami. Ale jazgot wiertarek i pilarek zastąpiła inna ściana dźwięku: grzmiące power chordy i wyjące riffy, które wprawiały w rezonans każdą belkę i deskę.

Poszedłem na tył, gdzie stały wzmacniacze do testów, i zobaczyłem Robin w zakurzonej fartuchu - włożyła go na robocze ubranie - i z głu-chosłuchami na wpół ukrytymi we włosach, patrzącą, jak wychudzony mężczyzna męczy srebrną gitarę elektryczną w kształcie statku kosmicznego. Przy każdym uderzeniu kostki instrument rozświecił się i migotał, a kiedy mężczyzna nacisnął guzik przy mostku, rozległ się dźwięk przypominający kosmiczny moduł, kiedy opuszcza śluzę startową. Gitara była wpięta w dwie głowy Mesa Boogie, rozkręcone na fuli. Chudy mężczyzna przebiegał palcami w górę i w dół podstrunnicy, a gitara wyła i ryczała. Pod struny na główce wciśnięty był dymiący papieros. Okna drżały, a ja miałem wrażenie, że moje uszy zaraz zaczną krwawić.

Robin zobaczyła mnie i pomachała. Nie mogąc jej usłyszeć, odczytałem z ruchu ust „Cześć, skarbie”, kiedy podeszła. Chudy mężczyzna był pochłonięty muzyką, miał zamknięte oczy i chwilę trwało, zanim mnie zauważył. Wtedy jego prawa dłoń znieruchomiała i w warsztacie zapadła grobowa cisza. Robin zdjęła ochraniacze. Mężczyzna odpiął gitarę, wyjął papierosa, wsadził go sobie do ust, a potem odstawił instrument delikatnie na stojak i wyszczerzył się w uśmiechu.

- Bajeczna.

Był mniej więcej w moim wieku, miał zapadnięte policzki, bladą twarz o ostrych rysach i farbowane na czarno włosy, długie i nierówno przycięte. Nosił niebiesko-zieloną skórzaną kamizelkę na zapadniętej, bezwłosej piersi i czerwone bojówki. Na jednym kościstym ramieniu miał wytatuowaną

małą, niebieską różę. Jego buty na wysokich obcasach kolorem pasowały do spodni. Z jednej z kieszeni na piersi wystawała paczka cameli. Wyjął z ust dymiącego papierosa, zgasił go, wyciągnął z paczki świeżego i zapalił.

- Billy, to jest Alex Delaware. Alex, Billy Orleans.

Rockman wyciągnął długą, twardą rękę i się uśmiechnął. Paznokcie prawej dłoni miał długie, do szarpania strun. W jeden z górnych siekaczy wstawił sobie brylant.

- Cześć, Alex. Doktor od głowy, tak? Przydałbyś się nam na trasie, skoro stan umysłów w kapeli jest, jaki jest.

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Specjalizuję się w dzieciach.

- Jak już powiedziałem, przydałbyś się nam na trasie, skoro stan, bla, bla. - Odwrócił się do Robin. - Jest bajeczna, pani Czarodziejko. Pobaw się z przystawką pod gryfem, żeby miała trochę więcej uderzenia w górze, ale poza tym... doskonała. Kiedy będzie gotowa do startu?

- Może być czwartek?

- Świetnie. Lecę do San Francisco odwiedzić rodziców, a potem z powrotem tutaj na piątkową sztukę we Friday Forum. Przyślę po nią Jackiego albo któregoś z technicznych. Teraz przejdźmy do rzeczy przyjemnych.

Rozpiął jedną z kieszeni bojówek i wyjął z niej plik studolarowych banknotów.

- Ohyda i lukier - powiedział, odliczając około trzydziestu i wręczając je Robin. Nie zmieniło to znacząco rozmiarów pliku. - Wystarczy?

- Dałeś mi o trzysta za dużo - odparła Robin, przeliczając pieniądze i wyciągając do niego trzy banknoty.

- Weź je. Trudno znaleźć perfekcjonizm, a mi przyda się parę odliczeń. - Zważył plik w dłoni i przerzucił go z ręki do ręki.

- Nie chwal się tym w tej okolicy - przestrzegła Robin.

Zaśmiał się i schował pieniądze.

- To by było dopiero niskie, co?

- Myślałam raczej o twoim bezpieczeństwie.

- Och. Aha, może to i racja. - Wzruszył ramionami. - Po to mam Jackiego. Jest kuloodporny. Szybszy niż lokomotywa. Zjada gwoździe na śniadanie. Wynająłem go po tej sprawie z Lennonem. Bałem się; wielu ludzi się bało. Kiedyś łamał chyba nogi dla mafii czy jakoś tak, ale u mnie, jak na razie, wystarczyło, że groźnie popatrzył.

Robin wypisała mu fakturę i poszliśmy do drzwi.

- Miło było cię poznać, Alex.

Ścisnął obie dłonie Robin i pocałował je.

- Dbaj o nie. Na dzisiejszym rynku liczy się tylko to, co widać. Będę potrzebował dużo więcej dzieł sztuki. - Brylantowy uśmiech. - Dobra, lecę do San Francisco, na spotkanie z państwem Ornsteinami.

Coś mi przyszło do głowy.

- Billy wychowywałaś się w San Francisco? - spytałem.

- Dokładnie w Atherton - odparł, wymieniając jedno z ekskluzywnych podmiejskich osiedli.

- Znałeś scenę Haight-Ashbury?

Zaśmiał się.

- Kiedy to wszystko wypaliło, byłem grzecznym małym kujonem, który chciał być ortodontą jak jego tata. Lata sześćdziesiąte spędziłem nad książkami do biologii. Czemu?

- Próbuję się czegoś dowiedzieć o pewnych ludziach, którzy mieszkali w miejskiej komunie przy Haight.

Pokręcił głową.

- Nigdy się tam nie kręciłem, ale powiem ci, kto może coś wiedzieć. Roland Oberheim, Rolly O. To producent, grał kiedyś na basie w Big Blue Nirvana. Pamiętasz ich?

- Chyba tak. Sitary i mocna sekcja?

- Właśnie. I hinduizm w wersji pop. Dwa razy dostali złote płyty, potem wdał się rak ego i się rozpadli. Rolly był jednym z dowcipnisiów Kena Keseya, ostro brał kwas, mówił na siebie Kapitan Odłot. Znał wszystkich na Haight. Teraz tam mieszka, organizuje niezależne sztuki. Mogę cię z nim skontaktować, jeśli chcesz.

- Byłbym wdzięczny.

- Dobra. Zadzwoń do niego wieczorem i dam ci znać. Jeśli zapomnę, zadzwoń i się przypomnij. Robin ma wszystkie moje numery.

- Zrobi się. Dzięki. Przeczesał dłonią włosy i zniknął. Robin i ja popatrzyliśmy na siebie.

- Czadowy Billy Ornstein? - powiedzieliśmy jednocześnie.

Następnego ranka wróciłem pod budynek na Pico. Tym razem drzwi były uchylone, więc pchnąłem je i wszedłem.

Przywitały mnie szerokie schody i zapach pesto. Na szczycie schodów zobaczyłem ciemność i dwa niewyraźne, muskularne zarysy leżących dobermanów, pozornie obojętnych na moją obecność.

- Cześć, chłopaki - zawołałem i wszedłem na pierwszy stopień. Dobermany zerwały się na nogi, warcząc gardłowo. Każdy z nich uwiązany był do słupka poręczy grubym łańcuchem, za długim niestety.

Obnażyły kły i zaczęły ujadać. Nie wiem, co ten jazgot dokładnie wyrażał, ale na pewno wkładały w niego dużo uczucia.

- Kto tam? Czego chcecie?

Głos był donośny, kobiecy, dobiegał gdzieś zza dobermanów. Słyszając go, psy ucichły, a ja

krzyknąłem:

- Szukam Gary'ego Yamaguchi!

Między psami zmaterializowała się purpurowa gruszka zwieńczona tartą marchewką.

- Już dobrze, słoneczka, moje grzeczne chłopaczki - zagruchała gruszka. Psy usiadły poddańczo i polizały parę rąk. - Tak, cukiereczki, tak, kluseczki. Mamunia lubi, jak jesteście czujne.

Coś cicho pstryknęło i nad schodami zapaliła się goła żarówka. Gruszka zmieniła się w młodą kobietę - trzydzieści parę lat, nieapetycznie otyła, w purpurowym muumuu. Jej włosy były farbowaną henną płataniną, błądy makijaż nakładała chyba kielnią. Położyła pulchne dłonie na obfitych biodrach i zakolysała się asertywnie.

- Czego pan od niego chce?

- Nazywam się Alex Delaware. Prowadziłem go parę lat temu i muszę porozmawiać z nim o innym z moich pacjentów, jego przyjacielu.

- Prowadził go pan? Jest pan terapeutą?

- Psychologiem.

Rozpromieniła się.

- Uwielbiam psychologów. Moi pierwsi dwaj mężowie byli psychologami. Jest pan żonaty?

- Tak - skłamałem, żeby nie komplikować.

- Nieważne, niech pan wchodzi.

Zawahałem się, patrząc na dobermanów.

- Spokojnie - zaśmiała się. - Nie zjedzą pana, chyba że im każę.

Ostrożnie ruszyłem na górę, czując, że ze zdenerwowania swędzą mnie kostki.

Schody kończyły się szerokim podestem. Po lewej stronie były popękane drzwi, po prawej otwarte przejście. Z przejścia buchał mocny zapach bazylii.

- Pani Randee Bogdan - przedstawiła się kobieta, salutując. - Przez dwa „e”.

Uścisnęliśmy sobie krótko dłonie.

- Niech pan wchodzi, doktorze Aleksie Psychologu.

Potoczyła się przez otwarte drzwi. Za nimi rozciągało się trzysta metrów kwadratowych studia. Ściany pomalowano na ciemny łososiowy kolor. Jedną przyozdobiono ułożonymi w linię skorupami morskich żółwi, wypolerowanymi na wysoki połysk, pozostałe były gołe. Podłogę wyłożono lakierowanymi na czarno deskami, pod świetlikami w suficie ciągnęła się platanina pomalowanych na różowo przewodów wentylacyjnych i rur. Wystrój był bardzo eklektyczny - przemyślana mieszanina deco, sztuki współczesnej i przypadkowości: szare chińskie wazy, stoliki z lucytu, różowe szezlongi w szarobrązowe prążki, wysoka, hebanowa serwantka inkrustowana uchowcami; ogrodowa donica z szorstkiego kamienia, pełna jedwabistych amarylisów; dużo pustej przestrzeni. Pozorna niedbałość, bardzo droga.

Środek studia zajmowała olbrzymia, przemysłowa kuchnia z nieskazitelnie czystej nierdzewnej stali. Na stalowym wieszaku wisiały rzędy miedzianych rondli. Błaty z kutego metalu miały marmurowe wstawki do wałkowania ciasta. Kotły i patelnie bulgotały na dziewięciopalnikowej kuchni Wolfa. Zapach bazylii prawie przytłaczał. Randee przez dwa „e” zagłębiła się w ten gąszcz, unosząc pokrywki i zaglądając do kotłów. Raz czy dwa powąchała coś i spróbowała, potem wrzuciła szczyptę czegoś do tego, co tam gotowała. Ze stosiku w rogu wziąłem różową, satynowaną wizytówkę: „Catering randee”, i numer z kierunkowym do Beverly Hills.

- To wirtualne biuro - powiedziała, oblizując palec. - Dla klasy. Trzewia operacji są tutaj, wybacz pan porównanie.

- Gary mieszkał obok?

- Aha - powiedziała z roztargnieniem, szukając czegoś na blacie i przeklinając wesoło, dopóki tego nie znalazła. Podniosła to coś - kartkę, i zaczęła czytać na głos:

- Na wieczorne przyjęcie u państwa Chesterów (Chetów) Lammów. Zimna zupa melonowa, sałatka z gęsi z octem jeżynowym, zakąska z trufli na słodkim cieście, pulpety ze szczupaka i raków, kurczak na czarno z niemielonym pieprzem, obowiązkowa pasta chi-chi z pesto, a na koniec, lekko przypieczony kozi ser i śmiały sorbet ogórkowo-ananasowy. Co za burdel, przerażające, prawda? Ale dla *nouvelle-nouvelle* najlepsze to, co bez gustu.

Zaśmiałem się. Zawtórowała mi; jej ciężki biust się zakołysał.

- Wie pan, co chciałabym gotować? Hamburgery. Pieprzone hamburgery. Tłuste domowe frytki, dobre, stare sałatki: bez cykorii, bez endywii, zwykła, prosta sałata lodowa.

- Brzmi nieźle.

- Ha! Niech pan spróbuje sprzedać coś takiego po stówce od łebka.

Wetknęła widelec w patelnię, a kiedy go wyjęła, ząbki miał pokryte różowym sosem.

- Proszę, niech pan spróbuje.

Nachyliłem się nad blatem i otworzyłem usta. Sos był aż gorzki od bazylii.

- Świetne - pochwaliłem.

- Oczywiście. Umie się gotować.

Poczęstowała mnie kolejnymi próbkami. Nawet gdybym był głodny, nie byłoby to przyjemne doświadczenie. Ale po solidnym śniadaniu, które zjadłem z Robin, z trudem je zniosłem.

Po jeszcze kilku moich fałszywych pochlebstwach i jej wyrazach samozadowolenia udało mi się skłonić ją, żeby powiedziała coś o Garym.

- Tak, mieszkał tu, razem z gromadą innych świrów.

- Mieszkał?

- Zgadza się. W czasie przeszłym. Ktoś włamał się tam wczoraj i rozwalił wszystko, więc chłopak się zmył. To typowe w tej okolicy, dlatego ja mam alarm. Robiłam przyjęcie w A&M Records, wróciłam około pierwszej i zastałam ich drzwi wyważone. U mnie alarm się nie włączył, ale pojechałam do rodziców i na wszelki wypadek pożyczyłam Nurejewa i Barysznikowa. To prawdziwi mordercy, w zeszłym roku wyeliminowali ewentualne ojcostwo z przyszłości pewnego włamywacza, a ja zostawiam drzwi otwarte, w nadziei, że ci, co to zrobili, wrócą, i będę mogła je spuścić.

- Kiedy te... świry wróciły do domu?

- Około drugiej. To ich zwykły rozkład dnia: śpią do południa, zebrzą przed Biltmorem, przychodzą tu i balują do rana. Słyszałam ich, zerknęłam przez dziurkę od klucza i widziałam, jak pryskają. Pana podopieczny wyglądał na nieźle zestrachanego.

- Domyśla się pani, gdzie mógł pójść?

- Nie. Cały ich szczepek mieszkał tu za darmo, ojciec jednego z nich jest właścicielem budynku, pojawiali się i znikali. Włóczą się po okolicy, wszystko krytykują, uważają się za *trčs* bohemy.

- Artyści?

- Jeśli to są artyści, to te świństwa na kuchni to *haute cuisine*. Nie, to gówniarze, którzy bawią się w nihilizm. Punky, wie pan: życie nie ma sensu, więc postawię włosy na cukier i będę walił spida, a tata zapłaci czynsz. Przechodziłam przez to samo na studiach, a pan?

Ja na studiach w dzień kułem, a w nocy zarabiałem na utrzymanie. Zamiast odpowiedzieć, zadałem następne pytanie:

- Dużo brali spida?

- Tak mi się wydaje. Nie tak robią punky?

Zmniejszyła ogień na jednym z palników. Przypomniałem sobie, czym Gary chwalił się Joshowi.

- Powiedział komuś, że będzie miał wystawę w jakiejś galerii w śródmieściu. Wie pani, w której?

Przyłożyła palec do ust i polizała go.

- Tak, mnie też to mówił. Mijaliśmy się któregoś wieczoru na schodach, a on wyśmiał moje jedzenie, bo to taki właśnie gnojek. Powiedziałam, żeby wsadził sobie swojego małego Buddę w dupę, nawet gdyby mu siał go zgiąć w bok. Spodobało mu się to, uśmiechnął się i dał mi ulotkę, reklamującą jego tak zwaną wystawę; razem z innymi świrami wystawiali swoje śmieci w miejscu o nazwie Próżnia Będzie Próżnią. Powiedziałam: „To świetnie, mały, ale dla mnie dalej jesteś zasmarkanym świrusem”. To też mu się spodobało, rzucił coś lubieżnego. - Pokręciła głową. - Wyobraża pan sobie, żeby to zrobić z jednym z tych małych świrów? Fuj.

Spytałem ją, ile dzieciaków mieszkało w studiu.

- Był on, jego dziewczyna w typie blondynki z Valley, wyglądała na co najwyżej czternaście lat; Richard Bogaty Tata, syn właściciela; jego laska, plus różni przypadkowi. Przez ostatni tydzień był sam Yamaguchi i blondynka, bo Richard pojechał gdzieś na wakacje, a koleśie razem z nim. A właściwie czego pan od niego chce?

- Informacji.

- Niech pan na to nie liczy. On nie jest z tych, co pomagają innym.

Powiedziałem jej, że pewnie ma rację, i podziękowałem, że pozwoliła mi wejść.

- Mogę rozejrzeć się po jego mieszkaniu?

- Czemu nie?

- Mogłaby pani przytrzymać Nurejewa i Barysznikowa?

- Pewnie. Zresztą to tak naprawdę straszne pieszczochy.

Wyszedłem.

- Dla pana własnego dobra - zawołała za mną- mam nadzieję, że ma pan zatkany nos!

Nie przesadziła. Studio śmierdziało jak zapuszczona latryna. Wszędzie walały się cuchnące ubrania i spleśniałe jedzenie; zwróciłem uwagę na wstrętne, podejrzone plamy. Sedes był zatkany i brązowa maź wylewała się górą na podłogę z nielakierowanych desek. Meble, jeśli można tak je

nazwać, zbito ze sklejki i drewnianych kozłów. Ten, kto się tu włamał, przewrócił wszystko do góry nogami i połamał. Na podobnie skonstruowanym stole warsztatowym stał acetylenowy palnik, zbiór szablonów i form, leżały rybie ości, zdekapitowana lalka Barbie z głową obok i nadtopione skrawki plastiku. Jeden kąt pomieszczenia przeznaczono na dwumetrową stertę gazet, zawilgłych i zapleśniałych, drugi na kolekcję zasiedlonych przez karaluchy pudełek po ciastkach i pustych puszek

po napojach. Poszperałem chwilę, nic nie znalazłem, w końcu nie wytrzymałem już smrodu.

Wyszedłem w opary bazylii, krzyknąłem: „Do widzenia!”, i sztywno przeszedłem między dobermanami. Szczerzyły zęby i warczały, ale się nie ruszyły, kiedy schodziłem po schodach. Na zewnątrz łąpczywie odetchnąłem: nawet smog ładnie pachniał.

Kiedy otwierałem seville'a, ktoś położył mi rękę na ramieniu. Obróciłem się na pięcie i stanąłem twarzą w twarz z jednym z żuli, czarnoskórym mężczyzną, którego podarte ubranie było tak brudne, że niemal jak on czarne. Granica między ubraniem a ciałem stała się niewidoczna, a on sam przypominał jakąś nagą, pierzastą jaskiniową istotę.

Jego gałki oczne miały kolor zepsutego masła; tęczęwki były zamglone i nieruchome. Mógł być w dowolnym wieku między czterdziestką a osiemdziesiątką, bezzębny, zgarbiony i wychudzony, a zapadnięte policzki pokrywał ostry jak pilnik zarost. Na głowie nosił przetłuszczoną czapkę narciarską, naciągniętą na uszy. Do niej przypiął znaczek „Kocham L.A.”, z serduszkami zamiast słowa „kocham”.

Klepnął się dłońmi w uda i zaśmiał. Jego oddech cuchnął starym serem i gałką muskatołową. Skrzywiłem się; to był poranek tortur wężowych.

- Brzydkiś - zacmokał.

- Dzięki - powiedziałem i się odsunąłem.

- Nie, człowieku, naprawdę brzydkiś.

Odwróciłem się, a dłoń znów wylądowała na moim ramieniu.

- Dość - warknąłem zirytowany, odpychając ją.

Zaśmiał się jeszcze głośniejsze i zaczął dygać.

- Brzydkiś! Brzydkiś!

Przekręciłem kluczyk w zamku. Żul przysunął się bliżej. Zacisnąłem nozdrza.

- Brzydkiś, brzydkiś. Aleś i bogaty.

O Jezu, co za dzień. Sięgnąłem do kieszeni i dałem mu wszystkie drobne, jakie znalazłem. Przyjrzał się im i uśmiechnął nieprzytomnie.

- Aleś brzydki! Aleś bogaty! Mam coś dla ciebie, jak ty masz coś dla mnie.

Dyszał prosto na mnie i nie zamierzał się odsunąć. Pozostali żule nas ignorowali, pogrążeni już w alkoholowym odrętwieniu. Dwóch małych Meksykanów minęło nas i się zaśmiało. Żul nachylił się bliżej, chichocząc. Mogłem go odepchnąć, ale był zbyt żalosny, by uciekać się do przemocy.

- Czego chcesz? - spytałem ostrożnie.

- Szukasz tego małego Japońca z czubem na łbie, co?

- Skąd wiesz?

- Brzydkiś, ale głupiś. - Poklepał się w chudą pierś. - A Budyń mądry.

Ceremonialnie wyciągnął rękę, powykręcana i ciemna, poznaczona mapą zmarszczek.

- Dobra, Budyniu - wyciągnąłem portfel i wyjąłem z niego piątkę - co chcesz mi powiedzieć?

- Ja cię - wyrwał mi banknot i schował go w swoich bezkształtnych szmatach - za to masz piosenkę i taniec. Brzydkiś i bogaty, może daj Budyniowi, co mu się należy?

Dziesięć dolarów i trochę targowania, i wydusiłem to z niego.

- Najpierw przyjeżdżasz wczoraj; a potem wracasz, węszysz i szperasz. Ale nie ty jeden. Japońca szukały też inne białe chłopaki. Brzydkie, ale nie tak jak ty. Tamci naprawdę paskudni. Łomotali brzydkim kijem.

- Ilu ich było?

- *Dose.*

- *Dose?*

- Jak mówią podpalańce, *uno, dose*, rozumiesz?

- Dwóch.

- Aha.

- Kiedy to było?

- W nocy, może przy pełni, może przy kwadrze.

- Wczoraj w nocy?

- Tak jakby.

- Skąd wiesz, że szukali Japończyka?

- Budyń siedział sobie z tyłu, po ciemku, i jadł kolację, rozumiesz, a oni poszli obok i gadali, „dorwiemy tego skośnookiego drania”. Weszli tam, zrobili kipisz, i wyszli, i mówili: „o cholera, o kurwa”.

Zaśmiał się, odkaszlnął i strzelił pecyną flegmy na ulicę.

- Jak wyglądali?

- Paskudni. - Wyszczrzył się. - Jak dwóch białych chłopaków.

Kolejna dziesiątka zmieniła właściciela.

- Jeden był chudy, a drugi gruby, rozumiesz? I byli ubrani w czarne skóry.

- Harleyowcy?

Popatrzył na mnie z tępym niezrozumieniem.

- Motocykliści? - naciskałem. - Anioły Piekieł?

- Tak jakby.

- Przyjechali na motocyklach?

- Może. - Wzruszył ramionami.

- Nie widziałeś, czym przyjechali?

- Budyń się nie afiszował; to faszyci, rozumiesz?

- Budyniu, czy pamiętasz coś jeszcze? Jakiego byli wzrostu, jak rozmawiali?

Pokiwał poważnie głową.

- Oszywiście.

- Co takiego?

- Paskudni byli.

Znalazłem budkę telefoniczną blisko Małego Tokio i zadzwoniłem do Mila. Nie zastałem go, zostawiłem wiadomość. W budce na łańcuchu wisiała połówka książki telefonicznej. Na szczęście była to druga połówka i znalazłem numer Próżnia Będzie Próżnią razem z adresem na Los Angeles Street, na południe od dzielnicy odzieżowej. Zadzwoniłem do galerii i odsłuchałem nagranie z sekretarki - nosowy, męski głos z pogardą informował słuchającego, że galeria otwiera się dopiero o czwartej po południu. Dawało mi to sześć godzin. Zjadłem lekki lunch z sushi i pojechałem do biblioteki publicznej na Piątej. Wpół do pierwszej siedziałem przy przeglądarce mikrofilmów, wyęzając wzrok i przewijając szczegóły. Chwilę trwało, zanim wszystko ogarnąłem, ale niedługo potem znalazłem to, czego szukałem.

Park był głównym tematem kroniki towarzyskiej „Los Angeles Timesa” z 5 lipca 1947 roku. Obok pełnego zachwyty

opisu ceremonii, która odbyła się w różanym ogrodzie nowo wybudowanej posiadłości młodej pary, zamieszczono formalny portret: pan młody wysoki, wąsaty, o kanciastej szczęce; panna młoda dziesięć lat młodsza, kruczowłosa i pulchna jak u Renoira, tuląca do niewielkiego biustu bukiet herbacianych róż i gipsówek. Wśród osób usadzających gości byli radny miejski, senator i kilku dziedziców wielkich fortun. Drużba, w.p. major Horace Souza, towarzyszył druźnie, siostrze panny młodej, Lucy, którą, kadził piszący, adorował na niedawnym Balu Debiutantek Las Flores.

Od samego początku było widać, że stosunki między Souzą a rodziną Cadmusów wykraczają poza zawodowe, co jest sytuacją nierzadką wśród bardzo bogatych i ich świty. Ale aż do teraz nic nie sugerowało wątku romantycznego. Souza nastroszył się, kiedy poruszyłem ten temat, i przyszło mi do głowy, że może reagował na coś więcej niż naruszenie jego prywatności. Może na coś osobistego, jak nieodwzajemniona miłość.

Wypożyczyłem kilka kolejnych szpulek mikrofilmu i zacząłem szukać dalszych wzmianek o nim i o Lucy. Z początku niczego nie znajdowałem - żadna nie pojawiła się w druku, aż artykuł z czerwca 1948 roku potwierdził moje przeczucia: była to zapowiedź ślubu Lucy Simpson z Newport, Rhode Island, z doktorem Johnem Arbuthnotem z Nowego Jorku i Newport, Rhodes Island.

Pozwoliłem sobie na chwilę satysfakcji z udanej zabawy w kanapowego detektywa, potem przypomniałem sobie, że życie miłosne Souzy nie miało nic wspólnego z tym, po co tu przyjechałem. Chciałem wskrzesić ducha: ducha innej Simpsonówny, mrocznej, udręczonej postaci. Dawczyni, według adwokata, wszystkich defektów DNA w chromosomach Jameya.

Cofnąłem się i jeszcze raz przeszukałem mikrofilmy w poszukiwaniu czegoś o Antoinette. Jak było do przewidzenia, nie znalazłem nic, co byłoby zapowiedzią psychozy: wiosenne zaręczyny, a przed nimi przyjęcia, bale charytatywne i tym podobne gesty przykładnego altruizmu, uważanego za odpowiedni dla młodych dam z klas uprzywilejowanych.

Coś nieoczekiwanego pojawiło się jednak we wrześniu 1946, w opisie nocnego przyjęcia na jachcie, który wypłynął z San Pedro i leniwie sunął na Catalinę.

Rejs został zorganizowany, by zebrać pieniądze dla rannych weteranów wojennych; był „wesołą galą, ze słynną kontynentalną kuchnią Romana Galle'a, szefą kuchni Biltmore'a z Santa Barbara, i z towarzyszeniem zwawych dźwięków Orkiestry Freddy'ego Martina”. Na liście gości były wszystkie znakomitości L.A., a wśród nich „urocza panna Antoinette

Hawes Simpson, która przetańczyła całą noc w ramionach swojego adoratora, w.p. majora Horace'a A. Souzy, niedawno jeszcze służącego na froncie europejskim”.

Zaintrygowany kopałem dalej i znalazłem jeszcze trzy artykuły łączące w parę przyszłą panią Cadmus z Souzą. Wszystkie napisano latem czterdziestego szóstego, a z ich entuzjastycznego tonu wynikało, że była to poważnie rokująca para: trzymali się za ręce w kręgu zwycięzców w Santa Anita; jedli kolację z szampanem w Hollywood Bowl; przeczekiwali sierpniowe upały, oglądając

przyłączyli z klimatyzowanej sali Albacore Club. Ale wraz z końcem lata skończył się najwyraźniej także ich romans, ponieważ Antoinette gazety nie łączyły już z żadnym mężczyzną aż do jej ślubu z Jackiem Cadmusem, kilka miesięcy później.

Nieodwzajemniona miłość zupełnie innego rodzaju.

A więc relacje Souza z Cadmusami były o wiele bardziej zawile, niż sobie wyobrażałem. Zastanawiałem się, co sprawiło, że ze starającego zmienił się w widza. Czy konkurował z Jackiem o rękę damy, czy Cadmus po prostu wstąpił w popioły wystygłego romansu? To, że Souza został drużbą Cadmusa, sugerowało, że nie żywili do siebie żadnej urazy. Ale nie oznaczało braku rywalizacji. Może uwielbienie, jakie Souza miał dla Johna Cadmusa, sprawiło, że zwycięstwo tamtego wydało mu się słuszne: wygrał faktycznie lepszy. Taka racjonalizacja sprawdzała się najlepiej w przypadku niskiej samooceny, a Souza, którego ja poznałem, był jak najdalszy od umniejszania swoich zasług. Mimo to przez czterdzieści lat wiele mogło się zmienić, a ja nie mogłem lekceważyć ewentualności, że w swoim czasie adwokat lubił się biczować.

Teraz z Jacka Cadmusa zrobił boga, a z Antoinette żalostnego odludka, biologicznie odpowiedzialnego za psychozę jej wnuka, a więc i za jego zbrodnie. Czy był to rezultat nigdy niezaleczonej rany, czy może Souza pogrzebał wystarczająco dużo swojego cierpienia, by być obiektywny? Przez chwilę się nad tym zastanawiałem, w końcu dałem spokój. Bez względu na to, jak by na to patrzeć, była to zamierzchła historia, bez wyraźnego związku z sytuacją Jameya.

Załadowałem przeglądarkę nowszymi rocznikami szpul. Jak mogłem przewidzieć, kolumny towarzyskie nie miały nic do powiedzenia o związku Petera Cadmusa z Margaret Norton, znaną jako Margo Sunshine. Małżeństwo Dwighta z Heather Palmer przyciągnęło za to pewną uwagę, chociaż sam ślub odbył się w Palo Alto. Panna młoda pochodziła z szanowanej rodziny: jej matka była oddaną członkinią Cór Rewolucji, a ojciec nieboszczyk znanym dyplomata, służącym w Kolumbii, Brazylii i Panamie,

gdzie urodziła się kolejna pani Cadmus. Nic, o czym już bym nie wiedział.

Oddałem mikrofilmy i wyszedłem z biblioteki za piętnaście czwarta. Ruch w śródmieściu, o tej porze zawsze uciążliwy, zgęstniał w nieruchome wstęgi stali. Robotnicy drogowi w pomarańczowych kamizelkach rozryli ulicę - jakiś wykonawca miał znajomych w ratuszu - a na asfalcie z sadystycznym na chybił trafił rozstawiono znaki informujące o objeździe. Do oddalonej o kilometr Los Angeles Street jechałem czterdzieści minut, a kiedy tam dotarłem, byłem spięty i wrogo nastawiony do świata - to odpowiedni chyba stan umysłu na konfrontację z nową falą sztuki.

Próżnia Będzie Próżnią była parterową witryną pomalowaną na matową czerń, przez żywioły poznaczoną wodnistymi, szarymi zaciekami. Szyld był dziełem dysgrafika - stłoczone czarne litery na obrośniętej brudem, turkusowej sklejce, którą zabito okna. Pozostałe budynki w tym kwartale mieściły sklepy z używaną odzieżą, a galeria służyła najwyraźniej temu samemu celowi, zanim doznała artystycznego oświecenia. Większość sklepów była zamknięta albo właśnie się zamykała - zaciemnione fasady chowały się za rozciągającymi kratami. Kilka pozostawało otwartych, wabiąc łowców okazji zastawiającymi chodniki wieszakami pełnymi tanich ubrań. Zaparkowałem seville'a pod parkometrem, wrzuciłem do automatu kilka dolarówek i wszedłem do galerii.

Wnętrze? Wystudiowany przykład antyestetyki. Na podłodze leżało brudne linoleum, lepkie i usłane niedopałkami. W powietrzu unosił się zastarzały odór ubrań. Niski sufit pokryto czymś, co wyglądało jak zepsuty twaróg. Rzekome dzieła sztuki wisiały byle jak, w losowych miejscach ścian, oświetlane z góry gołymi jarzeniówkami, w których światło jedne rażąco świeciły, a inne ginęły. Z tanich głośników ryczało coś, co brzmiało jak taniec godowy robotów - syntetyczne piski i trzaski do metalicznego rytmu bębnow. W głębi, po prawej stronie, przy szkolnej ławce siedział mężczyzna, gryzmołując coś i wycinając z gazety. Zignorował mnie.

Rzeczy na ścianach były prymitywne i wstrętne. Bez wątpienia jakiś krytyk uznałby je za pierwotnie surowe i pulsujące młodzieńczym gniewem, dla mojego niewprawnego oka jednak były dokładnie takie, jak domyślił się David Krohnglass: w stylu szat cesarza.

Ktoś o ksywie Moszna stworzył serię prymitywnych rysunków ołówkiem - ludziki z kresek i poszarpane linie. Same rysunki były na poziomie czterolatka, lecz żaden czterolatek, którego znałem, nie przedstawiał radośnie zbiorowych gwałtów ani okaleczeń. Narysowano je na tanim papierze, tak cienkim, że w kilku miejscach ołówek przebił się na wylot - bez

wątpienia to również należało do artystycznego przekazu - ale ramy pochodziły już z zupełnie innej bajki: zdobione, złożone, muzealnej jakości.

Druga kolekcja składała się z byle jak namazanych akrylami portretów mężczyzn o małych główkach i idiotycznych wyrazach twarzy, z olbrzymimi penisami w kształcie salami. Artysta/artystka podpisywał się jako Sally Vador Deli, a zamiast litery „l” używał maleńkiego, zielonego ogórka. Obok ludzi z salami stała rzeźba - *Etyka pracy* - składająca się z aluminiowego pręta wymontowanego ze stojącej lampy, obwieszzonego spinaczami do papieru i zszywaczami. Za nią wisiał olbrzymi, laminowany kolaż przepisów wyciętych z reklamówek supermarketów i ginekologicznych w wyrazie wycinków z rozkładówek „Hustlera”.

Prace Gary'ego Yamaguchi znajdowały się w głębi. Teraz podpisywał się „Garish”*, [Nieprzetłumaczalna gra słów. *Garish* (ang.) - jaskrawy, krzykliwy, ale można to też rozumieć Gary'owy (przyp. tłum.)] a jego dzieła były serią tableau, wykorzystujących lalki Barbie i Kena oraz inne wybrane przedmioty, zatopione w bezkształtnych bryłach przezroczystego plastiku. Jedno, *Chodźmy na kolację do dzielnicy Japońców: sashimi śmieci*, ukazywało klasyczną, amerykańską parę, siedzącą w brzuchu gnijącej ryby pełnej robaków. Na innym dwie pary bezgłowych lalek siedziały w czerwonym kabriolecie, ich cztery głowy stały ustawione równo na masce, a tło z czarnej bibuły wypełniał kartonowy grzyb. *Podwójna randka i mocny petting: Hiroshima-Nagasaki*. Na trzecim Barbie nadano dalekowschodni wygląd - miała czarną perukę gejszy, skośnie podmalowane oczy - i ubrano ją w kimono z folii aluminiowej. Siedziała z rozłożonymi nogami na skraju łóżka, paliła papierosa i czytała książkę, nie zwracając uwagi na wysiłki Kena w polowym mundurze, pracującego ustami u złączenia jej plastikowych ud. *Och, co za parka! Kabuki-szparka!*

Ale to ostatnie i największe tableau - kawał lucytu powierzchni pół na pół metra - przykuło moją uwagę. Gary stworzył miniaturę pokoju nastolatka z lat sześćdziesiątych. Dwucentymetrowe papierki miały być poznaczonymi szminką miłosnymi listami; z trójkątnych kawałków filcu zrobił futbolowe proporczyki; małe znaczki pocztowe z Beatlesami służył za plakat. Na podłodze walały się szklane fiołki po pastylkach, wielkości naparstków, małe zdjęcia Barbie i nieproporcjonalnie duża książka w

spękanej, skórzanej okładce, na której ktoś lawendowym flamastrem napisał: „Pamiętnik”.

Na środku tego bałaganu wisiała na krokwi z patyka po lodach lalka Ken z pętlą na szyi. Czerwoną farbą namalowano krew, a było jej mnóstwo. Ktoś uznał, że samo powieszenie Kenowi nie wystarczy: z brzucha lalki sterczał nóż-zabawka. Małe, różowe dłonie ścisnęły rękojeść. Gdyby ktoś jeszcze nie zrozumiał, u stóp trupa piętrzył się stos wnętrzności. Zrobiono je z gumowych rurek i pokryto czymś, co miało symulować śluz. Efekt był niepokojąco realny.

Tytuł tego wytworu twórczej ekspresji brzmiał: *Och, mój miły, wielkie oczy, harakiri: nędzny czyn*. Cena: sto pięćdziesiąt dolarów.

Odwróciłem się i podszedłem do mężczyzny za biurkiem. Miał krótkie, ciemne włosy z bordowymi i niebieskimi paskami po bokach, spiczaste uszy przekłute agrafkami i zaciętą, głodną twarz rekina o wąskich, pustych oczach. Podchodził pod trzydziestkę - był za stary na nastoletni bunt - i zastanawiałem się, czym się zajmował, zanim odkrył, że w L.A. dziwaczny wygląd może pomóc ukryć kolekcję złych zamiarów.

Rysował trójkąty i skreślał je, wciąż mnie ignorując.

- Interesuje mnie jeden z waszych artystów - rzuciłem.

Chrząknięcie.

- Garish.

Prychnięcie.

- Musisz pogadać z właścicielem. Ja tu tylko pilnuję. - To był ten pogardliwy głos z nagranej wiadomości.

- Kto jest właścicielem?

- Lekarz z Encino.

- Kiedy tu będzie?

Apatyczne wzruszenie ramion, podkreślone ziewnięciem.

- Nigdy.

- Nigdy tu nie przyjeżdża?

- Nie, stary. To jest jego... hobby.

Albo możliwość odpisania czegoś od podatku.

- Nie bywam tu często, więc byłbym wdzięczny, gdyby pan do niego

zadzwoił i powiedział, że chcę kupić jedno z tableau Garisha.

Popatrzył na mnie i się przeciągnął. Zauważyłem stare ślady po igłach na jego ramionach.

- To ze sceną samobójstwa - ciągnąłem. - *Nędzny czyn*. Chciałbym też porozmawiać z artystą.

- Tableau. - Wyszczrzył się w uśmiechu. Katastrofa: kilku zębów brakowało, te, które się uchowały, były połamane i brązowe. - To życie, człowieku. To śmieci. A nie jakieś tableau.

- Wszystko jedno. Zadzwoi pan?

- Nie wolno mi. Ciągłe kogoś operuje.

- A może zapłacę gotówką i dorzucę setkę jako prowizję? - Wyjąłem portfel.

Na to spochmurniał.

- Tak, jasne. Gotówką za śmieci. - Udawał apatycznego, ale oczy rozbłysły mu niecierpliwie i wyciągnął brudną rękę. - Skoro tak bardzo chcesz to mieć, będzie twoje za dwieście pięćdziesiąt.

- Zapłacę, ale muszę porozmawiać z Garishem. Znajdź go dla mnie, a zrobimy interes.

- To jest Próznia - zaskomlał - a nie biuro osób zaginionych.

- Niech tu będzie na szóstą, a prowizja wzrośnie do stu pięćdziesięciu. Obliznął wargi i postukał ołówkiem w biurko.

- Myślisz, że możesz mnie kupić, człowieku?

- Założyłbym się, że mogę.

- Chcesz mnie wstawić w swoje tableau, panie Elegancki?

Zignorowałem zaczepkę, udając nonszalancję.

- Mogę go znaleźć bez ciebie, ale chcę się z nim spotkać dzisiaj. Jeśli to załatwisz, dostaniesz sto pięćdziesiąt.

Prążkowana głowa kiwała się i kołysała.

- A skąd mam wiedzieć, gdzie on jest?

- Wystawiacie jego rzeczy na sprzedaż. Jeśli coś kupię, jesteście mu winni jego działkę. Coś mi mówi, że raz na jakiś czas się kontaktujecie.

Zmarszczył brew. Zastanawiałem się, jak często coś sprzedawał.

- Ściągnij go tu na szóstą. Powiedz mu, że Alex Delaware chce kupić

Nędzny czyn i porozmawiać.

Pokręcił głową.

- Żadnych wiadomości, człowieku. Nie zapamiętam tego wszystkiego.

- Delaware - powtórzyłem wolno. - Jak ten stan. Zna mnie.

Z rezygnacją wzruszył ramionami, a ja wyszedłem, wiedząc, że zrobi wszystko, żeby dostać te pieniądze.

W rogu parkingu była budka telefoniczna. Drzwi ktoś wyrwał i odgłosy ruchu ulicznego zagłuszały sygnał wybierania. Zakryłem jedno ucho i wybrałem numer swojej poczty głosowej. Jediną wartą zainteresowania wiadomością był telefon od Mila.

Złapałem go, kiedy właśnie wychodził do Głównego Szpitala Okręgowego.

- Słyszałem, że twój chłopak nieźle się urządził - powiedział.

- Paskudna sprawa. Musiał być niewiarygodnie przybity.

- Poczucie winy czasem tak działa - stwierdził Milo, ale słysząc było, że to swoboda wymuszona. Ściszył głos. - Co ci chodzi po głowie, Alex?

Opowiedziałem mu o harleyowcach, którzy włamali się do loftu Gary'ego.

- Aha. I powiedział ci o tym żul.

- Był mądrzejszy, niż wyglądał.

- Hej, nie czepiam się. Niektóre z moich najlepszych cynków pochodziły od pijaczyn. - Przerwał. - A więc łączysz to z tym, co ci opowiedziałem o ofiarach Rzeźnika, które zadawały się z harleyowcami.

- Wygląda to na zbieg okoliczności.

- Alex, ten Yamaguchi to punk, tak?

- Tak.

- Co oznacza dziesięć do jednego, że siedzi w prochach, kleju i spidzie. Harleyowcy są jednym z głównych źródeł spidu w tym stanie. Mówią na niego „korba”. Nie trzeba dużego IQ, żeby go zrobić, co akurat do nich pasuje. Yamaguchi prawdopodobnie kupował od nich i nie zapłacił w terminie.

- Sprzedawał.

- Jeszcze lepiej. Nie wyszedł im interes. Chłopcy w skórach wolą brutalne kary od wiążących arbitraży.

- W porządku - powiedziałem. - Pomyślałem tylko, że chciałbyś o tym wiedzieć.

- Dobrze zrobiłeś, że zadzwoniłeś, i jeśli coś jeszcze przyjdzie ci do głowy, daj znać, to znaczy, o ile Souza nie dostaje nerwicy, że zadajesz się z wrogiem.

Rozważyłem, czy powiedzieć mu o *Nędznym czynie*, ale wiedziałem, że można to zlekceważyć, uznać za pseudoartystyczną koncepcję morderstwa wziętą z gazet.

- Souza wylał mnie dzisiaj rano.

- Nie jesteś mu już potrzebny, tak?

- Ogólnie rzecz biorąc.

- Ma to jakiś sens. Z chłopakiem od chwili aresztowania jest coraz gorzej, a próba samobójcza wystarczy chyba, by wydać orzeczenie o tymczasowej niezdolności do stawania przed sądem. Przy odpowiedniej dawce zwlekania ta sprawa może nigdy nie skończyć się rozprawą.

- Jakiego zwlekania?

- Papierowych gierk. Jedno odroczenie po drugim.

- Ile to może trwać?

- Zapłać odpowiednio takiemu jak Souza, a on wymyśli, jak odroczyć wschód słońca. Musi tylko trzymać chłopaka z dala od mediów, aż ludzi przestanie ta sprawa interesować. Świetny system, co?

- Wspaniały.

- Rozchmurz się, kolego. To raczej oczywiste, że Cadmus nie powinien chodzić wolno po ulicach. Przynajmniej będzie miał miękkie ściany.

- Chyba masz rację.

- W każdym razie, skoro nie stoimy już po przeciwnych stronach barykady, może umówimy się na kolację i przyjemną rozmowę?

Mówił dziarskim, wesołym tonem i domyśliłem się dlaczego.

- Dwie czy cztery osoby?

- Ee, cztery. - Przerwał. - Dzwonił, jutro wraca.

- Cieszę się, Milo.

- Tak, wiem. Dzięki za słowa otuchy, kiedy tego potrzebowałem.

- Nie ma sprawy.

Wróciłem do Próżni tuż przed zmierzchem. Kiedy Prążkowany mnie zobaczył, zerwał się i zaczął nerwowo kiwać głową.

- Załatwione? - spytałem.

Kiwnął w stronę pustego miejsca na ścianie, gdzie przedtem wisiał *Nędzny czyn*.

- Przyszedł tu jeden, jak ty poszedłeś, i cię przelicytował, człowieku.

- Myślałem, że się umówiliśmy.

- Hej, mamy wolny rynek.

- Kto to kupił?

- Jakiś koleś w garniaku.

- Stać cię na więcej.

- To tyle, człowieku. Nie patrzę im w twarz.

- Ile zapłacił?

- Co za różnica? Podoba ci się to gówno, wybierz coś innego.

Mogłem go przycisnąć, ale kupno rzeźby było pretekstem, żeby spotkać się z jej twórcą. A Prążkowany wciąż był moim jedynym kontaktem z Garym.

- Trudno. Ale umowa cały czas obowiązuje co do tej drugiej sprawy?

- Jasne. - Wyciągnięta dłoń. - Dwie stówy.

- Sto pięćdziesiąt dorzuciłem do ceny rzeźby. Wystawiłeś mnie, więc będzie sto dwadzieścia pięć.

Skrzywił się, wsadził ręce do kieszeni i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Obietnica rychłego dobrobytu zwiększyła jego apetyt na chemiczne marzenia.

- Kurwa, nie. Sto pięćdziesiąt.

Wyjąłem z portfela trzy pięćdziesiątki, jedną mu dałem, dwie zatrzymałem.

- Dostaniesz resztę, kiedy go zobaczę.

Przeklinając, wyrwał mi pieniądze i wrócił za biurko.

- Zaczekaj. Powiem, kiedy będzie pora.

Wrócił do gryzmolenia, a ja przez dziesięć ogłupiających minut chodziłem po galerii. W końcu wstał, machnął ręką i poprowadził mnie tylnym wyjściem przez magazyn do ciemniejszego zaułka. Wytarł nos rękawem i wyciągnął rękę.

- Dawaj.

- Gdzie jest Gary?

- Zaraz tu będzie, człowieku.

- To zaraz ci zapłacę.

- Wal się - syknął, ale cofnął się i stanął w cieniu.

Rozejrzałem się. Zaułek był wstęgą splekanego asfaltu, zastawioną powykrzywianymi, przepelnionymi kontenerami na śmieci. Odpadki wysypywały się na ziemię, a dziury pełne brudnej wody nieruchomo lśniły. I smród. Przypomniałem sobie, jak Jamey używał tego słowa, i zacząłem się zastanawiać, jaki rozkład podsycił jego wizje.

Po kilku chwilach za jednym z kontenerów coś się poruszyło i dały się słyszeć odgłosy drapania szczurów.

Dwa cienie przesuwały się wzdłuż ścian budynków, potem wyszły na otwartą przestrzeń. Goła żarówka nad tylnymi drzwiami galerii spluwała na asfalt trójkątem zimnego światła. Cienie stały poza jego zasięgiem, ale na tyle blisko, by nabrać trzech wymiarów.

Więszym był Gary. Gęste, czarne włosy zgolił na łyso, nie licząc irokeza ufarbowanego na niebiesko. Do czuba przykleił kilka gwoździ i po-lakierował całość na sztywno, tworząc wysoki, zębaty, koguci grzebień. Miał na sobie kamizelkę z drucianych kółek, włożoną na gołą skórę, i brudne czarne dżinsy, dziurawe i wpuszczone w czarne gumki. Zardzewiała brzytwa na stalowym łańcuchu zwisała mu na pierś jak naszyjnik, a jedno ucho rozciągał kolczyk z piórem. Pasek zastępował mu kawałek sznura, na którym zawiesił rozkładany nóż. Pamiętałem, że był krótkowidzem, ale nie nosił okularów. Zastanawiałem się, czy kupił szkła kontaktowe, czy może poprawianie wzroku stało w sprzeczności z jego nowymi zasadami.

Dziewczyna obok niego, najwyżej piętnastoletnia, była bardzo drobna, około metra pięćdziesięciu. Miała nadąsaną twarz lalki z zadartym, krótkim

nosem, zrytą opryszczką i zwieńczoną bezładną czapą włosów w kolorze barszczu. Upudrowała się na biało, a wokół oczu namalowała ciemne kręgi, ale zły tryb życia zaczynał już odciskać własne cienie. Z powodu krzywego zgryzu usta się jej lekko nie domykały; spod umalowanych na czarno warg przeblyskiwał aparat ortodontyczny. Zastanawiałem się, czy ten, który za niego zapłacił, dalej jej szuka.

Mimo strojów i wystudiowanej opryskliwości oboje wyglądali na delikatnych i niewinnych. Jak Jaś i Małgosia, zepsuci przez wiedźmę.

- Pasuje, człowieku? - spytał Prądkowany.

Dałem mu dwie pięćdziesiątki, a on czmychnął z powrotem do środka.

- Gary?

- Tak? - Głos miał cichy i bezbarwny, pozbawiony emocji tak samo, - jak muzyka rycząca w galerii.

W przypadku kogoś innego spróbowałbym się jakoś porozumieć, pogawędzić i uciec się do wspomnień, osłodzonych upływem czasu. Ale dawny Gary i ja niewiele ze sobą przestawaliśmy, a to stworzenie przede mną najwyraźniej nie miało ochoty na pogawędki.

- Dzięki, że przyszedłeś. Chcę z tobą porozmawiać o Jameyu.

Skrzyżował ręce na piersi, jego kolczuga zabrzęczała.

Podszedłem krok bliżej, a on się cofnął. Wdepnął w koleinę i poleciał w tył; dziewczyna chwyciła go za ramię i podtrzymała. Kiedy złapał równowagę, wtuliła się w niego obronnym gestem. Z bliska zobaczyłem, że oczy miał wytrzeszczone i rozmyte. Nie nosił kontaktów.

- Czego chcesz? - spytał.

Goła żarówka podświetlała od tyłu kolce w jego włosach.

- Wiesz, w jakich on jest kłopotach.

- Tak. - Obojętnie.

- Jego adwokat prosił mnie, żebym ocenił jego stan umysłowy. Ale osobiście też próbuję zrozumieć, co się stało.

Patrzył na rozmytą plamę, którą była moja twarz, milczący i nieporuszony. Zachowywał się i mówił mechanicznie, jakby ktoś wyciął z niego osobowość, przepuścił ją przez syntezytor i otrzymał coś częściowo tylko organicznego. Nigdy się z nim łatwo nie rozmawiało, a punkowa zbroja była jeszcze jedną warstwą do przebicia. Ciągnąłem dalej, nie mając wielkich nadziei na sukces:

- Inni z projektu mówili, że się przyjaźniliście, że rozmawiał z tobą częściej niż z nimi. Pamiętasz, czy mówił albo robił coś, co wiązało się z tym, co się stało?

- Nie.

- Ale rozmawialiście.

- Tak.

- O czym? Wzruszył ramionami.

- Nie pamiętasz?

- To przeszłość. Wymarła.

Spróbowałem bardziej bezpośrednio.

- Zrobiłeś rzeźbę, która łączyła elementy samobójstwa jego ojca i morderstw Lawendowego Rzeźnika.

- Sztuka odzwierciedla życie - wyrecytował.

- Zatyłowałaś ją *Nędzny czyn*, Gary. Tak Jamey opisywał samobójstwo.

- Tak.

- Po co? Co to znaczy?

Słaby uśmiech przemknął po jego ustach i zniknął.

- Sztuka mówi sama za siebie.

Dziewczyna pokiwała głową i objęła go mocniej.

- To geniusz - powiedziała, a ja po raz pierwszy zauważyłem, jacy oboje są chudzi.

- Bywa - odparłem - że geniusze nie są doceniani w swoich czasach. Jaki procent z każdej sprzedaży dają ci w Próżni?

Udawał, że nie usłyszał pytania, ale w oczach dziewczyny pojawiło się coś, co wyglądało jak głód.

Zaczynając się czuć jak jakaś minifundacja, sięgnąłem do portfela i wyjąłem kilka banknotów. Jeśli Gary zobaczył pieniądze, zignorował to. Lecz dziewczyna je wzięła, przeliczyła i schowała pod pas od pończoch. Nie gwarantowało mi to ich współpracy, może jednak chociaż część wydaliby najedzenie.

- Gary, czy Jamey brał narkotyki? - spytałem.

- Tak.

Jego swobodna odpowiedź mną wstrząsnęła.

- Skąd wiesz?

- Miał tripy.

- Po kwasie?

- Tak.

- Widziałeś kiedyś, żeby brał kwas?

- Nie.

- A więc wnioskujesz z jego zachowania?

Dotknął pióra swojego kolczyka.

- Wiem, jak się tripuje - burknął.

- Doktor Flowers i inni byli pewni, że nic nie brał.

- To proste androidy.

- Możesz mi powiedzieć coś jeszcze o jego braniu?

- Nie.

- Widziałeś, żeby brał coś innego niż kwas?

- Nie.

- Myślisz, że brał?

- Tak.

- Co brał?

- Spida. Depresanty. Świniaka.

- PCP?

- Tak.

- I wnioskujesz, że brał te narkotyki, z tego, jak się zachowywał?

- Tak. - Znudzony.

- Gary, myślisz, że Jamey jest zdolny do zamordowania tylu ludzi?

Wybuchł ochryłym, histerycznym śmiechem, niespodziewanym i nieprzyjemnym jak dźgnięcie nożem w ciemności. Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdziwieniem, potem mu zawtórowała.

- Co cię tak rozbawiło, Gary?

- To było głupie pytanie.

- Dlaczego?

- Czy jest zdolny do mordowania? - Znów się zaśmiał. - Czy jest zdolny do oddychania?

- To to samo?

- Pewnie. Jedno może być tak samo łatwe jak drugie. To wszystko część interfejsu człowiek-bestia.

Dziewczyna znów przytaknęła.

- Możesz mi powiedzieć coś jeszcze?

- Nie.

Kiwnął jej głową i się odwrócili. Spróbowałem jeszcze raz.

- Byłem dzisiaj w waszym mieszkaniu. Ktoś mi powiedział, że ci, co je przeszukali, byli harleyowcami. Jeden gruby, drugi chudy.

Zaczekałem na reakcję, ale żadna nie nastąpiła.

- Domyślasz się, kto to mógł być?

- Nie.

- A ty? - zapytałem dziewczynę.

Pokręciła głową i wyduła usta, ale zauważyłem cień strachu.

- Macie kłopoty?

- Interfejs człowiek-bestia - powtórzyła jak papuga. - Wszyscy degenerujemy się z powrotem do szlamu.

Odwrócili się do mnie plecami.

- Gdzie idziecie?! - zawołałem. - Gdybym znów musiał z wami porozmawiać?

Gary zatrzymał się i wolno odwrócił, ostrożnie, by się nie zachwiać. W nikłym oświetleniu zaułka jego twarz lśniła, płaska, blada i ponura.

- Jedziemy do Średniakowa - wyrecytował. - Ja dostanę pracę przy linii montażowej Forda, będę mocował drzwi na modelach kombi. Szparka

wstąpi do komitetu rodzicielskiego. Będziemy mieli trójkę małych brzdąców. Codziennie Szparka będzie mi szykować drugie śniadanie, z termosem i paczką herbatników. Będziemy oglądać telewizję i umrzemy we śnie.

Stał nieruchomo pośród śmieci. Potem z wściekłością złapał dziewczynę za rękę i pociągnął ją za sobą; zniknęli z zasięgu mojego wzroku.

Kiedy wróciłem do domu, Robin była już w kuchni; mieszała sałatkę. Wytarła ręce i dała mi czosnkowo-anchoisowego buziaka.

- Cześć, dzwonił manager Billy'ego i powiedział, że Roland Oberheim może się z tobą spotkać jutro o trzeciej. Zostawiłam ci adres na szafce nocnej.

- Świetnie - odparłem apatycznie. - Podziękuj mu ode mnie, kiedy go będziesz widziała.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Alex, to kosztowało trochę wysiłku. Mógłbyś okazać więcej entuzjazmu.

- Masz rację. Przepraszam. Wróciła do sałatki.

- Ciężki dzień?

- Przejażdżka przez miejskie bagno. Streściłem jej ostatnich dziesięć godzin. Wysłuchiła bez komentarza.

- Gary ma chyba poważne kłopoty - powiedziała na koniec.

- Przeszedł z jednej skrajności w drugą. Pięć lat temu był greczny i posłuszny tak, że bardziej się nie da. Dużo energii, kompulsywny pracuś. Teraz, kiedy się zbuntował, cała ta energia poszła w nihilizm.

- Z tego, jak opisujesz jego rzeźby, wynika, że wciąż ma w sobie dużo tej kompulsywności. Taka praca wymaga drobiazgowych przygotowań.

- Chyba tak. Te „dzieła” miały szokować, ale rzeczywiście były zaplanowane, prawie rytualnie.

- To bardzo japońskie. W zeszłym roku, kiedy byłam w Tokio, widziałam pokaz tańca ulicznego, który dawały japońskie gangi młodzieżowe, ubierające się jak brylantynowcy z lat pięćdziesiątych. Nazywają się *zoku*, plemiona. Jest tam kilka rywalizujących grup i każda wyznacza sobie swój teren w parku Yoyogi w niedzielę po południu. Przychodzą w czarnych skórkach, prychając i robiąc miny, rozstawiają magnetofony i tańczą do kaset Buddy'ego Holly'ego. Starsze pokolenie jest zszokowane, i o to właśnie chodzi. Ale kiedy się przyjrzeć uważnie, widać, że nie ma w tym nic spontanicznego. Wszystkie tańce, każdy gest i krok, są sztywno wyćwiczone. Każdy gang stworzył własną choreografię. Żadnej dowolności, ani śladu indywidualizmu. Zamienili bunt w rytuał shinto.

Przypomniałem sobie pożegnalny monolog Gary'ego o Średniakowie. Z perspektywy czasu rzeczywiście przypominał rytualny zaśpiew.

Robin wyjęła z miski liść sałaty i spróbowała, a potem wycisnęła więcej soku z cytryny. Usiadłem przy kuchennym stole, podwinąłem rękawy i wbiłem wzrok w blat. Przez chwilę coś jeszcze szykowała.

- Coś cię gnębi, Alex? - spytała, sięgając po butelkę sosu Worcestershire. - Wyglądasz na przybitego.

- Myślałem właśnie, jakie to dziwne, że dwoje z sześciorga dzieci z projektu tak szybko się załamało.

Wyszła zza blatu i usiadła naprzeciw mnie, podpierając brodę dłońmi.

- Może Gary wcale się nie załamał - zastanowiła się. - Może przechodzi tylko nastoletni kryzys tożsamości, a następnym razem, kiedy go spotkasz, będzie wykladał na Cal Techu.

- Nie sądzę. Miał w sobie jakiś przerażający fatalizm; jakby naprawdę nie obchodziło go, czy żyje. I brak emocji, który wykraczał daleko poza bunt. - Ze znużeniem pokręciłem głową. - Robin, mówimy o dwóch chłopcach z niesamowitymi intelektami, którzy wypadli poza nawias życia.

- Co potwierdza odwieczny mit geniusza-szaleńca.

- Według podręczników to mit. Za każdym razem, kiedy ktoś badał ten problem, wysoka inteligencja wydawała się iść w parze z lepszym, a

nie gorszym przystosowaniem emocjonalnym. Ale podmioty tych badań miały ilorazy inteligencji od stu trzydziestu do stu czterdziestu pięciu; to byli ludzie na tyle inteligentni, by się wybijać, lecz nie aż tak, żeby się nie móc dostosować. Dzieciaki z Projektu 160 to inny gatunek. Trzylatek, który tłumaczy z greki, to aberracja. Półroczne dziecko, które płynnie mówi po angielsku, tak jak Jamey, po prostu przeraża. W Średniowieczu uważano, że geniusze są opętani przez demony. Chlubimy się, że jesteśmy oświeceni, ale wyjątkowej potęgi umysłu wciąż się boimy. Dlatego izolujemy geniuszy, odtrącamy ich. I to właśnie spotkało Jameya. Jego własny ojciec widział w nim jakiegoś potwora. Zaniedbywał go i porzucił. Niańki przychodziły i znikaly. Jego wuj i ciotka chwalą się, ile to dla niego zrobili, jest jednak oczywiste, że wcale im się nie podobało to, że spadł im na kark.

Robin słuchała, a w jej ciemnych oczach był smutek. Mówiłem dalej, głośno rozmyślając:

- Ktoś kiedyś powiedział, że historia cywilizacji to historia geniuszu. Utalentowany umysł tworzy, a reszta z nas kopiuje. Mnóstwo cudownych dzieci wyrasta na wspaniałych dorosłych. Ale wiele innych wypala się w młodości. Najistotniejsze jest wsparcie, jakie dziecko otrzymuje od rodziców. Trzeba wyjątkowej wrażliwości, by wychować małego geniusza. Niektóre dzieci mają szczęście. Jamey go nie miał. - Głos uwiązł mi w gardle. - Koniec wykładu.

Ścisnęła moją dłoń.

- Co tak naprawdę się stało, skarbie?

Przez kilka długich chwil milczałem, potem wydusiłem:

- Kiedy stanął na moim progu pięć lat temu, przyszedł dlatego, że pragnął mieć tatę. Czas, który spędziłem razem, musiał stworzyć iluzję, że w końcu go znalazł. W jakiś sposób przekształciło się to w romantyczną miłość, a kiedy ją wyraził, ja go odrzuciłem. To był punkt zwrotny. Gdybym zareagował właściwie, mogłoby się to wszystko skończyć lepiej.

- Alex, on cię zaskoczył. Nikt nie mógł zareagować inaczej.

- Z moim przygotowaniem powinienem był się tego spodziewać.

- Byłeś konsultantem na pół etatu, a nie kierownikiem projektu. A co z odpowiedzialnością Sarity Flowers? Dwoje z sześciorga jej dzieci zwariowało, czy to nie świadczy jakoś o jakości jej kierownictwa?

- Santa jest bardziej inżynierem niż psychologiem. Nie ocenia nadwrażliwości. Dlatego właśnie zaangażowała mnie, żebym to ja monitorował ich przystosowanie emocjonalne. Ale ja byłem za bardzo ufny, prowadziłem swoje małe pogadanki i roiłem sobie, że to wystarczy.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy.

Puściła moją dłoń, wstała i wróciła do sałatki. Wyjęła dwa steki z lodówki i rozpoczęła milczącą procedurę tłuczenia ich i marynowania, a ja się przyglądałem.

- Alex - odezwała się w końcu. - Jamey miał problemy na długo przed tym, zanim projekt wystartował. Przed chwilą wymieniłeś kilka powodów. Nielogicznie jest uważać, że jeden incydent mógł coś zmienić. Siedzisz w tym koszmarze i straciłeś dystans. Souza zrobił ci przysługę, kiedy cię zwolnił. Wykorzystaj to.

Spojrzałem na nią. Była poważna, spojrzenie miała ciężkie od troski. Ależ ze mnie rozrywkowy facet.

- Może masz rację - powiedziałem, bardziej z litości dla jej uczuć niż z wewnętrznego przekonania.

Dużą część następnego poranka spędziłem, obdzwanając szpitale i rejestry pielęgniarek. Marthe Surtees nigdzie nie znalazłem, ale Andrea Vann podpisała umowę z dziewiątym pośrednikiem, do którego zadzwoniłem. Porozmawiałem z recepcjonistką, która przełączyła mnie do kierownika, Tubbsa, starszego mężczyzny z lekkim karaibskim akcentem. Kiedy poprosiłem o aktualny adres pani Vann, z jego głosu zniknęła cała śpiewność.

- Powiedział pan, że jak się nazywa?

- Doktor Guy Mainwaring. - Wyniośle. - Jestem dyrektorem medycznym szpitala Canyon Oaks w Agourze.

Znacząca pauza.

- Och, tak. - Tubbs zrobił się nagle służalczy. Nie ma sensu zrażać potencjalnego klienta. - Z przyjemnością bym panu pomógł, doktorze, ale musimy chronić prywatność naszych pracowników.

- Rozumiem - odparłem ze zniecierpliwieniem - ale nie o to chodzi. Pani Vann pracowała dla nas do niedawna... Zakładam, że napisała o tym w swoim wniosku.

- Tak, oczywiście - wymamrotał, nie mając papierów przed sobą.

- Nasz dział kadr poinformował nas, że należy się jej dodatkowa wypłata za niewykorzystany urlop. Wysłaliśmy jej czek do domu, ale wrócił, z pieczętką „adresat nieznany”. Moja sekretarka dzwoniła do państwa agencji w zeszłym tygodniu, ktoś obiecał, że się do niej odezwie, i cisza.

- Będę musiał to sprawdzić...

- Tak czy inaczej, postanowiłem zadzwonić sam.

- Oczywiście. Potrzebuje pan też numer telefonu, doktorze?

- Mógłby się przydać.

Przełączył mnie na oczekiwanie i wrócił po minucie.

- Doktorze, pani Vann zarejestrowała się u nas w zeszłym tygodniu, a my znaleźliśmy jej dwie oferty. Ale nie odpowiedziała na nasze telefony i od tamtej pory nie mamy z nią kontaktu.

- Typowe - westchnąłem. - Inteligentna, zdolna kobieta, ale często bez zapowiedzi znika.

- Dobrze wiedzieć.

- Oczywiście. A teraz, co do tego adresu... - Zaszeleściłem jakimiś papierami. - Według naszych danych mieszka przy Colfax w North Hollywood.

- Nie, my mamy adres w Panorama City. - I podał mi potrzebne informacje.

Telefon był wyłączony.

Do gorszej części Valley miałem dwadzieścia pięć minut jazdy autostradą. Adres, który podał mi Tubbs, to Cantaloupe Street, w kwartale trzypiętrowych czynszówek z lat pięćdziesiątych - tanich romboidów pomalowanych w dziwaczne kolory. Budynek, którego szukałem, był cytrynowożółty i upstrzony błyszczącymi drobinkami. Pozbawione bramy wejście na środku ukazywało podwórko w kształcie litery „U”, zbudowane wokół basenu. Zielone, gotyckie litery układały się w napis „Cantaloupe arms”, co wywołało u mnie serię obrazów, od których zakręciło mi się w głowie. Przed

budynkiem rozciągał się żaloszny splacheć sukulentów, spomiędzy których sterczała wyschnięta, gipsowa fontanna. Betonowy chodnik prowadził przez rośliny do wejścia.

Nie było spisu mieszkańców, ale na prawo od wejścia wisiały mosiężne skrzynki na listy. Większość została opisana, na żadnej nie znalazłem nazwiska Vann. Te od mieszkań numer 7 i 15 były puste. Wszedłem na podwórko i uważniej się rozejrzałem.

Każde mieszkanie miało widok na basen - nerkowaty w kształcie i mętny - i własne wejście. Drzwi pomalowano na oliwkowozielono, a mało solidne z wyglądu, oliwkowe stalowe poręcze biegingy wzdłuż obu górnych galerii. Numer 7 był na parterze, w połowie długości północnego ramienia U. Zapukałem do drzwi, nikt nie odpowiedział. Zajrzałem przez szparę między zasłonami - zobaczyłem mały, pusty salon, a za przepierzeniem ze skleiki aneks kuchenny bez okna. Żadnych śladów, że ktoś tu mieszka. Wszedłem po schodach na piętro, do piętnastki.

Tym razem moje pukanie wywołało reakcję. Drzwi się otworzyły i wyjrzała zza nich zaspana, niewysoka, ładna blondynka około dwudziestu

pięciu lat. Uśmiechnęła się; miała spiczastą, kocią twarz i była ubrana w pijące w kroku szorty do biegania oraz bluzkę na ramiączkach, opinającą się na ciężkich piersiach. Jej sutki miały rozmiar cebulek do koktajli. Przez otwarte drzwi doszedł mnie zapach mocnych perfum i kawy oraz cichy refren piosenki Barry'ego Manilowa. Nad białym ramieniem zobaczyłem czerwoną, aksamitną sofę i stoliki z nóżkami z kutego żelaza. Na ścianie wisiały znaki zodiaku w ramce i tani olejny obrazek leżącej, nagiej kobiety, trochę podobnej do tej w drzwiach.

- Cześć - powiedziała zalotnie. - Musisz być Tom. Jesteś trochę za wcześnie, ale to nic.

Przysunęła się bliżej, jedną ręką pogładziła mój biceps.

- Nie krępuj się - zachęciła. - Wejdz i zabawmy się.

- Przykro mi. - Uśmiechnąłem się. - Pomyliłem drzwi.

Ręka opadła, a twarz stwardniała i postarzała się o dziesięć lat.

- Szukam Andrei Vann - wyjaśniłem.

Cofnęła się i sięgnęła do drzwi.

Wysunąłem stopę i nie pozwoliłem ich zamknąć.

- Co, do cholery... - zaczęła.

- Chwileczkę.

- Posłuchaj pan, mam randkę. - Usłyszeliśmy trzask drzwi samochodu, a blondynka podskoczyła. - To może być on. Już, niech się pan stąd

wynosi.

- Andrea Vann. Pielęgniarka. Ciemne włosy, ładna.

Przygryzła wargę.

- Duże cycki, mały, ciemnowłosy dzieciak?

Przypomniałem sobie, jak Vann opowiadała, że mój wykład pomógł jej rozwiązać problemy ze snem jej dziecka.

- Zgadza się - powiedziałem.

- Na dole.

- Który numer?

- Nie wiem, któryś po tej stronie. - Pokazała na północ palcem o długim paznokciu. Na pustym podwórku rozległy się kroki. Blondynka wpadła w panikę i napała na drzwi. - Szybciej, to on. Nie spieprz mi pan dnia.

Odsunąłem się, a ona zatrzasnęła drzwi. Kiedy ruszyłem w stronę schodów, na górę wszedł nimi mężczyzna - młody, cherlawy, brodaty, w dzinsach i niebieskiej koszuli z napisem „Tom” na jednej kieszeni. Niósł coś w papierowej torbie, a kiedy się mijaliśmy, nie patrzył mi w oczy.

Wróciłem pod siódemkę, jeszcze raz zajrzałem do pustego salonu i zastanawiałem się właśnie, co dalej, kiedy za sobą usłyszałem piskliwy głos:

- Pomóc w czymś panu?

Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz ze staruszką w różowej, pikowanej podomce i takiej samej siatce na włosy. Spod siatki wyglądała ołowianoszara fryzura, podkreślająca szarość cery kobiety. Staruszka była niska i chuda, miała skrzywione usta, gumiate policzki, mocny podbródek z dołkiem i niebieskie oczy, które przyglądały mi się podejrzliwie.

- Szukam pani Vann.

- Pan z rodziny?

- Tylko znajomy.

- Na tyle dobry, żeby zapłacić jej długi?

- Ile jest pani winna?

- Nie zapłaciła czynszu za trzy miesiące z rzędu. Zwodziła mnie wymówkami, że spóźnili się jej z zasiłkiem na dziecko, że dużo zapłaciła za lekarza i tak dalej, same smutne historyjki. Powinnam była

powiedzieć, że mnie to nie obchodzi, ale ja dałam jej czas. To się nazywa wdzięczność.

- Ile wynosi należność za trzy miesiące?

Poprawiła skraj siatki i mrugnęła okiem.

- No, szczerze mówiąc, mam kaucję za ostatni miesiąc i kaucję na naprawy, która powinna być większa, lecz i tak zostaje półtora miesiąca, siedemset pięćdziesiąt. Zgodzi się pan wyłożyć taką sumę?

- O kurczę - powiedziałem. - Jedziemy na tym samym wózku. Pożyczyła ode mnie sporo pieniędzy, i przyjechałam spróbować je odebrać.

- Świetnie. - Prychnęła. - Wiele mi pan pomoże. W jej oczach zamigotało jednak zrozumienie.

- Kiedy wyjechała?

- W zeszłym tygodniu. Wyśliznęła się w środku nocy jak jakiś złodziej. Widziałam to tylko dlatego, że było późno, a ktoś ryczał klaksonem, więc poszłam zobaczyć, co się dzieje. A tam była ona, rozmawiała sobie z jakimś obdartusem i leżała na klaksonie, jakby nigdy nic. Zobaczyła mnie, zrobiła wystraszoną i skruszoną minę, i szybko odjechała. Najbardziej rozzłościło mnie to, że miała nowy samochód. Pozbyła się swojego gruchota i kupiła błyszczącego, małego mustanga. Na niego znalazła pieniądze, ale dla mnie nie. Ile jest winna panu?

- Dużo - jęknąłem. - Wie pani, dokąd mogła pojechać?

- Skarbie, czy gdybym wiedziała, rozmawiałabym teraz z tobą?

Uśmiechnąłem się.

- Jacyś inni lokatorzy ją znali?

- Nie. Jeśli jest pan jej przyjacielem, to chyba jedynym. Przez pół roku, kiedy tu mieszkała, nie widziałam, żeby z kimś rozmawiała albo miała

gości. Oczywiście, pracowała w nocy i spała w dzień, więc to mogło być jakieś wytłumaczenie. Ale i tak zawsze podejrzewałam, że coś z nią jest nie tak. Taka ładna dziewczyna, żeby z nikim się nie zadawała...

- Wie pani, gdzie pracowała, zanim uciekła?

- Nigdzie. Zauważyłam, bo normalnie codziennie odwoziła dzieciaka do szkoły, potem wracała spać, odbierała dzieciaka i szła do pracy. Mijali się w drzwiach, świetny sposób na wychowywanie dzieci, gdyby mnie pan zapytał, ale tak teraz się robi. Parę razy prosiła, żebym zaglądała do małego; czasem dawałam mu ciastko. Dwa tygodnie temu wszystko to się zmieniło. Dzieciak zaczął zostawać w domu, razem z nią. Wychodziła w środku dnia i zabierała go ze sobą. Najpierw pomyślałam, że mały jest chory, wyglądał jednak całkiem nieźle. Pewnie po prostu mieli wakacje. - Kiedy przestała

pracować, powinnam była się domyślić, że nie dostanę swoich pieniędzy. Ale tak się właśnie kończy, kiedy człowiek jest zbyt ufny.

Współczująco pokiwałem głową.

- Najgorsze jest to, że zawsze ją lubiałam. Była cicha, ale z klasą. Wychowywała małego sama. Nawet te pieniądze bym przecierpiała, właściciel jest bogaty, jakoś przeżyje, ale nie mogę znieść kłamstwa. Wykorzystywania.

- Wiem, o co pani chodzi.

- Tak - ciągnęła, biorąc się pod boki. - Cały czas mnie prześladowuje ten mały, sportowy samochodzik.

Wróciłem na autostradę, rozmyślając o nagłym wyjeździe Andrei Vann. To, że zarejestrowała się w agencji Tubbsa zaraz po odejściu ze szpitala, wskazywałoby na zamiar pozostania w mieście. Ale wydarzyło się coś, co kazało jej spakować walizki w środku nocy. Nie wiedziałem, czy miało to jakiś związek z Jameyem; mnóstwo stresujących sytuacji mogło wygnać samotną matkę z dzieckiem z miasta. Jedynym pewnym sposobem ustalenia tego była rozmowa, a ja nie miałem pojęcia, jak kobietę znaleźć.

Zjechałem z autostrady w Laurel Canyon i pojechałem na południe do Hollywood. Biuro Rolanda Oberheima mieściło się na La Brea, kawałek na południe od Santa Monica Boulevard, w małym, piętrowym budynku biurowym, obitym w jodełkę cedrowymi deskami. Na parterze mieściło się studio nagraniowe. Osobnym wejściem wchodziło się na schody prowadzące na piętro, zajmowane przez trzy koncerty rozrywkowe: Radosny Hałas Records (filię Muzycznej Sieci Chrześcijańskiej), Grupę Druckmana:

Profesjonalny Management oraz, na końcu wyłożonego korkiem korytarza, Anavrin Productions, prezesa R. Oberheima.

Biuro Anavrinu składało się z poczekalni i gabinetu. Poczekalnia była cicha i ozdobiona dwudziestoletnimi, psychodelicznymi plakatami reklamującymi koncerty Big Blue Nirvana w różnych klubach w całym kraju. Miejsca pomiędzy nimi zajmowały oprawione w ramki zdjęcia ponurych członków zespołów, o których nigdy nie słyszałem. Dziewczyna zgarbiona za biurkiem, ubrana w seksowny różowy, winylowy kombinezon, miała krótkie, umęczone włosy i masywne szczęki, którymi rytmicznie pracowała, czytając „Billboard” przy akompaniamencie bezgłośnego ruchu ust. Kiedy wszedłem, popatrzyła na mnie ze zdumieniem, jakbym był pierwszym człowiekiem, którego widziała od roku.

- Doktor Alex Delaware do pana Oberheima.

- Moment. - Odłożyła pismo, wyprostowała się z wysiłkiem i zrobiła kilka kroków do drzwi gabinetu. Otworzyła je bez pytania i wrzasnęła do środka:

- Rolly, jakiś Alex do ciebie!

Dobiegła mnie bełkotliwa odpowiedź. Dziewczyna wskazała kciukiem drzwi.

- Proszsz.

Gabinet był mały, ciemny, bez okien. Miał chropowate ściany w kolorze umbry i dębową podłogę, a jego jedynym umeblowaniem było kilka poduszek, farbowanych w psychodeliczne, hippisowskie wzory. Oberheim siedział w pozycji jogina na jednej z nich, z rękami na kolanach, paląc stożkowatego, goździkowego papierosa. Na ścianie za jego głową wisiała pojedyncza złota płyta, dając dziwny efekt aureoli. Resztę wystroju stanowiły kolejne psychodeliczne plakaty, kozła skóra na podłodze i duża fajka wodna w kącie. Na półkach leżały stosy winyli oraz stał nowoczesny system stereo. Na skórze leżał poobijany bas Fendera.

- Panie Oberheim, jestem Alex Delaware.

- Rolly O. - Wskazał podłogę. - Siadaj. Przykucnąłem naprzeciw niego.

- Zapalisz?

- Nie, dzięki.

Zaciągnął się głęboko papierosem i przytrzymał dym w płucach. W końcu wypuścił cienką, gryzącą wstążkę, która zadrżała i zanim się rozpląnęła, sprawiła, że jego twarz przez chwilę wyglądała jak z galarety.

Sama twarz nie była niczym wyjątkowym: grubo ciosana, obwisła i porowata, z małymi oczami po obu stronach czerwonej bulwy nosa.

Podbródek pokrywały blizny, usta niknęły pod opadającymi, siwymi węsami. Oberheim był łysy jak jajo, nie licząc cienkiej, siwiejącej obwódki z włosów, sięgających od skroni do ramion. Miał na sobie spłowiała, czarną koszulę Big Blue Nirvany, z logo uskrzydłonej gitary, i chirurgiczne niebieskie spodnie. Koszulka, za obcisła i za mała, odsłaniała zarośnięte brzuszysko. Z wiązania spodni zwisał mały, skórzany mieszek. Obejrzał mnie, mrużąc oczy od dymu.

- Kolega Billy'ego, tak?

- Raczej znajomy. Moja narzeczona robi mu gitary.

- Aha! - zagrzmiał. - Statki kosmiczne, lizaki i sześciostrunowe wibratory, tak?

- Wibratorów jeszcze nie widziałem. - Wyszczrzyłem się w uśmiechu.

- Zobaczysz, stary. Do tego wszystko zmierza. Uciekamy od sensu, tylko styl się liczy. Zagraj na wibratorze, dostaniesz płytynę. Billy to myślący facet, biznesmen, wie, o co biega. - Pokiwał głową, samemu sobie przytakując. - Prawda jest taka, że nawet styl nie ma dzisiaj stylu. Dwa akordy na syntezatorze i dużo świństw. Nie żebym miał coś przeciwko świństwom, sam zagrałem parę świńskich sztuk, ale to musi coś znaczyć, świństwa muszą do czegoś prowadzić, rozumiesz? Coś opowiadać. Nie wystarczy zgorszyć babci.

Pomasował brzuch i znów zaciągnął się goździkami.

- W każdym razie to bez znaczenia. Billy jest w porządku: chłopak potrafi zejść na dno, kiedy chce.

- Zakaszłał. - A więc twoja pani buduje te zabawki? To musi być interesująca pani.

- Jest.

- Może powinienem sobie załatwić taką zabawkę w czterostrunowej wersji.

Udał, że trzyma bas, i przesunął palcami po niewidzialnym gryfie.

- Bum da bum, czaka bum, czaka bum. Wielki, włochaty wibrator, i dużo dołu. Jak ci się podoba?

- Daje pewne możliwości.

- Pewnie. Szkoda, że nie miałem takiego w Cow Palace w sześćdziesiątym ósmym. - Zaczął nucić absurdalnym falsetem. - Bum bum da bum. Patrz, jestem tu, mam, stoję na scenie. Spójrz, jak laski tańczą.

Dopalił papierosa i zgasił go w ceramicznej popielniczce.

- Psycholog, tak?

- Zgadza się.

- Znasz Tima Leary'ego?

- Poznałem go na zjeździe. Wiele lat temu, na studiach.

- I co myślisz?

- Interesujący facet.

- Facet jest genialny. Pieprzony pionier świadomości.

Spojrzał na mnie, oczekując potwierdzenia. Uśmiechnąłem się niezobowiązująco. Rozprostował i znów skrzyżował nogi, a potem założył ręce na piersi.

- A więc, Aleksandrze Wielce Wdzięczny, co chciałbyś wiedzieć?

- Billy mówił, że znałeś wszystkich na Haight.

- Przesada - rozpromienił się. - Ale nie nadmierna. To była mała scena, jedna wielka rodzina, płynne granice. Rolly załapał się na jednego z tatusiów.

- Próbuję dowiedzieć się, ile dam radę, o dwojgu ludziach, którzy mieszkali na Haight w sześćdziesiątym szóstym. Peter Cadmus i Margaret Norton. Posługiwała się też ksywą Margo Sunshine.

Miałem nadzieję, że te nazwiska obudzą w nim jakieś dawne wspomnienia, lecz jego uśmiech znikł, a on poczerwieniał.

- Mówisz o umarłych, stary.

- Znałeś ich osobiście?

- O co tu chodzi, stary?

Opowiedziałem o swoim udziale w sprawie Jameya, przemilczając fakt, że mnie zwolniono.

- Tak, powinienem był wiedzieć. Czytałem o chłopaku w gazetach. Bardzo paskudna sprawa. Czego chcesz? Dowiedzieć się, czy jego starzy łykali kwas, żebyś mógł zwalić winę na spaczony chromosomy, tak? Znow polowania na czarownice i szaleństwo skrętów? Hej, Joe McCarthy.

- To mnie nie interesuje. Chcę się tylko dowiedzieć, jakimi byli ludźmi, żeby lepiej zrozumieć jego.

- Jacy byli? Byli piękni. Żyli w pięknych czasach.

Podniósł paczkę papierosów, popatrzył na nią, odrzucił na bok i wyciągnął z mieszka skręta. Z namaszczeniem, powoli go przypalił, zamknął oczy, wciągnął chmurę dymu marihuany i się uśmiechnął.

- Martwi ludzie - powiedział po chwili. - Same ich nazwiska wywołują potężne skojarzenia. Przewijają taśmę na starym mózgowideo. - Pokręcił głową. - Nie wiem, czy chcę w to wchodzić.

- Byłeś z nimi blisko?

Spojrzał na mnie jak na niedorozwiniętego.

- Nie było wtedy czegoś takiego jak blisko czy daleko. Każdy był każdym. Jedna wielka wspólna świadomość. Jak u Junga. Spokój. Piękno.

Nikt nikogo nie wykiwał, bo to by było jak zedrzeć sobie kawałek własnej skóry.

W wakacje między pierwszym a drugim rokiem studiów pracowałem w San Francisco, grając na gitarze w zespole dancingowym w Mark Hopkins. Flower power była w szczytowym rozkwicie, a ja odwiedziłem kilka razy farmakologiczny bazar, który hippisi urządzili w getcie Haight-Ashbury. Ulice Haight zaludniała wariacka mieszanina wyrzutków żyjących na krawędzi: harleyowcy o twarzach niemowląt, kurwy, alfonsi i inne szakale. Zupa przyprawiona zmiennymi składnikami, która często kipiała przemocą, a gadki o miłości i pokoju były narkotycznym urojeniem.

Pozostawiłem jednak wspomnienia Oberheima nietknięte i spytałem o nazwę grupy, z którą mieszkali Peter i Margo.

- Trzymali się z plemieniem o nazwie Świński Klub. Piękna zbierani

na, mieszkali w starym domu przy samej Ashbury i organizowali darmo we koncerty w parku. Wyciągali warzywa z kontenerów na śmieci, gotowali wielkie kotły ryżu i rozdawali to za darmo, stary. Każdemu. To były wielkie imprezy. Obowiązkowe. Nirvana grała tam bez przerwy. Tak samo Big Brother, Quicksilver i Deadsy. Graliśmy całodzienne jamy, dawaliśmy czadu. Był tam cały świat. Nawet Anioły były w porządku. Ludzie wstawali, zrzucali ciuchy i tańczyli. Mała Margo była najbardziej szalona. Miała ciało węża, wiesz?

Zaciągnął się i ćwierć skręta się rozzarzyło. Kiedy w końcu odetchnął, z ust wydostał mu się tylko paroksyzm suchego kaszlu. Kiedy mu przeszło, oblizał wąsy i się uśmiechnął.

- Jakim facetem był Peter? - spytałem.

- Pięknym. Mówiliśmy na niego Peter Cad. [Nieprzetłumaczalna gra słów. *Cad* po angielsku to człowiek nieliczący się z innymi; to też skrót od nazwiska Cadmus (przyp. tłum.)] Bo był niezłym draniem, Errolem Flynnem, pieprzonym muszkietierem, wiesz? Czarnowłosym, dzikim i pięknie niebezpiecznym. Był gotowy na wszystko, stary. Ciągle ryzykował.

- Jak?

Rolly ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

- Bawił się. Wystawiał jedną stopę za krawędź urwiska, badał granice sensorium. Psychiczny pionier. Jak doktor Tim.

Zamyślił się i zaciągnął skrętem.

- Czy Margo też lubiła takie zabawy?

Uśmiechnął się błogo.

- Margo była miękka. Piękna. Lubiała dawać i się dzielić. Mogła tańczyć całą noc tylko do bębna i tamburynu. Jak Cyganka, mistyczna i magiczna.

Wypalił jeszcze dwa duże skręty, zanim zaczął wykazywać oznaki upojenia. Paląc, bez przerwy mówił. Ale to była gadka ćpuna, luźno powiązana i niezborna. O koncertach, które odbyły się przed dwudziestoma laty, o trudnościach z dostaniem dobrego towaru, bo „policja umysłu” zatrzała pola parakwatem, o zamiarze zebrania oryginalnych członków Big Blue Nirwany i zaplanowaniu come-backu („Tylko bez Dawga, stary. Został pieprzonym prawnikiem w MGM. Do dupy”). Konopne marzenia nic mi nie powiedziały.

Siedziałem cierpliwie, próbując wydobyć z niego jakieś informacje o Peterze i Margo, on powtarzał jednak tylko, że byli piękni, a potem zagłębił się w bardziej osobiste wynurzenia o dobrych starych czasach, po czym zaczął wygłaszać oburzone tyrady o bezduszości współczesnej sceny muzycznej.

- Sto pieprzonych dolarów, żeby zobaczyć Duran Duran w społeczeństwie, w którym nieźli bluesmani, nieźli wymiatacze, żywią się w śmietnikach. Co za gówno.

Skończył się trzeci skręt. Rolly otworzył usta i połknął niedopałek.

- Rolly, pamiętasz, jak Petera odwiedził ojciec?

- Nie.

- A ciążę Margo? Pamiętasz to?

- Tylko tyle, że była chora, stary. Próbowwała wstawać i tańczyć, ale po paru sekundach robiła się zielona i zaczynała rzygać. Do dupy.

- Jak ona i Peter odnosili się do ciąży?

- Odnosili?

Zaczynał bełkotać, a głowa sennie mu opadła.

- Emocjonalnie. Byli szczęśliwi z tego powodu?

- Jasne. - Zatrzepotał powiekami i zamknął oczy. - To były szczęśliwe czasy. Nie licząc wojny i tego gówna, w które próbował nas wciągnąć El BJ, wszystko było normalnie jeden wielki ubaw.

Tłumiąc westchnienie, zaryzykowałem.

- Mówiłeś, że na koncertach organizowanych przez Świński Klub kręciły się Anioły.

- Aha. Byli w porządku. To było jeszcze, zanim Jagger odpieprzył ten numer w Altamont.

- Czy Peter i Margo mieli jakieś bliższe kontakty z Aniołami albo innymi harleyowcami?

Ziewnął i pokręcił głową.

- Żaden kontakt nie był bliższy. Wszyscy się kochali. Byli równi.

- Jeździli z harleyowcami?

- E-e.

Zasypiał, a ja musiałem jeszcze zadać jedno pytanie. To, z którym czekałem przez ostatnią godzinę.

- Rolly, opisałeś Petera jako kogoś, kto bardzo kochał życie...

- On żył, żeby żyć, stary.

- Właśnie. Ale kilka lat później popełnił samobójstwo. Co mogło do tego doprowadzić?

To go obudziło. Otworzył oczy i popatrzył na mnie gniewnie.

- Samobójstwo to pieprzenie, stary. - Głowa zakołysała mu się jak u psa-maskotki pod tylną szybą samochodu.

- To znaczy?

- Nie zdarza się - powiedział konspiracyjnym szeptem. - To pieprzona ściema. Establishment w ten sposób chce zrobić z rockmanów i świętych ludzi frajerów, którzy spękali. Janis, Jimi, Morrison, Niedźwiedź. Janis się nie wykończyła; umarła z bólu istnienia. Jimi się nie wykończył; rząd załatwił go swoim napalmem, bo za dużo wiedział i chcieli mu zamknąć usta. Morrison i Niedźwiedź nie są nawet martwi. Równie dobrze Buddy Holly może być z nimi. Balują pewnie gdzieś na wyspach greckich. Samobójstwo to pieprzenie, stary. Nie ma czegoś takiego.

- Peter...

- Peter się nie wykończył, stary. Umarł w zabawie. Mówiłem ci.

- Jakiej zabawie?

- Zabawie w ekstazę. Badał granice.

- Opowiedz mi o tym.

- Jasne. - Wzruszył ramionami. - Czemu nie? Robił to bez przerwy. Rozbierał się, wchodził na krzesło i zakładał sobie na szyję taką pętlę z jedwabnego sznura. Potem się na niej zwieszał, żeby się zacisnęła, i walił konia, aż skończył. To był dopiero widok, jęczał w ekstazie. - Rolly przesunął grubym językiem po ustach. - Mówił - dodał, imitując uliczny slang czarnych - że jak przyciska, to lepiej tryska.

Mamrotał prawie niezrozumiale, ale ja uważnie słuchałem. Opisywał zjawisko znane jako asfiksja autoerotyczna, jedną z trudniejszych seksualnych sztuczek, wymyśloną z myślą o tych, dla których flirt ze śmiercią wzmaga orgazm.

Tacy ludzie masturbują się, kiedy lina albo inne więzy zaciskają im tętnice szyjne, stopniowo coraz bardziej, tak że w chwili szczytowania arterie są całkowicie zamknięte. Niektórzy wykorzystują skomplikowane

245

systemy wielokrażków, żeby podnieść się do pętli. Inni przyjmują dziwaczne pozycje. Tak czy inaczej, to osobliwa i niebezpieczna zabawa: jeśli masturbujący straci przytomność, zanim zdejmie pętlę albo przyjmie taką pozycję, że oswobodzenie się będzie niemożliwe albo zbyt opóźnione, śmierć przez uduszenie jest nieunikniona.

- Zabawa, kumasz? - Oberheim się uśmiechnął. - Lubił grać. I któregoś dnia przegrał. Ale co tam, luz.

Zostawiłem go chrapiącego w gabinecie, jak sflaczały pomnik zapatrzenia w siebie. Rozmowa była niejasna i niewiele wniosła, ale udało mi się poznać nowy szczegół psychopatologii Cadmusów: Peter lubił się podduszać, a jego śmierć z dużym prawdopodobieństwem mogła być wypadkiem. Zastanawiałem się, czy Souza wiedział o tym od samego początku, i uznałem, że pewnie nie - w jego rękach taka wiedza zostałaby strategicznie wykorzystana, jako dowód, że w całej tej rodzinie dziedziczyło się nie tylko umysłowe zaburzenia, ale i seksualne perwersje.

Jadąc na północ La Brea, pomyślałem o tym, jaki przybity byłem przy Robin, i uświadomiłem sobie, że nie tylko Oberheim ma problem z nadmiernym przejmowaniem się własną osobą. Byłem tak przejęty tą sprawą i poczuciem winy, jakie wzbudziła, że całkowicie zaniedbałem Robin, wykorzystałem ją do wypłakania się, nie zauważając, że sama też może potrzebować trochę uwagi.

Z mocnym postanowieniem naprawienia tego zawróciłem na stacji benzynowej przy Mountain, pojechałem Wilshire na południe, a potem na zachód, do Beverly Hills. Do zamknięcia sklepów miałem jeszcze jakąś godzinę, więc zostawiłem samochód na parkingu przy Beverly Drive i spędziłem tę godzinę jak zwycięzca teleturnieju w szale zakupów. Kupiłem antyczną koronkową bluzkę w butik przy Canon, perfumy i płyn do kąpieli u Giorgia, litr lodów jeżynowo-czekoladowych Früsen Glädje, olbrzymi kosz wiktuałów u Jurgensenów, miedziany kociołek, który się jej podobał, w Davis-Sonoma oraz tuzin koralowych róż przybranych liśćmi paproci skórzastej i gipsówkami. Nie było to gotowe rozwiązanie - jedynie pierwszy krok we właściwym kierunku.

Przebijając się przez morze mercedesów, opuściłem ekskluzywną dzielnicę i zatrzymałem się jeszcze raz - na targu rybnym przy Overland - a potem pojechałem do domu. Kiedy tam dotarłem, wpół do siódmej, nigdzie nie było widać ciężarówki Robin, a na poczcie głosowej odsłuchałem jej wiadomość, że wróci za piętnaście ósma.

- Jest jeszcze jedna do pana, doktorze - powiedziała operatorka. - Przeczytać?

- Pewnie.

- O trzeciej dzwoniła Jennifer Leavitt. Zostawiła dwa numery.

Zanotowałem je na kawałku papieru. Jeden był numerem wewnętrznym uniwersytetu; drugi miał kierunkowy w Fairfax. Byłem ciekaw, czego chciała Jennifer, ale nie na tyle, by zmieniać plany. Zapisując w pamięci, by zadzwonić do niej później, schowałem kartkę do kieszeni.

Zaniósłem prezenty do sypialni i ułożyłem je na łóżku. Przebrałem się w dzinsy i znoszoną, sztruksową koszulę, wróciłem do kuchni, włączyłem w wieży Joe Passa, przewiązałem się w pasie fartuchem i zacząłem przygotowywać kolację: przystawkę z pieczarek „jumbo” nadziewanych czosnkiem i grzankami; sałatkę z liści sałaty, pieprzu i chińskiej szalotki; karafkę tarragonowego vinegrette; grillowane filety z norweskiego łososia przybrane kaparami; świeżą fasolkę szparagową na maśle; do tego butelka białego sauvignon z winnicy pewnej sędzi, którą kiedyś poznałem. Früsen Glädje miały być na deser.

Robin weszła do domu, kiedy kończyłem właśnie przybierać sałatkę. Wziąłem od niej płaszcz i torebkę, zaprowadziłem ją do kuchni, posadziłem przy stole i przyniosłem miseczkę wody, by

opłukała ręce.

- Ho, ho! - Uśmiechnęła się szeroko. - Czemu to wszystko zawdzięczam?

Uciszyłem ją pocałunkiem. Odkorkowałem wino, nalałem do kieliszków i podałem na stół pieczarki i duży bochenek chleba.

- Alex, to świetne!

- Wolfganga Putza zżera zazdrość.

Jedliśmy powoli i spokojnie, przy minimum rozmowy.

- Pyszne - pochwaliła Robin, odsuwając talerz.

- Gotowa na deser?

Jęknęła i poklepała się po brzuchu.

- Możemy chwilę poczekać?

- Jasne. Idź odpocznij, a ja posprzątam.

- Pomogę ci. - Wstała. - Muszę się poruszać.

- Dobrze, ale najpierw idź do sypialni i przynieś mi lżejszą koszulę.

- Tak jest, kochanie.

Wróciła, trzymając bluzkę przy piersi, uśmiechnięta jak dziecko.

- Skarbie - zamruczała.

Podeszliśmy do siebie, objęliśmy się i nie rozdzieliliśmy już przez resztę wieczoru.

Następnego ranka, kiedy Robin pojechała do warsztatu, wieszając spodnie w szafie i wyleciała z nich kartka z numerami Jennifer. Wziąłem telefon i zadzwoniłem na wewnętrzny uniwersytecki. Wolno mówiący baryton poinformował mnie, że dodzwoniłem się do laboratorium psychologii. W tle słychać było kilka innych głosów.

- Mówi doktor Delaware, dzwoniła do mnie Jennifer Leavitt,

- Kto?

- Doktor Delaware.

- Nie, do kogo pan dzwoni?

- Jennifer Leavitt. - Przeliterowałem.

- Och. Ee, chwileczkę. - Odłożył słuchawkę i wykrzyknął nazwisko Jennifer, wrócił na linię jeszcze bardziej ospały niż przedtem. - Ee, nie, nie ma jej.

- Kiedy będzie?

- Nie wiem. Ee, jesteśmy akurat zajęci, więc może by pan, ee, zadzwonił później.

- Mogę zostawić dla niej wiadomość?

- Ee, cóż, naprawdę nie...

- Dzięki.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem pod kierunkowy w Fairfax. Odebrała wesoła kobieta.

- Pani Leavitt?

- Tak?

- Mówi doktor Delaware. Pracowałem z Jennifer przy Projekcie sto sześćdziesiąt...

- Och, tak, doktorze. Jennifer bardzo chciała z panem porozmawiać. Prosiła, żeby panu przekazać, że nie będzie jej cały dzień. Razem z Dan-nym, to jej chłopak, pojechali do La Jolla. Ale powinna wrócić wieczorem. Gdzie może pana zastać?

Podaliśmy jej swój domowy numer i podziękowałem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze. Jennifer zawsze mówiła o panu same dobre rzeczy. Była taka młoda, kiedy wzięła udział w projekcie, a pan bardzo pomógł się jej przystosować.

- Miło to słyszeć.

- Teraz sama będzie doktorem. Czy to nie cudowne?

- Musicie być państwo bardzo dumni?

- Och, jesteśmy, doktorze. Jesteśmy.

Posprzątałem trochę w domu, nakarmiłem ryby, poćwiczyłem kata karate, przebiegłem pięć kilometrów i wymoczyłem się w wannie. W porannej poczcie były zwykle śmieci oraz wezwanie do stawienia się jako biegły w sprawie o opiekę nad dzieckiem, którą uważałem za dawno zakończoną; ponieważ termin wyznaczono za miesiąc, odłożyłem ją na później.

Wszystko to składało się na spokojny poranek, ale fakt, że ktoś przelicytował mnie i kupił *Nędzny czyn*, cały czas nie dawał mi spokoju. Próżnia Będzie Próżnią służyła jakiemuś chirurgowi do

wymigiwania się od podatków, nie miała być dochodowym przedsięwzięciem, a mimo to nagle klienci zaczęli się bić o jedną konkretną rzeźbę. Im więcej o tym myślałem, tym mniej mi się to podobało.

Była dopiero dwunasta trzydzieści, do otwarcia galerii miałem jeszcze kilka godzin, ale nie miałem co robić, więc pojechałem do śródmieścia w nadziei, że wypatrzę gdzieś Prążkowanego. Nigdzie go nie znalazłem, a w galerii było ciemno, więc poszedłem coś zjeść do Chinatown.

Z brzuchem pełnym dim sum wróciłem o drugiej. Próżnia wciąż była zamknięta, wypatrzyłem jednak swoją ofiarę przebierającą szmaty wystawione na wieszaku przed jednym z lumpeksów. Zanim zaparkowałem i poszedłem, wybrał parę elastycznych spodni w tygrysie prążki, polietylenową bluzkę na ramiączkach i dużą, białą koszulę z krótkimi rękawami.

- Cześć - powiedziałem cicho.

Podskoczył i upuścił ubrania na chodnik. Podniosłem je i otrzepałem. Koreańczyk, właściciel sklepu, przyglądał się nam podejrzliwie, stojąc w drzwiach. Prążkowany wchłonął tę podejrzliwość i przekazał ją mnie.

- Czego chcesz, człowieku?

- Chcę ubić jeszcze jeden interes.

- Interesy zaczynamy o czwartej. - Udał, że ogląda bluzkę.

- Nie interesuje mnie sztuka. Tylko informacje.

- Więc zadzwoń do biura informacji.

Koreańczyk wyszedł i stanął obok nas.

- Kupować czy oglądać? - spytał surowo.

- Kupować - odparłem, zanim Prążkowany zdążył się odezwać. - Ile?

Koreańczyk wymienił sumę. zaproponowałem mu połowę i stanęliśmy na dwóch trzecich. Prążkowany przyglądał się temu z niedowierzaniem, a potem podał mi ubrania.

- Zatrzymaj je - powiedziałem. - Wesółych Świąt.

Ruszył w stronę galerii, a ja za nim.

- Jesteś Żydem, czy co? - spytał.

- Nie. Czemu?

- Targujesz się jak Żyd albo zółtek, a zółtkiem nie jesteś na pewno.

- No proszę!

- Co?

- Nieważne.

Doszliśmy do Próżni. Stanął plecami do stalowych krat, tuląc do siebie ubrania, jakby się bał, że ten kto daje, może i odebrać.

- Chcę wiedzieć, kto kupił *Nędzny czyn*.

- Mówiłem ci, człowieku. Jakiś koleś w garniaku.

- Jak się nazywał?

- Nie przedstawił się.

- A paragon?

- Chciał zapłacić gotówką, tak jak ty.

- Powiedz, jak wyglądał.

- Mówiłem ci, człowieku, nie patrzę... Dwudziestka pod nosem przerwała mu w pół zdania.

- Pięćdziesiąt - spróbował. Ze złością zabrałem pieniądze.

- Zapomnij. Mam kumpla w policji. Jak tylko stąd pójde, zadzwonię do niego i złożę skargę na nieuczciwe praktyki biznesowe.

- Hej, człowieku, ja nic nie zrobiłem.

- Może nie, może tak. Ale jak tylko na ciebie spojrzę, przeszukanie masz jak w banku.

Odwróciłem się. Chude palce złapały mnie za ramię.

- Hej, człowieku, ja tylko chciałem być fair. Tamten zapłacił mi pięćdziesiąt, żeby nie mówił, to chyba ty powinienes dać tyle samo.

Oderwałem jego rękę i poszedłem dalej.

- Kurwa, człowieku! Dobra, dobra! Dwadzieścia.

Zatrzymałem się i odwróciłem.

- Najpierw zobaczymy, co masz do powiedzenia.

- Facet kłapał dziobem.

- Potrzebny mi rysopis, a nie ocena osobowości.
- Dobra, czekaj. Pomyślmy. Był biały. I opalony. Jak jakiś pedał, co cały dzień siedzi na solarium.
- Wysoki?
- Tak jak ty, ale cięższy.
- Tłuszcz?
- Mięśnie.
- A włosy?
- Krótkie. Jak jakiś pedał, co cały dzień podnosi ciężary i się stroi.
- Co jeszcze?

Skrzywił się, próbując sobie przypomnieć.

- Miał brodę. Właśnie. To wszystko, człowieku.
- W jakim kolorze?
- Ciemną.

W ten sposób wyciągnąłem od niego całkiem dobry opis Erno Radovica.

- Powiedział, po co mu ta rzeźba?
- Nie, on... ee, jasne. Powiedział, że mu się podoba. Pokazałem mu następną dwudziestkę.
- Daj spokój. Mów.
- Hej, człowieku, nie chcę wpaść przez to w jakieś gówno. To był niezły dupek.
- Nie dowie się.

Rozejrzał się dookoła, spojrzał na pieniądze.

- Za pierwszym razem, jak tu byłeś, wszedł zaraz po tym, jak wyszedłeś. Spytał, czego chciałeś. Powiedziałem: „Hej człowieku, to jest Próznia, a nie jakieś biuro informacji”. On wtedy zrobił taką dziwną minę i wyjął trochę kasy, więc powiedziałem mu, że pierwszy raz cię widziałem, że chciałeś kupić jakieś gówno. Pokazałem mu które, a on cię przelicytował. To wszystko, człowieku. OK?

Milo kazał mi zadzwonić, gdyby ochroniarz gdzieś się pokazał. Poszedłem do budki telefonicznej

na parkingu i wystukałem jego numer na posterunku West L.A.

Nie było go, więc poprosiłem Dela Hardy'ego, jego okazjonalnego partnera. Chwilę trwało, zanim czarnoskórego detektywa znaleziono, a kiedy podszedł do telefonu, był zdyszany.

- Doktorze - wysapał.

- Cześć, Del. Wszystko w porządku?

- Aerobik... program rozładowywania stresu... rozkazy z góry... padamy jak muchy... stracimy... dużo dobrych ludzi.

- Milo też bierze w tym udział?

- Powinien... ale cały czas... wymyśla jakieś wymówki. Na przykład, że próbuje tropić zbrodnie.

Zaśmiałem się.

- Chciałbym z nim porozmawiać, kiedy wróci. To nic pilnego, chodzi o Erno Radovica.

Del odetchnął, a jego głos nabrał ostrości.

- Tę rasistowską świnię? Znow ci się naprzykrzał?

- Niezupełnie. Ale mam powód sądzić, że mnie śledził.

- Masz jakieś kłopoty?

- Nie. Jak powiedziałem, to nic pilnego.

- Dobra. Mila w ogóle dzisiaj nie było. Chyba pojechał na wezwanie. Ale powinien zadzwonić w ciągu godziny, więc dopilnuję, żeby dostał twoją wiadomość. Tymczasem, jeśli znów zobaczysz tego skurwysyna, dzwoń do mnie. Na mój koszt.

- Dzięki, Del.

Pojechałem do domu, wyjąłem plik czasopism psychologicznych i przygotowałem się do dłuższej lektury. Właśnie pograżyłem się w artykule o psychologicznym rozwoju niemowląt, kiedy zadzwonili z poczty głosowej.

- Dobrze, że jest pan w domu - powiedziała operatorka. - Mam na linii sierżanta Mila Sturgisa. Dzwoni już trzeci raz.

- Proszę go połączyć.

- Oczywiście, doktorze. Proszę mówić, proszę pana, doktor jest na linii.

- Alex? - Połączenie było upstrzone trzaskami, ale ponagląjący ton głosu Mila słyszałem wyraźnie.

- Co się stało?

- Del mówił, że chciałeś pogadać o Radovicu. Mów. Opowiedziałem mu, jak ochroniarz mnie śledził i kupił *Nędzny czyn*.

- Rzeźbę?

- To więcej niż tylko rzeźba, Milo. Łączy elementy samobójstwa ojca Jameya i morderstwa Chancellora. Radovic zapłacił za to kupę forsy. Możesz go o to zapytać, kiedy go znajdziesz.

Nie było odpowiedzi, tylko szumy i trzaski.

- Milo? - spytałem, myśląc, że nas rozłączyło.

- Znaleźliśmy go - sapnął. - Leży parę metrów od miejsca, gdzie stoję, wypatroszony jak ryba.

- O cholera.

- Czeka, to nie wszystko. Mamy świadka naocznego. Szukamy dwóch facetów. Harleyowców. Jeden chudy, drugi beka smalcu.

- Jezu. Gdzie to się stało?

- Niedaleko Bitter Canyon, przy autostradzie Antelope Valley. Musimy pogadać, Alex. I to szybko.

- Mów.

- Whitehead i Cash jeszcze się rozglądają, ale za parę minut się stąd zmyją. Zgłosiłem się na ochotnika do papierkowej roboty, więc trochę tu pobędę. To czterdzieści minut jazdy plus minus dziesięć. Wyjedź za godzinę. Wiesz, jak tu trafić?

- Czteryście Piątą na północ?

- Tak. Jedź nią dalej prosto za wjazd z Piątej, potem zjedź na wschód Czternastą, w stronę Lancaster i Mojave. Miniesz Soledad Canyon, Agua Dulce i Akwedukt L.A. Bitter Canyon jest kilka kilometrów przed Palm-dale. Autostrada biegnie przez płaskowyż, a zjazdem zjedziesz jakieś trzysta metrów w dół. To cholerne pustkowie, więc się nie przestrasz. Jedź prosto, aż zobaczysz starą stację Texaco. Będzie tam pewnie stał wóz ko-ronera. Nie przegapisz.

Północny skraj Valley przechodził w pustkowie już za San Fernando. Kiedy skręciłem na autostradę Antelope Highway, rogatki prefabrykowanej cywilizacji - Colonial Kitcheny, Carrowsy, Dennysy, Pizza Huty - zniknęły, a w zasięgu wzroku zaczęły pojawiać się coraz to dziksze ostępy: niskie, kamieniste wzgórza, wypalone przez słońce na białą, pod szczytami kreozytów i szałwii, przysadziste i żalosne na dalekim czarnym tle gór San Gabriel; długie połączenia potrzaskanych

żwirowisk; krzaki, wciąż poczerniałe po zeszłorocznych pożarach; niespodziewane błyski kanarkowożółtych kwiatów.

Jak przewidział Milo, autostrada była prawie pusta - pięć opustoszałych pasów, poprzecinanych zjazdami prowadzącymi do kanionów, biegnących do granic okręgu: Placerita, Soledad, Bouquet - którego rdzawobłękitne kamienie zdobiły patia i łaźnie wymarzonych domów L.A. - Vasquez, Agua Dulce.

Ostry skręt na Bitter Canyon prowadził w dół wąską, krętą asfaltówką, o poboczu pełnym głazów i połamanych przez wichurę drzew. Tu, u podnóża wzgórz, zbocza były zryte przez wodę i poszarpane, płowe i czerwone

z nieśmiałymi smugami lawendy i błękitu. Niebo zasnuwały ciężkie stratusy, a co jakiś czas promień słońca przemykał się przez dziurę w mgle, zalewając różem jakiś fragment skał. Było to niewiarygodne, okrutnie ulotne piękno.

Stacja Texaco znajdowała się dwadzieścia pięć kilometrów dalej, wyłaniała się z niczego, jak przeniesiona w czasie. Na środku zdradziecko zrytego żwirowego placu stały dwa przedwojenne dystrybutory, za nimi zaś biały, drewniany garaż również z tych czasów. W garażu stał zielony, baniasty plymouth rocznik trzydziesty dziewiąty.

Do garażu dobudowana była szopa służąca za biuro; jej brudne okna zasłaniały stosy papierów. Kilka metrów dalej znajdował się drewniany bar, z antycznymi szyldami Coca-Coli po obu stronach i splewiała tablicą z napisem „U Sal” oraz obrotowym kogutem na pokrytym papą dachu. Kogut prężył się dumnie, nieruchomy w stojącym, pustynnym powietrzu.

Bar wyglądał, jakby od jakiegoś czasu już nie działał, ale dookoła niego stało kilka pojazdów. Zaparkowałem seville'a obok znajomego brązowego matadora i ruchomego laboratorium kryminalistycznego i wysiadłem.

Północna część podwórza była oddzielona sznurkiem przywiązany do wbitych w ziemię palików. Do sznurka przylepiono taśmą policyjne oznaczenia. Na ogrodzonym w ten sposób terenie nachylali się i kucali technicy ze skrobaczkami, strzykawkami, szczotkami i przyrządami do robienia gipsowych odlewów. Jedni zajmowali się perłowoszarą RX-7, inni otoczeniem samochodu. Na ziemi w pobliżu leżał toból w kształcie kiełbasy, zapakowany w worek na zwłoki. Obok niego na piachu rozcapierzała swoje macki brunatna plama. Chińczyk w ciemnym garniturze krążył wokół trupa, mówiąc coś do dyktafonu.

Tuż pod taśmą stał okręgowy ambulans z włączonym silnikiem. Wysiadł z niego sanitariusz w uniformie i się rozejrzył. W końcu jego wzrok spoczął na Milu, który opierał się o jeden z dystrybutorów i zapisywał coś w notesie.

- Można?

Mój przyjaciel powiedział coś do Chińczyka, ten zaś podniósł wzrok i pokiwał głową.

- Można.

Sanitariusz dał znak ręką. Z ambulansu wysiadł drugi i otworzył tylne drzwi. Zobaczyłem nosze. W kilka sekund zwłoki zostały niedbale podniesione i z głuchym łomotem umieszczone w samochodzie. Karetka odjechała, zostawiając za sobą małą burzę piaskową.

Milo zobaczył mnie i schował notes. Otrzeptał kurz z marynarki i położył mi ciężką rękę na ramieniu.

- Co się stało? - spytałem.

- Około ósmej rano Radovic obradował tu z dwoma harleyowcami i skończył pokrojony. - Wskazał plamę krwi. - Z tego, co widział nasz świadek, wyglądało to na umówione spotkanie, żeby ubić jakiś brudny interes. Ale interes nie wyszedł.

Spojrzałem na plamę, potem na nagie, poszarpane wzgórza.

- Czemu aż tutaj?

- Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Strażnik parku będzie tu lada chwila. Może on rzuci na to jakieś światło.

Wyjął z kieszeni paczkę miętówek i poczęstował mnie. Wziąłem i obaj odświeżyliśmy sobie oddechy.

- Moim zdaniem - ciągnął - jedna ze stron znała tę okolicę, a druga nie, i stację wykorzystano jako punkt charakterystyczny. Co w normalnych okolicznościach byłoby świetnym pomysłem, bo zazwyczaj nikogo tu nie ma. Stacja, ta brudna buda tam i dwadzieścia hektarów po obu stronach drogi należą do starszego gościa, niejakiego Skaggsa, który mieszka w Lancaster i rzadko już otwiera. Właśnie skończyłem z nim rozmawiać, a on powiedział mi, że czterdzieści lat temu znajdowała się tu baza wojskowa, kilka kilometrów dalej tą drogą, a jego bar był „odskocznią” - była tu scena dla zespołów, świetne steki, bimberek. Ale dzisiaj to królestwo duchów.

Oślaniając oczy ręką, spojrzał pod słońce i rozejrzał się po okolicy, jakby szukając potwierdzenia swoich słów.

- Z tego, co zrozumiałem, uważa bar za symbol swojej żony: to ona nazywała się Sal. Kiedy prowadzili interes razem, on nalewał benzyny, a ona gotowała. Umarła w sześćdziesiątym siódmym, a on nigdy się z tym nie pogodził. Dlatego kiedy zaczyna o niej myśleć i wpada w dołek, przyjeżdża tu, siada za kasą i wspomina. I tak właśnie było wczoraj w nocy. To była dwudziesta rocznica jej śmierci. Skaggs wyciągnął album zdjęć ślubnych i się rozmazał. Kiedy nie mógł już tego znieść, ubrał się, wziął album i litr jacka danielsa, przyjechał tu, zamknął się i spał. Nie wie dokładnie, kiedy przyjechał, ale uważa, że około jedenastej, a zasnął koło pierwszej. O ósmej obudziły go krzyki. W pierwszej chwili pomyślał, że

to zły pijacki sen, ale potem przejaśniło mu się w głowie i zrozumiał, że na zewnątrz ktoś jest. Wyrzwał przez okno, zobaczył, co się dzieje, i schował się za ladą. Biedny dziadek tak się przeraził, że siedział tam trzy godziny, zanim do kogoś zadzwonił.

Zerknął na starego plymoutha.

- To jego samochód. Nikt go nie zobaczył, bo wstawił go do garażu i zamknął drzwi.

- Miał szczęście.

Milo pokręcił głową.

- To nie był przypadek. Znaleźliśmy kawałek gumowego węża na rurze wydechowej. Nie trzeba dodawać, że zajmiemy się jego zdrowiem. Nie jest idealnym świadkiem naocznym, ale dość dobrym, by odnowić moją wiarę w Boga.

- Co widział?

- Kiedy się obudził, sprawy wyglądały już nieciekawie. Radovic i harleyowcy wrzeszczeli na siebie. Skaggs nie jest pewny, ale wydaje mu się, że chłopcy w skórach zarzucili Radovicowi, że nie wywiązał się ze swojej części umowy, a Erno zareagował w swój zwykły, uroczy sposób: zaśmiał się, zwyzywał ich i zaczął wymachiwać pięściami. Od tego momentu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Gruby harleyowiec musiał niewłaściwie mrugnąć okiem, bo Radovic powalił go ciosem pięści w brzuch i szybkim uderzeniem w nos. Skaggs mówi, że tamten padł od razu, jak „miękki worek gówna”. Ale z chudym była inna historia. Kiedy zobaczył, że jego kumpel leży, wyciągnął łańcuch i nóż i przykucnął w postawie ulicznego nożownika. Radovic sięgnął do kieszeni, znaleźliśmy przy nim berettę, ale chudy był za szybki. Zawinał mu łańcuch na szyi, przyciągnął go do siebie i zadźgał nożem. Koroner obejrzał rany i powiedział, że chodziło o trwałe uszkodzenia ciała: zadano pchnięcie na wprost, które przebiło wątrobę, i kilka razy pociągnięto w górę i w dół. Poderżnięto także gardło, wygląda na to, że już kiedy Radovic nie żył, a to typowy *coup de grâce* ulicznego nożownika. Potem chudy ocucił grubasa i obaj się zmyli. Skaggs słyszał odpalany silnik, ale ponieważ się chował, pojazdu nie widział.

- Jednego pojazdu? Można by się spodziewać dwóch motocykli.

- Stary twierdzi, że słyszał tylko jeden, a technicy też znaleźli tylko jeden ślad opon, więc wygląda na to, że tamci odjechali na jednym chopperze. Romantycznie, co?

Przesunął dłońmi po twarzy i wbił wzrok w buty.

- Sam obejrzałem zwłoki, Alex. Został dokładnie wypatroszony. Wiesz, co myślałem o tym gościu, ale to paskudna śmierć.

Odeszliśmy od miejsca zbrodni, idąc równolegle do drogi. Na ziemi leżała duża śruba; Milo ją kopnął. Stado wron wzbilo się, kracząc, nad odległym wzgórzem.

- Opowiedz mi coś więcej o tej rzeźbie, którą kupił - powiedział.
- To był ciężki kawał przezroczystego lucytu, z wtopionymi różnymi lalkami, tworzącymi tableau.
- Ken wisiał, mówiłeś?
- Na sznurze, z nożem w brzuchu. Najbardziej moją uwagę przykuła nazwa. *Nędzny czyn*. Tak Jamey nazywał samobójstwo.
- A artysta to jeszcze jeden z tych geniuszów z uniwerka.
- Tak. Nazywa się Gary Yamaguchi. Według innych dzieciaków był dla Jameya kimś najbardziej zbliżonym do przyjaciela. Widziano go, jak jechał gdzieś z nim i Chancellorem.
- Opowiedz mi więcej o zabawkach w plastiku.

Uświadomiłem sobie, że aż tak dokładnie nie przyglądałem się rzeźbie. Skupiłem się i spróbowałem przypomnieć sobie szczegóły.

- To była karykatura pokoju nastolatka. Futbolowe proporczyki, pamiętnik, miniaturowe, puste fiołki po pigułkach, nóż-zabawka, sztuczna krew.

Milo się nachmurzył.

- Nie brzmi to jak coś, co warto licytować. Coś jeszcze?
- Zaraz... Jakieś zdjęcia Barbie, plakat z Elvisem, listy miłosne.
- Jakie listy miłosne?
- Miniaturowe. Dwucentymetrowe kawałki papieru, całe zapisane różnymi „kocham cię”.
- Wszystko to, żeby zrobić tło dla Kena z nożem w bebeczach? - Pokręcił głową. - Sztuka.

Przeszliśmy się kawałek.

- Motocykliści. Co chwila wyskakują- zauważyłem.
- Aha.
- Nie sądzisz, że to może być zwrot w sprawie Rzeźnika?

- Komplikuje sprawy, ale jeśli pytasz, czy na korzyść Cadmusa, odpowiedź brzmi „nie”. Wszystko może sprowadzić się do tego, że mały klub psychopatów Cadmusa i Chancellora miał o dwóch członków więcej, niż nam się zdawało. Co akurat ma sens: nie znaleźliśmy nikogo, kto by widział Chancellora w Mieście Chłopców, a facet taki jak on rzuciłby się w oczy jak cholera. To był typ przywódczy, przyzwyczajony do zlecania zadań. Mógł więc wysyłać harleyowców, żeby porywali

ładnych chłopców i przywozili ich do posiadłości, a potem pozwalał im zostać na imprezie.

- Co oznacza, że to harleyowcy mogli go zabić.

- Znaleźliśmy nóż w ręku Cadmusa. Czyli co, był niewinnym gapiem?

- Psychotycznym gapiem.

- To dlaczego też go nie zabili, co? Płaczesz się, Alex.

- Może. Ale co w tym wszystkim robi Radovic?

- Może dowiedział się, co się działo podczas jego wolnych wieczorów, a kiedy próbował zaszantażować harleyowców, sytuacja wymknęła się spod kontroli?

- To po co mnie śledził? I dlaczego tak mu zależało, żeby kupić *Nędzny czyn*?

Westchnął.

- Słuchaj, nie mówię, że to na pewno właśnie tak było. Twierdzę tylko tyle, że to cholernie skomplikowana sprawa i że Cadmus na razie jest daleki od ułaskawienia. - Zaciśnął zęby i głęboko odetchnął. - Może Radovic naprawdę próbował zrehabilitować Chancellora, nawet dupki miewają altruistyczne porywy, i myślał, że możesz wiedzieć coś użytecznego, bo byłeś terapeutą Cadmusa. A może jego motywy nie były czyste, i pomyślał, że możesz mu sprzedać coś brudnego z tego samego powodu.

- Nie leczyłem Jameya od pięciu lat.

- Skąd on miał to wiedzieć? A jeśli Cadmus rozpowiadał, jakim to jesteś świetnym lekarzem, a Radovic uznał, że wciąż jesteście na bieżąco?

Przypomniałem sobie, co Andrea Vann powiedziała mi tamtej pierwszej nocy w Canyon Oaks: że Jamey mówił o mnie z uczuciem. Kiedy był przytomny.

- To wciąż nie wyjaśnia, po co harleyowcy złupili mieszkanie Gary'ego.

- Chcesz grać w pytania i odpowiedzi? Dobrze. Yamaguchi też był członkiem klubu rzeźników.

Mój umysł zbuntował się na myśl, że jeszcze jeden uczestnik Projektu 160 miałby być zamieszany w morderstwo.

- To niedorzeczne.

- Dlaczego? Sam powiedziałeś, że widziano go, jak gdzieś jechał z Chancellorem i Cadmusem.

- Gdyby był mordercą, nie chwaliliby się tym w rzeźbie.

- Bywały takie przypadki. Parę lat temu jeden z brytyjskich pisarzy przedstawił wiarygodną teorię, że Kubą Rozpruwaczem był malarz Si-ckert. Facet malował obrazy, które były cholernie bliskie niektórym scenom morderstw. A z tego, co mówiłeś mi o Yamaguchim, racjonalność nie jest jego mocnym punktem. Nawciągaj się dość spida, a kora mózgowa zaczyna przypominać ser szwajcarski.

- Kiedy go widziałem, zachowywał się agresywnie, ale był racjonalny...

- Chodzi mi o to, Alex, że możemy stać tutaj i teoretyzować cały dzień, co byłoby świetną salonową rozrywką dla wielbicieli kryminalnych zagadek. Ale bez dowodów wszystko to jest głównie waste. Harleyowcy, Cadmus, znów harleyowcy. Cholerna kolejka górską. A na kolejkach górskich zawsze rzygam. - Wydłużył krok i wepchnął ręce do kieszeni.

- A naprawdę męczy mnie to, że sporo się naszukaliśmy tych dupków. Parę tygodni śledziliśmy różne tropy i słuchaliśmy pereł mądrości Whiteheada. Byliśmy we wszystkich barach sadomaso w L.A., widzieliśmy tyle skóry, że można by nią obić cały stan. Ściągnęliśmy nawet dwóch tajniaków, których ci od narkotyków bardzo długo podstawiali gangom. Wszystko na nic.

- Masz rysopisy.

- Co? Jeden gruby, jeden chudy? Z jakiegoś powodu, bez wątplenia socjologicznego, te dupki podpadają pod dwie kategorie: albo *gordos dis-gustos*, albo uzależnieni od amfy anorektycy.

- Stary ich widział. Mógłby ci powiedzieć coś więcej?

- No pewnie. Gruby był łysy, a może miał bardzo krótkie włosy i dużą, a może średnią brodę, czarną albo ciemnoblonde. Chudy miał długie włosy, proste, faliste albo kędzierzawe, i wąsy, nie, wąsy i brodę. - Westchnął z obrzydzeniem. - Świadkowie naoczni są znani z niedokładności, kiedy chodzi o rysopisy, a tu mamy osiemdziesięciolatka z depresją, obudzonego po ciężkim chlaniu. Nie jestem nawet do końca przekonany, że rzeczywiście słyszał rozmowę, o której opowiada. Potrzebne mi są konkrety, Alex. Wydałem polecenie, żeby ktoś z Pacific Division pojechał na przystań i przeszukał łódź Radovica. Może znajdziemy nawet tę rzeźbę i okaże się, że jest napchana szmaragdami. Albo koką.

- Jak na filmach.

- Hej - wyszczerzył się - to L. A. Wszystko jest możliwe, nie? - Uśmiech zbladł. - Chcę pogadać z Yamaguchim. Gdzie mogę go znaleźć?

- Kręci się po śródmieściu. Dotarłem do niego przez galerię, ale mówił, jakby zamierzał wyjechać z L.A. Już może go nie być.

Milo wyjął notes i zapisał nazwisko Gary'ego oraz adres Próżni. Coś mi przyszło do głowy.

- Była z nim mała blondynka, która wyglądała, jakby od czasu do czasu ktoś się nią zajmował.

- Nazwisko?

- Mówił na nią Szparka.

- Uroczo. Sprawdzę u nieletnich. Wracajmy. Chcę zadzwonić w parę miejsc.

Poszliśmy z powrotem do baru. Kiedy doszliśmy do matadora, Milo wsiadł i zaczął rozmawiać przez radio. Czekając, zajrzałem do baru. Mały, pokurczony mężczyzna w kraciastej flanelowej koszuli i kombinezonie stał za ladą, przecierając chromowany blat moką szmatą. Stołki przy barze miały chromowane nogi i tapicerkę z czerwonej skóry. Na ścianie z sękatych,

sosnowych desek wisiał niedziałający zegar z kukułką, obok trzeciorzędny olejny obraz jeziora Tahoe. Z taniego tranzystorowego radia dobiegała muzyka country.

Zagłuszył ją warkot silnika samochodu, nadjeżdżającego z północy. Odwróciłem się i zobaczyłem wyłaniającego się zza horyzontu jeepa, który podjechał na stację i zwolnił przy kordonie. Kierowca popatrzył na techników, a potem zatrzymał się przed barem, wyłączył silnik i wysiadł. Na jeepie zauważyłem oznaczenia Departamentu Parków, a mężczyzna był ubrany w mundur strażnika. Chudy i opalony, o sympatycznej twarzy, miał czterdzieści parę lat, okrągłe okulary w drucianych oprawkach i brodę w stylu Lincolna. Spod runda kapelusza wystawało kilka kosmyków jasnych włosów, opadających na kark koloru świeżego tataru.

- Sierżant Sturgis? - spytał.

- To on, tam.

- Bill Sarna. - Wyciągnął dłoń, twardą i suchą jak wołowa skóra.

- Alex Delaware.

- Sierżant?

- Konsultant.

To go zdziwiło, ale wybrnął z uśmiechem. Spojrzałem na Mila.

- Za chwilę powinien skończyć.

Sarna zajrzał przez otwarte drzwi do baru.

- Zobaczę, co u Asy. Przyjdźcie do mnie, kiedy będziecie gotowi.

Zdjął kapelusz i wszedł.

Kilka chwil później dołączyliśmy do niego przy kontuarze. W środku wisiało więcej trzeciorzędnych krajobrazów, pełna półka kolorowych, maszynowo wyciskanych szklanek z lat trzydziestych, kalendarz firmy narzędziowej z 1967 roku; naścienne menu proponowało stek z jajecznicą za dolara pięćdziesiąt dziewięć i kawę za pięć centów. We wszystkich kątach zauważyłem tapiserie pajęczyn. Powietrze było tu nieruchome i stęchłe, jak w mauzoleum, którym bar tak naprawdę był.

- Dzień dobry panom - zaskrzypiał starzec. Wykonywał dużo ruchów z niewielkim efektem: podbiegał, kręcił się, tarł nieistniejące plamy, poklepywał, wycierał. Twarz miał zapadniętą wskutek kilku lat bezzębności; jego nadaktywność wydawała się sztuczna, jakby chciał tchnąć w bar trochę życia.

Sarna wstał i przywitał się z Milem.

- Chciałbym panów poczęstować kawą albo czymś takim - powiedział starzec - ale ostatnio zaniedbałem się trochę z zaopatrzeniem.

- W porządku, Asa - odparł strażnik. - Następnym razem.

- No pewnie. Filety z kurczaka, herbatniki i fasolka, a do tego kawa z cykorii. Może też następnym razem?

- Jasne. - Sarna się uśmiechnął. - Nie mogę się doczekać.

Położył rękę na ramieniu Skaggsa, kazał mu o sobie dbać i wyprowadził nas z baru.

- Jak z jego głową? - spytał Milo.

- Dobrze, jak na osiemdziesięcioletka.

- A jak na świadka?

Strażnik założył i poprawił kapelusz.

- Czasami ponosi go trochę myślenie życzeniowe.

- Świetnie. Miał wcześniej skłonności samobójcze? Sarna zrobił zaskoczoną minę.

- Wcześniej?

Milo opowiedział mu o wężu na rurze wydechowej. Strażnik spochmurniał. Broda bez wąsów sprawiała, że wyglądał jak starszy amiszów.

- To dla mnie nowość. Zawsze uważałem go za życiowego starszego gościa, który ma za dużo wspomnień. Co do jego wartości jako świadka, trudno mi coś powiedzieć.

- Ma jakąś rodzinę?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Z kim możemy porozmawiać, żeby się nim zaopiekował?

- W kościele baptystów jest grupa seniorów, ale z tego, co wiem, Asa jest niewierzący. Jeśli chcecie, mogę się rozpytać.

- Byłbym wdzięczny, Bill.

Technicy zaczęli się pakować.

- Mój kapitan mówił, że to jakaś paskudna sprawa - powiedział Sarna, przyglądając się im. - Motocykliści się pocięli?

Milo kiwnął głową.

- Co roku mamy takich paru, zwłaszcza w Angeles Crest. O który klub chodzi?

- Nie wiemy. Skaggs nie widział żadnych barw.

- A ofiara?

- Ofiara nie była motocyklistą.

- Hm. To niepokojące. Większość naszych wezwań to rezultat tego, że ci idioci, naprani wodą i korbą, rzną się nawzajem. Ale normalnych ludzi zazwyczaj nie zaczepiają. Mam nadzieję, że to nie jest początek czegoś większego. Potrzebujecie pomocy w poszukiwaniach?

- Nie, dzięki. Poszukiwania skończone. Rozesłaliśmy naszych ludzi we wszystkie strony, ale nic nie znaleźli. Technicy powiedzieli nam, że ślady opon prowadziły z powrotem na autostradę.

- To znaczy, że mogli pojechać do któregoś z kanionów na północy albo z powrotem do miasta. Kiedy to się stało?

- Około ósmej dzisiaj rano.

- Więc już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić. Asa podał wam rysopisy?

- Jeden był gruby, drugi chudy. Które kluby jeżdżą po okolicy?

- Największe: Anioły, Mongołowie, Uczniowie Szatana, a do tego sporo mniejszych, które pojawiają się i znikają. Bazują najczęściej w Foothill Division: w Tujundze, Sunland, a na terenie parku imprezują.

- To teren parku?

- Nie. Początkowo należał do armii. Potem przeszedł na własność prywatną. Ale raz na jakiś czas i tak go patrolujemy. Kaniony dookoła przeznaczono pod zabudowę rekreacyjną i o ile nie ma się mapy, granice są trudno uchwytnie. Jeśli pytasz, czy to centrum aktywności harleyowców, to nie.

- Jakie tu macie przestępstwa?

- Konkretnie w Bitter Canyon? Raz na bardzo rzadki czas trafiamy na czyjś trup, zabitego gdzieś indziej i tu wyrzuconego. Poza tym zwykle drobiazgi: nastolatki piją, kłusownicy wywożą

żółwie. Nic poważnego.

- Zmierzam do tego - powiedział Milo - że nasza ofiara mogła być zamieszana w szantaż. Zabójstwo mogło wynikać z awantury przy spłacie. Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego ktoś miałby jechać aż tutaj, żeby prowadzić interesy?

Sarna zdjął okulary i się zamyślił.

- Tylko taki, żeby być daleko od wścibskich oczu. To bardzo odludna okolica, Milo. Żadnej wartej wzmianki turystyki, bo nie jest tu tak ładnie, jak w innych miejscach. Jezioro robi wrażenie, ale nie nadaje się do wędkowania ani sportów wodnych. Ostatnio ruch jest tu trochę większy z powodu elektrowni. Przyjeżdżają mierniczy, architekci, budowlańcy, ale nawet oni rzadko.

- Jaka elektrownia? - spytałem.

- Wodna.

- Nad jeziorem?

Milo popatrzył na mnie z zaciekawieniem, lecz mi nie przerwał.

- To więcej niż jezioro - wyjaśnił Sarna. - Bitter Canyon wcale nie jest tak naprawdę kanionem. To wypełniony wodą krater wulkanu, otoczony

stromymi zboczami i zasilany przez podziemne źródła. To te źródła są tak ważne, bo na bieżąco uzupełniają stan wody. Ocenia się, że to miliardy litrów. Niewykorzystane. - Płynnie zaczął wykład i widać było, że mu się to podoba. - Jest dziesięcioletni plan z dwoma długoterminowymi celami: wydrzeć wodzie dość energii, by zaopatrzyć północną część Valley, i stworzyć zbiornik awaryjny na wypadek suszy, łączący się z akweduktem.

- Wygląda na to, że dni spokoju się skończą.

- Kiedy tylko ruszy budowa. To olbrzymie przedsięwzięcie, czterdzieści pięć milionów dolarów za samą elektrownię i kolejnych dwadzieścia pięć na miasto, które ma wokół niej powstać. Była o tym mowa od lat. Sprawa nabrała rozpędu kilka lat temu, kiedy mieliśmy suszę i wszystkie te eleganckie restauracje przestały podawać wodę do obiadu. Potem przyszły w końcu deszcze i wszystko przycichło. Wrócono do tego jakieś dwa lata temu, ale trzeba było niezłe się nakombinować, żeby przepchnąć wypuszczenie obligacji na sfinansowanie projektu.

- Ekolodzy? - spytałem.

- Nie. Jak już mówiłem, poza samym jeziorem, które mało kto w ogóle ogląda, nie jest tu specjalnie ładnie, a miejscowi są bardziej zainteresowani pracą niż ochroną kreozotu. Pojawił się jednak problem sprzeczności interesów: firma, do której należy ta ziemia, wygrała też przetarg na budowę elektrowni.

- Cadmus Construction?

- Zgadza się - odparł zaskoczony Sarna. Potem popatrzył na nas z nagłym zrozumieniem. - Wydział zabójstw z West L.A. Tamta sprawa, tak?

- Bill - Milo nachylił się do niego konspiracyjnie - jeszcze nie wiemy. Byłbym wdzięczny, gdyby ta rozmowa została między nami.

Strażnik przesunął dłonią po ustach.

- Grób-mogiła.

- *Muchas gracias.* - Mój przyjaciel się uśmiechnął. - Ci budowlańcy, co tu przejeżdżają, dokąd jeżdżą?

- Na północno-wschodnią krawędź krateru. To jedyne miejsce, z którego widać całe jezioro. Stoją tam i rysują plany.

- Schodzą do samego jeziora?

- Nie. To dwudniowe zejście dla doświadczonego wspinacza. Z klamrami i liną.

- Może powiedziałbyś nam, jak tam trafić, żebyśmy sami mogli rzucić okiem?

- Czym przyjechaliście?

Milo wskazał matadora.

Strażnik pokręcił głową.

- Zapomnij, chyba że masz ochotę na spacer. Droga kończy się sześć kilometrów przed punktem widokowym. To okolica dla terenówek. Za wiozę was jeepem.

Popędziliśmy na południe coraz gorszą drogą. Trzęsło straszliwie, a za oknami rozciągał się widok na poziomą szramę upiornie bladej skały, nieskończoną i nieruchomą. Ale Sarna sprawił, że ożyła: nazywał krzewy w zaroślach, pokazywał nam rzadkie oazy życia - stado ptaków, pożywiających się na krzaku gorzkiej wiśni, jaszczurkę krokodylą biegnącą po liściach palmy wachlarzowatej; wychwalał piękno samotnej, zniszczonej przez upływ czasu sosny; opisywał okrucieństwo ciężkiej zimy na pustynnym płaskowyżu i odporność stworzeń, które ją przeżywały.

Przez cały ten czas Milo siedział oklapnięty na swoim fotelu, kiwając głową w odpowiednich momentach, ale skupiony na okrucieństwie zupełnie innego rodzaju.

Przejazd z asfaltu na żwir sprawił, że karoseria jeepa zawibrowała jak cięciwa łuku. Żwir przeszedł w piach, a koła wzbily chmurę pyłu. Sarna chyba uznał to za wyzwanie, bo nie zwolnił, a zamiast hamować, bawił się biegami. Milo i ja trzymaliśmy się siedzeń.

Wspięliśmy się w górę, zjechaliśmy przez zarośla w dół i znów w górę. Przypomniałem sobie, co

Milo mówił o kolejkach górskich, spojrziałem na niego i zobaczyłem, że siedzi z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi ustami, cały zielony.

Jeep dalej jechał pod górę. Sarna po raz ostatni docisnął gaz; wskoczyliśmy na szczyt i dojechaliśmy do ocienionego, płaskiego miejsca. Zatrzymał samochód, zaciągnął ręczny i wysiadł.

- Ostatni kawałek musimy przejść pieszo.

Stanęliśmy na wprost kępy sosen. Większość drzew była uschnięta - jedne miały szare kadłuby z połamanymi, suchymi kolcami zamiast gałęzi, inne padły, jeszcze inne sterczały ze spieczonej ziemi pod nieprawdopodobnymi kątami. Żywe nie wyglądały znacząco lepiej. Przestrzeń między ich pniami wypełniały ostre błyski szarobiałego światła. Musieliśmy odwrócić wzrok.

Sarna znalazł ścieżkę między drzewami. Poszliśmy za nim, po kostki w suchych liściach, ostrożnie stąpając po kruchych wrzecionach połamanych gałęzi. Milo zaczepił o coś nogawką i musiał się zatrzymać. Wciąż wyglądał, jakby było mu niedobrze, ale przynajmniej jego twarz odzyskała normalny kolor.

Za drzewami rozciągała się polana, a kiedy się tam zbliżyliśmy, blask stał się nie do zniesienia. Szliśmy powoli w stronę otwartego terenu, osłaniając oczy rękami. Sarna przystanął na pochyłym, piaszczystym skraju, poznaczonym rozrzuconymi na chybił trafił stertami kamieni. A za krawędzią - białe światło.

- Trudno coś zobaczyć o tej porze dnia - powiedział. - Ale jeśli dojdziemy tam, będziemy chyba mieli dość cienia. Ostrożnie, teren ostro opada.

Zaprowadził nas pod osłonę jednej z formacji skalnych, stosu głazów podtrzymujących wystającą poza nie płytę piaskowca. Stanęliśmy pod płytą i wyjrzelśmy.

Jezioro było opalem wprawionym w pozłoconą słońcem ziemię. Jego powierzchnia lśniła jak kryształowe lustro, tak nieruchoma, że wydawała się sztuczna. Jeden krok poza obręb cienia zmienił ją w oślepiający świetlny dysk, o czym szybko przekonał się Milo.

- Jezu - jęknął, osłaniając twarz i wracając pod osłonę.

Sarna opuścił rondo kapelusza i pokiwał głową.

- Zachodzące słońce świeci na skały pod kątem, który powoduje cholerną refrakcję. To jeszcze jeden powód, dla którego mało kto tu wchodzi.

- Jak cholerna tafla szkła - mruknął Milo, trąc oczy.

- Tak myśleli też Hiszpanie. Nazwali to miejsce El Canón Vidrio, co potem zostało zmienione na Bitter Canyon. Szkoda, nie uważacie? Bo nie dość, że brzmi o wiele ładniej, hiszpańska nazwa jest o wiele trafniejsza.

- *Vidrio* - powtórzył Milo.

- Tak. - Strażnik kiwnął głową. - Szklany kanion.

Sarna podrzucił nas z powrotem do baru, a Milo następne pół godziny rozmawiał z Asą Skaggssem, próbując dowiedzieć się, czy starzec widział ostatnio kogoś podobnego do Jameya, Chancellora albo Gary'ego. Skaggs przerwał skrobanie starej blachy do ciasta, podrapał się w głowę i cmoknął bezzębnymi dziąsłami.

- Yamaguchi, to nazwisko Japońca, nie?

- Zgadza się.

- Mieliśmy tu Japońców, w obozie przesiedleńczym pod Mojave.

- Podczas drugiej wojny światowej?

- A kiedy? Potem wypuścili ich i wzięli do wojska. Słyszałem, że nieźle się tam sprawiali. Twarde małe małpiszony.

- Myślałem o trochę bardziej niedawnej przeszłości, panie Skaggs.

- Hm. Nie, od tamtej pory nie widziałem żadnych Japońców. Ale w mieście mieszka ich mnóstwo. W okolicach San Pedro Street, mówią na to teraz Małe Tokio. Jest w mieście jedna pani, Alma Bachman, która lubi tam jeździć i jeść surową rybę. Twierdzi, że czuje się od tego młodsza, co akurat nie ma wiele sensu, prawda?

- Niewiele - zgodził się Milo.

- Pamięta pan tamte czasy bardzo dobrze, prawda, panie Skaggs? - spytałem. - Wojnę i tuż po niej?

- Pewnie.

- Pamięta pan człowieka, który kupił bazę wojskową?

- Pana Czarnego Jacka Cadmusa? Trudno go zapomnieć. To był dopiero dżentelmen, takich się już nie spotyka. Nosił się jak król. Pięknie ubrany, aż po getry. Czasami przyjeżdżał tu popatrzeć na jezioro i zatrzymywał się na tankowanie i mycie szyb. Pamiętam jego wóz. Bugatti 41 royale z dwudziestego siódmego, ten z dużą rzędową ósemką z podwójnymi gaźnikami na kolektorach dolotowych. Czarny jak smoła i wielki jak autobus. Kazał go odremontować we Włoszech i sprowadził tutaj. Silnik był tak skonstruowany, że musiałem wszystko rozbierać, jeśli chciałem zrobić coś przy zaworach. Samo utrzymanie kosztowało tyle, że tuzin rodzin wyżywiłby się za to przez rok, ale taki właśnie on był. Miał styl, brał tylko to, co najlepsze. Raz na jakiś czas, kiedy zmieniałem mu olej albo sprawdzałem opony, przychodził tu, siadał tam, gdzie pan teraz siedzi. Zamawiał kawę i bułkę z czekoladą, uwielbiał czekoladę. Sal mówiła, że mógłby być gwiazdorem filmowym ze swoimi czarnymi włosami i białymi zębami.

- Przyprawdzał kiedykolwiek kogoś ze sobą?

- Nie. Zawsze sam, samiutki. Jechał swoim bugatti, dokąd się dało, a potem spacerował przez parę godzin. Mówię to, bo czasami wracał cały zakurzony, a ja z niego żartowałem. „Znów się pan wspinał i coś psocił, co, pułkowniku Cadmus?” Można było tak do niego mówić, miał poczucie humoru. A on się wtedy uśmiechał i mówił: „Obcowałem z naturą, Asa. Wracałem do źródeł”.

Starzec mrugnął i zniżył głos.

- Nigdy go o to nie pytałem, ale myślę, że chodził tam pisać wiersze.

- Dlaczego?

- Nosił ze sobą taką małą książeczkę i takie drogie pióro ze złotą stalówką. Raz, kiedy myłem mu szyby, zostawił ją otwartą na siedzeniu.

Szybko zajrzałem, cała była zapisana małymi akapitami, jak wiersze. Kiedy zobaczył, że patrzę, szybko ją zamknął. Pewnie nie chciał, żebym go wziął za lalusia.

Milo się uśmiechnął.

- Jak ta książka wyglądała? - spytałem.

- Mała, w skórze.

- Czarna?

- Pamiętam tylko, że ciemna. Mogła być czarna.

- Przeczytał pan kiedyś, co w niej było napisane?

- Nie. Nigdy nie byłem tak blisko.

- Ale jest pan przekonany, że to wyglądało jak wiersze.

- Pewnie. A czego innego mógłby się wstydzić prawdziwy mężczyzna?

Wyszliśmy z baru. Technicy z laboratorium odjechali, a na drodze było cicho jak na cmentarzu.

- Do czego zmierzałeś? - chciał wiedzieć Milo. - Te wiersze i tak dalej.

- Książka, którą opisał Skaggs, przypomina tę w *Nędznym czynie* - odparłem. - Kiedy teraz o tym myślę, nie pasowała do reszty rzeźby. Wszystko inne w tym przedstawieniu było w miniaturze, a książka w normalnym rozmiarze. Zupełnie nieproporcjonalnie. Poza tym wyglądała bardziej na antyk niż na pamiętnik nastolatka. Gary nagryzmolił na niej *Pamiętnik* lawendowym flamastrem, ale zrobił to niechlujnie, zupełnie nie w swoim stylu. To kompulsywna osobowość, Milo, wszystko inne wykonał bardzo starannie i precyzyjnie.

Nad ciemniejące wzgórza wzbił się i zaczął kołować jastrząb. Milo zapatrzył się na niego.

- Wiem - powiedziałem. - Są na tym świecie tysiące takich czarnych książeczek. Ale „szklany kanion” to było jedno z najczęstszych sformułowań Jameya, kiedy miał halucynacje. Użył go, gdy do mnie dzwonił, to znaczy, że myślał o tym miejscu. Można by to zlekceważyć, bo to psychotyk, a wielu ekspertów, w tym Mainwaring, nie przykłada wielkiej wagi do tego, co mówią psychotycy. Ale Radovic tu zginął. To zbieg okoliczności?

Milo przeciągnął dłońmi po twarzy, skrzywił się i odchrząknął.

- Przewińmy to sobie - zaproponował. - Dawno temu stary Cadmus przyjeżdżał tu, do szklanego kanionu, wędrował i pisał wiersze w swojej

czarnej książeczce. Czterdzieści lat później jego wnuk, który ma świra na punkcie poezji i zwidy na temat szklanego kanionu, załatwia swojego chłopaka i przypadkową męską dziwkę i kończy sprawę seryjnego mordercy. Potem ochroniarz tego chłopaka kupuje rzeźbę jakiegoś punka, żeby zdobyć czarną książeczkę, szantażuje nią dwóch harleyowców i zostaje zarżnięty. - Spojrzał na mnie. - Wystarczy, żeby rozboleła od tego głowa, co?

Podszedł do matadora, wsiadł i zamknął drzwi. Patrzyłem, jak podnosi radio i rozmawia przez nie kilka minut, przytakując i odgarniając włosy z oczu. Potem się rozłączył i wysiadł z samochodu, czymś zaprzątnięty.

- Goście z Pacific Division właśnie zaczęli przeszukiwać łódź Radovica. Ktoś tam już był i nieźle ją przetrząsnął. Zostawił broń, noże i plik gotówki schowany w podstawie koła sterowego. A także wiertarkę, stos plastikowych wiórów i trocin, i resztę zabawek z rzeźby; facetowi, z którym rozmawiałem, bardzo podobało się harakiri Kena. Ale czarnej książki nie było. Według Skaggsa nic nie przeszło z ręki do ręki między Radovicem a harleyowcami, co samo w sobie o niczym by mnie nie przekonało. Ale to, że ktoś zadał sobie trud włamania na tę łódź, oznacza, że ciągle szukają. A więc albo ją znaleźli, albo Radovic chytrze ją gdzieś ukrył i cały czas tam jest.

Z południa nagle powiało chłodem. Milo poprawił krawat i obaj zapięliśmy marynarki. Niebo pociemniało do koloru węgla drzewnego z plamami indygo i koralu. Jastrząb zmienił się w niewyraźny, czarny półksiężyc, a potem zniknął. Dookoła panowała pierwotna cisza.

- Już to sobie wyobrażam - powiedział Milo. - Złote łuki będą tam, tuż obok Taco Bell, stojącego ściana w ścianę z Pamiątkami z Bitter Canyon, gdzie będą sprzedawali dowcipne pocztówki i plastikowe makiety elektrowni. Postęp.

Dałem się ponieść wyobraźni; zobaczyłem betonowe wieże sterczące wyzywająco z niskich, cichych wzgórz, modularne pazury prefabrykowanego miasta duszące ciche zakątki. Potem przypomniałem sobie coś, co powiedziała mi Heather Cadmus.

- Milo, Jamey i Chancellor poznali się na przyjęciu wydanym przez Dwighta Cadmusa dla fundatorów przedsięwzięcia Cadmus Construction. To była duża inwestycja, a głównym inwestorem był Chancellor. A gdyby tak dowiedzieć się, co to za przedsięwzięcie? Interesujące, prawda? I na

jakich dokładnie zasadach brał w nim udział Chancellor.

Milo spojrzął z zaciekawieniem.

- Bardzo interesujące. - Splótł dłonie na karku i zaczął głośno myśleć.

- Co oznacza, że trzeba zdobyć dostęp do wszystkich finansowych danych

Chancellor. Oprócz tego, że będzie to proceduralną męczarnią, bo wiele szyszek na wieść o tym zabolę serce, cała sprawa będzie musiała przejść przez Dickiego Casha, bo bank Chancellor jest w Beverly Hills. Zważywszy na poziom przedsiębiorczości Casha, liczą na co najmniej miesiąc. A jeśli on w to wejdzie, to będzie musiał wejść i Whitehead. Oraz wszyscy nasi zwierzchnicy. Poznałeś ich, Alex. Dla nich sprawa Rzeźnika jest rozwiązana. Nasze pomysły przyjmą na pewno z wielkim entuzjazmem.

- Morderstwo Radovica ich nie martwi?

- Radovic to wyrzutek, trzy razy „o”: odnaleźć, opisać, olać. Zacytuję uroczego Cala, mówiącego do Dickiego, kiedy miałem nie słyszeć: „Pedał miał szczęście, to szybsze niż AIDS. Cha, cha, cha”.

Skrzywił się.

- Miło musi być mieć taki zakuty łeb, co? Wszystko trafia do swojej szufladki.

- Chyba mogę się czegoś dowiedzieć o tym przedsięwzięciu - oświadczyłem - bez ujawniania niczego.

Ucieszył się, kiedy powiedziałem mu jak.

- Dobrze. Zrób tak. Jeśli coś znajdziesz, poszukamy głębiej. Spojrzął na zegarek.

- Lepiej wracajmy.

- Jeszcze jedno. Wiem, że jesteś przekonany o winie Jameya, ale nie zaszkodziłoby rozważyć alternatyw.

- Jeśli masz jakieś, dawaj.

- Po pierwsze, ktoś powinien przyjrzeć się uważniej szpitalowi Canyon Oaks. W noc ucieczki Jameya nikogo nie było w dyżurce. Może to typowa niekompetencja, a może nie. Siostra przełożona narobiła sobie długów. Odeszła z pracy wkrótce po aresztowaniu Jameya i wyjechała z miasta nowiutkim samochodem.

Milo lekko się uśmiechnął.

- Bawiłeś się w detektywa?

- Trochę.

- Jak ona się nazywa? - spytał, wyciągając notes.

- Andrea Vann. To rozwódka podróżująca z małym chłopcem. - Podałem mu adres w Panorama City.

- Jaki samochód kupiła?

- Mustanga.

- Sprawdzę numery rejestracyjne, zobaczę, co się znajdzie. Coś jeszcze?

- Mainwaring. Ma reputację uległego, kiedy w grę wchodzi pieniądze. Taki ktoś przydaje się, kiedy chcesz kogoś zamknąć w zakładzie tak,

żeby nikt nie zadawał za dużo pytań. Nagiął zasady, pozwalając Cadmusom zatrudnić własną pielęgniarkę. Może nagiął też kilka innych.

- Rozmawiałeś z nim. Wyczułeś jakąś lewiznę?

- Nie - przyznałem. - Jego metody leczenia nie były specjalnie twórcze, ale odpowiednie.

- Zrobiłbyś coś, czego on nie zrobił?

- Spróbowałbym więcej z Jameyem rozmawiać, żeby dowiedzieć się, co się dzieje w jego głowie, co nie znaczy, żeby mi się udało. Ale Mainwaring nawet nie spróbował. Jamey miał trwałe halucynacje. Miesiąc przed zniknięciem mówił to samo, co kiedy do mnie zadzwonił. Kogoś o bardziej otwartym umyśle mogłoby to zaciekawić. - Przerwałem. - A może Mainwaring wiedział, ale postanowił nic nie mówić.

Milo uniósł brwi.

- Teraz mówisz o spisku, przyjacielu.

- Tylko głośno myślę.

- Wróćmy do tych trwałych halucynacji. O czym Cadmus mówił, oprócz szklanego kanionu?

- Bardzo często używał słowa „smród”. Ziemia śmierdzi i krwawi. Śmierdzismród. Krwawe kity. Białe zombi. Zabawy z igłami.

Milo chwilę zczekał.

- Coś jeszcze?

- To najbardziej powtarzające się elementy.

- Coś z tego rozumiesz?

- Teraz, kiedy wiem o elektrowni, może to mieć jakiś ekologiczny podtekst: krwawiąca ziemia, smród jako symbol skażenia.

- A jak do tego pasują zabawy z igłami?

- Zabawy z igłami i kilometry rur - przypomniałem sobie. - Kiedy pierwszy raz to usłyszałem, myślałem, że wyraża swój lęk przed leczeniem. Oczywiście sądziłem wtedy, że „szklany kanion” oznacza szpital.

- A kity i zombi?

- Nie wiem.

Zaczekał chwilę.

- To wszystko?

Kiedy pokiwałem głową, odłożył notes.

- Może Mainwaring ma rację, a ja nadinterpretuję. Może to tylko gadanie wariata, które nic nie znaczy - westchnąłem.

- Kto wie? - odparł Milo. - Z biegiem lat nauczyłem się szanować twoją intuicję, kolego. Ale nie chciałbym ci robić nierealnych nadziei. Przed tobą jeszcze długa droga, jeśli chcesz przywrócić Cadmusowi cnotę.

- Zapomnij o cnocie. Wystarczy mi prawda.

- Na pewno?

- Nie.

Kiedy wszedłem do domu, Robin uśmiechnęła się do mnie psotnie.

- Uroczą młodą dziewczyną imieniem Jennifer dzwoni co pół godziny.

Pocałowałem ją i zdjąłem marynarkę.

- Dzięki. Zadzwoń do niej po kolacji.

- Na kolację jest pizza i sałatka od Angelina. Ta dziewczyna... jest tak ładna, jak jej głos?

- Pewnie. Jest też moją byłą... studentką. I ma siedemnaście lat.

Robin udała, że liczy na palcach.

- Jest o ponad połowę młodsza od ciebie.

- To dopiero ponura myśl.

Podeszła i musnęła ustami moje ucho.

- To nic. Będę cię kochać nawet starego i siwego. - Dotknęła moich włosów. - Siwszego.

- Dzięki.

- Powiedz mi, wszystkie twoje były studentki mówią ci „Alex” tym tonem pełnym uniesienia?

- Tylko te ładne.

- Świnia.

Ugryzła mnie w ucho.

- Au.

Cofnęła się ze śmiechem.

- Wkładam pizzę do piekarnika i idę się wykąpać, zanim się podgrzeje. Masz tu numer małej Jenny. Może do niej zadzwoń, Alex, a jak się już odpowiednio podniecisz, przyjdź do mnie.

Podawała mi kartkę i czmychnęła. Wykręciłem numer. Odebrała pani Leavitt.

- Och, właśnie się pan z nią rozminął. Powinna wrócić za jakieś dwie godziny.

- Zadzwonię później.

- Niech pan zadzwoni, doktorze. Wiem, że chce z panem porozmawiać.

Usłyszałem szum napełnianej do wanny wody. Chciałem wykonać jeszcze jeden telefon. Poszedłem do biblioteki i przerzuciłem parę kartek rolodeksa.

Nie wiedząc, czy Lou Cestare ciągle niańczy bogaczy na „Motywacji”, czy wrócił do swojej posiadłości w Willamette Valley, zadzwoniłem na jacht i usłyszałem nagraną wiadomość, by dzwonić do Oregonu. Pod numerem w Willamette czekało następne nagranie informujące, że jest już po godzinach, ale w razie nagłego wypadku można się skontaktować z panem Cestare'em za pomocą kodu pagera. Wystukałem kod i usłyszałem głos przedszkolaka:

- Dzień dobry, tu Brandon Cestare. Kto mówi?

- Dzień dobry, Brandon. Nazywam się Alex. Mogę rozmawiać z twoim tatą?

- Jesteś klientem?

- Tak. Nazywam się Alex.

- Cześć, Alex.

- Cześć. Jest tam twój tata?

- Jest w łazience.

- A mama?

- Karmi Hillary.

- Aha. Ile masz lat, Brandon?

- Pięć i pół.

- Umiesz pisać?

- Tylko drukowanymi.

- Jeśli przeliteruję ci moje imię, będziesz mógł je zapisać drukowanymi na jakiejś kartce i dać tacie, kiedy wyjdzie z łazienki?

- Tak. Pójdę po...

Koniec zdania zagłuszył głos Lou. („Kto to, Bran...? Dzięki, Tygrysie... Nie, nie trzeba, porozmawiam z nim... Co...? Nie, nie musisz... Brandon, nie trzeba. Ja już... dobrze, dobrze, nie denerwuj się, wyjaśnię mu”).

Cestare podniósł słuchawkę, śmiejąc się.

- Mówi Lou, Alex. Brandon upiera się, żeby zapisać twoje imię.

- Daj go. - I ja się roześmiałem. Znow usłyszałem chłopca.

- Jakie to literki?

Podyktowałem mu moje imię, a on mi je przeczytał.

- Doskonale. Brandon, a teraz możesz dać to tacie?

- Jasne. Jest tutaj.

- Dzięki. Cześć.

- Cześć.

- Cześć po raz kolejny - powiedział Lou.

- Masz sumienny personel, Lou.

- Trzeba ich szkolić od najmłodszych lat. Co słychać?
- Potrzebuję informacji o niedawno wypuszczonych akcjach. Elektrownia Bitter Canyon.
- Dobra rzecz, ale masz dość długoterminowych w swoim portfolio.
- Nie chcę kupować, tylko dowiedzieć się paru szczegółów.
- Jakich?
- Tła całej sprawy. Kto się w to wkupił na poważnie.

W jego głosie pojawiła się nagła czujność.

- Po co chcesz to wiedzieć?
- Ma to związek ze sprawą, nad którą pracuję.

Chwilę się zastanawiał.

- Co psychologia ma wspólnego z elektrownią?
- Nie mogę w to wchodzić, Lou.
- Wiesz o tych akcjach coś, czego ja nie wiem?
- Nie. Ja...

- Bo siedzę w tym na tyle głęboko, że pójde na dno, jeśli coś nie wypali. Jeśli jest choćby mała sugestia jakichś problemów, chcę o tym wiedzieć. W tej chwili.

- To niepewne przedsięwzięcie?

- Gdzie tam. AAA, gwarancje MBIC. - Przerwał. - Ale akcje Washington Power też to miały. Cała branża inwestycyjna opiera się na wierze. A biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich paru lat, nie trzeba wiele, żeby tę wiarę obalić. Jeśli Bitter Canyon zacznie się nagle wyprzedawać, chcę być na początku kolejki. Dobra, a jaki ty masz z tym związek?

- Nie mogę ci powiedzieć, Lou.

- Nie wierzę! Dzwonisz do mnie do domu, żeby ze mnie coś wycisnąć, a potem nie chcesz powiedzieć dlaczego. Alex, ty i ja...

- Lou, to nie ma nic wspólnego z finansami. Nie słyszałem jeszcze niczego, co by świadczyło, że akcje są zagrożone. Prawda jest taka, że w ogóle nic na ten temat nie wiem. Interesują mnie ludzie, którzy za tym stoją.

- Jacy ludzie?

- Ivar Digby Chancellor, Beverly Hills Trust. Rodzina Cadmusów. Wszystkie powiązania między nimi.

- Och. Ta sprawa.

- Ta sprawa.

- Co cię z tym łączy?

- Jestem konsultantem obrony.

- Niewinny z powodu niepoczytalności?

- Coś w tym rodzaju.

- Z tego, co słyszałem, będziesz miał łatwo. Chłopak podobno jest rzeczywiście szurnięty.

- Wyczytałeś to w „Wall Street Journal”?

- Finansowa poczta pantoflowa. Jak tylko jakaś większa firma jest powiązana z czymś paskudnym, my, finansiści, oceniamy konsekwencje.

- I?

- I panuje generalny konsensus, że konsekwencji nie ma. Gdyby chłopak kierował korporacją i zamierzał zamienić jezioro w olbrzymie jacuzzi, może byłoby się czym martwić. Ale w jego stanie to mało prawdopodobne, prawda?

- Mało.

- Co się dzieje, Alex?

- Nic. W sprawie Chancellora...

- Gej, że hej, ale bystry facet i twardy negocjator, z odpowiednią kombinacją kreatywności, ostrożności i *cojones*. Beverly Hills Trust to jeden z najsilniejszych małych banków na Zachodnim Wybrzeżu. Chancellor dobrze zaopiekował się swoimi klientami. Wszedł w wystarczająco dużo chytrych układów, żeby pobić dużych procentami, jednocześnie się przy tym nie nadwerężając. Doszedł do pieniędzy starym sposobem: odziedziczył je, a potem podlewał, aż ładnie wyrosły. Jeśli jesteś odpowiednio bogaty, uchodzą ci na sucho takie rzeczy, jak pociąg do młodych chłopców i malowanie oczu. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

- Posiadał jakiś udział w Bitter Canyon?

- Najpewniej tak. Jako smarowniczy. Zadawał się z Cadmusami od lat i miał dużo kontaktów u chłopaków od wody i energii, więc był bardzo pożyteczny. Ale główną rolę odegrał, kiedy przyszło do kupowania. BHT był głównym kupującym pierwszej serii obligacji krótkoterminowych.

Pamiętam, bo kiedy pojawiła się oferta, cała seria niknęła. Byłem ciekaw, kto je kupił, i trochę powęszyłem. Kupował też długoterminowe. Przejdę do telefonu przy komputerze i sprawdzę dane.

Przełączył mnie na czekanie i po chwili wrócił.

- Dobra. Właśnie sprawdzam. Obligacje Bitter Canyon Consolidated System Power, seria z 1987, mam. To obligacje stanowe, nie municypalne, bo w Bitter Canyon nie ma jeszcze miasta. Mówimy tu o siedemdziesięciu pięciu milionach dolarów dochodu, piętnaście tysięcy partii po pięć tysięcy dolarów *at par*. Osiemnaście milionów w seriach dojrzewających od 1988 do 2000 roku, reszta w długoterminowych: jedna trzecia dwudziestoletnich, jedna trzecia dwudziestek piątek i jedna trzecia trzydziestek. Dziewięćdziesiąt milionów każda.

- Ile wykupił Chancellor?

- Zaczekaj. Mam to w innym pliku. Dobra, jest. Teraz tak: to nie są dane superprecyzyjne, bo mogli sprzedać trochę pod stołem, ale i tak dość dokładne. Według tego BHT kupiło dziesięć milionów pierwszej serii, w tym te najkrótsze, najbardziej pożądane, i drugie dziesięć w długoterminowych. To przez bank. Chancellor mógł kupić więcej dla siebie osobiście, ale coś takiego trudno namierzyć.

Przeliczyłem w myślach.

- Ponad ćwierć całości. To nie jest duży zakup jak na taki mały bank?

- Pewnie, że jest. Nietypowe także jest to, że bank w ogóle angażuje się w długoterminowe, zwłaszcza biorąc pod uwagę trend spadkowy na rynku obligacji w ostatnich kilkudziesięciu latach. Ale Chancellor miał opinię kogoś, kto agresywnie skupuje, kiedy w coś wierzy. Bez wątplenia uznał, że sprzeda to z zyskiem na rynku wtórnym.

- Jakim cudem dostał tak dużo?

- Cadmusowie i władze stanowe dali mu fory, bo duży zakup przez BHT był korzystny dla obu stron. Kiedy poważany inwestor okazuje taką wiarę w przedsięwzięcie, budzi to ogólny entuzjazm.

- Gdzie poszła reszta?

- Serie podzielono równo między kilka dużych instytucji finansowych: inne banki, kasy oszczędnościowo-pożyczkowe, domy aukcyjne, firmy ubezpieczeniowe. Tak jak sporą część długoterminowych, zostawiając trochę dla nielicznych bystrych niezależnych inwestorów, takich jak twój uniżony sługa.

- Wygląda na to, że to gorący temat.

- Supergorący. Pod koniec terminu składania ofert nic już nie było. Co to ma wspólnego z obroną młodego Cadmusa?

- Pewnie nie. Zapytam cię o coś jeszcze: czy wcześniejsza zgoda Chancellora na zakup dużej liczby obligacji mogła wpłynąć na wydanie zgody na całe przedsięwzięcie?

- Jako gwarancja? Pewnie. Gdyby na początku były jakieś wątpliwości co do realizacji zamierzenia, nie zaszkodziłoby na pewno mieć poważnego inwestora w kolejce. Ale to nie przypadek Bitter Canyon, Alex. To był gorący temat, bo wszystko tam było super od samego początku. Ziemia należy do Cadmusów od czasów wojny. Kupili ją od wojska tak tanio, że mogli odsprzedać ją z dużym rabatem, a i tak świetnie na tym wyszli. Ten zysk z kolei pozwolił im wystawić do przetargu bardzo korzystną ofertę budowy elektrowni. Bardzo, bardzo korzystną. Dzięki temu oprocentowanie obligacji wyszło pół punktu do punktu ponad cenę rynkową.

W dzisiejszych czasach to cholernie dużo, a ponieważ wszyscy przewidują, że w najbliższej przyszłości stawki zmaleją, zysk może być smakowity.

- Ręka rękę myje.

- Otóż to. Dzięki temu świat się kręci.

- Słyszałem, że były jakieś sprzeciwy. Kwestie konfliktu interesów.

- Nic wielkiego. Niektóre inne firmy budowlane próbowały robić szum, wszystko jednak dało się wyciszyć. Większość z nich nie jest dość duża, by poprowadzić taki projekt. Dwie firmy, nawet dość duże, nie mogły się nawet zbliżyć do przebicia oferty. Upieranie się przy sprzeciwach stwarzałoby ryzyko, że zrobi się krzyk o sztuczne zawyżanie kosztów, co wszyscy oni mają na sumieniu, i że dojdzie do dużych opóźnień. Okoliczne miasta i energetyka chciały, żeby projekt został szybko zatwierdzony, i naciskały, by przyspieszyć bieg spraw. Być postrzeganym jako zawalidroga z politycznego punktu widzenia nie byłoby pożądane.

- Narobisz szumu, to zapomnij o zleceniach w przyszłości.

- Trochę subtelniej, ale ogólnie masz rację. Z politycznego punktu widzenia to była łatwizna, Alex. Żadnych oszołomów z Sierra Clubu, krzyczących o świętych kaktusach, duże lokalne bezrobocie. Jak ruszą, dużo ludzi się ucieszy.

- A kiedy ruszą?

- Na początku przyszłego roku. Zgodnie z planem.

- Śmierć Chancellora nie ma tu żadnego znaczenia?

- A dlaczego miałyby mieć? Jasne, ludzie będą uważnie pilnować, kto przejmie bank. Jeśli to będzie kretyn, popłynie wolny, ale niepowstrzymany strumień sprzedaży: nic nagłego, bo na chybcika wszyscy tracą. Ale to sprawa wewnętrzna, nie ma nic wspólnego z Bitter Canyon. Ani obligacjami.

- Co mogłoby mieć wpływ na przedsięwzięcie?

- Nic poniżej boskiej ingerencji; zawsze miło zwałać wszystko na Niego, kiedy sprawy idą źle,

prawda? Na przykład jezioro wyparuje z dnia na dzień; Cadmus Construction przejdzie na socjalizm i zacznie produkować tkaniny *macrame*... Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. O co ci, do cholery, chodzi, Alex?

- Nie wiem, Lou. Naprawdę nie wiem.

- Słuchaj, nie chcę wyjść na histeryka, ale pozwól, że przedstawię ci moją sytuację. Zasadniczo trzymam się z dala od obligacji. Zarówno osobiście, jak i w zarządzaniu portfoliami moich klientów. W przeszłości się nie sprawdziły, w najlepszym razie wychodzisz na zero. Ale mam paru klientów, którzy się przy nich upierają: konserwatystów takich jak ty i

durniów tak bogatych, że uroili sobie, że ich na to stać. Dlatego wypatruję dobrych partii i szybko kupuję. To się często nie zdarza, Bitter Canyon było jednak jedną z tych okazji, więc dużo zainwestowałem. Jak dotąd wielu ludzi jest zadowolonych. Ale jeśli sprawa się sypnie, ci sami ludzie będą bardzo nieszczęśliwi. Wprost morderczo. Nieważne, że w zeszłym roku byłem Midasem. Jeden błąd i będę popularny jak Arafat w B'nai B'rith. Wszystkie te lata budowania zaufania szlag trafi.

- Mówię ci, Lou, nic nie wiem. Jeśli się dowiem, zadzwonię do ciebie.

- Zadzwon - powiedział stanowczo. - Na mój koszt. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Następnego dnia o siódmej rano przyjechałem do kampusu. Chociaż gmach psychologii był zamknięty, boczne wejście było otwarte, tak jak Jennifer obiecała.

Laboratorium mieściło się dwa piętra poniżej poziomu gruntu, na końcu ciemnego korytarza, tuż za zwierzętarnią, cuchnącą karmą dla szczurów i odchodami. Jennifer czekała w pozbawionym okien pomieszczeniu, przy szarym, metalowym biurku, otoczona stosami książek, skserowanych artykułów z czasopism i notesem. Ścianę za nią zdobił plakat Edwarda Goreya. Po lewej stronie stał laboratoryjny stół z czarnym blatem; jego błysk stępiły lata nacięć skalpelem. Po prawej - szeregi klatek. Na stole leżał otwarty zestaw do sekcji i szpula włókna elektrody. Klatki tętniły życiem - biegały w nich podłużne, ciemne kształty z białymi obwódkami: szczury kapturowe. Wyglądały na wyjątkowo niespokojne, przerywały bieg tylko po to, by się podrapać, zapiszczeć, possać końcówkę poidła albo pogryźć pręty w ramach protestu przeciw nieludzkiemu traktowaniu szczura przez człowieka. Wiele z nich złożyło już ofiarę nauce: na łebkach miały różowe parafinowe zaślepki. Pod woskiem, wiedziałem, była odsłonięta tkanka mózgowa, strategicznie uszkodzona. Ze środka każdej zaślepki wystawał dwucentymetrowy drucik - przewód elektrody; trząsał się przy każdym poruszeniu czaszki, w której był osadzony.

- Alex. - Jennifer zerwała się, jakbym ją przestraszył.

W odpowiedzi na ten ruch zapiszczał jeden ze szczurów.

Była ubrana całkowicie na czarno: luźny sweter, obcisłe džinsy, buty do kolan na wysokim obcasie. Włosy miała wilgotne po kąpieli, twarz świeżo wymytą. Z jej uszu zwisały czarne plastikowe trójkąty. Palcami zabębniła w stół. Bardzo atrakcyjna i świetnie wyglądająca młoda

dama. Ponad połowę młodsza ode mnie.

- Dzień dobry, Jennifer.

- Dzięki, że przyszedłeś. Wiem, że niewiele ci wczoraj powiedziałam. Nie chciałam o tym rozmawiać przez telefon, bo to zbyt skomplikowane.

- Jeśli wiesz coś, co może pomóc Jameyowi, zamieniam się w słuch. Odwróciła nerwowo wzrok.

- Nie jestem... Może przesadziłam. Na tym etapie to tylko koncepcja. Usiadłem, ona też.

- Co masz na myśli? - spytałem.

- Pamiętasz, jak mówiłam, że pogarszający się stan jego umysłu przez chwilę mnie intrygował? Twoje uwagi pomogły mi skryzalizować to, co mnie intrygowało: brak psychopatii, sprzeczność między jego stanem umysłowym a profilem seryjnego mordercy; omamy wzrokowe; pytania o używanie narkotyków. Myślałam o tym bardzo długo i cały czas kręciłam się w kółko. Doprowadzało mnie to do szału.

Wzięła ze stołu długopis i zaczęła nim wymachiwać jak dyrygent pałeczką, podkreślając rytm swoich słów.

- Potem uświadomiłam sobie, że zabieram się do tego od złej strony, że próbuję dopasować fakty do niesprawdzonej hipotezy: że Jamey jest jednocześnie psychotykiem i seryjnym mordercą. Kluczem było odrzucić do wszystkiego i zacząć od zera. Koncepcyjnie. Stworzyć alternatywne hipotezy i je sprawdzić.

- Jakie alternatywy?

- Wszystkie permutacje. Zaczynijmy od „morderca, ale nie psychotyk”. Jamey jest sadystycznym, morderczym psychopatą, który udaje schizofrenię, żeby uniknąć odpowiedzialności za swoje zbrodnie. To taktyka, której seryjni mordercy już używali: Dusiciel z Hillside, Syn Sama, i jest całkowicie zgodna z manipulacyjnym charakterem psychopaty. Ale z tego, co czytałam, nie działa za dobrze, prawda?

- Nie działa - przytaknąłem. - Przysięgli sceptycznie traktują zeznania psychiatrów. Ale oskarżony stojący wobec przytłaczających dowodów mógłby mimo to spróbować.

- Ale Jamey mógł w ogóle uniknąć schwytania, Alex. Nie ma powodu, żeby ktoś tak inteligentny, zakładając, że nie jest psychotykiem, dawał się złapać na gorącym uczynku, a potem polegał na mało skutecznej strategii.

Poza tym psychoza nie była czymś, co na siebie zarzucił jak sweter. Pogarszało mu się na długo przed aresztowaniem. Ty nie uważasz, że on udaje, prawda?

- Nie - odparłem. - Cierpiał za bardzo i za długo, a teraz jest jeszcze gorzej. Tego dnia, kiedy z

wami rozmawiałem, zaczął się rzucać na ściany celi i skończył ze wstrząsem mózgu. Polała się krew. Nawet strażnik więzienny, który był dotąd pewien, że Jamey udaje, zmienił zdanie, kiedy to zobaczył.

Jennifer odwróciła głowę w stronę klatek, popatrzyła na szczura, który wcisnął nos między pręty, i się skrzywiła.

- To okropne. Czytałam o tym w gazecie, ale nie podali szczegółów. Co z nim?

- Nie wiem. Zostałem odsunięty od sprawy i od tamtej pory go nie' widziałem.

To ją zaskoczyło.

- Tak czy inaczej - powiedziałem, zanim ujęła to zaskoczenie w słowa - nie musisz mnie przekonywać, że to nie psychopata. Jaką masz następną hipotezę?

- „Psychotyk, ale nie morderca”. Problem halucynacji wzrokowych pozostaje, tak samo jak kwestia używania narkotyków. Lecz jedno i drugie można wyjaśnić: Jamey jest schizofrenikiem i narkomanem.

- Jednocześnie?

- Dlaczego nie? Wiem, że używanie narkotyków nie wywołuje schizofrenii, ale czy nie są znane przypadki, kiedy pchnęło kogoś, jakąś osobowość graniczną, poza krawędź? Jamey nigdy nie był przystosowany, przynajmniej odkąd go znam. A więc czy nie mógł połknąć kwasa albo PCP i przeżyć złego tripa, który poluzował granice jego ego i spowodował psychotyczne załamanie, a potem dalej brać?

- Jen, według niemal wszystkich był przeciwnikiem narkotyków. Nikt nigdy nie widział, żeby cokolwiek brał.

- A Gary? Znalazłeś go?

- Tak, i powiedział, że Jamey brał. Ale wywnioskował to z zachowania Jameya i przyznał, że nigdy nic nie widział.

- A więc to przynajmniej kwestia otwarta - upierała się.

- Największy problem z hipotezą numer dwa: nie ma powiązania z używaniem narkotyków ani psychozą. Jeśli nie jest mordercą, jak to się stało, że znaleziono go z nożem w ręku?

Zawahała się.

- Dobra, w tym miejscu zaczynamy trochę teoretyzować.

- W porządku.

- A jeśli został wrobiony? To by rozwiązywało kilka problemów koncepcyjnych naraz. Pytanie

brzmiało „jak?” A kiedy zaczęłam nad tym myśleć, doszłam do trzeciej alternatywy, tej, która pasuje moim zdaniem najlepiej, bo eliminuje wszystkie rozbieżności. Nie jest ani mordercą, ani prawdziwym schizofrenikiem. Miejsce zbrodni i jego zły stan umysłowy to wyniki psychologicznej manipulacji.

- To znaczy?

- Chemicznej kontroli mózgu, Alex. Psychologicznego zatrucia. Ktoś doprowadził go do obłądu halucynogenami. I przeniósł go na miejsce morderstwa, kiedy był nieprzytomny.

- To bardzo śmiała teoria.

- Wiem, że brzmi fantastycznie, ale wysłuchaj mnie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, już wystartowała.

- To nie jest wcale taki dziwny pomysł. Czy badania nad środkami psychodelicznymi nie rozwinęły się właśnie dlatego, że psychiatrzy szukali narkotyków, które symulowałyby schizofrenię? Przecież zanim ukuto termin „psychodeliczny”, LSD, psylocybina i meskalina były nazywane psychotomimetykami; imitują psychozę. A zanim hippisi popsuli mu reputację, LSD było uważane za cudowny narkotyk badawczy, bo miało moc tworzenia zewnętrznie indukowanej modelowej psychozy. Psychoterapeuci zaczęli je brać, żeby dowiedzieć się, przez co przechodzą ich pacjenci, a farmakolodzy badali jego strukturę molekularną, żeby rozróżnić neurobiologiczne... - Przerwała, spojrzała na nasze dłonie i odsunęła się zawstydzona, a potem próbowała to ukryć, przekładając książki. - O czym ja mówię? - powiedziała. - Przecież ty to wszystko wiesz.

- Jennifer, wcale nie sędzę, że twoja teoria jest fantastyczna... jako teoria. Narkotyki kołatały mi się po głowie, odkąd zaangażowałam się w tę sprawę. Bo szukałam sposobu uratowania Jameya. Dlatego nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż odkrycie, że jest ofiarą, a nie oprawcą. Niestety - ciągnęłam - jeśli wyjść poza teorię, zaczynają się poważne problemy. Kiedy przyjęto go do Canyon Oaks, zbadano go na obecność LSD, PCP i innych ulicznych narkotyków, i nic nie znaleziono. - Jeśli ufać Mainwaringowi. - A chociaż istnieją podobieństwa między zatruciem narkotykami a schizofrenią, wiesz tak samo dobrze jak ja, że nie są to w żadnym razie stany ekwiwalentne. Odloty po narkotykach są o wiele bardziej stereotypowe i destrukcyjne wizualnie. Schizofrenia jest głównie słuchowa...

- Ale Jamey miał halucynacje wzrokowe.

- Mógł mieć, niektórzy schizofrenicy je mają, lecz większość jego zaburzeń była słuchowa. Słyszał głosy. To o wiele bardziej pasuje do psychozy.

A jego staczenie się było chroniczne. Odloty po narkotykach są z reguły krótkotrwałe. Ktoś musiałby dosłownie siłą karmić go LSD, żeby pozostawał aż tak szalony. Trzeba by mu założyć kroplówkę.

- Co można było zrobić w szpitalu.

- Ale nie w areszcie.

Zamilkła, lecz się nie poddała. Wyrwała z notesu kartkę i zaczęła pisać.

- Spisuję wszystkie twoje obiekcje. Co jeszcze?

- Dobrze. Nawet gdybyśmy mogli udowodnić, że w noc zamordowania Chancellora był naćpany, są dowody rzeczowe łączące go z pozostałymi sześcioma morderstwami. Wtedy też był naćpany i wrobiony? Potem mamy kwestię jego ucieczki. Jak dostał się do domu Chancellora z Canyon Oaks? Nawet jeśli był naćpany, należałoby się spodziewać, że będzie coś pamiętał z tamtej nocy.

Jennifer przejrzała swoje notatki i podniosła wzrok.

- Co masz na myśli, mówiąc o dowodach rzeczowych?

- Nie znam szczegółów - odparłem, nie wspominając o lawendowej sukience Heather Cadmus.

- Jeśli to odciski palców, można je przenieść. Wszystko inne jest jeszcze mniej wiarygodne. Czytałam o biologii sądowej, wcale nie jest tak ścisła, jak uważa większość ludzi. Dwaj biegli mogą badać ten sam materiał dowodowy i ustalić dwie diametralnie różne rzeczy. Zupełne jak w psychologii.

Uśmiechnąłem się.

- Co do ucieczki - kontynuowała - a jeśli to wcale nie była ucieczka?

Powiedzmy, że ktoś to tak upozorował, a potem porwał go ze szpitala i podrzucił do Chancellora?

Pomyślałem o nowym mustangu Andrei Vann i zastanowiłem się nad tym. Ale jeśli ucieczka była porwaniem, czemu pozwolono mu do mnie zadzwonić?

- Co jeszcze - zastanowiła się Jennifer, wracając do notatek - kwestia braku ekwiwalencji między narkotykowymi odlotami a psychozą. To, co mówisz, to prawda, jeśli chodzi o LSD i większość najpopularniejszych halucynogenów. Ale to nie wyklucza innego narkotyku, takiego, który wywołuje długotrwałe zaburzenia i zakłóca percepcję słuchową.

- I jest łatwy do dyskretnego podania - dodałem. - Doustnie albo przez zastrzyk. I niełatwo go wykryć w rutynowych testach. Mówisz o jakimś psychotomimetyku.

Z entuzjazmem pokiwała głową.

- Właśnie!

- Jakież propozycje?

- Nie. Myślałam, że ty możesz coś wiedzieć.

- Nic nie przychodzi mi do głowy. Ale nie jestem ekspertem w psychofarmakologia

- Można to sprawdzić - odparła, patrząc mi w oczy. - Ja mam czas. A ty? Zastanowiłem się.

- Jasne.

- Super!

Poszliśmy na południe przez dziedziniec przy wydziale nauk ścisłych, do centrum medycznego. Była siódma trzydzieści i campus zaczynał się zapełniać: zasapani biegacze, spieszący gdzieś doktoranci; przyszli lekarze, obciążeni plecakami pełnymi książek i niewiarą w siebie. To był jeden z tych poranków, które ściągają ludzi do L.A., mimo że to szalone miasto - powietrze oceanicznie świeże i szczypiąco chłodne pod ciemnoniebieskim niebem. Jennifer owinęła się mocniej swoim ponczo; cały czas z ożywieniem mówiła.

- Na początku podeszłam do tej sprawy z czysto kognitywnej perspektywy. Czy można namieszać komuś w głowie, wykorzystując tylko techniki psychologiczne?

- Pranie mózgu?

- Tak, lecz nieustannie, aż do ciężkiej psychozy. To, co Charles Boyer próbował zrobić Ingrid Bergman w *Gasnącym płomieniu*. Ale to był film. W prawdziwym życiu to by się nie udało; sam stres nie wystarcza. To znaczy, pomyśl o największym stresie, jaki można przeżyć: hitlerowskich obozach koncentracyjnych. - Na chwilę przymknęła oczy. - Mój tata przeżył okres dojrzewania w Auschwitz, a wielu jego przyjaciół wyszło z obozu obronną ręką. Rozmawiałam z nimi o tym. Trauma męczyła ich przez całe życie: lęki, depresja, problemy zdrowotne, żaden z nich jednak tak naprawdę nie zwariował. Tata to potwierdza. Według niego objawy psychozy mieli tylko ci, którzy byli już psychotykami, kiedy przywieziono ich do obozu. Czy to się zgadza z wynikami badań?

- Tak. I z doświadczeniem klinicznym. Przez lata widziałem tysiące dzieci i rodzin żyjących w niewiarygodnym stresie i nie przypominam sobie ani jednego przypadku psychozy wywołanej stresem. Ludzie są wyjątkowo odporni.

Zastanowiła się nad tym.

- A mimo to u szczurów i małą bardzo łatwo wywołać za pomocą stresu zachowanie podobne do psychotycznego. Doktor Gaylord to wykazał.

Wystarczy podłączyć do prądu podłogi ich klatek, uniemożliwić ucieczkę, aplikować wstrząsy w losowych odstępach czasu, a one po prostu zwijają się w kłębek, defekują i wpadają w otępienie. Jeśli robić to odpowiednio długo, nigdy nie dochodzą do siebie. - Przerwała i się zamyśliła. - Ludzie są o wiele bardziej skomplikowani, prawda? Jako organizmy.

- Tak. - Uśmiechnąłem się. - Jako organizmy.

Pogrążyliśmy się w milczeniu. Do biblioteki biomedycznej dotarliśmy na pięć minut przed otwarciem; czekając, piliśmy kawę z automatu na otwartym dziedzińcu. Spacer sprawił, że Jennifer jeszcze bardziej się zaczerwieniła; jej opalona skóra nabrała odcienia przykurzonego różu. Młoda skóra, bez rys, które rzeźbi doświadczenie. Jej włosy wyschły i lśniły w słońcu, a w oczach odbijało się niebo.

Odłożyła książki, wzięła kubek w obie dłonie i między łykami szczebiotała z ożywieniem. Z każdym wykrzyknikiem przysuwała się bliżej, ocierając się przelotnie i z wahaniem o moje ramię, jakby sprawdzała temperaturę żelazka. Kilku studentów zauważyło ją i to, co się między nami działo. Wydawało mi się, że jeden czy dwóch uśmiechnęło się pod nosem.

- Chodźmy - powiedziałem, zerkając na zegarek i wyrzucając kubek do kosza.

Weszliśmy do biblioteki za dwoma studentami stomatologii, niosącymi modele szczęk, i znaleźliśmy wolny dębowy stolik niedaleko półek z periodykami.

- Jak chcesz się do tego zabrać? - spytała Jennifer.

- Siadźmy i spiszmy listę istotnych tematów, podzielmy je między siebie, sprawdźmy każdy w katalogu, a potem chodźmy między półki i znajdźmy te najbardziej obiecujące pozycje. Możemy najpierw rozejrzeć się ogólnie, potem bardziej konkretnie.

- Brzmi nieźle. Może do nowszych rzeczy użyjemy komputera?

- *Medline?*

- I *Psych Abstracts*. *Chemical Abstracts* też są chyba w Internecie.

- Pewnie. Idź, dokądkolwiek zaprowadzi cię bibliografia.

- Świetnie... Ee, masz konto akademickie? Nie będą niczego szukać bez gwarancji zapłaty.

- Nie, mam posadę na drugim końcu miasta. Ale szli mi już kiedyś na rękę i wystawiali rachunki przez wydział pediatrii. Wpisz moje nazwisko, a jeśli będziesz miała jakieś problemy, ja z nimi pogadam.

Sporządziliśmy listę, podzieliliśmy ją, umówiliśmy się na jedenastą trzydzieści, a potem się rozdzieliliśmy - odpowiednio do naszego wieku: ona skierowała się do komputerów, a ja przez godzinę przerzucałem

katalogi i spisywałem numery, zanim zagłębiłem się w dwunastopiętrowy silos informacji, znany jako Dział Biomedyczny.

Swoje poszukiwania rozpocząłem od psychiatrii, potem przeszedłem przez neurologię i psychobiologię. W miarę jak skupiałem się na interesujących mnie tematach, bibliografia robiła się coraz bardziej ezoteryczna i ogólna. Po dwóch godzinach przesiewania dokumentów niewiele się dowiedziałem.

Jak zauważyła Jennifer, badania nad psychodelikami zaczęły się od prób odtworzenia psychozy, a artykuły z lat trzydziestych do pięćdziesiątych były w większości suchymi traktatami, zajmującymi się głównie strukturami molekularnymi i wyrażającymi ostrożny optymizm co do przyszłych korzyści w badaniu schizofrenii. Trafiłem na opis syntezy LSD autorstwa Hoffmana i inne znane pozycje, ale

żadna nie zajmowała się kwestią zamierzonego psychologicznego trucia.

W latach sześćdziesiątych zmienił się klimat naukowy. Byłem wtedy studentem, zbyt zajęty nauką, by zbaczać na ścieżki rekreacji biochemicznej. Pamiętałem jednak, jak Leary, Alpert i inni zaczęli przypisywać narkotynom filozoficzne, religijne i polityczne właściwości, a także wysyp uzależnień i przedawkowań, który nastąpił, kiedy ich słowa trafiły do niewłaściwych ludzi.

Artykuły z lat sześćdziesiątych obudziły we mnie te wspomnienia - kroniki tragedii opowiedziane rzeczową prozą opisów przypadków klinicznych: naćpani, którzy wyskakiwali z okien na dziesiątym piętrze, rozkładając ramiona jak orle skrzydła ikariańskiej wszechmocy, biegali nago po autostradzie, gotowali własne ręce w kadziach wrzątku... orgia samozniszczenia.

Kiedy psychiatrzy i psychologowie zajęli się opracowywaniem sposobów leczenia uzależnień od narkotyków, idea ich naukowego zastosowania zblakła. Chociaż widmo trwałej psychozy u psychicznie zdrowych narkomanów zostało wskrzeszone, zbadane i w końcu odrzucone, halucynogeny uznano za szczególnie niebezpieczne dla osobowości granicznych i innych o „słabych granicach ego”. LSD było najczęściej przytaczanym winowajcą, istniały też jednak inne: amfetaminy, barbiturany i psychodelik DMT, zwany też biznesowym lunchem na haju, bo wywoływał nagłe, bardzo intensywne halucynacje trwające od czterdziestu pięciu minut do dwóch godzin.

W DMT moją uwagę zwróciły dwie rzeczy: czasami taki biznesowy lunch trwał dłużej, niż się spodziewano - znano przypadki złych tripów trwających cztery czy pięć dni - a w przeciwieństwie do LSD jego skutki

wzmacniało, intensyfikowało, podanie torazyny i innych środków uspokajających opartych na fenotiazynie. Przypomniałem sobie zmienną reakcję Jameya na leki, kolejne poprawy i pogorszenia jego stanu, które tak frustrowały Mainwaringa, i zacząłem się zastanawiać, czy przyczyną tego nie mogło być właśnie to. Jeśli chłopaka otruto czymś w rodzaju DMT, torazyna wpędzałaby go w większy obłąd, zamiast przywracać do przytomności. Ale DMT było zbyt nieprzewidywalne, by zastosować je do tak wyrachowanej kontroli umysłu, jaką sugerowała Jennifer.

Czytałem dalej. Znalazłem artykuły o haszyszu, psylocybinie, meskalinie i dziwacznej miksturze łączącej psylocybinę i meskalinę z LSD i DMT, znanej jako STP. Zaintrygował mnie zbiór opisów przypadków, sporządzony przez grupę badawczą Akademii Medycznej UC San Francisco, w którym STP nazwano „biochemiczną rosyjską ruletką” i zauważono, że był to ulubiony narkotyk wyjętych spod prawa motocyklowych gangów. Zauroczenie trwało jednak krótko, bo koktajl ten okazał się zbyt wybuchowy nawet dla bestii w skórach. Znowu harleyowcy. Drążyłem chwilę ten temat, lecz niczego się nie dowiedziałem.

Przypis w artykule z 1968 roku odnotowywał istnienie narkotyku o nazwie sernyl, środka znieczulającego o krótkim działaniu, opracowanego przez Parke-Davis do polowych zastosowań w wojsku, ale porzuconego, bo po przedawkowaniu wywoływał objawy psychiatryczne.

Zatrucie sernylem mogło przypominać ostry atak schizofrenii, z omamami słuchowymi włącznie. Ale według autora opracowania skutki jego zażycia były tak przerażające - złudzenie śmierci przez utopienie i inne okropieństwa - że nie widział w nim potencjału uzależniającego. Dziesięć lat później

sernyl był już znany głównie pod swoimi ulicznymi nazwami - świniak, kryształ, DOA, anielski pył, PCP - i stał się głównym narkotykiem brany dla rozrywki w miejskich gettach. Tyle na temat prorocत्व.

O PCP niemal od razu pomyślałem, kiedy usłyszałem bełkot Jameya przez telefon i dowiedziałem się, jakie miał objawy, wśród których było kilka klasycznych reakcji po PCP: nagłe pobudzenie i zmieszanie, prowadzące czasem do przemocy, paranoja, omamy słuchowe i schodzący okres głębokiej depresji. PCP można było podać doustnie, a wywoływane przez nie skutki trwały od kilku godzin do kilku tygodni. Ale tak jak w przypadku DMT, był to okres nieprzewidywalny. Do tego reakcje po PCP były uzależnione od dawki: małe ilości powodowały otępienie albo euforię, średnie - odporność na ból. Psychoza wywołana przedawkowaniem mogła szybko przejść w śpiączkę i doprowadzić do śmierci, a różnica między stężeniem toksycznym a zabójczym była mikroskopijna. Oznaczało to, że długotrwała dieta zawierająca PCP mogła kogoś równie łatwo zabić, co

wpędzić w obłąd. Był to środek zbyt mocny, by dawał się zastosować do wyrachowanego psychologicznego podtruwania.

O jeszcze jednym problemie z PCP wspominałem Jennifer: Mainwaring nie znalazł jego śladów w krwi Jameya.

O ile psychiatrze można było wierzyć.

Jeśli nie można było, co pozostawało? Scenariusz ze złym doktorem, uzdrowicielem wykorzystującym swoje umiejętności do wywoływania szaleństwa? Na pierwszy rzut oka - atrakcyjna możliwość. Rozwiązywała problem obliczania dawek: „inżynier biochemii” wiedziałby, jak dostosowywać poziom narkotyku z precyzją wymaganą do kontroli umysłu. Ale krok dalej wszystko sypało się w gruzy. Bo Mainwaring pojawił się na horyzoncie długo po tym, jak Jameyowi zaczęło się pogarszać. A nawet jeśli miał w tym wcześniej jakiś udział, jaki mógł mieć motyw, by truć swojego pacjenta?

W głowie zawirował mi kolaż nieprzystających do siebie elementów: rzeźby punków, czarne książeczki, elektrownie i zakrwawione błyskawice lawendowego jedwabiu. Usłyszałem szyderczy głos Mila: „Jeszcze jeden spisek, stary?”, i uświadomiłem sobie, że pozwoliłem, by spekulacje siedemnastolatki - chociaż genialnej - doprowadziły mnie do zgadywania.

To intelektualna gimnastyka dla ludzi próżnych, pomyślałem, patrząc na stosy książek przed sobą. Strata czasu.

Mimo to czytałem dalej. I udowodniłem sobie, że się myliłem.

Znalazłem dwie interesujące pozycje. To, co w szwedzkim artykule o broni chemicznej w pierwszej chwili wydawało się zdawkową aluzją do psychologicznego zatruwania, zaprowadziło mnie do działu botanicznego w poszukiwaniu monografii McAllistera i innych z Uniwersytetu Stanforda. Książki jednak nie było. Zjechałem windą na parter i poszedłem do wypożyczalni - może została zwrócona, ale jeszcze nie wstawiona na półkę. Czarnoskóry, mrukliwy bibliotekarz o posturze futbolowego obrońcy przez pięć minut stukał w klawiaturę komputera, potem podszedł do

mnie i pokręcił głową.

- Przykro mi, proszę pana. Nie została wypożyczona. Co oznacza, że prawdopodobnie krąży po bibliotece. Czasem ludzie zanoszą książki do kserokopiarek i tam je zostawiają.

Podziękowałem mu i przeszukałem okolice kopiarek, lecz jej nie znalazłem. Próba zlokalizowania pojedynczej książki w miejscu tak olbrzymim, jak biblioteka biomedyczna, była wyzwaniem większym niż szukanie igły w stogu siana, poszedłem więc szukać drugiej pozycji. Zszedłem schodami na najniższy poziom, cztery piętra pod ziemię.

Znalazłem się w zatęchłym kącie biblioteki, otoczyły mnie sięgające sufitu metalowe półki pełne starych tomiszczy - zbiorów uznanych za marginalnie istotne dla współczesnej medycyny i zesłanych tu niczym zniedołężniali starcy.

To była kostnica książek, cicha i ciemna. Pod sufitem ciągnęła się płatanina odkrytych rur, ściany pokrywały pleśń i rdzawe plamy. Z rury wolno kapąła woda i zbierała się w kałużę u dołu jednego z regałów; niektóre książki rozmiękły i pozwijały się od wilgoci.

Wiele tomów napisano w obcych językach: po łacinie, niemiecku i francusku. Większość miała pozaginane rogi i wytarte okładki. Musiałem mocno wyteżać wzrok, by odczytać spłowiałe tytuły na wyblakłych grzbietach. W końcu znalazłem to, czego szukałem, i zaniósłem do stolika.

Oprawiony w sztywne, białe płótno, które od upływu czasu pociemniało do koloru kawy z mlekiem, siedemdziesięcioletni tom o rozmiarach albumu malarstwa pełen był grubych, elegancko zadrukowanych stron i welinowych wkładek z ręcznie kolorowanymi rycinami. Nosił tytuł *Taksonomia i botanika roślin z kategorii phantastica/euphorica: wyniki poszukiwań alkaloidów narkotycznych wśród ludów prymitywnych*; autor: Osgood Shinnars-Vree, kawaler orderu Imperium Brytyjskiego, doktor nauk różnych, profesor botaniki i chemii botanicznej z Oksfordu, Towarzystwa Badawczego i British Museum.

Zacząłem czytać wstęp. Profesor Shinnars-Vree napisał go pompatycznym i odrobinę obronnym tonem, jakby usiłował usprawiedliwić czymś dziesięć lat biegania po dżungli w poszukiwaniu ziół zmieniających stan świadomości.

Historia ludzkich eksperymentów ze środowiskiem roślinnym, mających na celu manipulację zmysłami, jest równie długa, jak historia samego człowieka - pisał. - Ale dopiero w obecnym stuleciu nauka opracowała metody objaśniania chemicznych właściwości gatunków, które zakwalifikowałem do kategorii *phantastica*, dla poprawy kondycji człowieka. Korzyści z nich płynące leżą głównie na obszarze leczenia demencji i innych chorób nerwowych i umysłowych, bez wątplenia jednak poznamy także i inne.

Pierwszy rozdział dotyczył historii czarownictwa w średniowiecznej Europie. Shinnars-Vree stawiał tezę, że wiedźmy były uzdolnionymi zielarkami, które wykorzystywały swoje umiejętności do „niezdrowego rzemiosła”, farmakologicznymi płatnymi zabójczyniami, sprzedającymi swoje usługi „co mniej moralnym członkom klas wyższych”.

Wynajmowane przez szlachtę do trucia politycznych i osobistych wrogów wiedźmy tworzyły mikstury zawierające:

Fantastykanty natury alkaloidalnej, w tym - choć nie tylko - lulek czarny (*Hyoscyamus niger*) i różne pochodne wilczej jagody (*Atropa belladonna*). Rośliny te mają zdolność symulowania napadów pomieszania zmysłów i obłądu, trwających od kilku dni do kilku tygodni, a w większych stężeniach są zabójcze. Wysoko wykwalifikowana wiedźma potrafiła w swoich wywarach dobrać takie proporcje alkaloidów, by efekt ich zażycia był przewidywalny: przejściowe pomieszanie, długotrwała demencja albo *mortis* - wszystko to było na jej rozkazach.

Dlatego też średniowieczna wiedźma była nikiem innym, jak sprytnym chemikiem, choć przypisywała sobie nieprawdziwe atrybuty demonicznej mocy, by stworzyć wokół siebie aurę wszechpotęgi. To samo można powiedzieć o szamanach i kapłanach wudu z Haiti i innych karaibskich wysp. Umysłowe i cielesne zaburzenia, sprowadzane przez ich tak zwane czary, są jedynie zatruciem, wywoływanym przez chytne zastosowanie alkaloidów.

W rozdziale drugim Shinners-Vree opisywał swoje podróże do Ameryki Łacińskiej i stwierdzał, że: Nowy Świat charakteryzuje się nadzwyczajnym bogactwem roślin zmieniających stany świadomości. Purchawka *gi-i-wa* Mixteków, święty grzyb znany jako *teonancatl* (boskie ciało) wśród Azteków, drzewny grzyb Yurimagua z Peru, wiedźmi wywar *ayahuasca*, destylowany przez Indian Zaparo z pnącza *banisteriopsis*, opisany przez Villavicencio (1858), wszystkie one tworzą alkaloidalne eksudaty o składzie chemicznym podobnym do tych wytwarzanych z *Atropa belladonna*. Wszystkie są fantastykantami, wszystkie zasługują na dalsze badania. Ja jednak postanowiłem skupić swoje wysiłki na konkretnym źródle belladony, drzewie datura, z podgatunku *brugmansia*, z powodu jego wyjątkowych właściwości wegetatywnych. Dalsza część tego tomu będzie temu właśnie poświęcona.

Przekartkowałem ilustracje - żywe i szczegółowe przedstawienia krzewów i małych drzew o szerokich liściach, opadających, trąbkowatych, białych lub żółtych kwiatach i dużych, gładkich, strąkowatych owocach - i przeskoczyłem do rozdziału trzeciego.

Jak ujął to nieustraszony profesor S.-V., „*brugmansia* jest fantastykantem archetypicznym, zarówno dlatego, że spożycie różnych jej części wywołuje stany behawioralne naśladujące objawy ostrej demencji i innych

chorób umysłowych, jak i dlatego, że skutki te w dużym stopniu mogą być kontrolowane przez człowieka”. „Kontrolowane przez człowieka”. Czytałem dalej z bijącym sercem.

Kontrola ta wynika z faktu, że krzewy brugmansji mają tendencję do spontanicznego i gwałtownego mutowania i że można je rozmnażać, wtykając kawałek łodygi w wilgotną ziemię. Jest to tak łatwe, że ogólnie rzecz biorąc, poradziłoby sobie z tym nawet niezbyt mądre dziecko.

W dolinach pod Wysokimi Andami odkryłem powszechność interesująco wykształconych „ras” tego gatunku, niektóre tak zniekształcone, że zniknęło wszelkie ich podobieństwo do rośliny macierzystej. Co warto zauważyć, każda posiadała wyjątkowe i przewidywalne

właściwości fantastykantu, powstałe bez wątpienia wskutek drobnych zmian chemicznych. Nie tylko jedno plemię używało owych „ras”. Chibchowie, Chocosi, Quechuasi i Jivarowie to zaledwie niektóre z prymitywnych plemion biegłych w ich stosowaniu. (Kwestia osobistego bezpieczeństwa uniemożliwiła kontakt z kilkoma innymi).

Indianie używają owych „ras” do szczególnych zadań. Jedna służy do dyscyplinowania nieposłusznych dzieci - zmusza się je do wypicia rozrobionych w wodzie, roztartych nasion. Następują omamy słuchowe, w których dawno nieżyjący przodkowie zjawiają się i upominają młodych. Inna ma prowadzić do skarbów ukrytych w grobowcach; jeszcze inna przygotowywać wojowników do bitwy, ukazując im zmacerowane twarze tych, których muszą zabić. Choć sam nie byłem tego świadkiem, dowiedziałem się, że jedno z bardziej dzikich plemion używa „rasy” *b. aura* do zatruwania żon i niewolników zabitych wojowników, by bez walki godzili się na porzebanie żywcem ze swoimi panami.

„Rasy” różnią się między sobą siłą działania, a szamani wszystkich plemion wiedzą bardzo dobrze, które są mocne, a które słabe. Najbardziej zdumiewa sprawność, z jaką ci tak zwani dzicy potrafią manipulować ludzkim umysłem przez stosowanie wybranych, trujących alkaloidów.

Odłożyłem książkę, czując przejmujący chłód i nudności. Trochę ponad rok temu trafiłem do szklarni grozy - straszliwych klonów, skutków zemsty szaleńca na losie. Teraz znów stawiałem czoło matce naturze w jej najbardziej zwyrodniałej postaci. Moje rozmyślania przerwał odgłos

kroków. Zobaczyłem Jennifer z naręczem książek; schodziła po schodach i kierowała się w stronę działu, gdzie znalazłem księgę Shinnersa-Vree.

- Cześć - przywitałem ją, a ona podskoczyła, odruchowo wymachując ramionami; książki rozsypały się po podłodze. Położyła rękę na sercu i odwróciła się do mnie, blada i z szeroko otwartymi oczami.

- Och. - Głęboki oddech. - Alex. Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Wszystko w porządku?

- Jasne - odparła pospiesznie.

Nachyliłem się i pozbierałem książki.

- Głupio mi, że tak się wystraszyłam - powiedziała Jennifer. - Ale tu jest jakoś tak niesamowicie. - Zaśmiała się nerwowo. - Jakbyśmy byli tu pierwszymi ludźmi od wieków.

- Pewnie tak właśnie jest. Czego szukałaś?

- Starej książki botanicznej. Znalazłam coś, a to jest źródło.

- Chodź.

Zaprowadziłem ją do stolika. Odłożyłem książki i podniosłem wielki, oprawny w płótno tom.

- To ta?

Jennifer wzięła książkę i przerzuciła kilka ciężkich stronic.

- Tak!

- Nie zainteresowałaś się nią przypadkiem po przestudiowaniu bibliografii monografii antropologicznej ze Stanforda? McAllister, i inni, 1972?

Spojrzała na mnie zdumiona, potem wyjęła ze stosu na biurku cienką książkę, otworzyła ją i przeczytała:

- Wykorzystanie antycholinergiczných alkaloidów ziołowych w utrzymywaniu społecznego ładu: rytuały brugmansji Indian z doliny Sibundoy, południowa Kolumbia. McAllister, Levine i Palmer. Jak to znalazłeś?

- Przypis w artykule o broni chemicznej. A ty?

- Odnośnik w periodyku antropologicznym o rytuałach grzebania żywcem. Niesamowite.

- Wielkie umysły chodzą tymi samymi drogami.

Przeszliśmy od stolika do większego stołu. Jennifer wysłuchiwała mojego streszczenia książki Shinnersa-Vree, a potem podniosła monografię McAllistera.

- Grupa ze Stanfordu poszła w ślady Shinnersa-Vree, Alex. Z jego książką pojechali do doliny Sibundoy, szukając kultów halucynogenów. McAllister był profesorem prowadzącym, pozostała dwójka studentami. Kiedy dotarli na miejsce, zastali wszystko w takim stanie, jak opisał

Shinners-Vree: kilka małych, tajemniczych plemion żyło w dżungli u podnóża Andów, klonując brugmansję i używając jej w religii, medycynie, rytuałach dorosłości. Kolumbijski rząd planował budowę autostrady, która groziła zniszczeniem dżungli i eliminacją plemion, więc bardzo szybko zaczęli gromadzić materiały. Levine zajął się biochemicznymi różnicami między klonami. Odkrył, że psychotomimetycznym składnikiem wszystkich z nich był pewien antycholinergiczný alkaloid, bardzo podobny do atropiny czy skopolaminy. Ale w swojej analizie nie opisał drobiazgowych różnic między klonami, a ja nie znalazłam żadnej innej jego pracy, więc jego badania musiały spełznąć na niczym.

- Palmer była ukierunkowana bardziej kulturowo. Była też o wiele bardziej twórcza; ta książka to jej praca magisterska. Myślisz, że umieścili jej nazwisko na końcu, bo była kobietą?

- Nie zdziwiłbym się.

- Dzięki Bogu za feministki. Tak czy inaczej, jej praca jest szczegółowym opisem tego, jak

antycholinergików używano do kontroli społecznej. Jej główna hipoteza zakłada, że u Indian narkotyki zajęły miejsce Boga. W dziale dyskusji spekuluje, że wszystkie religie mają korzenie w doświadczeniach psychodelicznych. Śmiała teoria. Ale najważniejsze, Alex, jest to, że ci Indianie dobrze wiedzieli, którego klonu użyć, by uzyskać dokładnie ten efekt, o który im chodziło. To dowód, że da się to zrobić.

- Zatrucie atropiną. Współczesny wiedzmi wywar.

- Właśnie! - zawołała z podnieceniem. - Antycholinergiki blokują działanie acetylocholino w synapsach i rozpieprzają transmisję nerwową. Można komuś w ten sposób nieźle namieszać w głowie. A psychiatrzy nie przyszłoby do głowy robić badań na ich obecność, prawda?

- Nie przyszłoby, chyba że używano by ich na ulicach. Trafiłaś na coś takiego?

- Nie, a przeczesalam indeksy psychofarmakologiczne. W małych dawkach atropina i skopolamina to środki rozluźniające, używa się ich w lekach wydawanych bez recepty: środkach nasennych, przeciwalergicznym, w tych plasterkach, które przykleja się za uszami, żeby zwalczyć chorobę morską. Ale parę lat temu przepisywano je w większych stężeniach, i wtedy były poważne skutki uboczne. Skopolaminę podawano rodzącym kobietom, żeby pomóc im zapomnieć o bólu. Mieszano ją z morfiną i nazywano „rauszem”. Środek uszkadzał jednak płód i wywoływał psychotyczne ataki u niektórych pacjentek. Atropinę stosowano w chorobie Parkinsona jako lek przeciwspazmowy. Zmniejszał natężenie drgawek, lecz pacjenci popadali w pseudozniedołożenie umysłowe: zapominali,

gubili się i dostawali paranoi. To był poważny problem, dopóki nie opracowano syntetycznych leków o słabszych efektach ubocznych.

Pseudozniedołożenie. To mi coś przypomniało, ale cień wspomnienia przemknął tylko przez moją głowę jak płotka i ukrył się za kamieniem.

- Na przełomie wieków - ciągnęła Jennifer - było coś takiego jak papierosy przeciw astmie, wilcza jagoda zmieszana z tytoniem. Rozszerzały oskrzela, tyle że za dużo machów i dostawało się niezłych odjazdów:

delirium, halucynacji i trwałej utraty pamięci. A to jest kolejne ważne spostrzeżenie: antycholinergiki niszczą pamięć. Jeśli Jameya nimi nafaszerowano, można było go podnosić, kłaść, sadzać, manipulować nim jak marionetką. Spytaj go o to następnego dnia, a nie będzie nic pamiętał.

Przerwała, złapała oddech i otworzyła notes.

- Coś jeszcze - szybko przerzuciła strony. - Znalazłam taki wierszyk o objawach zatrucia wilczą jagodą i przepisałam go.

Podawała mi książkę, a ja przeczytałam na głos:

- *Szalony jak kapelusznik, wyschnięty jak wiór, czerwony jak burak, i ślepy jak szczur.*

- Suchość w ustach i zaczerwienienie - powiedziałem. - Skutki przy-współczulne.

- Tak! A gdy to przeczytałam, przypomniałam sobie ten dzień, kiedy Jamey tak się podniecił na spotkaniu grupowym. I te inne sytuacje, kiedy widziałam, jak mu odbija. Alex, za każdym razem był bardzo czerwony! Czerwony jak burak! I ciężko dyszał! Na pewno o tym wspominałam.

- Wspominałaś.

Tak samo jak Sarita Flowers. I Dwight Cadmus, opisując noc, kiedy Jamey zniszczył jego bibliotekę. Skupiłem się i przypomniałem sobie jego dokładne słowa: „czerwony i spuchnięty, ciężko dyszał”.

Spojrzałem na książki, które przyniosła Jennifer.

- Jest tam coś o interakcjach chemicznych?

Wyjęła gruby, czerwony tom i podała mi go.

Otworzyłem rozdział o lekach na chorobę Parkinsona i przejrzałem go. Ostrzeżenie dla lekarzy znajdowało się w połowie akapitu o przeciwwskazaniach i zostało otoczone czarną ramką.

Działanie antycholinergików wzmagała torazyna.

Podanie pacjentom z Parkinsonem czy innym, którzy dostali atropinę lub którąś z jej pochodnych, najbardziej popularnych leków przeciwpsychotycznych i uspokajających, mogło się okazać dla nich szkodliwe lub

nawet śmiertelne - rozregulowywało ich systemy nerwowe i wywoływało intensywne delirium oraz pseudoszaleństwo. Pseudozniedoężnienie.

To uwolniło płotkę i pozwoliło mi ją schwytać w sieć: w „Kwartalniku Canyon Oaks”, który czytałem pierwszej nocy w poczekalni szpitala, zamieszczono artykuł o syndromie antycholinergicznym u ludzi starszych, o błędnie zdiagnozowanym niedoężstwie umysłowym, spowodowanym przez psychozę wywołaną lekami.

Jeśli Jameya otruto pochodnymi belladony, wilczej jagody, leki, które Mainwaring pompował w niego w imię leczenia, straciły go w otchłań piekiel. Scenariusz ze złym doktorem zaczynał wyglądać coraz lepiej.

Odłożyłem książkę, starając się zachować pozory spokoju.

- To właśnie to, prawda? - spytała Jennifer.

- Pasuje - odparłem - ale trzeba by mieć klony brugmansji, żeby coś takiego zrobić. Skąd ktoś miałby je wziąć?

- Od kogoś, kto był tam w dżungli, zanim ją zniwelowali buldożerami. Botanika albo podróżnika.

Wziąłem monografię ze Stanfordu i przejrzałem ją. Na końcu tekstu było kilka stron ze zdjęciami. Jedno z nich przykuło moją uwagę.

Była to kamienna rzeźba, idol używany w halucynogennym rytuale pogrzebowym. Przyjrzałem się mu uważniej: przycupnięta ropucha o twarzy skośnookiego człowieka, z pióropuszem na kanciastej głowie. Prymitywna, a przy tym emanująca dziwną potęgą.

Widziałem taką samą zupełnie niedawno.

Szybko otworzyłem monografię na początku i przeczytałem nazwiska autorów: Andrew J. McAllister, Ronald D. Levine, Heather J. Palmer.

Heather J. Palmer. Nazwisko z wycinka w gazecie. Czerwcowy ślub w Palo Alto. Matka panny młodej była członkinią Cór Rewolucji. Jej zmarły ojciec, dyplomata, służył w Kolumbii, Brazylii i Panamie, gdzie urodziła się panna młoda.

Przyszła pani Cadmusowa pracowała jednak w terenie.

Jego ciotka - powiedział Milo. - Jezu. Cała ta sprawa jest jak cholerny rak. Tylko się obejrzysz, a już przerzuca się gdzieś indziej.

Ogrzał dłonie na kubku kawy, ugryzł kawałek bułki i wrócił do lektury monografii McAllistera.

Deszcz zaczął padać późnym popołudniem, nabierając sił z wściekłą szybkością dzięki tropikalnej burzy, przygnanej tu przez wiatr znad morza. Ostatnim razem, kiedy tak padało, kaniony zmieniły się w sos karmelowy, a spora część Malibu spłynęła do oceanu. Mimo swojej pozornej kruchości - przycupnięty jak flaming na palach, balansujący na zboczu wzgórza - mój dom wytrzymał wszystkie poprzednie nawałnice. Ja jednak gromadziłem worki z piaskiem i fantazjowałem o arkach za każdym razem, kiedy nowa ściana deszczu uderzała w sekwojowy siding. Dolina wyglądała, jakby się rozpuszczała, a mnie przeszywała melancholia i to specyficzne, kalifornijskie wrażenie przemijania.

Błyskawica rozdarła niebo przy wtórze grzmotu. Milo czytał, ja nerwowo kręciłem młynka palcami.

- Ta cała brugmansja to wredne gówno - mruknął, zerkając na kartki książki. - Tyle jest sposobów, żeby kogoś nią trafić: herbata, zupa, jedzenie, papierosy.

- Niektóre postaci mogą być absorbowane przez skórę - powiedziałem. - Dalej jest rozdział o gorących okładach.

- Cudownie. A cioteczka jest w tym ekspertem. - Zmarszczył brwi i rąbnął otwartą dłońią w stół tak mocno, że jego kubek zatańczył. - Zapłacić konowalowi, żeby namieszał chłopakowi we łbie. Bardzo to bezwzględne. Myślisz, że on jakoś rozumiał, co się z nim dzieje? Te wszystkie gadki o zombi?

- Bóg jeden wie.

- Jezu, Alex, nienawidzę spraw rodzinnych. Czyste gówno, a im bogatsza familia, tym gorzej śmierdzi. Biedni ludzie przynajmniej załatwiają to uczciwie: wkurzają się na siebie, łapią remingtona ze stojaka i walą. Dupki z wyższych warstw nie mają nawet dość jaj, żeby samemu zrobić to, o co im chodzi. Pewnie nawet ruchy jelit zlecają komuś innemu. „Grimes, wysraj się, proszę”. „Tak jest, proszę pani”.

Pokręcił głową i wypił duży łyk kawy.

- Oprócz tego, że nie ma w tym subtelności, waląc z remingtona, dajesz się złapać - stwierdziłem.

Podniósł wzrok.

- Tak, wiem. Cały czas nie mamy konkretnych dowodów. Dręcz mnie dalej.

- Wszędzie szukali tej książki?

- Nie - warknął. - Wezwaliśmy ochotników z Instytutu Braille'a, kazaliśmy im postukać parę minut w pokład białymi laskami i daliśmy sobie spokój. A jak myślisz?

- Bardzo przepraszam, panie sierzancie.

- Hmmpf - wymamrotał coś i znów zagłębił się w lekturze, fałszywie nucąc pod nosem: - W deszczowe dni i w poniedziałki zawsze doła mam.

- Jest czwartek.

- Wszystko jedno.

Poszedłem do kuchni po następny kubek kawy. Usiadłem na parapecie, napiłem się i zacząłem, aż ulewa się uspokoi. Nie uspokoiła się, więc włożyłem płaszcz przeciwdeszczowy, na głowę wcisnąłem stary kowbojski kapelusz i zszedłem do ogrodu zajrzeć do koi.

Żwir dookoła stawu rozmiękł, a azalie smutno oklapły. Ale poziom wody utrzymywał się dobre piętnaście centymetrów pod krawędzią i ryby wydawały się dobrze bawić - wesoło błyskały brzuchami, skubały wzburzoną deszczem powierzchnię wody i tworzyły kinetyczne tęcze, migoczące w ponurej szarości. Kiedy mnie zobaczyły, rzuciły się w moim kierunku i zaczęły cmokać omszały głąz, zderzając się i trąc w szale tłustych, mokrych, wielobarwnych ciałek. Wyjąłem trochę granulek z pojemnika z karmą i rzuciłem im.

- *Bon appétit*, koledzy.

Przeszedłem przez ogród, żeby zajrzeć pod dom: zbocze było zabłocone, ale całe, ledwie tylko nadgryzione przez erozję. Niektóre worki z piaskiem przemokły.

Zawlokłem je w suche miejsce i zacząłem układać na stosy, kiedy usłyszałem wołanie Mila:

- Alex, telefon!

Oczyściłem buty i wspiałem się z powrotem na taras. Milo trzymał słuchawkę w jednej ręce, monografię w drugiej.

- Jakiś facet, twierdzi, że jest twoim brokerem. Bardzo szybko mówi. Wziąłem słuchawkę.

- Halo, Alex? Lou. Chcesz mi coś powiedzieć o akcjach Bitter Canyon?

Zerknąłem na Mila. Siedział zgarbiony, podpierając brodę dłonią, zagłębiony w lekturze rozdziału o rytuałach i czarach.

- Jeszcze nie. Daj mi parę...

- Nie ma sprawy, Alex. Już się ich pozbyłem. Po naszej rozmowie zacząłem szperać i odkryłem, że z Beverly Hills wycieka mały strumyczek.

Żadnych dużych sprzedaży, po kilka pojedynczych akcji tu i tam, ale zdecydowanie odchodziła tam jakaś cicha sprzedaż. To może nic nie znaczyć, lecz może też i znaczyć. Tak czy inaczej, pozbyłem się ich.

- Lou...

- Nie martw się, Alex. Sprzedałem z dobrą premią i uzyskałem smakowity zysk kapitałowy. Moi klienci są zadowoleni, a moja charyzma pozostaje nienaruszona. Jeśli wszystko weźmie w łeb, wyjdę na Nikodema, jeśli nie, dalej będzie OK. A więc dziękuję, doktorze.

- Za co?

- Za informacje. Wiem, że nie mogłeś nic powiedzieć, ale niuans wystarczył. Cały rynek na tym się opiera.

- Skoro tak twierdzisz. Cieszę się, że pomogłem.

- Słuchaj, tankuję „Motywację” i płynę w twoim kierunku po drodze do Cabo San Lucas. Będę szukał białych okoni morskich i tuńczyków, do tego chodzą pogłoski, że wróciły tutuava. Przez parę dni będę stał przy kei w Marina Del Rey, muszę dokończyć parę spraw z jednym klientem. A gdybym tak do ciebie zadzwonił i poszlibyśmy na obiad? Co ty na to?

- Pewnie, Lou - odparłem z roztargnieniem. - Byłoby świetnie. Słuchaj, czy mogę ci zadać pytanie techniczne...

- Od tego jestem.

- Nie o finanse. O łodzie.

Milo przestał czytać.

- Jeśli chciałbyś coś kupić, znam kogoś, kto ma do sprzedania bardzo porządnego, dziesięciometrowego bostona wielorybnika. Sprawdzony facet...

- Nic z tych rzeczy - powiedziałem, a potem wyrząłem przez okno, na ulewę. - Na razie.

- A więc o co chodzi?

- Lou, gdybyś chciał coś schować na łodzi, gdzie byś to włożył?

- Zależy od łodzi. „Motywacja” ma mnóstwo zakamarków, tyle tego teku. Jeśli na łodzi jest dość drewnianych wykończeń, można wydrążyć skrytkę prawie wszędzie.

- Nie, chodzi o to, żeby nawet zawodowcy tego nie znaleźli.

- Zawodowcy?

- Policja.

Milo wytrzeszczył oczy.

- Alex, co ty kombinujesz, do diabła? - spytał Cestare.

- Nic nie kombinuję. Potraktuj to jak pytanie teoretyczne.

Lou cicho zagwizdał.

- W jakiś okrzęny sposób to się wiąże z Bitter Canyon, prawda?

- Być może.

Cisza.

- Jak duże byłoby to coś, co chciałbyś schować?

- Powiedzmy, dwanaście na dwadzieścia centymetrów.

- Jak grube?

- Trzy.

- Takie małe? Przez chwilę już się martwiłem, że pakujesz się w coś nielegalnego. Transport kokainy i tak dalej. Ale nawet koki nie warto szmuglować w tak małych ilościach... chyba że, oczywiście, to by był prywatny zapas, a ty...

- Lou - przerwałem mu - nie jestem szmuglerem. A teraz, gdzie byś schował...

- Coś dwanaście na dwadzieścia na trzy? Pomyślmy, próbowałeś w cedzaku?

- Co to takiego?

- W łodzi z silnikiem... Mówimy o smrodziuchu, prawda? Zakryłem słuchawkę ręką i spytałem Mila:

- Łódź Radovica ma silnik? Kiwnął głową.

- Tak.

- W łodzi silnikowej woda morska jest używana do chłodzenia silnika. Cedzak to przewód biegnący przez łódź, dostarczający wodę do silnika i oczyszczający ją ze śmieci. Na obu końcach są kłapy. Gdybym bardzo nie chciał, żeby ktoś coś znalazł, wykorzystałbym tę w kadłubie. Trzeba zanurkować, żeby ją otworzyć. Czy to „coś” jest łatwe do zniszczenia?

- Tak.

- Można tego używać w kuchni? To zwierzę, warzywo, minerał?

Zaśmiałem się.

- W każdym razie - ciągnął Lou - zawinałbym to w coś dla ochrony, odkręciłbym klapę cedzaka, wsadził to do środka, zamknął i zapomniał. O to ci chodziło?

- Możliwe. Dzięki, Lou.

- Nie ma sprawy. Jesteśmy domem maklerskim z pełnym wachlarzem usług. Och, jeszcze jedno, Alex.

- Co takiego?

- Brandon kazał cię pozdrowić. Przekonałeś go, że jest kimś na szczeblu kierowniczym.

- Pozdrów go również.

Rozłączyłem się. Nade mną stał Milo.

- I co? - spytał.

- Znasz dobrego nurka?

Wiatr uderzył mocno i niespodziewanie; zimne powiewy przerywały złowrogie chwile mroźnej ciszy. Najsilniejsze uderzenia przyginały maszty mniejszych łodzi, które kołysały się i tańczyły. W powietrzu cuchnęło zęzą, benzyną i słodkim, nadbrzeżnym powietrzem, lekko słonym.

- Do wieczora ma się wywiać - powiedział Milo, otulając się szczelniej żółtym sztormiakiem. Jego blada twarz poróżowiała z zimna, a oczy miał czerwone i zażawione. W sztormiaku wyglądał jak wielki uczeń. - Możemy poczekać. Nie musisz

tego robić teraz.

Mężczyzna w piankowym kombinezonie wyjrzał na zatokę. Niebo koloru popiołu nadawało wodzie odcień głębokiej, gniewnej szarości. Szarości poplamionej pianistą bielą. Ostre jak rekinie płetwy fale przeświecały brudną zielenią, unosząc się i załamując. Mężczyzna patrzył na nie przez chwilę, mrużąc oczy o białych rzęsach; jego młoda, piegowata twarz pozostawała niewzruszona.

- W porządku, panie sierzancie. Bywało gorzej - stwierdził.

Potarł dłonie, sprawdził butle i torbę z narzędziami wiszącą na balaście, a potem podszedł do niskiego, aluminiowego relingu. Z kajuty wycłapał drugi nurek, o równie młodej twarzy - podbródek jak szelf kontynentalny, szare oczy, zadarty, krótki nos.

- Gotowy, Steve? - spytał.

Pierwszy wyszczerzył się w uśmiechu.

- Do roboty.

Zsunęli maski na twarze, wspięli się na reling, przytrzymali i zwinęli w kłębki, gładcy i czarni jak foki. Bez słowa polecieeli w tył, przebili powierzchnię wody i zniknęli.

- Żółtodzioby z Pacific Division - oznajmił Milo. - Surferzy macho.

Staliśmy na dziobie łodzi Radovica, piętnastoletniego chris crafta ochrzczonego „Słodka Zemsta”, taką nazwę wypisano na burcie złoconymi, łuszczącymi się literami. Włókno szklane kadłuba było zmatowiałe i odrapane; oblepiony rybimi łuskami, smarem i czarnymi algami pochyły pokład desperacko potrzebował napraw. Pokładowe instalacje zdemontowano, niektórych nie zastąpiono. Wędkarski fotel leżał na boku. W kącie kokpitu potoczyło się kilka śrub. Gnijąca wstążka wodorostu pływała w coraz głębszej kałuży mętnej wody.

Przez otwarte drzwi kajuty widać było ciasne wnętrze, przyprawiające o klaustrofobię przez skotłowane stopy ubrań i sterty kartonów. Łódź została rozebrana na części pierwsze.

- Wygląda na to, że ludzie od Braille'a byli dokładni - mruknąłem.

- O tak - odparł Milo. - Psy i w ogóle.

Wyjął chustkę, wydmuchał nos i popatrzył na wodę. Nagłe uderzenie wiatru pognało fale i łodzią szarpnęło. Obaj chwyciliśmy się relingu. Pokład był śliski i z trudem utrzymałem się na nogach. Milo stracił równowagę. Upadek wydawał się nieunikniony, lecz Milo zeszywniał, przeniósł ciężar ciała na pięty i rozpoczął walkę o pozostanie w pionie. Kiedy wiatr ucichł, mój przyjaciel zaklął i zaczął zielenieć na twarzy.

- *Terra firma* - wydusił - zanim wyrzycam obiad.

Zeszliśmy ostrożnie z łodzi i zaczekaliśmy na kei, mokrej, ale stabilnej. Milo oddychał głęboko,

zapatrzony w gniewne fale. Piętnastometrowe łodzie skakały jak zabawki w wannie. Jego cera pozostała blada, z odcieniem oliwkowym.

- W porządku?

Wydał policzki, odetchnął i pokręcił głową.

- Choroba lokomocyjna. Mam to od dziecka. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy tylko weszliśmy na pokład. To ostatnie bujnięcie było gwoździem do trumny.

- A aviomarin?

- Po aviomarinie jest jeszcze gorzej.

- Są takie plasterki, które się przykleja za uchem. Nasączone skopolaminą.

- Bardzo śmieszne.

- Nie, mówię poważnie. Antycholinergiki to świetne środki rozluźniające gastrycznie. To jedno z ich legalnych zastosowań.

- Opuuszczę sobie. Chwilę później:

- Te plasterki są na receptę?

- Tak. Ale antycholinergiki można kupić i bez recepty, jeśli o to pytasz: środki nasenne i leki na zatkany nos.

- Można ich nagromadzić tyle, żeby kogoś zatruć?

- Wątpię. W pigułkach są też inne składniki, wiele z nich w znacznie wyższych stężeniach. Na przykład adrenalina w środkach na katar. Za dużo adrenaliny i siada serce. Zapas, w którym wystarczyłoby antycholinergików, by wywołać psychozę, byłby tak naładowany adrenaliną, że szybciej by ofiarę zabił. A nawet gdyby ktoś znał się na chemii na tyle, by

wyekstrahować to, co by chciał, nie dałoby to pożądanego efektu. Jamey wykazywał następstwo objawów, które różniły się od siebie w czasie: był senny, kiedy było trzeba, pobudzony jak na dany znak. Mówimy tu o sztucznie wytworzonej psychozie, Milo. Skrojonej na miarę, by odpowiadać potrzebom trującego. Niezmieniona atropina czy skopolamina nie zapewniłaby takiej kontroli. Jeśli Jamey został zatruty, to czymś dziwnym. W różnych kombinacjach.

- Narkotyki projektanckie.

- Otóż to.

Milo postawił kołnierz i zaczął kołysać się na piętach. Zauważyłem, że wróciły mu kolory - oto potęga inteligentnego odwrócenia uwagi. Przez kilka minut milczeliśmy.

- Wracam do samochodu, jeszcze raz spróbuję ze szpitalem. Stażysta, z którym rozmawiałem, wydawał się bystry, ale ja chcę pogadać z szefem.

Odszedł długim, zdecydowanym krokiem, zostawiając mnie samego na nabrzeżu. Trzydzieści metrów dalej była stacja benzynowa z minisklepem za dystrybutorami. Kupiłem niesmaczną kawę i paczka z lukrem, stanąłem pod zadaszeniem, zacząłem jeść i pić, patrząc, jak wielki, lśniący jacht napełnia zbiorniki. Dwadzieścia minut później wrócił Milo z notesem w rękę. Spojrzał na „Słodką Zemstę”.

- Nic?

- Jeszcze nie. Co u Jameya?

- Wciąż w stuporze. To był poważny wstrząs mózgu. Nie doszło chyba do żadnych poważnych uszkodzeń, ale za wcześnie, żeby powiedzieć coś na pewno. Co do zatrucia, krew jest wciąż w laboratorium, powinna wrócić za parę godzin. Poprosiłem ich, żeby się pospieszyli, najwyraźniej jednak to trwa swoje z jakichś przyczyn technicznych. Ich szef, Platt, neurolog, wydaje się kompetentny; bardzo sceptycznie podszedł do całego tego pomysłu z psychozą atropinową. Powiedział, że kilka przypadków, które widział, to byli pacjenci z Parkinsonem, a nawet to rzadko, bo teraz używa się innych leków. Nigdy nie słyszał, żeby ktoś zrobił coś takiego umyślnie. Ale powiedział też, że jeśli wyniki testów będą pozytywne, ma coś, co powinno Jameya dość szybko z tego wyciągnąć.

Podniósł notes, osłaniając go przed deszczem, i przeczytał:

- Antilirium. Odblokowuje uszkodzenia spowodowane przez atropinę i oczyszcza zakończenia nerwowe. To jednak mocne świństwo, a chłopak jest za bardzo zmaltretowany, żeby ryzykować podanie bez potwierdzenia chemicznego. Na razie posłali go na nieoficjalny detoks. Odwiedzili go tylko Souza, wuj i ciotka; Mainwaringa nie było tam od czterech czy

pięciu dni. Próbują mieć chłopaka dyskretnie na oku i nie widzieli nic podejrzanego, ale skoro to draństwo rzeczywiście tak łatwo się absorbuje, Platt przyznał, że mogli mu to jednak podawać. Powiedział, że na razie można jedynie zapisywać dokładnie wszystko i cały czas pobierać krew. Osobiście zajmuje się podawaniem leków. Spojrzał na zegarek.

- Ile to już, czterdzieści minut?

- Bliżej pół godziny.

- Paskudnie tam. Mówią, że rekiny lubią taką pogodę. Ich drapieżna krew zaczyna szybciej krążyć.

- Mieli powietrza na co najmniej godzinę. Więcej, jeśli są tak doświadczeni, na jakich wyglądali.

- Och, są doświadczeni, pewnie. Hansen, ten z kanciastym podbródkiem, dorabia jako instruktor nurkowania. Steve Pepper był mistrzem surfingowym Hawajów. Cieszę się, że to zrobili, ale to i tak wariaci, że się zgodzili. - Milo odgarnął włosy z twarzy. - Młodzieńcza porywczość, co? Chyba sam

też taki kiedyś byłem, ale nie sięgam pamięcią tak daleko wstecz. A skoro o tym mowa, czy można liczyć, że twoja przyjaciółeczka Jennifer będzie w tej sprawie milczeć?

- Oczywiście. Na początku to była dla niej intelektualna rozrywka połączona z autentycznym współczuciem dla Jameya, lecz kiedy dotarło do niej, co jest naprawdę grane, bardzo się przestraszyła.

- Mam nadzieję, że jej nie przejdzie. Bo jeśli się okaże, że to rzeczywiście zatruwanie, będziemy mieli do czynienia z bardzo złymi ludźmi.

- Dałem jej to wyraźnie do zrozumienia.

Powierzchnia wody rozstała się z pluskiem. Pojawiła się jedna głowa, potem druga. Odsunęły się maski, rozwarły usta.

- Hej! Sierzancie!

- Mamy, proszę pana!

Nurkowie wciągnęli się na pokład, zdjęli płetwy i zręcznie zeskoczyli z łodzi. Hansen podał coś Milowi.

- Kłapa na kadłubie była zalutowana - relacjonował - więc musieliśmy ją wyłamać, co zabrało chwilę, bo pękł nam śrubokręt. Ale kiedy już ją otworzyliśmy, poszło z górki. Steve wsadził tam rękę i bingo. Była wciśnięta jakieś piętnaście centymetrów dalej, ułożona tak, że rura miała przepustowość. Wygląda na to, że w folii nie zamokła.

Milo przyjrzał się pakunkowi. Książka wydawała się nietknięta, zapakowana w kilka warstw przezroczystych torebek, hermetycznie zgrzanych. Przez folię widać było słowo „Pamiętnik”, nabazgrane lawendowym kolorem.

- Doskonała robota, panowie. Poinformuję o tym waszego dowódcę. Na piśmie.

Obaj się wyszczerzyli.

- Nie ma sprawy, panie sierzancie.

Pepper szcząkał zębami. Hansen klepnął go w plecy.

- Idź się rozgrzej.

- Tak jest.

Obaj odbiegli.

- Chodź - powiedział Milo. - Chcę, żeby rzucili na to okiem w laboratorium. Potem znajdziemy

sobie cichy kąć i poczytamy.

Znudzony dyżurny otworzył drzwi sali przesłuchań i poinformował, że jest telefon do Mila. Milo wyszedł odebrać, a ja wziąłem czarną książkę i zacząłem czytać.

To, co Stary Skaggs uważał za poezję, okazało się w rzeczywistości zbiorem impresjonistycznych notatek, dziennikiem w wydaniu Czarnego Jacka Cadmusa. Wpisy bywały niedokończonymi zdaniami albo kilkoma stronami natchnionej prozy; w niektóre dni Cadmus nie napisał nic. Jego pismo było szerokie i pochylone, ozdobne tak, że prawie kaligrafowane.

Cadmus był najbardziej wylewny, kiedy pisał o kupowaniu ziemi i zarządzaniu: o tym, jak wyłudził sto dwadzieścia hektarów sadów od farmera z San Fernando po dobrej cenie, podlizując się jego żonie - „powiedziałem jej, że to najlepszy placek, jaki w życiu jadłem, skomplementowałem dziecko. Ona rozmówiła się z tym starym prostakiem i jeszcze tego samego popołudnia ubiliśmy interes”; o maksymalnej liczbie domów, które można było zbudować na pustynnej działce na wschodnim krańcu Valley; o najtańszym sposobie zaopatrywania swoich przedsięwzięć w wodę; o meksykańskim majstrze, który wiedział, gdzie znaleźć tanich robotników.

W porównaniu z tym swoje życie osobiste - w rozdziałach, które czytałem - opisywał krótkimi urywkami; małżeństwo, narodziny synów, nawet początki umysłowego rozkładu żony najczęściej pojawiały się w pojedynczych zdaniach.

Jednym z wyjątków była napisana w sierpniu 1949 roku rozwlekła analiza jego stosunków z Souza.

Tak jak ja, Horace wydzwignął się z rynsztoka. My, self-made mani, mamy z czego być dumni. Wolę jednego takiego człowieka niż stu tych mięczaków z California Clubu, wysysających kieszonkowe z cycka mamy; stary Toinette był właśnie taki, i wystarczy popatrzeć, jak szybko się posypał, kiedy musiał stawić czoło prawdziwemu światu! Ale myślę, że doświadczenie wspinaczki na szczyt zostawia blizny, i nie jestem pewien, czy Horace nauczył się z tym żyć.

Jego problem polega na tym, że jest za bardzo głodny - za bardzo narwany! Tę sprawę z Toinette potraktował o wiele za poważnie. Powiedziała mi, że źle ją zrozumiał; nigdy nie uważała go za kogoś więcej niż kolegę. A potem pobiegł jak zbity kundel do rybiokiej Lucy, tylko po to, żeby rzuciła go dla jakiegoś lekarzyny! Przyjmuje to wszystko z uśmiechem jak prawdziwy dżentelmen, ale ja się martwię. Wiem, że zawsze uważał, że powinienem zrobić go pełnym partnerem. Lecz być prawnikiem - nawet dobrym prawnikiem - nie stawia cię w jednym rzędzie z człowiekiem, który wszystko obmyśla sam i sam ryzykuje! Nawet po wojnie przewyższam go rangą.

Dlatego myślę, że w głębi ducha mnie nienawidzi, i zastanawiam się, jak temu zaradzić. Nie chcę się od niego odcinać; to pierwszej klasy taktyk i świetny przyjaciel. Prośba, żeby został ojcem chrzestnym Petera, była tym, co nadęci durnie nazwaliby hojnym gestem, lecz tak naprawdę chodzi o forszę. Dlatego może dorzucę mu coś do działki na Wilshire, to świetna rzecz, ale niedługo będę miał o wiele więcej, kiedy wypali umowa ze Spring St. Mała jałmużna pod

pozorem wdzięczności może zdziałać cuda. Horace musi znać swoje miejsce, musi też jednak czuć się ważny. Teraz dobrze by było, gdyby znalazł sobie jakąś miłą dziewczynę, najlepiej taką, która nie ma nic wspólnego ze mną!

Wrócił Milo; jego zielone oczy lśniły podnieceniem.

- To był Platt. We krwi Jameya znaleziono antycholinergiki. Dużo. Platta to bardzo poruszyło, pytał, kiedy będzie mógł o tym napisać do jakiegoś medycznego periodyku.

Usiadł.

- A więc teraz - uśmiechnął się - mamy coś więcej niż tylko teorię.

- Kiedy dadzą Jameyowi antilirium?

- Na pewno nie dzisiaj, prawdopodobnie nie jutro. Uraz głowy komplikuje sprawę; trudno powiedzieć, na ile stupor wynika ze wstrząsu mózgu, a na ile z prochów. Chcą poczekać, aż będzie silniejszy, zanim dadzą jego układowi nerwowemu następnego kopa.

Spojrzał na książkę w moich rękach.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Jak dotąd tylko tego, że postrzeganie stosunków Jacka Cadmusa i Souzy przez nich samych było różne.

- Tak, czasem tak bywa, prawda?

Wyciągnął rękę, a ja podałem mu pamiętnik.

- Teraz, skoro mamy już metodę, dobrze byłoby wymyślić jakiś motyw, zanim wezwę Whiteheada i resztę ferajny. Dokąd doszedłeś?

- Dziewiąty sierpnia czterdziestego dziewiątego.

Milo znalazł to miejsce, cofnął się kilka stron, przez chwilę czytał i podniósł wzrok.

- Arogancki był z niego sukinsyn, co?

- Blizny self-made mana.

Dwadzieścia minut później Milo znalazł pierwszy wpis dotyczący Bitter Canyon.

- Dobra, mam, dwunasty października 1950:

Jestem na dobrej pozycji w sprawie Bitter Canyon, bo to Hornburgh przyszedł do mnie, a nie na odwrót. To oznacza, że wojsko chce się tego pozbyć szybko i wie, że ja szybko mogę

zorganizować gotówkę. Ale dlaczego? Sądząc po tym, jak Hornburgh rzucał te wszystkie „towarzysze” i „bracia broni”, będzie próbował zagrać na moim patriotyzmie. Kiedy tak zrobi, ja zrobię to samo. Spytałem go, czy odznaczony bohater nie ma prawa do korzystnej umowy z Wujem Samem. Jeśli dalej będzie się spoufalał, spytałem go, co robił w czasie wojny; Horace zasięgnął języka i mówi, że Hornburgh był lalusiem z West Point, przekładał tylko papierki w Biloxi.

Milo przewrócił kartkę.

- Zobaczmy, teraz przeszedł do czegoś innego, jakiegoś biurowca w śródmieściu... będzie musiał przekupić kogoś, żeby dostać pozwolenie na budowę... dobra, znów mam:

Hornburgh zabrał mnie na zwiedzanie bazy. Kiedy podjechaliśmy blisko jeziora, wydało mi się, zrobił się trochę nerwowy, chociaż to mogło być przez upał i światło. Powierzchnia wody jest jak

olbrzymia soczewka; kiedy słońce świeci na nią pod pewnym kątem, oślepia nie do zniesienia, a mięczak taki jak Hornburgh jest przyzwyczajony, że się go rozpieszczą. Kiedy jechaliśmy, cały czas kłapał dziobem; może i jest pułkownikiem, ale diamga jak baba. Sprzedał mi gadkę o potencjale rozwoju: domach, hotelach, może nawet torze golfowym i country clubie. Dałem mu skończyć, a potem powiedziałem: „Brzmi to jak Eden, Stanton”. Zaczął kiwać głową jak kukła. „W takim razie dlaczego - uśmiechnąłem się - wojsku tak cholernie zależy, żeby się tego pozbyć?” Nie zmieszalo go to, zaczął pleść coś o konieczności wyprzedawania gruntu z powodu ograniczeń nałożonych przez Kongres i kwestie budżetowe w czasie pokoju. Co jest stekiem bzdur, bo wojsko robi, co mu się podoba... cholera, mówi się, że Ike będzie następnym prezydentem, więc może być tylko lepiej. Cała ta sytuacja wymaga czujności.

Milo nachylił się i wczytał w pamiętnik.

- Znów o biurowcu. - Zmarszczył brwi, przesuwając palcem wskazującym po pożółkłych kartkach.
- Łapówka zadziałała... Jest coś o żonie.

Zaprosili ich na przyjęcie w Sheratonie w Huntington, a ona stała w kącie i z nikim nie rozmawiała. Wkurzyło go to... No dalej, Bitter Canyon, gdzie jesteś... To by było akurat moje szczęście, gdyby na tym się skończyło.

Przejrzał w milczeniu wrzesień i październik, od czasu do czasu zatrzymując się, by przeczytać coś na głos. Wybrane przez niego fragmenty odmalowywały Jacka Cadmusa jako typowego barona-rozbójnika: bezwzględnego, zdecydowanego na wszystko i skupionego na sobie, ze skłonnością do popadania w sentymentalizm. Jego uczucia wobec żony były połączeniem wściekłości, niezrozumienia i współczucia. Twierdził, że ją kocha, ale o jej słabości wyrażał się z pogardą. Określił swoje małżeństwo jako „bardziej martwe niż Hitler”, posiadłość na Muirfield nazwał „przeklętym grobowcem”, a lekarzy Antoinette „wykształconymi w Harvardzie znachorami, którzy jedną ręką poklepują mnie po plecach, a drugą sięgają mi do kieszeni. Mają do zaproponowania tylko kretyńskie uśmiechy i swój żargon”. Przed emocjonalną pustką uciekł w pracę, budując swoją potęgę i robiąc interes za interesem, z niemal erotyczną pasją grając o wysokie stawki w pokera, zwanego

dużym biznesem.

- Aha, znów jest. Środa, piętnasty listopada:

Trzymam Hornburgha i przekłętą U.S. Army za kark! Po całym mnóstwie telefonicznych blefów zgodziłem się przyjechać na drugie

zwiedzanie bazy. Hornburgh wykonał wtedy żalosną próbę pokazania własnych mięśni: przysłał wiadomość, że będzie przez jakiś czas zajęty inwentaryzacją, i kazał swojemu kierowcy obwieść mnie jeepem. Z tego, co widziałem, wiele się tam nie działo: cała baza wyglądała na pustą. Potem minęliśmy kilka drewnianych bungalowów na wschodnim krańcu, a spomiędzy nich wymaszerowali żandarmi, śmiertelnie poważni i sztywni. Wyglądali jak eskorta, więc zapuściłem tam żurawia, a kiedy zobaczyłem, kogo pilnują, niewiele brakowało, a wyskoczyłbym z jeepa i rzucił się mu do gardła. To była ta podła żmija Kaltenblud! Przemknęliśmy obok szybko, więc widziałem go tylko przez chwilę, ale poznałbym tę gębę wszędzie - Bóg jeden wie, że dość się na nią napatrzyłem! Był na liście kandydatów do Norymbergi, ale nie dopadliśmy go, zawsze wyprzedzał nas o krok. Zacząłem podejrzewać, że przekłeci lalusie z CIA wykradli go, żeby odwalił za nich brudną robotę, lecz kiedy o to pytałem, słyszałem te same uspokajające brednie co zwykle. A teraz miałem dowód! To cholernie niesprawiedliwe, wypuszczać tego padalca po tych wszystkich nieszczęściach, których był przyczyną, ale nie ma sensu robić smrodu, wojna się skończyła. Z drugiej strony nie zaszkodziłoby wykorzystać tego, żeby przycisnąć Hornburgha, prawda? Bo jeśli to, co myślę, jest prawdą, cała ta nerwowość i pośpiech w sprzedawaniu bazy zaczyna nabierać sensu. Postanowiłem jednak nie zaskakiwać go tym dzisiaj. Wkrótce to wykorzystam.

- Słyszałeś kiedyś o tym Kaltenbludzie? - spytał Milo.

Pokręciłem głową.

Milo się zamyślił.

- Centrum Szymona Wiesenthala ma dane tych dupków. Zadzwoń tam, jak tylko skończę to czytać. - Wrócił do pamiętnika. - Cholera, znów dygresja. Teraz wymienia się ziemią z gromadą Indian z Palm Springs. Stary Czarny Jack był wszędzie.

Ze zniecierpliwieniem zaczął przerzucać kartki.

- Dobra - powiedział kilka minut później - wygląda na to, że doszło do finału. Dwudziesty dziewiąty listopada:

Podczas obiadu w moim biurze wyskoczyłem Hornburghowi z Kaltenbludem. Powiedziałem, że jeśli ten padalec był w bazie, to dobrze wiem, co się tam działo i dlaczego tak szybko chcą się jej pozbyć. Na początku zarzekał się, że nic nie wie, ale potem, kiedy

zagroziłem, że albo się dogadamy, albo napuszczę na niego gazety, pękł. Tak ja myślałem,

uratowali draniowi głowę, przywieźli go prywatnym wojskowym transportowcem i urządzili mu w bazie laboratorium. Padalcowi było wszystko jedno, dla kogo odwała swoją brudną robotę - dla Wuja Sama czy Schicklgrubera. Wesoło robił swoje i zostawił tony trujących śmieci. Kiedy przycisnąłem trochę Hornburgha, przyznał, że zakopali je pod ziemią. Upierał się, że zrobili to w bezpieczny sposób, w metalowych pojemnikach, pod nadzorem Korpusu Saperów, ale nie mam wiary w tych lekkoduchów, widziałem za dużo bałaganu, którego potrafią narobić. Dlatego moim zdaniem baza siedzi na minie. Jedno trzęsienie ziemi, czy Bóg wie co innego, i cała ta trucizna może spłynąć do jeziora albo wsiąknąć w ziemię. To dopiero frajerski układ! Uznałem, że wybrali mnie na frajera, bo kupowałem więcej i szybciej niż wszyscy inni, więc pomyśleli, że kupię i to bez żadnych pytań. Ha! Kiedy od nich wychodziłem, to oni byli frajerami, a ja dostałem wszystko, czego żądałem:

A. Ziemię, za cenę tak niską, że prawie darmo. Każdy przeklęty metr kwadratowy, z wyjątkiem tego, co zostawiłem dla Skaggsa, bo jego żona cholernie dobrze gotuje, a on dobrze sobie radzi z bugatti. B. Wydadzą mi podpisane i zatwierdzone certyfikaty geologiczne, stwierdzające, że wszystko jest tu czyste jak łąka. C. Cała dokumentacja brudnej roboty Kaltenbluda zostanie zniszczona tak, żeby Waszyngton się nie dowiedział. D. Sam padalec musi zostać zlikwidowany w jakiś higieniczny sposób, zanim coś mu strzeli do głowy i zacznie kłapać jadaczką. Hornburgh twierdził, że od samego początku mieli taki pomysł, że Kaltenblud nie był im już potrzebny, ale ja będę zadowolony dopiero, kiedy zobaczę jego zdjęcie z monetami na oczach. Dlatego, gdy tylko to wszystko zostanie zrobione, Bitter Canyon będzie mój. Na razie wygląda na to, że niewiele mogę z tym zdziałać, ale to prezent, więc mogę sobie poczekać. Może któregoś dnia wymyślę, jak tam posprzątać, a może da się to wykorzystać w jakiś inny sposób, na przykład jako składowisko albo wysypisko. Jeśli nie, po prostu zatrzymam to dla siebie, jako prywatną samotnię. Zachowanie Toinette coraz częściej wypędza mnie z domu, a mimo całej tej zgnilizny pod ziemią jest tu jakieś ponure piękno - trochę jak w samej Toinette! Zresztą za te pieniądze, które za to dałem, mogę pozwolić, żeby wszystko tu leżało odłogiem, w

końcu czy marnotrawstwo nie jest oznaką, że się do czegoś doszło?

- Zatruta ziemia - powiedziałem. - Jamey od początku mówił z sensem.
- Z za dużym sensem dla własnego dobra. - Milo wstał. - Muszę zadzwonić.

Wyszedł i wrócił po piętnastu minutach, trzymając kciukiem i palcem wskazującym kartkę papieru.

- Ludzie z Wiesenthala od razu wiedzieli, o kogo chodzi. Herr doktor profesor Werner Kaltenblud. Kierownik nazistowskiej sekcji broni chemicznej, ekspert od trujących gazów. Był wpisany na listy norymberskie, ale zniknął bez śladu. Co by się zgadzało, jeśli wojsko dotrzymało swojej umowy z Czarnym Jackiem.

- Czarny Jack by tego żądał.

- To prawda. A więc fiut na pewno nie żyje. Badacz, z którym rozmawiałem, powiedział, że Kaltenblud jest wciąż na liście aktywnie poszukiwanych. Cisnął mnie, żeby zdradził, co wiem, ale

opędziłem się kilkoma niejasnymi obietnicami. Jeśli ta sprawa się zakończy, może będę mógł ich dotrzymać.

Zaczął krążyć po pokoju.

- Elektrownia zbudowana na tonach trujących gazów - powiedziałem. - Oto motyw.

- O tak. Wart siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. Ciekawe, skąd chłopak miał ten pamiętnik.

- Mógł go łatwo zdobyć przypadkiem. Był zachłannym czytelnikiem, lubił przeglądać stare książki. W noc, kiedy trafił do Canyon Oaks, zniszczył bibliotekę wuja, co mogło oznaczać, że znalazł w niej coś wcześniej i znów tego szukał.

- Leżała przez czterdzieści lat zagrzebana wśród nakładów limitowanych?

- Dlaczego nie? Po śmierci Petera Dwight został głównym spadkobiercą Czarnego Jacka. Załóżmy, że odziedziczył wszystkie książki starego, ale nie chciało mu się ich czytać. Gdyby on albo Heather trafili na pamiętnik, zniszczyliby go. Leżał spokojnie, bo nikt nie wiedział o jego istnieniu. Dopóki nie znalazł go Jamey i nie uświadomił sobie, jaka to bomba. Chancellor zainteresował Jameya biznesem i finansami, zagonił go do pracy nad badaniem papierów wartościowych. Jamey musiał wiedzieć, jak dużo Beverly Hills Trust zainwestował w Bitter Canyon, więc poszedł prosto do Chancellora i powiedział mu, że ten kupił dużo potencjalnie bezwartościowego papieru za dwadzieścia milionów dolarów i że nie może się tego pozbyć, nie wzbudzając niechcianego zamieszania.

Milo przestał krążyć, żeby posłuchać. Teraz stał z jedną dłonią opartą o stół, a drugą tarł oczy i przetrawiał moje słowa.

- Typowy scenariusz wymuszenie-wyeliminowanie - stwierdził cicho. - Z dodatkowym plikiem zer. Chancellor przyszedł do Wujka Dwighta i powiedział, czego dowiedział się z pamiętnika. Może Wujek wiedział o gazie, może nie. Tak czy inaczej Chancellor chciał pozbyć się tych udziałów i zażądał, żeby Wujek je od niego odkupił. Wujek się wykręca; Chancellor grozi, że wszystko ujawni. Umawiają się więc na wykup. Musiałby zostać przeprowadzony stopniowo, pod stołem, żeby nikt nie zauważył. Może Chancellor dołożył nawet jakiś procent, żeby wynagrodzić sobie swoją krzywdę.

- Albo zażądał ceny premium.

- Właśnie.

Milo zastanawiał się przez chwilę.

- Ten szybko mówiący powiedział ci, że udziały są wolno sprzedawane, co mogłoby oznaczać, że Wujek wypuszcza je powoli na rynek, ale tak samo jak Chancellor nie może wypuścić ich więcej. Ryzykuje przez to podwójnie: buduje elektrownię na tych wszystkich gazach i sam za to płaci.

- Trudna sprawa.

Milo pokiwał głową.

- Do tego dochodzi presja czasu. Wujek nie może cały czas odkupywać tych udziałów, bo księgowość jego firmy w końcu zacznie brzydko pachnieć. Szuka drogi wyjścia, zaczyna myśleć, jakie przyjemne byłoby życie, gdyby Chancellor i chłopak zniknęli. Opowiada o swoich problemach żonce, która jest ekspertem w otumanianiu ludzi ziołami, i razem opracowują plan pozbycia się wszystkich swoich problemów: zarznąć Chancellora i zrobić chłopaka w morderstwo.

Przerwał, zamyślił się i ciągnął dalej:

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie oznacza, że chłopak nikogo nie zabił. Tyle tylko, że mógł być kierowany, kiedy to zrobił.

- To prawda. Ale mówi coś o winie. Jego wrobiono, Milo. To chłopak z problemami, którego wolno, z niesłychaną ostrożnością wypychano za krawędź, aż trafił na oddział zamknięty. Po hospitalizacji trucie trwało nadal: Cadmusowie znaleźli sobie lekarza, który zrobiłby wszystko za kasę, nawet złamał własne zasady i pozwolił zatrudnić prywatną pielęgniarkę. Dziesięć do jednego, że prawdziwym zadaniem Surtees było podawanie Jameyowi codziennej dawki. Pod nadzorem Mainwaringa.

- Surtees - mruknął Milo, zapisując w notesie. - Jak miała na imię?

- Marthe, z „e” na końcu. O ile to jej prawdziwe imię. Nie słyszeli o niej w żadnym rejestrze pielęgniarek. Zniknęła w dzień po ucieczce. Tak

samo jak Vann, która zupełnie przypadkiem odeszła ze swojego stanowiska. Cała ta sprawa śmierdzi, Milo. Pozwolili mu uciec, a potem zabrali go do domu Chancellora i...

- I co?

- Nie wiem. - Co znaczy: nie chcę o tym myśleć.

Milo odłożył notes i powiedział, że zacznie szukać obu pielęgniarek.

- Może nawet się nam poszczęści.

- Może - przytaknąłem ponuro.

- Nie przeciążaj swoich gruczołów empatycznych. - Złagodniał. - Co się stało, cały czas myślisz o winie i niewinności?

- A ty nie?

- Nie, o ile mogę tego uniknąć. Przeszkadza mi w pracy. - Uśmiechnął się. - Oczywiście to nie znaczy, że wy, kulturalni ludzie, nie powinniście tego robić.

Wstałem i oparłem się rękami o zieloną ścianę sali przesłuchań. Tynk wydawał się miękki, jakby osłabiło go wchłonięcie zbyt wielu kłamstw.

- Miałem nadzieję, że uda się dowieść, że on jest naprawdę niewinny - powiedziałem. - Udowodnić, że nikogo nie zabił.

- Alex, jeśli się okaże, że był pod mimowolnym wpływem narkotyków, nie spędzi ani dnia w więzieniu.

- To nie jest niewinność.

- Ależ jest, w pewnym sensie. Istnieje coś takiego, jak obrona oparta na nieświadomości: ma zastosowanie wobec przestępców, którzy popełniają przestępstwa, nie wiedząc, co robią. Lunacy, epileptycy podczas napadów, ofiary urazów głowy, ludzie o chemicznie wypranych mózgach. Prawie nigdy się tego nie stosuje, bo jeszcze trudniej to dowieść niż ograniczoną zdolność; naprawdę nieświadomi przestępcy trafiają się rzadko jak cholera. Wiem o tym tylko dlatego, że parę lat temu zamknąłem jednego staruszka. Udusił żonę we śnie, bo lekarze popieprzyli mu lekarstwa i wykoleili go na krótko. Na poparcie były autentyczne dane medyczne, a nie tylko jakieś psychologiczne teorie, bez urazy. Nawet prokuratura to kupiła. Wypuścili go po wstępnym przesłuchaniu. Wolny i o zdrowych zmysłach. Niewinny. Souza na pewno z tego skorzysta.

- Skoro mowa o Souzie - zauważyłem - trzeba się zastanowić nad czymś jeszcze. To on znalazł Mainwaringa. I Surtees. A jeśli on też maczał w tym palce i cała ta jego obrona to jedna wielka ścierna?

- Jeśli tak, to po co brał sobie ciebie, żebyś to wszystko obejrzał z bliska?

Na to nie miałem odpowiedzi.

- Słuchaj, Alex, podoba mi się ogólnie to, co wymyśliliśmy. Ale to nie znaczy, że jesteśmy choćby blisko ustalenia, co się naprawdę stało. Cały

czas sporo tu znaków zapytania. Jak pamiętnik trafił od Chancellora do Yamaguchiego? Skąd Radovic wiedział, że ma go szukać? Dlaczego cię śledził? Jak się do tego wszystkiego mają Chudy i Gruby? I co z pozostałymi ofiarami Rzeźnika? Na pewno wymyśliłbym jeszcze parę, gdybyś dał mi trochę czasu. Chodzi mi o to, że nie mogę sobie pozwolić na siedzenie i spekulowanie, nie mogę dłużej grać samotnego kowboja, muszę wtajemniczyć w sprawę Whiteheada i innych. A zanim to zrobię, wolałbym mieć na swoje poparcie coś bardziej konkretnego niż stare księgi.

- Na przykład?

- Przyznanie się.

- Jak zamierzasz to osiągnąć?

- Jedyńm uczciwym sposobem. Przez zastraszenie.

Burza dalej szalała, atakując wybrzeże i spowijając je całunami mgły. Autostrada Pacific Coast Highway z powodu błotnych osuwisk i słabej widoczności była zamknięta dla wszystkich oprócz mieszkańców za Topanga. Na szosę wyległy zastępy patrolu autostrady, ustawiały blokady i sprawdzały dowody tożsamości. Milo złapał z deski rozdzielczej magnetycznego koguta, otworzył okno i z hukiem wystawił go na dach matadora. Potem przemoczoną ręką chwycił kierownicę, zjechał na pobocze i przemknął obok stojących w korku drogowych buggy.

Zahamował na polecenie kapitana PCHP, odbębnił z nim rytualną gadkę dwóch gliniarzy i pojechał dalej. Kiedy wpadliśmy na autostradę, koła matadora zabuksowały, zanim złapały przyczepność. Milo zwolnił, zmrużył oczy i pojechał za tylnymi światłami bmw z tablicami próżnie głoszącymi „Zabawka”. Policyjne radio wyrzygiwało litanie nieszczęść: śmiertelne wypadki na autostradach Hollywood i San Bernardino; zepsuta ciężarówka blokuje przełęcz Cahuenga; morderczy przybój grozi zniszczeniem tego, co pozostało z nabrzeża Santa Monica.

- To przeklęte miasto jest jak rozpuszczony bachor - warknął Milo. - Kiedy tylko sprawy przestają iść idealnie, wszystko się sypie.

Po lewej stronie mieliśmy ocean, kipiący i czarny; po prawej południową krawędź gór Santa Monica. Minęliśmy odcinek autostrady, który przed

dwoma laty zniszczyły lawiny; zbocza wzgórz były oskórowane jak wół w rzeźni. Na ratunek przyszły sztuka i chemia: obnażoną ziemię zabezpieczono olbrzymią płachtą różowobrazowego włókna szklanego, jak na planie filmowym, włącznie z fałdami terenu i sztucznymi zaroślami. Rozwiązanie rodem z Disneylandu, syntetyczna doskonałość.

Dom stał trzy kilometry w głąb Malibu, po niewłaściwej stronie Pacific Coast Highway, oddzielony od piasku i morza czterema pasami asfaltu. Było to niewielkie ranczo z lat pięćdziesiątych, parterowe, otynkowane na biało i płaskie. Ścianę frontową obudowano cegłą rozbiórkową, a jedyną ozdobą podwórza były klomby aprenii wzdłuż biegnącego pod górę asfaltowego podjazdu. Do domu przylegał garaż na dwa samochody. Zamiast trawnika przed budynkiem rozciągał się poplamiony olejem beton.

Na nim stał zaparkowany mercedes sedan w kolorze zielonego groszku. Za jego zalanymi deszczem szybami mignęło coś białego - lekarski fartuch, rzucony na fotel pasażera.

- Chyba wszystko dobrze zrozumiałem - powiedział Milo, parkując pod domem i wyłączając silnik - ale miej uszy otwarte. Na wypadek, gdy by próbował mnie zbyć żargonem.

Wysiedliśmy i pobiegliśmy do frontowych drzwi. Dzwonek nie działał, lecz pukanie Milla wywołało szybką reakcję - za ledwie uchylonymi drzwiami ukazał się fragment bladej twarzy.

- Tak?

- Policja, doktorze Mainwaring. Sierżant Sturgis, komenda West L.A. Doktora Delaware, jak sądzę, pan zna. Możemy wejść?

Mainwaring popatrzył na niego, na mnie i znów na niego, w końcu utkwiał wzrok gdzieś na środku torsu mojego przyjaciela.

- Nie rozumiem...

- Z radością wytłumaczę, proszę pana. - Milo się uśmiechnął. - Jeśli tylko pozwoli nam pan się schować przed tą ulewą.

- Tak. Oczywiście.

Drzwi się otworzyły. Weszliśmy do środka, a Mainwaring się cofnął, nie odrywając od nas oczu i uśmiechając się nerwowo. Bez swojego białego kitla i dyrektorskiego stanowiska zupełnie nie robił wrażenia: był zgarbionym mężczyzną w średnim wieku, niedożywionym i przepracowanym, o wilczej twarzy pokrytej białą szczeciną zarostu. Jego palce zaciskały się i prostowały wzdłuż boków. Miał na sobie powyciągany szary sweter, pogniecione oliwkowe spodnie i rozdeptane kapcie. Płytkie kapcie odsłaniały białe jak marmur ciało, poprzecinane niebieskimi żyłami.

Wnętrze domu było zatęchłe i pozbawione stylu: kwadratowy, biały salon pełen było jakich mebli, wyglądających, jakby przeniesiono je w stanie nietkniętym ze sklepowej wystawy; ściany obwieszane pejzażami i marynistyką, które kupuje się na wagę. Za uchylonymi drzwiami w głębi ciągnął się długi, ciemny korytarz.

Przyległa jadalnia została przerobiona na gabinet. Na biurku piętrzyły się takie same śmieci, jak w biurze Mainwaringa w Canyon Oaks. Oprawione w ramki zdjęcie dwójki smutnych dzieci - chłopca siedmio- czy ośmioletniego, dziewczynki dwuletniej - stało oparte o stos medycznych periodyków. Na biurku walało się też jedzenie: sok pomarańczowy w kartonie, ciastka na talerzu, na wpół ogryzione jabłko, już zbrązowiałe. Na podłodze leżała zabawka-robot, odrzutowiec, który w zręcznych, małych palcach zmieniał się w trzy inne rzeczy. Za jadalnią widać było pistacjową kuchnię, wciąż epatującą zapachem wczorajszej kapusty i gotowanego mięsa. Wieża z wysyłkowego sklepu Montgomery Ward grała organową fugę Bacha.

- Rozgoście się, panowie. - Mainwaring wskazał bawełnianą kanapę koloru i tekstury zgęstniałych płatków owsianych.

- Dziękuję - odparł Milo, zdejmując sztormiak.

Psychiatra wziął go razem z moim, ostrożnie, jakby były pełne zarazków.

- Powieszę je.

Zabrał oba okrycia na korytarz i zniknął na tak długo, że Milo zaczął się denerwować. W końcu wrócił i zamknął drzwi za sobą.

- Podać coś panom? Kawa, herbatniki?

- Nie, dziękujemy.

Psychiatra popatrzył na ciastka na stole, zastanowił się, a potem usiadł w brązowym fotelu obitym sztucznym aksamitem. Wybrał fajkę ze stojaka na stoliku, nabił ją, przypalił i rozsiadł się wygodnie, wypuszczając kłęb gryzącego dymu.

- A więc co mogę dla panów zrobić, sierzancie?

Milo wyciągnął notes i uśmiechnął się głupio.

- To pewnie odmiana dla kogoś takiego jak pan, prawda? Ja notuję, pan mówi.

Mainwaring uśmiechnął się z ledwie zauważalnym zniecierpliwieniem.

- Najpierw kilka szczegółów, doktorze. Imię?

- Guy.

- Jak Fawkes, co?

Psychiatra uśmiechnął się szerzej, z wyższością.

- Tak, sierzancie.

- Drugie imię?

- Martin. - Mainwaring spojrział na mnie ze zdziwieniem, jakby oczekując potajemnego sygnału czy innego dowodu koleżeństwa. Odwróciłem wzrok.

Milo oparł notes na kolanie, gryzmołąc.

- Guy Martin Mainwaring... w porządku... i jest pan psychiatrą?

- Zgadza się.

- Co oznacza, że liczy pan sobie dziesięć dolarów za godzinę więcej niż tu obecny doktor Delaware, tak?

Mainwaring wrogo zmrużył oczy, znów na mnie popatrzył, nie mając pewności, w co tu się gra, ale nagle świadom, że jest w drużynie przeciwnej. Milczał.

- Mówi pan z brytyjskim akcentem, prawda?

- Angielskim.

- Gdzie pan studiował? W Wielkiej Brytanii?

- Studiowałem na Uniwersytecie Sussex - odparł cierpko psychiatra. - Po zdobyciu tytułu kawalera...

- Kawalera?

- To angielski odpowiednik doktora.

- A więc jest pan kawalerem medycyny, nie doktorem?

Psychiatra westchnął.

- Tak to się nazywa, sierżancie, ale to odpowiednik amerykańskiego doktora medycyny.

- Aha. Myślałem, że w Wielkiej Brytanii do lekarzy zwraca się per „pan”.

- Do chirurgów per „pan”, do pozostałych per „doktor”. To jedna z tych zabawnych tradycji.

- Jakiego tytułu używa pan tu, w Ameryce?

- Doktora. Żeby uniknąć niejasności takich jak ta przed chwilą. - Kiedy Milo nic nie powiedział, Mainwaring dodał: - To w pełni legalne, sierżancie.

- Faktycznie, trochę to niejasne. Byłoby pewnie prościej, gdybym mówił panu po prostu Guy, co?

Mainwaring przygryzł wargę i ze złością zapykał fajką.

- Niech pan opowie o tym, co pan robił, kiedy uzyskał pan tytuł... kawalera, doktorze.

- Zostałem nagrodzony stażem w szpitalu Maudsley w Londynie, a następnie otrzymałem stanowisko wykładowcy na tamtejszym wydziale psychiatrii.

- Czego pan uczył?

Mainwaring spojrzał na detektywa jak na tępe dziecko.

- Psychiatrii klinicznej, sierżancie.

- Czegoś konkretnego?

- Uczyłem personel kompleksowego obchodzenia się z pacjentami. Moją specjalnością było leczenie poważnych psychoz. Biochemiczne aspekty ludzkiego zachowania.

- Prowadził pan jakieś badania?

- Tak. Sierżancie, naprawdę muszę spytać...

- Pytam o to, bo doktor Delaware prowadził dużo badań, a kiedy o tym opowiada, zawsze jest to bardzo pouczające.

- Na pewno.

- A więc czego dotyczyły pańskie badania?

- Układu limbicznego. To niższa część mózgu, odpowiadająca za emocjonalne...

- Jak pan to robił? Badał pan ludzkie mózgi?

- Czasami.

- Żywe?

- Martwe.

- To mi coś przypomina. Był taki facet, Cole; stracili go w zeszłym roku w Nevadzie. Miał ataki szału i dusił kobiety. Jak leci, od trzynastu do trzydziestu pięciu lat. Kiedy już nie żył, jakiś doktor zabrał jego mózg, żeby go przebadac, sprawdzic, czy znajdzie w nim cos, co tłumaczyloby takie zachowanie. To bylo jakis czas temu i nie dowiadywalem sie, czy cos odkryl. Pisal o tym w jakimś medycznym periodyku?

- Nie mam pojęcia.

- A jak pan sądzi? Czy mógłby pan popatrzeć na mózg i powiedzieć coś o skłonnościach przestępczych?

- Źródłem wszystkich zachowań jest mózg, sierżancie, ale to nie takie proste; nie wystarczy tylko popatrzeć...

- A więc co pan robił z tymi martwymi mózgami?

- Robił?

- Jak je pan badał?

- Przeprowadzałem analizy biochemiczne na homogenizowanych...

- Pod mikroskopem?

- Tak. Właściwie ludzkich mózgów używałem rzadko. Najczęstszymi obiektami moich badań były ssaki wyższego rzędu, naczelne.

- Małpy?

- Szympansy.

- Uważa pan, że można się dużo dowiedzieć o ludzkim mózgu, oglądając małpie?

- W pewnych granicach. Jeśli chodzi o funkcje poznawcze, myślenie i rozumowanie, mózg

szympansa jest o wiele bardziej ograniczony niż jego ludzki odpowiednik. Jednak...

- Ale tak samo bywa z mózgiami niektórych ludzi, prawda? Są ograniczone.

- Niestety to prawda, sierżancie.

Milo przejrzał swoje notatki i zamknął notes.

- A więc - powiedział - jest pan ekspertem w tych sprawach.

Mainwaring spuścił wzrok z nieszczera skromnością i przetarł fajkę dołem swetra.

- Każdy stara się, jak może.

Mój przyjaciel odwrócił się do mnie.

- Miałeś rację, doktorze D. To odpowiedni człowiek.

I do Mainwaringa:

- Przyjechałem tu, żeby trochę się podszkolić w medycynie, doktorze. Na konsultacje z ekspertem.

- Odnośnie do czego?

- Narkotyków. Jak wpływają na zachowanie.

Mainwaring zeszywniał i spojrzał na mnie ostro.

- W związku ze sprawą Cadmusa? - spytał.

- Być może.

- W takim razie obawiam się, że niewiele będę mógł panu pomóc, sierżancie. Jamey Cadmus jest moim pacjentem i wszystkie posiadane przeze mnie informacje są poufne.

Milo wstał i podszedł do stołu w jadalni. Wziął zdjęcie dwójki dzieci i przyjrzał się mu.

- Sympatyczne dzieci.

- Dziękuję.

- Dziewczynka jest bardzo podobna do pana.

- Oboje są podobni raczej do matki, sierżancie. Pomógłbym panom z przyjemnością, ale czeka mnie przytłaczająca ilość pracy, więc...

- Praca domowa?

- Słucham?

- Wziął pan wolne, żeby popracować w domu.

Mainwaring wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

- Czasami tylko w ten sposób można się przedrzeć przez papierkową robotę.

- Kto zajmuje się pacjentami, kiedy pana nie ma?

- W moim szpitalu pracuje trójka doskonałych psychiatrów.

Milo wrócił do salonu i usiadł.

- Jak doktor Dżibuti? - spytał.

Mainwaring próbował ukryć zaskoczenie, wypuszczając kłęb dymu.

- Tak - powiedział, kiedy odetchnął. - Doktor Dżibuti. I doktorzy Kline i Bieber.

- Znam jego nazwisko, bo kiedy zadzwoniłem do szpitala, żeby z panem porozmawiać, połączyli mnie z dyżurnym psychiatrą, a był nim właśnie doktor Dżibuti. Bardzo miły facet. To Irańczyk?

- Hindus.

- Mówił, że nie było pana w pracy cztery dni.

- Paskudnie się przeziębilem. - Jakby chcąc to zademonstrować, pociągnął nosem.

- Jak pan sobie z tym radzi?

- Aspiryna, dużo płynów, odpoczynek.

Milo pstryknął palcami i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć „a niech to”.

- To wszystko? Już myślałem, że zdradzi mi pan jakiś lekarski sekret.

- Żałuję, że nie znam takiego, sierżancie.

- A rosół z kury?

- Rzeczywiście, wczoraj ugotowałem sobie garnek. To bardzo skuteczny środek.

- Porozmawiajmy o narkotykach - drążył Milo. - Teoretycznie.

- Doprawdy, sierżancie, jestem pewien, że pan rozumie, iż jako świadek obrony w sprawie pana Cadmusa nie mogę omawiać jego przypadku z policją.

- To nie do końca prawda, doktorze. Jedyne pańskie rozmowy z Cadmusem, pana notatki i końcowy raport są poufne. A kiedy złożą pan zeznania w sądzie, nawet one staną się ogólnodostępne.

Mainwaring pokręcił głową.

- Nie będąc prawnikiem, nie potrafię ocenić, czy tak rzeczywiście jest, sierzancie. Tak czy inaczej, nie mam panu nic do zaproponowania w dziedzinie teoretycznych spekulacji. Każdy przypadek należy traktować odrębnie.

Milo nagle nachylił się do przodu i strzelił kłykciami.

Mainwaring się wzdrygnął.

- Mógłby pan zadzwonić do Souzy - powiedział detektyw. - Jeśli postanowi zachować się w porządku, przyzna mi rację i każe panu współpracować. Albo poradzi panu, żeby pan zamilkł jak grób, podczas gdy on puści w obieg wystarczająco dużo papierów, żeby mnie zbyć; nie będzie chciał wyjść na uległego. Prawnicy lubią takie zagrywki. A pan będzie

marnował czas: zostanie pan zabrany z tego przytulnego, ciepłego domu, zmuszony do długiej jazdy w taką pogodę, do siedzenia w nieprzyjemnej sali na posterunku West L.A. Będzie pan tam czekał, a Souza i prokurator będą się przerzucać słowami za pięćdziesiąt dolarów sztuka. Wszystko to kosztem pana czasu i pracy. A kiedy to się skończy, jest spora szansa, że i tak będzie pan musiał ze mną porozmawiać.

- W jakim celu, sierzancie? Czemu to ma służyć?

- Sprawom policyjnym. - Milo znów otworzył notes i coś w nim zapisał.

Mainwaring przygryzł mocno ustnik fajki.

- Sierzancie - syknął przez zaciśnięte zęby - uważam, że próbuje mnie pan zastraszyć.

- Jestem od tego jak najdalszy, doktorze. Staram się tylko pokazać panu, jaki ma pan wybór.

Psychiatra spojrział na mnie ponuro.

- Jak pańska etyka pozwala panu brać udział w czymś tak oburzającym?

Kiedy nie odpowiedziałem, wstał i podszedł do telefonu na stoliku pod ścianą. Podniósł słuchawkę, wystukał trzy cyfry, odłożył ją z powrotem.

- Co takiego chce pan wiedzieć?

- Jak różne narkotyki wpływają na zachowanie.

- Teoretycznie?

- Tak.

Mainwaring usiadł.

- Na jakiego rodzaju zachowanie, sierżancie?

- Na psychozę.

- Omawiałem to już z doktorem Delaware, na pewno panu o tym mówił.

- Odwrócił się do mnie. - Czemu, do diabła, drażni pan martwy temat?

- To nie ma nic wspólnego z doktorem Delaware - zapewnił Milo. - Powtarzam, to sprawa policyjna.

- To po co on tu jest?

- Jako doradca techniczny. Wolałby pan, żeby zaczekał w innym pokoju?

Ta propozycja chyba zaniepokoiła psychiatrę.

- Nie. - Skulił się w obronnym geście. - Jaka to w tym momencie różnica? Miejmy to za sobą.

- Świetnie. Porozmawiajmy trochę o LSD, doktorze. Stymuluje schizofrenię, prawda?

- Niezbyt skutecznie.

- Nie? Myślałem, że to całkiem dobry środek psychotomimetyczny.

Słyszając ten fachowy termin, Mainwaring uniósł brwi.

- Jedynie do zastosowań badawczych - wyjaśnił.

Milo patrzył na niego wyczekująco, a lekarz załamał ręce.

- Trudno to wytłumaczyć w krótkiej rozmowie. Dość powiedzieć, że osoba wykształcona i biegła w tej materii nigdy nie pomyliłaby zatrucia LSD z chroniczną psychozą.

- Chcę się doksztąpić - oznajmił Milo.

Mainwaring zaczął protestować, potem wyprężył się, odchrząknął i przyjął pedantyczny ton.

- Dietylamid kwasu lizergowego wywołuje ostrą, dość stereotypową reakcję psychotyczną, z tego powodu kiedyś pewni badacze uznali go za przydatne narzędzie badawcze. Jednak z klinicznego punktu widzenia skutki jego zastosowania różnią się znacząco od objawów chronicznej schizofrenii.

- Co to znaczy, znacząco?

- Zatrucie LSD charakteryzuje się widowiskowymi zaburzeniami wzrokowymi: paletami barw,

często ciemnej zieleni i brązu, dramatycznymi zmianami w kształtach i rozmiarach znajomych przedmiotów oraz bardzo silnymi urojeniami własnej wszechmocy. Osoby zażywające LSD mogą się czuć olbrzymami, bogami, zdolnymi do wszystkiego. Dlatego właśnie niektóre z nich wyskakują z okien, przekonane, że potrafią latać. Kiedy schizofrenik ma halucynacje, są one z reguły słuchowe. Schizofrenicy słyszą głosy, są przez nie dręczeni. Głosy mogą być bełkotliwe albo całkiem wyraźne. Mogą upominać pacjenta, obrażać go, mówić mu, że jest nic niewarty albo zły, zmuszać go do różnych dziwacznych zachowań. Podczas gdy wrażenie wszechmocy może wystąpić w przypadku schizofrenii, narasta i zanika zgodnie z rytmem złożonej paranoi. Jednak większość schizofreników czuje się podła, uwięziona, nic nieznacząca. Zagrożona. - Opadł na oparcie fotela i pyknął z fajki, bezskutecznie usiłując przybrać minę profesjonalisty. - Coś jeszcze, sierżancie?

- Widywałem ludzi na LSD, którzy słyszeli różne rzeczy - powiedział Milo. - I wielu z nich paranoją.

- To prawda - odparł Mainwaring. - Ale w przypadku nadużywania LSD zaburzenia słuchowe są zasadniczo drugorzędne wobec wzrokowych. Często też mają subiektywnie pozytywny charakter. Pacjenci opowiadali o wzmożonych wrażeniach słuchowych: muzyka brzmiała pełniej, przyjemniej, dźwięki tła nabierały bogatszych barw. Paranoja, o której pan wspominał, to typowe nieprzyjemne doświadczenie po LSD, tak zwany zły trip. Większość reakcji na LSD opisywana jest jednak jako pozytywna. Poszerzająca percepcję. To zupełne przeciwieństwo schizofrenii, sierżancie.

- Nie ma szczęśliwych szaleńców?

- Niestety nie. Schizofrenia to choroba, a nie stan rozrywkowy. Schizofrenik rzadko doświadcza przyjemności. Przeciwnie, jego świat jest ponury i przerażający, a jego cierpienie bardzo głębokie. To osobiste piekło, sierżancie. A przed powstaniem psychiatrii biologicznej z tego piekła nie było często powrotu.

- A PCP?

- Cadmus przeszedł testy na obecność PCP. Tak samo, jak na LSD.

- Nie mówimy o Cadmusie, pamięta pan?

Mainwaring zbladł, zamrugał oczami i z trudem odzyskał pedagogiczną wyniosłość. Zacisnął usta; wokół nich pojawiła się biała otoczka.

- Tak, oczywiście. Dlatego właśnie nie chciałem o tym rozmawiać...

- Jak pana przeziębienie?

Biała otoczka się poszerzyła, a potem zniknęła, kiedy psychiatra wysiłkiem woli rozluźnił mięśnie twarzy

- O wiele lepiej, dziękuję.

- Też tak pomyślałem, bo, poza jednym razem, nie słyszałem, żeby pan pociągał nosem. Mówi pan,

cztery dni?

- Trzy i pół. Objawy właśnie zniknęły.

- To dobrze. W taką pogodę trzeba uważać. Unikać stresów.

- Oczywiście. - Mainwaring wpatrzył się w twarz detektywa, szukając ukrytych znaczeń. Milo odpowiedział obojętnym spojrzeniem.

- Mogę panu pomóc w czymś jeszcze, sierzancie?

- Rozmawialiśmy o PCP - przypomniał Milo.

- Co chciałby pan o nim wiedzieć?

- Na początek, jak dobrze imituje schizofrenię.

- To niesłychanie złożona kwestia. Fencyklidyna to fascynujący środek, bardzo słabo poznany. Bez wątplenia działa głównie na autonomiczny system nerwowy. Jednak...

- Ludzie od tego wariują, prawda?

- Czasami.

- Czasami?

- Tak. Zależy to od indywidualnej wrażliwości. Niektórzy uzależnieni od PCP doświadczają euforii, inni popadają w psychozę po pojedynczej dawce.

- Psychozę taką jak schizofrenia?

- To nie takie proste, sierzancie.

- Radzę sobie ze złożonymi problemami.

- Dobrze. - Mainwaring zmarszczył brwi. - Żeby inteligentnie rozmawiać o schizofrenii, należy pamiętać, że to nie jest pojedyncza jednostka chorobowa. To zespół zaburzeń, o bardzo różnych konstelacjach objawowych.

Reakcje na umiarkowane dawki PCP odpowiadają najbliższemu typowi, który nazywamy katatonią: to zaburzenia postawy ciała i mowy. Ale nawet katatonia dzieli się na podtypy.

Przerwał, jakby czekając, aż jego słowa do nas dotrą. Miał nadzieję, że powiedział już dość.

- Proszę mówić dalej - zachęcił Milo.

- Próbuję tu podkreślić, że fencyklidyna to złożony narkotyk, powodujący złożone, nieprzewidywalne reakcje. Obserwowałem pacjentów, którzy wykazywali objawy katatonii

stuporowej, nie mówili, robili grymasy, inni popadali w katatonię klasyczną: stawali się ludzkimi manekinami. Ci, z którymi najczęściej mógłby się pan zetknąć, przejawialiby objawy niezwykle podobne do objawów katatonii furor, tak jak pobudzenie psychoruchowe,' nieustanna, ale pozbawiona sensu mowa, przemoc wobec siebie i innych.

- A schizofrenia paranoidalna?

- U niektórych pacjentów duże dawki fencyklidyny wywołują halucynacje słuchowe natury paranoidalnej. Inni reagują na duże dawki nadpobudliwością, wtedy często stawiana jest błędna diagnoza jednobiegunowej psychozy afektywnej: manii, mówiąc po prostu.

- Dla mnie to cholernie dobry psychotomimetyk, doktorze.

- Tylko jako abstrakcja. Wszystkie powszechnie zażywane narkotyki są potencjalnymi psychotomimetykami, sierzancie. Amfetaminy, kokaina, barbiturany, haszysz. Nawet marihuana może wywoływać objawy psychotyczne, jeśli zostanie przyjęta w odpowiedniej dawce. Dlatego właśnie każdy psychiatra wart tego miana obserwuje swoich pacjentów bardzo uważnie i przeprowadza im badania krwi na obecność narkotyków w organizmie, zanim postawi diagnozę schizofrenii.

- Takie badania przeprowadza się rutynowo?

Mainwaring przytaknął.

- A więc mówi pan, że chociaż skutki zażywania narkotyków mogą imitować schizofrenię, lekarza trudno byłoby oszukać.

- Aż tak daleko bym się nie posunął. Nie wszyscy lekarze znają się na środkach psychoaktywnych. Niedoświadczony obserwator, na przykład chirurg, internista czy nawet psychiatra robiący specjalizację, nieobeznany z narkotykami, mógłby mylnie wziąć zatrucie środkami chemicznymi za psychozę. Ale nie psychiatra z certyfikatem komisji stanowej.

- Którym pan jest.

- Zgadza się.

Milo wstał z kanapy, uśmiechając się z zażenowaniem.

- A więc chyba źle kombinuję, co?

- Obawiam się, że tak, sierzancie.

Milo podszedł do Mainwaringa. Schował notes i wyciągnął rękę. Ale kiedy tylko psychiatra podał mu swoją, Milo cofnął dłoń i podrapał się w głowę.

- Jeszcze jedno. Czy te rutynowe badania obejmują antycholinergiki?

- spytał.

Fajka w ustach Mainwaringa zadrżała. Przytrzymał ją, potem wyjął i ostentacyjnie zaczął oglądać tytoń w cybuchu.

- Nie - odparł. - Po co?

- Przeprowadziłem własne małe dochodzenie - powiedział Milo. - Dowiedziałem się, że pochodne atropiny i skopolaminy były wykorzystywane do wpędzania ludzi w obłąd. Przez południowoamerykańskich Indian, średniowieczne wiedźmy.

- Klasyczny wywar z wilczej jagody? - spytał swobodnie Mainwaring, ale ręce mu się trzęsły.

- Zgadł pan.

- Interesująca koncepcja. - Fajka zgasła i trzeba było trzech zapalek, by znów ją zapalić.

- Prawda? - Milo się uśmiechnął. - Widział pan to kiedyś?

- Kogoś zmuszonego do odurzenia się atropiną? Nie.

- Kto mówi o zmuszaniu?

- Ja... mówiliśmy o wiedźmach. Założyłem, że pan...

- Chodziło mi o wszelkie rodzaje odurzenia atropiną. Widział pan kiedyś coś takiego?

- Od wielu lat nie. To niezwykle rzadkie.

- Nie badał pan tego ani nie opisywał?

Psychiatra się zamyślił.

- Nie przypominam sobie. Milo dał mi znak spojrzeniem.

- W „Kwartalniku Canyon Oaks” - włączyłem się - był artykuł o tym, jak ważne jest badanie starszych pacjentów na obecność antycholinergików, by błędnie nie zdiagnozować starczej psychozy.

Mainwaring przygryzł wargę i zrobił zboliałą minę. Pogładził fajkę i odpowiedział cichym, roztrzęsionym głosem:

- Ach, tak. To prawda. Wiele organicznych środków przeciw chorobie Parkinsona zawiera antycholinergiki. Nowsze leki są czystsze pod tym względem, ale niektórzy pacjenci źle na nie reagują. Kiedy stosuje się środki organiczne, medyczne planowanie robi się trochę trudniejsze.

Celem napisania tego artykułu było doksztalcenie osób, które przysyłają nam pacjentów. Staramy się prowadzić tego rodzaju...

- Kto go napisał? - przerwał mu Milo, patrząc na niego z góry.

- Doktor Dżibuti.

- Sam?

- Zasadniczo.

- Zasadniczo?

- Czytałem wczesną wersję. On był głównym autorem.

- Interesujące - mruknął Milo. - Mamy tu chyba małą rozbieżność. On mówi, że pan z nim współpracował. Że pomysł był pański, chociaż on wziął na siebie napisanie artykułu.

- Jest wielkoduszny. - Mainwaring uśmiechnął się nerwowo. - Lojalność koleżeńska. Tak czy inaczej nie rozumiem, skąd takie zamieszanie nad małym...

Milo podszedł o krok bliżej, tak że psychiatra musiał wygiąć szyję, żeby na niego spojrzeć, oparł dłonie na biodrach i pokręcił głową.

- Może skończmy już z tym pieprzeniem, co, doktorze? - szepnął.

Mainwaringowi fajka wypadła z rąk. Popiół i żar rozsypały się po dywanie. Doktor patrzył, jak gasną, a potem podniósł wzrok z przepełnionym winą przerażeniem dziecka przyłapanego na masturbacji.

- Nie mam pojęcia, o czym...

- To ja panu wyjaśnię. Zaledwie dwie godziny temu miałem spotkanie z gromadą specjalistów w szpitalu okręgowym. Z profesorami medycyny. Neurologami, toksykologami i innymi „ologami”. Ekspertami, takimi jak pan. Pokazali mi wyniki badań. Wyjaśnili wszystko tak, żeby gliniarz mógł zrozumieć. Wygląda na to, że James Cadmus był systematycznie truty antycholinergikami. Od dawna. W okresie, kiedy przebywał pod pana opieką. Wszyscy ci profesorowie byli cholernie wstrząśnięci faktem, że lekarz mógł zrobić coś takiego pacjentowi. Garnęli się, żeby zeznawać. Chcieli nawet złożyć na pana skargę do komisji lekarskiej. Powstrzymałem ich.

Mainwaring bezgłośnie poruszał ustami. Podniósł fajkę i wycelował ją w nas jak pistoletem.

- To bzdury. Nikogo nie trułem.

- Profesorowie byli innego zdania, Guy.

- A więc są w cholernym błędzie!

Milo dał mu ochłonąć, zanim znów zaczął mówić.

- Składał pan przysięgę Hipokratesa.

- Powtarzam panu, że nikogo nie trułem!

- Z tego, co powiedzieli profesorowie, podawał mu pan antycholinergiki z każdą dawką leków. Nie dość, że było to chytre, miało też dodatkowy efekt: torazyna i inne specyfiki, które pan mu aplikował, wzmacniały działanie antycholinergików. Wzmagały je, tak mi powiedzieli. To był odpowiednik poważnego przedawkowania.

- Wsadził go pan na farmakologiczną kolejkę górską - wtrąciłem się. - Elektrochemiczne właściwości jego zakończeń nerwowych bezustannie się zmieniały. Dlatego właśnie tak dziwnie reagował na leki: jednego dnia był spokojny, drugiego wymykał się spod kontroli. Kiedy w jego ciele nie było antycholinergików, środki przeciwpsychotyczne działały jak trzeba. Ale w obecności atropiny zmieniały się w truciznę, co wyjaśniałoby także przedwczesną późną dyskinezję. Przecież jedna z głównych teorii o dyskinezji głosi, że wywołuje ją blokada cholinergiczna.

Mainwaring znów upuścił fajkę, tym razem umyślnie. Złapał się obiema rękami za włosy, próbując wtopić się w krzesło. Twarz miał białą i wilgotną jak gotowany łupacz, oczy rozgorączkowane ze strachu. Pod obszernym swetrem jego pierś unosiła się i opadała nierówno.

- To nieprawda - wymamrotał. - Nigdy go nie trułem.

- Dobrze, jakiś palant mu to podawał - warknął Milo. - Ale to pan jest ekspertem. Pan kierował przedstawieniem.

- Nie! Przysięgam! Nic nie podejrzewałem, dopóki... Przerwał, jęknął i odwrócił wzrok.

- Do kiedy?

- Do niedawna.

- Jak niedawna? Mainwaring nie odpowiedział.

Milo powtórzył pytanie, tym razem ostrzej.

Psychiatra siedział jak skamieniały.

- Czyżby impas, doktorze? - zagrzmiął detektyw.

Milczenie.

- Cóż, Guy. - Milo rozpiął marynarkę, ukazując kaburę pod pachą. Dotknął kajdanek wiszących mu u pasa. - Wygląda na to, że pora na formułkę: „Masz prawo zachować milczenie”. Bez wątplenia nie pan nie powie bez prawnika. Niech pan sobie zrobi przysługę i znajdzie takiego, który ma duże doświadczenie kryminalne.

Mainwaring ukrył twarz w dłoniach i zgiął się wpół.

- Nie jestem kryminalistą - wymamrotał.

- To niech pan odpowie na moje cholerne pytanie! Od jak dawna wiedział pan o truciū?

Psychiatra wyprostował się, blady jak ściana.

- Przysięgam, nie miałem z tym nic wspólnego! Dopiero po... dopiero po jego ucieczce nabrałem podejrzeń. Po spotkaniu z doktorem Delaware. Wypytywał mnie o narkotyki, męczył o treść halucynacji, idiosynkratyczną reakcję na fenotiazyny. Wtedy to wszystko zlekceważyłem, ale to był tak zdumiewający przypadek, że zacząłem się zastanawiać... zwłaszcza nad możliwością nadużywania narkotyków, czy mogło w tym coś być...

- Dokąd zaprowadziły pana te rozmyślania? - spytał Milo.

- Z powrotem do karty Cadmusa. Kiedy ją przeczytałem jeszcze raz, zacząłem zauważać rzeczy, które przedtem mi umknęły...

- Chwileczkę! - przerwałem mu ze złością. - Czytałem tę kartę. Trzy razy. Nie było tam nic, co by wskazywało na zatruciu atropiną.

Mainwaring zadrżał i splótł palce, jakby w błagalnym geście.

- Dobrze, dobrze. To nie była karta. To była... refleksja. Przypomniałem sobie... rzeczy, których nie zapisałem, a które powinienem był zapisać. Rozbieżności. Rozbieżne objawy. Odbiegające od normy. Zaczerwienienia, dezorientacja, zmieszanie. Przedwczesny syndrom dyskinetyczny. Dopiero napisałem artykuł o syndromie antycholinergicznym, a to przeszło mi pod samym nosem. Poczułem się jak cholerny idiota. EEG na początku mogło mnie naprowadzić na ślad. Atropina powoduje na przemian gwałtowną i powolną aktywność fal mózgowych, zredukowane fale alfa, wzmocnione delta i beta. Gdybym zobaczył taką prawidłowość, nie uszłoby to mojej uwagi, od razu wiedziałbym, co to oznacza. Ale tego EEG nie zrobiono, cholerny radiolog się wykręcił. Czytał pan kartę, Delaware, wszystko tam jest. Niech mu pan opowie o wykrętach radiologa, no dalej.

Nie patrzyłem już na niego; usiłując stłumić obrzydzenie, skupiłem wzrok na morskim pejzażu tak rozmazanym, że nawet Carmel wyszedł na nim brzydko.

- Guy - powiedział z pogardą Milo - czy ja dobrze słyszę? Próbuje mi pan wmawiać, że pan, ekspert, królewski bonzo z certyfikatem, dał się oszukać?

- Tak - szepnął Mainwaring.

- To ci dopiero - zakpiłem.

Milo spojrzeniem dał mi znak, że bym dał spokój. Nachylił się tak, że jego nos znalazł się o parę centymetrów od nosa Mainwaringa. Psychiatra próbował się cofnąć, ale zatrzymało go oparcie fotela.

- Dobra - powiedział detektyw - załóżmy przez chwilę, że to prawda. Przyjmijmy, że dał się pan

oszukać.

- To upokarzające, ale to praw...

- Myśli pan, że taka ignorancja kupi panu spokój? - warknął Milo. - Właśnie pan przyznał, że domyślił się wszystkiego po rozmowie z Delaware. Wiedział pan o tym od ponad tygodnia! Dlaczego, do cholery, nic pan nie powiedział? Jak mógł pan pozwolić, żeby ten chłopak dalej tak cierpiał? - Machnął notesem przed twarzą Mainwaringa. - „Głębokie cierpienie, ponury i przerażający”, cholerne „osobiste piekło”? Dlaczego pan tego nie przerwał?!

- Ja... ja chciałem. Wziąłem wolne, żeby sformułować... zaplanować, jak się do tego zabrać.

- O Jezu, znów pieprzenie - mruknął Milo z obrzydzeniem. - Ile panu zapłacili, Guy?

- Nic!

- Pieprzenie.

Drzwi na korytarz otworzyły się i do pokoju weszła kobieta. Młoda, ciemnowłosa, bardzo zmysłowa, w płomieniście czerwonym golfie i obcisłych dzinsach. Długie, czarne rzęsy osłaniały miedzianopiwne oczy. Miała rzeźbione kości policzkowe i pełne, ciemne usta młodej Sophii Loren.

- To nie pieprzenie - powiedziała.

- Andrea! - zawołał Mainwaring, nagle odzyskując energię. - Nie mieszaj się w to!

- Nie mogę, kochanie. Już nie.

Podeszła do fotela, stanęła obok psychiatry i położyła mu rękę na ramieniu. Rozprostowała palce, a Mainwaring zadrżał.

- On nie jest tchórzem - oznajmiła. - Wręcz przeciwnie. Próbuje mnie chronić. Nazywam się Andrea Vann, sierżancie. To mnie opłacili.

Milo przesłuchiwał ją tak brutalnie jak nigdy. Zniosła to bez zmrużenia oka, siedząc na skraju kanapy, wyprostowana i spokojna, z dłońmi splecionymi bez ruchu na kolanach. Za każdym razem, gdy Mainwaring próbował interweniować, uciszała go stalowym uśmiechem. W końcu się poddał i zapadł w ponure milczenie.

- Powtórzmy to jeszcze raz - powiedział detektyw. - Ktoś zostawia pięć tysięcy dolarów gotówką w pani mieszkaniu, razem z listem informującym, że będzie następne pięć, jeśli opuści pani swoje stanowisko określonej nocy, a pani nie zadaje żadnych pytań.

- Zgadza się.

- Coś takiego to dla pani codzienność.

- Przeciwnie. To było coś niesamowitego, jak wygrana na loterii. Pierwszy łut szczęścia od lat. Niepokoiło mnie, że ktoś włamał się do mojego

mieszkania, i wiedziałam, że to brudne pieniądze, ale byłam biedna jak mysz i miałam tego dość. Dlatego je wzięłam, zmieniłam zamek i nie pisnęłam ani słówka.

- I podarła pani list.

- Podarłam i spuściłam w toalecie.

- Bardzo praktyczne.

Nic nie odpowiedziała.

- Pamięta pani charakter pisma? - spytał Milo.

- Był napisany na maszynie.

- A papier?

Pokręciła głową.

- Jedyne papier, na jaki patrzyłam, był zielony. Banknoty pięćdziesięci dolarowe. Dwie paczki po pięćdziesiąt. Przeliczyłam dwa razy.

- Nie wątpię. Przerwała pani chociaż raz liczenie na dość długo, by się zastanowić, po co ktoś chciał się pani pozbyć z oddziału tamtej nocy?

- Oczywiście, że tak. Ale zmusiłam się, żeby o tym nie myśleć. Milo odwrócił się do Mainwaringa.

- Jak by to pan nazwał, Guy? Supresją? Wyparciem?

- Byłam chciwa. W porządku? Zobaczyłam symbole dolara i wszystko inne mi zasłoniły. Wyłączył mi się mózg. To chciał pan usłyszeć?

- Chcę usłyszeć prawdę.

- Czyli właśnie to, co panu powiedziałam.

- Jasne - burknął Milo i coś zanotował.

Vann wzruszyła ramionami i spytała, czy może zapalić.

- Nie. Kiedy postanowiła pani włączyć mózg z powrotem?

- Kiedy Jameya aresztowano za morderstwo. Zrozumiałam wtedy, że wpakowałam się w coś poważnego. Przestraszyłam się, i to bardzo. Poradziłam sobie z tym tak, że nawyzywałam siebie, i się

uspokoiliam.

- Co?

- Powtarzałam sobie, że jestem idiotką, pozwalając, by strach stanął na drodze szczęściu. W kółko, jak w hipnozie, aż się uspokoiliam. Chciałam dostać drugie pięć tysięcy, uważałam, że na nie zasłużyłam.

- Jasne, czemu nie? Uczciwa stawka za uczciwą nocną robotę.

- Niech pan posłucha - zaczął Mainwaring. - Nie...

- W porządku, Guy - przerwała mu Vann. - Gorzej już nie będzie.

Milo wskazał Mainwaringa kciukiem.

- Od jak dawna ze sobą kręcicie?

- Prawie rok. W czwartek będzie nasza rocznica.

- Wszystkiego najlepszego. Jakies plany małżeńskie?

Oboje wymienili znaczące spojrzenia. Psychiatrzy zwilgotniały oczy.

- Były.

- W takim razie po co te jęki i narzekania na biedę? Niedługo będzie pani żoną lekarza. Przecież mógł pani pożyczać pieniądze.

- Guy jest splukany tak samo jak ja. - Rozejrzała się po nędznym pokoju. - Myśli pan, że w przeciwnym razie by tak mieszkał?

Milo odwrócił się do Mainwaringa.

- To prawda? I niech mi pan nie wciska kitu, do wieczoru mogę sprawdzić wszystkie pana konta.

- Proszę bardzo. Nie ma czego sprawdzać. Jestem cholernym bankrutem.

- Nietrafione inwestycje?

Psychiatra uśmiechnął się gorzko.

- Najgorsza z możliwych. Nieudane małżeństwo.

- Jego żona to zła suka - prychnęła Andrea Vann. - Wyczyściła wspólne konta, zajęła zarobki, zabrała dzieci i wszystkie meble i wynajęła dwunastopokojową posiadłość w Redondo Beach, pięć tysięcy dolarów miesięcznie plus rachunki. Potem złożyła pozew pełen kłamstw, twierdziła, że nie nadaje się na ojca, i obcięła mu wizyty. Musi przejść pełne badanie

psychiatryczne, żeby widywać własne dzieci!

- Musiał - poprawił Mainwaring. - Teraz to sprawa dyskusyjna.

Odwróciła się do niego.

- Nie poddawaj się tak łatwo, do cholery, Guy! Narobiliśmy głupot, ale nikogo nie zabiliśmy!

Skulił się pod siłą jej słów, przygryzł pięść i wbił wzrok w dywan.

- Wróćmy do tematu - powiedział Milo. - Mówi pani, że następne pięć tysięcy przyszło tydzień później.

- Pięć dni - odparła. - Tak jak mówiłam już dwa razy. Ta historia się nie zmieni, choćbym nie wiem ile razy ją opowiadała, bo to prawda.

- A obecny tu Guy o niczym nie wiedział.

- Absolutnie o niczym. Nie chciałam go w to mieszać, nie chciałam ryzykować jego szans w walce o opiekę nad dziećmi. Zamierzałam odłożyć te pieniądze na wspólne gniazdko, żebyśmy mogli zacząć od nowa. Chciałam zrobić mu w ten sposób niespodziankę po ślubie.

- Czy w to gniazdko wliczamy mustanga?

Zwiesiła głowę.

- Ile kosztował?

- Dwa tysiące gotówką, reszta na raty.

Milo wyjął jakiś papier i podał jej.

- To umowa kupna?

- Tak. Skąd pan...

- Zarejestrowała pani samochód na swoje nazwisko, ale dealerowi powiedziała, że nazywa się Pat Demeter. Podała pani adres w Barstow. Ile rat zamierzała pani zapłacić?

Vann podniosła wzrok; jej oczy miały kolor i ogień grzanego cydru.

- W porządku, sierzancie, dopiął pan swego. Jestem kłamliwą dziwką o etyce...

- Kto to jest Pat Demeter?

- Mój były mąż! Żmija. Bił mnie, kradł mi każdy grosz i wciągał nosem. Próbował zrobić ze mnie kokainową kurwę i groził, że okaleczy Sea-na, kiedy się nie zgodziłam. Nie mówię tego, żeby zdobyć pana współczucie, sierzancie, ale na niego też niech pan go nie marnuje. Kiedy przyjdą do niego po

pieniądze za ten samochód, to nie będzie nawet początek zapłaty za to, co mi zrobił!

- Demeter to pani nazwisko po mężu? - spytał Milo niewzruszenie.

- Tak. Zaraz po rozwodzie wróciłam do panińskiego. Nie chciałam, żeby cokolwiek przypominało mi o tej szumowinie.

- Gdzie jest pani syn? Spojrzała na niego z nienawiścią.

- Przeuroczy z pana typ, prawda, sierżancie Sturgis?

- Gdzie on jest?

- U moich rodziców.

- Gdzie mieszkają pani rodzice?

- W Visalia... tak, wiem, że może pan zdobyć adres. To dobrzy ludzie. Niech ich pan w to nie wciąga.

- Dlaczego go pani tam wysłała?

- Bałam się.

- Bo Cadmus został aresztowany.

- Nie. Jest coś jeszcze, jeśli pozwoli mi pan do tego w końcu dojść!

- Słucham.

Złapała oddech.

- To było po drugiej zapłacie. Ten, kto ją dostarczył, znów włamał się do mieszkania. Mimo że nowy zamek miał być antywłamaniowy. Położył pieniądze na klapie sedesu, zostawił drzwi od łazienki szeroko otwarte. To było... pogardliwe. Jakby ktoś chciał mi pokazać, że jestem już niepotrzebna. Pojechałam prosto do szkoły Seana, zabrałam go do przyjaciółki, wróciłam do mieszkania i spakowałam...

- Sama?

- Tak. Nie było tego wiele.

Zaczekała na następne pytanie.

- Proszę mówić dalej - zachęcił Milo.

- Czekałam do zmroku, zanim załadowałam rzeczy do samochodu. Kiedy już miałam odjechać, nie wiadomo skąd pojawiło się dwóch facetów, po obu stronach wozu. Szarpali za klamki, mówili, że

chęć ze mną porozmawiać, próbowali wdrzeć się do środka. Ledwie zdążyłam się zamknąć.

- Jak wyglądali?

- Podle. To byli harleyowcy. Znam takich, bo sporo ich w okolicach Barstow, a te kilka razy w życiu, kiedy Pat pracował, nalewał benzyny na stacji, gdzie się kręcili.

- Poznała pani tych dwóch?

- Nie.

- Jak wyglądali?

- Ten po stronie pasażera był tusty i brodaty. Ten bliżej mnie włochaty jak zwierzę. Nieogolony, ze zwisającymi wąsami. Miał wielkie dłonie, a przynajmniej wyglądały na wielkie, kiedy przyciskał je do szyby. Dziwne, martwe oczy.

- Kolor oczu? Tatuże? Znaki szczególne?

- Nie mam pojęcia. Było ciemno, a ja myślałam tylko o tym, żeby stamtąd uciec. Walili w szyby, kołysali samochodem, warczeli. Próbowałam wycofać, ale zaparkowali motor tuż za mną. To był wielki chopper i bałam się, że utknę. Dlatego zaczęłam wrzeszczeć i położyłam się na klaksonie, aż wyszła pani Cromarty, gospodyni. Ten włochaty miał młotek, chciał właśnie rozbić szybę. Ale pani Cromarty krzyczała: „Co się tam dzieje?!”, i podchodziła coraz bliżej. To ich spłoszyło. Kiedy tylko się zmyli, uciekłam. Jeździłam przez kilka godzin po całym mieście, żeby się upewnić, że nikt mnie nie śledzi, w końcu zabrałam Seana i przyjechałam tu, do Guya.

- Który był tym wszystkim zszokowany.

- Tak, właśnie tak. Kiedy powiedział panu, że dał się oszukać, nie kłamał. Dopiero gdy powiedziałam mu o pieniądzach, zaczął coś podejrzewać. Nie jesteśmy święci, sierżancie, ale to nie o nas panu chodzi.

- A o kogo?

- O rodzinę, oczywiście. To oni zatrudnili tę Surtees, żeby podawała chłopakowi truciznę.

- Skąd pani wie, że to ona?

- Miała do niego codzienny dostęp.

- Inni też. Tak jak pani i Guy.

- Nie zrobiliśmy tego. Nie mieliśmy powodu.

- Nędza to cholernie dobra motywacja.

- Gdyby nas opłacili, czy zostalibyśmy tutaj?

Milo nie odpowiedział.

- Sierzancie - ciągnęła Andrea Vann - nie istniał żaden logiczny powód, żeby Marthe Surtees tam była. Była dziwna, kiepsko wyuczona. Guy przyjął wyjaśnienie krewnych, że zależy im na jednoosobowej opiece, bo ludzie w takiej sytuacji są bardzo zestresowani, a on im współczuł, ale...

Detektyw odwrócił się do Mainwaringa.

- Ile panu zapłacili, żeby ją pan przyjął?

- Dwa tysiące.

- W gotówce?

- Tak.

- Dał ją panu bezpośrednio wuj?

- Przez prawnika, Souzę.

- Ci ludzie są obrzydliwie bogaci - powiedziała Vann. - Tacy jak oni rządzą światem, manipulując ludźmi. Nie widzi pan, że zmanipulowali i nas?

Milo się skrzywił. .

- A więc teraz jesteście ofiarami, tak?

Vann próbowała wytrzymać jego spojrzenie, ale poddała się i wyjęła paczkę papierosów. Milo pozwolił jej zapalić i zaczął krążyć po pokoju. Z zewnątrz dobiegały łagodne dźwięki symfonii na werblach - to krople deszczu tańczyły nieśmiało na pustych, stiukowych ścianach. Kiedy Milo znów się odezwał, zwrócił się do Mainwaringa.

- Ja tak to widzę, Guy. Siedzi pan w kiblu po uszy i czeka, aż ktoś spuści wodę. Jeśli kłamał pan, mówiąc, że nie brał pan w tym udziału, gwarantuję, że się tego dowiem i zamknę pana za usiłowanie morderstwa i jako współsprawcę morderstwa. Ale nawet jeśli mówi mi pan prawdę, siedzi pan po szyję w nieetycznych praktykach i całej reszcie, o jaką oskarża się lekarzy, którzy pozwalają, żeby ktoś truł ich pacjentów. Mam nadzieję, że pan wie, jak się kroi na desce albo siedzi w kasie, bo ze swojej przyszłości praktykowanie medycyny może pan wykreślić. Nie mówiąc już o ojcostwie.

- Drań! - syknęła Vann.

- To samo dotyczy pani - ciągnął Milo. - Koniec z pielęgniarstwem, pa-pa mustangu. A jeśli nasz stary kumpel Pat miał kiedyś jakieś plany co do przejęcia opieki nad małym Seanem, już niedługo otrzyma swoją szansę.

Vann zdławiła okrzyk wściekłości.

- Niech cię szlag, nie mieszaj jej do tego! - krzyknął Mainwaring.

Milo się uśmiechnął.

- A jak, do diabła, miałbym to zrobić, Guy, skoro sama się wpakowała w sam środek?

Mainwaring spojrział na Vann i zniknęły resztki jego opanowania. Usta zaczęły mu drżeć, a łzy, które zbierały się w oczach, przelały się i pociekły po nieogolonych policzkach. Vann podbiegła i objęła go, a on zaczął szlochać. Była to żałosna scena i miałem ochotę zniknąć. Spojrzałem na przyjaciela, żeby sprawdzić, czy na niego też miało to taki wpływ, i chyba coś zauważyłem - iskierka współczucia przemknęła przez pustynię jego twarzy. Ale nie gościła tam długo, o ile w ogóle istniała.

Obserwował ich z klinicznym dystansem, surowym wzrokiem patrzył, jak dzielą się nieszczęściem.

- Z drugiej strony, może coś jestem w stanie zrobić.

Oderwali się od siebie i popatrzyli na niego błagalnie.

- Nie mówię o zupełnym wybawieniu, niech to będzie jasne. Tylko o małym ograniczeniu szkód. Współpraca za zamknięte akta. I nie gwarantuję, że mi się uda, muszę to uzgodnić z górą. Poza tym, nawet jeśli się dogadamy, wątpię, żebyście mogli zostać w Kalifornii. Zrozumiano?

Milczące kiwanie głowami.

- Ale jeśli pomożecie mi zdobyć to, czego chcę, zrobię co w mojej cholernej mocy, żeby wszystko wyciszyć tak, żebyście mogli zacząć od zera gdzieś indziej. Jeśli chcecie to obgadać, nie ma sprawy.

- Nie chcemy - odparła Andrea Vann. - Niech pan nam tylko powie, czego pan chce.

- To właśnie - Milo uśmiechnął się po ojcowsku - nazywam pozytywnym nastawieniem.

To był mały, smutny pokoik pełen znudzonych, spoconych mężczyzn, więc o zmroku unosił się tam nieświeży zapach. Whitehead drzemał w brudnym, niebieskim fotelu, bez butów, z rozdziawionymi ustami. Do ściany za jego głową przyklejone było kółko przeżutej gumy. Cash siedział na plastikowym stoliku, obok lampy z podartym abażurem i podstawą w kształcie bezgłowego kobiecego torsu, ekstrawagancko wyposażonego przez naturę i poznaczonego białymi piegami tam, gdzie farba odeszła od gipsu. Palił papierosa; wypalił go do filtra i rzucił na stosik w popielniczce ze złotej muszli.

Milo garbił się na skraju łóżka, w nogach, pijąc dietetyczną colę i czytając notatki. Ja siedziałem po turecku po drugiej stronie, plecami do ściany i usiłowałem czytać ostatnie wydanie *Psychologii klinicznej*.

Na pierwszy rzut oka łóżko wydawało się naturalnym miejscem do siedzenia - był to wielki wodny materac, przykryty jadowicie zieloną narzutą ze sztucznego aksamitu, tak olbrzymi, że zajmował prawie cały pokój. Ale pozostali detektywi jakoś nie chcieli na nim usiąść podczas długich godzin czekania.

Sprzęt wideo stał na lepkiem stoliku z imitacji drewna. Przed nim siedział Ginzburg, sierżant technik, łysy, wąsaty, o byczym karku i takich samych barach. Sprawdziwszy dwa razy wszystkie przełączniki i gałki, zadowalał się zimną kawą i książeczką z zagadkami matematycznymi. Z kosza na śmieci wysypywały się puste styropianowe kubki, pojemniczki na sos taco, zgniecione chusteczki i papier śniadaniowy, zatłuszczony tak, że aż przezroczysty. Obok monitora stygło na wpół zjedzone burrito.

Na ekranie widać było sąsiedni pokój: apartament Szeherezady w Pałacu Miłości, zwykły pokoik, taki sam jak ten, w którym my siedzieliśmy, z tym wyjątkiem, że łóżko przykryto szkarłatną satyną, na niej zaś leżał szary człowiek. Ale taka hiperbola była na miejscu w pałacu, który był obłażącym z farby motelem, nędzną kryjówką przy Ventura, na wschodnim krańcu Studio City, zapomnianym palcem Valley sięgającym do pudełka z ciastkami, zwanego Hollywood. Neon na dachu reklamował „Filmy dla dorosłych i masaż erotyczny”, pierwsze wyobrażone przez kanał kablówki, drugie przez wibrator przymocowany do łóżka. Oba działały na monety; oba zostały wypróbowane przez Casha i uznane za niedoskonałe („To ma być masaż? Jakby ci nieboszczyk robił dobrze” oraz „Popatrz no, Cal: facet jest naćpany, a ona ma blizny i taką cipę, że przejechałaby przez nią ciężarówka. Żeby mi zapłacili, nie wyruchałbym jej nawet przez pełnomocnika”).

Na monitorze coś się nagle poruszyło: Mainwaring podniósł się z łóżka, przeszedł się w tę i z powrotem i podszedł do ściany oddzielającej pokoje. Obliznął wargi i spojrzał na wiszącą roślinę, w której ukryto kamerę.

- Jasna cholera - zaklął Ginzburg. - Znowu się zaczyna. Mówiłem mu, żeby tego nie robił.

Cash przeciągnął się i ziewnął.

- Może powinienem tam pójść i mu przypomnieć.

Milo spojrzał na zegarek.

- Nie - powiedział. - Za mało czasu zostało na takie luksusy.

Cash popatrzył na swój, złoty i cienki jak opłatek.

- Co, ósma trzydzieści? Umówili się na dziewiątą czterdzieści pięć.

- Rozegramy to bezpiecznie. Na wszelki wypadek.

Cash popatrzył na Ginzburga, który wrócił do swoich zagadek, a potem znów na Mila.

- Wszystko jedno. Ale jeśli dalej będzie to robił, pójdę tam i kopnę go

w dupę.

Jakby na dany znak Mainwaring wrócił do łóżka i położył się z ręką na oczach. Machał jedną stopą jak szczeniak ogonem. Cash przyglądał się mu przez chwilę.

- Ile tu jesteśmy, pięć godzin?

- Jakies osiemnaście minut - powiedział Ginzburg.

Cash znów popatrzył na Mainwaringa.

- Jak sądzisz - spytał Milo- jakie są szanse, że to wypali?

- Kto to może wiedzieć, do cholery?

- Trzeba się nauczyć żyć z niepewnością - stwierdził Ginzburg.

- Taa, jasne. - Detektyw z Beverly Hills przypalił następnego papierosa.

- Mógłbyś przystopować z kopceniem? - sarknął Ginzburg. - Śmierdzi tu rakiem.

- Kurwa - zaklął Cash, poszedł do łazienki i zamknął drzwi.

Milo parsknął śmiechem.

- Nie ma to jak wymuszona prywatność, co, Lenny?

Ginzburg przytaknął, wziął burito, obejrzał je i wyrzucił do kosza. Wylądowało z łomotem; Whitehead otworzył oczy.

- Gdzie Dick? - spytał zaspanym głosem.

- W kiblu - odparł Ginzburg. - Trzepie się.

Whitehead zmarszczył czoło. Wstał, włożył do ust dwa listki gumy, zaczął żuć i podszedł do telewizora. Pogrzebał chwilę w kieszeni i wyjął garść drobniaków.

- Cholera, same dziesiątki. Ktoś ma ćwiartki?

Ginzburg go zignorował. Milo wyjął trzy monety.

- Tylko nie za głośno - powiedział, podając mu je.

- Już pora? - spytał Whitehead.

- Jeszcze nie. Ale nie będziemy ryzykować.

Whitehead spojrział na zegarek, mruknął: „Ósma trzydzieści cztery”, i wrzucił monety do szczeliny

nad telewizorem. Kilka chwil później na ekranie pojawiła się scenka pod tytułem *Miłość w dżungli*: skaczące, kręczone z ręki ujęcie pokoju wyłożonego sklejką, a potem nagiej, czarnoskórej pary wijącej się na łóżku do rytmu funkowego beatu. Chwiejąca się pijacko kamera pokazała wykrzywione twarze, palce ugniatające sutki, a

potem serię ginekologicznych zbliżeń, ukazujących, że mężczyzna był wyjątkowo obdarzony przez naturę.

- No jasne - mruknął Whitehead z obrzydzeniem, ale nie odrywał wzroku od ekranu.

Drzwi do łazienki się otworzyły i stanął w nich Cash, zapinając rozporek.

- Dzień dobry - rzucił do Whiteheada, który z roztargnieniem kiwnął głową.

Potem Cash zobaczył film i z powrotem usiadł na stoliku, żeby popatrzeć.

O dziewiątej dziesięć zadzwonił telefon. Odebrał Ginzburg; kilka razy powiedział „aha” i się rozłączył.

- To był Owens sprzed całodobowego 7-Eleven na Lankershim. To może nic nie znaczyć, ale dwa brudasy na harleyu właśnie skręciły na wschód Ventura. Jeden był gruby.

- Dobra - powiedział Milo.

Sprawdził story, czy nie przepuszczają na zewnątrz światła. Cash podszedł do telewizora i wyłączył dźwięk, przerywając odgłosy ciężkiego sapania i zawodzenie astmatycznego saksofonu. Patrzył przez kilka chwil, oznajmił, że kobieta na ekranie to świnia, i się odsunął. Whitehead dalej oglądał nieme obrazy, pracując szczękami, potem uświadomił sobie, że jest jedynym podglądaczem, i niechętnie wyłączył telewizor. Wyjął swoją trzydziestkęósemkę i zajrzał do lufy.

Ginzburg wyprostował się i zaczął majstrować przy swoim sprzęcie.

Cash podszedł do niego i spojrzał na Mainwaringa.

- Opanowany chujek - powiedział - tak sobie leży.

- Nie wydaje mi się - odparł Ginzburg. - Popatrz na jego stopę.

Minęło dwadzieścia pięć minut. Napięcie wywołane telefonem od Owensa zaczęło spadać. Po czterdziestu pięciu minutach zniknęło, a na pokój opadła otępiająca chmura odrętwienia. Zmienne poziomy ekscytacji okazały się dla mnie wyczerpujące, ale Milo mnie przed tym ostrzegwał. („Trappowi zaimponowała twoja obywatelska postawa, cytuję, »to pierwszy psycholog, o jakim słyszałem, który nie jest mięczakiem i beksą«, więc pewnie uda mi się to załatwić. Ale to nuda, Alex. Martwica mózgu”). Dziewiąta czterdzieści pięć nadeszła i minęła bezgłośnie.

- Myślicie, że się pojawią? - spytał Cash. - Myślicie, że to oni?

- Co za różnica - westchnął Ginzburg. - Masz coś innego do roboty? Detektyw szturchnął się kciukiem w pierś.

- Ja zawsze coś kręcę, człowieku man - odparł slangiem. - Coś słodkiego i kosmatego, kumasz?

- Taaa, jasne - mruknął ponuro Ginzburg.

- Hej! Masz jakiś problem?

Ginzburg pokręcił głową i wziął swoją książkę z zagadkami. Postukał czubkiem ołówka w zęby i zaczął pisać.

Cash wymamrotał coś niezrozumiale i wrócił na swoją grzędę. Wyjął papierosa, zapalił i dmuchnął dymem w stronę monitora. Jeśli Ginzburg to zauważył, nie dał po sobie nic poznać.

- Hej, Dick, jak tam twój scenariusz? - spytał Whitehead, żując gumę.

- Bardzo dobrze. Oglądają go w MGM. Poważnie.

- Poważnie? Mają kogoś, kto by zagrał ciebie?

- Może Pacino, może De Niro.

- Jasne - mruknął Ginzburg, tłumiąc chichot.

Cash strzepnął popiół w jego stronę.

- Co z tobą, Lenny, chłopcze, ty zazdrosny...

- Zamknąć się! - szepnął Milo, wskazując drzwi.

Z drugiej strony dobiegły nas jakieś odgłosy: sugestia szurania, aluzja skrobnięcia, mysi pisk obcasa. Krótkie jak uderzenie serca, ale niesłyszalne, gdyby nie nasza czujność.

Wszystkie oczy spoczęły na monitorze.

Ktoś zapukał do drzwi apartamentu Szeherezady. Głośnik na stole zamienił pukanie w głucho szczeknięcie. Mainwaring usiadł prosto, z oczami wytrzeszczonymi jak po koszmarze.

Znów pukanie.

- Dalej, otwórz, dupku - syknął Cash.

Psychiatra wstał i spojrzał w kamerę, jakby czekając na ratunek.

- O nie - mruknął Ginzburg. - Zaraz się zleje.

- Jeśli nie otworzy - powiedział cicho Milo - wychodzimy i zwijamy ich.

- Za co? - spytał Whitehead. - Za włóczęgostwo? Potrzebna nam rozmowa.

- Wszystko lepsze niż puszczenie ich wolno.

Śledczy z biura szeryfa skrzywił się i zaczął szybciej żuć gumę.

- Rusz się, do cholery - poganiał Mainwaringa Ginzburg. - Uwierzycie? Ten tchórz zaraz się zahipnotyzuje.

Mainwaring dalej wpatrywał się w kamerę. Zareagował dopiero po trzecim pukaniu. Podszedł do drzwi, otworzył je i został pchnięty w tył, jak przez uderzenie burzy. Potykając się i zataczając, wylądował na łóżku, przerażony, nie mogąc złapać tchu.

Drzwi się zamknęły. Do pokoju weszły dwie ciemne postacie. Na ekranie mignęła zarośnięta twarz, ale zniknęła, zanim zdążyliśmy ją zapamiętać; harleyowcy odwrócili się plecami do kamery.

Ginzburg czymś pokręcił i czerń na ekranie nabrała konturów i tekstur: zatłuszczone skóry, brudne dżinsy. Po lewej stronie łysa głowa na

czubku groszkowatego cielska i pofałdowana szyja. Kawalek w prawo żyłasta, chuda postać o ciemnych, pozlepianych w strąki włosach wystających spod czapki w stylu Marlona Brando. Obaj harleyowcy trzymali ręce na biodrach. Twarz Mainwaringa była bladym strzępkiem unoszącym się między ich łokciami.

Kamera wychwyciła błysk metalu. Chudemu zwisał wzdłuż uda nóż myśliwski; gruby kręcił małe kółka łańcuchem.

- Oho - powiedział Milo. - Od razu na ostro. Na miejsca.

Zerwał się, pobiegł do wejścia i wyjął swoją trzydziestkęósemkę. Uchylił drzwi, wystawił głowę, rozejrzał się i cicho je zamknął.

- Czysto. Motor stoi w głębi parkingu, przy zaułku. Spuszczę im powietrze, potem wrócę i stanę pod ich drzwiami.

Cash przesunął się do przodu. Whitehead podkradł się do drzwi między pokojami i potrząsnął po kolei obiema nogami. Obaj wyjęli broń.

- Dobra, okurwieńcu - mówił chudy, podchodząc do łóżka. - Co takiego masz na sprzedaż?

- Już to omówiłem z Heather Cadmus - odparł Mainwaring.

Obaj harleyowcy się zaśmiali. Gruby zatrzęsł się galaretowato. „Miękki”, powiedział stary Skaggs. „Jak miękki wór gówna”.

- Sygnał ten sam? - spytał Cash.

Milo kiwnął głową.

- Cały czas będziemy liczyć na obciążającą rozmowę i bezpieczną mowę ciała. Lepiej by było, gdyby nie machali bronią, bo mogą wziąć zakładnika albo ciąć kogoś odruchowo. Ale jeśli choćby spróbują mu coś zrobić, jedziemy z dywersją: walimy w ściany i biegniemy z wrzaskiem. Cal i ja jednocześnie wyważamy drzwi. - Wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na monitor. - Gdzie nóż, Lenny?

- Cały czas ma go przy boku - odparł Ginzburg. - Dobrze by było, gdyby się odwrócili, mógłbym cyknąć im twarz.

- Znikam. - Milo otworzył drzwi wejściowe i wysliznął się na zewnątrz. Cash zamknął je za nim i zajął jego miejsce.

Mainwaring podparł się na łokciach. Gruby harleyowiec podszedł krok bliżej i pchnął go z powrotem.

- Właśnie go popchnęli - relacjonował spokojnie Ginzburg. Cash i Whitehead zeszywnieli. - Wygląda w porządku. Ten z nożem przesuwając palcem po ostrzu, możliwe, że to zwiastun... nie, nie podnosi go, chyba tylko się bawi. Grubas cały czas macha łańcuchem.

- Zadałem ci pytanie, okurwieńcu - powiedział chudy.

Głośnik zniekształcił jego głos, ale zabrzmiał jakoś znajomo. Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę jego twarz. Kiedy mówił, kołysał głową,

odsłaniając kawałek ucha i końcówkę wąsa za grzywą ciemnych włosów.

- No, dalej, palancie. Odwróć się i proszę o uśmiech - mruzczał Ginzburg, trzymając palec wskazujący nad czerwonym guzikiem.

- Nic wam to nie da, jeśli zrobicie mi krzywdę - odparł Mainwaring z nagłą siłą. - Moje informacje są bezpiecznie ukryte i zaopatrzone w instrukcje dostarczenia ich policji, jeśli nie wrócę do domu o wyznaczonej godzinie. Pani Cadmus o tym wie.

- Cha, cha - zaśmiał się chudy. Spojrzał na grubego, który zachichotał z aprobatą. - Pani Cadmus wie dużo rzeczy.

- Bingo - ucieszył się Cash. - Mów dalej, chujku.

- A więc zakładam, że możemy przejść do interesów - powiedział Mainwaring spokojnie i usiadł.

- Cofam wszystko - szepnął Ginzburg. - Facet ma jaja.

- „A więc zakładam, że możemy przejść do interesów”! - zawołał gruby, przedrzeźniając brytyjski akcent Mainwaringa wysokim, piskliwym głosem.

Zamarkował cios, jakby chciał znów pchnąć psychiatrę na plecy, a potem odsunął się i zachichotał,

obracając się przy tym i pokazując twarz. Ginzburg zaczął szybko naciskać czerwony guzik, trzaskając klatki z wideotaśmy i wyświetlając je na podzielonym ekranie. Przesunął jakąś dźwigienkę i twarz grubego się powiększyła: okrągła, wygolona głowa, krzaczaste czarne brwi, grube, świńskie rysy i potężna czarna broda.

- Cieszę się, że się rozumiemy - powiedział Mainwaring.

Gruby przełożył łańcuch z pulchnej ręki do ręki i znów się zaśmiał.

- Wierzysz w te pierdoły? - spytał kolegę.

Głos wciąż miał wysoki - osobliwie wysoki jak na tak potężne ciało - i zacząłem się zastanawiać, czy to jego naturalny sposób mówienia. Chudy zgiął prawą rękę.

- Hola - syknął Ginzburg - ma ostrze w dłoni. Wyciąga je.

- W dłoni to sranie w banię - stwierdził Cash. - Tak robią na filmach. Jak się chce kogoś porznać, łapie się za rękojęść i rąbie w dół. Dopiero mówiłem to tym w MGM.

Whitehead popatrzył na drzwi łączące pokoje, potem na swoją stopę.

- Co teraz? - spytał.

- Bez zmian.

- Widzisz? - powiedział chudy. - Nazywa się Rożen. Nie wkurwiał nas. Zrobimy z ciebie pieprzoną letnią kiełbasę.

- Jest zima - zaśmiał się gruby. - Może ostre pastrami?

- Nieee, nie ma na tym fiucie dość tłuszczu. Potniemy go i znajdziemy tylko wyschnięte gnaty i gównno.

- Im bliżej kości, tym lepsze mięso - cmoknął gruby. - Mniem.

- Tu się zgodzę.

- Ciekawe, jak się tną jego palce u nóg. Myślisz, że jak masło?

- Nie. Za chudy. Ale może, gdyby wziąć obcęgi...

- Zabrałeś obcęgi? - podekscytował się gruby.

- Nie. Tylko stary rożen.

Mainwaring sapnął.

- Chcesz coś powiedzieć, zasrańcu? - spytał chudy.

- Pani Cadmus...

- Jeśli chodzi o panią Cadmus, jesteś trupem. Dała nam carto blanco, możemy z tobą zrobić, co się nam, kurwa, spodoba.

- Tak. - Gruby uśmiechnął się i pogładził brodę. - Możemy cię poćwiartować, pociąć w plasterki albo we wstążki. Zupełnie jak w kralnicy do warzyw.

- I poświęćcie moje informacje? - spytał Mainwaring; głos zaczynał mu drżeć.

Chudy przeszedł na drugą stronę łóżka, stanął tuż obok psychiatry, wciąż z nożem w ręku. Wtedy dobrze go zobaczyłem.

- To Antrim - syknąłem. - Szofer Souzy.

- Na pewno? - spytał Cash.

- Na sto procent.

- Cicho - powiedział Ginzburg. - To może być teraz.

Nóż zawisł nad krocem Mainwaringa.

- Przygotujcie się - rzucił Ginzburg.

- A może - zakpił Antrim - ty poświęćs twoje jaja?

Mainwaring spojrział na niego pustym wzrokiem, a potem gwałtownie machnął ręką i trafił Antrima w nadgarstek. Nóż poleciał na podłogę. Antrim zawył z bólu i rzucił się na psychiatrę. Gruby wrzasnął piskliwie i zanurkował w szamotaninę.

To, co nastąpiło potem, wyglądało jak scena z serialu o policjantach, kręcona i grana po amfetaminie.

- Teraz! - krzyknął Ginzburg, podrywając się. Jedną ręką manipulował pokrętłami kamery, drugą walił w ścianę. Usta miał szeroko otwarte i jak upiór wył: - Nie ruszać się, policja!

Jednocześnie Cash szarpnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka, ściskając oburącz rewolwer, a Whitehead jednym kopnięciem wyważył te między pokojami - po chwili był już w apartamencie Szeherazady.

Ja siedziałem bez ruchu i oglądałem to wszystko na monitorze.

Gruby i Antrim okładali niewidocznego Mainwaringa; nagłe uniesienie głów w panice; skok na nóż. Milo wtacza się do pokoju z bronią w ręku, przydeptuje macającą dłoń i wrzeszczy:

- Nie ruszać się, skurwysyny! Rzuć nóż! Rzuć! Rzuć nóż! Rzuć nóż!

Rzuć! Na ziemię! Na podłogę!

Antrim się cofnął. Cash złapał nóż, owinał go w chustkę i schował do kieszeni. Whitehead skoczył na grubego. Milo przykuł Antrima do słupka łóżka i plastikowymi kajdankami spętał mu kostki.

Whitehead wciąż próbował ściągnąć grubego z Mainwaringa, sapiąc z wysiłku. Cash mu pomógł. We dwóch szarpnęli grubego mocno za ręce, usiłując podnieść go do pionu. Nie mogli go skuć, bo z powodu tuszy ręce nie obejmowały pleców.

Mainwaring usiadł, zakrwawiony i poobijany. Uśmiechał się z satysfakcją.

- Wstawaj, kurwa - sapnął Cash, wciąż szamocząc się z grubym. - Pieprzone... rodeo...

Gruby szarpnął się w ich uścisku, piszcząc i kłapiąc zębami; napluł Whiteheadowi w twarz. Śledczy z biura szeryfa instynktownie go uderzył, trafiając mocno w tłustą twarz. Od uderzenia przekrzywiła się broda. Wysoki pisk.

- Co? - zdziwił się Whitehead, zdzierając sztuczny zarost. - Co do...

- Brwi też! - wrzasnął Cash.

Czarne kępki odeszły.

- Aaaa! - wrzasnęła naga twarz, kluchowata, świńska i bezpłciowa. Stopa w ciężkim bucie waliła w dywan, a po galaretowatych policzkach płynęły łzy.

- Kim... czym ty kurwa jesteś?! - spytał Cash.

- Aaa! - Gruby zasapał i kłapnął zębami jak dzik w potrzasku, wyszczerzył się i spróbował odgryźć jedno z odstających uszu Whiteheada. Ten odskoczył i znów go uderzył.

- Uderz ją jeszcze raz, to cię zabiję! - zawył Antrim, szarpiąc więzy. - Uderz ją jeszcze raz, to...

- Zamknij, kurwa, mordę! - ryknął Whitehead. - Co tu się, kurwa, dzieje?

- Aaa! - wrzasnęła bezwłosa twarz.

- Uderz ją jeszcze... - Milo wepchnął Antrimowi chustkę w usta.

- Aa!

- To dopiero - sapnął Ginzburg, ocierając czoło.

Wstałem i przeszedłem przez wyważone drzwi.

Mainwaring był w łazience, mokry ręcznik przykładał sobie do sińców i ran. Whitehead stał nad Antrimem. Milo rozmawiał przez telefon, a Cash cały czas gapił się na bezwłosą kobietę i wyglądał,

jakby było mu niedobrze.

- Co to ma być? - na wpół prosił, na wpół żądał. - Co to ma, kurwa, być?

- Nazywa się Marthe Surtees - powiedziałem. - Była pielęgniarzką Jameya.

W pokoju zapadła cisza.

Marthe Surtees jakimś cudem zdołała dygnąć.

- Dobry wieczór, doktorze Delaware - zaszczębiotała słodkim głosem.

Zatrzepotała rzęsami; jej tłusta twarz była cała w plamach kleju i kosmykach sztucznych włosów. - Jak to miło znów pana widzieć.

Milo nadział kolejnego ziemniaka, obtoczył go w maśle i zjadł. Skończył już jedną jagnięcą polędwiczkę, a na jego talerzu czekały trzy następne. Ja połknąłem kostkę fileta mignon i popiłem ją łykiem grolscha.

Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści i byliśmy ostatnimi klientami restauracji. Za to bar był zapchany i gwarany.

- William Tull Bonney - powiedział Milo, wycierając usta. - Tak samo, jak Billy Kid. Twierdzi, że jest jego potomkiem w linii prostej. Antrim to ksywa, bo tak się nazywał ojczym Billy'ego.

Spojrzał na resztki ginu z tonikiem, zastanowił się, czy nie zamówić następnego, ale zamiast tego sięgnął po szklanekę wody i ją opróżnił. Z kieszeni na piersi wyjął kartkę i ją rozłożył. Nachylił się, zmrużył oczy i zaczął czytać w słabym świetle świec za szkłem.

- Kiedy go zidentyfikowaliśmy i sprawdziliśmy w komputerze, ten nie mógł przestać drukować. To tylko streszczenie, typowa historia amerykańskiego sukcesu. Urodzony w Mesilli w stanie Nowy Meksyk, mama pijaczka, tata nieznanym. W szkole wagary od pierwszego dnia. Pijaństwo i zakłócanie porządku w wieku lat jedenastu; on też był nad wiek rozwinięty. Wandalizm, podpalanie, seria napadów i rabunków jako nieletni. Kilka podejrzeń o gwałt i co najmniej jedno morderstwo – zadżganie i okaleczenie młodej Hinduski - którego nikt nie mógł udowodnić, ale

wszyscy wiedzieli, że to on. Wtedy miał szesnaście lat. Do osiemnastki żył na koszt państwa. Wyszedł na rok, przyjechał do Kalifornii, w ciągu miesiąca został przymknięty za usiłowanie zabójstwa - bójka na noże w barze w Kern - odsiedział rok w areszcie okręgowym, wydłużyli mu odsiadkę za zaatakowanie strażnika i inne wybryki. Trafił do programu resocjalizacyjnego, wtedy nauczył się naprawiać auta. Kiedy wyszedł, dostał robotę w warsztacie, stracił ją za pobicie szefa. Zamknięty za serię napaści z bronią w rękę i pobić. Nauka w Soledad, gdzie pokumał się z Bractwem Aryjskim, odbył kurs jednośladowej filozofii. Jeździł z gangiem zwanym Ghule, niedaleko Fresno; zamknięty za morderstwo drugiego stopnia: zadżganie w wojnie gangów, sprawa oddalona z przyczyn zasadniczych, bronił go jego adwokat, Horace Souza. Odwrócił kartkę na drugą stronę.

- Teraz prześwietna Marthe Surtees, vel Wilhelmina Surtees, vel Billy Mae Sorrell, vel Marthe Sorrell, vel Sabrina Czacha.

- Sabrina Czacha?

- Czacha. Jak głowa, czaszka. To ksywa z gangu, jeździła z Ghulami. Historia podobna jak u Antrima: narkotyki, gorzała, wyrywanie nówek małym zwierzątkom, tyle że przechodziła od cholery leczenia psychiatrycznego i uniknęła więzienia jako dorosła. Raz przymknięta za zakłócanie porządku, sprawa oddalona. Mogłem o niej coś znaleźć tylko dlatego, że prokuratura we Fresno ma teczkę Ghuli, w której Marthe zajmuje poczesne miejsce: lubi krzywdzić ludzi.

- Naprawdę jest pielęgniarką?

- O tak. Kiedy wyszła z obozu poprawczego, z federalnego grantu opłacili jej naukę w jakimś weekendowym ośrodku i dostała papiery. Gdy Ghule nie imprezowały, dorabiała sobie w domach spokojnej starości. Z ostatniego odeszła podejrzana o kradzieże leków, ale nie złożono skargi w prokuraturze. Potem zniknęła. Okazuje się, że mieszkała z Antrimem w domku w Tujungu. W samym środku czterdziestu hektarów lasu należącego do Souzy. Ptaszki, pszczołki, kibelek na zewnątrz, turystyczny telewizor i cała masa korby. Straszny chlew. Byłem tam rano. W kącie stoi szafa z płyty pilśniowej - wykrochmalone białe mundurki obok śmierdzących czarnych skór. Na dole dwie szuflady, zapchane teatralnymi środkami do charakteryzacji, brodami, wąsami, perukami i bardzo świńskimi pismami sadosmaso.

- Uroczo - powiedziałem.

- Tak. I romantycznie. - Milo zaśmiał się chłodno, sięgnął po miętowego żelka, po czym dobrał się do następnej połędwiczki. - Antrim pękł, kiedy tylko został sam. Powiedział, że będzie współpracował, jeśli

potraktujemy ją łagodnie; zresztą to i tak on odwalał całą brudną robotę nożem. Powiedzieliśmy mu, że są granice elastyczności, na jaką można się zdobyć w takiej sprawie, poza tym to ona truła chłopaka. Dupek się rozpląkał, uwierzyłbyś? Pokręcił głową i wbił nóż w kawałek mięsa.

- Tak czy inaczej, po godzinie mieliśmy całą historię, razem ze zdjęciami. Trzymał je pod podłogą domku razem z notatkami. Wszystko w ramach zabezpieczenia.

Milo pokazywał mi fotki przed kolacją. Historia, którą opowiedział, brzmiała znajomo. Ale główne postaci zaskakiwały.

- Zamierzacie ich użyć? - spytałem.

- Nie wiem, do czego w tej chwili miałyby nam się przydać. Ale wyjaśniają wiele rzeczy, prawda? Umieszczają całą sprawę w pewnym kontekście. Teraz potrzeba nam tylko paru liczb. Które powinien nam podać nasz gość. - Spod mankietu wystrzelił timex. - Za dwadzieścia minut, jeśli będzie punktualny. Kończmy.

Osiemnaście minut później drzwi do baru się otworzyły i do środka wtargnęła fala głośnych

rozmów. Gdy się zamknęły, w wejściu stał szczupły młody człowiek, mrugając wściekle oczami za okularami w złotych oprawkach, w oczekiwaniu, aż przyzwyczają się do półmroku sali jadalnej. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat, które niknęły na tle ponurej boazerii, i niósł dużą teczkę, wyglądającą jak protetyczne przedłużenie prawej ręki.

- Wygląda na to, że to nasz człowiek. - Milo wstał i przyprowadził przybysza do naszego stolika. Mężczyzna trzymał teraz teczkę obiema dłońmi i niósł ją ostrożnie, jakby w środku było coś żywego i trudnego do upilnowania.

- Panie Balch, to jest doktor Alex Delaware. Alex, pan mecenas Bradford Balch.

Dłoń Balcha była krucha i zimna. Puściłem ją.

- Rozmawialiśmy przez telefon - przypomniałem.

Adwokat spojrzał na mnie obojętnie.

- Dzwonił pan do mnie, żeby umówić mnie na wizytę w posiadłości Chancellora.

- A, tak. - Wydał usta. Wspomnienie bycia wykorzystywanym jako chłopiec na posyłki miało kiepski smak. - Co on tu robi? - spytał Milo.

- Jest konsultantem.

Balch popatrzył na mnie nieufnie.

- Myślałem, że pracuje pan dla pana Souzy - powiedział.

- Pracowałem. Już nie pracuję.

- Po co pan tu jest? Żeby mnie sprawdzić psychologicznie?

- Sprawdziliśmy już wszystko, co potrzeba - odparł Milo. - Niech pan siada i przejdźmy do rzeczy.

- Sierzancie, nalegam, żebyśmy porozmawiali na osobności.

- Pana nalegania zostały wzięte pod uwagę - oświadczył Milo, odsuwając mu krzesło. - Proszę siadać.

- Mówię poważnie, sierzancie...

- Balch... - Milo westchnął. - Jest pan w dużych kłopotach, a ja pozwalam panu wziąć o wiele więcej, niż pan daje. Niech więc pan nie marnuje mojego czasu takimi gierkami, co?

Balch poczerwieniał i spuścił wzrok. Opadł gwałtownie na krzesło, zarzucając teczkę na kolana i obejmując ją ramionami. Z bliska wyglądał na bardzo młodego - miał rumiane policzki i jasne włosy, krótkie i równo zaczesane, miejscami jednak sterczące w różne strony. Był ubrany w drogi i

elegancki, ale odrobinę źle dopasowany garnitur: kołnierzyk o pół numeru za duży, jedwabny krawat minimalnie krzywo zawiązany. Wyglądał, jakby ktoś go w nim uwięził, jak chłopiec zmuszony do bycia mężczyzną.

- Napije się pan czegoś? - spytał Milo.

Adwokat z wyższością zmarszczył brwi.

- Chcę to mieć już za sobą i zniknąć stąd.

- Oczywiście. To musi być dla pana drażliwa sprawa.

- Drażliwa? To pogwałcenie etyki. Złamanie zasady poufności. Jeśli to kiedyś wyjdzie na jaw, będę skończony. Będę miał szczęście, jeśli znajdę pracę jako pomocnik w kancelarii.

- Nie ma powodu, żeby to wyszło na jaw.

- To pan tak twierdzi. - Wąskie, zadbane palce bawiły się zapięciami teczek.

- Trudna sprawa - zgodził się Milo. - Zrobić... źle, nie zrobić też niedobrze.

- Niech pan posłucha, skąd miałem wiedzieć, że podpis był sfalszowany? - spytał Balch. - Poręczył go pan Souza. Pani Cadmus była na miejscu.

Spojrzenie Mila stwardniało.

- Nikt nie oczekiwał po panu czytania w myślach - burknął - tylko przestrzegania cholernych zasad notarialnych: nie ma pieczętki, jeśli nie był pan osobiście świadkiem podpisania.

- Ale nie było absolutnie żadnego powodu, by podejrzewać fałszerstwo - upierał się bez przekonania Balch. - Fundusz miał rutynowe zabezpieczenie na wypadek niepełnosprawności umysłowej: przeniesienie funduszy z powrotem na opiekuna po złożeniu pisemnego wniosku. W świetle

stanu umysłowego beneficjenta logiczne było, że pan Souza je uruchomił.

- Dla własnego dobra chłopaka, tak? - spytał Milo.

- Załączono dokumenty potwierdzające jego niepełnosprawność umysłową. To nie było nielogiczne - powtórzył Balch.

- Zgoda, nie nielogiczne - przyznał Milo. - Tylko nielegalne.

- O tym nie wiedziałem.

- Wierzę. Działał pan w błędzie, nie w złej wierze. Dlatego daję panu możliwość odkupienia win.

Balch wyglądał, jakby mu było niedobrze.

- Całe to poświadczanie okazało się cholernie upierdliwe. To był pomysł Souzy - oświadczył. - Powiedział, że notariuszem powinien być człowiek od funduszu i nieruchomości, żeby usprawnić bieg rzeczy. Ja uważałem, że bardziej nadawałby się do tego sekretarz. Powinienem być się uprzeć.

- Trzeba słuchać szefa, co?

- Cholera - mruknął adwokat i spojrzał na niedopity gin z tonikiem Mila.

- Na pewno się pan nie napije? - spytał detektyw.

- Nie... cholera, właściwie dlaczego nie? Tanqueraya z lodem i twistem.

Milo zniknął w barze i wrócił z drinkiem.

Balch poluzował krawat i wypił gin jednym haustem.

- To Nixon tak utrudnił życie notariuszom, prawda? Tyle tych darowizn, żeby odpisać sobie je od podatku, zawyżanie wartości; skąd notariusz miał wiedzieć, że to on będzie odpowiedzialny? W końcu to był prezydent, szef szefów. - Milo się uśmiechnął. - Wygląda na to, że szefowie lubią wystawiać maluczkich, co?

Balch się zjeżył, wyraźnie obrażony, że nazwano go maluczkiem. Zamieszał lód w szklance.

- Chciałbym wiedzieć, jak się o tym dowiedzieliście.

- Od małego ptaszka z wielkimi uszami.

Adwokat zastanawiał się przez chwilę, potem jęknął.

- O cholera. Szofer. Był tam cały czas, czekał, żeby odwieźć panią Cadmus. Nie sądziłem, że zwracał uwagę na to, co się dzieje. A powinienem, zawsze wydawał mi się śliski. Ile mu zapłaciliście, sierżancie?

Milo zignorował to pytanie.

- Cholera - powtórzył Balch. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać.

- Niech pan spojrzy na to w ten sposób. Ma to wszystko swoje plusy - powiedział Milo pocieszająco. - Jest pan pierwszą osobą w firmie, która

dowiedziała się o nieuchronnym upadku szefa. Ma pan fory na rynku pracy. Gdzie pan kończył studia?

- W Penn.

- Liga Bluszczowa. Nie powinien pan mieć problemów. Balch zebrał się w sobie i usiłował zrobić

pełną godności minę.

- Dam sobie radę, sierzancie. Możemy przejść do rzeczy?

- Oczywiście. Niech pan daje teczkę; kiedy się upewnię, że wszystko tam jest, podamy sobie ręce jak dżentelmeni.

- Zanim cokolwiek panu dam, chcę otrzymać zapewnienie, że moje nazwisko nigdy nie pojawi się w pana dochodzeniu. I że nikt się nigdy nie dowie, skąd pan ma te dokumenty.

- Sprawa jest zbyt śliska, żebym mógł panu obiecać cokolwiek ponad to, że się postaram.

- To za mało - uciął Balch.

Milo zaczął ogryzać jagnięcą kość.

- A słowo harcerza? - spytał, rysując palcem krzyżyk na sercu.

- Do diabła, ja mówię poważnie, sierzancie!

Milo oparł się dłonią o stół i nachylił do niego, wywijając kością jak bułatem. Ściągnął brwi, a blask świecy oświetlił tłuszcz na jego ustach, nadając mu groźny wygląd pirata wężącego łup.

- Ja też, mecenasie - powiedział. - Śmiertelnie poważnie. A teraz otwieraj pan tę cholerną teczkę.

30

Kontakt z Antrimem był jak noszenie kobry zamiast krawata. To, że z nami współpracował, nie dodawało mi wcale otuchy: wiedziałem, do czego jest zdolny w chwili gniewu. Ale jego obecność była istotną częścią zasadzki, a ja zabrnąłem już za daleko, żeby się teraz wycofać.

Decyzję, by go wykorzystać - i mnie też - podjęto po trzech godzinach narad za zamkniętymi drzwiami. Milo przyjechał do mnie i wszystko mi opowiedział.

- Kazaliśmy mu zadzwonić i powiedzieć, że sprawa załatwiona, lecz to tylko kwestia czasu, zanim się dowiedzą, że go zwinęliśmy. Takie pieniądze oznaczają mobilność: odrzutowce, szwajcarskie konta, posiadłości

na wyspach, z którymi nie ma umów o ekstradycję; popatrz na Vesco, cały czas tam siedzi i pokazuje rządowi środkowy palec. Co oznacza, że jeśli nie będziemy działać szybko, ryzykujemy, że największa ryba się nam wymknie.

- Co mam zrobić?

Powiedział mi i zapewnił, że mam się nie czuć naciskany. Rozważyłem wszystkie możliwości, oeniłem ryzyko, pomyślałem o telefonie o trzeciej w nocy i wszystkim tym, co się wydarzyło od

tamtej pory.

- Kiedy chcecie to zrobić?

- Dzisiaj wieczorem.

Wieczorem wyciągnęli Antrima z celi. Wykąpali go, nakarmili i przynieśli kawę. Przebrali z więziennych ciuchów w liberię. Zawieźli do domku w lesie. A kiedy zadzwonił telefon, Antrim odebrał go z zaskakującym opanowaniem, biorąc pod uwagę otaczający go pierścień wielkich, groźnych mężczyzn. Zaskakującym, dopóki człowiek sobie nie uświadomił, że to maszyna do zabijania, w której pokręconej elektryce brakowało obwodu strachu i zwątpienia. Z jednym wyjątkiem: niewytłumaczalnej słabości do grubej, bezwłosej kobiety.

Rollsa poprowadził policjant, wysoki, chudy, wąsaty mężczyzna, którego w ciemności można było wziąć za brata bliźniaka Antrima. Ale dwie przecznice od celu skręcił w zaułek Hancock Park, zatrzymał się i wysiadł. Po chwili szofer wyłonił się zza pnia wielkiego klonu, w eskorcie dwóch policjantów po cywilu. Został rozkuty i rozwiązany. Zaprowadzili go do drzwi samochodu, blokując wszystkie drogi ucieczki. Puścili go i czujnie obserwowali, kiedy wślizgiwał się za kierownicę.

- Jedź ostrożnie - ostrzegł go Milo, leżący na podłodze kabiny pasażerskiej, z lufą trzydziestkiósemki przyciśniętą do oparcia fotela kierowcy. - Jedna wpadka i panna Czacha będzie miała przechlapane.

- Aha - odparł swobodnie szofer. Poprowadził wielki samochód na Wilshire, skręcił szybko w lewo, przejechał wolno trzydzieści metrów i znów skręcił, płynnie wjeżdżając na okrągły podjazd. Srebrny mercedes 380 już tam był.

- W porządku? - spytał Antrim. - Mam wysiąść?

- Tak - powiedział Milo. - Pamiętaj, wszystkie oczy patrzą na ciebie.

Antrim wyłączył silnik, wysiadł i przytrzymał mi drzwi - jak zawsze wierny sługa. Razem poszliśmy do budynku. Tully wydawał się odprężony. Obserwowałem jego dłonie, jego stopy, jego ciemne oczy, biegające jak żuki gnojarki po piaskowcowej skale.

Doszliśmy do schodów. Drzwi się otworzyły, a wąsy Antrima wygięły się w górę w uśmiechu. Poczulem ucisk w gardle: czyżby kobra szykowała się do ataku?

Na najwyższym stopniu stanął mężczyzna, jedną ręką przytrzymujący otwarte drzwi.

Aż do tej chwili, mimo wyjaśnień Mila, wszystko to wydawało mi się niepotrzebnym przedstawieniem. Ale kiedy zobaczyłem Souzę, zrozumiałem, że nie można było tego zrobić inaczej.

- Dobry wieczór, doktorze - powiedział ostrożnie.

Miał na sobie wieczorowy strój, w którym wyglądał jak dobrze odżywiony pingwin: czarny, jedwabny smoking, wykrochmaloną białą koszulę z maleńkimi, złotymi guzikami, śliwkową muszkę i

taki sam hiszpański pas oraz skórzane pantofle lśniące jak płynna smoła.

- Dobry wieczór. - Uśmiechnąłem się.

- Mam nadzieję, że to rzeczywiście tak pilne, jak pan mówił. Państwo Cadmusowie i ja mamy dziś ważne spotkanie towarzyskie.

- Jest tak pilne - zapewniłem, jednym okiem wciąż obserwując Antrima; zastanawiałem się, czy wypowie swoją kwestię, czy będzie w ostatniej chwili improwizował.

Cisza nie mogła trwać dłużej niż sekundę, ale wydawała się wiecznością. Antrim się cofnął. Za mnie - chciałem się odwrócić, zobaczyć jego twarz, ocenić jego zamiary. Ale nie mogłem ryzykować, że Souza czegoś się domyśli. Dlatego patrzyłem tylko na adwokata, szukałem w jego oczach zrozumienia bezgłośnie przekazanej wiadomości. Zobaczyłem tylko brąz. Ale gdzie ta kobra...

- Ekhm, panie Souza.

Zesztywniałem.

- Co takiego, Tully?

- Kończy się benzyna. Mam zatankować?

Brawo.

- Zatankuj - polecił Souza. - Wróc za pół godziny, żeby nas zawieźć do Biltmore'a.

Antrim dotknął daszka czapki, zawrócił na pięcie i poszedł do rollsa. Souza palcami pchnął drzwi.

- Proszę - powiedział ze zniecierpliwieniem.

Wnętrze gmachu kancelarii było ciemne i zimne; marmurowe posadzki nagłaśniały każde stuknięcie podeszew lśniących butów Souzy. Adwokat przeszedł pod krętymi schodami na tył domu, poruszając się bardzo zwawo jak na kogoś w tym wieku i tej budowy. Poszedłem za nim, obok biblioteki i sali z kopiarkami, i czekałem, kiedy otwierał podwójne, rzeźbione drzwi.

Wyłożone boazerią ściany jadalni w miękkim świetle wyglądały jak żywe ciało, a każdy sęk jak spiralne, czarne oko. W kamiennym kominku

płonął trzaskający, mandarynkowy ogień, który - sądząc po wyglądzie polan - palił się już od jakiegoś czasu. Przenośny barek z chińskiego palisandru stał przy owalnym wiktoriańskim stole, zastawionym karafkami z rżniętego kryształu i szklankami na srebrnych podstawkach. Lodowe fasety podchwytywały blask płomieni i mrugały nim jak pryzmaty. Stół lśnił niczym laguna o zmierzchu. Jedwabny dywan mienił się tęczowo jak mech. Elegancja i klasa. Martwa cisza.

Cadmusowie siedzieli obok siebie, po jednej stronie stołu. Souza usiadł na swoim miejscu u

szczytu i wskazał mi krzesło naprzeciw nich.

- Dobry wieczór - przywitałem się.

Podnieśli głowy na tyle, by wymamrotać lodowate powitanie, a potem znów zaczęli udawać, że fascynują ich własne drinki. W sali pachniało słodko palonym cedrem; czuć było echa przyciszonej rozmowy. Souza zaproponował mi drinka, ale odmówiłem. Kiedy nalewał sobie burbona, spojrzałem na drugą stronę stołu.

Dwight wyglądał kiepsko, wykańczał go stres. Przez te dwa tygodnie, odkąd go widziałem, wyraźnie schudł. Smoking wisiał na nim luźno, a jego ramiona przyginał jakiś niewidzialny ciężar. Zdjął okulary i położył je na stole; skórę pod oczami miał workowatą, matową, z cieniami wyczerpania. Obok okularów stała pusta szklanka. Wilgoć na jej ściankach wskazywała, że niedługo była pusta. Karafka była w zasięgu ręki Dwighta. Między nią a szklanką ciągnęła się linia mokrych pęcherzyków - kropelek rozlanego alkoholu.

Heather wciąż wyglądała dziewczęco. Włosy upięła wysoko, odsłaniając długą, porcelanową szyję, otoczoną diamentowym naszyjnikiem. Uszy miała małe, cienkie, elfie. W każdym z nich tkwił karat błękitnobiałego brylantu. Była ubrana w granatową, szyfonową suknię; jej ramiona wyglądały jak białe pnącza, osłonięte przezroczystymi rękawami. Między naszyjnikiem a dekoltem jaśniał biały trójkąt ciała, odrobinę piegowaty w okolicach sugestii rowka między piersiami. Smugi różu na policzkach nadawały jej rysom godnym damy wrażenie lekkiego rozgorączkowania. Nad obrączką nosiła pierścionek z szafirem w kształcie gruszki i w kolorze oczu noworodka. Jej szklanka, wypełniona czymś czerwonym i musującym, wyglądała na nietkniętą.

- Oby to było ważne - powiedział Dwight głosem ochryłym od alkoholu.

- Kochanie - upomniała go Heather swoim głosem małej dziewczynki, dotykając łagodnie jego ramienia.

- Nie - zezłościł się. - Nie dość już przeszliśmy?

Uśmiechnęła się do mnie przepraszająco i cofnęła dłoń. Dwight sięgnął po karafkę i nalał sobie podwójnie. Heather odwróciła wzrok z zażenowaniem, kiedy opróżniał szklankę.

Souza jakby zignorował tę wymianę zdań. Przysunął się bliżej i odchrząknął.

- Doktorze - powiedział - co to za medyczne ustalenia, na których omówienie tak pan nalegał?

- To coś więcej niż ustalenia - odparłem z entuzjazmem. - Myślę, że rozwiązałem wszystkie państwa problemy. Udowodniłem, że Jamey jest niewinny, przynajmniej z prawnego punktu widzenia.

- Naprawdę? - Milimetr uśmiechu, kilometr pogardy.

- Tak. Poprosiłem lekarzy ze szpitala okręgowego, żeby przeprowadzili parę testów laboratoryjnych, które to potwierdzą, ale już teraz jestem przekonany, że zostałem otruty narkotykami z

rodzaju antycholinergików. Zaburzają one transmisję nerwową i wywołują dokładnie takie objawy psychotyczne, jakie wykazywał Jamey. Jeśli mam rację, nie będzie odpowiedzialny za swoje czyny bardziej niż lunatyk. Na pewno będzie pan to mógł wykorzystać, by go wypuszczono.

- Otruty? - spytał Dwight.

Patrzył na mnie z chorobliwą fascynacją, ze zbolaną miną w rodzaju tych, które szanowani obywatele rezerwują dla karnawałowych dziwadeł i komików umierających na scenie. Potem uniósł szklankę do ust i prychnął z niesmakiem.

Żona uciszyła go, przykładając palec do ust.

- Proszę mówić dalej, doktorze - zachęcił mnie Souza. - W jaki sposób doszedł pan do tej intrygującej hipotezy?

- Za dużo rzeczy się nie zgadzało. Morderstwa nie były dziełem psychotyka. A historia leczenia psychiatrycznego Jameya była zdumiewająca, nawet jak na schizofrenika. Jednego dnia miał objawy typowe dla chronicznej psychozy, następnego nietypowe, przeskakiwał gwałtownie z przytomności w delirium. Kiedy do mnie dzwonił, był w stanie rozmawiać, kiedy widziałem się z nim niedługo potem, nie dawało się nawiązać z nim kontaktu, wpadł w stupor. Dziwnie reagował też na torazynę: w górę i w dół, jak na kolejce górskiej. Pojawiły się także przedwczesne reakcje neurologiczne na leki, takie, które z reguły obserwuje się u pacjentów leczonych latami. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wyglądało to na zatrucie; coś, jakaś obca substancja, rozregulowywała pracę jego układu nerwowego. Poruszyłem ten temat w rozmowie z doktorem Mainwaringiem, ale porzuciłem go, bo zapewnił mnie, że przebadał Jameya na

obecność wszystkich popularnych narkotyków. Potem jednak, kiedy opuściłem pana drużynę, panie Souza, nie mogłem przestać myśleć o tym, jak podejrzanie to wszystko wyglądało. Zacząłem się zastanawiać, czy nie istnieje rodzaj narkotyków, których obecności w organizmie Mainwaring nie sprawdzał, coś, o czym lekarz by nie pomyślał, bo jest tak rzadko używane. Próbowałem zadzwonić do niego i porozmawiać o tym, lecz nie mogłem się z nim skontaktować. Zacząłem nawet podejrzewać, że mnie unika, być może na pana prośbę, panie Souza. Dzisiaj zadzwoniłem do Canyon Oaks, a jego sekretarka powiedziała mi, że nie odzywa się od paru dni i że zaczyna się o niego martwić. Kontaktował się może z panem?

- Nie. Może wziął parę dni wolnego. Nagle - zasugerował Souza.

- Nie zrobił na mnie wrażenia człowieka impulsywnego, ale może rzeczywiście. Tak czy inaczej, przeprowadziłem małe dochodzenie na własną rękę. Nie ma potrzeby zagłębiać się teraz w kwestie techniczne, dość powiedzieć, że znalazłem grupę środków chemicznych, które pasują doskonale: alkaloidy antycholinergiczne. Atropina, skopolamina, ekstrakty wilczej jagody. Może państwo o nich słyszeli.

Heather spojrzała na mnie z uwagą, jak studentka podkochująca się w swoim profesorze, i pokręciła głową.

- Coś niecoś - odparł Souza.

- Były powszechnie stosowane w średniowieczu do...

- W średniowieczu - przerwał Dwight. - Co za bzdury. Psychologiczne pieprzenie. Kto miałby go truć, do cholery?

- Proszę wybaczyć mojemu mężowi ten ton - powiedziała Heather - ale jego uwaga jest słuszna. Jak i po co ktoś miałby truć Jameya tymi... antychole...

- Cholinergikami. - Uśmiechnąłem się. - Tego nie wiem. Myślę, że zbadanie tego będzie należało do policji. Tymczasem, jeśli testy laboratoryjne to potwierdzą, będziemy mogli zdjąć Jameya z haka. I pomóc mu wrócić do normalności! Bo jeśli dostawał wilczą jagodę, jest na to antidotum, lek o nazwie antilirium, który odwraca skutki jej działania!

- To by było coś - stwierdził Souza. - Te badania. Kto je przeprowadza?

- Neurolog, który opiekuje się Jameyem. Simon Platt.

- Zadzwoń pan do niego tak po prostu i kazał mu przeprowadzić te badania?

Wzruszyłem ramionami i wyszczerzyłem się w swoim najsympatyczniejszym chłopięcym uśmiechu.

- Powiedziałem mu, że mam pana pozwolenie. Wiem, że to trochę nie w porządku, ale zważywszy na powagę sprawy, zagrożenie zdrowia psychicznego i życia Jameya, nie sądziłem, by miał mi to pan za złe. Proszę

też nie być zbyt surowym dla Platta za to, że nie potwierdził tego u pana. Znamy się; obaj jesteśmy wykładowcami w akademii medycznej. Dlatego uwierzył mi na słowo.

Souza skrzyżował ramiona na beczkowatej piersi, spojrzał na mnie chłodno, pozwolił sobie na dobroduszny uśmiech.

- Podziwiam pana zaradność i poświęcenie - powiedział - ale brak poważania dla zasad...

- Czasami - uśmiechnąłem się - zasady trzeba trochę nagiąć, żeby dojść prawdy. - Spojrzałem na zegarek. - Wyniki powinny już być. Mam numer pagera Platta, jeśli chce pan do niego zadzwonić.

- Tak. - Adwokat wstał. - Chciałbym.

- Och, daj spokój, Horace - odezwał się Cadmus. - Nie bierzesz tego chyba poważnie.

- Dwight - odparł surowo Souza - doktor Delaware może mieć słuszność lub nie. I chociaż przekroczył granice zawodowe, jest jasne, że zrobił to, bo troszczy się o Jameya. Możemy przynajmniej sprawdzić jego teorię. Dla dobra chłopca. - Uśmiechnął się do mnie. - Poproszę numer.

Wyjąłem kartkę i podałem mu. Wyrwał mi ją z ręki i podszedł do drzwi. Otworzył je i stanął twarzą w twarz z Milem i Richardem Cashem. Oraz morzem niebieskich mundurów za nimi.

Arogancja potrafi dodawać otuchy - przekonanie, że jest się pąkiem mądrości wykwitającym na stercie łąjna głupoty, bywa emocjonalną izolacją. Ale to ryzykowne urojenie prowadzi do nieprzygotowania, nagłej utraty równowagi, kiedy rzeczywistość wali się człowiekowi z trzaskiem na głowę i inteligencja przestaje wystarczać.

Taki właśnie zawrót głowy sprawił, że Souza zachwiał się na widok policji, a jego prawnicza pewność siebie pokruszyła się jak stary ser. Szybko jednak doszedł do siebie i już po chwili jego rysy zastygły w pełną godności maskę, zimną i nieruchomą jak twarze marmurowych popiersi stojących w kątach jadalni.

- O co tu chodzi, sierżancie? - spytał Mila.

- O niedokończone sprawy - odparł detektyw.

Niósł dużą teczkę; kiedy wszedł do środka, sięgnął do regulatora oświetlenia i przekręcił go. Napięcie prądu wzrosło i cichy, intymny świat pokoju przekształcił się w cztery ściany pełne kosztownego banału; każda rysa, skaza i wyblakła plama wyznawały swoje istnienie w bezlitosnym strumieniu światła.

Cash wszedł i zamknął drzwi, zostawiając mundurowych na zewnątrz. Zdjął ciemne okulary, złożył je, poprawił krawat i z aprobatą się rozejrzał. Jego spojrzenie padło na sztych nad kominkiem.

- Currier i Ives - powiedział. - Ładny.

Milo stanął za Souzą, a detektyw z Beverly Hills - za Cadmusami; kiedy do nich się zbliżał, jego palce pieściły wypolerowane kontury marmuru, porcelany, drewna i złocień, zanim spoczęły na kieszeni jego marynarki.

Cadmusowie zareagowali na to najście w typowy dla siebie sposób. Dwight poczerwieniał ze zdziwienia i irytacji, Heather wyprostowała się i znieruchomiała, na zewnątrz opanowana jak królowa balu maturalnego. Widziałem, że zaryzykowała szybkie spojrzenie w stronę Souzy, potem jednak natychmiast odwróciła się do dygoczącego profilu męża. Kiedy zobaczyła, jak zaciska zęby, jej zwiewna dłoń wzleciała i opadła na jego rękaw. Nie zauważył tego.

- Horace, co tu się dzieje? - zapytał.

Souza uciszył go uniesieniem brwi, popatrzył na Mila i wskazał karafki.

- Zaproponowałbym panom po drinku, ale wiem, że to wbrew przepisom.

- Jeśli ma pan zwykłą wodę gazowaną poproszę - powiedział Milo. - A ty, Dick?

- Woda może być - odparł Cash. - Z lodem i twistem.

- Tak, oczywiście. - Souza uśmiechnął się, maskując irytację, i napełnił szklanki.

Detektywi wzięli je i usiedli. Milo klapnął na krzesło między Souzą i mną stawiając teczkę na podłodze przy moich nogach. Cash usadowił się obok Heather. Głodnym wzrokiem obejrzał jej biżuterię, potem przeniósł spojrzenie na wypukłości jej piersi. Udawała, że tego nie widzi, ale kiedy dalej się gapił, odruchowo, nieznacznie się poruszyła. Dwight zauważył to i zerknął w ich stronę. Cash wyzywająco popatrzył mu w oczy, a potem ukrył uśmiezek w szklance wody. Dwight odwrócił się z wściekłością spojrzawszy na zegarek, potem na mnie.

- To pan ich tu ściągnął, prawda, Delaware? Zagrał pan bohatera, nie informując nas, z powodu jakiejś nedorobionej teoryjki. - Nałożył okulary. - Horace - szczechnął na Souzę - jutro z samego rana masz pozwać za złamanie zasad etyki zawodowej tego...

- Dwight - przerwał mu cicho Souza - nie wszystko naraz.

- Dobrze. Chcę tylko, żebyś wiedział, co o tym myślę. - Cadmus popatrzył z wyższością na Mila. - Niedługo musimy iść. W Biltmore odbywa się duży bal charytatywny, a ja mam przemawiać.

- Z dzisiejszym wieczorem może się pan pożegnać - powiedział Milo.

Dwight spojrzawszy na niego z niedowierzaniem.

- Zaraz, chwileczkę...

- Właściwie - przerwał mu Cash - może się pan od razu pożegnać z paroma następnymi.

Dwight wbił paznokcie w nakrycie stołu. Zaczął wstawać.

- Proszę siedzieć - rzucił Cash.

- Kochanie. - Heather pociągnęła męża lekko za rękaw. - Proszę cię.

Dwight opadł na krzesło. Lodowate kontury, które gniew wyrzył na jego twarzy, zaczęły się roztopiać, zmiękczone falą strachu.

- Horace, o czym oni mówią, do cholery? - zapytał.

Souza próbował uspokoić go ojcowskim uśmiechem.

- Sierzancie - zwrócił się do Mila - reprezentuję interesy prawne państwa Cadmusów. Jeśli istnieje konieczność przedyskutowania jakiejś sprawy, może pan ją omówić ze mną i pozwolić im na wywiązanie się z towarzyskich zobowiązań.

Milo nie tknął swojej wody. Podniósł szklaneczkę, obejrzał ją pod światło, jakby szukając skaz, i

odstawił.

- Przykro mi - powiedział. - To by było niezgodne z regulaminem.

- Obawiam się, że nie rozumiem - odparł chłodno prawnik.

Zamiast odpowiedzieć, Milo wstał, otworzył drzwi i odsunął się, wpuszczając młodego funkcjonariusza w mundurze, który wtoczył do sali telewizor na stoliku. Na telewizorze stał odtwarzacz Betamax. Sprzęt był podłączony do akumulatora.

- Postaw tam. - Milo wskazał drugi koniec stołu.

Policjant usłuchał, działając szybko i sprawnie, po czym podał Milowi pilota i spytał, czy ma zrobić coś jeszcze.

- Na razie nic, Frank. Nie odchodź daleko.

- Tak jest.

Dwight przyglądał się instalowaniu sprzętu, nic z tego nie rozumiejąc. Nalał sobie szkockiej do szklanki i opróżnił ją. Jego żona patrzyła, jak pije; po jej twarzy przemknął cień nienawiści. Szybko go ukryła, wyjęła z wieczorowej torebki białą, jedwabną chustkę i przycisnęła ją do ust, zakrywając całą dolną część twarzy. Szare oczy były nieruchome, a przy tym szeroko otwarte z zainteresowania. Jego obiektem nie był jednak jej mąż, bo kiedy się znów odezwał, nie spojrzała na niego.

- To zwykłe chamstwo - powiedział, starając się, by zabrzmiało to kategorycznie. Ale jego głos zrobił się piskliwy, zmieniony strachem.

Milo wcisnął guzik i ekran telewizora się rozświecił. Po drugim naciśnięciu ruszyła taśma. Na ekranie pojawiły się ciągi liczb - policyjne kody akt - a potem ujęcie małego, żółtego pokoiku, pustego, nie licząc metalowego stołu i krzesła.

Na stole była popielniczka, a obok niej stosik zdjęć z polaroidu. Na krześle siedział Tully Antrim, ubrany w niebieski kombinezon, z rozbieganymi oczami i dymiącym papierosem między palcami jednej ręki. Druga leżała płasko na stole, koścista, pokancerowana, o tępo zakończonych palcach i brudnych paznokciach. Przy górnym prawym brzegu ujęcia majaczyła ciemna, kosmata plama o kształtach zbliżonych do ludzkich: tył czyjejś głowy.

Antrim podniósł papierosa do ust i się zaciągnął. Wydmuchnął dym nosem i spojrzał w sufit. Wyjął coś z kącika oka. Odkaszlnął i się przeciągnął.

- Dobra, Tully - powiedziała plama głosem Mila. - Opowiedz mi to jeszcze raz. Kto był pierwszy?

Antrim wziął ze stołu zdjęcie i zgiął je.

- Ten.

- Właśnie zidentyfikowałeś Darrela Gonzalesa.

- Może.

- Nie wiedziałeś, jak się nazywał?

- Nie.

- Znałeś go pod innym imieniem?

- Nie.

- Mały D? Dzwoneczek?

Antrim znów się zaciągnął i pokręcił głową.

- Nigdy nic takiego nie słyszałem.

- Gdzie go spotkałeś?

- W Mieście Chłopców.

- Gdzie w Mieście Chłopców?

Antrim obnażył zęby, rozbawiony.

- Chyba niedaleko Larabee. Przy Santa Monica. Tak powiedziałem za pierwszym razem?

- Opowiedz mi, jak go zabraliście.

Antrim ziewnął.

- Jeszcze raz?

- Jeszcze raz.

- Dobra. Jeździliśmy po Mieście Chłopców i szukaliśmy kogoś, kogo można by wykończyć. Kogoś zapuszczonego i oziępiałego, żeby nie było

żadnych problemów z załadowaniem go do vana. Znaleźliśmy tego, uzgodniliśmy cenę i wsiadł.

- A potem?

- Potem trochę pojeździliśmy, nafaszerowaliśmy go depresantami, pobawiliśmy się z nim i wykończyliśmy go w samochodzie.

- Ty i Czacha?

W oczach Antrima pojawiło się coś dzikiego. Wyjął papierosa z ust, rozgniół go na stole i nachylił się do przodu, z dłońmi zwiniętymi w pięści i wysuniętą bojowo szczęką.

- Mówiłem już - wycedził przez zęby - ja to wszystko zrobiłem. Ona tylko prowadziła brykę. Jasne?

- Aha - powiedział Milo i przyjrzał się swoim paznokciom. Z następnym pytaniem zaczekał, aż Antrim się uspokoił.

- Jak go zabiłeś?

Tully pokiwał głową, zadowolony z tego pytania.

- Najpierw trochę go pochlastałem - odparł beztrąsko.

- Potem udusiłem go jedwabiem. Później pochlastałem jeszcze trochę; takie były rozkazy, załatwić go tak, żeby to wyglądało na robotę psychologa. I go wyrzuciłem.

- Gdzie?

- W jakimś zaułku przy Santa Monica. Chyba niedaleko Citrus.

- Dlaczego tam?

- Takie były rozkazy: między tą ulicą a tamtą.

- Między którymi ulicami?

- La Brea i Highland.

- To była strefa porzucania zwłok?

- Aha.

- Tak samo było ze wszystkimi morderstwami?

- Aha. Tyle że przy każdym zmieniały się ulice.

Milo wyjął mapę, rozłożył ją przed Antrimem i pokazał.

- Te kropki to miejsca, w których znaleźliśmy zwłoki, Tully. Numery oznaczają kolejność twoich morderstw, jedyńka to pierwsze, dwójka drugie i tak dalej. Porzucaliś je od wschodu na zachód.

Antrim pokiwał głową.

- Dlaczego?

- Takie były rozkazy.

- Domyślasz się dlaczego?

Pokręcił głową.

- Nie pytałem - odparł, przypalając następnego papierosa.

- Nie zastanawiałeś się nigdy?

- Nie.

Milo schował mapę.

- A krew?

- Co z nią?

- Krew w samochodzie. Jak sobie z tym radziliście?

- Mieliśmy brezentowe płachty. Co się nie spręło, później paliliśmy. Metalowe części spłukiwaliśmy węzłem. Żaden problem.

- Kto był drugi?

Antrim przyjrzał się zdjęciom, wybrał dwa.

- Któryś z tych, wyglądają tak samo.

- Przyjrzyj się uważnie. Może sobie przypomnisz.

Antrim nachylił się, przygryzł wąż i wysunął język w skupieniu. Grzywa opadła mu na czoło.

- Ten. Ten większy - powiedział, upuszczając jedno zdjęcie na stół i machając drugim.

Milo obejrzał fotkę.

- Właśnie zidentyfikowałeś Andrew Terrence'a Boyle'a.

- Skoro tak mówisz, wodzu.

- Jego też nie znałeś z nazwiska?

- Nie. Żadnego nie znałem, oprócz czarnucha.

- Rayforda Bunkera.

- Nie z tego nazwiska. Błyskotka.

- Skąd to wiesz?

Antrim się uśmiechnął.

- To był taki przemądrzały typek. Cały czas się przechwalał, trzepotał rzęsami i śpiewał: „Jestem Błyskotka, nie jestem jakaś cnotka, zapłać mi kasę, to wyczyszczę ci kotka”. I takie tam pierdoły. - Antrim skrzywił się z dezaprobatą i zaciągnął papierosem. - Namolny, mały czarny pedał. Pochlastałem go trochę bardziej niż innych, zanim go udusiłem. Żeby mu dać nauczkę, rozumiesz?

Rozległo się skrobanie i szuranie przesuwanej ręki. Milo skończył pisać i zapytał:

- Kto był numerem trzy?

Antrim przerzucił stos zdjęć.

- Ten. Pamiętam piegi. Wyglądał jak dzieciak.

- Rolf Piper. Miał szesnaście lat.

Antrim wzruszył ramionami.

- Co za różnica.

Ciągnęło się to jakiś czas. Milo pytał, Tully swobodnie opowiadał o metodach swoich morderstw. Potem przesłuchanie zaczęło zagłębiać się bardziej w szczegóły: dni, godziny, broń, ubrania ofiar.

- Czy któryś z nich stawiał opór, Tully?

- Nie.

- Żaden w ogóle się nie opierał?

- Za bardzo byli nawaleni.

- Czym?

- Depresantami, haszem, winem. Różnie.

- Który z nich pił wino?

- Nie pamiętam.

- Pomyśl.

Minęła chwila. Antrim wytarł nos rękawem.

- Przypomniałeś sobie coś?

- Nie.

- Co robiliście potem, Tully?

- Potem?

- Kiedy ich porzuciliście.

- Sprzątaliśmy. Mówiłem.

- Gdzie?

- W domku.

- Którym?

- Byliście tam.

- Powiedz mimo to.

- W Tujungu. Za La Tuna.

- Kto jest właścicielem domku?

- Souza.

Adwokat poruszył się, słysząc swoje nazwisko, ale pozostał spokojny, splótł tylko dłonie przed sobą. Dwight odwrócił się i popatrzył na niego obłąkańczym wzrokiem, ale Souza go zignorował.

- Horace Souza? Ten adwokat? - sprecyzował Milo.

- Zgadza się.

- Czy Horace Souza go wam wynajmował?

- Nie. Mieszkaliśmy tam za darmo.

- Dlaczego?

- Taka była umowa. Pamiętasz? - Antrim oblizał usta i rozejrzał się po pokoju. Nudził się.

- Chce ci się pić, Tully?

- Zaszło mi w ustach. Od tego gadania.

- Chcesz kubek wody?

- Macie tu zupę?

- Zdaje się, że w którymś automacie jest zupa.

- Jaka?

- Chyba rosół. Chcesz?

Antrim się zastanowił.

- Nie ma jarzynowej? - spytał.

- Mogę sprawdzić. A jeśli jest tylko rosół?

Tully się zastanowił.

- Wtedy poproszę zwykłą szklanę wody.

Milo zniknął przed kamerą. Antrim poradził sobie z samotnością, zamykając oczy i podrzemując na krześle. Kilka minut później Milo wrócił i podał mu plastikowy kubek.

- Nie było zupy, Tully. Masz tu wodę.

- Spoko - powiedział Antrim i napił się hałaśliwie. Postawił pusty kubek i westchnął, zadowolony.

- Chcesz jeszcze? - spytał Milo.

- Nie.

- Dobra, wracajmy do tematu. Mówiłeś, że po tym, jak porzucaliście ciała, razem z Czachą sprzątaлиście. Jak?

- Myliłmy samochód, paliliśmy wszystko, co trzeba było spalić.

- Gdzie to paliliście?

- W starej jamie niedaleko domku. Tej, którą wam pokazywałem.

- A po sprzątaniu? Co potem robiliście? Antrim zrobił zmieszana minę.

- Czegoś nie rozumiesz, Tully?

- Nie. Trudno mi sobie przypomnieć.

- Dlaczego?

- Nie robiliśmy potem nic konkretnego. Czasami coś jedliśmy, czasami się bawiliśmy. To zależy, rozumiesz?

- Jedliście i bawiliście się po tym, jak ich porzuciliście.

- Aha. Raz, po czarnuchu, pojechaliśmy do śródmieścia obejrzeć film.

- Gdzie było kino?
- Niedaleko Spring. Chyba przy Piątej.
- Wzięliście furgonetkę?
- Nie. Hoga.
- Twojego harleya?
- Tak.
- Jaki film oglądaliście?
- Jakieś porno, *Świntuchy*, *Świntuszenie*. Coś w tym rodzaju.
- No dobrze. Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze o tych morderstwach? - spytał Milo.

Antrim się zamyślił.

- Tylko tyle, że to nie było nic osobistego.
- To znaczy?
- Nie znaleźliśmy tych pedałów. Wykonywaliśmy tylko swoją robotę, to wszystko.
- Wykonywaliście rozkazy?
- Aha.

Ekran zrobił się ciemny i pojawił się kolejny ciąg cyfr. Kiedy znów pokazał się pokój, z boku stali w nim Cash i Whitehead i robili notatki.

- Jest czwartek, dziesiąty grudnia 1987. To czwarte z kolei przesłuchanie podejrzanego Williama Tulla Bonneya, znanego też jako William Antrim, dotyczące jego udziału w serii zabójstw, których szczegóły zostały zarejestrowane na poprzedniej taśmie. Obecne przesłuchanie jest przeprowadzane w Parker Center. Pan Bonney został poinformowany o swoich prawach i potwierdził, że je rozumie. Kilkakrotnie zaproponowano mu pomoc adwokacką, za każdym razem odmawiał. Został przebadany psychiatrycznie i uznany za umysłowo zdolnego uczestniczyć w podejmowaniu decyzji dotyczących jego obrony. Wyraził pisemną zgodę na te przesłuchania oraz na ich zapis audio i wideo. Jakieś uwagi, panie Bonney?

- Wszystko powiedziałeś, wodzu.
- Wciąż nie chce pan prawnika?
- Nie ma mowy. W końcu to prawnik mnie w to wpakował.

- Panie Antrim, jeśli zmieni pan zdanie, proszę nas natychmiast poinformować, a zapewnimy panu adwokata.

- Nie zmienię. Miejmy to za sobą.

Milo ciągnął więc dalej:

- Obecni przy przesłuchaniu: zastępca szeryfa Okręgu Los Angeles Calvin W. Whitehead oraz detektyw sierżant Richard A. Cash z Departamentu Policji Los Angeles.

Usłyszawszy swoje nazwisko, Cash, salutując, dotknął palcem wskazującym czoła.

- Ja nazywam się Milo B. Sturgis. Jestem detektywem sierżantem. Pracuję w Departamencie Policji Los Angeles, oddział West Los Angeles.

Antrim wydawał się bardziej ożywiony niż na poprzedniej taśmie. Wiercił się na krześle. Zapalił papierosa, przeczesał palcami włosy i się uśmiechnął. Robił miny do kamery.

- Dobra, Tully - kontynuował Milo - podczas poprzednich przesłuchań opowiedziałeś nam, jak i kiedy zabiłeś Darrela Gonzalesa, Matthew Alana Higbiego, Rolfa Pipera, Johna Henry'ego Spinolę, Andrew Terrance'a Boyle'a i Rayforda Antoine'a Bunkera.

- Zgadza się.

- Teraz porozmawiajmy o dwóch innych morderstwach. Richarda Emmeta Forda i Ivara Digby'ego Chancellora.

- Jasne. Co chcecie wiedzieć?

- Wszystko - warknął Whitehead.

Antrim popatrzył na niego, potem na Mila, jakby chciał spytać: „A temu co jest?” Wyjął z paczki papierosa i wetknął go sobie do ust.

Milo podał mu ogień.

- Może zacznij od początku.

- Początków było kilka.

- Na przykład?

- Początek roboty był wtedy, kiedy zabraliśmy chłopaka ze szpitala, początek chlastania...

- O jakim chłopaku mówisz?

- O młodym Cadmusie. Tym, co był zamknięty.

- Jamesie Cadmusie.

- Tak.

- Zaczniemy od niego.

- Dobra. Pojechałem do szpitala...

- Kiedy? - spytał Whitehead.

- Nie wiem, kiedy to było... jakieś cztery, pięć tygodni temu?

361

- Jaki był dzień tygodnia? - drążył Cash.

- Czwartek.

- Skąd wiesz? - dociekał Whitehead.

- Wszystkich załatwialiśmy w czwartki.

- Dlaczego?

- Taki był rozkaz. Jechać na miasto w czwartek i wykończyć pedała.

- Nie pytałeś dlaczego? - Whitehead był sceptyczny.

Antrim pokręcił głową.

- Dlaczego nie? - naciskał śledczy.

Antrim zmrużył oczy i się wyszczerzył.

- Wykonywałem tylko swoją robotę, wodzu.

Whitehead skrzywił się, jakby właśnie napił się skwaśniałego mleka. Skrzyżował ręce na piersi, popatrzył z góry na Antrima i prychnął z pogardą.

- Co jest? - spytał Tully, chyba urażony. - Daję wam, czego chcecie, a ten ciągle się czegoś czepia.

Whitehead nachylił się nad nim.

- Jesteś gównem, Tully. Może i muszę się dookoła ciebie kręcić, ale nie musi mi się podobać zapach.

Antrim wysunął dolną szczękę. Zwinął jedną rękę w pięść. Przykrył ją drugą, jakby powstrzymywał rozwścieczone zwierzę. Jego twarz stężała, oczy zabłysły jadownicę.

- Dawaj - zachęcił go Whitehead, kiwając głową. – Zrób mi tę przysługę.

Cash i Milo wytrzeszczyli na niego oczy.

- Gnida - sapnął Whitehead.

Antrim splunął na podłogę i odwrócił się plecami do wszystkich detektywów.

- Zabierzcie mnie - warknął.

Nikt nie zareagował.

- Daj spokój, Tully - powiedział po chwili Milo.

- Kurwa, zabierzcie mnie stąd, człowieku. Nie chcę już nic mówić.

- Uraziłem cię czymś? - zadrwił Whitehead.

Ekran na chwilę zgasł. Kiedy znów pojawił się obraz, Milo był sam na sam z Antrimem, który siedział zgarbiony przy stole i jadł coś łyżką z miski. Skończył siorbać, otarł usta i odłożył łyżkę. Popielniczka nie mieściła już niedopałków. Obok stała puszka pepsi.

Milo powtórzył swoją relację, po czym kazał Antrimowi potwierdzić jego odmowę skorzystania z usług adwokata.

- Gotowy, Tully?

- Aha. Tylko niech ten głupi chuj tu nie wchodzi. Jak tylko wejdzie, przestaję mówić.

- Dobra, Tully. Tylko ty i ja, w porządku?

- Ktoś kiedyś ustawi głupiego chuja do pionu.

- Jeszcze zupy? - spytał Milo.

- Nie, dzięki. Wal.

- Rozmawialiśmy o morderstwie Richarda Emmeta Forda i Ivara Digby'ego Chancellora. Opowiadałeś, jak pojechałeś do szpitala, żeby wydostać stamtąd Jamesa Cadmusa. Który to był szpital?

- To wariatkowo, w którym go trzymali. W Agoura.

- Pamiętasz, jak się nazywał?

- Canyon Oaks.

- Mów dalej.

- Pojechałem tam około drugiej.

- W nocy czy w dzień?

- W nocy. Spóźniłem się, autostrada była zakorkowana, jakiś wypadek. Mam w samochodzie skaner częstotliwości, więc usłyszałem o tym, zjechałem w Canoga Park i poparułem przez miasto. Chwilę trwało, zanim znalazłem bezpieczne miejsce do zaparkowania, ale udało mi się. Potem czekałem. Plan był taki, żeby Czacha dała chłopakowi coś, co wyłączyłoby mu głowę, ale pozwoliło chodzić. W ten sposób mogłaby go wyprowadzić prosto do samochodu. Kiedy weszła do niego do pokoju, wyglądał, jakby spał, więc rozpięła mu pasy, zanim dała zastrzyk. Ale jak tylko go ukłuła, zaczął szaleć i wyrwał igłę. Uderzył ją w głowę i ogłuszył. Tylko na chwilę, lecz kiedy się ocknęła, jego nie było. Poszła go szukać i znalazła w jednej z sal konferencyjnych, rozmawiał przez telefon z jakimś doktorem.

- Którym?

- Delaware.

- Skąd wiesz, że to był doktor Delaware?

- Usłyszała, jak mówił do niego po nazwisku. Wyglądało na to, że próbował wezwać pomoc. Zaszała go od tyłu, złapała za szyję i dała mu zastrzyk. Mocno. Ale w strzykawce musiało być tego czegoś za dużo, albo

jakoś tak, bo wymiękł zupełnie i musiała go stamtąd wyciągać. Zobaczyłem, że idzie, wyskoczyłem i zarzuciłem go sobie na plecy. To był martwy ciężar, chudy, ale ciężki, rozumiesz? Chwilę trwało, zanim zapakowałem go do furgonetki, zakneblowałem i związałem, w końcu jednak mi się udało. Potem stamtąd zwiąłem.

- Ty i Czacha?

- Nie, tylko ja. Ona dołączyła później. Pod domem Chancellora.

- Kiedy to było?

- Kiedy się spotkaliśmy?

- Kiedy wyjechałeś z Canyon Oaks.

- Może około trzeciej trzydzieści.

- A kiedy się spotkaliście?

- Może około czwartej trzydzieści.

- Jak Czasze udało się go wywlec tak, żeby nikt nie zauważył?

- Nikogo tam nie było. Suka kierowniczką została opłacona, żeby było pusto. Dziesięć kawałków, dwa razy po pięć. Wiem, bo sam zawoziłem jej forszę do domu.

- Która to suka?

- Vann. Kawał cipy. Traktowała Czachę jak gówno. - Zamknął na chwilę oczy, uśmiechnął się z rozmarzeniem.

- Mieliliśmy co do niej plany.

- Gdzie pojechałeś, kiedy opuściłeś teren szpitala?

- Z powrotem w stronę L.A.

- W jakieś konkretne miejsce?

- Do Miasta Chłopców.

- Pamiętasz trasę?

- Tak. Autostrada dalej była zatkana, więc pojechałem bocznymi uliczkami do Reseda, wróciłem na trasę i zjechałem w Laurel. Pojechałem do Santa Monica i skręciłem w lewo.

- Na wschód.

- Aha.

- Mów dalej.

- Przejechałem się Santa Monica i zabrałem kurwę, Forda.

- Gdzie go znalazłeś?

- Na rogu przy Western.

- Co z nim zrobiłeś?

- To samo, co z innymi: pokazałem gotówkę, zabrałem go do samochodu, spałem i przydusiłem.

- Na śmierć?

- Nie. Tylko tak, żeby stracił przytomność. Potem go zakneblowałem i związałem, i położyłem obok Cadmusa. - Antrim się zaśmiał.

- Co cię w tym bawi? - spytał Milo.

- Jeździłem kiedyś chłodnią do mięsa, w firmie wędliniarskiej w Vernon. Woziłem świńskie tusze. To było prawie to samo.

- Gdzie pojechałeś po tym, jak związałeś Forda?

- Do domu Chancellora.

- Pamiętasz trasę?

- Santa Monica do Sunset, na zachód w Beverly Hills do hotelu, potem na północ i w górę. Wielki, biały dom za murem.

- Gdzie była Czacha?

- W bocznej uliczce przy Doheny. Zabrałem ją.

- Co zrobiliście, kiedy tam dojechaliście?

- Posiadłość była zamknięta elektryczną bramą. Mieliśmy plan, jak się tam dostać, wszystko było w rozkazach. Był tam domofon. Musiałem nacisnąć dzwonek kilka razy, zanim Chancellor odebrał. Mówił chaotycznie, jakby dopiero się obudził. Spytał: „Kto tam?”, a Czacha odpowiedziała głosem małej dziewczynki...

- Głosem dziewczynki?

- Aha. Szesnastolatki. Udawała, rozumiesz? Ma talent do tych rzeczy - dodał z dumą. - Naśladuje królika Bugsa, Minnie Pearl, Elvisa. Powinieneś usłyszeć.

- Posłucham na pewno. Co powiedziała Chancellorowi?

- Powiedziała, że jest przyjaciółką Jameya, że mieli wypadek i że on jest tu z nią, ciężko ranny. Słysząc to, że Chancellor się zdenerwował, dyszał do domofonu. Obiecał, że zaraz przyjdzie. Wyciągnąłem Cadmusa z furgonetki i położyłem go przed bramą. Czacha cofnęła się jedną przecnicę i zaczęła wolno jeździć, w Beverly Hills w nocy jest zakaz parkowania na ulicach, a my nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi. Ja czekałem z boku, przy bramie. Po kilku minutach usłyszałem, że idzie Chancellor. Brama się otworzyła i wyszedł, w pedalskiej podomce. Kiedy zobaczył

Cadmusa, krzyknął. Skoczyłem na niego, walnąłem i przydusiłem, żeby stracił przytomność, tak samo jak Ford. Potem przyjechała Czacha, a ja załadowałem Cadmusa i Chancellora do furgonetki. Związałem Chancello-ra i wjechałem przez bramę na teren. Zamknąłem ją i zawiozłem obu do domu. Chancellor był ciężki. Antrim przeciągnął się, wyjął papierosa i zapalił zadowolony, jakby nagradzał się za dobrze wykonaną robotę. Chyba nie chciało mu się mówić dalej.

- Co zrobiłeś, kiedy już tam dojechałeś? - spytał Milo.

- Zawlokłem ich do domu. Antrim puścił kółko dymu pod sufit.

- A potem co?

- Dałem prochy Cadmusowi, udusiłem Forda i Chancellora jedwabiem, pochlastałem ich i

powiesiłem Chancellora pod sufitem.

- Dlaczego go powiesiłeś?

- Takie były rozkazy. Związać go liną basenową i podciągnąć w górę. Mało mi jaja nie odpadły, człowieku, taki był ciężki.

- A co z ułożeniem jego dłoni?

- Z czym?

- Z tym, jak ułożyłeś jego dłonie, kiedy go powiesiłeś. To też był rozkaz?

- A, to. Tak, był. Związać go i owinać mu ręce wokół tego, co zostało z jego fiuta.

- Domyślasz się dlaczego?

- Nie - odparł Antrim. - Może to był dla niego jakiś żart.

- Dla kogo?

- Dla Souzy. Chociaż nie widziałem, żeby za często żartował.

Milo wyłączył telewizor i rozejrzał się wokół stołu. Dwight zrobił się biały jak prześcieradło. Heather wciąż kryła twarz za chustką, jak za welonem. Souza siedział nieporuszony niczym rzeźba.

- Jakieś uwagi? - spytał go Milo.

- Żadnych.

- Horace - odezwał się Dwight drżącym głosem. - To, co on powiedział...

- To całkowita bzdura - prychnął Souza. - Tully zawsze był niezrównoważony, podatny na najdziwsze fantazje. Wiedziałem o tym, kiedy go

zatrudniałem, ale było mi go żal i udawało mi się trzymać go krótko. Aż do teraz. Dwight spojrział na Mila.

- Jest wysoce wiarygodny - powiedział spokojnie detektyw. - Zna szczegóły, które może znać tylko sprawca albo obserwator. Dowody rzeczowe potwierdzają jego słowa w stu procentach. Marthe Surtees również niezależnie to potwierdza.

- Dwight, to absurd. Jakaś paranoja, którą wyjaśnimy - uspokajał Souza. - Tymczasem nalegam i radzę ci, jako adwokat i przyjaciel, nie mówić więcej ani słowa.

- W tej sprawie nie może być pana adwokatem - oświadczył Milo. - Jest podejrzany.

- Przyjaciel też z niego nie za dobry - dodał Cash.

Heather opuściła chustkę i pogładziła męża po policzku.

- Kochanie - powiedziała - słuchaj Horace'a.

- „Kochanie” - powtórzył Cash, przedrzeźniając ją. - Dobrze sobie.

- Niech pan tak nie mówi do mojej żony - warknął Dwight.

Cash popatrzył na niego z pogardą, odwrócił się do Milo i uśmiechnął.

- Ach, ci bogacze - westchnął. - Wsadź ich w gówno po szyję, a im się wydaje, że to błotna kąpiel dla urody.

- Horace, co tu się dzieje, do cholery? - spytał Dwight.

- Ja panu powiem, co tu się dzieje - odparł Milo. Wstał, wziął teczkę i przeszedł na drugi koniec stołu.

- Z pozoru to bardzo skomplikowane - zaczął - ale kiedy się temu przyjrzeć, mamy tu po prostu jeszcze jedną brudną rodzinną kłótnię. Jak z opery mydlanej. Doktor Delaware mógłby prawdopodobnie wyjaśnić psychologiczne powody takiego stanu rzeczy, ja jednak będę trzymał się faktów.

Otworzył teczkę, wyjął jakieś papiery i rozłożył je na stole.

- Nie znałem pana ojca - zwrócił się do Dwighta - ale z tego, czego się dowiedziałem, był chyba facetem, który nie lubił niepotrzebnych komplikacji. - Podniósł plik kartek. - Weźmy jego testament, na przykład. Taki majątek, można by pomyśleć, że to będzie trudne. Ale nie, ma dwóch synów: dzieli wszystko przez środek. Prawie. Pięćdziesiąt jeden procent dla pana brata, czterdzieści dziewięć dla pana. - Przerwał. - To musiało być dla pana przykre, co? Zwłaszcza że był pan takim posłusznym dzieckiem, a Peter takim pomyleńcem.

- Ojciec zmieniłby w końcu testament - powiedział odruchowo Dwight. Jakby to była dobrze wyćwiczona kwestia. - Gdyby żył dość długo.

- Cicho - ostrzegł Souza.

Milo się uśmiechnął.

- Może pan sobie to dalej powtarzać, jeśli czuje się pan z tym lepiej.

Twarz Heather była ściągnięta gniewem. Złapała męża za rękaw.

- Nie odpowiadaj mi, kochanie. Nie daj się zwieść.

- Już został zwiedziony - oświadczył Milo - i to nie przeze mnie.

Puściła rękaw i nie odpowiedziała. Jej milczenie sprawiło, że Dwight odwrócił się do niej.

- Muszę wiedzieć, co tu się dzieje - wydusił.

Heather nie spojrzała mu w oczy. Przed nią leżała wieczorowa torebka; wbiła w nią palce i zaczęła wściekle ugniatać fałdy z cekinami.

- Tak czy inaczej - zwrócił się Milo do Dwighta - nie ma sensu spekulować, co mogło się zdarzyć. Pana ojciec nie żył dość długo, by cokolwiek zmieniać, a Peterowi przypadła lwia część. Co mogło się zakończyć prawdziwą katastrofą, nawet pomimo pana ciężkiej pracy i pomocy wiernego przyjaciela Horace'a, tu obecnego. Bo w którymś momencie, gdyby zechciał, Peter mógł przejąć firmę, sprzedać ją komuś z zewnątrz, doprowadzić do ruiny, cokolwiek. Na szczęście dla pana był na tyle uprzejmy, że przedwcześnie umarł.

Dwight wycelował w Mila palcem.

- Jeśli sugeruje pan, że śmierć brata była dla mnie uśmiechem losu, jest pan cholernym...

- Spokojnie - przerwał mu detektyw. - Ja niczego nie sugeruję, tylko pan wie, co pan wtedy czuł. Trzymajmy się dowodów.

Odłożył papiery, które trzymał w ręku, i wziął inne.

- Na przykład testamentu Petera. Równie prostego, jak ten ojca: wszystko przechodzi na jedyne spadkobiercę Petera, Jamesa. Jest tu jednak coś dziwnego. Pozostałe rodzinne dokumenty Cadmusów, jakie znalazłem, były sporządzone w kancelarii Souza i Wspólnicy. Ale tym zajął się prawnik z San Francisco, Seymour Chereskin.

- Jeden z kumpli Petera, hipis - sarknął Dwight. - Długie włosy i broda, ubrany w skóry i koraliki.

- Teraz jest profesorem prawa - odparł Milo. - Na uniwersytecie Berkeley. I dobrze pamięta, jak spisywał ten testament. Zwłaszcza naciski ze strony Souzy, by tego nie robił. Posuwające się aż do propozycji pięciu tysięcy dolarów na zachętę.

Dwight spojrzał na Souzę.

- Było logiczne, żeby zajęła się tym nasza firma - powiedział adwokat. - Udziały Petera były powiązane z korporacyjnymi i twoimi, Dwight.

Chciałem zachować spójność. Żeby uniknąć katastrofy. Chereskin wyglądał jak Charles Manson. Kto mógł wiedzieć, co zrobi?

- Skończył Harvard - zauważył Milo.

- W tamtych latach to niewiele znaczyło, sierzancie. Bałem się, że wykona jakąś hipisowską sztuczkę.

- On twierdzi inaczej. Mówi, że nie krył się z tym, co chciał zrobić, że to panu przedstawił. Nawet

wysłał panu kopię. Ale pan dalej naciskał. Przyleciał pan do niego osobiście, żeby go przekonać. Chereskin miał nieodparte wrażenie, że bardzo zależy panu na kontroli.

- To niedorzeczne. Petera w przeszłości wykorzystywały podejrzane typy, chciałem po prostu chronić go przed nim samym.

- To bardzo szlachetne z pana strony. - Milo jeszcze raz przejrzał dokument. - Mój radca prawny powiedział, że Chereskin bardzo dobrze się spisał, załatwił sprawę prosto i sensownie.

- Wykazał się kompetencjami - stwierdził Souza.

- Prosto - powtórzył Milo. - Spadek został przekształcony w fundusz powierniczy dla Jameya, z jego wujem jako opiekunem. Wpłaty miały się zacząć w chwili, gdy chłopak skończy osiemnaście lat, i trwać do trzydziestu pięciu. Potem miało nastąpić pełne przeniesienie własności. Standardowe klauzule złego stanu zdrowia i rozrzutności. Chereskin rekomendował nawet pana jako powiernika z powodu pana wtajemniczenia w sprawy korporacji. Dlatego myślę, że pana obawy były bezpodstawne. Chyba że, oczywiście, chodziło panu o coś innego.

- Na przykład?

- Niech pan mi to powie.

- Sierzancie - zaatakował Souza - wpadliście tutaj i zepsuliście nam wieczór, zapowiadając ujawnienie twardych faktów. Ale jak dotąd słyszeliśmy tylko nużące powtórki i nieuprzejme sugestie.

- Ojej - powiedział Milo. - Bardzo przepraszam.

- Obaj przepraszamy - dodał Cash.

Souza opadł na oparcie krzesła, stoczył małą walkę, by przybrać niewymuszoną pozycję, i wygrał. Rozsiadł się wygodnie, a światło rzucało lśniące, białe tygrysie pręgi na różową powierzchnię jego głowy.

- Idźmy dalej. Po śmierci Petera jego testament został poświadczony, i małe dziecko zostało właścicielem pakietu większościowego Cadmus Construction. Jak pan się z tym czuł, panie Cadmus? - spytał Milo.

- Cholernie dobrze! - odparł Dwight nadętym tonem. - To rodzinna firma. Powinna wspierać rodzinę.

- Rozumiem. Ale czy nie drażniło pana, że chociaż włożył pan w nią tyle pracy, znów był pan na drugim miejscu? Że któregoś dnia Jamey będzie mógł przyjść i wszystko panu zabrać?

Dwight wzruszył ramionami.

- Myślałem o tym, kiedy był mały, uznałem, że przejdziemy ten most, kiedy do niego dotrzemy

- To miło z jego strony, że zwariował i przeszedł go za pana.

- O czym pan mówi?

- O klauzuli złego stanu zdrowia. Na wypadek ułomności umysłowej kontrola nad pakietem wraca do opiekuna: do pana. Miesiąc temu kazał pan Souzie ją zastosować. Dał pan sobie stuprocentową kontrolę nad rodzinną fortuną- stwierdził Milo.

- Niczego takiego nie zrobiłem!

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien.

Milo zajrzał do teczki i wyjął kolejny dokument.

- Proszę. Niech pan na to zerknie.

Podał kartkę Dwightowi, który przeczytał ją z rozdziawionymi ustami.

- Nigdy tego nie widziałem - oznajmił.

- Jest tam pana podpis. Poświadczony notarialnie.

- Mówię panu, nigdy tego nie podpisałem.

Teraz to Milo rozparł się na krześle.

Dwight dalej gapił się na dokument, jakby miał nadzieję, że ten sam wyjaśni, skąd się wziął. W końcu go odłożył i rozejrzał się po pokoju.

- Ja go podpisałam za ciebie - powiedziała cicho Heather.

- Co!?

- Żeby oszczędzić ci kłopotów, kochanie. To była tylko kwestia czasu, zanim należałoby to zrobić.

- Zrobiłaś to, nie pytając mnie?!

- Wiedziałam, że byłoby ci ciężko. Chciałam oszczędzić ci bólu.

Dwight z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Jak udało ci się to potwierdzić notarialnie?

Przygryzła wargę.

- Wierny przyjaciel Horace nakłonił do tego jednego ze swoich wspólników - wyjaśnił Milo. - Dla

pana dobra, oczywiście.

Dwight popatrzył wilkiem na Souzê, a potem na żonê, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Co tu się dzieje, Heather?

- Nic, kochanie - odparła spiętym głosem. - Proszê, przestań mu odpowiadać. Nie widzisz, co on próbuje zrobić?

- Nie ma to jak niespodzianka, co? - zakpił Milo. - Niech pan tylko nigdzie nie idzie, to nie koniec.

- A więc niech pan to wreszcie wykrztusi - warknął Dwight.

- Spokojnie. Nie winię pana, że jest pan wściekły. Na pana miejscu też bym był. Zaharowuje się pan jak wół, żeby firma utrzymała się na powierzchni, a pięćdziesiąt jeden procent zysków idzie na konto brata-play-boya, który nie kiwnął w życiu palcem, żeby zarobić na swoje utrzymanie. Potem on umiera, a wszystkie te pieniądze przechodzą na jego dziecko... które spada na głowę też panu.

- Nic mi nie spadło na głowę - obruszył się Dwight. - Był członkiem rodziny.

- Brzmi nieźle - stwierdził Milo. - Co na to pana żona?

Heather popatrzyła na niego z nienawiścią.

- W końcu - ciągnął detektyw - wychowywanie takiego dziecka nie mogło być łatwe: za mądry, żeby mu to wyszło na zdrowie, o niewyparzonej gębie, aspołeczny. A do tego wszystkiego gej. Kiedy zaczął się zadawać z Chancellorem, musiał pan stawiać sobie pytanie, gdzie został popełniony błąd, co?

- Pan powinien wiedzieć o tym najlepiej, sierżancie - wtrącił się Souza.

- A jednak - ciągnął Milo - wszystko to można było znieść. Ale nie jego groźby, że załatwi was finansowo.

Wyraz twarzy Dwighta wskazywał na to, że zaczyna rozumieć.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedział jednak, rozdygotany.

- Oczywiście, że pan wie. Cały czas ta sama historia: robił pan wszystko dobrze, a złośliwy pech podstawił panu nogę. Wszedł pan w przedsięwzięcie w Bitter Canyon, myśląc, że to interes życia. Tata zostawił kawał ziemi, akurat pod inwestycje. Idealny układ. Był pan w stanie sprzedać ziemię tak tanio, że mógł pan złożyć najlepszą ofertę przetargową na prace budowlane, a i tak mieć przy tym olbrzymi zysk. Jakby grał pan w oczko z samym sobą: nie można przegrać. Digby Chancellor też uważał, że to świetny układ. Kupił większość obligacji po wartości nominalnej i przygotował się do zbierania plonów. Niech pan sobie wyobrazi, jak się musiał poczuć, kiedy się dowiedział, że zainwestował w trujący gaz.

- Według sprawozdań, które miałem, ziemia była tam czysta. Nie mogłem wiedzieć - bronił się Dwight.

- Przestań trajkotać - warknął wściekle Souza. - Nie musisz się tłumaczyć.

- Nie, nie mógł pan wiedzieć - głos Mila brzmiał współczuciem. - Powtarzam, pech. A gdyby Jamey nie znalazł starego pamiętnika pana taty, nikt by się nie dowiedział. Ale znalazł i powiedział o wszystkim Chancellorowi. Który zaczął pana szantażować.

- A więc tak to było. - Dwight zaśmiał się gorzko. - Pamiętnik. Nie wiedziałem, że ojciec go prowadził.

- Chancellor zdradził, skąd ma te informacje?

- On...

- Och, na Boga - prychnął Souza z obrzydzeniem.

Dwight rzucił adwokatowi cyniczne spojrzenie. Poprawił okulary.

- Powiedział, że wpadły mu w ręce jakieś stare dokumenty. Nie chciał powiedzieć, skąd je wziął, ale podejrzewałem Jameya, bo zawsze wścibiał nos tam, gdzie nie powinien. Kiedy kazałem Digowi pokazać jakiś dowód, dał mi ksero tego fragmentu, w którym ojciec opisał składowisko gazów. Potem zażądał, żebym odkupił od niego obligacje po cenie z premią. Powiedziałem mu, że zwariował. Zagroził, że jeśli odmówię, ujawni całą sprawę, zniszczy moją firmę. Próbowałem blefować, oświadczyłem, że nie zrobiłby tego, bo sam też poszedłby na dno, ale odparł, że oskarży mnie o wyłudzenie i wygra w sądzie. Że zwerbuję Jameya jako współoskarżającego i że sąd ogłosi upadłość korporacji, a im przekaże aktywa. Im, jakby byli małżeństwem. To był bezwzględny, zboczony drań.

- Kto jeszcze wiedział o szantażu? - spytał Milo.

Dwight spojrzał ostro na Souzę.

- Horace. Poszedłem do niego po poradę, jak to załatwić. Powiedziałem mu, że jeszcze nie zaczęliśmy kopać i że mamy czas, żeby się wycofać.

- Co panu doradził?

- Stwierdził, że wycofanie się trwale zaszkodziłoby firmie. Że trzeba iść dalej, jakby nic się nie stało. Że znajdzie jakieś wyjście, ale że na razie powinienem zacząć płacić.

- I zaczął pan?

- Tak.

- Jak długo?

- Około roku.

- Jak często pan płacił?

- Nieregularnie. Dig dzwonił i handlowaliśmy.

- Gotówka za obligacje?

- Zgadza się.

- Gdzie odbywały się transakcje?

- Miałem w jego banku kilka kont. Spotykaliśmy się w jego gabinecie, podpisywałem zlecenie wypłaty, a resztę załatwiał on.

- A co z obligacjami?

- Trafiały do mojej skrytki bankowej.

- To musiało boleć - powiedział Milo.

- Pod koniec było gorzej. - Dwight się skrzywił. - Żądał, żebym kupował coraz więcej i więcej.

- Kto o tym wiedział, oprócz Souzy?

- Nikt.

- Nikt w korporacji?

- Nie. To było konto osobiste.

- A pana żona?

- Nie.

- Taka duża rzecz, a pan z nią o tym nie rozmawiał?

- Ja zajmuję się finansami w rodzinie. Nigdy nie rozmawiamy o interesach.

- Kiedy postanowił się pan pozbyć Chancellora?

Dwight wystrzelił z krzesła.

- Nic mi o tym nie wiadomo!

Odsunął się od stołu, przewracając przy tym szklanekę. Przywarł plecami do ściany i rozejrzał się na boki, jakby szukał drogi ucieczki. Cash spojrzął znacząco na Mila, który krótko pokręcił głową. Detektyw z Beverly Hills został na swoim miejscu, ale jego oczy były czujne.

- Może pan usiądzie? - zasugerował Milo.

- Dałem się tylko zaszantażować. Zostałem wykorzystany. Nie miałem nic wspólnego z niczym innym - bronił się Dwight.

- Dwie osoby groziły, że zrujną panu życie. Nagle jedna nie żyje, a druga jest zamknięta w wariatkowie. Bardzo wygodnie.

Dwight przez chwilę milczał. Potem uśmiechnął się dziwnie.

- Uznałem, że wreszcie los mi sprzyja.

Milo popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

- Co tam - mruknął - jeśli pan może z tym żyć, ja też.

Wyjął z teczki dyktafon i postawił go na stole. Pstryknięcie przełącznika, szum, a na jego tle dzwonek telefonu. Po trzecim dzwonku ktoś odebrał.

- Halo - odezwał się znajomy głos.

- Mówi Tully, panie Souza.

- Dzień dobry, Tully.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że wszystko poszło doskonale.

- Miło mi to słyszeć.

- Tak, dwa ptaszki naraz. Ta suka, Vann, pomieszkiwała u Mainwaringa. Zajęliśmy się obojgiem...

- Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły.

- Dobrze, panie Souza. Chciałem tylko panu powiedzieć, że to była czysta robota. Gołe ręce, żadnej bro...

- Wystarczy - warknął Souza.

Cisza.

- Dziękuję za telefon, Tully. Dobrze się spisałeś.

- Mam zrobić coś jeszcze, panie Souza?

- Nie w tej chwili. Może weź kilka dni wolnego? Odpręż się, odpocznij.

- Przydałby mi się odpoczynek, panie Souza. Pięści mam mocno poobijane. - Zaflegmiony śmiech.

- Nie wątpię, chłopcze. Nie wątpię.

- Do widzenia, panie Souza.

- Do widzenia.

Milo wyłączył dyktafon.

- Ty cholerny bydlaku! - Dwight ruszył w stronę Souzy.

Cash poderwał się, złapał go za ramiona i przytrzymał.

- Spokojnie - powiedział i zaprowadził Dwighta na drugą stronę stołu, w pobliże telewizora. Zdecydowanym ruchem dłoni wepchnął go w krzesło. Sam nie usiadł - przyjął czujną postawę za plecami rozwścieczonego mężczyzny.

Dwight pogroził Souzie pięścią.

- Draniu.

Souza popatrzył na niego, speszony.

- Może teraz ma pan jakieś uwagi? - spytał Milo.

Adwokat pokręcił głową.

- Chciałby pan dostać prawnika, zanim przejdziemy dalej?

- Nie. Przydałoby mi się natomiast martini. Mogę sobie nalać?

- Proszę uprzejmie - zgodził się Milo.

- Ktoś jeszcze życzy sobie drinka? - spytał Souza.

Nikt nie odpowiedział, więc uśmiechnął się i pochylił nad przenośnym barkiem, mieszając wolno gin z wermutem. Wybrał ze srebrnego talerzyka oliwkę, wrzucił ją do drinka, popatrzył, jak kołysze się na powierzchni, i z powrotem usiadł. Upił mały łyk, przesunął językiem po wargach - uosobienie zadowolenia z siebie.

- Niech cię szlag, Horace - zaskrzeczał Dwight. - Dlaczego, u diabła...

- Och, zamknij się. Robisz się męczący.

- Odpowiedź na pytanie „dlaczego?” jest dość przyziemna - wtrącił się Milo. - Pieniądze, władza, to co zwykle. Nas zmyliło „jak”. Dopóki nie dowiedzieliśmy się, że pani Cadmus jest wyjątkowo uzdolniona w dziedzinie narkotyków.

Po twarzy Dwighta przemknęła nowa fala grozy. Popatrzył nad stołem na żonę, błagając, by

zaprzeczyła. A ona rzuciła mu wyzywające spojrzenie, pełne zimnej pogardy.

- Skąd przyszedł pani do głowy ten pomysł? - spytał Milo. Zignorowała go, więc ciągnął: - Moim zdaniem nienawidziła pani Jameya od dawna. Fantazjowała pani, że się go pozbywa. Kiedy Souza powiedział pani o szantażu Chancellora, oboje postanowiliście, że pora coś z tym zrobić.

Usta Heather zaczęły drżeć, wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Wtedy Souza odchrząknął, a ona odwróciła się do niego. Spojrzenie, które wymienili, dało jej siłę do dalszego oporu; jej oczy zwęziły się i stwardniały, ciemniejąc do koloru burzowych chmur. Wyprostowała się i, już opanowana, zniosła wzrok Mila, patrząc przez niego, jakby nie istniał. Wszystko to trwało zaledwie sekundę, ale nie uszło uwagi Dwighta. Cicho zachrypiał i osunął się niżej na krześle.

- Skoro mowa o dwóch ptaszkach... - zaczął Milo. - Rozważała pani pewnie, czy nie zabić obu naraz, ale uznała pani, że to może wyglądać zbyt podejrzanie, może zaczęlibyśmy węszyć wokół rodzinnej fortuny. Nie wspominając o sądach i podatkach spadkowych. Lecz zamordowanie Chancellora i zrobienie z Jameya psychotycznego mordercy dałoby mężusiowi dostęp do pieniędzy bez tych wszystkich szykan. Rok później Jamey mógłby zginąć w więzieniu albo na jakimś oddziale zamkniętym; wtedy nie byłaby to już żadna różnica. Parę lat potem mężusiowi mogłoby się coś przydarzyć: może nawet oszalałby i popełnił samobójstwo, bo takie rzeczy przecież się dziedziczy, prawda? Wówczas wszystko zostałoby dla pani.

- To niedorzeczne. - Heather zaśmiała się pogardliwie.

Milo skinął mi głową.

- Jeśli ktoś wiedział, jak doprowadzić kogoś do szaleństwa, to pani - powiedziałem i streściłem to, czego dowiedziałem się z badań nad te matem jej pracy magisterskiej. Na niej wydawało się nie robić to wrażenia, ale otępiały wyraz twarzy Dwighta zdradzał jasno, że Cadmus nigdy nie poświęcił czasu, by dowiedzieć się czegoś o naukowych wysiłkach żony - że widział w niej zawsze tylko wierną małżonkę. - Robiła to pani bardzo subtelnie - ciągnąłem. - Truła go pani powoli przez ponad rok klonami wilczej jagody, dosypując mu narkotyku do jedzenia, mleka, płynu do płukania ust, pasty do zębów. Stopniowo zwiększając dawki. Pani wiedza o organicznych antycholinergikach pozwoliła pani dobierać narkotyki i mieszać je tak, by wywołać dokładnie te objawy, które pani chciała: jednego dnia podniecenie, drugiego depresję. Paranoja, halucynacje słuchowe i wzrokowe, stupor... nauczyła się pani, jak wywoływać je

wszystkie, od Indian w dżungli. A jeśli chciała pani osiągnąć coś innego, zawsze można było podać środek syntetyczny: LSD, PCP, amfetaminę. Wolontariat w centrum leczenia uzależnień dał pani dostęp do ulicznych narkotyków. Policja, jak dotąd, znalazła dwójkę dzieci, które przyznały, że panią zaopatrywały. Zamrugnęła oczami. Nic nie powiedziała.

- O Boże - jęknął Dwight.

Cash uważnie go obserwował.

- Psychologiczna przeszłość Jameya ułatwiała pani sprawę - mówiłem dalej. - Nigdy nie był dobrze przystosowany, więc nikt nie byłby zaskoczony, gdyby mu odbiło. Doprowadziła go pani do ciężkiej psychozy i zamknięcia w zakładzie. Wybraliście Canyon Oaks, bo Souza wiedział, że Mainwaringa można kupić. I nie traciliście czasu. Marthe Surtees została tam wprowadzona jako prywatna pielęgniarka, i to ona wzięła na siebie dalsze trucie; za pani zgodą. Mainwaring tymczasem leczył to, co uważał za schizofrenię, fenotiazynami, które w połączeniu z antycholinergikami jeszcze bardziej zatrwały układ nerwowy Jameya. Surtees mówi, że codziennie meldowała pani o jego stanie. Kiedy robiło się za ostro, kazała jej pani przystopować. Kiedy zaczynało się poprawiać, Jamey dostawał następną dawkę. Nawet jego aresztowanie i zamknięcie na bloku wysokiego rygoru nie położyły temu kresu. Surtees wypadła z gry, ale ktoś inny zajął jej miejsce. Ktoś, kto miał przekonujący powód, by często odwiedzać Jameya w więzieniu. Ktoś, kto mógł przesiadywać z nim przez dłuższy czas bez przyciągania niepotrzebnej uwagi. Ktoś, kto mógł obejmować go po ojcowski ramieniem, podawać mu sok. Ktoś, kto miał być jego obrońcą.

Spojrzałem na Souzę.

- To absurd - warknął. - Obląkane spekulacje.

Heather przytaknęła, ale bez przekonania, jakby na polecenie.

- Niezła z was parka - powiedziałem, skupiając się na Souzie. - Kiedy ona pracowała nad Jameyem, pan kazał Antrimowi zostać Lawendowym Rzeźnikiem. Tych siedmiu chłopców wybrał pan na chybił trafił. Antrim mordował ich i wyrzucał jak worki śmieci. Zginęli, żeby pan mógł zrobić z Jameya i Chancellora seksualnych morderców, żeby śmierć Chancellora wyglądała na efekt nieudanej imprezy. Każdy szczegół był zaplanowany. Ciała porzucano według wzoru, ze wschodu na zachód, który odwrócił się, gdy zabito Chancellora: żeby wyglądało to jak przerwany łańcuch. Morderstwa popełniano w czwartek, bo Chancellor musiał zginąć w czwartek, kiedy jego ochroniarz miał wolne. Zdobył pan nawet garotę, która obciążałaby Jameya: paski wycięte z lawendowej sukni Heather, o której

kradzieży tak przekonująco mi opowiadała. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki Jameyowi nie udało się ogłuszyć Surtees i zadzwonić do mnie.

- Doktorze Delaware - prychnął Souza - pochlebia pan sobie, przypisując swojej osobie za duże znaczenie.

- Nie sędzę - odparłem. - Zdaję sobie sprawę, że byłem jedynie kolejnym pionkiem. Wiedział pan, że byłem terapeutą Jameya, dowiedział się pan, że chłopiec dobrze się o mnie wyrażał, i nie był pan pewien, czy powiedział mi tamtej nocy coś istotnego. Dlatego postanowił pan mnie „zwerbować”. Użył pan nawet tego słowa. „Chcę pana zwerbować”. Bawił się pan ze mną. Bo tak właśnie

postrzega pan życie, jako grę. Jeden wielki turniej, z wymiennymi zawodnikami. Kiedy zgodziłem się przystać do pana drużyny, nie omieszkiał pan zaznaczyć, że wszystko, czego się dowiem, będzie poufne, rzekomo, by chronić Jameya, ale naprawdę po to, by chronić pana.

- Przypomniałem panu jedynie o dawno ustalonych pryncypiach etycznych - powiedział Souza. - Pryncypiach, które bez zawahania pan łamał.

- Trzymał mnie pan przy sobie - ciągnąłem - dopóki nie upewnił się pan, że nie wiem nic obciążającego. Wtedy mnie pan zwolnił. Najśmieszniejsze jest to, że zatrudniając mnie, ściągnął pan sobie na głowę nowy kłopot: Erno Radovica.

Na wzmiankę o ochroniarzu Dwight szeroko otworzył oczy. Cash spojrzał na niego czujnie.

- Nigdy się nie dowiemy, dlaczego Radovic postanowił zacząć węszyć - mówiłem dalej. - Może z lojalności wobec szefa. Bardziej prawdopodobne, że podsłuchał, jak Jamey i Chancellor rozmawiają o Bitter Canyon, podejrzewał, że może to mieć coś wspólnego z zamordowaniem Chancellora, i postanowił dowiedzieć się dość, żeby samemu móc szantażować. Mógł nawet wiedzieć o pamiętniku, szukał go, ale nie znalazł. Kiedy mnie pan wynajął, sprawdził mnie, dowiedział się, że byłem psychoterapeutą Jameya, i zaczął podejrzewać to samo co pan: że jestem wtajemniczony w jakieś sekrety. Dlatego mnie śledził, a ja niechcący zaprowadziłem go do pamiętnika. Kiedy go przeczytał, zrozumiał, że wpadł na trop czegoś dużego, i zadzwonił do Dwighta, żądając pieniędzy i dając do zrozumienia, że nie żartuje, kiedy umawiał się na spłatę przy drodze do Bitter Canyon. Dwight zadzwonił do pana, a pan wysłał Antrima i Surtees, żeby się tym zajęli.

- To spiskowanie w celu popełnienia morderstwa - powiedział Milo do Dwighta, który uciekł przed jego spojrzeniem, chowając twarz w dłoniach. - Co pan pomyślał, kiedy się dowiedział, że Radovic został wypatroszony? Że znów los panu sprzyja?

Milczenie.

Cisza ciągnęła się jak toffi.

- Sierzancie - przerwał ją Souza, odstawiając swoje martini - to było bardzo intrygujące. Możemy już iść?

- Iść?

- Wyjść. Wywiązać się z zobowiązań towarzyskich.

Milo zamaskował niedowierzanie gniewnym śmiechem.

- To wszystko, co ma pan do powiedzenia?

- Oczywiście. Przecież nie oczekuje pan chyba, że potraktuję cokolwiek z tego poważnie?

- Nie zrobiło to na panu wrażenia, co?

- Ani trochę. Wmaszerował pan tu ze swoim sprzętem i batalionami, i zaprezentował pastisz luźno ze sobą powiązanych dywagacji, hipotez i spekulacji, coś, co sąd oddaliłby na wstępnym przesłuchaniu.

- Rozumiem - powiedział Milo i odczytał mu jego prawa.

Souza wysłuchał, z aprobatą kiwając głową, jak nauczyciel przeprowadzający ustny egzamin, nieporuszony nawet wtedy, kiedy Milo wykręcił mu ręce za plecy i założył kajdanki. Wtedy dopiero zrozumiałem, na jak poważne naprawdę cierpi zaburzenie.

Nie powinienem być zaskoczony, bo gotowało się to w nim przez czterdzieści lat: ból i upokorzenie życia w cieniu drugiego mężczyzny. Mężczyzny, który odbił mu kobietę, a Souza mógł tylko patrzeć, jak ta więdnie i umiera. „Uciekł jak zbity kundel” do jej siostry, by znów zostać odrzucony. Pragnął pełnego partnerstwa, a musiał zadowalać się symbolicznymi nagrodami. Bezustannie grał drugie skrzypce.

Czarny Jack Cadmus wiedział, co takie coś może zrobić z człowiekiem, i martwiło go to.

„Dlatego myślę, że w głębi ducha mnie nienawidzi - napisał - i zastanawiam się, jak temu zaradzić”. Jego rozwiązanie tego problemu było cyniczne i samolubne: „Mała jałmużna pod pozorem wdzięczności może zdziałać cuda. Horace musi znać swoje miejsce, ale musi też czuć się ważny”.

Ostatecznie jednak to Souza sam temu zaradził, broniąc się przed swoimi uczuciami emocjonalną prostytutką, ubóstwiając człowieka, którego podświadomie nienawidził, i czcząc go, nawet po jego śmierci. Wierny sługa Horace, bez własnej rodziny, zawsze gotów stawiać czoło kryzysom, które wydawały się dręczyć Cadmusów jak jakaś ponura alergia na życie. Na całodobowym dyżurze, zawsze do usług.

Freud nazwał to „formacją reaktywną”: to oddanie się szlachetnym czynom, by ukryć nieczyste popędy. Ten mechanizm obronny, trudny do

utrzymania, niczym chodzenie po linie do tyłu, stał się sposobem działania Souzy na całe jego dorosłe życie.

Lecz jego gniew, kiedy zapytałem o jego zaangażowanie w sprawy Cadmusów, był dowodem, że z jego umocnień zaczyna wykruszać się zaprawa. Zmiękczone żarem spętanej żądz. Skorodowana przez czas, różne wydarzenia i dostępność innej kobiety Cadmusów. Uwolnienie tej namiętności zmieniło go w mordercę, mordercę na olbrzymią skalę, ale tak jak w każdej grotesce, unikał własnego odbicia. Teraz lustro podstawiono mu pod nos, a on schronił się za murem wyparcia. *Belle indifference*, z której Maria Antonina byłaby dumna.

Milo skończył czytać i spojrział na Heather i Dwighta.

- Entliczek, pentliczek - powiedział Cash, czytając mu w myślach.

Zanim zdecydował, co zrobić, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Cal Whitehead, ubrany w butelkowozielony garnitur z białymi lamówkami klap. W ręku niósł futerał z jaszczurczej skóry, z

rażką owiniętą w przezroczystą folię i opisaną. Udawało mu się żuć gumę i jednocześnie wesoło szczerzyć. Rzucił futerał na stół.

- Skąd te smutne miny? - spytał.

- Właśnie kończymy - odparł Milo. - Na panu Souzie nasze argumenty nie zrobiły wrażenia.

- Tsk-tsk - cmoknął Whitehead. - Może to pomoże.

Włożył lateksowe, chirurgiczne rękawiczki, wyjął z kieszeni opisany klucz i włożył go do zamka futerału.

- Jest pani bardzo pewną siebie kobietą- zwrócił się do Heather. - Żeby zostawić coś takiego w szufladzie komody, pod tymi ślicznymi jedwabnymi majteczkami. Tuż obok krążka dopochwowego.

Obrót nadgarstka i futerał został otwarty. Wnętrze było wyłożone grubym, lawendowym aksamitem. W aksamicie, w dwudziestu sześciokątnych zagłębieniach, leżały małe, kryształowe słoiczki, zabezpieczone aksamitnymi paskami. Zawierały szarawe i brązowawe proszki oraz grubsze substancje, wyglądające na suszone liście i gałązki. Do pokrywy futerału przymocowane były mały, porcelanowy móździerz i tłuczek, porcelanowy talerzyk, trzy metalowe strzykawki i platynowa zapalniczka.

- Najładniejszy zestaw, jaki widziałem - stwierdził Whitehead. - Bardzo kobiecy.

Heather znów zakryła się chustką. Spojrzała na wieczorową torebkę. Souza patrzył w sufit, pozornie nieświadom tego wszystkiego. W kominku trzasnęło polano.

- Wciąż niewzruszeni? - spytał Whitehead z udawaną urazą, która nagle zmieniła się w autentyczne rozdrażnienie. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął plik zdjęć.

- Detektywie Whitehead - powiedział Milo, ale zanim zdołał dokończyć zdanie, śledczy rozłożył zdjęcia w wachlarz, jak talię kart, i zaczął je rozdawać. Najpierw Souzie, który je zignorował, potem Heather; ona wzięła jedno i wydała udręczony jęk, charczący, surowy odgłos z głębi trzewi, tak pierwotny i pełen cierpienia, że prawie nie do zniesienia.

Szarpiąc zdjęcia wykrzywionymi palcami, zdołała je tylko powyginać. Znów jęknęła, opuściła głowę tak nisko, że jej czoło znalazło się na wysokości stołowej nogi, i zaczęła charczeć.

- Co to jest? - spytał ostro Dwight.

- Pan też chce obejrzeć?

- Cał - mitygował go Milo.

Whitehead machnął tylko ręką.

- Pewnie, czemu nie - syknął i rzucił garść przed Dwighta, który po

zbierał je, obejrzał i zaczął gwałtownie dygotać.

Rozumiałem ich reakcje, bo sam widziałem te zdjęcia - ziarniste, czarno-białe fotografie, zrobione potajemnie przez szpary w drzwiach i zza koronkowych firanek, ale dość wyraźne - Heather i Souza uprawiający miłość. W jego gabinecie, ona leży na brzuchu, na rzeźbionym biurku, ze spódnicą zarzuconą na wąskie biodra, spokojna i znudzona, on pompuje z tyłu, krzywiąc się i szczerząc. W jego sypialni, na poczwórnym łożu, ona bierze go w usta, z szeroko otwartymi oczami, jedna pajęcza dłoń ugniata mięsisty pośladek. Na tylnym siedzeniu rollsa, zwierzę o dwóch grzbietach wije się wśród pospiesznie zrzuconych ubrań. I tak dalej. Obrazkowa kronika zdrady, odrażająca, a przy tym posiadająca prymitywny urok surowej pornografii.

Antrim nazwał te zdjęcia swoją polisą ubezpieczeniową. Wredna kolekcja, zebrana w ciągu dwóch lat. Zdołał to zrobić, bo był służącym, a służący są psychologicznie niewidzialni. Tak jak przeoczono jego obecność podczas sfalszowanego poświadczania funduszu powierniczego, tak jego głodne, bystre oczy lekceważono w napadach żądz.

Heather znów zacharczała.

Dwight wstał i pogroził jej palcem.

- Ty pieprzona zdiro! - wrzasnął przez stół. - Pieprzona, kłamliwa kurwo!

Poderwała się, słysząc wyzwiska. Chwiejnie trzymała się na nogach. Z rozbieganymi oczami, plamami czerwieni na policzkach, fryzurą rozpadającą

się z jednej strony, ścisnęła mocno torebkę. Łkała. Ciężko dyszała, na skraju hiperwentylacji.

- Dwulicowa suka - prychnął Dwight, potrząsając pięścią.

- Spokojnie. - Cash położył mu rękę na ramieniu.

- Ty - wycedziła Heather, łkając, łapiąc powietrze. - Ty... masz... czelność... mnie... pouczać...

- Dwulicowa kurwo! - ryknął. - To ma być podziękowanie! Pieprzona dziwka.

- Kim jesteś... żeby... osądzać! - krzyknęła, podnosząc ręce i zaginając palce w szpony.

Dwight podniósł zdjęcie.

- To ja się dla ciebie zabijam, a ty mi tak dziękujesz!

- Nie... jestem... ci... nic... winna.

Sięgnął przez stół, złapał karafkę i chlusnął jej whisky w twarz. Stała tak, ociekająca, rozdygotana, bezgłośnie poruszając ustami.

- Dość - powiedział Milo.

- Chodź. - Cash pociągnął Dwighta w tył. - Spokojnie.

- Jebana oziębła kurwo! - wrzasnął Dwight, wymachując pięściami.

Heather zawyła i wyszarpnęła coś z torebki. Lśniący, mały rewolwer, niewiele większy od derringera. Posrebrzany, grawerowany. Prawie zabawka. Obiema rękami wycelowała w męża.

Trzy policyjne trzydziestkiósemki wyskoczyły z kabur i wymierzyły w nią.

- Odłóż broń - rozkazał Milo. - Odłóż ją.

- Ty glisto - syknęła Heather do Dwighta, wciąż próbując nad sobą zapanować.

- Poczekaj - powiedział słabo i cofnął się o krok.

- Że też masz czelność... mnie pouczać. Ty glisto. - Do nikogo w szczególności: - To glista. Chora glista.

Ręce trzymające pistolet drżały.

- Odłóż to. Natychmiast - powtórzył Milo.

- Daj spokój, Heather - jęknął Dwight, spocony, przyciskając jedną rękę do piersi w daremnej próbie zasłonięcia się. - Przestań. Nie ma potrzeby...

- Och. - Zaśmiała się. - Teraz się boi. Teraz chce, żebym dała spokój. Wykastrowana glista bez jaj. - I znów do nikogo w szczególności: - To eunuch. I morderca.

- Proszę - powiedział Dwight.

- A jak inaczej nazwać człowieka, który znalazł swojego brata... własnego brata... duszącego się na śmierć... on bawił się w wieszanie i dusił

się na śmierć...? Kto pozwoliłby mu tak umrzeć? Udusić się... jak byście to nazwali?

- Ja bym to nazwał niezłą podłością - burknął Whitehead, odłożył swoją trzydziestkęósemkę na stół i nonszalancko wszedł między Heather a Dwighta. Uśmiechał się, żuł gumę.

Milo zaklął pod nosem. Cash trzymał pistolet w wyciągniętej sztywno ręce; drugą położył na głowie Dwighta i przygotował się do pchnięcia go na ziemię.

- Nie próbuj go ratować. Ciebie też zabiję - oświadczyła Heather.

Cash zamarł.

- Odłóż pistolet - rozkazała.

Cash pokręcił głową.

- Nie mogę.

Odmowa nie zrobiła na niej wrażenia.

- Glista - warknęła. - Upił się i wyznał mi wszystko. „Zabiłem brata, zabiłem brata...” Bełkotał jak małe dziecko. „Muszę to naprawić, wezmę jego syna. Muszę to naprawić, zaopiekuję się Jameyem”. - Jej głos zmienił się w piskliwy wrzask. - Kto wychował tego małego bydlaka, ty? Kto znosił jego draństwo, jego plugawy język? To była twoja pokuta, ale to mnie ukrzyżowałeś.

Uspokoila rękę z pistoletem.

- Niech pani da spokój, śliczna młoda damo. - Whitehead się uśmiechnął. - Pistolety nie są dla ślicznych młodych dam...

- Zamknij się - warknęła, próbując zająrzeć za jego zwalistą sylwetkę. - Chcę glistę.

Whitehead uśmieł się serdecznie.

- Ależ co pani mówi.

- Zamknij się - powtórzyła głośnie.

Whitehead z irytacją zmarszczył brwi. Zmusił się do uśmiechu.

- Daj spokój, skarbie. Takie twardzielskie gadki dobre są do telewizji, ale teraz nie chcemy żadnych kłopotów, prawda?

- Zamknij się, durniu!

Twarz Whiteheada wykrzywił gniew. Dał krok do przodu.

- No, dość tego dobrego...

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i strzeliła mu w usta, po czym wycelowała pistolet w Dwighta, ale skosił ją gromowy huk. Kula za kulą trafiały w jej smukłe ciało, rozdzierając je i szarpiąc. Suknię upstrzyły dymiące dziury, niebieski szyfon mokro poczerwieniał, potem poczerniał, kiedy osunęła się na ziemię.

Drzwi do jadalni otworzyły się z hukiem. Fala błękitu. Mundurowi ze strzelbami. Przerażone spojrzenia, blednące twarze. Milo wyjaśnia sytuację, biegnie do leżącego nieruchomo Whiteheada, wzywa karetkę. Trzaski krótkofalówek. Szum procedur. Cash, milczący i blady, przekazuje Dwighta

dwóm mundurowym. Chowa pistolet. Rozluźnia krawat. Dwight patrzy na trupa żony. Na czerwone bryzgi na woskowanej, sosnowej boazerii. Na kałużę krwi, mieniającą się obscenicznie na stole. Pada zemdlony. Wywlekają go.

Souza wszystko to przesiedział, cichy, poważny. Dwie pary rąk podniosły go pod pachy. Popatrzył na rzeź, cmoknął językiem.

- Idziemy - powiedział jeden z gliniarzy.

- Chwileczkę, młody człowieku. - Władczość w głosie Souzy sprawiła, że policjant stanął.

- Co?

- Dokąd mnie zabieracie?

- Do aresztu.

- Wiem. - Z irytacją. - Do którego aresztu?

- Okręgowego.

- Doskonale. Zanim pojedziemy, chciałbym, żeby wykonał pan dla mnie telefon. Do pana Christophera Hausera. Z kancelarii Hauser, Simpson i Bain. Numer jest na wizytówce w moim portfelu. Proszę go poinformować, że zmieniło się miejsce naszego śniadania. Z California Clubu na areszt okręgowy. Niech przyniesie papiery. To będzie spotkanie robocze. Zapamiętał pan wszystko?

- Och, jasne - odparł gliniarz, przewracając oczami.

- Więc niech pan powtórzy. Na wszelki wypadek.

Trzy tygodnie po aresztowaniu Souzy Gary Yamaguchi i Szparka (z domu Amber Lynn Danziger) zostali znalezieni w Reno przez prywatną agencję detektywistyczną, którą wynajęli rodzice dziewczyny. Młodzi mieszkali w opuszczonej przyczepie kempingowej na obrzeżach miasta, żyjąc z jałmużny i pensji Amber, zatrudnionej na pół etatu w Burger Kingu. Po powrocie do L.A. wróciła pod opiekę rodziców, a Gary został zatrzymany jako istotny świadek. Kiedy Milo zaczął wypytywać go o

pamiętnik, chłopak popadł w taką samą obojętność robota, z jaką spotkałem się w zaułku za Próżnią. Ale pobyt w areszcie okręgowym i dostarczone przez koronera zdjęcia ofiar Rzeźnika sprawiły, że stał się nieco bardziej skory do współpracy.

- Twierdzi - powiedział Milo przez telefon - że Jamey, jakiś miesiąc przed tym, jak trafił do szpitala, zadzwonił do niego i poprosił go, by przyszedł do Sunset Park, naprzeciwko hotelu Beverly Hills. Był upalny dzień, ale Jamey miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. Yamaguchi mówi, że wyglądał jak bezdomny wariat: brudny, potykał się, mówił do siebie. Usiedli na ławce, a Jamey zaczął bredzić coś o książce, którą miał i która była tak ważna, że oddałby za nią życie. Potem wyciągnął ją spod płaszcza, wcisnął Yamaguchiemu w rękę, nazwał go swoim jedynym przyjacielem

i powiedział, żeby bezpiecznie tę książkę przechował. Zanim Yamaguchi zdążył zareagować, już go nie było. Yamaguchi uznał, że to wszystko urojenia paranoika, i chciał wyrzucić książkę do najbliższego kosza. Ale zamiast to zrobić, sam nie umie powiedzieć dlaczego, zabrał ją do siebie, wsadził do szuflady i zapomniał o niej. Kiedy Jamey trafił do szpitala, Gary zaczął się zastanawiać, czy może coś w tej historii jest, ale w końcu tego nie sprawdził. Dopiero po zamordowaniu Chancellora wyjął książkę i zaczął czytać. Twierdzi jednak, że go znudziła, więc poddał się po kilku stronach. Wtedy właśnie, jak mówi, postanowił ją wykorzystać. Artystycznie. Jamey opowiadał mu o samobójstwie swojego ojca, a on połączył to ze sceną morderstwa i umieścił w rzeźbie. Chyba uważał, że to zabawne, według niego śmierć jest początkiem każdego prawdziwego dzieła sztuki.

- Nigdy nie przeczytał całości?

- Jeśli nawet przeczytał, nie załapał tego o Bitter Canyon, bo nie próbował tego wykorzystywać.

- I nie próbowałby - powiedziałem. - Uważa się za nihilistę. Jest dumny ze swojej apatii.

Milo przez chwilę myślał.

- Tak, możesz mieć rację. Kiedy zapytałem go, czy nie przyszło mu do głowy, zalewając książkę plastikiem, że może być ważna, uśmiechnął się jak gówniarz i powiedział, że to nieistotne. Kiedy go przycisnąłem, przyznał, że miał taką nadzieję, bo myślał, że ktoś powiesiłby to na ścianie i nie wiedział, jakie to cenne, była dla niego komiczna. Potem zaczął chrzanić coś o tym, że sztuka i kiepskie dowcipy to jedno i to samo. Spytałem go, czy to dlatego Mona Lisa się uśmiecha, ale mnie olał. Dziwny dzieciak, o ile zdołałem się jednak zorientować, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, więc puściłem go wolno.

- Mówił coś, dlaczego Jamey ukrywał książkę przed Chancellorem? - spytałem.

- Nie.

- Przyszło mi do głowy, że mogli się pokłócić. Jamey chciał wykorzystać pamiętnik i przerwać budowę, a kiedy zobaczył, że Chancellorowi zależy tylko na własnej skórze, zabrał książkę i oddał na przechowanie Gary'emu. Bo Gary jest nihilistą i nigdy by jej nie użył.

Zapadła długa cisza.

- Możliwe. Jeśli Jamey myślał na tyle jasno, żeby do tego dojść - stwierdził Milo.

- Pewnie masz rację. To było myślenie życzeniowe. Był już wtedy nieźle skołowany.

- Nie aż tak, żeby nie mógł zadzwonić do ciebie po pomoc.

Milczałem.

- Hej - powiedział Milo - powinieneś teraz wygłosić coś o niepokonanym człowieczym duchu.

- Uznaj, że wygłosiłem.

- Uznaj, że usłyszałem.

Kiedy odłożył słuchawkę, dokończyłem śniadanie, zadzwoniłem na pocztę głosową i poinformowałem, gdzie będę. Miałem trzy wiadomości, dwie od ludzi próbujących mi coś sprzedać oraz prośbę o telefon do sędziego Sądu Najwyższego, człowieka, którego szanowałem. Zadzwoniłem do niego, a on poprosił mnie o konsultację w sprawie rychłego rozwodu znanego reżysera filmowego ze znaną aktorką. Według reżysera, aktorka była kokainistką na skraju psychozy. Według aktorki, reżyser był przekupnym, okrutnym, zagorzałym pedofilem. Żadne z nich tak naprawdę nie chciało ich pięcioletniej córki, ale oboje byli zdeterminowani nie dopuścić, by opiekę przyznano drugiej stronie. Aktorka wywiozła dziecko do Zurychu; możliwe, że będę mógł polecieć tam na jej koszt, by przeprowadzić wywiady.

Powiedziałem sędziemu, że wygląda to na bałagan najgorszego rodzaju: rozpalony narcyzm połączony z pieniędzmi wystarczającymi, by bardzo długo opłacać prawników, którzy będą ten bałagan utrzymywać. Zaśmiał się smutno i przytaknął; dodał, że uważał, iż będę zainteresowany, bo lubię, kiedy się coś dzieje. Podziękowałem mu za pamięć i uprzejmie odmówiłem.

O dziewiątej zszedłem do ogrodu nakarmić koi. Największy z karpów, krępy, złotoczarney *kin-ki-utsuri*, którego Robin nazwała Sumo, obcmokał mi palce, a ja poklepałem go po lśniącym łbie, zanim wróciłem do domu. Spakowałem podręczny bagaż. Potem zadzwoniłem do Robin do warsztatu i powiedziałem, że wyjeżdżam.

- Miłego lotu, skarbie. Kiedy mam się ciebie spodziewać?

- Dzisiaj wieczorem albo jutro rano, zależnie od tego, jak się ułożą sprawy.

- Zadzwon do mnie. Jeśli wrócisz dzisiaj, poczekam. Jeśli nie, zostanę tu do późna i skończę mandolinę.

- Jasne. Zadzwonię koło szóstej.

- Uważaj na siebie, Alex. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Włożyłem sztruksową, sportową marynarkę, wziąłem torbę, wyszedłem na taras i zamknąłem za sobą drzwi. O dziesiątej trzydzieści zajechałem pod lotnisko Burbank.

Szpital stał na wzniesieniu na brzegu oceanu, otulony hektarami nefrytowej zieleni koniczyny, pofalowanej i wilgotnej od rosy. Był wzorem stonowanej architektury - karmelowe bungalowy otaczały piętrowy budynek administracji, a cały kompleks przecinała niczym żyły sieć ścieżek i klombów, ocienionych rozłożystymi konarami dębów. Spiczaste dachy kryte czerwoną dachówką mierzyły w kobaltowe niebo, tak czyste, że jak ze snu. Na horyzoncie rosła samotna, poskręcana sosna. Spod jej pnia kępy zielonego i niebieskiego łubinu spływały jak strugi rozlanej farby po

pochyłym, zielonym płótnie.

Podróż samochodem z Carmel była spokojna, zmacona jedynie sykiem oceanu, warkotem wynajętej mazdy i rzadkimi, niespodziewanymi rykami ogarniętych żądzą morskich lwów. Przypomniał mi się ostatni raz, kiedy tu byłem, z Robin. Przyjechaliśmy wiosną na tydzień jako turyści i robiliśmy rzeczy, które turyści robią na półwyspie Monterey: odwiedziliśmy oceanarium, urządziliśmy sobie kolację z owoców morza pod gwiazdami; oglądaliśmy wystawy sklepów z pamiątkami; kochaliśmy się leniwie na czystym, obcym łóżku. Ale teraz, kiedy siedziałem na drewnianej ławce przy krawędzi urwiska, wyglądając przez przeżarte solą romby drucianej siatki na Pacyfik, spieniony niczym ciepłe piwo, tych siedem dni wydawało mi się zamierzchłą historią.

Odwróciłem się, popatrzyłem na bungalowy i zobaczyłem w oddali tylko nieznanym; łagodni ludzie siedzieli, przechadzali się, podpierali na

łokciach zanurzonych w koniczynie. Rozmawiali, przytakiwali lub się sprzeciwiali albo byli obojętni. Grali w gry planszowe i rzucali frisbee. Niektórzy wpatrywali się tępo w przestrzeń.

Plaża w dole była lśniąca i biała, prążkowana od fal odpływu, usiana żółwią brygadą obłych kamieni. Między kamieniami widać było lustrzane kałuże wody, bulgoczące od oddechu uwięzionych w nich stworzeń, usiane wodorostami. Nadleciał pelikan - na rekonesans. Nagle zanurkował, składając wielkie skrzydła; wymierzył w lustro, strzaskał je; uniósł się tryumfalnie z dziobem pełnym drobnicy i poszybował w kierunku Japonii.

Piętnaście minut później młoda kobieta w dzinsach i czerwonym kitlu przyprowadziła do mnie Jameya. Miała jasne włosy, splecione w warkocze, i okrągłą, zamyśloną twarz wiejskiej dziewczyny. Na identyfikatorze namalowała flamastrem czerwone stokrotki. Trzymała Jameya za rękę, jakby był jej chłopakiem; puściła ją niechętnie, posadziła go obok mnie i powiedziała, że wróci za pół godziny.

- Cześć, James. Dobrze się sprawuj.

- Cześć, Susan. - Głos miał ochryply. Kiedy odeszła, przywitałem się.

Jamey odwrócił się do mnie i skinął głową. Zmrużył oczy, spojrzał w słońce.

Pachniał szamponem. Włosy obcięto mu na krótko, a nad wargą pojawiły się zaczątki wąsów. Był ubrany w bordową koszulę, tak nową, że jeszcze z załamaniem od opakowania, szare spodnie od dresu i adidas bez skarpetek. Ubranie wisiało na nim jak na wieszaku. Kostki miał chude i białe.

- Pięknie tu - powiedziałem.

Uśmiechnął się. Dotknął palcem nosa. Wolno, jakby wykonywał test koordynacji. Minęło kilka minut.

- Lubię tu siedzieć - szepnął. - Zatracam się w ciszy.

- Rozumiem.

Patrzyliśmy, jak stado mew obdziobuje kamienie. Wdychaliśmy morską sól. Jamey skrzyżował i rozprostował nogi. Położył ręce na kolanach i zapatrzył się na ocean. Dwie mewy zaczęły się bić o jedzenie. Dziobały się i skrzeczały, aż słabsza się wycofała. Zwycięzca oddalił się na kilka metrów, podskakując, i zaczął ucztę.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziłem.

- Dziękuję.

- Doktor Levi mówiła mi, że robisz zdumiewające postępy.

Wstał i złapał się siatki. Powiedział coś, co zagłuszyły fale. Ja też wstałem i podszedłem do niego.

- Nie słyszałem.

Nie powtórzył. Trzymał się tylko siatki i niepewnie kołysał.

- Czuję się całkiem nieźle - odezwał się po chwili. - Obolały.

- Boli cię coś?

- To dobry ból. Jak... porządny sen po ciężkim dniu. Chwilę później:

- Wczoraj poszedłem na spacer. Zaczekałem na więcej.

- Z Susan. Raz... może dwa razy... musiała mnie podtrzymać. Ogólnie nogi mam w porządku.

- To świetnie.

Początkowo neurologowie nie byli pewni, czy uszkodzenia jego układu nerwowego będą trwałe. Ale szybko odzyskiwał formę, a mnie rano powiedziano, że pora na optymizm.

Minuta ciszy.

- Susan bardzo mi pomaga. Jest... silna.

- Chyba bardzo cię lubi.

Jamey zapatrzył się w morze i zaczął płakać.

- Co się stało?

Dalej łkał, puścił siatkę, zatoczył się i usiadł z powrotem na ławce. Wytarł twarz ręką, zamknął oczy. Łzy wypłynęły spod powiek.

Położyłem mu dłoń na ramieniu. Dotknąłem sterczącej kości, okrytej cienką warstwą skóry.

- Co się stało, Jamey?

Popłakał jeszcze trochę i się uspokoił.

- Ludzie są dla mnie mili.

- Zasłużyłeś na dobre traktowanie.

Zwiesił głowę, podniósł ją i zaczął iść powoli wzdłuż krawędzi urwiska, małymi, ostrożnymi kroczkami, przytrzymując się siatki. Szedłem obok niego.

- To... zagmatwane - wyznał.

- Co takiego?

- Doktor Levi mówiła, że do pana dzwoniłem. Po pomoc. Nie pamiętam tego - dodał przepraszająco. - A teraz pan tu jest. Jakby... jakby nie wydarzyło się nic pomiędzy.

Odsunął się od krawędzi, zawrócił i poszedł w stronę domków, wyciągając ręce dla równowagi; poruszał się wolno, ostrożnie, jak ktoś przyzwyczajający się do protezy nogi. Szedłem z nim, zmuszając się, by iść równie wolno, po kostki w koniczynie.

- Nie. To nieprawda. Wydarzyło się bardzo wiele, prawda? - spytał.

- Tak.

- Straszne rzeczy. Niektórych ludzi nie ma. Zniknęli. Połknął kilka łez, zapatrzył się przed siebie i szedł dalej.

Przed domkami, jakieś dwieście metrów od nas, znajdował się ogród piknikowy z drewnianymi ławami i stołami osłoniętymi przez prążkowane parasole. Z jednej z ław wstała czerwona postać i pomachała. Jamey też pomachał.

- Cześć, Susan - powiedział, chociaż nie mogła go słyszeć.

- To normalne, że ktoś, kto przeszedł tyle co ty, jest zagubiony. Daj sobie czas na orientację - próbowałem go pocieszyć.

Uśmiechnął się słabo.

- Mówi pan, jakby rozmawiał z doktor Levi.

- Doktor Levi to bardzo mądra kobieta.

- Tak. - Przerwa. - Powiedziała mi, że się przyjaźnicie.

- Była rezydentką psychiatrii, kiedy ja robiłem staż. Razem pracowaliśmy w jednym zespole kryzysowym. Jesteś w dobrych rękach.

Pokiwał głową.

- Składa mnie z powrotem do kupy - szepnął, a potem skręcił w stronę kępy cyprysów.

Minęliśmy parę w średnim wieku, siedzącą na kocu z osiemnastoletnią mniej więcej dziewczyną. Dziewczyna była puciołowata i ubrana w bezkształtną, burą koszulę. Miała boleśnie piękną twarz, zdominowaną przez puste oczy, i długie, ciemne włosy, które splatała palcami - owijała, skręcała, puszczała, zaczynała od nowa. Jej ojciec, w ciemnym garniturze i krawacie, ciemnych okularach, siedział plecami do niej i czytał Miche-nera. Matka popatrzyła na nas zmieszana, kiedy przechodziliśmy.

Między drzewami weszliśmy na chłodną, ocienioną polanę, z katedralnym sklepieniem konarów, zasłaną suchymi liśćmi. Jamey znalazł pień i usiadł. Ja oparłem się o drzewo.

- To dziwne, jak pan dla mnie znalazł doktor Levi - powiedział.

- Dlaczego?

Odchrząknął, odwrócił się, zawstydzony.

- Jesteś już bezpieczny - zapewniłem. - Możesz mówić. Albo nie mówić.

Rozważył to. Zwilżył wargi językiem.

- Wzywałem pana, a pan się pojawił. Pomógł.

Jego niedowierzanie było smutne. Nic nie odpowiedziałem.

- Przedtem, kiedy potrzebowałem lekarza, wujek Dwight zazwyczaj... - Przerwał. - Nie, to bez sensu, prawda?

- Tak.

Rozejrzał się dookoła, po kolumnach pni.

- Za zimno tu. Możemy się jeszcze przejść?

- Pewnie.

W milczeniu wspinaliśmy się po trawniku w stronę szpitala. Jamey spróbował schować rękę do kieszeni, ale nogi się pod nim ugięły i zachwiał się. Złapałem go za rękę i przytrzymałem.

- Odpocznijmy - zaproponowałem.

- Dobrze.

Złożył się jak leżak, pozwolił się opuścić na trawę. Znów dotknął nosa.

- Coraz lepiej mi idzie.

- Zdrowiejesz.

Kilka minut później:

- Wszyscy mnie nienawidzili - stwierdził. Rzeczowo, bez użalania się nad sobą. Ale oczy miał udrećzone i wiedziałem, o co pytają: Co ja takiego zrobiłem, że mnie tak nienawidzili?

- To nie miało nic wspólnego z tobą. Odczłowieczyli cię, żeby usprawiedliwić to, co ci zrobili - wyjaśniłem.

- Zniknęli - powiedział z niedowierzaniem. - Ot tak. Tak trudno w to uwierzyć.

Zerwał dmuchawiec spomiędzy koniczyn, dotknął nim ust, potarł niezręcznie palcami i patrzył, jak jedwabiste nitki ulatują ku niebu.

- To ja. Żegluję przez przestrzeń bez... cum.

- Podoba ci się to?

- To wolność. Czasami.

- A czasami?

- Przeraża! - zawołał z nagłą pasją. - Sprawia, że mam ochotę... zapaść się pod ziemię. Dać się ciasno zapakować. Wie pan, co mam na myśli?

- Wiem dobrze.

Odetchnął głośno, zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu i ogrzał twarz w promieniach słońca. Czoło pokrył mu pot, chociaż powiewał chłodny wiatr znad oceanu. Jamey otworzył szeroko usta i ziewnął.

- Zmęczony?

- Wpychają we mnie jedzenie. Czerwone mięso na śniadanie. Czuję się potem... ciężki.

Kilka chwil później:

- Są dla mnie bardzo mili.

- Cieszę się. Doktor Levi mówi, że coraz lepiej sypiasz.

- Poniekąd. Kiedy nie mam bólów.

- Bólów pamięci?

- Tak.

- Brzmia groźnie. Jak złe sny.

- Może to są złe sny. Nie wiem.

- Muszą być przerażające.

Źrenice Jameya się powiększyły - czerń zalała błękit. Chłopak spuścił oczy.

- Mogę po prostu leżeć. Nic nie robić. A wtedy coś... coś ciemnego... i paskudnego wypływa mi przed mózg... siłą wciska się w świadomość.

- Co ciemnego?

- Tylko tyle, ciemnego, nie wiem. Czasami wydaje mi się, że to... śmieci. Coś zepsutego. Śmierzącego. Bryła śmieci. Przysięgłbym, że czuję smród, ale kiedy próbuję się na tym skupić, nie ma żadnego zapachu. To w ogóle coś znaczy?

Kiwnąłem głową.

- Kilka nocy temu - ciągnął - wyglądało jak cień potwora... przyjaciela... Kuba Rozpruwacz, ukrywający się za brudnym, kamiennym murem. To brzmi... obłąkańczo, prawda?

- Nie - zapewniłem go. - Nie brzmi. Widujesz coś jeszcze?

- Nie wiem... może. Na pewno to coś paskudnego. Nachalnego... drapie mnie w czoło od środka, ale... ukrywa się. Czai. Może to coś jak owad, nie wiem. Nie mogę tego uchwycić. To takie frustrujące.

- Jak słowo na czubku języka?

Przytaknął.

- Można oszaleć. Boli mnie od tego głowa.

„Nadwerżenie mózgu - nazywała to Deborah Levi. - Cała masa wypartego materiału próbuje się przedwcześnie wydostać. Kiedy chce to przepchnąć na siłę, dostaje poważnych bólów głowy, przez które nie może w nocy spać. Nazywa je bólami pamięci. Powiedziałam mu, że w ten sposób jego organizm mówi mu, żeby zwolnić, że musi się oszczędzać, a nie popędzać. Jamey jest wciąż jeszcze w kiepskim stanie, Alex. Krew ma czystą, lecz równie dobrze może jeszcze mieć jakieś toksyny na poziomie podklinicznym. Nie wspominając już o tym całym gównie, które przeszedł”.

- Co pan o tym sądzi? - spytał.

- To normalne w twojej sytuacji. Przejdzie - próbowałem go uspokoić.

- To dobrze - odparł z wyraźną ulgą. - Cenię sobie pana opinię.

Gdzieś z boku poruszyła się czerwona plama. Susan znów podniosła się z ławy. Nie usiadła, stała wyczekująco.

- Doktorze D, co ze mną będzie? Potem. Kiedy już mnie połatają?

- spytał Jamey.

Zastanawiałem się chwilę nad odpowiedzią - na tyle długo, żeby dobrać właściwe słowa, ale nie aż tak długo, żeby zaczął się denerwować.

- Wiem, że to pytanie w tej chwili cię przytłacza, ale kiedy przyjdzie pora, żebyś stąd wyszedł, nie będzie takie straszne. Może samo na siebie odpowie.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

- Wyobraź sobie rachunek różniczkowy. Otwórz go na środku, a będzie niezrozumiały. Zaczynaj od początku i rób miarowe postępy, a kiedy dojdiesz do tego samego miejsca na środku, nawet go nie zauważysz.

- Mówi pan, że to będzie... prosty... postępek, krok za krokiem?

Pokręciłem głową.

- Wręcz przeciwnie. Będziesz nieustannie napotykał wyzwania. Nie jednokrotnie pomyślisz, że utknąłeś i w ogóle nie posuwasz się do przodu. Lecz jeśli podejdziesz do tego rozsądnie, będziesz się cenił, dbał o siebie, pozwalał, żeby ci pomagano, dasz sobie radę z wyzwaniami. Sam będziesz zaskoczony tym, jak dobrze sobie radzisz.

Jamey słuchał, ale nerwowo. Jak ktoś, kto ma ochotę na lody, a dostaje selera.

- Pamiętasz jeszcze mój numer? - spytałem.

Automatycznie wyrecytował siedem cyfr, potem zrobił zdziwioną minę.

- Zadzwoń, jeśli będziesz chciał pogadać. Doktor Levi mówi, że możesz. Kiedy tu skończysz, spotkamy się, coś zaplanujemy. Dobrze?

- To by było... Chciałbym... Będę czekał z niecierpliwością.

Susan ruszyła w naszą stronę. Jamey zobaczył ją i wstał. Wyciągnął rękę.

- Dobrze było pana zobaczyć - powiedział.

Uścisnąłem mu dłoń, puściłem ją i objąłem go. Usłyszałem ostre wciągnięcie powietrza, stłumiony

szloch, odgłos zagubionego dziecka, które widzi znajomy drogowskaz. A potem jedno wyszeptane słowo:

- Dziękuję.

Table of Contents

www.wydawnictwoamber.pl